

CIENIE POJĘTNYCH

Morska straż



ADRIAN
TCHAIKOVSKY



FORUM

Adrian Tchaikovsky

Morska Straż

Szósta Część Cyklu Cienie Pojętnych

Przełożył Jarosław Rybski

Bohaterom mego dzieciństwa:

Geraldowi Durrellowi

i sir Davidowi Attenborough

CZĘŚĆ PIERWSZA

Ci, co unoszą się na powierzchni wód

JEDEN

Cztery lata wcześniej

Chłopak zapamiętał przede wszystkim pęd wody, zanim jego głowa w końcu przebiła jej powierzchnię. Paladrya pchała go ku górze. W jej dotknięciu wyczuwał niezwykle pośpiech – zazwyczaj była delikatna.

Marcantor stał już na brzegu – wysoka, szczupła postać widoczna na tle labiryntu mroku i półmroku. Chłopak upadł.

Nie z powodu przejmującego chłodu, jaki poczuł na skórze.

Nawet nie rozpoznawał straszliwej pustki nieba nad głową.

Przyczyną była nagromadzona ciemność ziejąca z lasu, kostropate, sięgające ku niemu szpony gałęzi. Chociaż morskie fale wciąż obmywały mu łydki, uświadomił sobie, że oto znalazł się w obcym świecie.

Marcantor podszedł do niego, wyciągnął rękę, ale chłopak się cofnął. Szczupły mężczyzna przyglądał się mu posępnym wzrokiem – w księżycowej poświacie jego twarz była aż nadto wyraźna i chłopak zauważył, jak bardzo usiłuje powstrzymać emocje. Wszystkie lęki chłopca uwidaczniały się jak w miniaturze na jego obliczu i chłopiec wiedział, że powinien go pocieszyć, przywołać jego dziedzictwo, ale nie znajdował właściwych słów.

Paladrya stała za nim i fale przyboju obmywały jej nogi.

Objęła ramionami chłopca i przytuliła go, a ponieważ woda wciąż z niej ściekała, nie był pewien, czy płacze, czy nie.

Drżeli razem w niespodziewanym chłodzie, a bryza wiejąca zza drzew osuszała ich ciała.

– Wyciągnij peleryny – zasyczała do Marcantora. –

Zamarznie nam tutaj na śmierć. Wszyscy zamarzniemy.

Gdzie jest Santiren? Czy wszystko muszę robić sama?

Marcantor był od niej wyższy o jakieś czterdzieści pięć centymetrów, szczupły i kościsty. Powierzchni jego zbroi nadano kształt płynnych linii powtarzających układ kości. W

dłoni trzymał dzidę, której ostry koniec zanurzony był w wodzie. Przez chwilę chłopak myślał, że skieruje ją w jej stronę. Paladrya spojrzała jednak na Marcantora, a na jej obliczu widać było tylko złość, jakby zapomniał, gdzie jest jego miejsce. Była niższa, a jej ciało w miejscach, w których wojownicy prezentowali twarde mięśnie, było nieco pulchne, lecz to ona tutaj dowodziła. Nawet w tym tajemnym przedsięwzięciu to ona wydawała polecenia, a on musiał jej słuchać. Marcantor

skrzywił się i za pomocą rogowego kolca wystającego z dłoni zaczął rozcinać szczelnie zamknięty bawełniany worek, a dłonie drżały mu z zimna lub ze strachu przed nieznanym. Chłopak chciał go jakoś pocieszyć, ale jego własny lęk był zbyt wielki. Podniósł wzrok – nad ich głowami wisiał tylko księżyc. Świat wydał mu się nagle pozbawiony granic i napełniło go to podziwem i przerażeniem. Ale to pasuje, stwierdził. To, czego dokonaliśmy dzisiaj, też wykracza poza wszelkie granice.

Marcantor wcisnął mu coś do rąk – suchy materiał, pelerynę. Paladrya wzięła ją, zanim chłopak wykonał

jakikolwiek ruch, i zarzuciła mu na ramiona. Była krótka, cienka i ledwo chroniła przed wiatrem, ale owinał się nią z wdzięcznością. Paladrya dostała podobną i narzuciła na swój obcisły strój. Marcantor wyjął dla siebie dłuższe okrycie, które w jednej chwili pochłonęło połowę jego szczupłej sylwetki.

Nagle tuż obok nich pojawiła się kolejna szczupła i wysoka postać – kobieta tak wiotka i wyniosła jak sam Marcantor; obydwójce mierzyli ponad dwa metry w swych spiczastych hełmach. Była już ubrana i ostrożnie stąpała między powykręcanyimi, podobnymi do kończyn korzeniami wyłaniającymi się z nadbrzeżnego pasa drzew. Santiren od dawna spiskowała z Paladryą, jeszcze zanim chłopak zdał

sobie sprawę z konieczności zawiązania spisku. Kilkakrotnie odwiedzała to zimne, bezkresne wybrzeże. Na jej twarzy nie było widać lęku, jedynie wyraz łączącej ich desperacji.

– Ktoś was śledził? – zapytała.

– Nikt. – Paladrya wciąż drżała. Jej twarz, którą chłopiec zawsze uważał za piękną, była teraz spięta.
– Jeszcze nie. I wrócę, by udaremnić wszelkie takie próby.

– Nie! – wykrzyknął chłopak nieco za głośno. – Nie możesz mnie zostawić!

Paladrya wyciągnęła przed siebie rękę, by zachować

dystans. Była jego opiekunką, odkąd skończył osiem lat, a on kochał się w niej od dawna tą cichą, nieporadną miłością, jaką często chłopcy w tym wieku obdarzają swoje nauczycielki.

– Zabiją cię – zaprotestował.

– Nie, jeśli mój szybki powrót ich zaskoczy – oznajmiła, ale wiedział wystarczająco dużo, by w to nie wierzyć.

– Będą cię torturować – powiedział.

– I czego niby mają się ode mnie dowiedzieć? To Santiren wszystko przygotowała. Od tej chwili wiem o twoim losie tyle, ile oni.

– Ale będą cię torturować. Myślisz, że edmir tego nie zrobi?

Na jej twarzy wykwitł bezbrzeżny smutek.

– Mam nadzieję, że Claeon... że edmir tego nie zrobi.

Przecież mnie zna. Nie jestem anonimowym ciałem, które można rwać na strzępy.

– Ma rację, powinnaś iść z nami – oznajmiła Santiren i serce chłopca aż podskoczyło z nadziei.

Paladrya jednak tylko pokręciła głową.

– Bardziej się przydam w kolonii. Nie lękajcie się o mnie. Czeka nas jeszcze sporo pracy.

Wtedy zrobił to, co mu pozostało w tej sytuacji: starał

się zapamiętać wygląd jej twarzy w zimnym świetle księżyca

– szlachetną krzywiznę policzków, duże oczy, teraz poszarzałe, a normalnie mające kolor fiołków, spadające loki...

– Trzymaj się – powiedziała do niego. – Twój czas nadejdzie. – Znów przyciągnęła go do siebie i spostrzegł, że płacze jak dziecko. – Santiren – usłyszał jej głos, chociaż wciąż miał twarz wciśniętą w jej ramiona. – Jak twój współnik?

– Jest tu, stoi na straży – odrzekła wysoka kobieta. –

Nie bój się, wszystko przygotowane.

– W takim razie niech sprzyjają ci tu księżyc i pływy wodne – powiedziała Paladrya i wykrzywiła usta, dodając: –

Tutaj, gdzie nie ma pływów, a księżyc jest zbyt duży.

– A ciebie niech chroni szczęście otchłani – dodał z cienia Marcantor. – Bo z pewnością będzie ci potrzebne.

Paladrya odsunęła się od chłopca, rozglądając się wokół

po raz ostatni, po czym wycofała się z objęć bujnego lasu do wody. Chłopak chciał pójść za nią, choćby tylko dlatego, że to była ona i że wracała do jedyne go świata, jaki znał. *Czy nie lepiej było umrzeć, niż żyć tutaj?* Ale nie miał wyboru. Będzie musiał tu żyć, a ona... Ona by tu zginęła. Poczul to w sobie, tę pewność. Nie był wyrocznią, tak jak niektórzy członkowie jego ludu, jak Paladrya, ale czuł, jak rośnie w nim ta posepna przepowiednia.

– A więc gdzie jest ten twój lądowy? – warknął

Marcantor. Wyraz jego twarzy wyraźnie mówił: „Nie chcę tu być” – i chłopak mógłby go puścić, ale potrzebował go.

Potrzebował ich obojga. Potrzebował wszelkiej pomocy, jaką mógł pozyskać.

– Jestem tutaj – usłyszeli nowy głos. Kobięcy.

Zza drzew wyłoniła się kolejna postać.

Chłopak gapił się na nią, bo różniła się od nich bardzo.

Była wysoka, ale nie aż tak jak dwójka wojowników –

strzałkopodobnych. Miała ostre rysy – spiczastą brodę, spiczaste uszy i skośne oczy oraz włosy barwy spłowiałego złota przycięte krótko przez mało wprawnego balwierza. Jej brązowo-zielony strój był mocny i wytrzymały. Z

przedramion wystawały jej kolce. Kogoś takiego chłopak nie widział nigdy i Marcantor najwyraźniej też nie. Wojownik przesunął się, wystawiając w jej kierunku włócznię. Zrobiła krok i znalazła się w zasięgu broni.

Jej ruch był zbyt szybki, by chłopak mógł go zauważyć, ale stała teraz niemal przy Marcantorze, przystawiając mu do szyi niewielki nóż. Pomimo tego na jej twarzy chłopiec nie zauważył żadnych emocji.

– Nie rób tego – powiedziała lub tak mu się wydawało.

Jej akcent był mocny, równie ostry jak kształt jej oczu.

Marcantor stęzał cały, gotując się do jakiegoś ruchu –

może chciał odskoczyć w tył, żeby nadziać ją na koniec dzidy.

Dla owiniętego w obcą pelerynę, stojącego na obcej ziemi nie mogło to skończyć się szczęśliwie.

– Stój! – warknęła Santiren i Marcantor zmarszczył

gniewnie brwi.

Nie była osobą, od której gotów był przyjmować rozkazy, Paladrya zaś zniknęła już wśród fal.

– Marcantorze – chłopak usłyszał swój drżący głos. –

Proszę cię, nie rób niczego głupiego.

Wysoki strzałkopodobny spoglądał na niego przez chwilę z urazą, widząc w chłopcu przyczynę swego wygania w to obce miejsce, ale po chwili coś w nim pękło. Opuścił dzidę, zahaczywszy grotem o gałąź, i przez chwilę na jego twarzy malowały się wyłącznie smutek oraz wielkie zmęczenie.

– Cynthaen – wtrąciła się Santiren. – Przecież mnie znasz.

Nóż zniknął z dłoni obcej kobiety. Całkowicie ignorując Marcantora, popatrzyła uważnie na strzałkopodobną.

– Ciebie znam, pozostałych nie bardzo.

Chłopak musiał odtworzyć jej słowa w myślach, żeby pojąć ich znaczenie.

– Zawarliśmy układ – powiedziała Santiren. – I rozumiesz, co to oznacza. Wezwaliśmy ciebie.

Chłopak przyglądał się tej scenie z zainteresowaniem.

Nie wiedział nic o tych spotkaniach nad brzegiem morza. Lud Santiren żył jednak w różnych dziwnych miejscach, zanim jej matka zamieszkała w kolonii. Paladrya o tym wiedziała.

Paladrya zawsze wiedziała.

Nagle lądowa ostro spojrzała na chłopca.

– Ciebie znam – powtórzyła. – Ten drugi jest jak twój brat, więc jego też znam, ale nie znam tego dziecka. Ani kobiety, która była z tobą. Nie możesz oczekiwać, że będę pomagać pająkopodobnej. Żaden układ do tego mnie nie zobowiąże.

Chłopak tylko patrzył na nią i myślał: *Żeby tak mieszkać przez cały czas w tym zimnym, splątanym miejscu? Przez cały czas i ani razu nie wejść do wody? Jak ona może tu żyć? Jak ktokolwiek może tu żyć, obnażony w tej straszliwej przestrzeni?*

– A co to jest pająkopodobna? – zapytała Santiren. –

Nie znamy żadnych pająkopodobnych.

Oczy lądowej błysnęły w jej stronę, choć ani na moment nie oderwała spojrzenia od chłopca. Wtedy dostrzegł

podobieństwo w jej posturze i kanciastej twarzy. *Jest jak chyzoszczypcy, tyle że ma włosy, a oni nie. W takim razie czy to tylko podobieństwo, czy może jest zabójczynią tak jak oni?*

– Chłopcze – lądowa zwróciła się bezpośrednio do niego.

Marcantor poruszył się, rozłoszczony takim brakiem szacunku, ale nóż musiała mieć wciąż pod ręką i stała zbyt blisko niego.

– Słucham – odpowiedział jej chłopiec.

Schyliła się nieco, by przyjrzeć się jego twarzy z bliska.

– Pająkopodobny – fuknęła – ty i ta kobieta. Powinam zabić cię na miejscu. Gdyby ona nie odeszła, zabiłabym ją bez namysłu. – Przeszyła go wzrokiem. – Boisz się mnie.

– Dlaczego miałbym się ciebie bać? – wykrztusił. Miał

nadzieję, że drzenie złoży na karb zimna. Bo on nie okazywał

strachu – ani przed chyzoszczypcami, ani przed takimi jak ona.

– Bo mogę cię zabić – zasyczała. – Zabijałam pająkopodobnych na długo przed twoimi narodzinami. Nie potrzebuję do tego powodu.

Patrzył prosto w jej twarz, egzotyczną i nieprzejednaną.

– Zostałem wygnany z mego domu w to ponure miejsce przez moich wrogów i wcale się ich nie boję. Dlaczego więc miałbym bać się ciebie, skoro nie możesz zrobić mi nic gorszego? – zapytał mimo wszystko drżącym głosem. Nic nie mógł na to poradzić.

Zauważył lekkie skrzywienie ust.

– Żaden pająkopodobny nie ma takich oczu jak ty, chłopcze. Takich dużych i kolorowych.

Wyprostowała się. Niezauważenie złość uleciała z jej postaci.

– Jestem Cynthaen – powiedziała. – Santiren mnie zna.

Zawarliśmy układ.

Santiren odetchnęła z ulgą, słysząc te słowa, choć wcześniej doskonale maskowała zdenerwowanie.

– Nie powinniście tutaj pozostawać – dodała Cynthaen.

– Nie wśród mego ludu. Inni mogą nie być tak powściągliwi jak ja. Zabiją chłopca albo rzucą leśnym bestiom na pożarcie.

Za bardzo przypomina naszych wrogów.

– Ale nasza umowa... – zaczęła Santiren, lecz Cynthaen tylko machnęła ręką.

– Nasza umowa obowiązuje. Znajdę dla niego jakąś kryjówkę. – W końcu na jej twarzy pojawił się uśmiech. – Idź

za mną i nie spuszczaaj mnie z oka, bo zginiesz mimo tej umowy.

– Co ona z tego ma? – zapytał Marcantor stanowczo, trzymając się na tyle blisko Cynthaen, na ile pozwalało podłoże pokryte korzeniami i połamanymi konarami.

– Cicho bądź, Marcantorze – ostrzegła go z tyłu Santiren.

– Powiedz mi, czego dotyczy ta umowa? – nie dawał za wygraną.

Był w paskudnym nastroju, było mu zimno i kulał z powodu poranionych stóp jak wszyscy. To nowe miejsce nie nadawało się zbytnio do spacerowania na bosy.

– Ja ci powiem – dobiegł go głos Cynthaen.

Zasyczał do niej ze złością, ale chłopiec oświadczył:

– I ja chętnie bym posłuchał. Pomagasz nam, więc nie mamy prawa o to pytać, ale i tak jestem ciekaw.

Ładowa zatrzymała się na te słowa i odwróciła, aby spojrzeć na niego z lekkim uśmiechem na twarzy. Kiedy się tak uśmiechała, stwierdził, że była nawet ładna. Nie tak piękna jak Paladrya, ale gdy się starała, w jej egzotycznych rysach było coś ujmującego.

– Powiem ci – powiedziała, odwracając się i ruszając w dalszą drogę. – Lecz niedużo. Ujawnię tę odrobinę, która została. Bo wszystko zaczęło się, jak wiesz, bardzo dawno, jeszcze w czasach, gdy byliśmy panami wszystkiego – czy też nasi mistrzowie byli. Czyli w pięknych czasach. W dniach wiedzy.

Chłopiec musiał się starać, żeby ją zrozumieć, wyłowić z tej obco momentami brzmiącej mowy pojedyncze słowa.

– I nagle wszystko runęło. Wcześniej byliśmy wszędzie.

Teraz zamieszkujemy kilka miejsc, w których możemy bronić się przed intruzami. Tak duża część tradycji przepadła. Tam, gdzie niegdyś była Ostoja, mieszka ledwo kilka rodzin. Stare ścieżki w większości zanikły, reszta ciągle zaciera się w pamięci. Depczemy sobie po piętach. Nie potrafimy zatrzymać tego, co było dla nas ważne. Różnic. Tradycji.

Przez chwilę prowadziła ich w milczeniu i chłopiec starał się zrozumieć, czy owa plątanina wypowiedzianych pospiesznie fraz zawiera odpowiedź na jego pytanie, czy nie.

Po chwili jednak odezwała się ponownie:

– Wciąż nazywają nas rybiarzami. Moją rodzinę i kilka innych, które trzymają morską straż. Tylko my pozostaliśmy z pradawnego Felyalu, w którym pojawili się ci wszyscy inni.

Uważają, że jesteśmy dziwni. Nic ich nie obchodzimy. Ale nadal nikt inny nie potrafi tak napełniać sieci jak my.

Prawda, Santiren?

– Tak jest – odpowiedziała spokojnie strzałkopodobna.

Chłopiec zastanawiał się nad głębszym sensem tych opowieści o Felyalu czy sieciach.

– Kiedy idziemy na plażę w księżycową noc – Cynthaen mówiła teraz wolniej, jakby z tęsknotą – kiedy tańczymy i rzucamy dary, kiedy nasi wróżbici zamykają oczy, słyszą głosy waszego ludu w dole. Układ zostaje odnowiony. Ale pozostali tego nie rozumieją.

Ja też tego nie rozumiem, pomyślał chłopiec, lecz znów przyszedł mu na myśl lud Santiren oraz tereny, na których polowała jej rodzina. Magia. Była w tym magia, w tych tańcach zmieniających bieg czasu: najdłuższa noc w roku i najkrótszy dzień, kiedy księżyc stał w pełni i zaczynały się zimowe pływy. Nie był magiem, ale wiedział, że magia była we wszystkich tych zjawiskach.

Marcantor potknął się i zaklął, chwytając za kostkę.

Cynthaen odwróciła się i popatrzyła na nich ze współczuciem.

– Jak rozumiem, wasz lud nigdy nie słyszał o sandałach?

Chłopiec, którego stopy też były poobcierane i obolałe, zapytał:

– A co to jest sandałach?

Zaskoczył ją, bo stało się jasne, że wziął to na poważnie.

Znów przyjrzała się im dokładnie – cienkim pelerynom wojowników zakrywającym lekką zbroję i wolnym od pancerza udom oraz ramionom, co umożliwiała szybkie poruszanie się. U chłopca pod podszytą wiatrem wierzchnią szatą dostrzegła tylko kilt i gołą skórę. Ich osobliwość – którą oni dostrzegli w niej już na początku – sprawiła, że zadrżała.

Nasze światy są jak dziwne lustrzane odbicia, pomyślał

chłopiec. *A powierzchnią zwierciadła jest tafla morza.*

Odruchowo zaczął układać z tej myśli dwuwiersz, ale zimno i ból oraz ziejące nad głową niebo pozbawiły go mocy.

– Teraz zostańcie tutaj – powiedziała. – Możecie się schować? Schowajcie się, jeśli potraficie. Wyjdziecie dopiero, jak po was przyjdę. – Wydobyła z siebie odgłos przypominający splunięcie. – Prawdę mówiąc, niezależnie od tego, czy się schowacie, czy nie, jak znajdą was moi ludzie, to i tak nie dożyjecie poranka – stwierdziła i momentalnie zniknęła w gęstwinie pogrążonych w mroku drzew.

Taki tu bezruch, pomyślał chłopiec. *Wszystko stoi w miejscu, jest sztywne, ciężkie, zamarznęte i zimne.*

– Ukryj się – ponagliła go Santiren. – Wraz z Marcantorem staniemy na straży.

Uniosła dzidę, chociaż tutaj, w plataninie gałęzi, była to broń dość nieporęczna.

Chłopiec przywołał na pomoc swoją sztukę, choć w tym obcym miejscu trwało to dłużej niż zwykle.

Odnalezienie jej jednak uspokoiło go i na jego skórze zaczęły wykwitać barwne plamy, wędrujące po nogach i ramionach i zmieniające się w zależności od koloru roślinności rosnącej wokół. Wydał z siebie przeciągłe, pełne ukojenia westchnienie.

Knieja rozbrzmiewała mnóstwem odgłosów i była to kolejna irytująca rzecz w tym nieprzyjaznym miejscu. Ciągłe coś szeleściło, bzycało i trzaskało – nieustający harmider drobnych istot, które wcale nie musiały być takie małe. Oczy chłopca, podobnie jak jego towarzyszy, zostały doskonale przygotowane do widzenia w ciemności, ale tutaj była ona gęstsza niż w domu, gdzie wyglądała jak zacierające się pastelowe poświaty – poza tym tamta była prawie bezgłówna, podczas gdy ta tutaj tętniła życiem.

Coś dużego poruszyło się z przodu, między drzewami.

Wszyscy dostrzegli to jednocześnie i dwójka wojowników stężała w napięciu, unosząc dzidy w pogotowiu. Było to coś wysokiego i smukłego. Chłopiec bardzo starał się uchwycić kształt i zobaczył błysk w wąskich ślepiach, cienkie wrzecionowate kończyny, jedno zakrzywione ramię trzymane blisko korpusu i drugie wyciągnięte do przodu, by ułatwić stworowi ostrożne poruszanie się. To coś patrzyło na nich.

Jakiś szczypcowiec, ale przeniesiony na ląd. Od razu domyślił się, że była to jedna z owych heraldycznych bestii z rasy Cynthaen. Bardzo przypominała krewetkę, którą oni nazywali chyzoszczypcą. Była większa od człowieka i chłopiec podejrzewał, że równie wygłodniała oraz paskudnie usposobiona jak chyzoszczypcy. Marcantor i Santiren trzymali teraz dzidy oburącz, a wąskie ostrza nawet nie drgnęły. Lądowy potwór spoglądał na nich niewzruszenie, połyskując tylko wielkimi ślepiami w świetle księżyca.

Nagle koło niego pojawiła się Cynthaen i wyciągnęła dłoń, żeby dotknąć opancerzonego boku. Trójkątny łeb się przekrzywił, by na nią spojrzeć, aparat gębowy zaczął się obracać i zwierzę odeszło, chwilami pewnie krocząc po ziemi, a chwilami lecąc ponad nią, gdy przytrzymywało się gałęzi.

– No dobrze – skwitowała spotkanie Cynthaen, po czym zapytała: – Gdzie jest mały?

Chłopiec pozwolił sztuce odpłynąć i ciemne barwy zaczęły spływać po nim jak świeża farba, ukazując bladą skórę. Cynthaen patrzyła na to z zaciekawieniem.

Najwyraźniej takiej sztuki nigdy wcześniej nie widziała.

Rzuciła im coś pod nogi, kawałek jakiegoś dziwnego materiału z paskami. Zaraz jednak uświadomiła sobie, że nie wiedzą, co z tym zrobić, więc wydała z siebie odgłos znużenia, po czym – zupełnie ignorując oburzenie Marcantora – wzięła stopę chłopca w swoje dłonie. Twardszy element przyłożyła mu pod podeszwę i umocowała paskami na nodze. Było to dziwne wrażenie i chłopiec zauważył, że sama Cynthaen nosiła coś innego, jakby rękaw obejmujący jej nogę aż do kolana.

Dwójka strzałkopodobnych próbowała poradzić sobie z tym sama, ale Cynthaen musiała poprawić im splątane paski.

Marcantor siedział niemal bez ruchu, kiedy się nim zajmowała, lecz chłopiec zauważył, że dłonie mężczyzny najeżyły się szpikulcami sztuki. Cynthaen też to dostrzegła i uśmiechnęła się do niego ironicznie.

– Nie wytrać tylko wszystkiego na walkę, wysoki –
poradziła mu. – U nas tak się zaleca do wybranki.

Kiedy skończyła, wyciągnęła z sakwy coś jeszcze –
kaptur ze sztywnej skóry. Podała go chłopcu.

– Włóż to na wypadek, gdybyśmy mieli spotkać moich.

A teraz ruszajmy w drogę. Zbliża się świt.

– Słońce? – zapytał chłopiec.

Spojrzała na niego.

– To właśnie mamy na myśli, mówiąc „świt”, chłopcze.

Tym razem prowadziła ich szybciej, chociaż ślizgali się i potykali w nowym obuwiu. Nie dostrzegli ani śladu jej tajemniczego, wrogo nastawionego ludu, ale chłopiec miał

wrażenie, że tylko dzięki temu, iż to ona wciąż wybierała taką drogę, żeby go ominąć. Pokój i harmonia nie były domeną lądowych.

Kiedy wyszło słońce, najpierw nieco pojaśniało wśród drzew po jednej tylko stronie, po czym rozblęskło zewsząd.

Ostry chłód niechętnie skrył się gdzieś i nocne hałasy zaczęły ustępować innym dźwiękom, wydawanym przez stworzeniaienne. Chłopiec nie dostrzegł ani jednego tak wielkiego jak to spotkane w nocy; jedynie słyszał, jak ich omijają, by po ich przejściu wrócić do swoich zwykłych czynności. Mniejszych istot był za to cały legion. W większości śmigały w powietrzu

– krążyły, pikowały, roiły się i połyskiwały w pierwszych promieniach słońca albo też przyczepiały do gałązek, żeby kąpać się w słonecznym cieple.

Cynthaen znów przyspieszyła kroku, aż roślinność wokół nich wyraźnie zaczęła rzędnąć. Słońce padające teraz na ich skórę i ubrania lekko parzyło. Z przodu chłopiec zobaczył kształty niebędące dziełem natury, lecz najwyraźniej człowieka.

Wyłonili się spośród drzew i od razu znaleźli w otoczeniu budowli będących efektem ciężkiej pracy i myśli rzemieślniczej, choć chłopak nie pojmował, jak ktoś mógł je w ten sposób wznieść. Wydawały się prymitywne jak dzieło jakiegoś półgłówka – wszystko było płaskie, kanciaste, wykonane z ledwo obrobionych kamiennych bloków i belek, biło w oczy brzydotą. Patrzył na to z przerażeniem, nie

mogąc powstrzymać pytania:

– Czy to tutaj żyje twoja rasa?

– Moja? – Cynthaen obejrzała się na niego. – Och, tutaj nie ma nic naszego. Nie podoba ci się, co? Być może nie jest z tobą tak źle. Nazywają to miejsce Arvandine. Wybudowali je tak blisko, jak się dało bez wzbudzania naszego gniewu.

Prowadziła ich ścieżkami biegnącymi wśród kanciastych budowli, ignorując napotykanych po drodze mieszkańców.

Lud z Arvandine nie przypominał rasy Cynthaen – większość była tęga i ciemnoskóra, a krępi mężczyźni i kobiety dźwigali jakieś ciężary. Drugi gatunek był niemal czarny, ale tak drobny jak małoszczypcy. Jego przedstawiciele ledwo sięgali chłopcu do piersi, a strzałko podobnym do pasa. W pewnej chwili jeden z nich zamachnął się w stronę Cynthaen czymś, co za sprawą jego sztuki wyrosło mu na plecach, i wystrzelił

w górę. Chłopak aż otworzył usta, widząc takie cudo, i spojrzał w górę, śledząc lot mężczyzny znikającego wśród dachów. *Lądowi są też powietrznymi*. Wielka, bezkresna przestrzeń nad nimi, która za sprawą słońca zmieniła się z zamarznętej połaci w pulsujący żar, należała do tych obcych, strasznych ludzi.

– Jesteśmy.

Nędznie wyglądający budynek był nieco większy od pozostałych, choć wcale nie ładniejszy. Cynthaen zastukała w drzwi, a chłopiec zastanawiał się w tym czasie: *Jak oni mogą mieszkać w takich ohydztwach? Nawet ten las byłby lepszy.*

Lud Cynthaen wybrał lepiej. Po ósmym uderzeniu drzwi otwarły się w końcu. Stał w nich przysadzisty, ciemnoskóry mężczyzna o opadających ramionach oraz w szacie z rękawami, mocno przewiązanej w szerokiej talii.

– Czego? – zaryczał. – Co jest takiego pilnego, że nie może poczekać do jakiejś cywilizowanej godziny? – Mówił

inaczej niż lądowa, nieco wolniej i przeciągając samogłoski, ale łatwiej go było zrozumieć.

– Mistrzu Kałamarnica – zwróciła się do niego Cynthaen z wyraźną kpina w głosie.

– Mistrzu Kałamarz – poprawił ją, nawet nie zaszczyciwszy spojrzeniem jej towarzyszy. – Co jest, przekupo?

– Mam dla ciebie podarunek – oznajmiła Cynthaen. –

Twoje szczęście nadciągnęło wraz z dzisiejszym przyplływem.

Ciemnoskóry mężczyzna spojrzał na nią krzywo.

– Gadaj do rzeczy – zażądał.

– Przeprowadziłam ci trójkę nowych mieszkańców twego domostwa – odparła. – Raduj się zatem.

Wciąż patrzył na nią, a chłopiec niemal mu współczuł, choć fakt, że został przekazany temu wielkiemu cudzoziemcowi, który najwyraźniej nie darzył Cynthaen miłością, zdominował inne doznania.

– Kogo... ? – Kałamarz zerknął kobiecie przez ramię i dostrzegłszy w końcu dwójkę strzałkopodobnych oraz chłopca, zamarł, w jednej chwili skrywając swoje wszelkie uczucia. – A od kiedy to modliszkopodobni zajmują się handlem żywym towarem? – zapytał wolno, ale widać było, że bardziej niepokoi go to, kim był ów chłopiec i jego eskorta.

– Przyjmiesz ich – oznajmiła Cynthaen. – Daj im dach nad głową. Nakarm ich. Jak chcesz, to znajdź im zajęcie. Ta dwójka wygląda na takich, co potrafią ciężko pracować.

Strzałkopodobni poczuli się dotknięci, ale nawet Marcantor wiedział, że wszystko wisi na włosku.

– I niby dlaczego miałbym to zrobić? – zapytał

mężczyzna.

– Bo przyniosę ci cztery miecze, Kałamarnica, cztery rapiery wykute przez modliszowców – ni mniej, ni więcej. I wiem, ile to kosztuje.

Kałamarnica czy też Kałamarz patrzył na nią.

– Nie masz czterech mieczy przy sobie.

– Będę mieć.

– Zajmujesz się połowem ryb.

– Jestem wojowniczką.

Zmrużył oczy.

– Sześć.

– Cztery.

– Pięć.

– Cztery. Najlepszy sort.

Znów obrzucił spojrzeniem chłopca i dwójkę przybyszów, jakby wyceniając ich wartość, po czym popatrzył

na Cynthaen. Toczyła się między nimi jakaś gra, a widoczna na pierwszy rzut oka, łącząca ich. zażyłość uświadomiła chłopcu, że ta słowna potyczka niosła z sobą więcej treści, niż mogło się wydawać.

– Mogę ci też przynieść rybę, jeśli chcesz – powiedziała Cynthaen żartobliwie.

– Nie ma tu zbytu na ryby. – Kałamarz pokręcił głową.

– W co ja się pakuję? Kto ich ściga?

– Nikt na ziemi – odparła Cynthaen i ten podstęp oburzył chłopca.

Być może również Kałamarza, ale dobrze to ukrył.

Najpierw spojrział spod zmrużonych powiek na dwójkę wojowników.

– Wy staniecie na straży, tak sędzę – zdecydował. –

Będziecie strzec towarów, magazynu.

Santiren skinęła oszczędnie głową.

– Możemy to robić za wikt i opierunek. Nie potrzebujemy niczyjej łaski.

Kałamarz uniósł brwi, słysząc jej akcent, gdyż wydał mu się tak samo dziwny jak dla Santiren ten, z którym mówił on.

– I, jak sędzę, mam nie zadawać zbędnych pytań –

zamruczał do siebie. – No dobrze. Jestem Ordly Kałamarz, kupiec z Kolegium. Jak mam się do ciebie zwracać?

– Santiren – odparła kobieta. – A to jest Marcantor.

– A chłopak to wasz sługa? – zapytał Ordly Kałamarz.

– Nie jestem niczym sługą – warknął chłopiec. Bardzo długo wędrował przez nieznaną krainę, przekazywany z ręki do ręki niczym jakiś pakunek, i do tego utracił ukochaną Paladryę. – Nazywam się Aradokles. Jestem... – przerwał, usłyszawszy ostrzegawcze syknięcie Santiren. Na jego skórze zatańczył blady cień wstydu. *Jestem ścigany, tak właśnie.*

Żaden mięsień w twarzy Kałamarza nie zdradził, że rozumie tę wymianę myśli, ale kiedy się odezwał, zasugerował:

– No cóż... Arad Oakleaves, prawda? Może będziemy cię nazywać „mistrzem Oakleaves”? To prawie nazwisko z Kolegium, a chłopak taki jak ty nie powinien obnosić się z niczym zbyt wielkopańskim.

Aradokles spojrział mu prosto w oczy i zobaczył

wystarczająco starego, mądrego i obco wyglądającego mężczyznę, by nie można go było łatwo rozszyfrować.

– Ordly Kałamarzu... – zaczął, ale zaraz poprawił się, zwracając się do niego tak, jak ten sobie tego życzył: –

Mistrzu Kałamarzu. Dziękuję, że przyjął mnie pan u siebie w domu. Zrobię wszystko, co w mojej mocy, by się panu odwdzięczyć.

Zaledwie kilka lat później generał Tynan i Druga Armia Imperialna pokonali modliszowców w Felyalu, spalili ich siedziby i popędzili przed swoimi postępującymi szybko szeregami, rabując i równając z ziemią każdą wioskę i faktorię, jaką napotkali na drodze. Arvandine też nie uniknęło tego losu.

DWA

Osobie postronnej mogłoby się wydawać, że sprawy Kolegium były ostatnią kwestią zajmującą tamtejszych polityków. Nieliczne chwile ciszy i spokoju podczas obrad Zgromadzenia zdarzały się zazwyczaj podczas wojny, kiedy przemawiali wyłącznie ochotnicy. Na co dzień zaś w sali obrad można było usłyszeć nieustanny szmer i odgłosy załatwianych interesów, żarty i szyderstwa, a także co najmniej setkę komentarzy na temat spraw bieżących. Często jedyną osobą zainteresowaną omawianą sprawą była ta, która ją referowała. Chociaż czasami nawet jej było obojętne, czy ktoś ją słucha.

– Zaraz nadejdzie twoja wielka chwila – stwierdził

Jodry Drillen.

Ten doświadczony członek Zgromadzenia wiedział

doskonale, jak pośród tego gwaru wypowiedzieć kilka słów, tak żeby dotarły do właściwej osoby, siedzącej nawet po drugiej stronie sali zastawionej wielkimi kamiennymi ławami. Stenwold zajmujący miejsce dwa rzędy dalej, trzecie na lewo, usłyszał go bardzo wyraźnie i podniósł wzrok na tego brzuchatego, wystrojonego mężczyznę, który uśmiechał

się do niego z góry. *I ja jestem w jego stronnictwie?* –

pomyślał Stenwold Maker. Już miejsce, w którym siedział, mówiło wszystkim, że w końcu się zdecydował. Nigdy wcześniej nie zdobył się na taki krok, ale ludzie po obu jego stronach stanowili frakcję popierającą Drillena. Członkowie Zgromadzenia mieli wystarczająco dużo czasu, by wypatrzyć takie szczegóły. W tej sali już wybór miejsca siedzenia był

aktem politycznym.

Ale współpraca Stenwolda i Jodry’ego miała głębszy wymiar – za zamkniętymi drzwiami prowadzili różne interesy. Choć mimo tajemnicy, w jakiej to się odbywało, wszyscy o tym wiedzieli. Na żądanie Makera z miasta wyruszyła ekspedycja, którą teraz oficjalnie nazywano ekspedycją Jodry’ego i która podobno, jak głosiła stugębna plotka, zakończyła się wielkim sukcesem. Choć na powrót jej uczestników musiano poczekać jeszcze kilka dni.

Stenwold siedział w otoczeniu piesków Drillena, czując w sobie wielką pustkę, bo nie miał jeszcze okazji przekonać się o prawdziwości tych pogłosek. Znał tylko kilka faktów związanych z przedsięwzięciem: jeden z uczonych Kolegium zginął i w jakiś sposób było w to zamieszane Imperium. Ale tym razem źródłem jego troski nie były sprawy państwowe, lecz osobiste. *Co się stało z moją bratanicą?*

Nie miał jeszcze okazji porozmawiać z powracającymi uczonymi. Jodry zagarnął ich wczoraj o zmierzchu, gdy pojawili się w mieście, Maker zaś został zmuszony do odegrania oficjalnej roli i przyjął na audiencji ambasadorów z Veku. To, czego się od nich dowiedział, potwierdzało jego

najgorsze obawy: Che nie wróciła wraz z nimi.

Drillen obiecał mu dzisiaj spotkanie z dwójką pozostałych uczonych i Stenwold myślał tylko o tym, chociaż został wpisany na listę mówców. Wszyscy byli zgodni, że Zgromadzenie nie działało już tak jak za życia Lineo Thadspara. Niemniej kiedy Kolegium było oblegane lub też negocjowało *Traktat Złoty*, nie miało to większego znaczenia. Jego członkowie starali się działać jednomyślnie.

Dopiero gdy wracał pokój, w obrady zaczynał wkradać się chaos. Bez przewodniczącego osoby zasiadające w tej sali skupiały się na obelgach, partykularnych interesach i waśniach.

A większość sporów dotyczyła osoby kandydata na przewodniczącego. Podział na stronnictwa, niepolegający wyłącznie na zajęciu określonego miejsca w ławach Zgromadzenia, wciąż był w toku, choć sam Stenwold dokonał

już wyboru. Swoje kandydatury na to stanowisko wysunęło dziewięciu mężczyzn, a Jodry Drillen należał do mających największe szanse. Według Makera miał on wiele wad – nie był godny zaufania ani przewidywalny czy uczciwy, a jego patriotyzm był równie elastyczny jak brzuch i uzależniony od miejsca w strukturach władzy – mimo to musiał przyznać, że stanowił on najlepszego kandydata w gronie tych wszystkich łajdaków. *Powinniśmy wybrać kogoś losowo spośród wszystkich mieszkańców Kolegium*, pomyślał nie po raz pierwszy.

W sytuacji braku przewodniczącego jego obowiązki zgodnie z tradycją pełnił dyrektor administracyjny uczelni. A to oznaczało, że teraz obejmował je mistrz Partreyn, mężczyzna w średnim wieku, którego główną ambicją było zapewnienie uczelni odpowiednich ilości inkaustu i papieru.

Przyzwyczajony do monotonnego życia popołudniami notorycznie miewał chrypkę, bo musiał wszystkich przekrzykiwać podczas obrad, a dzisiaj członkowie Zgromadzenia wyglądali na bardziej zajętych swoimi interesami niż zwykle. Nadchodził wieczór i wkrótce, wyczerpawszy swój limit wyrozumiałości dla wymogów demokracji, zaczął się wymykać z sali.

Partreyn spojrział na zwój, na którym – Stenwold wiedział o tym – znajdowały się zapisane schludnym pismem nazwiska tych, co chcieli zająć czas swoim kolegom. Dzisiaj pojawiło się między nimi nazwisko Makera. Miał przedstawić Zgromadzeniu obecne relacje z Vekiem. *Doniesienie o sukcesie, choćby częściowym, nie będzie przyjęte wiele lepiej niż wieści o porażce*. Nie tak dawno mrówkopodobni z Veku sprowadzili pod bramy Kolegium armię. Rany po tamtym oblężeniu były wciąż świeże: ludzie potracili bliskich, interesy, mienie, a w zamian otrzymali wyłącznie blizny.

Wiadomość o szansie na pokój z tym wojowniczym miastem nie wywoła dużej radości. Było to jednak niezwykle ważne ze względu na Imperium – Imperium Os, które nie próżnowało od czasu zawarcia mało zobowiązującego traktatu pokojowego. Agenci Stenwolda donosili, że wszyscy zbuntowani imperialni gubernatorzy zostali spacyfikowani i że z krain znajdujących się w rękach Imperium przed wojną jedynie Przymierze Trzech Miast i Pryncypaty Kresowe pozostały nietknięte. *A kiedy przyjdą po nas, nie możemy mieć wroga na zachód od naszych granic*.

– Zapraszam Stenwolda Makera – wykrztusił Partreyn, podnosząc głos wśród ogólnego harmidru.

Rozległo się kilka entuzjastycznych okrzyków i jakieś jęki, ponieważ Stenwold nie należał do osób nieśmiałych i nie wahał się zaznaczyć swojej obecności w tym gronie. Wstał, gotów zająć mównicę, ale ktoś zawołał:

– Nie! Nie! To jest nie do zniesienia!

Był to kościsty żukowiec, który wyglądał na nieco starszego od Makera i siedział blisko pierwszych rzędów Zgromadzenia. Kilkoro kobiet i mężczyzn wsparło go w sprzeciwie. Najwyraźniej był rzecznikiem jakiejś małej frakcji, ale Stenwold nie kojarzył go z nikim.

Odpowiedź Partreyna została całkowicie zagłuszona, lecz kościsty mężczyzna ją usłyszał.

– Trzy dni! – wykrzyknął. – Mijają już trzy dni i nikt nie chce mnie wysłuchać! Myślicie, że co?! Że mój interes sam będzie się kręcił?! Że mam tyle wolnego czasu na tę zabawę?!

Na młot i cęgi, teraz wysłuchacie mnie!

– Mistrzu Failwright! – chrapliwy głos Partreyna wzniósł się do pienia. – Nie mogę zagwarantować...

– A skąd się wzięło dzisiaj na liście nazwisko Makera, pytam się ja, co? – Doniosły głos Failwrighta, kimkolwiek on był, wydawał się odpowiedni do tego typu debaty. – Znikąd!

Moje tam jest, ale nie jego. Niech sobie zaczeka do jutra!

Pozwólcie mi mówić i skończmy z tym wszystkim! Czy dlatego, że ten człowiek zawsze pcha się w jakąś wojnę, przepchnie się i tutaj? Czy my zmieniliśmy się ostatnio w państwo mrówców? Mam sprawę, o której Zgromadzenie musi usłyszeć!

Partreyn wodził wzrokiem po liście, jakby był wróżem odczytującym omeny. Stenwold zerknął za siebie i zobaczył, że Drillen zachęca go energicznie, by zaczął swoją wypowiedź. I mógłby. Mógłby zacząć krzyczeć jak inni tutaj, aż ludzie zaczęliby słuchać. *Jeśli w ogóle było to możliwe*. I choć rywale jego oraz Jodry'ego nawoływali teraz, by oddać głos Failwrightowi, to większość, wśród której Stenwold dostrzegł przedstawicieli kupiectwa i wielmożów, domagała się, by dopuścić do mównicy właśnie jego. Kilku cwaniaków chciało wykorzystać okazję, domagając się czasu dla siebie.

Gdyby Zgromadzenie miało przewodniczącego, taka sytuacja nie mogłaby się zdarzyć. Partreyn natomiast nie miał ani odpowiednich prerogatyw, ani autorytetu koniecznego do ukrócenia tego typu zachowań. W końcu z desperacją zerknął

w stronę Stenwolda. Ten usiadł, nie chcąc strzępić języka na próżno.

Gdy Drillen posłał mu oskarżycielskie spojrzenie, wyjaśnił:

– To, co mam do powiedzenia, może zaczekać do jutra.

Wolałbym też, żeby w tym rozgardiaszu nie umknęło niczyjej uwagi.

Otrzymałszy niespodziewanie głos, Failwright wyglądał, jakby nie do końca wiedział, co ma z tym fantem zrobić. Szum na sali się nasilił.

– Kto to jest? – zapytał Maker.

– Pewnie z żeglugi handlowej – odparł Drillen. – Obok niego siedzą Ellan Broadrey i stary Moulter, a ci są kupcami portowymi.

Stenwold rozsiadł się wygodniej, szykując się na kupieckie marudzenie. Dyskusje o handlowej działalności wielmożów z Kolegium zawsze wywoływały w nim niesmak, ponieważ wielu z nich czerpało spore zyski z interesów prowadzonych niegdyś z Imperium.

Failwright spoglądał jednak na członków Zgromadzenia z taką wojowniczą miną, jakby spodziewał się, iż lada chwila zostanie stąd wyrzucony siłą. Stenwold nigdy wcześniej go tu nie widział i doszedł do wniosku, że musi należeć do tych przedstawicieli rady, którzy pojawiali się w Amphiphosie tylko wtedy, gdy ich własne interesy były zagrożone.

– Spójrzcie tylko na siebie! – zakrzyknął Failwright w stronę zgromadzonych. – Bawicie się w strategów i dyplomatów, jakby któregoś z was naprawdę obchodziło to, co Maker ma do powiedzenia na temat ohydnych mrówców.

Jego słowa wywołały gromkie śmiechy głównie po stronie oponentów Stenwolda. *Bo mam też oponentów*, przyznał Maker w myślach. Obecnie to Helmess Broiler wraz ze swoimi poplecznikami prowadził obławę na niego. Broiler od dawna należał do głównych przeciwników Drillena w wyścigu o fotel przewodniczącego, choć ostatnio seria debat i skandal związany z kartografią poważnie nadszarpnęły jego wizerunek.

– To miasto żyje z handlu! – ciągnął Failwright. – Nie jesteśmy mrówcami, żeby maszerować, ani pajakówcami, żeby knuć! Żyjemy z handlu, przekleństwo na wasze głowy! I musimy chronić nasze interesy. Czyżbyście byli ślepi na to, co się ostatnio wyrabia?

– A co się wyrabia? – syknął Stenwold do Drillena.

Grubas wzruszył ramionami.

– Nie mam pojęcia – odparł szczerze. –

Prawdopodobnie ktoś psuje facetowi monopol.

– Bogactwo Kolegium jest zagrożone! – oznajmił

Failwright dramatycznym głosem.

– Ja sobie radzę niezgorzej, dziękuję bardzo! – wypalił

ktoś nieopodal Helnessa Broilera ku ogólnemu rozbawieniu.

Failwright wyrzucił z siebie z wściekłością kilka urywanych słów, po czym odzyskał głos:

– O tak! – wykrztusił. – Z całą pewnością transport szynowy ma się dobrze. Podobnie jak powietrzny do Helleronu. A jakże, interes kwitnie. – Zaciskał i rozwierał

dłonie. – Ale nikt się nawet nie zapyta, jak wiedzie się nam w porcie!

– Morskie powietrze, jak widać, ci służy! – odezwał się kolejny anonimowy kpiarz.

Failwright zapłonął gniewem.

– Straciłem dwa statki! – wykrzyknął. – A w ostatnich trzech miesiącach jedenaście transportów z Kolegium zostało zaatakowanych i zniknęło! Skoro chcecie wojny, to co w takim razie z wojną, którą wydali nami piraci?

– Piraci czy zła aura?! – zawołał ktoś blisko Broilera.

Gdyby stary Thadspar wciąż był przewodniczącym, nikt by się na to nie ośmielił, ale brak silnej ręki stanowił

przyzwolenie na szyderstwa dla wszystkich.

– To jest atak wymierzony prosto w nasze serce! –

zaprotestował Failwright. – Mam papiery!

Udokumentowałem wszystko precyzyjnie. Obrabowane statki. Statki, które zostały spustoszone przez okręty pirackie.

Statki, które najzwyczajniej zniknęły i nikt nie wie, co się z nimi stało, bo nie przeżył ani jeden marynarz. – Przeszywał

wzrokiem zupełnie niezainteresowanych tym członków Zgromadzenia. – Po co wzywaliście mistrza Makera? Może tym razem dla odmiany pozwolilibyście mu się zająć naprawdę ważną sprawą?! – zaskrzeczał. – Wzywam mistrza Makera do odpowiedzi! Jego, który zazwyczaj umie niezwykle głośno opowiadać o swoich wyimaginowanych zagrożeniach! Co ma do powiedzenia na ten temat?!

Zgromadzenie dosłownie eksplodowało śmiechem.

Niektórzy wręcz zaczęli zganiać Failwrighta z mównicy, inni

– wzywać na nią Stenwolda. Najwyraźniej kłótnia między stronnictwami bardzo im odpowiadała.

Partreyn machał bezustannie ręką, ale hałas był tak duży, że odnosiło się wrażenie, iż z jego otwartych ust nie wydobywa się żaden głos. W końcu ryki ucichły i tylko zachrypiał żałośnie:

– Nie możecie domagać się odpowiedzi od pojedynczej osoby. Chyba że zgodzi się ona odpowiedzieć w imieniu całego Zgromadzenia... Czy nie tak? – Miał w dłoniach listę interpelacji. – Mistrzu Makerze?

Stenwold zlitował się nad nim i stanąwszy, oświadczył:

– Nie jestem ekspertem od transportu morskiego, może poza tym, że broniłem portu mistrza Failwrighta przed Vekkeńczykami i...

– ... i większa jego część się spaliła! – krzyknął

Failwright.

Stenwold uśmiechnął się wbrew temu, co sobie w tym momencie pomyślał.

– Łatwiej przychodzą mi odpowiedzi na pytania dotyczące Vekkeńczyków, czy to w czasie pokoju, czy wojny, ale skoro mistrz Failwright sobie życzy, to ustosunkuję się i do tej kwestii – stwierdził, a sala uspokoiła się na tyle, że można było usłyszeć jego słowa. – Jesteśmy, jak mistrz Failwright słusznie zauważył, ośrodkiem kupieckim.

Jesteśmy również ośrodkiem nauki. W rzeczywistości jedno uzupełnia drugie. W tej sali zasiadają reprezentanci i uczelni, i samego miasta. Zawsze tak było. Pracownicy Kolegium mają tu swoje miejsce dzięki tradycji, która mówi, że ludzie na tyle światli, by uczyć innych, są na tyle mądrzy, by również rządzić. Przedstawiciele miasta zaś wybierają sami obywatele i występują oni tutaj w imieniu tych mężczyzn i kobiet, których interesy na tyle dobrze prosperują, że mogą oni zebrać odpowiednią liczbę stronników, by bronili ich spraw tutaj. I, wierzcie mi, brzemień czasu nigdy nie było tak wielkie jak dzisiejszego popołudnia.

Pojawiły się spodziewane wybuchy śmiechu i Stenwold zamilkł na chwilę. *Zaczynam się robić w tym naprawdę dobry, pomyślał. Czy kiedykolwiek miałem ciągoty, by kokietować tłum?*

– Zgromadzenie jednak zawsze było potępiane przez kupców za wtrącanie się w ich sprawy – kontynuował. –

Niecałe siedem lat temu padł wniosek dotyczący warsztatów w Helleronie. Chodziło o to, czy uczciwy przedsiębiorca ma prawo współpracować z tymi instytucjami lub nawet mieć w nich udziały. Wtedy zostało jasno powiedziane: wyłącznie kupiec ma prawo decydować o tym, z kim będzie robił

interesy. Na rok przed wojną pojawił się wniosek, by zakazać kupowania udziałów w koncernach niewolniczych, gdyż potępiliśmy niewolnictwo w naszym mieście. Postawiono jednak pytanie, czy kupcy nie mogliby swobodnie inwestować w tę branżę poza naszym miastem. Ponownie zadekretowano, choć przy dużych protestach, że wyłącznie kupiec ma prawo decydować o tym, jakie będzie robił

interesy. Tym samym, odpowiadam panu, mistrzu Failwrightcie, kupiec jest panem swego losu. Zgromadzenie nie czerpie profitów z jego działalności i tym samym nie może odpowiadać za jego

straty.

Poplecznicy Drillena głośno wyrazili swoją aprobatę, ale dołączyli się do nich również przedstawiciele uczelni. Kiedy tylko Stenwold usiadł, po drugiej stronie sali wstał Helmess Broiler. Partreyn gestem oddał mu głos, a Jodry zamruczał:

– No to teraz się zacznij.

– Cóż, to historyczna chwila, moi przyjaciele –

rozpoczął swą przemowę Helmess Broiler, mężczyzna lubiący przepych, pulchny od dobrobytu, z od dawna rzednącymi włosami posmarowanymi obficie pomadą, jak zwykli czynić członkowie *aristos*.

Od pierwszego wystąpienia Stenwolda na forum Zgromadzenia był jego prawdziwym oponentem – oporny na zmiany, łasy na zysk i do upadłego broniący interesów hellerońskiego lobby. Stenwold podejrzewał go o jeszcze gorsze rzeczy – pozostawanie na garnuszku Imperium – ale poza jego postawą podczas wojny nie miał na to mocnych dowodów. Wolał wtedy skupić się raczej na działaniach Vekkeńczyków niż śledzeniu podejrzanych o zdradę.

Broiler uśmiechnął się z góry do Failwrighta.

– Historyczna dlatego, że oto mistrzowi Stenwoldowi –

albo też mnie – wrócił zdrowy rozsądek – oznajmił

uprzejmym tonem. – Muszę się z nim zgodzić. A to wydarzenie bez precedensu. Mistrz Partreynie, powinieneś zapisać to w swoich księgach.

Znów rozległ się śmiech i Maker nagle poczuł się współwinnym tej sytuacji. *A nie tak dawno to ja stałem tam, gdzie teraz stoi Failwright. To prawda, mówiłem wtedy o wolności miasta, a nie o zyskach z handlu morskiego, ale on też zasługuje na lepsze traktowanie.*

– Mistrz Failwrightcie, powiem tylko, że zainwestowałeś w drewnianą skorupkę tak podatną na wszelkie morskie pływy, wiatry i pirackie napaści – ciągnął

Helmess – że to wyłącznie twoja wina, jeśli nie przeznaczyłeś odpowiednich środków na jej eskortę. Dlatego właśnie ja kupuję towary z pajęczych krajów importowane za pośrednictwem kupców z Helleronu, Merro czy Tarku. Może i dłużej trwa, zanim wprowadzę swój towar na rynek, ale przynajmniej nie muszę się skarżyć na piratów, a wszyscy wiemy, że do tej pory jeszcze żaden pojazd szynowy nie zatonął bez wieści.

Większość obecnych zareagowała szczerym śmiechem i aprobatą, chociaż ludzie Drillena nie byli pewni, czy im również to wypada. Kiedy wściekły Failwright obrażony wyszedł z sali, Stenwold uznał: *Ja też byłem do tego zmuszony, choć myślę, że walczyłem w nieco lepszej sprawie.* Zaraz jednak morskie problemy kupców ustąpiły w jego głowie miejsca myśli o Khanaphes, bo Partreyn zapowiedział, że wszystkie inne wystąpienia muszą poczekać do jutra.

Jodry Drillen złapał go w drzwiach.

– Na słówko, stary druho – zamruczał.

– To nie jest najlepszy moment – ostrzegł go Stenwold.

– Sam wiesz...

– Chodzi ci o wyprawę do Khanaphes? Oczywiście, że wiem – potwierdził Drillen i rozłożył ręce w geście bezradności. – Skoro nie masz chwili, by wysłuchać mego ostrzeżenia, Stenwoldzie, no to proszę...

– Jodry...

– Pojawiła się pewna sprawa na horyzoncie i jest wielce prawdopodobne, że jej konsekwencje spadną na ciebie.

Stenwold spojrzał na niego obojętnie. W co tym razem Drillen chciał go wplątać?

– W takim razie streszczaj się.

– Przy skromnej wieczerzy. Chodź, znajdziemy jakieś miejsce.

Jodry nakazał obsłudze z Amphiofosu przynieść sobie wina i skręcił do niewielkiej czytelnicy, tuż obok sali obrad.

– Kiedy ty bawiłeś się w negocjacje z Vekkeńczykami, w naszym mieście pojawiła się groźba powstania dyktatury militarnej. Robiłem, co mogłem, żeby wszystko na razie tuszować, ale teraz twoje nazwisko pojawiło się w tym kontekście. Mówię o kompaniach kupców, Stenwoldzie.

– A co z nimi?

Kompanie były nieoficjalną nazwą różnych grup obywateli powołanych pod broń podczas ostatniej wojny z Imperium. Składały się z handlarzy, kupców oraz najemników, których łączyła profesja bądź miejsce zamieszkania, i stały się niemal regularną armią miasta. Pod koniec wojny większość z nich schowała pikę na strychu bądź

zawiesiła miecz nad kominkiem i spokojnie wróciła do dawnego życia.

– Zasadniczo nic. – Jodry zamilkł, by przyjąć wino od sługi, po czym napełnił nim dwie czarki. – Ale trzy kompanie do tej pory się nie rozwiązały i pojawiły się głosy, by formalnie zakazać im działalności.

– Do rzeczy, Jodry. Które to? – pospieszył go zniecierpliwiony Stenwold, gdyż jego myśli zaprzętała w tej chwili rozmowa z członkami wyprawy i wieści na temat Che.

– Po pierwsze Pika i Strzał Outwrighta – wyjął Jodry.

– Cóż, Janos Outwright zawsze lubił się popisywać. –

Maker lekceważąco machnął ręką.

– Po drugie, kompania Zimny Głaz – ciągnął cierpliwie Drillen.

Stenwold aż jęknął. Ulica Zimny Głaz stanowiła najdalsze miejsce, do którego podczas oblężenia dotarli Vekkeńczycy. Żyjący tam ludzie rozebrali połowę swoich domów, żeby pozyskać kamienie, którymi rzucali w najeźdźców, a następnie bili się zażarcie jak modliszowcy i równie nieustępliwie jak mrówcy. Kiedy padło wezwanie do walki z Imperium, kompania Zimny Głaz stawiała się w komplecie nie jako regularne wojsko, ale harcownicy zastawiający zasadzki. Ci prawdziwi desperaci zyskali miano najbardziej upartych i pozbawionych skrupułów obrońców Kolegium. Stenwold doszedł do wniosku, że nie powinien być zaskoczony.

– A ta trzecia? – chciał wiedzieć.

– No tak. – Jodry odkaszlnął już bez uśmiechu. –

Nazwali się Przynależni Makerowi.

Zapadła chwila ciszy.

– Naprawdę?

– Naprawdę. – Zażywny mężczyzna obrzucił rozmówcę taksującym spojrzeniem. – Może ich sobie przypominasz.

Wziąłeś ich z sobą, kiedy przekonałeś Drugą Armię, żeby się spakowała i wyruszyła do domu.

– A wiesz, co... – zaczął Stenwold, ale wtedy ponownie popatrzył na Drillena. – Chyba nie myślisz... Jodry, ja przecież nie zachęcałem ich do czegoś takiego. Nawet nie wiedziałem, że tak beztrząsco poczynają sobie z moim nazwiskiem.

– Wierzę ci – odparł tamten oschle. – Ale czy ktoś jeszcze ci uwierzy, to osobna kwestia. Nie dalej jak trzy dni temu był u mnie ich naczelny dowódca Padstock, która oznajmiła, że jeśli ich wezwiesz, stawią się. Czekają tylko na twój rozkaz, żeby wyruszyć... No, właściwie gdzie zechcesz.

Włącznie z Amphiphosem. Gdybyś kiedykolwiek zapragnął

zostać dyktatorem, to jest to twoja wielka szansa.

Maker popatrzył na swoje dłonie. *Tak wiele źle ulokowanej lojalności...*

– I teraz pojawiły się głosy, żeby ich wszystkich rozwiązać...

– Oczywiście. Wielu członków Zgromadzenia jest zaniepokojonych wizją wałęsających się po mieście bez najmniejszej kontroli band uzbrojonych osiłków z milicji.

Oczywiście nie przemyśleli tego dokładnie. W tej chwili kompanie te głoszą wierność idei spełniania obowiązku obywatelskiego. Ale gdy się je rozwiąże, momentalnie powstaną trzy prywatne armie z dużymi pretensjami wobec Zgromadzenia. Wtedy trzeba by przepchnąć jakąś ustawę zakazującą obywatelom posiadania broni lub coś w tym rodzaju, a stąd...

– ... już tylko krok do następnego ruchu Imperium –

zakończył za niego Stenwold. – Nie mówiąc o tym, że tylko cudzoziemcy, którzy przybyli tu niemal zewsząd, będą mieli prawo paradować z bronią przy pasie, co stworzy niezwykle trudną sytuację. – Zaczerpnął głęboko powietrza.

– Nie możemy jednak tolerować w naszym mieście prywatnych armii – rzekł Jodry. – Jeśli nie zostaną rozwiązane, wtedy każdy członek Zgromadzenia i każdy przedsiębiorca będzie chciał zorganizować własną bandę zbrojów. Czy wyobrażasz sobie, do czego byłby zdolny Helmess Broiler z setką brygantów pod swoją komendą?

– Jaki więc masz plan?

– Bardzo bym chciał mieć jakiś – wyznał Jodry. –

Spotkałem się z Outwrightem i pozostałymi dowódcami, ale stawiają żądania. Podobnie jak członkowie Zgromadzenia, z którymi też rozmawiałem, a którzy chcą rozwiązania oddziałów. Poza tym obie strony zaczęły powoływać się na ciebie.

– Cóż, teraz rozumiem, dlaczego ta kwestia jest moim problemem – przyznał Maker. – Ale nadal nie wiem, dlaczego ty się w to zaangażowałeś.

– Bo mam zamiar zostać przewodniczącym, a wtedy będę się musiał angażować we wszystkie problemy miasta.

Chcę, żebyś mnie wsparł, Stenwoldzie, bo jesteś bohaterem wojennym. Kompanie cię posłuchają.

Żukowiec przyglądał mu się przez dłuższą chwilę.

– Rozwiążesz je?

– Nie wiem – przyznał Drillen. – Dostałem się teraz między młot a kowadło i staram się jakoś z tego wywinąć.

– W takim razie jak znajdziesz na to sposób, skontaktuj się ze mną, a wtedy zdecyduję, czy cię poprę.

Przez chwilę Jodry patrzył na niego srogim wzrokiem, najwyraźniej szykując się do przygotowanej wcześniej sceny wybuchu rozzalenia i połajanek, ale w końcu skinął tylko głową.

– To uczciwe postawienie sprawy – przyznał – ale ty też powinieneś się nad tym zastanowić. W końcu przy całym twoim zainteresowaniu Imperium los miejskiej milicji nie powinien ci być obojętny. A teraz leć do domu. Słyszałem, że masz gości.

– A tak, goście. – I znów w głowie Stenwolda pojawiła się niecierpliwa myśl: *Khanaphes. Wieści od Che.*

Pospiesznie skłonił się Jodry'emu i wypadł z sali.

TRZY

Biurko Stenwolda przeprowadzało się z nim już dwukrotnie. Od dwunastu lat było częścią jego życia i właśnie przy nim zapadały najważniejsze decyzje w tym trudnym dla niego okresie wielkich zmagania, kiedy starał się otworzyć Zgromadzeniu oczy na zagrożenie ze strony Imperium czy przewidzieć zamiary Rekefu.

W końcu wrócił do swego zawodu – choć może należałoby powiedzieć, że nigdy z niego nie zrezygnował. Nie miał obsesji na tle Imperium ani Veku. Podobnie jak każdy goniący za zyskiem kupiec wykorzystywał swoje możliwości zawodowe do celów prywatnych. Nie pragnął jednak pieniędzy, lecz starał się odnaleźć swoją rodzinę. Ale świat był tak wielki, a ona w nim taka mała... Poza tym wiedział, że nie chce, by ją odnalazł.

Tynisa, jego wychowanka – dziecko Tisamona. Nie miał

na nią wpływu, nie miał do niej praw, ale i tak starał się ją odnaleźć. Im dłużej nie było o niej wieści, tym bardziej obawiał się, iż poszła za głosem swej krwi, że podążała śladami ojca aż do chlubnego, lecz krwawego kresu drogi, jaki był udziałem modliszkowatych mistrzów broni.

Rano nadeszły listy, dwa, ale żaden nie dawał większej nadziei. Pierwszy był krótki, zapisany kanciastymi literami przez mrówca, który rzadko przelewał myśli na papier.

Mistrzu Makerze

Dostałem wiadomość. Będę szukał. Nie ma tu za wielu, więc jej twarzy nie da się przeoczyć. Poza tym wszyscy tu jak w rodzinie – dobra wola i radość, wiadomo. Przyjedzie tu, znajdziemy. Może Pan też powinien przyjechać. Dobrze to robi. Spodoba się Panu, co tu jest teraz.

Znów jestem dowódcą. Mówią, że bohaterem wojennym. Bzdury, ale da się znieść. Teraz ona zrobiła mnie dowódcą murów, które wybudują.

Sperra śle pozdrowienia.

Balkus

Komendant Pryncypatu Salmae

Stenwold kolejny raz przebrnął przez tekst. *Jeszcze jedne oczy wypatrują.* Miał nadzieję, że może Tynisa wyruszy do nowego miasta, choćby ze względu na pamięć Salmy. Lubiła go przecież, przypominał sobie, przed wojną, ale wazec ulokował swoje uczucia gdzie indziej i musieli się rozstać. Przypominał sobie ich ostatnie spotkanie w obozie Salmy. Pospieszne, niezręczne. Wydawało się, że Tynisa po raz pierwszy nie wiedziała, co ma powiedzieć ani jak się zachować.

Jeśli los zawiedzie ją do Pryncypatu, Balkus ją znajdzie. I być może Stenwold rzeczywiście powinien pojechać tam również. Życie miasta wznoszonego na zachód od Sarnu miało być oparte na zasadach bliskich zarówno Kolegium, jak i jemu. Powinien sprawdzić, czy jego twórcy są wierni

pierwotnym założeniom, czy też już w ich szeregi wkradła się gangrena.

Ogarniały go same ponure myśli, lecz nie było to wielkim zaskoczeniem, skoro siedział przy biurku, przeglądając notatki z nieudanych poszukiwań, i oczekiwał

kolejnych złych wieści.

Drugi list wyszedł spod ręki wprawnej w pisaniu i był

może nawet nieco zbyt dekoracyjny, co wskazywało na to, iż jego autorem był wykształcony żukowiec, usilnie naśladowujący ozdobną kaligrafię pająkowców.

Mój Dobry Stary Przyjacielu,

wziąłem sobie do serca wiadomość od Ciebie. Wojna rozrzuciła wiele ziaren, które teraz wszyscy pracownicy zbieramy. Oczywiście nie mogę dać Ci gwarancji, bo to miejsce nie skurczyło się od Twego ostatniego pobytu. I nie ma innego takiego miasta na ziemi, w którym człowiek mógłby ukryć się tak skutecznie i rozpuścić w tłumie. Wiesz o tym równie dobrze jak ja, wybac mi więc te szczere słowa.

Mimo to: pajęczycza z broszką modliszowców i mieczem? Niewiele takich się tu widuje. Jeśli pójdzie w ślady swego ojca, zostawi za sobą całkiem wyraźny trop.

Wysłałem ludzi do posiadłości lennej, o której wspomniałeś, do Haljiuay House. Podczas okupacji tamtejsza populacja mocno się przeredziła, ale poinformowano mnie, że zachowała dowódcę sprzed wojny, możemy więc liczyć na ich pomoc. Jeśli zaczniesz walczyć tu, w Helleronie, czy to na ulicach, czy na arenie, wtedy mamy szansę na wytropienie jej.

A tak poza tym, owszem, arena pozostała, choć jej budowniczowie odlecieli. Walki, jakie na niej się odbywają, nie kończą się już śmiercią, choć było kilka wypadków.

Obawiam się, że po osowcach mojemu miastu został w ustach posmak krwi.

Wracając do naszych spraw: jeśli tylko przejdzie przez Helleron, kierując się na wschód, to obawiam się, że nie będę mógł Ci pomóc. Jest jednak cień nadziei – Imperium pozostaje bogatym konsumentem wszelkich dóbr i zatrudnia wykwalifikowaną siłę roboczą. Rozmawiałem z ludźmi z Sonnu i Capitas i poprosiłem, by mieli oczy i uszy otwarte. Niemniej dowiedziałem się z wiarygodnego źródła, że bez względu na to, jak niewinne zadaje się pytania, Imperium to się nie podoba. Jest to miejsce tak nieprzyjazne i niegościnnie, że jedynie dla ich złota warto tam czasowo zamieszkać. Może i imperator nie żyje, ale jego tradycja jest wieczna.

Mam nadzieję, że ją znajdziesz, Sten.

GA

Ostatnia linijka, osobista uwaga ukryta pod oficjalnym stylem, zatargała Makerem. List napisał Greenwise Arctor, członek rady przewodniej Helleronu, bogaty przedsiębiorca i niespodziewany

sojusznik. Nikt oprócz Stenwolda nie wiedział, co zrobił, skryty za fasadą życia publicznego, żeby wspomóc Niziny w walce z Imperium, nawet z serca okupowanego miasta. Wszystkie dane zebrane przez niego, a dotyczące wielkości i ruchów imperialnych wojsk, docierały jakimś cudem do Stenwolda i Salmy, którego zadaniem było spowolnienie marszu osowców, żeby armia Samu zyskała czas na przygotowanie się do kontrofensywy. Było to nie lada osiągnięcie, ale Greenwise wolał zachować je w tajemnicy.

Żukowiec zaś wiedział dlaczego: Imperium wciąż miało swoich ludzi w Helleronie oraz plany dotyczące przyszłości tego miasta. Nadejdzie zapewne w końcu taki dzień, w którym jego sztandary znów załopocą nad tamtejszymi dachami, a wtedy konkurenci Greenwise'a bez skrupułów wydadzą go siłom okupacyjnym.

Rozległo się delikatne pukanie do drzwi i Stenwold schował oba listy. Było to stare przyzwyczajenie, które teraz wydawało się przesadnym środkiem ostrożności, lecz Maker był przekonany, że kiedyś znowu okaże się przydatne –

podobnie jak miecz wiszący na drzwiach.

– Proszę – powiedział.

– Znow zamknąłeś drzwi na zasuwkę – dobiegł go rozbawiony głos Arianny.

Był to kolejny nawyk agenta, który bardzo cenił

prywatność. Wstał i otworzył drzwi.

Jej widok zawsze poprawiał mu nastrój, bez względu na wszystko. Podtrzymywała go podczas vekkeńskiego oblężenia i powszechnie sądzono, że razem skłonili Drugą Armię do wymarszu. Była to oczywista bzdura, ale Stenwold wbrew swej woli stał się bohaterem opowieści przypominających dzieje czarnoksiężnika – historii ze starych złych czasów. A obecność pięknej młodej pajęczycy u jego boku wywoływała jedynie raczej zawiść i podziw, niż stanowiła przyczynę skandali.

– Już przyszli – oznajmiła Arianna, kładąc mu dłoń na ramieniu. – Cardless zajął się nimi.

Cardless był trzecim służącym Stenwolda od czasu wojny i nie przejmował się plotkami, iż to on osobiście doprowadził do tego, że Maker zwolnił poprzednich ze służby. To Arianna go wybrała, bo Stenwold przywykł do werbowania szpiegów i agentów, co oznaczało, że szukał u pracowników zgoła mało przydatnych cech w zarządzaniu domem.

Zaczerpnął głęboko powietrza, ponownie spoglądając na swoje dłonie. Nadszedł czas, by położyć kres wszelkim plotkom.

Cardless zmienił zwykły stół kuchenny Stenwolda w coś, czego nie powstydziliby się ważny członek Zgromadzenia przyjmujący delegację uczonych z Kolegium. Ustawił świece w ozdobnych pajęczych świecznikach, a serwowane przez niego wino pochodziło z dobrego rocznika winnicy Merro. Z

trójki gości, którzy już trzymali w dłoniach czarki, dwójkę Maker znał doskonale – byli to

członkowie ekspedycji przygotowanej pod jego auspicjami. Pochylony starszy mężczyzna, Berjek Gripshod, był historykiem, a młoda kobieta, wysoka i wyprostowana Praeda Rakespear –

nauczycielką rzemiosła. Na ich twarzach dostrzegł

zmarszczki, których nie widział w dniu wyjazdu. Chociaż obydwójce mieli na sobie świeżutkie białe szaty przynależne ich statusowi, szmat drogi, jaki przebyli, odcisnął na nich takie piętno, że Stenwold niemal poczuł smak piasku i słońca.

Trzeci gość, który wypełnił sobą całe pomieszczenie i chylił się pod sufitem z miniaturową czarką w olbrzymiej dłoni, nie był mu znany. Musiał być żukowcem, choć Maker nigdy nie widział tak dużego przedstawiciela swojej rasy.

Nosił tunikę o cudzoziemskim kroju ze złotymi ornamentami na szyi i rękawach, a jego nagie muskularne ramiona poznaczone były obficie szramami. Stał obok Praedy, otaczając ją swą aurą, co mogło świadczyć, że albo jest jej ochroniarzem, albo kochankiem. Arianna jak idealna gospodyni z Kolegium powitała ich w drzwiach i zaprowadziła na spotkanie ze Stenwoldem.

– Mistrzu Makerze – odezwał się na powitanie stary Gripshod.

– Mistrzu Gripshodzie, mistrzyni Rakespear i... –

Stenwold pytająco spojrzął na giganta. Przyszło mu do głowy, że gdyby mężczyzna wyprostował się teraz i rozciągnął

ramiona, ściany jego domku wypadłyby na ulicę.

– Mistrzu Makerze – przemówiła Praeda. – Proszę pozwolić przedstawić sobie Amnona, byłego pierwszego żołnierza Khanaphes.

Stenwold aż zamrugał na te słowa i doszedł do wniosku, że być może Praeda wykazała się nieco zbyt dużą gorliwością w zbieraniu materiału badawczego.

– Ee, jestem zaszczycony – wystękał.

Wielkolud spojrzął na niego z uprzejmym uśmiechem, który doskonale skrywał jego myśli.

– Siadajcie, proszę. – Stenwold wskazał na stół.

Oczywiście stały przy nim tylko cztery krzesła, ale kiedy tylko niezawodny Cardless to zauważył, dostawił piętę, po czym pojawił się ponownie z tacą ciasta owocowego.

Rozsiedli się spokojnie, choć dla wszystkich było oczywiste, że nie jest to zwykła wizyta delegacji powracającej z misji u przedstawiciela miasta. Spoglądali po sobie jak prawdziwi weterani, którzy mogli brać udział w tych samych bitwach, co więcej, walcząc po tej samej stronie.

– Co konkretnie pan wiedział, wysyłając nas do tego miasta, mistrzu Makerze? – zapytała najpierw

Praeda. –

Albo co wiedział Jodry Drillen?

– Wiedziałem tyle, ile wy – odparł Stenwold. – A co do Jodry’ego, nie mam pojęcia. Nie wierzę jednak, iż chciałby wywołać jakieś zamieszanie gdziekolwiek poza naszym miastem, ale też nie potrafię czytać mu w myślach.

– Mówią, że zostanie przewodniczącym – mruknął

Berjek. – Czy myśmy to spowodowali?

– Tak, to prawda. I na drugie pytanie odpowiedź

również brzmi: „tak” – potwierdził Maker. – Wszelako było kilku znacznie gorszych kandydatów. – Czyżby nagle stał się apologetą Drillena? – Gdybym wiedział, że posyła was w niebezpieczny rejon, albo podejrzewał, że jest człowiekiem zdolnym do tego, nie zgodziłbym się na to.

– Wierzę panu – oświadczył Berjek, choć Praeda nie wyglądała na przekonaną. – A wie pan, że kiedyś nie wierzyłem w pańskie gorączkowe ostrzeżenia odnośnie do Imperium? Miał pan jednak rację. Zatem ufam panu i teraz.

– Manny nie żyje – powiedziała Praeda. – Osowcy go zabili.

– Bardzo mi przykro.

Zerknęła na Amnona i Stenwold od razu zrozumiał, że nie był to jej zwykły opiekun, ale ukochany.

– Gdyby nie... – zaczęła.

Berjek pokiwał głową.

– No i gdyby nie ten Vekkeńczyk. To był pański pomysł, żeby dołączyli do nas, i powiem tylko, że jesteśmy panu za to do zgornie wdzięczni. Rozmawiał pan z nimi?

– Jak tylko przyjechali. Zostawiłem im trochę czasu, by spotkali się najpierw ze swoimi, choć naturalnie przebywający tu mrówcy wiedzieli o wszystkim, zanim wasz statek przycumował do brzegu. Nie powiedzieli mi jednak dużo więcej, tylko że Imperium tam było i maczało palce w napaści na miasto, no i na was w szczególności.

Rozmowa z mrówczymi ambasadorami była dziwna nawet jak na Vekkeńczyków. Bardzo wiele pominęli, ale wyłącznie z powodu braku słów, które nadawałyby się do opisu tamtych zdarzeń. Nie wiedział więc, co skłoniło ich do potwierdzenia rozejmu z Kolegium.

– Mistrzu Makerze – powiedział Gripshod. – Wiemy, po co nas pan tutaj zaprosił. Nie chodziło jedynie o powitanie nas ani o sprawy polityczne. – Z poły swojej szaty wyjął

zapięczętowany papier i Stenwold dostrzegł własne imię umieszczone na nim doskonale znanym mu charakterem pisma przez rękę, która za wszelką cenę starała się, by stawiane przez nią znaki były równe i schludne.

Odruchowo sięgnął po list, ale Berjek cofnął dłoń.

– Najpierw musimy coś wyjaśnić – zaczęła Praeda.

Stenwold wodził po nich wzrokiem, omijając szeroką pierś olbrzymiego khanaphejskiego wojaka.

– To, co tu napisała, zawiera jej własne spostrzeżenia i...

może brzmieć mało wiarygodnie, do czego nie był pan przyzwyczajony.

– Co chcecie przez to powiedzieć? – Maker gotów był

bronić nieobecnej Che wbrew wszystkiemu.

Dwójka uczonych spojrzała po sobie znacząco.

– Tylko to, że po przybyciu do Khanaphes pańska bratanica zachowywała się chwilami... nieobliczalnie –

oznajmił Berjek tonem człowieka, który ma przed sobą niewdzięczne zadanie. – Znikła na jakiś czas, nie wypełniała dyplomatycznych obowiązków. Dwa czy trzy razy przepadła bez śladu, ostrzeżenia czy słowa wyjaśnienia. Obracała się w dziwnym towarzystwie – cudzoziemskich kupców lub ambasadora Imperium... – Reakcja Stenwolda na ostatnią rewelację sprawiła, że posepnie pokiwał głową. – Cokolwiek ją zajmowało, na pewno nie miało zbyt dużego związku z dyplomacją, mistrzu Makerze.

– Prowadziła własną ekspedycję – potwierdziła Praeda.

– Wszyscy byliśmy tego świadkami. Kiedy rozpoczął się atak na miasto, znikła bez śladu i wszyscy myśleli, że to osowcy kazali ją zabić... Bo wie pan już o zaangażowaniu w konflikt Imperium?

Stenwold pokiwał głową.

– Dotarły do mnie słuchy, że inspirowali całe oblężenie i dolewali oliwy do ognia. Mam złożyć w związku z tym ostrą notę dyplomatyczną u imperialnego ambasadora, ale z całą pewnością usłyszę, że to sprawka odszczepieńczych elementów i samo Imperium nie ma z tym nic wspólnego.

– A któż to może wiedzieć... – stwierdził filozoficznie Berjek. – Mówiąc szczerze, nie widzę korzyści, jakie mogłoby tu zyskać Imperium, nawet gdyby zrównało Khanaphes z ziemią. Zrzucanie winy na odszczepieńcze elementy jest tak samo dobrym wytłumaczeniem jak każde inne. – Osuszył

czarkę i Cardless błyskawicznie znalazł się przy nim, by ją napełnić. – Cóż, uprzedziliśmy cię, mistrzu Makerze. Niech pan czyta. – Przesunął list po blacie stołu.

Stenwold zaczerpnął głęboko tchu i złamał pieczęć.

Ujrzał to samo pismo, które zawsze było przedmiotem frasunku nauczycieli. Przypomniawszy sobie, jak Che, ćwicząc jego charakter, pilnie przepisywała swoje listy raz po raz.

Dwanaście lat minęło w jednej chwili, a on zamknął na chwilę oczy.

– Powinniśmy sobie pójść – rozległ się głęboki głos Amnona.

Stenwold podniósł wzrok i napotkał spojrzenie mężczyzny zamkniętego w sobie, który w odróżnieniu od większości mieszkańców Kolegium, pasjonujących się wręcz życiem innych, rozumiał potrzebę prywatności. Pokręcił

głową, nie chcąc być złym gospodarzem.

– Nie, proszę, nie idźcie, częstujcie się. To potrwa tylko chwilę.

Wiedział, że powinien zostawić lekturę listu od Che na potem, gdy sobie pójda, ale nie miał na to siły.

Najdroższy Stryjku Stenie,

Mam nadzieję, że list dojdzie do Ciebie szybko.

Obawiam się, że nie będziesz ze mnie zbyt zadowolony, ale niewiele mogę na to poradzić. Nie wracam od razu do Kolegium.

Nie jestem Ci w stanie wyjaśnić, co się ze mną stało, ale ma to związek z ranami, jakie odniosłam podczas wojny

– stratą, jakiej doświadczyłam. Niektóre z nich w końcu się zabiły.

Achaeos nie żyje.

Teraz mogę to napisać. Teraz jest to dla mnie rzeczywiste, choć wciąż się z tym do końca nie pogodziłam.

Nie żyje, ale zostawił mi swój dar – dar jego ludu i dni wiedzy. Czasami mówimy o nich „stare złe czasy”, ale nie jestem pewna, czy to dobre określenie. Były to po prostu czasy inne, w których rządzili niepojętni. Teraz to wiem.

Muszę Cię prosić o odrobinę zaufania, choć zapewne będzie Ci ciężko. Zawsze trzeba mnie było pilnować, bo często się potykałam i popełniałam błędy. Zawsze też opierałam się na Tobie i ufałam Ci, a Ty zawsze wybawiałeś mnie z opresji. Teraz zaś Ty musisz mi zaufać.

Jadę, by odnaleźć Tynisę. Wiem, dokąd się udała, i wiem, że znajduje się w wielkim niebezpieczeństwie. Tym razem to ja muszę zorganizować ekspedycję ratunkową.

Nie podróżuję samotnie i jest to kolejna kwestia, w której Twoje zaufanie będzie niezbędne. Bez wątplenia osoby, które dostarczyły Ci ten list, powiedziały Ci, z kim wyruszyłam w tę podróż, i bez wątplenia już postawiłeś całą armię w stan gotowości oraz rozkazałeś, by ortoptery wzbiły się w niebo.

Zaufaj mi. Nie proszę „zaufaj jemu”, bo o to Cię prosić nie mogę, ale po prostu zaufaj mnie w tej kwestii.

Przyjadę do domu i, jeśli to możliwe, wrócę z Tynisą.

Twoja nieposłuszna bratanica

Cheerwell

Podniósł wzrok znad listu i w jego spojrzeniu dostrzegli grom, którego zobaczyć się nie spodziewali. Dwójka naukowców aż drgnęła, a Amnon wyprostował ramiona, jakby spodziewając się wybuchu.

– Kto? – zapytał tylko.

– Mistrzu Makerze? – Praeda zmarszczyła brwi.

– Kto z nią podróżuje? Píše tutaj: „Bez wątplenia osoby, które dostarczyły Ci ten list, powiedziały Ci, z kim wyruszyłam w tę podróż”. Powiedzcie mi więc, szanowni mistrzowie, kto wyjechał z moją bratanicą?

– Nie sądziłem, że... – zaczął Berjek, ale Praeda zrobiła wielkie oczy i przerwała mu:

– Z pewnością miała na myśli ambasadora Imperium.

Stenwold zmienił się w bryłę lodu, mnąc lekko list w dłoniach.

– Do Imperium? Czy ta głupia gaska pojechała do Imperium?

– Bardzo wątpię – odparła Praeda. – Czy w liście nie pisze, dokąd się wybiera? Nam tego nie powiedziała. – Ale spojrzenie Stenwolda sprawiło, że dodała: – Imperium chciało ją zabić. Nie wyobrażam sobie, żeby tak po prostu sama weszła im w łapy.

– W takim razie, dlaczego jest z... ?

– On sam wypowiedział im posłuszeństwo – wyjaśnił

Berjek pospiesznie. – Pańska bratanica mówiła, że jego państwo pragnie jego śmierci. A to byłoby kolejnym dowodem na to, iż Imperium nie stanowi celu jej podróży.

My...

Stenwold podniósł dłoń.

– Mistrzu Makerze?

– Wypowiedzcie w końcu to imię.

Przeświadczenie graniczące z pewnością tego, co zaraz usłyszy, sprawiło, że poczuł się źle i Praeda wcale nie musiała wymawiać tego imienia na głos. On już wiedział. Wiedział.

Jego odpowiednik w Imperium. Jego nemezis. Jego przekleństwo. Thalryk.

– Powinienem był go zabić, kiedy mi się poddał –

stwierdził Stenwold i zobaczył przerażone spojrzenia swoich gości. – Powinienem pozwolić Felise wypatroszyć go jak rybę. Powinienem własnoręcznie poderżnąć mu to załgane gardło.

Przez chwilę Stenwold zmienił się w arcyszpiega, którego pamięć i sposób zachowania w niczym nie przypominały postępowania uczonego, członka Zgromadzenia. W tej samej chwili ktoś zaczął dobijać się do drzwi wejściowych i wykrzykiwać jego imię. Już sięgnął po miecz, którego na co dzień przecież nie nosił, kiedy Arianna poszła je otworzyć.

Ktoś głośno domagał się widzenia z mistrzem wojny.

Nie jestem w nastroju. Dzisiaj już wystarczająco długo słuchał tego głosu. Arianna próbowała pozbyć się owego człowieka, ale jej czar zawiódł i intruz wpadł do pomieszczenia, zanim mogła go powstrzymać. Był to mistrz Failwright, przedsiębiorca spedycyjny, który przyciskał do piersi sakwę wypełnioną jakimiś papierami.

– Maker! – wykrztusił, ale nagle dostrzegł obcych i na chwilę się zmięgował: – Co tu się wyrabia?! – rzucił po sekundzie, jakby właśnie odkrył spisek wymierzony w transport morski.

Arianna ze skruszoną miną stanęła w drzwiach za jego plecami, ale Stenwold dał jej znać skinieniem głowy, że sam się tym zajmie.

– Rones Failwright, czy tak? – zapytał Berjek Gripshod głosem, w którym próżno byłoby szukać cienia sympatii.

– Muszę z tobą pomówić, Maker – odezwał się Failwright, jakby Berjek i pozostali właśnie wychodzili, a Stenwold znajdował się w Amphiphosie, a nie własnym domu. – Zobaczysz. Zobaczysz, kiedy ja...

– Nic nie zobaczę – odparł indagowany grobowym głosem.

Mężczyzna gapił się na niego zdziwiony.

– Wszyscy mówią, że Maker jest człowiekiem honoru.

– I?

– Wszyscy wychwalają cię pod niebiosa na ulicach w całym tym cholernym mieście. Musisz mi pomóc. Nazywają cię mistrzem wojny, czy nie tak? No to właśnie mamy wojnę!

Nie z twoim ulubionym Imperium, ale to prawdziwa wojna.

Nasze statki są narażone na ciągłe ataki. Coraz częściej padają ofiarą rabusiów, są palone i zatapiane albo znikają bez śladu nawet tam, gdzie nie było sztormu.

Walnął pękata sakwą o zastawiony stół. Na jego końcu podskoczyła czarka z winem, ale Amnon pochwycił ją, niemal na nią nie patrząc. Stenwold zrozumiał, że tylko czeka, aby na jego prośbę wyprowadzić stąd Failwrighta siłą.

– Wszystko jest tutaj! – Intruz kartkował rozwinięte zwoje. – To nie jest piractwo, ale jawna wojna! Próbowałem uświadomić to partii Broilera, ale oni handlują z Helleronem.

Jeśli my padniemy, tylko się wzbogacą. Wszyscy wiedzą, że Broiler cię nienawidzi, więc jesteś jedyną osobą, do której mogę się zwrócić.

– Nie – odparł Stenwold i to jedno ciężkie słowo niemal powstrzymało rozgorączkowanego Failwrighta.

– Ale wszyscy...

– Nie dbam o to, co ludzie o mnie mówią. Nigdy nie byłem ulubieńcem żadnego z kupców. Wszystko, czego dokonałem, robiłem dla mojego miasta i dla Nizin. Nigdy nie zabiegałem o tytuł mistrza wojny, a gdyby nawet tak było –

jak prawdziwego wielkiego wojownika miałyby choć trochę interesować wasze spory?

– Nie, nie, posłuchaj... – Failwright wyjął z torby jakiś zwój, pozornie przypadkowy. – Posegregowałem wszystkie statki według ładunku, armatorów i tego, co się z nimi stało!

– Wynoś się z mojego domu – oznajmił Maker spokojnie, choć tym razem w jego głosie pobrzmiwała jawna pogróżka.

– Maker, masz obowiązek... !

– Tak, mam obowiązek! – Coś w nim pękło, jakaś bariera oddzielająca wojownika od spraw czasu pokoju, i Stenwold pożałował, że nie posiada umiejętności Tisamona –

niezwykłej szybkości pozwalającej w ułamku sekundy wysunąć ostrze z dłoni. Zaraz jednak uzmysłowił sobie, że ją ma i że może powstrzymać Failwrighta. Oczywiście nie mieczem, ale siłą swojego spojrzenia. – Mam obowiązek wobec rodziny, mam obowiązki wobec Kolegium, ale nie mam obowiązku aportowania, kiedy ktoś tylko zagwizdże.

Nie można mnie kupić, wynająć ani wypożyczyć i nie będę też nosił twojego brudnego proporczyka z powodu zamiłowania do spraw społecznych. Moja bratanica i wychowanka zniknęły, moi przyjaciele

zginęli na wojnie, mam też na głowie Zgromadzenie, którego członkom wydaje się, że wojna się skończyła, choć w rzeczywistości została odroczone. Tak, mam swoje powinności, ale w tej chwili właśnie ty stoisz między nimi i mną. – Wypychał Failwrighta z pokoju, nawet go nie dotykając, a ledwo powstrzymywana furia gotowała się w nim jak sagan ołowiu. – I jeśli nie zejdziesz mi z oczu, klnę się na wszystko, że przestanę odpowiadać za swoje czyny.

Failwright, bełkocąc, starał się wcisnąć mu w dłonie jakiś zwój, ale zaczął się wycofywać, gdy Stenwold uniósł

rękę. Więcej opanowania wymagało nieuderzenie go niż powstrzymanie się od zabicia Thalryka podczas wojny.

Arianna ponownie otworzyła drzwi, a potem zatrzasnęła je za Failwrightem i dom pogrążył się w błogosławionej ciszy.

Maker odwrócił się do swoich gości.

– Ja... – zaczął niepewnie, ciągle wściekły, gdyż złość nie znalazła ujścia.

– Myślę, że powinniśmy się zbierać – postanowiła Praeda. – Mistrzu Makerze, proszę zawiadomić nas, gdyby chciał się pan jeszcze czegoś dowiedzieć, ale najwyraźniej pańska bratanica niewiele nam powiedziała.

Powinienem poprosić ich, by zostali. Kiepski ze mnie gospodarz. Ale mieli rację. Wieści od Che zepsuły mu cały wieczór i nie dało się już tego naprawić.

– Wybaczcie – wyszeptał. – Nie wyszło to tak, jak chciałem. – Ale zaraz pomyślał: *Czyżby? Czy nie spodziewałem się tego, skoro Che nie wróciła?*

– Rozumiemy – zapewnił go Berjek i pożegnawszy się, pospiesznie ruszył w stronę drzwi.

Amnon wychodził ostatni. Dokładnie przyjrzał się Stenwoldowi Makerowi i żukowiec mu się spodobał. A ponieważ Stenwold wiedział, że Khanaphes miało niewiele wspólnego z Kolegium, żołnierz musiał szybko się uczyć.

Arianna podeszła do Stenwolda i objęła go smukłymi ramionami.

– Zostaw to wszystko do rana – poprosiła. – Dość już się nimi nazajmowałeś – nimi wszystkimi. Odłóż swoje powinności do jutra, wojowniku, i chodź do łóżka.

Przypomniało mu to o prawdziwej wojnie, kiedy obowiązki nie mogły czekać, a on pracował dzień i noc nad ocaleniem miasta. *I czy udało mi się? Druga Armia Imperialna odstąpiła od nas, gdyż Tisamon wykorzystał*

swój dar do dokonania królobójstwa. Jaką ja odegrałem w tym rolę? Teraz jednak obowiązki mogły poczekać.

Idąc po schodach na górę, zobaczył, że Failwright mimo wszystko zostawił jeden ze swoich zwojów. Leżał na podłodze, częściowo przysłonięty przez drzwi. Ze wszystkich konkurujących o jego uwagę spraw ta z pewnością należała do najmniej istotnych.

CZTERY

Kiedy przyszedł, nie miał na sobie ani liberii, ani peleryny z kapturem jak konspirator – włożył zwykły strój rzemieślnika, który od czasu do czasu musi się wybrudzić.

Ot, dobrze sytuowany, korpulentny żukowiec w średnim wieku, w skórzanym czepcu, jaki noszą rycerze pod hełmem lub rzemieślnicy, żeby iskrami nie przypalić sobie włosów.

Jego ochroniarz, o wyglądzie renegata do wynajęcia, był

osopodobnym, lecz nie nosił uniformu. U każdego z nich motyw czerni i żółci zaakcentowany był śladowo.

Jednakowoż drzwi, przed którymi stanęła ta dwójka, nie należały do kamienicy Helmessa Broilera w centrum miasta, lecz jednego z jego domów na obrzeżach. Tym samym trasa, jaką należało pokonać, była na tyle długa, że zdążył się spocić. *Niech szlag trafi tego faceta.*

Helmess Broiler wciąż jeszcze był wielką figurą w Zgromadzeniu, chociaż Jodry Drillen mozolnie wysuwał się na pozycję lidera. Popularność przypominała nabieranie wody garścią – zawsze przeciekała przez palce. *To się zmienia.*

Ale na razie sam Helmess musiał przyznać, że został

wyprowadzony w pole. To nie był dobry moment na takie spotkanie, ale żaden moment nie będzie idealny, zwłaszcza po wojnie.

Sługa, który otworzył drzwi, pracował dla rodziny Broilerów od dwóch pokoleń. Dysponował zarówno bystrym spojrzeniem, jak i umiejętnością trzymania gęby na kłódkę.

W środku czekał na niego skromnie zastawiony stół. Gdyby ktoś pytał, równie dobrze mogłoby tu się odbywać niewinne spotkanie dwóch żukowców w interesach.

– Mistrzu Broilerze – zaczął gość, ściągając czepiec z łysiejącej głowy i uśmiechając się nieco zbyt kordialnie.

I do tego dobrze się bawi, pomyślał Broiler z goryczą.

Skoro po wojnie obaj zanotowaliśmy straty, to dlaczego on się uśmiecha, a ja nie?

– Mistrzu Bellowernie – przywitał się usłużnie.

Goryl stanął w odpowiedniej odległości. Nie było po nim tak bardzo widać, że jest żołnierzem, czego Broiler się obawiał, ale teraz dopadły go jeszcze gorsze obawy. Paranoja w pełni dała o sobie znać, ukazując mu się pod postacią ostrza osowców – Rekefu. Czy był agentem Rekefu? Czy sam Honoriusz Bellowern nim nie był? *Ze wszystkich mieszkańców Kolegium tylko ja i Stenwold Maker wiemy, dlaczego należy się obawiać Rekefu,* pomyślał posępnie.

Choć Maker pewnie nie doceniłby ironii tej sytuacji. I zaraz za tą pojawiła się następna myśl: Maker, który zmusił mnie do wzięcia w tym udziału, bo jak zwykle miał rację.

Honoriusz Bellowern był mieszkańcem Kolegium już od kilku lat. Wprowadził się tu tuż przed wojną. Był idealnym żukopodobnym – geniuszem o nienagannych manierach, wysublimowanym guście i sakwach pełnych pieniędzy. Łatwo było zapomnieć, że w rzeczywistości nie pochodził z Kolegium, lecz pozostawał na usługach Imperium. Nie był

jego ambasadorem, bo rola ta po wojnie przypadła osowcowi o imieniu Aagen, który podczas przerw w swoich dyplomatycznych obowiązkach objeżdżał faktorie i zakłady rzemieślnicze, ale kiedy zabierał głos na forum Zgromadzenia, Bellowern zawsze stał u jego boku. Bo to on rozdawał karty i decydował o poczynaniach Aagena, a jednocześnie oddał na usługi imperialnej polityce swój wizerunek: przyjazną twarz korpulentnego i jowialnego żukowca, „takiego jak wszyscy”. Niemniej Broiler i jemu podobni wiedzieli już, że w Imperium pełno jest takich i dzięki ich helleronским przedstawicielom można było sporo zarobić. Dla tych zaś, którzy byli chętni dopomóc nieco swoim partnerom w interesach jeszcze w innych kwestiach, zysk był nieporównywalnie większy.

Dlatego właśnie Bellowern nawiązywał kontakty z wielmożami z Kolegium. Poza tym miał swoje wpływy w Konsorcjum, które zarządzało imperialnym handlem. Przed wojną handel ten zasadniczo odbywał się poprzez Helleron –

i tym samym Kolegium – a Broiler był jednym z jego beneficjentów. Nie żądał w zamian za wiele – tylko ochrony konkretnych interesów. W końcu był to zwykły proceder wśród członków Zgromadzenia, którego się wypierano, zakazywano dekretami, ale który stale praktykowano. Jeśli obywatel Kolegium chciał coś załatwić, musiał zabiegać o względy zasiadających w Amphiphosie. Były to prezenty i przysługi, jak to zwykle w życiu bywa. Poza tym Imperium stało się bardzo dogodnym sąsiadem i ze strony Helmessa przekazanie Zgromadzeniu kilku słów w imieniu Broilera nie było znowu tak wielkim poświęceniem. W końcu ten sprzeciwiał się uleganiu obsesjom Stenwolda Makera, a do tego z wielkim powodzeniem handlował z osowcami, więc bliższa współpraca z nim wydawała się zupełnie nieszkodliwa.

I wtedy wszystko się popsuło, na całego. Stenwoldowi Makerowi udało się nakłonić Zgromadzenie, by wystąpiło przeciwko Imperium, a Druga Armia nadciągnęła wybrzeżem, pustosząc wszystko po drodze, aż stanęła u bram miasta. Ale nawet to nie zapowiadało jeszcze klęski ani Broilera, ani jego stronników – i tak byli w lepszej sytuacji od innych: Imperium dysponowało ogromną siłą militarną, Sarn już się poddał, a Kolegium wciąż dochodziło do siebie po oblężeniu przez Vekkeńczyków. Imperialny zarząd nad miastem z odpowiedzialnymi stanowiskami dla tych, którym osowcy mogli zaufać, sprawdziliby się doskonale. *I z głową Stenwolda Makera zatkniętą na pice.*

Jednak Sarneńcy ze wsparciem, które nadciągnęło z Kolegium, pokonali Imperium w Szańcu Malkana, a potem imperator pozwolił się zabić i zachwiał tym samym posadami Imperium. Druga Armia generała Tynana pospieszyła spod bram Kolegium do domu, by zapewnić polityczną ciągłość dynastii, a żukowcy ogłosili zwycięstwo Nizin nad agresorem.

Podpisano *Traktat Złoty* i zapanował pokój, a przyjaciół

Imperium nazwano kolaborantami. Ludzie tacy jak Broiler zmuszeni zostali do pospiesznego wymazywania całych rozdziałów ze swej przeszłości.

Wszystko to jasno widział swoim bystrym okiem Honoriusz Bellowern, który zasiadał właśnie do posiłku.

Począł, aż słudzy podadzą na deser budyń miodowy, zanim przeszedł do interesów. Cechował go prawdziwie żukczy apetyt, który nakazywał ze smakiem wciągać wszystko, co lądowało przed nim na stole. W końcu jednak uniósł dłoń i serce Broilera zamarło.

– Jest pewna drobna sprawa – zaczął. – Coś, co wkrótce wyjdzie na jaw.

Za każdym razem używał tych samych słów. Broiler spojrział teraz na niego z drugiego końca stołu, ostatecznie straciwszy apetyt.

– W ciągu kilku dni nasi wspólni znajomi znów będą na ustach wszystkich – zaczął Bellowern. – Myślę, że nasz przyjaciel mistrz wojny nie pozostanie obojętny. Mam nadzieję, że wyświadczysz nam drobną przysługę i zmobilizujesz opozycję?

– Co się wydarzy? – zapytał Broiler obojętnie.

– Nadejdą wieści z dalekiego wschodu, dość niespójne wprawdzie, ale mistrz wojny i tak będzie grzmiał z mównicy.

Kolegium będzie potrzebowało chłodnej głowy w Zgromadzeniu, która uspokoi nastroje społeczne, Helmessie.

Będziesz mógł to dla nas zrobić, prawda?

Broiler miał kwaśną minę.

– A czy powinniśmy się teraz zacząć niepokoić?

– Nie, nie, to bardzo, ale to bardzo odległa sprawa. Ale ten cały Maker robi się bardzo nerwowy za każdym razem, kiedy gdzieś załopocze czarno-złota flaga. Będzie, co prawda, miał naszego ambasadora przeciwko sobie, a poza tym my też mamy nieco amunicji, by zagrznieć nad jego flankami, ale wsparcie miejscowych zawsze się przyda. Dobrze mówię?

– A jak nie? – Helmess nie zamierzał tego mówić, ale aż się gotował w środku, a ostatnie wydarzenia w jego życiu – o których Bellowern nie wiedział – dodały mu odwagi.

Honoriusz Bellowern zaszczycił go uprzejmym uśmiechem.

– Wolisz chyba pozostać z Imperium w przyjaźni, prawda? – zapytał. – Helmessie, zawsze imponowała mi twoja dalekowzroczność. Druga Armia Tynana niemal złamała to miasto ostatnim razem i to nie wasza obrona skłoniła ją do odwrotu. Sam wiesz, obydwaj wiemy, że kiedyś tu wrócimy. Kiedy czarno-złote proporce załopocą nad Amphiphosem, będziemy pamiętać, kto jest

naszym wiernym przyjacielem. – Znów się uśmiechnął, błyskając zębami. – A poza tym na razie to ty nas potrzebujesz. Już nie jesteś ulubieńcem Zgromadzenia. Nie zostaniesz przewodniczącym. A my przydamy ci się chociażby po to, by pewne szczegóły z twojego życiorysu związane z ostatnią wojną nie ujrzały światła dziennego.

– Mógłbym zaprzeczyć wszelkim oskarżeniom –

oznajmił Broiler.

– Ale komu by uwierzyli? Już nie jesteś taką szychą jak kiedyś. Wciąż wielu cię popiera, ale jak się rozniesie smrodek, to ich liczba stopnieje jak wiosenny przymrozek.

Jeśli nie zależy ci już na niczym innym, to przynajmniej powinno ci zależeć na naszym milczeniu.

Broiler zachował kamienną twarz i pokiwał

zrezygnowany głową. Był politykiem i wyśmienicie potrafił

ukrywać swoje myśli. Tak czy inaczej Bellowern wyglądał na zadowolonego. *Chcesz mnie zrujnować, prawda?* – pomyślał

Helmess. *Cóż, może mam wsparcie, o jakim nic nie wiesz. A poza tym słynni imperialni szpiedzy też nie są wszechobecni.*

Zakończyli posiłek i Broiler dalej grał rolę zgorzkniałego, choć pokonanego. Gdy radosny Bellowern w końcu opuścił jego progi, Broiler przez długi czas stał w drzwiach, zastanawiając się, jak długo jeszcze będzie musiał

tańczyć, jak ten mu zagra. Na górze usłyszał jej kroki. Przez cały posiłek siedziała w absolutnej ciszy, nie dając Bellowernowi cienia podejrzenia, że nie są sami. Teraz usłyszał, jak staje na szczycie schodów. Poczł przyjemne ukłucie w sercu – z jej powodu oraz z czystej radości spiskowania.

Mgła pojawiła się jak zbawienie, bo bez niej piracki okręt już by ich dogonił. Chociaż maszyny *Peltera* – statku handlowego z Kolegium, wiozącego sztuczne kamienie szlachetne, wino oraz wyroby rzemieślnicze – pracowały na pełnych obrotach od godziny, wielka powierzchnia żagla pchała piratów coraz bliżej i nic nie zapowiadało zmiany kierunku wiatru, co dałoby przewagę inżynierom towarowca.

Pelter był niewielkim statkiem i jego nieliczna załoga nie była w stanie odeprzeć ataku morskich brygantów, więc kapitan obrał kurs na pełne morze, przeklinając skąpstwo właścicieli jednostki. Z dala od lądu pogoda wyraźnie się psuła, co powinno bardziej przeszkodzić piratom niż im, bo bez linii brzegowej nawigacja była trudniejsza. Może nawet korsarze zawrócą, nie chcąc ryzykować zagubienia na pełnym morzu.

Co doprowadzi do tego, że i my w końcu się zgubimy, choć to i tak lepsze, niż dać się obrabować czy zabić, rozmyślał

Tolly Aimark. Jego kariera wisiała na włosku, bo piraci przejęli jego ostatni statek. *Peltes* był dla niego ostatnią szansą na uniknięcie sromotnej porażki. Kupcy z Kolegium lekceważyli sobie niebezpieczeństwa podróży morskich.

Widzieli wyłącznie straty materialne, za które go karali.

Wpłynęli teraz w tuman mgły, co normalnie byłoby przekleństwem, ale Aimark uznał, że po raz pierwszy dzisiaj szczęście się do nich uśmiechnęło. Zastanawiał się, czy nie dać sternikowi rozkazu zawrócenia do brzegu, ale piraci z całą pewnością spodziewali się takiego manewru. Gdyby był ich kapitanem, przeciąłby kurs biegnący między brzegiem a ostatnią pozycją *Peltesa*. Chociaż...

– Dwa rumby na sterburtę! – wydał rozkaz i *Peltes* odbił

jeszcze bardziej od brzegu w stronę otwartego morza.

Och, wśród marynarzy krążyły rozliczne opowieści o statkach, które wypłynęły na pełne morze i nigdy już nie wróciły. Bo szalała tam dzika natura zdolna rozszarpać na strzępy każdy żagiel i wyrzucić do góry dnem nawet taki parowiec jak *Peltes*, ale nadszedł czas, żeby sprawdzić, czy w żyłach piratów płynie krew, czy woda.

– Widać coś?! – zawołał.

Peltes miał wprawdzie maszt, ale Aimark nie miał

pojęcia, kiedy ostatnio podniesiono na nim żagiel.

Teoretycznie mogli kontynuować podróż, gdyby silniki zawiodły, lecz nie wiedział też, ile osób z jego załogi opanowało podstawy żeglarstwa. Wolał więc wierzyć w swoich inżynierów, zamiast zdawać się na wiatr i pogodę, mogące zanieść ich dosłownie wszędzie.

Dostał wiadomość od muchopodobnego, który kursował

między bocianim gniazdem a pokładem. Tak, nawet w tak gęstej mgłę widać było wyraźnie bladą połąć żagla.

– Trzymać kurs! – rozkazał.

Wiedział, że ścigający będą nasłuchiwać odgłosów silników, ale mgła też potrafiła robić różne sztuczki z dźwiękiem, zagłuszając go i zniekształcając. Istniała więc spora szansa, że zanim piraci się zorientują, iż *Peltes* zmienił

kurs, oni zdążą im uciec.

Aimark poczuł pod stopami dziwne drżenie, aż zimny pot wystąpił mu na czoło. Rafy? Ale przecież nie mogło tu być żadnych raf ani wystających z wody głazów. Morze pod nimi było głębsze, niż dałoby się to zmierzyć. Minęli już szelf i pod kadłubem mieli wyłącznie wodę.

Muchopodobny przysiadł obok niego.

– Kapitanie, skręcają w stronę lądu. Hiram widział, jak halsują, a potem zniknęli mu we mgle.

Tolly Aimark poczuł ogromną ulgę.

– Płyniemy tak jeszcze przez milę, a potem obierzemy kurs, który zaprowadzi nas do brzegu z dala od nich.

Przynieście mi też mapy. Sprawdzimy, gdzie możemy wypłynąć.

Kiedy wypowiadał te słowa, coś zachrobotło o kadłub, ale nie brzmiało to jak skała prująca burtę. Aimark zamarł.

Gdzieś na pokładzie ktoś krzyknął, po czym rozległa się jakaś bezładna paplanina. Zahuczał, że mają meldować, i jeden z jego ludzi wyłonił się z mgły z oczami wielkimi jak spodki.

– Kapitanie, Dorwell zniknął! Po prostu... zapadł się pod ziemię. Stał tuż obok mnie...

Coś zazgrzytało o kil i deski pokładu nagle wygięty się i podskoczyły. I choć wyraźnie usłyszeli dobiegający z dołu dźwięk pękającego drewna, statek wciąż się poruszał, jakby coś go ciągnęło...

Załoga zaczęła wybiegać z dolnych pokładów i Aimark usłyszał nawoływania, by uruchomić pompy. Stał jak wryty, z otwartymi ustami, bo miał właśnie wydać jakiś rozkaz, gdy nagle dostrzegł wielkie bryłowate postacie wyłaniające się zza relingu i zeskakujące na pokład z grzechotem szczypców i panczerzy. Dopiero wtedy na statku rozpętało się prawdziwe piekło.

– Mistrzu Sands, Filipino mówi, że pański człowiek nadchodzi.

Sands podniósł wzrok znad książki, zauważając ostrożność w zachowaniu podwładnego – pełen szacunku sposób zwracania się do przełożonego, podpatrzony na wyższych szczeblach hierarchii Kolegium. *Ale czyżbym sobie nań nie zasłużył?* Sands uważał, że tak, z całą pewnością zasłużył. Dla ludzi jego pokroju w prawomyślnym Kolegium było naprawdę niewiele miejsca. Port i dzielnicę nad rzeką zamieszkiwała wprawdzie spora grupa ludzi pozbawionych ambicji i skrupułów, ale trzeba było być kimś takim jak Sands, żeby dobrze żyć z występku. On był przestępcą i to Kolegium uformowało go z taką samą wprawą, z jaką tworzyło przedsiębiorców, mechaników oraz uczonych, z których słynęło.

W uliczce panowała ciemność, ale po pajęczym ojcu Sands odziedziczył wystarczająco wiele, by móc czytać w świetle gwiazd. Księżyc powiększał się w trzeciej kwarcie i z nocy na noc przybierał na ciełe. W Merro w takiej fazie nazywano go księżycem morderców – muchopodobni zawsze umieli dostrzec w życiu poezję.

Wbrew swemu pochodzeniu Forman Sands miał wygląd niemal stuprocentowego żukowca. Dopiero po wnikliwszej obserwacji można było zauważyć ścieranie się na jego obliczu różnych rysów. I to wystarczyło, by pomiędzy niechlubnymi narodzinami i pełnym szykan dojrzywaniem wstąpił na mroczną ścieżkę, choć wciąż uważał się za przykładowego obywatela Kolegium. Zawsze brał udział w

wyborach i czytał

wszystkie ważne wystąpienia na forum Zgromadzenia, kiedy tylko ich zapis schodził z prasy drukarskiej. Gdyby spłodził

potomka, na pewno kupiłby mu miejsce na uniwersytecie.

Sam przecież z wielkim trudem zadbał o swoje wykształcenie i wiedzę uważał za najważniejszą – nie tylko z powodu możliwości, jakie dawała, ale także dlatego, że czytanie nadawało sens życiu w sposób nieosiągalny na innej drodze.

Ono właśnie pchnęło go ku stworzeniu własnego systemu filozoficznego.

– Wciąż myślę, że lepiej by było, gdyby pan tylko zerknął mu w oczy i resztę zostawił nam. Nie ma potrzeby, żeby pan sam chwycił za nóż – wyznał podwładny. Był

prostym żukowcem ze szramami na twarzy i z jednym tylko uchem – wystarczająco kompetentnym, choć bez ambicji, by zostać kimś więcej niż pospolitym bandziorem. Był

ucieleśnieniem tego, od czego Sands starał się tak usilnie uciec. Symbolicznie, nie faktycznie.

– Muszę to zrobić sam – oznajmił. – Myślisz, że nie potrafię?

– Nie szefie, ale...

– A więc nie kłóć się ze mną.

Odesłał mężczyznę ruchem dłoni, następnie starannie ukrył książkę w połach swej szaty, zaznaczywszy stronę, na której skończył lekturę. Trudny był los człowieka inteligentnego żyjącego na obrzeżach Kolegium. Mieszkający w nim myśliciele wychwalali cnoty, humanizm, obowiązek pracy na rzecz innych, gdyż tylko w ten sposób można było poprawić byt wszystkich ras i klas społecznych.

Obowiązywały hasła miłości bliźniego i troski o innych, tak że nawet najchciwsi przedsiębiorcy afiszowali się ze swoją dobroczynnością. Jakże w obliczu tego Sands mógł znaleźć dla siebie wytłumaczenie – że był rabusiem, mordercą i źródłem zepsucia?

Studiował ten problem długo, wspierając się pismami filozofów z Ziemi Pająkowców, którzy rozprawiali na jego temat już sto lat wcześniej, podsuwając skrupulatnym żukowcom mnóstwo gładkich wymówek: dobre czyny najlepiej widać na tle zła; zachowania drapieżników doskonałą ich ofiary; samozadowolenie zawsze było wrogiem postępu. Cały swój wolny czas Sands poświęcał na tworzenie własnej filozofii cnoty przestępstwa. Dzień za dniem, książka za książką szukał usprawiedliwienia dla własnej egzystencji. *I kiedy będę już stary, wydam to, bo teraz obowiązki stale wzywają.*

Jego zwiadowca, muchopodobny Filipo, przysiadł

nieopodal.

– Właśnie idzie – meldował zwięźle.

Z jakiegoś trudnego do pojęcia powodu muszcy nigdy nie przejmowali się tym, co złe lub dobre. I Sands zazdrościł

im tej wolności.

– Pilnuj dalej – polecił i wyszedł na główną ulicę.

Było już późno. Informatorzy dobrze pilnowali obiektu, który był tak zajęty, że umawiał się na spotkania jeszcze długo po zapadnięciu zmroku. Teraz spieszył do domu i miał

do przejścia spory kawałek. Kumpie Sandsa zachowywali się nerwowo i wyraźnie nie pasowali do otoczenia – w odróżnieniu od swego szefa. Żadnemu strażnikowi, który zobaczyłby go tutaj, nawet by przez myśl nie przeszło, z kim ma do czynienia. Wysoki niemal jak żukowiec, w schludnych szatach – idealny obraz zamożnego kupca albo skryby czy też sługi jakiegoś bogacza.

Forman zobaczył, jak jego cel zbliża się spieszonym krokiem ku niemu – szczupły, o nerwowym chodzie, pogrążony we własnych troskach i przyciskający do piersi wypchaną sakwę. Sands wyszedł mu na spotkanie, co jednak nie zwróciło jego uwagi. Musiał więc zawołać go po nazwisku:

– Mistrz Failwright?!

Mężczyzna wyrwany z zamyślenia zerknął na wołającego. Dostrzegł szacownego żukowca o przyjemnym wejrzeniu, przynajmniej tak mu się wydawało w zapadających ciemnościach.

– Czy ja znam waszmościa? – spytał podejrzliwie, ale bez niepokoju.

– Mistrzu Failwright, przysyła mnie mistrz Mendawl.

– Znam Mendawla – odparł Failwright.

– Pańskie wystąpienie na forum Zgromadzenia go zaniepokoiło. Ma nadzieję, że zechce pan z nim to przedyskutować – oznajmił Sands i zobaczył iskierkę nadziei zapalającą się w oku mężczyzny.

– Naturalnie, naturalnie – powtarzał Failwright. –

Wiedziałem, że kogoś to zainteresuje. Niech się Maker czy Broiler kiszą we własnym sosie. Chce się spotkać dzisiaj?

– Czeka na pana w zajeździe niedaleko stąd –

potwierdził Sands. – Bardzo się cieszę, że pana odnalazłem.

Kupiec pokiwał głową. Prawdziwy człowiek z misją.

– Zabierz mnie do niego – rozkazał i Sands wskazał mu wąską uliczkę.

Pozostali schowali się w cieniu i zadowolony Failwright pomaszerował we wskazanym kierunku.

Zadanie to było niezwykle proste dla Formana, który posiadał szybkość rzadko spotykaną u osób jego postury.

Kiedy więc tylko żukowiec wszedł w mrok, zakrył mu usta dłonią. Na kłykciach drugiej dzięki sztuce pająkowców pojawiły się szpikulce. Dźgnął go dwa razy, po razie nad każdą nerką, i drobne czerwone plamki zaczęły rozlewać się na szacie ofiary. Z wystudiowaną płynnością zakręcił

mężczyznę w miejscu tak, że tamten walnął plecami o ścianę, i wbił mu szpony prosto w gardło.

Failwright otwierał szeroko oczy i szarpał się chaotycznie. Rany, nawet ta ostatnia, nie były śmiertelne, ale szpony Sandsa ociekały jadem. Przytrzymał swoją ofiarę mocno, aż toksyna zrobiła swoje, zwierając wszystkie mięśnie mężczyzny po kolei i kneblując mu oddech, po czym wstrzyknął mu jeszcze kilka dawek, tak na wszelki wypadek.

Żukowcy bywają twardzi, nawet chuderlawi kupcy jak ten tutaj.

Kiedy Failwright w końcu przestał się wyrywać, Sands odsłonił mu usta. Mężczyzna wciąż żył, ale już niedługo. Na szatach pająkowca pojawiło się wprawdzie kilka czerwonych kropelek, ale i tak uważał ten sposób zakończenia czyjegoś życia za niesłychanie prosty. Jego sługa zbliżył się ostrożnie.

– Do rzeki z nim – polecił Sands i wyciągnął w jego kierunku sakiewkę, którą mężczyzna przyjął z wdzięcznością.

Nieopodal wylądował Filipo, czekając na swą działkę.

Sands zostawił ich samych. Musiał zobaczyć się z klientem.

Wszystko ma swe uzasadnienie. Jestem jak chirurg wycinający martwą tkankę miasta. Nie zrobił tego z pobudek politycznych, nie był przecież rewolucjonistą.

Zadanie wykonał dla samego zadania, z filozoficznej konieczności niesienia wśród ludu ostrza cywilizacji.

Zastanowił się nad tym stwierdzeniem i doszedł do wniosku, że jest niezłe. I szedł dalej już jako mężczyzna zadowolony.

Helmess Broiler posiadał w swoim repertuarze sporą liczbę wyćwiczonych uśmiechów na każdą okazję, ale te szczerze zachowywał na okazje takie jak ta.

Zeszła po schodach jego podmiejskiego domu, jakby sama ta czynność była aktem nieprzyzwoitym, i w połowie drogi oparła się o barierkę, zaszczycając go równie szerokim uśmiechem. Wiedział, że uwielbia jego dwulicowość. Fakt, iż toczył pojedynek z ambasadorem Imperium, grając o stawkę znacznie większą, niż tamtemu się zdawało, był balsamem dla jej duszy. Między innymi pod tym względem bardzo przypominała pająkopodobnych.

Zawsze tak było, to prawda, choć dawniej stanowiło pokątny nawyk, któremu folgował za zamkniętymi drzwiami.

Żukowcy o odpowiednim statusie i władzy, posiadający nawet żony i rodziny, ulegali zachciankom na różne sposoby.

Kochanki były jednym z nich. Choć wybuchały skandale, kiedy wychodziło to na jaw, utrzymanki były zjawiskiem powszechnym wśród możnych członków Zgromadzenia i kupców – sprytna młoda pajęczycza lub pająkowiec bez żadnych widoków na przyszłość. Oczywiście nie zawsze musieli to być przedstawiciele tej rasy, ale taki obowiązywał

archetyp: piękni, niebezpieczni i nieodparcie czarujący.

I oto mistrz Stenwold Maker wziął sobie dziewczynę, która mogłaby być jego córką, jakby była jedną z jego nagród za zasługi wojenne. Chociaż mogło to wywołać falę dezaprobaty, spowodowało coś na kształt powszechnej ulgi.

Mistrz Maker był bohaterem wojennym, ulubieńcem ludu, który nie mógł postępować niegodziwie. W takim razie trzymanie młodej kochanki przez innych należało uznać za dopuszczalne. Była to, zauważył Helmess, jedyna przysługa, jaką ten stary podżegacz wojenny wyświadczył swoim rodakom.

– Elytria – wypowiedział jej imię, a ona spojrzała na niego z czułością.

– Tańczą, jak im zagrasz – zauważyła i niespiesznie pokonała resztę stopni.

Mógłby tak patrzeć na nią bez końca.

I nie dlatego, że była pajęczyczą. Chodziło właśnie głównie o to, że nią nie była, chociaż przypominała ją na tyle, że mogła za nią uchodzić. To, że unikała pająkowców, nie było niczym niezwykłym, ponieważ byli oni najgorszymi wrogami swych rodaków i często przybywali na Niziny, uciekając przed polityczną rozgrywką. To, że jej oczy były większe i miały niespotykany odcień, a włosy bardziej kręcone niż zwykle, żukowcy zwykle tłumaczyli kosmetykami, za których pomocą pająkowcy potrafili bardzo poprawić swój wygląd. Była największą przygodą w życiu Helmessa i kochał ją, bo uwielbiała władzę i dostrzegał w niej swoją szansę na jej przejęcie.

Honoriusz Bellowern miał rację – Helmess stracił

pozycję i nie mógł powstrzymać kampanii pomówień oskarżających go o współpracę z Imperium, zwłaszcza że były prawdziwe. Posiadając na to dowody, Imperium mogło przypuszczać, że ma go na własność. Ale fakty te były mocno nieaktualne, gdyż Helmess Broiler nawiązał nowe przyjaźnie.

Nie miał pojęcia, jak długo przebywała w Kolegium, zanim zagięła parol na niego, jak długo przyzwyczajała się do różnic i obcego jej sposobu bycia. Raz wyrwało się jej, że jej lud – jej frakcja – od wielu pokoleń miał w mieście swoich agentów, którzy przygotowywali grunt pod to, co miało stać się wkrótce.

Kiedy po raz pierwszy zbliżyła się do niego z pochlebstwem i obietnicami, udawała pajęczą poszukiwaczkę wrażeń. Od razu oczarowała go swoim wyglądem, ale poznała go na tyle szybko i dogłębnie, iż wiedziała, że zbyt długo go tym nie zajmie. Wykazywała więc, że współpraca z nią, współdziałanie z jej skrytymi sprzymierzeńcami zaowocują jego powrotem do władzy nieskażonej ingerencją Imperium Os. Złożyła mu propozycję zbyt atrakcyjną, by był w stanie ją odrzucić, i zdradziła tajemnicę, z którą wciąż starał się uporać.

Nachyliła się, wchodząc mu pod wyciągnięte ramię i kładąc głowę na jego barku. W odległych, mrocznych miejscach jej spisek – ich spisek – zaczął się powoli ziszczać.

Tylko tyle mu powiedziała, a on zgadywał, że to wierzchołek góry lodowej. Sama myśl, że był jedynym mieszkańcem Kolegium, który brał udział w tak ohydnych planach, była równie podniecająca jak kontakt z jej ciepłym ciałem, wciskającym się teraz w niego.

Rozległo się pukanie do drzwi, ale już wcześniej poinstruował służbę, by od razu wpuściła gościa do niego.

Helmess Broiler rzadko musiał korzystać z usług tego typu ludzi, ale od czasu do czasu zdecydowane działania stawały się koniecznością. Zawsze wtedy wybierał Formana Sandsa –

człowieka nie tylko dyskretnego i sumiennego, ale też wyglądającego jak szacowny urzędnik, który jak żaden inny rzezimieszek potrafił po kolacji prowadzić inteligentną rozmowę przypominającą dysputy uczonych.

– Mistrzu Broilerze. – Sands ostrożnie skinął głową najpierw w kierunku swego pracodawcy, później jego kochanki.

– Jakie wieści?

– Załatwione.

Podał Broilerowi sakwę. Była wypchana zabazgranymi zwojami – ostatnimi dowodami niezdrowej ciekawości Failwrighta.

– Sumienny z ciebie pracownik, Sands – zauważył

Helmess.

– Chciałbym tak o sobie myśleć, mistrzu Broilerze. –

Tamten niemal odruchowo wziął sakiewkę od służącego, jakby w ogóle nie chodziło tu o pieniądze.

Kiedy sobie poszedł, Elytria przytuliła Helmessa.

Skończyli z Failwrightem i jego irytującym dochodzeniem.

– Czy masz zamiar – zapytał cicho – wyciszyć kłopotliwą sprawę, czy też sprowokować więcej

pytań?

Członkowie Zgromadzenia wywołują fale, kiedy padają.

– Albo to, albo tamto – zapewniła go. – Jedno i drugie nam posłuży.

PIEĆ

Czy to uczciwsze niż moja współpraca z Rekefem?

Magnat miedziany Brons Helfer wraz z żoną robili, co mogli, by zasłużyć na miano dobrych gospodarzy. Arianna chwaliła bardzo ich przestronny salon pomalowany na niebiesko, z freskami na przeciwległych ścianach, które były utrzymane w stylu seldiskim i mogłyby uchodzić za podróbkę wykonaną przez jednego z ostatnich pajęczych artystów, gdyby nie spartolił ich żukowiec kopista. Gospodarze wręcz spijali słowa z jej ust, choć te komplementy były nie tylko nieszczerze, ale wręcz fałszywe. Czyż nie była bowiem wielką pajęczą damą?

Nie była, oczywiście, że nie była. Jej rodzina należała do najniższej klasy, ale na Ziemiach Pająkowców nawet chłopstwo knuło i toczyło spory. Na skutek całkowitego upadku rodziny oraz z powodu śmierci jej matki w pojedynku musiała w młodym wieku wyjechać z domu. Jako piętnastolatka nie miała nic więcej poza swym talentem, więc żebrząc i kradnąc, podróżowała na północ jedwabnym szlakiem.

Tam też zauważył ją Rekef i odkupił od pewnego pająkowca, handlarza niewolników, gdyż pewnej nocy porwali ją jego ludzie. Agent długo i bardzo drobiazgowo opisywał jej, kto jeszcze polował na nią tamtej nocy i co mogło się jej przydarzyć – i przydarzy, jeśli nie okaże należytej wdzięczności.

Potem została przeszkolona i z fałszywymi listami uwierzytelniającymi umieszczono ją w Kolegium, gdzie jej poczynaniom przyglądał się porucznik Rekefu. Może i pochodziła z miejskiej hołoty, ale z pajęczej miejskiej hołoty, co zapewniało jej w Kolegium status niemal w pełni szlachecki.

Daria Helfer paplała coś do niej na jakiś temat, jak to żona wielmoży starająca się za wszelką cenę pokazać gościom swój wysublimowany gust. Była to prosta, tęgawa kobieta odziana w przednie ubrania, które nosiła zupełnie bez polotu.

Arianna potrafiła motek lnu zmienić w najprzedniejszy jedwab, podczas gdy Daria, nawet nie zdając sobie z tego sprawy, robiła coś wręcz odwrotnego. Ale pajęczyca tyle już przeżyła, że kontrast nawet jej nie bawił. *Mimo to ci żukowcy rządzą światem, choć nie dostrzegają, kim tak naprawdę są.*

Na drugiej ścianie wisiała niewielka kopia jakiegoś pajęczego haftu, wykonana za pomocą tak skomplikowanego urządzenia, że była niemal doskonała, a jej autorem był

któryś z bratanków Helferów. Praca ta znalazła się tutaj wyłącznie z tego powodu i nikt nie zwracał na nią większej uwagi, lecz Arianna była prawdziwie zafascynowana tym, że maszyny potrafią stworzyć coś takiego. Robiło to na niej większe wrażenie niż bohomy porozwieszane po całej sali.

Gdyby tylko nauczyli się, jak być sobą! Cóż wtedy mogliby osiągnąć! Zastanawiała się, czy część

winy za to nie spada na jej lud, który lubi błyszczeć kosztem innych. Łatwiej się stało, gdy nakłoniło się innych, by klęknęli.

Arianna stworzyła sobie wśród tych ludzi wygodny dom.

Postawiła na właściwego człowieka, który również za jej sprawą stał się bohaterem wojennym. Ludzie wciąż pamiętają, jak pojawiła się na barykadzie z łukiem i strzałami, by walczyć o to miasto. Nikt nie dawał jej odczuć, że pamięta też, iż najpierw ich zdradziła.

Ona sama już niemal zapomniała, jak stała tam ze Stenwoldem, kiedy Vekkeńcy nacierali na mury.

Wyglądała jak postać z ckiego romansidła. Czy wtedy życie wydawało się jej aż tak nic niewarte? Może tak, bo gdyby Kolegium padło, zostałyby jej zaledwie kilka możliwości.

Zbliżał się wieczór, kiedy w końcu udało się jej wyrwać z objęć Helferów, obiecawszy, iż przekaże pozdrowienia Stenwoldowi, mistrzowi wojny, jak wciąż go nazywano. Ale ona postanowiła wyświadczyć im przysługę, korygując nieco ich słowa, gdyż Stenwold niezmiennie pogardzał tym tytułem.

Gdy dotarła do domu, Cardlessa nie było. Wyszedł coś załatwić. Jej prawdziwy dom znajdował się po drugiej stronie miasta i stanowił samotnię, w której się schowała, by schorowana bratanica Stenwolda szybciej odzyskała spokój ducha. Czy jej pobudki były aż tak altruistyczne? Nie, ponieważ stan ducha Che wpływał na stan nerwów Stenwolda, a pośrednio i jej. Jej pozycja w Kolegium zależała od Makera, a że ostatnio bratanica była na tyle miła, że zniknęła, Arianna kursowała między swoim domem a siedzibą Stenwolda.

Zastanawiała się, w jakim nastroju zostanie go teraz, bo emocjonalnie był bardziej złożony niż przeciętny żukowiec według pajęczych standardów. Mówca z Kolegium ustępował

miejsca sprytnemu szefowi siatki szpiegowskiej, a pomysłowy dowódca armii zawsze czekał na swoją okazję.

Poznała go w najlepszym dla niego okresie, kiedy był

jednocześnie tymi trzema osobami.

Teraz, kiedy wojna zamarła gdzieś w górze nad nimi jak tresowana wążka, wyrazistsze cechy jego osobowości zostały starannie spakowane i naoliwione – zabezpieczone przed rdzą. Trzeźwy superszpieg czaił się za tronem, na którym zasiadał sfrustrowany mąż stanu przytłoczony przez prozę życia w świetle bez czarno-złotego cienia. Podżegacz wojenny

– tak go kiedyś nazwano. A ona teraz niemal czuła jego pragnienie, by Imperium znów skrzyknęło swoje armie –

choćby tylko po to, by na nowo rozniecić płomień.

Pchnęła drzwi do jego pracowni i stanęła w miejscu.

Siedział pochylony nad biurkiem i nawet nie podniósł na nią wzroku. Z lupą przy oku niezwykle skupiony przyglądał się jakiemuś zwojowi. Serce zabiło jej żywszym rytmem i poczuła się, jakby czas cofnął się o dwa lata.

To nie był znudzony Stenwold, czytający raporty z posiedzenia Zgromadzenia, ani nawet poirytowany przedzieraniem się przez korespondencję od przymilnych i nieszczerých. Zobaczyła w nim mistrza wojny, asa wywiadu Kolegium, który znów zajął należne sobie miejsce. Kiedy w końcu podniósł wzrok, rozpoznała po jego oczach, że jego ostry jak brzytwa umysł pracuje na najwyższych obrotach.

– Co na to powiesz? – bez wstępów rzucił jej zwój.

Uśmiechnęła się. W swoich sporach ze Zgromadzeniem, odstręczających ustalenia z ludźmi pokroju Jodry'ego Drillena nie potrzebował jej pomocy. Nie znaczyło to jednak, że byłaby w stanie mu w tym w jakikolwiek sposób pomóc.

Tylko wstydził się ich, wstydził, że musiał naginać swoje zasady, by osiągnąć cele. Teraz zaś, kiedy przeistoczył się znów w asa wywiadu, potrzebował jej wsparcia, również szpiega.

Wzięła do ręki zwój i jej wzrok spoczął na koślawych liniijkach poznaczonych jego adnotacjami.

– Nigdy nie byłam analitykiem – uprzedziła. – Sam wiesz, że oszczędzali mnie do pracy w terenie.

Ci „oni” to był oczywiście Rekef, ale żadne z nich nie wymówiło tej nazwy, bo zakopali ją wspólnie głęboko wraz z końcem wojny.

– Mimo to zobacz – poprosił, a ona skinęła głową.

– Tu są skargi Failwrighta, prawda?

– Jego notatki, jego wnioski. O statkach wypływających na wschód z Kolegium. Kapitanach, ładunku, o tym, co się z nimi stało, i...

– ... i o ich armatorach – zauważyła. – Kto tracił

pieniądze na tych transakcjach.

Nie wynikało to wprost z tych zestawień, tylko że Stenwold wszystko wyszczególnił, wszystkie nazwiska.

– Czy jesteś pewien, że nie widzisz prawidłowości tam, gdzie ona nie występuje? Albo że Failwright tego nie robił?

– Nie, nie jestem pewien – wyznał Stenwold. – W końcu transport morski to niepewny interes. Naprawdę istnieją piraci, szaleją sztormy... Czasami jakiś statek zaginie na morzu. Tego typu informacje są wieloznaczne z samej swej natury. – Potarł szczecinę na brodzie. – Ale Failwright i jego frakcja podchodzą do tego bardzo serio. Popatrz, kilka miesięcy temu wysłali statek z najemnikami na pokładzie. O, tutaj, zobacz... i tutaj. Nietknięty, nietknięty i nagle... Bach!

Jeden zupełnie zniknął. – Stenwold pokręcił głową. – W tym samym czasie trzy statki płynęły bez eskorty i zostały napadnięte przez piratów.

– A co to za kolumna? – zapytała Arianna.

– Myślę, że raporty pogodowe. Tutaj, gdzie zaginał

uzbrojony okręt, napisał chyba: „Nie było sztormu”, ale szczerze mówiąc, nie jestem pewien. Muszę z nim porozmawiać...

Ktoś wszedł do domu i sposób, w jaki zamykał drzwi, sprawił, że na ustach Stenwolda zawisło pytanie:

– Cardless?

Chwilę później sługa ich odnalazł.

– Co powiedział mistrz Failwright? – zapytał Stenwold.

– Bez wątpienia był zachwycony, że ściągnął w końcu czyjąś uwagę.

– Niestety mistrza Failwrighta nie było w domu –

zameldował Cardless.

– Zostawiłeś wiadomość?

– Zostawiłem. Wygląda jednak na to, że mistrz Failwright szybko jej nie odbierze. Nie wrócił do domu ani do biura zeszłej nocy i żaden z jego współpracowników nie wie, gdzie przebywa.

Maker otworzył usta, żeby coś powiedzieć, ale zaraz je zamknął. Odszukał wzrokiem Ariannę. Łączyło ich wiele: szpiegostwo, agenci, nagłe zniknięcia...

– Popytaj jeszcze – nakazał Cardlessowi, jakby ten był

jednym z jego dawnych ludzi. – Arianno...

Rozległo się niecierpliwe stukanie do drzwi i sługa zniknął, żeby je otworzyć. Stenwold nie dokończył myśli.

Czekał. Kiedy posłaniec wszedł do gabinetu zgrzany i zdyszany, nie był tym zaskoczony. Wziął od niego zwój i otworzył go. Gdy czytał, wyraz jego twarzy nie zmienił się ani o jotę.

– Przekaż mu, że się stawię – brzmiała jego odpowiedź i muszec zniknął w jednej chwili.

Arianna spojrzała na niego pytająco.

– Imperium zajęło Khanaphes – oznajmił Stenwold. –

Jodry zwołuje Zgromadzenie. Muszę iść.

Według Makera major Aagen charakteryzował się tym, że prezentował tylko dwie postawy. Jako emerytowanego członka imperialnego Korpusu Wojsk Inżynieryjnych cechowała go żarliwa pasja wobec wszelkich technologii.

Dzięki temu entuzjazmowi dowiedział się więcej o rzemiośle Kolegium niż całe zastępy agentów Rekefu szpiegujące podczas wojny. Drugą postawą była niewzruszona akceptacja i Stenwold podejrzewał, że właśnie ją będzie prezentował

podczas zażartych sporów w Amphiphosie.

Stał ze zwojem w dłoniach. Do tej pory nigdy nie tłumaczył się przed Zgromadzeniem bez wcześniejszego przygotowania przez szarą eminencję, Honoriusza Bellowerna, a Stenwold uważał, że to czyste szaleństwo, iż Imperium zdaje się na prostolinijnego osowca, któremu wszelkie oświadczenia przygotowuje żukopodobny doradca.

Aagen skinął w stronę Jodry'ego Drillena, którego głos wciąż rozbrzmiewał w komnacie Amphiphosu.

– Mogę potwierdzić – odczytywał – że siły imperialne są obecnie witane przez przedstawicieli khanaphejskiej administracji.

Na sali narastał szum gniewnych głosów, ale przecież lud Khanaphes to też byli żukowcy, nie tak dawno opisani przez mieszkańców Kolegium jako nieco zacofani ich kuzyni.

Jodry od jakiegoś czasu zbierał śmietankę po badawczym sukcesie swojej wyprawy, tak że każdy przeciętny żukowiec z Kolegium wiedział o swoich odległych krewnych, co pozwalało mu zachowywać się w sposób protekcjonalny.

– Powiniennem podkreślić... – ciągnął Aagen, który był w końcu inżynierem wojennym nawykłym do naprawiania pojazdów w ogniu walki, więc jakieś tam okrzyki nie mogły go wybić z rytmu. – Powiniennem podkreślić, że Imperium stawilo się tam na zaproszenie kapłanów. Należy pamiętać, że miasto bardzo ucierpiało na skutek napaści pustynnych plemion skorpionców i tym samym jest bardzo osłabione...

– Napaści spowodowanej przez Imperium! –

wykrzyknął ktoś. I ku zaskoczeniu Stenwolda, to nie był on sam.

Aagen przerwał na chwilę i Maker zobaczył poruszające się usta podpowiadającego mu coś Bellowerna. Osowiec ciągnął po chwili gładko:

– Imperium wciąż zajmuje się sprawą ostatniego z pretendentów na stanowisko gubernatora. I jeśli jeden z nich zbiegł na pustynię, by zebrać miejscowych oraz zagrozić Khanaphes, to podstawowym imperialnym obowiązkiem jest ochrona sąsiadów przed skutkami własnych wewnętrznych konfliktów. Lud Khanaphes rozumie to dobrze i mam nadzieję, że w Kolegium też to rozumieją. –

Znów rozwinął

zwój na całą długość z twarzą, na której aż kipiało niezadowolenie. – Co więcej, Zgromadzenie powinno mieć świadomość, iż dominium Khanaphes nie jest jednym z sygnatariuszy *Traktatu Złotego* ani nie zostało nim objęte.

Tym samym więc Kolegium nie może zajmować w tej sprawie żadnego stanowiska.

Na to rozzłościł się jeszcze bardziej, ale głównie dlatego, że miał rację. *Może powinniśmy uwzględnić w tym traktacie wszystkie kraje na świecie? Ale gdybyśmy to zrobili, zostałby tylko wcześniej zerwany.* Stenwold zazgrzytał zębami i wstał, a sala ucichła na ten widok.

– Chciałem zapytać pana ambasadora Imperium, czy jest świadom, że obserwatorzy z Kolegium byli obecni w tym mieście podczas ostatnich problemów ze skorpioncami.

Oświadczyli oni z całą mocą, że widzieli ekipę osowców pomagających agresorom w opanowaniu miasta, a mury Khanaphes zostały zburzone nie za sprawą pomysłowości pustynnych szczepów, ale imperialnych miotaczy ołowiu.

Znów padła szybka odpowiedź ze strony nieocenionego Bellowerna i Aagen powtórzył za nim:

– Wiem z całą pewnością, że nie było tam żadnej oficjalnej ambasady Imperium ustanowionej przez Jej Wysokość Imperatorową. Za to mistrz Maker z pewnością jest świadom, że większość pretendentów do tamtejszego tronu wdziała imperialny płaszcz. Tym samym więc zdezorientowanie jego obserwatorów jest w pełni zrozumiałe.

– Aagen wypowiadał te słowa z obojętną miną, nieznacznie wzruszając ramionami. – Jeszcze raz podkreślam, iż sprawa ta w najmniejszym stopniu nie narusza postanowień końcowych *Traktatu Złotego* zawartego między miastami Nizin a Imperium, jednakowoż... – Ostatnie słowo pojawiło się dość niespodziewanie i zawisło w powietrzu.

Stenwold zmrużył oczy, patrząc, jak Aagen dalej rozwija ściągawkę.

– ... skoro już o tym mowa – oznajmił osowiec – to chciałbym zwrócić uwagę czcigodnego Zgromadzenia na to, że widać tu wyraźnie czyjeś próby podważenia postanowień traktatu, a tym samym wskrzeszenia konfliktu, co do którego mieliśmy nadzieję, że jest już dawno za nami.

Maker odwrócił się i odszukał twarz Jodry'ego Drillena, ale polityk tylko pokręcił nieznacznie głową, niepewny, dokąd ma prowadzić ta tyrada.

– Agenci Imperium odkryli ostatnio, że pewne elementy w łonie Kolegium dostarczają znaczne ilości broni do członków Przymierza Trzech Miast bezpośrednio graniczących z Imperium, głównie do Myny. Należy to ukrócić.

– Imperium nie będzie decydowało o tym, z kim Kolegium ma handlować, a z kim nie – warknął Drillen, nawet nie wstając. – Wy sami aż paliliście się przed wojną do kupowania naszej broni.

– Uzbrajając naszych najbliższych wrogów, Kolegium stara się zdestabilizować sytuację w naszym państwie, żeby mieszkańcy Myny i ich sojusznicy na tyle okrzepli, by mogli nas zaatakować, rozpoczynając tym samym nową wojnę. Bez wątpienia, kiedy imperialna armia zostanie zmuszona do obrony własnych granic, będzie to odczytane jako akt agresji na nas przez miasta Nizin.

– Myna ma prawo się bronić! – zawołał Stenwold przy ograniczonej aprobacie sali.

– Podobnie jak Imperium – odparł Aagen tym razem z większą pasją w głosie. – Mistrzu Makerze, byłem obecny przy podpisywaniu *Traktatu Złotego*. Mężczyźni i kobiety z tego Zgromadzenia byli jego gwarantem. Po co mielibyśmy tam stać na wietrze przed bramami miasta, gdybyśmy nie mieli wiary w to wszystko? Uzbrajanie Myny i jej sojuszników jest aktem wojny i oznacza złamanie traktatu.

Radziłbym wam, panowie i panie, dobrze się zastanowić, zanim zaaprobujecie tego typu posunięcie.

Honoriusz Bellowern kiwał smutno głową, przybierając pozę wcielonego rozsądku i odpowiedzialności. W sali rozszalał się harmider rozmów, którego epicentrum skupiło się wokół Drillena. Po drugiej stronie wstała znana postać, machając rękami, by inni się uciszeli. Jodry niechętnie oddał

jej głos, wiedząc, że odmowa wzniesi taki hałas, że już nic nie będzie można uzgodnić. Stenwold popatrzył ostro na Helmessa Broilera.

– Cóż, i mamy, co chcieliśmy – powiedział jego dawny adwersarz, po czym powtórzył to i na sali zaległa cisza. –

Niektórzy z nas czekali na tę chwilę rok albo i dłużej, więc jestem zaskoczony, że tyle to trwało. – Westchnął żałośnie. –

Mistrzowie, czego właściwie oczekujemy? Czy naprawdę chcemy kolejnej wojny, żebyśmy mogli sobie przyznać kolejne tytuły?

Słowa „mistrz wojny” nie zostały wypowiedziane, ale Maker i tak dostrzegł głowy zwracające się w jego stronę.

– Niektóre dzielnice tego miasta wciąż podnoszą się z ruin – ciągnął Broiler głosem zmęczonego wiarusa. – Miasto Tark, jeśli was to interesuje, przynajmniej w połowie leży w gruzach i po prostu nie ma ludzi, by je odbudować.

Wyobraźcie tylko sobie! Miasto mrówkopodobnych nie ma rąk do pracy! – Dał im się przez chwilę zastanowić nad tą kwestią. – Przepraszając tych, którzy akurat nimi są: my nie jesteśmy pająkowcami. – Na te słowa nawet ktoś się roześmiał. – Jeśli są wśród nas ludzie, którzy podpisali ten traktat wyłącznie po to, by odsunąć wojnę spod naszych bram pod bramy Myny, to nie są godni, by tu przemawiać.

Wszyscy pamiętamy, jak Druga Armia stanęła u wrót miasta.

Przywołam tu pewnego mistrza wojny, który był nawet jej gościem. Czy zemściła się na nas przed wymarszem? Czy nadziała głowę mistrza Makera na pikę na odchodnym? Nic takiego się nie stało i z powodu takiej samej pobłażliwości doszło do podpisania traktatu. Czym im teraz odpłacamy? No właśnie, czym odpłacamy naszym sojusznikom z Myny, skoro prowokujemy kolejny konflikt na granicy z Imperium?

Była to zdaniem Stenwolda doskonała mowa i miał

nadzieję, że Imperium sowicie wynagrodziło za nią Broilera.

Teraz wszyscy członkowie Zgromadzenia spojrzeli na niego, on zaś zerknął na Jodry'ego, ale nie znalazł u niego pomocy.

– Każdy, kto zwróci swój wzrok na ziemię leżące za Helleronem – zaczął ciężkim głosem – przekona się, że imperialne oddziały stacjonują na granicy z Myną. – Uniósł

dłoń, by powstrzymać spodziewane protesty. – Bez wątpienia będą utrzymywać, że obawiają się agresji ze strony Mynejczyków, których niegdyś wzięły w niewolę. Wybaczcie mi, jeśli w kontekście ostatnich zdarzeń trudno jest mi dostrzec w Imperium ofiarę. To, co my widzimy w Kolegium, to krucha równowaga pomiędzy szermierzem stojącym w pozycji obronnej a jego przeciwnikiem. Jeśli jednak szermierz ten tylko lekko opuści gardę, będzie to stanowiło zaproszenie dla sił, które rozpoczęły prace nad odzyskaniem terytoriów utraconych niedawno przez Imperium. Zajęcie Khanaphes w żaden sposób nie może nas przekonać o pokojowych intencjach Imperium, które winno pamiętać, że Przymierze Trzech Miast podpisało *Traktat Złoty*. Wojna z Myną oznacza wojnę z Kolegium, czyli wojnę z całym Nizinami. Pokornie apeluję do imperatorowej, aby bardzo starannie przemyślała, czy chce iść ścieżką brata, i zastanowiła się, co się stanie, jeśli dominium Khanaphes wezwie na pomoc swoich kuzynów.

Rozległy się wiwaty, głosy poparcia ze strony pewnych swego kupców, którzy już handlowali z Imperium. Uczonych zaś bardziej obchodziło, co kto napisał sto lat temu niż okropieństwa mogące ich spotkać w nadchodzącym roku.

Stenwold odczekał, aż umilkną, skupiając się w tym hałasie na trzech osobach – Broilerze, Bellowernie i osowcu Aagenie.

Jego dłoń odruchowo zacisnęła się na rękojeści miecza, który zostawił w domu.

– Wysyłam pannę Rakespear i tego jej wielkiego faceta jak najszybciej z powrotem do Khanaphes – oznajmił Jodry Drillen po rozmowie ze Stenwoldem w jednej z prywatnych sal mieszczących się w Amphiphosie.

– Wysyłam? – zapytał Stenwold, zauważając jego ton.

– Cóż, chciałem powiedzieć: „Przecież nie mogę ich powstrzymać”. Dlatego natychmiast przeznaczyłem dla nich odpowiedni budżet i załatwiłem transport, bo może ona potrafi ocenić racjonalnie całą sytuację. Nie na wiele to się jednak zda, jeśli jej przyjaciel zacznie ciskać

osowcami, gdzie popadnie.

– Imperium aż za dobrze zna styl naszych debat –

zauważył Stenwold. – Wie, że jesteśmy lepsi w ataku niż w obronie. Nie spodziewałem się, że dowiedzą się o Mynie.

Jodry się skrzywił.

– Nigdy nie sądziłem, że to się uda. Wydział Zewnętrzny Rekefu jako jedyna imperialna struktura wzmocnił swoją pozycję. Osowcy wszędzie mają swoje oczy i uszy.

Stenwold pokiwał głową. Zapamiętał przebieg ostatniej debaty i w wolnej chwili rozbierze ją na czynniki pierwsze.

– Jodry – zaczął takim tonem, że wiadomo było, iż poruszy nowy temat – długo myślałem nad tym Roneseem Failwrightem.

– Dzisiaj by nam się przydał – odparł Drillen. – Mógłby znów zacząć popiskiwać o tych swoich statkach, żeby zbić Broilera albo tego osowca z pantałyku.

Stenwold przyglądał się z ukosa jego twarzy, obserwując reakcję.

– Zacząłem analizować całą tę sprawę związaną z transportem morskim.

– Chyba żartujesz? – Nie pojawiło się na niej nic więcej prócz zaskoczenia. – Nie mów mi, że Failwright cię skaptował...

– Nie, nie, ale... Kiedy dłużej się nad tym zastanowić, to mnóstwo towarów z Kolegium i cała masa marynarzy zniknęła ostatnio z powierzchni ziemi. Ataki piratów, zatopione statki. Nie interesuje nas to tylko dlatego, że transport kolejowy i lotniczy mają tak wielu głośnych zwolenników.

– Ty mówisz poważnie.

– W miarę poważnie. Powinniśmy przynajmniej przyjrzeć się jego skargom. Co proponujesz?

– Ja? – Jodry wywrócił oczami. – Skrzyknij kilku najemników. W Kolegium aż się roi od modliszowców z Felyalu. Wynajmij kilkoro z nich i niech zaokrętują się na jakiś statek. Wyjściem alternatywnym jest wysłanie ładunków i prześledzenie ich drogi. Oba sposoby według mnie są drogie. Naprawdę sądzisz, że coś się za tym kryje?

Stenwold nie zauważył w nim niczego – ani poczucia winy, ani podejrzenia o współudział. Oto zwykły człowiek, który nie miał ochoty zajmować się tym problemem. *A może jemu lepiej wychodziło skrywanie tego niż mnie rozszyfrowywanie?* Ale Stenwold zbudował całą swoją karierę na sztuce właściwego osądu.

– Myślę, że byłoby to mądre posunięcie – powiedział w zamyśleniu, lecz był pewien, że dając

piratom zatrute wino, spotka się – podobnie jak Failwright – z odmową jego konsumpcji.

– Coś wymyślę – powiedział na odczepnego Jodry, Stenwold jednak już planował swój kolejny ruch.

– Byłeś zajęty, jak sędzę.

Apartament znajdował się w najlepszej dzielnicy Kolegium, na szczycie budynku z widokiem na białe ściany Amphiphosu. Wcześniej pozostawał do dyspozycji gości specjalnych przewodniczącego, ale od czasu wojny stał się prywatną własnością Teornisa z Aldanraelich. Kiedy pajęczego lorda nie było w mieście, czyli dość często, przesąd nakazywał utrzymywać puste mieszkanie w nieskazitelnej czystości.

Wyraz twarzy Teornisa powiedział Stenwoldowi, że jest doskonale poinformowany o tym, co dzieje się w Zgromadzeniu. Pająkowiec należał do garstki *aristoi*, którzy zostali zatrudnieni przez uczelnię i tym samym zyskali miejsce w Amphiphosie. Uważał jednak, że rzeczywista praca z tym związana była poniżej jego godności. Przez te wszystkie lata był więc ulubieńcem Kolegium, najbardziej pożądanym gościem na przyjęciach, wyrocznią w sprawach mody, bohaterem wojennym i łamaczem serc.

– Och, nie miej takiej skwaszonej miny, Stenwoldzie –

powiedział. – Myślałem, że wy, żukowcy, lubicie sobie pokrzyczeć.

Para wystrojonych w pyszne liberie muchopodobnych rozstawiała na stole mnogość przekąsek oraz wino w karafce.

Stenwold rozmyślał markotnie nad tym, czy są niewolnikami Teornisa, czy sługami.

– Sam wiesz... – zaczął, ale po twarzy Teornisa było widać, że wie i tylko się z nim droczy.

Od czasu, kiedy Vekkeńczycy odstąpili od murów, ci jakże odmienni mężczyźni trzymali się razem. A stało się to za sprawą tego oto człowieka. Przy całym swoim bezwstydnym czerpaniu z tego korzyści to statki pająkowców ze wsparciem żołnierzy z pajęczych satrapii przerwały oblężenie.

– Wybierz miasto, jakiegokolwiek – powiedział.

– W takim razie Khanaphes. – Teornis uśmiechał się prawdopodobnie dlatego, że Stenwold nawet nie musiał

pytać go, czy słyszał najnowsze wieści. – Oczywiście należało się tego spodziewać.

– Naprawdę? – zdziwił się żukowiec, ale Teornis gestem zaprosił go, by usiadł, więc po muszemu zajęli poduszki leżące na podłodze.

– Sten, twój problem polega na tym, że zbyt długo już walczysz z Imperium – oznajmił pająkowiec, podczas gdy jeden z jego ludzi nalewał wino.

– A ty teraz mówisz jak członek Zgromadzenia –

warknął Stenwold, wywołując radosny śmiech na twarzy gospodarza.

– Chodzi mi o to, że widzisz, jak Imperium robi pozbawione sensu, pełne przemocy i okrutne rzeczy, i stwierdzasz, że osowcy po prostu zachowują się tak jak zwykle. Ale ja, będąc tym, kim jestem, pytam: dlaczego?

Stenwold zmarszczył brwi. Było to dobre pytanie, które sam powinienem był sobie zadać.

– Dlaczego Khanaphes?

Teornis pokiwał głową.

– Nie wiem, czy kiedykolwiek widziałeś to miejsce na własne oczy, ale jest to dziura pełna żwiru i wieśniaków. Och, oczywiście wzdłuż rzeki leżą tereny uprawne, ale osowcy napełniają swoje spichrze po brzegi we wschodnim Imperium. Poza tym to bardzo stara osada z własną historią, która raczej nie ma znaczenia dla nikogo, dlatego osobiście wątpię, by armia imperialna wyruszyła w te rejony, by pisać prace naukowe o jakichś skorupach. Cóż więc oni, do diabła, robią w Khanaphes?

Nie trzeba było się długo zastanawiać.

– Myślisz, że mają chrapkę na was?

– My też jesteśmy w stanie wojny z nimi, zapomniałeś?

Podpisaliśmy ten traktat tak jak wy, ale nie mamy złudzeń co do tego, że Imperium będzie długo żyło w tym kagańcu. Ty zaś wykorzystujesz ten układ jako wymówkę, Sten. Kiedy Imperium zdecyduje się w końcu podrzeć te papiery, to obawiam się, że i Solarno, i Seldis pójdą pod topór, a nie Helleron czy Kolegium. Przynajmniej nie w pierwszej kolejności.

– Musisz wiedzieć, że bronilibyśmy was.

W spojrzeniu Teornisa widać było starożytną mądrość i cynizm światowca.

– Och, mam taką nadzieję, Sten, ale nie wiem tego na pewno i – bądźmy szczerzy – ty też nie.

Stenwold pokiwał głową, popijając wino. Miało ostry, gorzkawy smak, którego się nie spodziewał, co wystarczyło, by jego podejrzliwe serce zaczęło bić szybszym rytmem dopóty, dopóki nie zrozumiał.

– Modliszkowe? – zapytał.

– To wino ma dwie cechy, które zawsze idą w parze: jest cholernie drogie i naprawdę ostre – rzekł Teornis. – Czyli przeznaczone dla wąskiego grona koneserów. Docień to, Sten.

To wino ze szczepu Felyal i zapewniam cię, że tam, skąd pochodzi, nie ma go za wiele.

Imperium spaliło ich winorośle i zniszczyło osady, pomyślał Stenwold, starając się delektować smakiem. Ale wino przypominało samych modliszowców – było ostre i nieprzejednane.

– Powiedz mi, Teornisie...

– Jeśli potrafię.

– Wy, pająkopodobni, jesteście dobrymi żeglarzami.

Prawda?

Teornis pokiwał głową najwyraźniej rozbawiony.

– Co wiesz na temat piractwa?

Tym razem ukazał zęby w uśmiechu.

– Cóż, my nazywamy je naszą narodową specjalizacją.

Ale słyszałem, że macie jakieś problemy z transportem morskim. Tak bardzo się tym przejąłeś? – Zanim Stenwold odpowiedział, dodał: – A może myślisz, że to sprawka Imperium? Wiesz przecież, że Khanaphes leży nad innym morzem.

– Wiem, ale... – *Ale w końcu, dlaczego nie?* – Transport morski Kolegium nigdy jeszcze tak nie ucierpiał. Gdyby dotknęło to szlaku kolejowego czy powietrznego, na ulicach wybuchłyby zamieszki.

Teornis pokiwał głową ze współczuciem.

– To nasza wina oczywiście, twoja i moja.

Stenwold spojrział na niego ze zdziwieniem i pająkowiec tylko machnął lekceważąco ręką.

– Och, nie w tym sensie. Ale współpraca, jaką nawiązały nasze miasta, sprawiła, że tak powiem, iż Kolegium trafiło na mapy. Na południe od Seldisu, po drugiej stronie morza piractwo to normalny sposób na życie. Niemal każdy duży dom w razie potrzeby może wystawić kilka okrętów z morskimi rabusiami. Całe porty zastawione są przez jednostki pełne szumowin całkowicie pozbawionych sumienia. Podążali za nami wzdłuż wybrzeża, aż odnaleźli te wasze niezgrabne kosze, które nazywacie statkami. Mój lud jest przyzwyczajony do potyczek z nimi, wy zaś... Sten, nie chcę cię ranić, ale twój lud naprawdę nie nadaje się do morskich podróży. Czy to pod żaglami, czy na statku silnikowym. Nic dziwnego, że stało się to rozrywką tak popularną.

Stenwold westchnął.

– Kiedy byłem dzieckiem, znaliśmy wszystkich piratów i nazwy ich statków. Było ich może z tuzin. Nienawidzono ich i obawiano się, a myśmy chcieli być tacy jak oni. Niewielu z nich, polując na inne statki, nie dało się samemu zastrzelić.

– Uwierz mi, w satrapiach jest inaczej – zapewnił go Teornis. – Jest to koszt postępu, wypłynięcia na szersze wody. Nic już z gruntu nie jest dobre. Moja rada? Niech wasi kapitanowie wynajmą sobie eskortę w Everisie. Teraz jesteśmy przyjaciółmi, więc możecie nas wykorzystać.

SZEŚĆ

To była prawda, handel morski Kolegium nie rozkwitł

po rewolucji. Bogactwo z Ziem Pająkowców – dzieła sztuki, jedwab, biżuteria – transportowano na północ jedwabnym szlakiem najpierw do Helleronu, a potem koleją bądź

statkami powietrznymi do Sarnu i Kolegium. Niewielu śmiałków ważyło się pokonać najkrótszy bok tego trójkąta: płynąć statkiem wzdłuż wybrzeża na wschód do Seldisu i Siennisu. W porcie stało teraz dwanaście okrętów znacznych rozmiarów, z których sześć pysniło się pajęczymi żaglami.

Morze było bardzo nieprzewidywalnym partnerem w interesach, więc żukowcy odwrócili się do niego plecami.

Zwykle występki szedł za pieniędzmi, ale niektóre szemrane umowy najlepiej realizowało się na uboczu, w miejscach zapomnianych przez innych. Mogły tu cumować najwyżej z dwa tuziny statków, ale strumień wpływających i wypływających jednostek: kutrów rybackich i małych statków towarowych, nigdy nie ustawał. Można było tu spotkać ryzykantów wszelkiej maści – przemysłników, szpiegów i malkontentów. A w spelunkach zbierały się wyrzutki działające na nabrzeżu i schodzące władzy z drogi.

Mimo że budynek wyglądał solidnie na zewnątrz –

typowy przykład żuczej architektury – lokal miał charakter wybitnie pajęczy. Stenwold odniósł nawet wrażenie, że bardziej kojarzył się ze stylem pajakopodobnych niż wszystkie jedwabie i wina Teornisa. Panował tu półmrok, bo okna zatrzymywały większość światła, a na suficie i ścianach wisiała udrapowana tkanina utrudniająca określenie kształtu trzech czy czterech pomieszczeń wydzielonych w środku.

Mężczyźni i kobiety siedzieli na usłanej poduszkami podłodze, rozmawiając ściszymi głosami. Dwóch poważnie wyglądających muchopodobnych przesuwano figury na ciemnej drewnianej planszy, ale w tym mroku Stenwold nie rozpoznał, w co grają. Gdzieś w zakamarkach pomieszczenia, a może nawet w piwnicy, ktoś delikatnie trącał struny instrumentu.

Oczywiście nie zjawił się tutaj pod swoim imieniem, jako członek Zgromadzenia – włożył grube drelichy i skórzany fartuch – pamiętający lepsze czasy strój wędrownego rzemieślnika. Wzmocniony czepiec siedział mu na głowie, a całości dopełniała chusta, którą mógł zarówno odgradzić się od oparów, jak i wzroku ciekawskich klientów.

Do boku przypasał miecz, nie zdając sobie sprawy, jak bardzo tęsknił za tym ciężarem. Choć w Kolegium ludzie zwykle nie chodzili uzbrojeni, a straż miejska szybko wypatrywała tych, którzy to robili, Stenwold od razu zauważył, że niemal wszyscy klienci lokalu mają jakąś broń pod ręką.

Zli mężczyźni, złe kobiety, podkopujący zasady prawa i cywilizacji dla własnego zysku. Szumowiny Nizin i krain sąsiednich. Nie potrafił opanować dziecinnego podniecenia.

Nie siedział za biurkiem ani w sali Zgromadzenia –

wykonywał zadanie, znów prowadził śledztwo. Jak za starych czasów.

Mógł wysłać kogoś innego, by zasięgnął języka. Ale komuż mógł ufać? Poza tym jeszcze nie był tak zniedołężniały, żeby nie móc się przejść w takie miejsce raz na jakiś czas.

Właścicielką lokalu była stara pajęczycza, która kurczowo trzymała się resztek gracji typowej dla jej ludu. Za miedziaka podsunęła Stenwoldowi czarę czegoś ostrego i niemal przezroczyściego.

– Nowy port, mistrzu? Jak się nazywa twój statek? –

zapytała.

– Trafiłem na rynek – odparł Stenwold ostrożnie.

– Skup czy sprzedaż?

– Obecnie spekulacja. Jeśli byłby tu jakiś klient chętny do rozmowy, to mam na zbyciu godzinę z okładem bez naglących obowiązków.

Skinęła głową.

– Usiądź sobie, mistrzu Spekulatorze, a być może dowiem się czegoś, co ci się spodoba.

Przez kolejną godzinę Stenwold dowiedział się więcej, niż mógł wykorzystać, na temat drobnych szwindli w porcie.

Gdyby chciał wejść w jakiś pokątny handelek, nieźle by zarobił, ale nie dowiedział się niczego na temat notatek Failwrighta, a jeszcze mniej w kwestii jego zniknięcia. Raz czy dwa miał wrażenie, że gdyby zrezygnował z udawanej obojętności, z zaskoczenia mógłby wydobyć coś od rozmówcy, ale był świadom, że porusza się po omacku.

Najważniejszą sprawą było niewysyłanie sygnałów ostrzegawczych tym, których starał się ujawnić.

Później spróbował tego samego w wąskim lokalu leżącym praktycznie na nabrzeżu, otwartym na morze, z lasem kolumn w środku. Wpadali tutaj na rozmowę i trunek modliszkopodobni uchodźcy oraz repatrianci. Siedzieli, opierając się o drewniane słupy, i spiskowali przeciwko swym wrogom bądź przy wtórze żałosnego śpiewu młodego mężczyzny, siedzącego w cieniu w głębi sali, snuli opowieści o swej minionej świetności. Stenwold w niepewności spędził

tam trochę czasu, ale dowiedział się niewiele.

Następnie spróbował w tawernie muchopodobnych, w której pierwsza sala była właściwie jedyłą,

w jakiej był w stanie się zmieścić. Muszcy patrzyli na niego podejrzliwie i czasami podchodzili z nowinami, zasadniczo jednak wymyślonymi na poczekaniu. Było to bardzo zamknięte środowisko, a kiedy stamtąd wyszedł, miał wrażenie, że ktoś go śledzi. Robiło się już ciemno i wiedział, że powinien wrócić do domu, ale był poirytowany swoim brodzeniem w morzu bezużytecznych informacji. Poszedł więc do jaskini hazardu znajdującej się w dawnych biurach portowych.

Spaliła je vekkeńska flota, a zarządcy portu zmienili siedzibę i do tej pory nie znaleziono instytucji, która zechciałaby odbudować to miejsce. Pusty szkielet budynku wypełniono stołami, przy których mężczyźni i kobiety różnych ras rozmawiali i grali w kości. Maker przywitał się z właścicielką, żukczycą o nieruchomej twarzy, po czym przepchnął łokciami do niewielkiego stolika, żeby sprawdzić, co wpadło w jego sieć.

Siedziało przy nim dwóch drobnych szmuglerów, których łódź zatopił konkurencyjny gang i którzy najwyraźniej mieli nadzieję, że Stenwold zainwestuje w ich nędzne umiejętności. Był jeszcze zapity staruch zmieniający co chwila wersję zdarzeń i Maker w końcu pozbył się naciągacza, dając mu kilka monet na kolejną butelczynę, po czym opadł ciężko na fotel, czując obrzydzenie do samego siebie.

Gdyby to był Helleron, już wiedziałbym to, co chciałem wiedzieć. Choć oczywiście Helleron nie miał portu, piratów ani tradycji romantycznych opowieści o korsarzach, tak popularnej w czasach jego młodości. Stenwold pamiętał

historie o nich, pieśni, a nawet sztuki. Wtedy piracki czarny bohater cieszył się sławą wśród bogatej klasy średniej Kolegium, chociaż pięciu czy sześciu znanych korsarzy – i być może z tuzin anonimowych – zupełnie rozbiło przybrzeżny handel. Po piętnastu latach to o nich zaczęły krążyć pieśni opiewające ich czyny. Była taka modliszowa kapitan znana jako Arthema, z pooraną szramami twarzą; bezwzględny Krwawa Mucha, który potrafił wyrzucić swoją załogę do nogi, jeśli choćby jeden z nich zamierzył się na niego nożem; żukowiec Gavriel Knowless ze swym statkiem *Żelazopowłoką*...

Na Stenwolda padł jakiś cień, przerywając mu zadumę.

Podniósł wzrok i ujrzał krępego żukowca opierającego się o jego stół.

– Tak?

– Laem mówił, że zadajesz pytania – zagaił.

Stenwold wzruszył ramionami.

– No i?

Już słyszał ten ton – bez względu na to, jakie były to pytania, mężczyzna nie miał zamiaru na nie odpowiadać.

– I masz pieniądze – dodał żukowiec, przypominając Stenwoldowi studenta starającego się rozwikłać zadanie z logiki. Przygotował się. – Bogaci nie powinni tu przychodzić.

Najwyższy czas, żebyś sobie już poszedł, ale sakiewkę zostaw na stole. – Położył dłonie na blacie i stanął nad Makerem, który westchnęła.

Sekundę później stół poleciał w górę i żukowiec padł do przodu, bo stracił punkt oparcia, a jego twarz z chrzęstem towarzyszącym łamanemu nosowi i przestawianym zębom spotkała się raptownie z blatem w połowie drogi. Stenwold w jednej chwili stanął na równe nogi, a wszyscy wokół aż podskoczyli i gapili się, sięgając po broń lub skwapliwie usuwając się mu z drogi.

Wielki żukowiec nie ruszał się, więc Maker stwierdził, że odesłał go w niebyt. Wbrew swej pozycji życiowej i niejakich pretensji do godnego zachowania nie potrafił opanować przyływu dumy.

Chwilę później natarło na niego kolejnych dwóch mężczyzn – żukowiec i mrówiec z Kesu, obydwaj z obnażonymi mieczami – i duma wyparowała błyskawicznie.

Nawet zbiry mają kumpli, pomyślał, wyciągnął swój miecz i czekał na nich, drugą ręką sięgając pod tunikę. *Obawiam się, że zaraz naprawdę zwrócę na siebie uwagę.* Dłoń pod płaszczem dotknęła rękojeści.

Cichy szcęk kuszy niemal umknął jego uwagi, ale jeden z mężczyzn nagle padł na kolano, klnąc i wyszarpując bełt z uda. Mrówiec obrócił się wkoło, szukając wzrokiem Strzelca, lecz gdy błyskawicznie poruszający się kształt przemknął

obok jego głowy, zahaczając o coś z plaśnięciem, zachwiał się jak pijak.

Atakującym był młody muchopodobny, który siadł na stole niemal w zasięgu jego ręki z pałką i nożem przyszykowanym do walki.

– Czas kogoś wyrzucić – oznajmił.

Keseńczyk patrzył na niego, przyciskając jedną rękę do głowy, a w drugiej ważąc miecz. Zza stołu wyszła teraz kobieta, również z rasy muchopodobnych, z małą kuszą na dwa bełty. Niewiele by zdziałała nią przy pełnej zbroi, ale mrówiec nosił wyłącznie skórzany kaftan i nogawice.

– Zabieraj go – rozkazała – i zmywajcie się.

Mrówiec podjął szybką decyzję i podniósłszy protestującego, kulejącego kamrata, zaczął ciągnąć go w stronę drzwi. Muszec zeskoczył na podłogę, sprawdzając stan mężczyzny powalonego przez Stenwolda.

– Chłopak od Backswimmera – stwierdził.

– Zawsze zatrudniał idiotów – dodała kobieta, a w jej głosie można było usłyszeć, że jest lepiej wykształcona – być może nawet od wszystkich, z którymi Maker dzisiaj rozmawiał.

Mężczyzna podszedł do Stenwolda, który patrzył na niego czujnie wciąż z mieczem w dłoni.

– Może powinien pan pójść z nami – zaproponował.

– A niby dlaczego miałbym to zrobić? – zapytał.

Kobieta przyglądała się pozostałym klientom spelunki, którzy odgrywali wspaniałe przedstawienie, udając, że nic ich to nie obchodzi. Nie celowała z kuszy w Stenwolda, co było dobrym znakiem.

– Ma pan pytania, prawda? A może po prostu jest to pański sposób na spędzenie nudnego popołudnia? – zapytał

muszec, dodając trochę nazbyt teatralnie: – Mistrzu Maker?

– ale na tyle cicho, że nikt tego nie słyszał.

Żukowiec drgnął mimo woli. No tak, najwyraźniej nie był już tak dobry w te klocki jak kiedyś. *I dlaczego mnie to dziwi, skoro jesteśmy w Kolegium? Nawet w tej mordowni jestem osobą publiczną.*

– Zatrzymam miecz – odparł ciężkim głosem.

Muszec wzruszył ramionami.

– Jak pan sobie chce. Ale jak się o tym dowie Backswimmer, przyśle tu kilku chłopaków, choćby po to, by zaleczyć rysę na swojej dumie. Sprawdźmy więc może, jak szybcy jesteśmy w nogach, co mistrzu?

Uśmiechnął się szeroko i odszedł, a Stenwold, chcąc nie chcąc, ruszył za nim. Kobieta oparła kuszę na ramieniu i po chwili też była już na zewnątrz.

W starych czasach morze znaczyło dla Kolegium więcej.

Nie było tylko drogą transportu, ale też odprawiano nad nim rytuały, do których założyciele miasta przykładali tak wielkie znaczenie. Zbudowali je ciemcy i nazwali Pathis – czy raczej nakazali swoim żuczym niewolnikom kłaść kamienie według ich planów. Ale przy całej swojej przedwiedzy nie potrafili przewidzieć rewolucji pojętnych, która pozbawiła ich władzy i pozycji i zesłała do odległych górskich samotni, gdzie wiedli pustelniczy żywot.

Lokalizację miasta wybrali jednak doskonale. Łąd łagodnie schodził tu do morza, a prądy umożliwiały cumowanie statkom kupieckim. Nieco niżej od Kolegium granica między ziemią a wodą wyglądała znacznie surowiej.

Labirynt zatoczek, niedostępnych plaż, jaskiń oraz klifów wykluczał przybicie do brzegu i ciągnął się niemal przez całą drogę do Kesu.

To miejsce, ledwo o kilometr na wschód od Kolegium, również nie zachęcało do kotwiczenia – półksiężyc z piasku i kamyków chroniony przez nierówne skalne ściany, nadgryzane co jakiś czas przez morze. Widoczne na nich lekko skośne warstwy kamienia – białego, ciemnoczerwonego, różowego, białego i czarnego – były wyższe od człowieka. Helmess Broiler czytał kiedyś teorię o wielkim kataklizmie, który nastąpił niewyobrażalnie dawno temu, podczas którego Niziny

gwałtownie oderwały się od krainy teraz nazywanej Wspólnotą, a wielka połać ziemi po prostu zniknęła pod wodą, pozostawiwszy po sobie takie urwisko z warstwami widocznymi po wieki wieków. Nie miał

zdania na ten temat, tak odległe wydarzenia nie wpływały bowiem na jego życie.

Elytria przywarła do jego ramienia, bo noc była chłodna, a wiatr od morza miotał się w tę i we w tę po zatoczce. Helmess wiedział, że nie lubi marznąć, bo narzekała nawet w łagodne zimy, ubrana w tyle warstw odzieży, ile dała rady na siebie włożyć. Teraz na przykład drżała w dwóch wełnianych pelerynach. Nalegała jednak, by tu przyjść.

Kazała wioślarzowi wrócić po nich za trzy godziny i do tego czasu trzymać się z dala pod groźbą utraty zarobku.

Mężczyzna posłał Helmessowi porozumiewawcze, sprośne spojrzenie i wrócił do wiosłowania. Romans starego pryka ze Zgromadzenia z młodą pajęczycą? W rzeczywistości było to najgorsze miejsce na schadzkę, ale Elytrii nie w głowie były figle.

– Na co czekamy? – zapytał.

Na niebie wisiała połówka księżyca, więc widział

wyraźnie, że żaden statek, oświetlony czy nie, nie rzucał

cienia na wodę. Nie słychać też było lotników ani odgłosów silnika.

– Poczekaj, najdroższy – powiedziała, przysuwając się bliżej.

Mimo drżenia uśmiecha się. Wiedział też, że planowała to od dawna. W końcu miał poznać swoich sprzymierzeńców.

Nagle poczuł, jak sztywnieje w jego ramionach. Naturalnie, widziała w ciemnościach o wiele lepiej niż on. Albo też widziałaby, gdyby była pajęczycą...

– Podaj mi lampę – zażądała.

Zapalił ją, ponieważ Elytria nie umiała obsłużyć nawet najprostszego narzędzia, i kiedy już ją dostała, podeszła do samej wody, trzymając ją przed sobą.

I wciąż żadnego statku. Helmess nasłuchiwał chłupotu wiosel czy trzasku żagli, lecz niczego nie wychwyił. Elytria wracała znad wody i w świetle lampy dostrzegł na jej twarzy triumf. *Ale nikt nie nadchodzi, moja droga, nikt...*

Wtem wydało mu się, że widzi pod taflą morza pewne lśnienie, które nie mogło być odbiciem księżyca. Coś skoczyło mu w piersi.

Trzy metry od miejsca, w którym fale pluskały o kamyki, z wody zaczęły się wyłaniać jakieś

postacie. Przybój cofnął się i ponownie uderzył o brzeg, a potem opadł. W księżycowym blasku załśnił wielki pancerz, który wprawnie wydostał się na plażę. Helmess zobaczył, jak zwierzę podnosi oczy na szypułkach znajdujących się nad stale ruszającym się aparatem gębowym i wznosi parę szczypiec zdolną przeciąć blachę.

Na popiół i zgliszcza, zaklął odruchowo. Ktoś tu nas najedzie boczkim.

Po prawej i lewej stronie zaczęły wylaniać się kolejne sylwetki, a wielki krab opadł na piasek, podkurczając szczypce niczym pięściarz rękawice. Z początku Helmess wziął jego towarzyszy za kolejne skorupiaki, ale byli to ludzie.

Równie masywni jak krab, a może jeszcze bardziej, ciężko stąpający na dwóch nogach i cali zakuci w pancerze. Helmess wypatrywał w nich jakichś znanych mu cech, ale się zawiódł

– w zbrojach wyglądających jak z kamiennych płyt byli tak samo szerocy jak wysocy i parli przez fale z przerażającą nieustępliwością. Uzmysłował sobie, że to, co mieli na sobie, nie zostało wykonane z metalu. Księżycowa poświata tańczyła na powierzchni przypominającej osłonę kraba, ale tak ukształtowanej, że żadna skorupa nie mogła jej dorównać. Jedna z postaci miała na sobie coś jaśniejszego i bardziej szorstkiego, a kiedy się zbliżyła, reszta, uformowawszy wolno szyk, stanęła za nią. Broiler usłyszał

szuranie płyt pancerza, kiedy się zbliżała. *Nieemożliwe*, pomyślał tylko. *To niemożliwe. Jak silny musiałby być człowiek, żeby... ?*

Elytria zrobiła krok do przodu i Helmess widział

wyraźnie, jak bardzo jest poruszona. *A więc to jest jej pracodawca...* – pomyślał, ale zaraz stwierdził, że musi ich łączyć coś więcej. Doświadczenie zdobyte dzięki wykrywaniu zależności między ludźmi podpowiedziało mu, że tu nie ma przywódcy. Naprzeciwko siebie stało dwoje zastępców, których zależności wciąż nie były dla niego jasne.

– Rosander – powiedziała, przydając środkowej sylabie cały ciężar.

Głowa schowana w hełmie – niezwykle mała między wielkimi naramiennikami – skinęła. Rękawice mężczyzny były zakończone szczypcami, które zaczynały się w połowie przedramienia, i kiedy ten uniosł je, Helmess uchylił się, ale Elytria ani drgnęła. Na tle olbrzymiej powierzchni pancerza Rosandera wyglądała jak dziecko.

Ukryte pod tymi szczypcami dłonie uniosły hełm z zaskakującą delikatnością i ukazała się wąska, łysa głowa z wystającą krawędzią wzmacniającą czaszkę, jakby to na niej opierał się ciężki element uzbrojenia. Mężczyzna należał do rasy nieznanego żukowcowi, a jego twarz o wysoko osadzonych kościach policzkowych, małych oczach, cienkich brwiach i wąskich ustach nie kojarzyła mu się z niczym. Pół tuzina ludzi za jego plecami wciąż skrywało swoje oblicza, patrząc na spowitą w ciemności plażę przez wąskie szczeliny w hełmach. Ściekała z nich woda, która wypływała również spod zbroi. Oprócz potwornych szczypiec, które najwyraźniej skopiowano ze stworzenia przycupniętego za ich plecami, mieli przy sobie kilka rodzajów broni. Jeden nosił miecz z jakiegoś

matowego metalu o grubym zakrzywionym ostrzu.

Helmess wątpił, by unióś tę broń choćby nawet obiema rękami.

– Melduj. – Głos Rosandera był cichy i ponury.

– Oto mój raport – rzekła Elytria i podała mu niewielki pakiet zawinięty w natłuszczoną szmatkę zabezpieczającą list przed zamoczeniem. – Edmirowi do rąk własnych.

Rosander patrzył na nią bez cienia sympatii.

– Doprawdy.

Sięgnął w jej stronę końcówką szczypców, ledwie mijając jej ramię. Pomimo osłony zakrzywionej zbrojnej rękawicy jego dłoń była nadal ogromna. Elytria ostrożnie umieściła w niej swoją przesyłkę.

– Widzę, że przywlekliście ciężki sprzęt – powiedziała, muskając palcami chropowatą powierzchnię jego zbroi. –

Cierpiętnik z ciebie, tak?

– Kiedy przyjdziemy tu naprawdę – oznajmił Rosander

– zabierzemy z sobą całą naszą siłę. Musimy się więc przyzwyczajać. – Jego język był dziwny, a rozwlekły akcent zupełnie zmieniał brzmienie samogłosek.

Zrobił kolejny krok naprzód, a pancerz na jego piersi zazgrzytał cicho. *To prawda. Helmess przestał się okłamywać. To jest kamień. Nosi zbroję z kamienia, mimo to nie pada na ziemię. Och, z pewnością w wodzie jest lżejsza, ale ciężar go nie zniechęca, o nie, to oczywiste. Kim są ci krabopodobni? I czego chcą od Kolegium?* Wstrzymał

oddech, bo ciemne oczy błysnęły w jego kierunku. W dwóch ciężkich krokach wielki morski zasłonił Helmessowi widok na morze.

– Nauarchu Rosanderze – Elytria była już przy nim –

poznaj mistrza Helmessa Broilera, naszego człowieka w mieście.

– Ładowy – Rosander zwrócił się do niego i Helmessowi udało się wykonać niewielki skłon. Na kościstej wąskiej twarzy zagościła pogarda. – Niespecjalnie wygląda. Potrafisz walczyć, ładowy?

Z tak małej odległości, czując napierającą na niego ze wszystkich stron masę tego olbrzyma, Helmess z trudem pokręcił głową. Rosander parsknął rozbawiony, choć na jego obliczu nie było widać śladu wesołości. Pomijając wąskie usta i małe oczy, jego twarz wydawała się wyrzeźbiona w ciemnym drewnie.

– Chenni! – rzucił i jakaś mniejsza postać wyszła zza jednego z jego ludzi.

Helmess zobaczył przygarbioną kobietę o patykowatych kończynach, nie większą od muszka. Była tak samo łysa jak Rosander i podobna do niego. Stała kilka kroków od giganta, ale dalej niż Helmess, którego nagle rozbawiła myśl, że gdyby nieco zbliżyła się do tamtego, jego korpus całkowicie by ją zasłonił.

– Jak idzie? – warknął Rosander w jej stronę, ale ku zaskoczeniu Helmessa jego spojrzenie nie było srogie, tylko wręcz czułe.

– Niech pan sam zobaczy, szefie – odpowiedziała. – To będzie sprawdzian. Nie wiem, czy wytrzyma pod obciążeniem.

– Wyciągnij go – polecił Rosander, po czym odwrócił

się, by spojrzeć na Elytrię.

Przerażony Helmess spostrzegł, że dziewczyna nie wie, co się dzieje.

– Wezwałam cię tutaj, byś dostarczył mój raport edmirowi, po nic więcej – oznajmiła cicho i groźnie.

– Ty mnie wezwałaś? – Rosander rozchylił wargi, ukazując małe ciemne zęby. – Za długo przebywałaś poza kolonią. Teraz wszystko się zmieniło. Nie przyszedłem tu dla ciebie, tylko ze względu na... na... Jak to się nazywa?

– Eksperyment, nauarchu – podpowiedziała mu Chenni ze wzrokiem wbitym w morze. Mówiła szybciej niż Rosander, ale z takim samym akcentem. – Mechanicy w domu są cali niespokojni, czekając na wieści od nas.

– Rosander... – zaczęła Elytria, ale on błyskawicznym ruchem przysunął dłoń w rękawicy do jej twarzy.

Broiler spostrzegł, że czekający na brzegu wielki krab usuwa się bokiem w zawiłym płasie odnóży. Zza niego z morza wylaniało się coś jeszcze, coś nieporównywalnie większego.

Było zaokrąglone z przodu i przechodziło w dwa niewielkie rogi po bokach. W fontannie wody i wodorostów zadarty nos sunął po nadbrzeżnym piasku, a oni tylko przez chwilę widzieli poruszające się odnóża skryte pod kopulastą skorupą. Helmess uznałby to zjawisko za jakiegoś morskiego potwora, gdyby nie słyszał odgłosów dobiegających z jego wnętrza – zgrzytów, szurania i stukania, które podpowiedziały mu, że tłokami nóg poruszają przekładnie i koła zębate, a nie mięśnie i ścięgna.

Kiedy morska woda ociekła z maszyny, Helmess usłyszał zgrzyt i mechaniczny stwór stanął na własnych nogach. Chenni zastygła w napięciu. Był to widok tak znajomy – każdy rzemieślnik chce, by jego urządzenie działało – że żukowiec musiał powstrzymać uśmiech, który wydawał się teraz zupełnie nie na miejscu.

Zwalisty pojazd wytrzymał, nic nie pękło. Gdy osiadł na plaży jak głaz wielkości domu, drobna kobieta wydała z siebie odgłos zadowolenia.

Raptem mechanizm zaczął hałasować, aż Helmess wystraszył się, że usłyszy ich jakieś czujne kolegiálne ucho.

Pojazd ruszył do przodu, pełznąć przez pas otoczków, ale po chwili zaczął dławić się i zgrzytać i rozległ się niedający się pomylić z niczym innym dźwięk wirującej uszkodzonej przekładni. Chenni podbiegła do zmagającej się z materiały maszyny.

– Naprawdę imponujące – oświadczyła Elytria, ale Broiler zauważył lekkie drzenie w jej głosie.

– Jak na prototyp – potwierdził niewzruszony Rosander. – Kiedy przyjdziemy, żeby odzyskać ląd, użyjemy wszelkiej dostępnej broni. Macie takie urządzenia, lądowy?

– Mamy – przyznał Helmess chrapliwie.

Myślał o armii potężnie opancerzonych ludzi, zwierząt i maszyn skrytej pod powierzchnią wody, która wypełnie na ziemi Kolegium od strony morza i rzeki, zupełnie niespodziewana i nieoczekiwana.

– To imponujące... nauarchu – powiedział, biorąc nieznane sobie słowo za tytuł. *Dziury w murach obronnych, szczytce rozrywające ciało, ślady wodorostów i krwi ciągnące się przez sale Amphiphosu... Wróg, z którego istnienia nie zdajemy sobie sprawy. A po takiej nocy, kiedy krew już spłynie do wody, kto pozbiera to wszystko? Nie Imperium... i Maker też nie.*

Nie pamiętał, kiedy właściwie stracił resztki lojalności wobec Kolegium. W jego poczynaniach jako męża stanu i przedsiębiorcy nigdy nie było wyraźnej granicy między pracą dla miasta a realizacją własnych celów. Ale minęło już sporo czasu, od kiedy zmienił się w pasożyta żerującego na miejskim organizmie. *Niech Jodry cieszy się swoim stanowiskiem przewodniczącego, bo jego kadencja może okazać się najkrótsza w historii miasta. Jeśli lud nie odda mi władzy, a Imperium będzie próbowało skarcić mnie jak psa łańcuchowego, poszukam sobie sprzymierzeńców tam, gdzie nikt się ich nie spodziewa.*

– Ześliznął się pas transmisyjny – meldowała Chenni, wróciwszy po oględzinach maszyny. – Powinam była to przewidzieć. Tu, na powietrzu, woda nie powstrzymała pędu, więc zaczął się kręcić jak szalony. Naprawimy to.

– Zejdz z powrotem do wody – rozkazał Rosander, a jego straż odwróciła się powoli i bez większego wysiłku zaczęła spychać pojazd do morza. – Zapamiętaj mnie sobie, lądowy – usłyszał Helmess i błyskawicznie spojrział na mężczyznę. Wąska, kopulasta głowa wychyliła się z potężnych ramion. – Jeśli nas zdradzisz, to te ręce cię zmiażdżą – zagroził mu gigant.

– A jeśli nie zdradzę? – wyszeptał żukowiec.

– Jestem pewien, że Elytria sporo ci naobiecowała –

odparł Rosander szyderczo. – Ale admirał i tak nagradza tych, którzy służą mu dobrze, tak jak ja.

– Będziecie potrzebować kogoś do zarządzania miastem w waszym imieniu, kto rozumie... lądowych.

– Bez wątplenia – zgodził się Rosander, ale Helmess miał nieprzyjemne wrażenie, że jest oceniany.

Dwójka muchopodobnych prowadziła Stenwolda do zakrzywionego brzegu morskiego, aż stwierdził, że co za dużo, to niezdrowo. Być może doszedł do takiego wniosku na widok wieży i zapór wodnych wciąż noszących ślady po vekkeńskim oblężeniu. Muszcy już stawiali stopy na kamiennych umocnieniach, ale on nie miał pojęcia, dokąd mogliby zmierzać, jeśli nie w miejsce, skąd nikt nie usłyszałby jego wołania o pomoc.

– No to dokąd idziemy? – zapytał ostro i coś w jego głosie ich zaniepokoiło.

Spojrzeni na niego uważnie.

– A co to takiego, mistrzu Makerze? – zdziwił się muszec, widząc w dłoni Stenwolda małe urządzenie.

– Podarunek od mojego byłego studenta – odpowiedział

żukowiec.

Mały pukołuk o dwóch lufach był zaskakująco ciężki, poza tym Maker wiedział, że jest nieskuteczny z odległości większej niż cztery metry. Mimo to był to wspaniały okaz triumfu genialnej mechaniki nad materią. Stenwold przypomniał sobie karteczkę dołączoną do broni, na której eleganckimi literami, przypominającymi kaligrafię, wydrukowano: „W podzięcie za moją edukację, której tak wiele zawdzięczam”.

– Nie pójdę dalej, dopóki nie odpowiecie mi na kilka pytań. Dokąd mnie prowadzicie?

Muszcy wymienili spojrzenia.

– Mistrzu, przecież przez cały dzień zadawał pan pytania – odrzekł mężczyzna. – Dlaczego więc nie chce pan pójść tam, gdzie można znaleźć odpowiedzi?

– A gdzie to niby jest? – Żukowiec ogarnął gestem dłoni jałową połąć brzegu.

– Niech pan spojrzy w dół – powiedziała kobieta, głową wskazując na krawędź muru.

Trzymając broń w pogotowiu, Stenwold rzucił ostrożne spojrzenie na lekko wzburzone morze. Ku swemu zaskoczeniu po drugiej stronie muru zobaczył kilka zacumowanych jednostek. Nie miał pojęcia, czy to coś niezwykłego, czy nie – nawet przez myśl mu nie przeszło, by o coś takiego spytać. Jeden ze statków był zdecydowanie większy.

– *Pływające Igrzysko Isseleemy* – pospieszył z odpowiedzią muszec. – Bicz na wszystkich hazardzistów od Tsenu do Seldisu. Cumuje tu od dziesięciu dni, by wydrenować kieszenie mieszkańcom Kolegium. Chce pan odpowiedzi, mistrzu Makerze? Zabierzemy pana tam, gdzie je pan znajdzie.

Na pokładzie było sporo ludzi, w tym wielu uzbrojonych w dość niezobowiązujący sposób. *To*

bardzo zły pomysł.

– Niektórzy nie potrafią latać – zauważył Stenwold. – A może mam skoczyć do wody, skąd wyciągną mnie jak beczkę śledzi?

– W tym celu wynaleziono drabinkę sznurową – ucięła kobieta najwyraźniej mająca mniej cierpliwości niż jej partner. – Jest pan żukowcem, więc powinien pan szybko opanować podstawowe zasady jej działania.

Mógłbym teraz sobie pójść. Ale wtedy się nie dowiem.

A nawet jak wrócę tu z gwardią miejską i przeszukam każdy statek cumujący za murami, to czy będę wiedział, czego mam szukać? Co mogę pominąć?

– Zatrzymam to i mój miecz – oznajmił, machając bronią.

– Może pan sobie zatrzymać, co pan chce, pod warunkiem że nie będzie pan tu dłużej sterczał – powiedziała kobieta i jej skrzydła ożyły.

Zeszła z muru i pofrunęła na dół z rodzącą zawiść lekkością. Jej towarzysz posłał Stenwoldowi zakłopotane spojrzenie.

– Oto cała Despard – westchnął teatralnie. – Zapala się błyskawicznie przy wszystkim z wyjątkiem materiałów wybuchowych. Mistrzu Makerze, nazywam się Laszlo. Jestem pierwszym faktorem na *Wolnym od Pływów*, którego widzi pan po drugiej stronie statku Isseleemy. Moi ludzie i ja chcemy panu pomóc, ponieważ oczekujemy w zamian pańskiego wsparcia. To naprawdę dziecinnie proste.

– Wiecie, co dzieje się ze statkami Kolegium? – zapytał

Stenwold, choć wcale nie zamierzał odkrywać swoich kart.

Laszlo wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– Och, mistrzu Makerze. My wiemy wszystko na temat statków. W końcu jesteśmy piratami.

Po tym stwierdzeniu nie mógł już wrócić. Zszedł więc ostrożnie po drabince sznurowej na pokład, gdzie dwoje muszców już ugadało sprawę ze strażnikami, a potem powędrował za nimi niżej, do ładowni, gdzie rozlegały się okrzyki i wiwaty na cześć atrakcji dostępnych na *Pływającym Igrzysku Isseleemy*.

Ten pokład barki, przekształcony w wielką salę z niskim sufitem, był dobrze oświetlony lampionami, a jego ściany przystrojono jedwabiem na modłę pająkowców. Przy dwunastu stołach klienci najróżniejszego autoramentu przegrywali swoje pieniądze w karty, bierki, a nawet obstawiając gladiatorskie zmagania dwóch skorpionów wielkości dłoni. Przynajmniej połowa z nich wyglądała jak miejscowi żukowcy i raczej trudno byłoby powiedzieć, że są ubrani niechlujnie. Stroje niektórych wyglądały nawet tak, jakby pieniądze oddawane kasynu zostały zarobione dzięki szacownemu fachowi kupieckiemu. Ich widok równoważyli muszcy, pająkowcy i przedstawiciele innych ras,

którzy mając do dyspozycji niezwykle szybko obracające się koło fortuny, zapominali o zatargach między sobą. Pośrodku sali znajdowało się podwyższenie sięgające ściany. Jedyne określenie, jakie przyszło mu do głowy na widok siedzącej tam pajęczycy, było: „intronizowana”. Była stara na tyle, że żadna sztuczka nie była w stanie tego ukryć. Stenwold podejrzewał, że zanim się urodził, ona najlepsze lata miała już dawno za sobą. Wyglądała jak kobieta trzymająca się szponami resztek własnego imperium.

Blżej dziobu, gdzie pomieszczenie zwężało się znacznie, znajdował się ciąg zakrytych kotarami łóż i tam właśnie Laszlo i Despard prowadzili Stenwolda, zatrzymując się z wyraźną niecierpliwością, kiedy ten nie potrafił się prześliznąć zrećnie przez tłum jak oni albo jakaś grupa klientów zbyt zaprzętna jego uwagę. Teraz Laszlo ciągnął go za rękaw, a on gapił się na smukłą modliszkopodobną, grającą zażarcie z trzema pająkowcami bez cienia nienawiści, jaką darzyła ich zwykle jej rasa.

Po chwili do akcji musiała wkroczyć Despard, gdyż Maker zatrzymał się, by pogapić się na trzy bladobłękitne mrówczyce, które nie siedziały przy stolikach i podobnie jak on obserwowały wszystkich z dystansem. Miały na sobie ciemne peleryny i pancerze ze stalowych łusek. Stały na tyle blisko tronu Isseleemy, że jego instynkt podpowiedział mu, iż mogą stanowić jej ochronę. Zaraz jednak zmienił zdanie.

Ambasadorki? Ich karnacja sugerowała, że były to mieszkanki Tsenu, dziwnego niewielkiego miastopństwa leżącego daleko na zachodnim wybrzeżu, aż za Vekiem.

Dlaczego więc znalazły się tutaj? Może to renegatki? Może działają na własne konto? Ale żadna z nich niczym nie przypominała najemniczki. Mrówcy porzucający swe miasta wyglądają inaczej – ich twarz odzwierciedla poczucie winy czy żalu, a u tych trzech nie było nawet śladu tego.

Despard pociągnęła go w końcu w kierunku łoża, w której nie zasunięto kotary. Siedziało tam z pół tuzina muchopodobnych, a Laszlo oddał inicjatywę łysiejacemu mężczyźnie z wielką czarną brodą – najbardziej imponującemu muszcowi, jakiego Stenwold kiedykolwiek spotkał.

– Mówią, że nazywasz się Stenwold Maker i że to coś znaczy – zwrócił się do niego.

– Co do pierwszego, to tak. A jeśli chodzi o drugie, to zależy od tego, kim jesteś i czego oczekujesz – odpowiedział

żukowiec.

Muszec sięgał mu głową ledwo piersi, ale jego stateczna postawa generała albo wojownika przywołała na myśl niebezpieczeństwo.

– Laszlo mówi, że chciałeś się czegoś dowiedzieć o morzu, mistrzu Makerze – ciągnął mężczyzna. – Jesteś członkiem Zgromadzenia, dobrze mówię?

– Jestem.

Jego odpowiedź wywołała ogólną radość i nawet jeśli niektórzy wprawili sobie złote zęby,

Stenwold starał się na to nie zwracać uwagi.

– Mów mi Tomasso – oznajmił brodac. – Mistrzu Makerze, może zechciałbyś uczynić mi ten zaszczyt i udać się do mojej kajuty, aby wysłuchać korzystnej dla ciebie propozycji?

– Do twojej kajuty?

Czyżby po tym wszystkim okazało się, że to zwykle porwanie? Stenwold przypiął pukołek do pasa, ale położył na nim dłoń. Tego typu środki ostrożności były czymś naturalnym na *Pływającym Igrzysku*. Uwaga rzucona przez Laszla na temat piractwa była obezwładniająca w swej szczerości, ale w końcu istniały granice blefu.

– Odrobina prywatności jeszcze nikomu nie zaszkodziła

– zauważył muszec. – A poza tym jest tam ktoś, kogo musisz poznać, zanim zawrzemy jakikolwiek układ.

– Cóż, masz nade mną przewagę, mistrzu Tomasso –

odparł Stenwold, spoglądając po kolei na twarze pozostałych i licząc na to, że znajdzie w nich coś, co udawało się ukryć ich panu. Nie dopatrzył się jednak żadnego śladu podstępny, tylko swoistego poruszenia. *Chcę czegoś ode mnie, to pewne.* –

Zdaje się więc, że powinien mnie pan tam zaprowadzić.

Tomasso skinął głową. Grupa muszców momentalnie ruszyła z miejsca i zaczęła przedzierać się przez tłum do miejsca na dziobie, gdzie kolejne schody wiodły na dolny pokład. Tam jednak Stenwold, który nie był w końcu mężczyzną wysokim, musiał się już schylić i wędrować przez korytarz z drzwiami po obu stronach w półmroku.

Muchopodobni nie mieli takich trudności. Po prostu sfrunęli ze schodów i ruszyli za żukowcem, jakby lecieli niezwykle przestronnym holem. Kiedy Maker napotkał innego żukowca idącego z przeciwną, musiał wcisnąć się we framugę drzwi, by go przepuścić.

W końcu wszedł za muszczami do kajuty, większej niż się spodziewał. Przy drugiej ścianie stały piętrowe łóżka, a wokół

niskiej ławy leżały niezbyt schludnie wyglądające poduszki.

Na dolnej pryczy siedziała kobieta w szarej szacie i po chwili Stenwold uświadomił sobie, że leży tam ktoś jeszcze.

Dostrzegł ogorzałą, pooraną zmarszczkami twarz oraz przerzedzone siwe włosy.

– Proszę usiąść. – Tomasso odwrócił jego uwagę, samemu zajmując miejsce na końcu ławy.

Jego kompani usadowili się wokół niego jak przykładowa rodzina. *Bo przecież są rodziną.* Spozstrzegł

to ponieważ, ale pomyślał sobie, że gdyby Laszlo zapuścił brodę i był o dwadzieścia lat starszy, wyglądałby zupełnie jak Tomasso, podobnie jak pozostali mężczyźni. Mieli takie same ostre nosy, głęboko osadzone oczy, ciemne włosy i brązową karnację. Tylko Despard była zupełnie inna – o ciemniejszej skórze, z ciemnopłowymi włosami. Dziewczyna na łóżku miała za to cerę nieco ziemistą i przypominała małego ciemca.

Stenwold usiadł na wprost nich, czując, jak broń boleśnie wrzyna mu się w brzuch. Tomasso miał zatknięty za pasem goły nóż z szerokim ostrzem, a Despard dopiero teraz złożyła ramiona kuszy. Inna kobieta przewiesiła przez pierś pas z nożami do rzucania. Mimo niskiego wzrostu wyglądali na mocną ekipę.

– No to słuchamy. Co członek Zgromadzenia robił w zakazanych portowych spelunkach, wypytując o transport morski? – zaczął rozmowę Tomasso, składając dłonie. –

Niech pan będzie z nami szczery, mistrzu Makerze. Czy to są jakieś pana prywatne machlojki, czy może straciłeś pan statek na morzu?

Koniec końców, to uczciwe pytanie. I może gdybym był

bardziej szczery od początku, wiedziałbym już wszystko bez konieczności przychodzenia tutaj.

– Twój kwatermistrz mówił, że jesteście piratami –

odparł, wskazując głową Laszla.

– Naprawdę tak powiedział? – rzekł Tomasso z błyskiem w oku. – Cóż, w takim razie najwyraźniej zapomniał, gdzie kończą się granice grzecznej konwersacji.

– Przydaliby mi się piraci albo osoby, którym nieobcy jest ten fach – powiedział beznamiętnie Stenwold, obserwując, jakie wrażenie zrobiły na nich jego słowa. Musiał

przyznać, że Tomasso potrafił maskować zaskoczenie.

– To prawda, że w przeszłości być może i paraliśmy się nieco piractwem na tych wodach, ale to było bardzo dawno temu – oznajmił, przyglądając się uważnie Stenwoldowi. –

Oczywiście w czasach, gdy jeszcze nie pływaliśmy na pokładzie *Wolnego od Pływów*, choć człowiek w pańskim wieku mógł znać nas pod inną nazwą.

Przez twarz Makera przemknął uśmiech.

– Niech mnie pan nie bierze pod włos, Tomasso, bo pamiętam pewnego muchopodobnego pirata, o którym opowiadał mi ojciec, ale pan nie jest starszy ode mnie.

Powinien się pan bardziej postarać, jeśli chce pan, żebym uwierzył, że pływał pan na *Muszej jusze*.

– Czyżby?

Tomasso wyciągnął fajkę o długim cybuchu z wrzośca i Despard podała mu ogień niewielką metalową zapalarką.

– Czy on śpi? – zapytał.

– Śpi – odparła dziewczyna w stroju ciemców. –

Spokojnie jak dziecko.

Tomasso wskazał gwałtownym ruchem głowy na starca na koi.

– To trzeci z kolei, który nosi imię Krwawa Mucha, a kiedy na zawsze zamknie oczy, co wkrótce nastąpi, ja zostanę czwartym. Musi pan wiedzieć, że wśród naszego ludu interesy to sprawa rodzinna.

Nie mógł uwierzyć. Ale na twarzy Tomassa nie znalazł

ani cienia kpiny czy oszustwa, a pozostali byli poważni jak posągi. Wodził wzrokiem od Laszla do Despard, po czym znów spojrzął na Tomassa. W głowie kłębiły mu się wszystkie opowieści z dzieciństwa i szanty sławiące piratów. Ale piraci wyginęli lub odeszli w niebyt. *A może tylko czekają na właściwy moment...*

– Skoro to jest Krwawa Mucha, to gdzie się tak długo podziewał?

– Tam, gdzie miał lepsze widoki. Odkąd Kolegium pobudowało kolej do Sarnu i Helleronu, przestało być dla nas żyłą złota. Podróżowaliśmy, mistrzu Makerze. – Tomasso zaciągnął się dymem w zamyśleniu. – Pływaliśmy wzdłuż całego wybrzeża Ziem Pająkowców. Rzucaliśmy wszystko na jedną falę, a wiatr kierował nas tam, gdzie były pieniądze. Aż w końcu po długiej żegludze znaleźliśmy się tutaj, a on jest już w takim stanie, że teraz ja powinienem zacząć snuć własne plany.

– Ale czego oczekujecie ode mnie? – zapytał Stenwold.

– Tak bardzo, że aż chcecie mi w zamian pomóc? Nie jestem bogaty. Co mam takiego, czego byście pragnęli?

Tomasso uśmiechnął się jak wytrawny łowca, który zanęcił i w końcu zwierzyna wpadła do pułapki.

– Poważanie, mistrzu Makerze – odpowiedział. – Pan ma tego całe mnóstwo.

SIEDEM

Wyruszam w podróż – wyjaśnił Stenwold.

Arianna patrzyła na niego przez chwilę, zanim zdobyła się na komentarz.

– Chodzi o sprawę Failwrighta, prawda?

– A jeśli tak?

– Nie uważasz, że nieco zbyt poważnie do tego podchodzisz? – zapytała.

– Arianno, minęło dziesięć dni, od kiedy widziano go po raz ostatni – rzekł Stenwold. – Od kiedy my go widzieliśmy.

Najwyraźniej właśnie jako ostatni. Gdyby Helmess Broiler nie przegrał wyborów, to prawdopodobnie musiałbym go teraz sam zamordować.

– Dobrze. – Złożyła ramiona. – Kiedy wyjeżdżamy?

– Ty nigdzie nie jedziesz – oświadczył stanowczo.

Podejrzewał, że Tomassowi nie spodobałoby się, gdyby musiał wziąć jeszcze jednego pasażera. Już i tak trudno było dogadać umowę z rodziną muszców. – To będzie niebezpieczna wyprawa – dodał.

– Zatem będę cię pilnować. Będzie jak na wojnie.

– Chcę, żeby ktoś tutaj miał baczenie na wszystko, kiedy mnie nie będzie.

– Jodry Drillen się tym zajmie – powiedziała z uporem w głosie.

Przypomniało się jej pewnie, jak zostawił ją ostatnim razem, przed swoją wyprawą do Wspólnoty i oblężeniem Kolegium przez OSOWCÓW.

– Nie ufam Drillenowi. Nie na tyle, żeby działał w moim imieniu – oznajmił. – Ty byś mu zaufała?

– No nie – odparła. Była na niego zła i wciąż się nie poddawała. – Dokąd teraz, Stenwoldzie?

Miał zamiar pominąć tę kwestię milczeniem, ale zobaczył, jak zastygła w napięciu.

– Gdybym ci powiedział, że banda muchopodobnych ma zamiar pokazać mi, gdzie są piraci, to byś mi uwierzyła?

– W coś ty się znowu wpakował? – Jej twarz stężała.

Niewiele brakowało, a byłby się poddał. *Przecież mogę to wytłumaczyć załodze Wolnego od Pływów. Dlaczego by nie? Dlaczego nie miałbym zabrać jej z sobą?* Jego opór powoli kruszał.

– Nic mi nie będzie – powiedział odruchowo doskonale jej znanym, uspokajającym tonem, który przestał działać na Cheerwell, kiedy ta skończyła piętnasty rok życia, nie mówiąc już o tym, jak nieskuteczny był wobec pajakopodobnych. Nie chciał, żeby coś jej się stało, ale z doświadczenia wiedział, że w wypadku Arianny tego rodzaju argument nie zadziała.

Przypomniała mu się wczorajsza rozmowa, która teraz zdawała się snem, a podczas której uśmiechnięty Tomasso rozwiewał jego wątpliwości.

– I mam uwierzyć w to, że kiedy wyruszę na polowanie piratów, dowiem się, iż piraci już od dawna polują na mnie?

– O nie, mistrzu Makerze – odpowiedział Tomasso. –

Od wielu dni przyglądamy się kilku członkom Zgromadzenia.

Mój Laszlo obserwował pański dom. Po prostu pan pierwszy zasiadł do stołu negocjacyjnego.

Stenwold zaczął się wtedy zastanawiać, czy to nie oni zabili Failwrighta. Gdyby tak było, prowadziliby zbyt skomplikowaną grę, by mógł dociec prawdy. Jego instynkt jednak podpowiadał mu, że ten przyjazny, otwarty, uzbrojony po zęby ludek był z nim szczerzy, choćby dlatego, że do tak wielu rzeczy się przyznał.

– Co macie na myśli, mówiąc „poważanie”? – zapytał. –

Niech się pan zastanowi, mistrzu Tomasso. Czyżby piraci pragnęli porzucić swoje dawne życie? Moje źródła donoszą o czymś wręcz przeciwnym.

Brodaty muszec spojrzał po twarzach krewnych.

– Życie poza prawem jest doskonałe, mistrzu Makerze.

Zajmowaliśmy statki na całym Atolu, wzdłuż jedwabnego szlaku i w zatoce Mark. I to nie jakieś podrzędne jednostki.

Ale w tym fachu nie ma przyszłości i być nie może. Żyjemy z dnia na dzień i z pokolenia na pokolenie wcale nie wiedzie się nam lepiej. Pewnego dnia szczęście nas opuści i albo pójdziemy na dno, albo zadyndamy na gałęzi. Kiedy on wyda ostatnie tchnienie, będę musiał pokierować losami rodziny, a chcę jej zaoferować życie w innym miejscu, a nie tylko na wodzie. Jesteś wielką figurą w Zgromadzeniu, Makerze. Nie mów mi, że nie możesz zapewnić nam poważania.

– W zamian za co? – zapytał Stenwold. – Co macie dla mnie?

– Niech pan wyruszy z nami do miejsca, gdzie piraci zarzucają kotwicę, mistrzu – zaproponował Tomasso. –

Znaczy się, prawdziwi piraci, wolna morska brać, której nie spotka pan przy butelczynie w tawernie w Kolegium. Jeśli ktoś zna odpowiedzi na pańskie pytania, to my potrafimy tych ludzi odnaleźć. –

Znów się uśmiechnął, szeroko, szelmowsko i szczerzył jak połyskujące ostrze. – Oczekujemy jednak za to zapłaty, mistrzu Makerze – dodał, ale kolejne słowa: „A jak nam pan nie zapłaci, to my już mamy sposoby, by pana do tego zmusić” – pozostały niedopowiedziane.

– Zostań w domu – poprosił Stenwold Ariannę. –

Zostań i pilnuj wszystkiego. Chcę, żebyś zabezpieczała mi tyły, żebyś uważała na moich wrogów.

– Wyruszam w podróż – oznajmił Stenwold.

Zaniepokojenie w oczach Jodry’ego Drillena było jak miód na jego serce.

– Wyruszasz? Dokąd? Na jak długo?

Wzruszył ramionami.

– Na dwakroć po dziesięć dni, może trzykroć. W podróż morską.

– Co takiego? Ale dlaczego?

Rozmawiali w gabinecie przewodniczącego –

prawdopodobnie nowym pokoju pracy Jodry’ego – a ten z pewnością zastanawiał się już nad zmianą jego wystroju.

Wyglądał bowiem tak, jakby ktoś przyłapał go na dotykaniu miecza ojca.

– Stenwoldzie, w morze?

– Dla zdrowia – odparł Stenwold niewinnie.

Wiedział, że nie postępuje godnie. Wyładowywał na Jodrym wyrzuty sumienia za to, że zostawiał Ariannę w domu. Ale Drillen, wkrótce zapewne nowy przewodniczący Zgromadzenia, zasłużył sobie na to.

– Czy to aby nie ma związku z szaleństwem Failwrighta?

– Dlaczego? Myślisz, że to zaraźliwe?

– Stenwoldzie, przestań! – warknął Jodry. – Nie możesz wyjechać. Potrzebuję cię tutaj.

– Już mnie nie potrzebujesz. Jesteś przewodniczącym.

– Nie oddano jeszcze wszystkich głosów.

– Ale już zostawiłeś Helmessa Broilera daleko za sobą.

Nie potrzebujesz mnie tak bardzo, żebyś nie mógł dać mi kilku dni wolnego.

Drillen spojrzał na niego dzikim wzrokiem.

Przypominał teraz wielką niezdarną muchę starającą się wydostać z zamkniętego pomieszczenia.

– Vekkeńczycy! – wykrztusił. – Kto się nimi zajmie, kiedy ty wyjedziesz?

– Ostatnio zachowują się grzecznie.

– Wcale nie! Chcą się ze mną widzieć! – wykrzyknął

Jodry. – Z tobą i ze mną – dodał niezręcznie po krótkiej pauzie.

Robak niepokoju w Stenwoldzie skręcił się.

– W jakiej sprawie?

– Nie mam bladego pojęcia. To są twoi Vekkeńczycy.

– Coś ty im zrobił, Jodry?

– O, nie, ja nic. – Grubas pokręcił głową tak mocno, że aż zadrżały mu fałdy skóry na twarzy. – Zostawiłem ich tobie, ale dziś rano widziałem, jak nagabywali mego sekretarza, by zorganizował im spotkanie ze mną. Ty mi powiedz, co się stało?

Stenwold się skrzywił. Po raz pierwszy miał ochotę zostawić Drillena samego na placu boju, ale sytuacja wymagała chyba jego obecności.

– No to spotkajmy się z nimi od razu – postanowił. –

Wyślij po nich posłańca.

– Ale...

– Przed zmierzchem wsiadam na statek, Jodry. Jeśli chcesz, żebym ci w tym pomógł, to może przejdźmy do rzeczy, bo wkrótce znikam z Kolegium.

Kiedy najbardziej prawdopodobny z kandydatów na stanowisko przewodniczącego Zgromadzenia wysłał swego sekretarza na poszukiwanie Vekkeńczyków, zwrócił się w stronę Makera:

– Co w ciebie wstąpiło? – zapytał. – Co się dzieje?

Stenwold przypatrywał się mu przez chwilę. Zasadniczo mu ufał, ale nie całkowicie. *Kiedy przychodzi mi oceniać przedstawicieli swojej rasy, nie wiem, czy mogę się zdać na mój instynkt. Z zaskoczeniem uzmysłowił sobie, że pirat Tomasso wzbudzał w nim znacznie większe zaufanie niż żukowiec z szacownej rodziny, który nigdy nic złego mu nie zrobił. Tomasso jednak nie starał się ukryć, kim jest, gdy tymczasem cała kariera Jodry'ego opierała się na pozorach. Nie mógł uniknąć gorzkiej refleksji: Podobnie jak moja.*

Drillen zmarszczył brwi.

– Najpierw chciałeś mnie wyśmiać, a teraz wyglądasz, jakbyś chciał mnie zabić. Stenwoldzie, czy... czy chodzi o twoją bratanicę?

– A co o niej wiesz?

– Wiem, że nie wróciła z Khanaphes, ale mistrz Gripshod nie wymienił jej imienia obok Manny'ego Gorgeta, więc myślę, że nadal żyje. – Troska na jego jowialnej twarzy wydawała się szczerą.

– Zaufaj mi, wiem, co robię. – Maker zręcznie wymigał

się od odpowiedzi. – Zaufaj mi też, że to, co robię, leży w interesie Kolegium.

Jodry westchnął.

– Cóż, pod tym względem twoje zasługi nie mają sobie równych. Mam tylko nadzieję, że znajdziesz to, w co wierzysz.

Właśnie w tej chwili wrócił muchopodobny, a za nim sprężystym wojskowym krokiem do sali wkroczył jeden z Vekkeńczyków. W Kolegium przebywało ich czterech, na tyle podobnych do siebie, że mogli uchodzić za braci – niskich, przysadzistych, o mocnej budowie i czarnych jak smoła.

Stenwold po długich negocjacjach nauczył się już ich rozróżniać.

– Termesie – powitał przybyłego.

– Mistrzu Makerze.

Wydarzenia, do jakich doszło podczas ekspedycji khanaphejskiej, zmieniły ich nastawienie do Stenwolda.

Kiedy jej dwaj vekkeńscy uczestnicy wrócili i podzielili się swoimi myślami z pozostałymi, nagle zaczęli z nim rozmawiać, nie sięgając od razu po miecze, a kiedy mówił, słuchali go. W tym względzie Drillen miał rację.

– Może teraz coś ustalimy – zaczął otyły członek Zgromadzenia. – Nie lubicie mnie, ale lubicie tego oto Makera, zgadza się?

Termes spojrzał na Drillena z jawną antypatią i Stenwold się wtrącił:

– Nie chodzi o to, że mnie lubią, Jodry. Oni po prostu tylko nie lubią mnie mniej niż innych.

– To prawda – potwierdził Vekkeńczyk krótko, prostując się przed obu żukowcami.

Jeśli chodzi o stosunek wagowy, to ich dwóch mogłoby zastąpić pięciu mrówkopodobnych, ale ci byli urodzonymi wojownikami. Ich mowa ciała była oszczędna, gdyż cały czas przebywali w

umysłach swych braci. Stenwold wyczuł jednak, że mówiec tym razem szykuje się do konfrontacji.

– O co chodzi? – zapytał. – Co znowu zrobiliśmy nie tak?

– Wiemy, że Kolegium spiskuje z naszymi wrogami –

odparł Termes głosem ostatniego sprawiedliwego.

– A któż to teraz jest wrogiem Veku? – zapytał

Stenwold.

– Wiemy o ambasadzie Tseneńczyków – ciągnął Termes niezrażony.

Ta odpowiedź zupełnie zaskoczyła Stenwolda. Tsen było odległym miastem mrówkopodobnych, leżącym na zachodnim brzegu. Nie utrzymywało żadnych kontaktów z Kolegium ani z Nizinami ponad te, że przysłało niewielki kontyngent żołnierzy, by wspomóc ich w walce z Imperium, co stanowiło raczej gest dyplomatyczny, niż mogło uchodzić za rzeczywiste wsparcie militarne.

– Ambasada Tseneńczyków? – zapytał.

Choć Tsen i Vek dzieliła spora odległość, między dwoma miastami mrówców w każdej chwili mogły rozgorzeć zażarte walki o każdą piędź ziemi. Mrówkopodobni bowiem nie umieli żyć w błogim spokoju.

– Słyszałeś o czymś takim? – zwrócił się do Jodry'ego.

Drillen wyglądał na speszonego.

– Cóż, mówiąc szczerze, to dzisiaj. Trójka Tseneńczyków pojawiła się praktycznie znikąd, po prostu weszli do Amphiophosu i zaczęli wypytywać, kto tu rządzi.

Stenwold popatrzył na czarnoskórego mrówca.

– Pierwsze słyszę. Jeśli są prawdziwymi ambasadorami, wysłuchamy ich, ale nie pojawili się tutaj na nasze zaproszenie. Wierzysz w to?

Mroczna twarz Termesa ani to potwierdziła, ani zaprzeczyła.

– Z pewnością mają nadzieję, że coś ugrają dzięki swojemu wkładowi w wojnę – Drillen wypowiedział to, co pomyślał Stenwold.

Maker westchnął.

– Termesie – powiedział. – Jodry i ja porozmawiamy z nimi. I wtedy bez względu na to, co nam obiecują, przyjdziemy i prześlemy ci informacje. Ale będę musiał na jakiś czas wyjechać z miasta w sprawie niemającej nic wspólnego z Tsenem, Vekiem ani też żadnym innym miastem-państwem

mrówców. – Chciał mieć pewność, że Vekkeńczycy nie uznają tego za dowód jego zdrady. – A Jodry obieca, że nie będzie podejmował żadnych zobowiązań ani składał im obietnic aż do mego powrotu. – *Albo do momentu, gdy zmęczy się czekaniem na moje ciało.* –

Jodry? W końcu jesteś naszym nowym przewodniczącym.

Potrafisz więc wytłumaczyć Tseneńczykom, jak bardzo jesteś zapracowany. Twoja nowa funkcja z pewnością wymaga podjęcia wielu decyzji.

Drillen skinął nieznacznie głową.

– O, tak. W końcu wszyscy wiedzą, jak męcząca staje się u nas biurokracja.

Termes patrzył to na jednego, to na drugiego, nie zdradzając swoich myśli.

– Gratulacje z powodu mianowania – powiedział do Jodry’ego beznamiętnie i trudno było stwierdzić, czy miał to być żart.

Tseneńczyków nie było tam, gdzie ich ulokowano.

Eleganckie pomieszczenia, które im znaleziono w Amphiphosie, nie zdradzały żadnych śladów ich bytności.

Arvi, muchopodobny sekretarz Drillena, natknął się w końcu na nich w warsztatach uniwersyteckich, gdzie już zaczęli sprawiać problemy.

Przybywszy na miejsce, Jodry i Stenwold stwierdzili, że Tseneńczycy zdążyli całkowicie opanować jedną z narzędziowni, eksmitując stamtąd w trybie natychmiastowym grupę studentów wraz ze starszym wykładowcą, prowadzącym tam zajęcia. Trzy mrówczyce rządziły niepodzielnie półtuzinem stanowisk oraz jednym młodym żukowcem, którego zagoniły w róg. Maker pomyślał, że wygląda znajomo.

Nie wyciągnęły mieczy, ponieważ tutaj w ogóle ich nie potrzebowały. Opanowała je jednak wielka agresja, zupełnie obca rasie Stenwolda. Kiedy tylko je zobaczył, stwierdził, że je zna i że właściwie mógł się tego spodziewać. Niewiele się zmieniły od wieczoru, gdy ujrzał je na pokładzie *Pływającego Igrzyska*.

Zakradły się do Kolegium jak brygandki. Bez oficjalnej zapowiedzi, bez komitetu powitalnego – trójka wojowniczek przybyłych na pokładzie pływającego pajęczego centrum rozrywki. Kiedy je zobaczył, od razu zrozumiał, o co tu chodzi. Wątpię, by statkom Tseneńczyków udało się przepłynąć przez redę w Veku, a droga lądowa była jeszcze mniej kusząca.

Odwróciły się w jego stronę, zauważając, że mimo swego stroju kroczy jak wojownik. Nie miał miecza, ale jego postawa sugerowała, że zwykle go nosi. Były podobne do siebie jak siostry, a także jak członkowie delegacji z Veku. Ich skóra barwą przypominała świeży lód, a ich twarze były masywne, z wydatną szczęką. Włożyły delikatne ozdoby –

złote przepaski na czoła i stalowosrebrzyste wisiorki, przypominające jakiś medal. Odgadł, że ten spektakl rozgrywał się na jego użytek, gdyż wśród swoich mrówcy nie musieli używać insygniów.

– Co się tutaj dzieje? – zapytał stanowczym tonem, niemal rzucając im wyzwanie. Niczego by nie uzyskał, nie odwołując się do całego autorytetu Kolegium, jaki sobą reprezentował.

– Mistrzu wojny, pomóż mi – wykrztusił młodzieniec.

Chociaż nie miały mieczy, wciskał się w kąt, jakby przystawiły mu sztych do grdyki. Stenwold skrzywił się, słysząc swój stary tytuł, ale zaraz pomyślał, że nie stała mu się przez to żadna krzywda.

– Kim jesteś? – zapytała od niechcienia jedna z obywaterek Tsenu.

Nie uniknę tego.

– Jestem Stenwold Maker, dawniej zwany mistrzem wojny, ze Zgromadzenia Kolegium – oznajmił, spoglądając im prosto w oczy i nie ustępując ani na krok. – A wy, jak mi doniesiono, jesteście ambasadorkami z Tsenu. Jednak wasze zachowanie temu przeczy.

Jodry poruszył się w drzwiach, jakby chcąc go ostrzec.

Spokojnie... Zapadła cisza, podczas której bez wątpienia wymieniały się myślami.

– Mistrzu wojny, one... – próbował wyjaśniać student, który miał dosyć wysoki głos jak na żukowca i najwyżej osiemnaście lat. Wszystko wskazywało na to, że był na ostatnim roku studiów. I każda z mrówczych mogła go złamać na pół w okamgnieniu.

– Wszystko po kolei – postanowił Stenwold. – Najpierw podejdź tu i stań koło mnie.

Młodzieniec zawahał się, ale kobiety najwyraźniej stwierdziły, że siła na nic się tu nie zda. Zrobiły więc mu miejsce i chłopak błyskawicznie stanął przy Makerze.

– A teraz słucham. Kim jesteś i dlaczego cię niepokoiły?

– Maxel Gainer, mistrzu Makerze – odparł student. – A one przyszły ukraść...

– Skoro już mowa o kradzieży – wtrąciła się jedna z Tsenenek – to może my najpierw powiemy coś na ten temat

– skończyła, kładąc dłoń na rękojeści miecza.

Z mrówcami zawsze gada się tak samo, pomyślał

Stenwold. Poczł się, jakby znów był na początku rozmów z Vekkeńczykami.

– W takim razie słucham – przystał na to. – Wyjaśnijcie wasze postępowanie. Dlaczego Tsen wysłał najmniejszą grupę inwazyjną świata, by zajęła Kolegium pokój za pokojem?

Ku jego zaskoczeniu warga Tsenenki wygięła się w błyskawicznie poskromionym uśmiechu. Mrówcy nie uśmiechają się do siebie, ponieważ wypracowali złożony system przekazywania myśli i emocji. Tylko dzięki kontaktom z innymi rasami mogli się nauczyć stosowania min i intonacji.

– Kiedyś znałem jednego Tseneńczyka – powiedział. –

Nazywał się Plius i okazał się waszym agentem, chociaż bardzo długo nie miałem o tym pojęcia. Posłał po oddziały, które miały walczyć z Imperium Os, i zginął mężnie u boku mrówców z innymi miast. Było to historyczne wydarzenie.

Może wrócimy do tej tradycji i tym razem pójdzie nam trochę lepiej? Ja jestem Stenwold Maker, a ten tu chłopak to Maxel Gainer... – Nazwisko to z czymś mu się kojarzyło, ale nie umiał powiedzieć z czym. – A pani?

– Kratia – odparła wojowniczką przemawiająca w imieniu pozostałych. Przez chwilę pokonferowała z koleżankami. – Może rzeczywiście nie był to właściwy sposób dochodzenia swoich racji – stwierdziła. – Rozumie pan, że nie nawykliśmy do kontaktów z innymi rasami.

To bezczelne kłamstwo wzbudziło mimo wszystko w Stenwoldzie szacunek. *Wystarczająco nawykły, skoro zdołały przepłynąć taki kawał na pajęczym statku. I skoro umiały cisnąć mi w twarz moje własne myśli na temat ich rasy.*

– Czego chcecie od młodego Gainera, oficerze Kratio...

– Znow nieoczekiwanie ujawniły cień emocji, co nakazało mu się poprawić: – W takim razie, dowódco Kratio?

Skinęła szorstko głową, a Maker nie przestawał

analizować ich w myślach. Nie były wojskowymi, ale szpiegami, agentami, z którymi miał do czynienia przez całe życie.

– Ten tutaj posiada sekret techniczny należący do naszego miasta – wyjaśniła – i nie możemy tego tolerować.

Jako byli sprzymierzeńcy Kolegium przeciwko Imperium jesteście pewni, że dopilnujecie jego zwrotu.

Vekkeńczycy mają sporo szczęścia, że nie przyjechały tutaj, by sprowokować ich do wojny, pomyślał Stenwold.

– Gainer, czy wiesz, o czym mowa? – zapytał głównie po to, by zyskać nieco czasu na zastanowienie.

– Mistrzu Makerze, one chcą zabrać *Tseitana* – odparł

młodzieniec. – Wszystkie plany, dosłownie wszystko!

Dziesięć lat pracy!

– Naszej pracy – zaczęła Kratia, ale Stenwold podniósł

dłoń.

– Dość. Jodry?

Nowy przewodniczący Zgromadzenia podszedł do niego pospiesznie.

– Jestem.

– Najwyraźniej jest to sprawa wielkiej wagi, bo przywiodła te panie tutaj z tak daleka. Powinieneś więc uznać ją za swoje pierwsze zadanie polityczne.

Ku swemu zaskoczeniu stwierdził, że Drillen nie miał

zamiaru narzekać z tego powodu. A może chciał tylko pokazać mrówczycom, jaka solidarność panuje między żukowcami?

– Już się tym zajmę, Stenie. Najwyraźniej nie ma to nic wspólnego z... z twoimi przyjaciółmi. Dziękuję ci za pomoc.

Stopy wody pod kilem, czy jak tam się mówi w takich sytuacjach.

Stenwold wrócił do domu i podczas kolejnej sprzeczki z Arianną dokończył pakowania. Chciała wiedzieć, dlaczego nie może jej zabrać, a on dopiero pod koniec kłótni zrozumiał, że nie „nie może”, ale nie chce. Mógł przecież nakłonić Tomassa oraz jego załogę do zabrania jej na pokład, nie spodziewał się też większych kłopotów podczas swej nieobecności. Kiedy więc ostatecznie na dnie serca odszukał prawdziwy powód, zasmucił się i zawstydził. *Skoro posiadanie młodej kochanki nie wystarczy, bym znów poczuł się młody, czy muszę powtarzać swoje dawne niepowodzenia? Czy nie jestem zbyt stary, by po raz kolejny udowodniać sobie, że tli się we mnie jeszcze ogień?* Nie umiał na to odpowiedzieć, ale trwał

przy swoim, zostawiając niepokieszoną i rozgniewaną Ariannę w domu.

Wolny od Pływów roztrącał statki handlowe, otwarcie cumując w porcie. Nie nosił pirackich oznaczeń i mówiąc szczerze, nie była to *Krwawa Mucha* z morskich opowieści, lecz jedynie wysmukły, pełen gracji jednomasztowiec, który mógłby stać się powodem do dumy jakiegoś pająkowca, służąc mu jako jacht.

Dopiero kiedy postawił stopę na pokładzie, nazwa *Tseitán* nagle nabrała sensu. Pochodziła od imienia, które powinien był pamiętać: konstruktora Tseitusa, który zginął

podczas vekkeńskiego oblężenia Kolegium; mrówca Tseitusa o bladobłękitnej skórze jak Plus czy Kratia. Tseitusa, którego podwodny statek zatopił vekkeński okręt flagowy. Jego to imieniem nazwano nowy model – poprawiony przez Gainera prototyp.

OSIEM

Łodzie są jak rasy, które je budują – wyłożył swoją teorię Tomasso.

Wokół nich załoga *Wolnego od Pływów* uwijała się, odbijając od brzegu. Spod pokładu dochodził miarowy stukot niewielkiego silnika wypychającego statek tyłem z doku, a nad pokładem furkotało pół tuzina muchopodobnych, gotowych do postawienia żagla. Niezwykle przysadzista kobieta wydawała im polecenia głosem, który mógł

konkurować z dźwiękami wydawanymi przez miotacz ołowiu.

Stenwold pokiwał uprzejmie głową, wyczuwając, że metafora Tomassa posłuży zaraz do krytyki jego ludu.

– Statki żukowców – ciągnął Tomasso, potwierdzając jego domysły – są grube, solidne i wolne, jeśli mogą tak powiedzieć. – Uśmiechnął się, błyskając złotem. – Pajęczce statki są piękne i doskonale się ruszają, ale są za cwane i nie potrafią płynąć najkrótszą drogą. Jednostki modliszowców zaś są szybkie i wściekłe i do tego nie sposób nimi sterować.

Maker wybuchnął śmiechem, choć później miał o to żal do siebie. Tomasso był wyraźnie zadowolony.

– A co ze statkami muchopodobnych? – zapytał

Stenwold. – Opowie mi pan o nich, co?

– Och, szybkie są, mistrzu Makerze, i nadają się na wszystkie morza, a do tego wykorzystają każdą sztuczkę, by dostać się tam, gdzie chcą.

Stenwold spojrział za rufę i ujrzał oddalający się port Kolegium. Był to jego pierwszy morski rejs w życiu. Do tej pory wszystkie drogi wiodły go do Imperium.

– Jeśli planujecie mnie zabić bądź porwać, to myślę, że nadszedł odpowiedni moment – stwierdził obojętnym tonem.

Tomasso ryknął śmiechem dwa razy głośniejszy od niego.

– No nie, niech pan przestanie, mistrzu Makerze, naprawdę, przecież dotrzemy słowa. Pan da nam to, co możemy pozyskać jedynie od wysoko postawionego członka Zgromadzenia i nie możemy ukraść, a my w zamian zawieziemy pana w takie miejsca, o których wiedzą jedynie łotrzy w trzecim pokoleniu. Niech pan da spokój.

Ruszył po pokładzie, zapraszając gestem Stenwolda, by podążył za nim. Fale były teraz większe, gdyż opuścili falochron, i idąc za muszkiem, żukowiec musiał łapać równowagę. Posłyszał kpiny załogi.

– To ludzie, których powinien znać – zawołał Tomasso.

– Przy sterze stoi nasz nawigator Gude. – Wskazał na szeroką muszycę, która skinęła w jego stronę głową, zachowując kamienne oblicze. – Jeśli każe panu coś zrobić, musi pan posłuchać. Może i jestem głową rodziny, ale na morzu jej głos jest ważniejszy od mojego.

Surowe zachowanie Gude sprawiło, że Stenwold uwierzył w to od razu.

– Oczywiście zna już pan Despard. W tej chwili znajduje się pod pokładem, przy silniku, gdyż tam jest jej królestwo.

Pana drugi wybawca to... – Tomasso rozejrzał się i zadudnił:

– Laszlo! Bierz tyłek na pokład!

– Jestem tu, szefie! – Młody muszec zeskoczył z takielunku bez ostrzeżenia, aż dłoń Tomassa powędrowała w stronę noża.

– Ty, hultaju, zajmij się naszym gościem i pilnuj, żeby nie wypadł za burtę. Laszlo jest kwatermistrem. Kupuje i sprzedaje towary na brzegu. Ale podczas rejsu może równie dobrze zająć się panem, więc niech pan go prosi, o co chce.

– Dziękuję.

– I wiem, co mówię, o wypadaniu za burtę. Ten statek nie został zaprojektowany pod kątem pańskiej rasy. –

Tomasso zerknął na reling, który sięgał Stenwoldowi do kolan. – Och, i powinien pan poznać Fernaeę, która nada sens odpowiedziom, jakie uzyska pan później – ciągnął

brodaty muszec, prowadząc Stenwolda i Laszla znów w stronę dzioba, gdzie stała odziana na szaro muszyca, zajmująca się śpiącym staruszką na pokładzie *Pływającego Igrzyska*. – Fern, to jest mistrz Stenwold Maker, wielmoża z Kolegium.

Skinęła mu głową powściągliwie jak ciemcy.

– Ona jest... wieszczką – zgadywał Stenwold.

– Ma pan niespotykaną wiedzę jak na żukowca, prawda?

– Można tak powiedzieć – zgodził się Stenwold.

Fernaea patrzyła na niego spięta i czujna, a Maker zastanawiał się, co skłoniło tę wizjonerkę do przystania do tej pirackiej ferajny. Nic dobrego, to pewne.

– A co z pańskim...

– ... stryjem? – dokończył Tomasso. – Isseleema jest starą przyjaciółką rodziny, co oznacza, że za mocno wypchany mieszek zgodziła się zaopiekować nim. I mogę być niemal pewny, że to zrobi. – Jego radość zniknęła bez śladu.

– Czas, mistrzu Makerze, jest mitem dla takich miglanców jak Laszlo, ale pan i ja słyszymy już odgłos jego skrzydeł w powietrzu. A on... Jego czas siedzi przy jego łóżku i czeka. I na całym szerokim oceanie nie ma takiej magii, która coś by na to poradziła.

– Przykro mi – powiedział Stenwold odruchowo.

– Wszystkim nam jest przykro – potwierdził Tomasso.

– Ale moim zadaniem jest wprowadzić nas w przyszłość. I jeśli najlepszą drogę ku temu stanowi pomoc panu, oto moja ręka.

Nie wyciągnął dłoni, więc Stenwold zaliczył ten zwrot do figur retorycznych (muchopodobnych piratów). Tomasso tymczasem przyglądał mu się krytycznie.

– Pański ubiór nadaje się tam, dokąd płyniemy. Jak na ważną figurę wystroił się pan właściwie.

Miał na sobie strój na niepogodę: kaftan ze wzmocnionego płótna i skóry z pasem na narzędzia oraz sakwy, jaki włożyłby każdy rzemieślnik idący na wojnę. Na to narzucił nieprzemakalną pelerynę, aby jak najskuteczniej zabezpieczyć się przed wodą. Wszyscy muchopodobni nosili podobne – błyszczące woskiem i oliwą, podszyte wełną.

Ubiór stosowny na deszcz i zimny wiatr. Większość wdziała też wełniane czapki. Tylko Laszlo włożył skórzany hełm, a Gude miała gołą głowę, choć morska bryza ciągnęła ją za krótkie, rozjaśnione włosy.

– Jest pan uzbrojony? – zapytał Tomasso, a kiedy żukowiec odchylił połę okrycia, by pokazać miecz, pociągnął

nosem. – Ma pan coś jeszcze?

– W bagażu – odparł.

– Dobrze. W porcie, do którego się kierujemy, nie ma co się z tym krygować.

– A dokąd właściwie płyniemy, mistrzu Tomasso?

– Do Kanaterisu.

Nazwa ta Stenwoldowi nic nie mówiła, tylko ostatnia sylaba wskazywała ewentualne położenie celu.

– Czy to nieopodal Seldisu? – Przeczesał pamięć w poszukiwaniu nazw portów leżących wzdłuż jedwabnego szlaku.

– Och, my nie płyniemy na wschód, mistrzu Makerze.

To byłoby naokoło.

– Jak to?

– Jest pan wykształconym człowiekiem, więc czyta pan mapy tak samo sprawnie jak ja. Jeśli chce się dotrzeć tam, gdzie mieszkają pająkowcy, szybciej jest popłynąć od razu na południe.

Co jest oczywiście prawdą, choć ja tego nigdy nie robiłem. Stenwold przyjął to po prostu do wiadomości, gdyż morskie podróże nigdy go nie interesowały. A to pokazuje, że na naukę nigdy nie jest za późno.

– Oświeć mnie – poprosił.

Wolny od Pływów płynął teraz dziarsko, a linia brzegowa oddalała się z każdą minutą. Mógłby powiedzieć

„znana linia brzegowa”, ale przecież nie był wilkiem morskim i nie odróżniłby nadbrzeża Solarno od Seldisu albo jakiegoś innego miasta, choćby na księżycu.

– Laszlo! – Tomasso przywołał młodego muszca. –

Potowarzysz mistrzowi Makerowi. Ja wspólnie z Gude muszę ustalić kurs.

Młodzieniec podszedł do Stenwolda dziarskim krokiem, podczas gdy słony wiatr szarpał jego pelerynę.

– Chce pan poznać tajemnicę, mistrzu?

– A jest jakaś?

– No, jakżeby inaczej? Ale skoro szef pozwala, to powiem. Dokąd by pan popłynął, chcąc robić interesy na Ziemiach Pająkowców, misz-Maker? – Laszlo gestykulował, jakby ramionami chciał objąć cały świat, a pospiesznie wypowiedane słowa zmieniły się z „mistrza Makera” w zbitkę głosek. – Cóż, oczywiście wzdłuż wybrzeża. Mając nadzieję, iż mieszkańcy Felyalu i Kesu nie są zbyt zachłanni. A potem obok Everisu do Seldisu czy Siennisu, długą, starą drogą. I handlowałby pan tam z pająkowcami, którzy ryzykują wiele na jedwabnym szlaku, jednakowoż płaciliby panu psie pieniądze za towary, ponieważ głównym zajęciem tych ludzi jest branie łapówek oraz ściąganie podatków. Proszę mi wierzyć, ja to wiem. Albo – gdyby był pan dostatecznie głupi

– podpłynąłby pan do wybrzeża pustyni i próbował sprzedać towar bezpośrednio odbiorcy. Wie pan, co się dzieje z tymi, którzy tak robią?

– Nie wracają? – domyślił się Stenwold.

Laszlo pokiwał energicznie głową.

– Nie dlatego, że pająkowcy to prawdziwe sukinkoty, rozumie pan, ale takie handlowanie to wyrok śmierci, jeśli się nie zna wszystkich myków. W końcu da pan za dużą albo za małą łapówkę, przekupi nie tego, co trzeba, powie coś, co kogoś obrazi, choć panu nie przyszłoby to do głowy, zapomni o komplementach dla damy albo pójdzie się napić nie w tej tawernie, co można. Na drugi dzień, cóż, w najlepszym razie skończy pan w kajdanach i z kupca stanie się towarem, jeśli wie pan, co mam na myśli. Dlatego też wy wszyscy dostajecie resztki ze stołu z Seldisu, i to do tego po bajońskich cenach.

– Ale wy wiecie, jak postępować z pająkowcami?

– Moglibyśmy pożeglować na wybrzeże pustynne z gołym tyłkiem, i tak uszłoby to nam na sucho, że tak powiem

– odparł Laszlo. Trudno było stwierdzić, ile ma lat. Wyglądał

na dwudziestolatka, ale jego entuzjazm był o sześć lat młodszy. – Nie musimy jednak tego robić. Są dwa powody, dla których ci, co wiedzą, z czym to się je, i tak płyną do Seldisu, misz-Maker. Kiedy traci się wybrzeże z oczu, trudno jest ustalić kurs tylko na podstawie pozycji słońca i gwiazd.

Przyplynie człowiek do brzegu i nagle znajduje się o setki mil od miejsca, w którym powinien był się znaleźć, a tu woda do picia się kończy i nie wiadomo, która rodzina rządzi w porcie.

Co więcej, są jeszcze wodorosty. W morzu też są lasy – z wodorostami tak wysokimi, że sięgają od nieprzeniknionej głębi do powierzchni wody. Jak statek w nich utknie, nie można z nich wypłynąć, a wtedy czeka człowieka tylko śmierć z głodu i pragnienia. Ale mówią, że żyją tam stwory, które skracają cierpienia zaginionym żeglarzom. Kolejnym problemem jest pogoda. Bardzo rzadko dociera się na drugą stronę, nie zaznawszy sztormu, i założę się o hellerońskie podarki, że wkrótce my też trafimy w środek zawieruchy.

Rzuci się na statek, połamie maszt, rozerwie żagle, taka to bestia. Wiatr i błyskawice, jakby niebo się paliło, fale zasłaniające słońce...

– Morscy – wtrąciła się nieoczekiwanie Gude.

Laszlo parsknął.

– Nikt w nich nie wierzy – powiedział. – I po co komu jeszcze morscy, skoro wokół już i tak szaleje burza? W

obliczu takiej pogody nadbrzeżna droga wygląda bardzo kusząco.

– Ale wy znacie drogę? – zapytał Stenwold.

– Och, oczywiście – potwierdził Laszlo. – Niech pan teraz stanie obok Gude, misz-Maker.

– Stenwold. Mów mi Stenwold – zaproponował

żukowiec, wspinając się z pokładu do steru.

Gude posłała Laszlowi ostrzegawcze spojrzenie, ale on nic sobie z tego nie robił.

– No dobrze, założę się, że wie pan, do czego służą te zabawki – powiedział.

Sprzęt był poobijany i widać było, że niejedno przeżył, lecz Maker, który był przecież rzemieślnikiem, potrafił

rozpoznać poszczególne urządzenia.

– Widzę doskonały zegar i zawieszony kompas – odparł.

– I z pomocą tych urządzeń, map, a także położenia słońca oraz dość skomplikowanych obliczeń, misz-Stenwoldzie, odnajdujemy drogę w każdych warunkach.

– I potraficie obliczyć kurs nawet przy pogodzie sztormowej, czy tak?

Laszlo wciąż się uśmiechał, ale nagle jego uśmiech zmienił się w grymas starca.

– Och, mistrzu Stenwoldzie Makerze, to jest kolejna tajemnica. – Nachylił się bliżej, zmuszając żukowca do tego samego. – Wierzy pan w magię? – zapytał.

Maker odpowiedział dopiero po dłuższej chwili.

Instynkt kazał mu zaprzeczyć – przecież żaden żukowiec nie miałby w takim momencie żadnych wątpliwości – ale on widział za dużo i spotkał przedstawicieli zbyt wielu ras, żeby słuchać go bezwarunkowo.

– Tak – wyznał w końcu niechętnie.

Uśmiech Laszla stale się zmieniał – bez najmniejszego ruchu mięśni, jak barwa morskiej toni w promieniach słońca.

– Cóż – powiedział poważniejszym tonem, a w jego głosie pobrzmiwały nuty szacunku. – Coś jest w naturze.

Trudno to zaakceptować, ale przychodzi moment, w którym trzeba stwierdzić: „Widzę coś dziwnego, co dzieje się za sprawą magii albo nie”. Mam rację?

– Masz rację – zgodził się Stenwold.

– Cóż, kiedy trafiamy na sztorm, co – jak mniemam –

wkrótce nastąpi, kładziemy maszt i Despard włącza silnik, ale to Fern ustala wtedy kurs. Ma niesamowitego nosa w tym względzie, misz-Maker. Właśnie tak *Krwawa Mucha* od pokoleń pływa po morzach i oceanach, od czasów, kiedy twoja rasa stworzyła pierwsze takie przyrządy. Nigdy nie

wyruszamy bez rzemieślnika i wróza czy przyzwoitego wsparcia dla obu, a z nimi na pokładzie jesteśmy wolni jak wiatr. Zabierzemy więc pana w ekspresowym tempie do Kanaterisu, gdzie znajdzie pan swoje odpowiedzi.

Jodry Drillen świętował. A miał co po pokonaniu Helmessa Broilera oraz kilku innych optymistów w wyścigu o stanowisko przewodniczącego Zgromadzenia. Co więcej, jego agenci zaczęli wychwalać jego rządy w całym mieście, jeszcze zanim inkaust wysechł na nominacji. Nie zamierzał skończyć jak stary dobry Lineo Thadspar, który musiał patrzeć na oblężone miasto i zginął, nim wszystko wróciło do normy.

Jodry jest gwarancją pokoju i dostatku – mówił jeden drugiemu z uniesieniem, jakby Drillen miał tych dóbr niewyczerpane zapasy i rozdawał je garściami. W jednej chwili wszyscy pokochali tego grubego, jowialnego i dobrodusznego mężczyznę, który korzystał z tego, ile wlezie.

Arianna musiała przyznać, że bywała na gorszych przyjęciach. Jodry był dobrym gospodarzem – ani zbyt jarmarcznym w swej ostentacji, ani zbyt skąpym. Znalazł

złoty środek, tak że każdy pająkowiec mógł przybyć do jego wielkiego domu i nie poczułby się w nim ani urażony, ani znudzony. Podziwiała również zestaw gości: składał się z odpowiedniej liczby członków Zgromadzenia, ambasadorów, przedsiębiorców i osób na tyle rozumnych, by rozmowy toczyły się bez przeszkód. Zaproszenie niektórych dowodziło złośliwego poczucia humoru gospodarza – znalazł się tu jeden z trudnych do rozróżnienia Vekkeńczyków, który sam, bez broni, za to z zaciśniętymi pięściami stał w rogu i bez wątpienia zdawał relację z wydarzeń swoim kolegom przebywającym w mieście. Przyczyną widocznej w jego oczach nienawiści nie był żaden mieszkaniec Kolegium, lecz kobieta z plemienia Tseneńczyków, jaka znalazła się na liście gości Drillena w celu zrównoważenia obecności przedstawiciela Veku. Było to śmiałe posunięcie ze strony nowego przewodniczącego, gdyż w otoczeniu wesołego tłumu dwójka mrówców musiała panować nad swymi animozjami.

Co lepsze, gdy w drzwiach pojawił się Helmess Broiler, został powitany po królewsku. Jodry dał w ten sposób do zrozumienia wszystkim, że Broiler nie powinien się trzymać z dala od ludzi, by uniknąć kpín. Jego przybycie wywołało ciekawskie spojrzenia i ironiczne uśmieszki przynajmniej połowy sali, a jego postawa świadczyła o zranionej dumie.

Kpiny miała uciszyć efektowna, wystrojona w klejnoty kobieta stojąca u jego boku. Uśmiech zamarł na ustach wszystkich z wyjątkiem Arianny. *Och, postanowiłeś zadbać o towarzystwo pięknej pajęczy, co? Masz szczęście, że żukowcy nie dostrzegają pewnych szczegółów, mistrzu Broilerze. Na przykład takich, że ona nie jest czystej krwi.*

Była to podła myśl, ale po wyjeździe Stenwolda miała spory zapas podłości na zbyciu i nie zamierzała się przed tym powstrzymywać.

W dużej sali rozpoczęły się występy artystyczne.

Najpierw zaprezentowali się muchopodobni akrobaci i żonglerzy, później śpiewał jakiś podstarzały pająkowiec, a następnie para żukowych błaznów obraziłyby połowę sali włącznie z Jodrym, gdyby

nie była tak biegła w swej sztuce.

Teraz pojawiła się wysoka, wiotka kobieta, w której Arianna rozpoznała przedstawicielkę szarańczopodobnych –

uciekinierkę z Imperium albo też obywatelkę Wspólnoty.

Miała ze sobą jakiś długi instrument, który nastroiła kilkoma wprawnymi ruchami, lecz w tym momencie Arianna stwierdziła, że ma już dość muzyki jak na jeden wieczór, i wymknęła się schodami na taras. Tutaj, w urządzonym ze smakiem labiryncie z trejaży porośłych podobnymi roślinami trafiła na jeszcze kilku gości, którzy albo przyszedli na schadzkę, albo zamienić kilka słów na osobności. Znalazła wolne miejsce wśród kolczastych krzaków i spojrzała na uśpione Kolegium – oświetlone latarniami ulice i jasne okna domostw.

Dziwna była świadomość, że Stenwolda tu nie ma.

Zmusiło ją to do zastanowienia się, dlaczego ona nadal tu jest.

Za plecami posłyszała czyjeś kroki i instynkt sprawił, że stężała w napięciu. Kiedyś była szpiegiem... Kościane szpikulce, w które wyposażyła ją sztuka, wysunęły się z kłykci.

– Tęsknisz za mistrzem Makerem, moja droga?

Wyprostowała się, słysząc ten głos i ton skłaniający do okazania szacunku. Istniały różne rodzaje prestiżu. Czasami budowano go w sposób zabawny, sztuczny, jak żukowcy, którzy nadawali sobie wytrwale rozmaite tytuły, aby zyskać powagę. Niektórzy jednak się z nim rodzili.

– Lordzie wojny – odpowiedziała, odwracając się.

Już wcześniej zauważyła Teornisa, jak witał się z Jodrym. Gospodarz wyglądał dzisiaj olśniewająco w białej tunice ze złotym okryciem na wierzchu, Pająkowiec zaś, zawsze pożądany gość, postanowił włożyć skromny czarny strój z czerwonymi elementami w stylu Kolegium. Jedynie między jego czarnymi lokami połyskiwał rubinowy diadem –

cóż, świetnie w nim wyglądał, więc wybaczone mu tę ostentację. Dla człowieka, który bez problemu potrafił

zdominować taki wieczór jak ten, była to czysta dyplomacja.

W porównaniu z nim Arianna poczuła się wręcz zaniedbana. Zbyt długo przebywała z dala od swego ludu, dlatego wydawała się teraz taka mała i biedna.

– Powinienem raczej poprosić cię, byś mi nie...

lordowała, ale szczerze mówiąc, to duża przyjemność spotkać kogoś, kto potrafi zwrócić się do mnie właściwie. W ciągu ostatnich miesięcy zbyt często byłem mistrzem, magnatem czy szefem pająkowców. Żukowcy nigdy nie będą umieli docenić prostoty.

Uśmiechnęła się, wciąż onieśmielona. Był *aristoi*, potomkiem rodu Aldanraelich, który posiadał wielką władzę w Seldisie i Siennisie. Ona zaś wywodziła się z plebsu, mierzwy najgorszego sortu. Wciąż była młoda, ale jej rodzina w końcu przepadła, dostawszy się pomiędzy tryby toczących spór dwóch możliwych rodów.

– Jestem zaskoczony, że zastałem cię tu samą, moja droga, bo słyszałem, że ostatnio sporo udzielasz się towarzysko. Bliższa znajomość ze starym Stenwoldem była dobrym posunięciem.

– Wątpię, żeby spodobało mu się to określenie –

odparła ostrożnie.

– No, daj już spokój. – Teornis zrobił krok do przodu i podobnie jak ona stał teraz przy tralkach tarasu, niemal dotykając jej ramieniem. – Pięknie wyglądają miasta żukowców, z tymi wspaniałymi kamiennymi ścianami i sztucznym światłem. To lud pełen sprzeczności.

Zamarła z powodu jego bliskości. I nie chodziło tu o zmysły, choć gdyby tego zapragnął, z całą pewnością skłoniłby ją do uległości, ale o czysty, obezwładniający strach, który szybko poznawał każdy nisko urodzony pajakopodobny, jeśli chciał przeżyć. „Nie zadawaj się z *aristoi*. Słuchaj ich, szanuj ich, ale przede wszystkim unikaj”

– mawiała jej matka, która zapomniała się zastosować do własnych rad.

– Ale rozmawialiśmy o społecznych korzyściach wynikających z dzielenia łoża z mistrzem Stenwoldem Makerem – ciągnął, wciąż spoglądając na miasto w dole. Na jego twarzy pojawił się pełen pobłażania uśmiech, jakby obserwował zdolne dziecko zachowujące się w tej chwili jak utracjusz. – Z pewnością nie jesteś przewrażliwiona na tym punkcie, prawda? Nie jesteś sentymentalna?

– Sugeruje pan, że my nie mamy uczuć, lordzie Teornisie? – zapytała, przełamując strach.

W tej chwili najbardziej pragnęła, by zaprzestał tej gry i spojrzał na nią jak pan z rodu *aristoi*, a potem wzgardził nią jak wstrętną renegatką, którą przecież była. On jednak uśmiechnął się do niej najszczerzym uśmiechem wyćwiczonym przed lustrem.

– To my spośród tych wszystkich ras zostaliśmy obdarzeni prawdziwym darem, czyż nie tak? Czujemy tak samo jak oni, kochamy, nienawidzimy, radujemy się, ale nigdy nie tracimy głowy ani nie zapominamy o kwestiach praktycznych. Nic dziwnego więc, że jako jedyni spośród starożytnych ras zachowaliśmy swoje domostwa i niewolników. Czuj do mistrza Makera, co chcesz, moja droga, tylko nie pozwól, by cię to ubezwłasnowolniło.

– A mnie się wydawało, że pan lubi Stenwolda.

Zaśmiał się na to z nieskrywaną rozkoszą – na ile mogła stwierdzić.

– Ależ tak, naprawdę. To niezwykle człowiek. Myśli niemal zupełnie tak jak my. Jest też lojalnym sojusznikiem, całkiem sprawnym analitykiem i wzorem dla swych rodaków.

No i kieruje się zasadami. Poza tym trudno się z nim nudzić.

Nie kpię z ciebie, Arianno. Jeśli masz zamiar wzlecieć na wyżyny na skrzydłach żukowca, to wybrałaś właściwego mężczyznę.

Skrzyżowała ręce na piersiach. Trudno było jej uwierzyć, że nie kpi, mimo szczerego wyrazu twarzy.

– Cieszę się, że pan to pochwala.

– Chociaż można by było zapytać: „I co dalej?” – Znów patrzył na miasto zatopiony w myślach. – Pewnie czujesz już ucisk prętów tej klatki, będąc tym, kim jesteś.

– A kim ja jestem, lordzie Teornisie? – zapytała stanowczym tonem, spodziewając się, że nazwie ją tłuszczą, zdrajczynią, a nawet dziwką.

– Szpiegiem Rekefu.

Aż zaniemówiła, a wyraz jej twarzy wywołał na jego obliczu chłopięcy uśmiech.

– Och, nie, już nie jesteś. Moja droga, wyglądasz na tak przerażoną, że zaczynam się zastanawiać, czy nie poruszyłem kwestii, o której istnieniu nie miałem pojęcia. Nie, nie, wiemy wszyscy, że w czasie wojny zrzuciłaś czarno-złote barwy, ale czy wydaje ci się, że ludzie o tym pamiętają?

W jej głowie pojawiła się teraz jedna myśl: że chce ją zdyskredytować tylko po to, by zniszczyć Stenwolda.

– No i co z tego? – wykrztusiła. – To żadna tajemnica.

– Przecież cię nie krytykuję – uspokoił ją łagodnie. –

Agent wyszkolony przez Rekef z wiedzą na temat struktur wywiadu Imperium... Mistrz Maker jest szczęściarzem.

Zakładając, oczywiście, że potrafi wykorzystać twoje atuty.

Znów zamilkła, choć z innego powodu. Nigdy nie zauważyła za plecami żadnego ze szpiegów Teornisa i nie przyszło jej do głowy, że ktoś przegląda papiery na jej temat.

Chociaż powinna to przewidzieć.

– W związku z pewnym... rozwojem wypadków w Imperium straciliśmy w Rekefie kilku naszych głęboko zakonspirowanych agentów. Nie żyją albo musieli uciekać.

Jest to dość kłopotliwe, jak zapewne możesz sobie wyobrazić, ponieważ zgadzamy się w całej rozciągłości z mistrzem Stenwoldem, że osowcy nie będą mościć sobie gniazda w nieskończoność.

Tym razem na tyle wydłużył ciszę, że zmusił ją do reakcji:

– Czy składa mi pan propozycję, lordzie Teornisie?

Spojrzał jej prosto w oczy.

– Dziewczyno, naprawdę jesteś jednostką zaradną.

Uciekłaś z Ziem Pająkowców, przeżyłaś kontakt z Imperium, bardzo długo pozostawałaś w konspiracji tu, w Kolegium, i wodziłaś za nos jednego z jego najsprytniejszych synów.

Następnie zrzuciłaś czarno-złoty płaszcz i wiedziesz życie na wyżynach władzy jako osoba powszechnie znana, która jeszcze do tego wsławiła się na wojnie. Nieźle jak na kogoś, kto miał w życiu tak nędzny start. Dlaczego więc jesteś zaskoczona tym, że moja rodzina chce wykorzystać twoje talenty?

– Chce pan, żebym zostawiła Stenwolda?

Pokręcił głową z sarkastycznym uśmiechem.

– O nie, moja droga, absolutnie. Najpierw pomyśl, potem mów. Byłabyś wtedy zupełnie nieprzydatna. – Uniósł

dłoń. – Zanim staniemy się świadkami sentymentalnego spektaklu, podkreślę, iż mam wielką nadzieję, że Stenwold nigdy o tym się nie dowie. W sytuacji idealnej będzie wiódł

swoje szczęśliwe życie, do końca niczego nie podejrzewając.

Jesteśmy przecież sojusznikami i, co więcej, lubię go. Lecz to nie oznacza, że moja rodzina nie mogłaby mieć blisko niego kogoś takiego, kto, powiedzmy, w odpowiednim momencie szepnie mu właściwe słówko.

– Cóż, lordzie Teornisie, pan wybaczy, że może nie wykażę się szczególnym obyciem – odparła Arianna – ale muszę poruszyć bardziej przyziemne kwestie. Jak pan sobie to wyobraża? Za ile dam się kupić?

– Za adopcję – odparł i przerwawszy ciszę, jaka teraz zapadła, przywołał jednego ze służących Jodry'ego, by ten przypalił mu fajkę.

Był to nawyk żukowców, i do tego niezbyt wyrafinowany

– chyba że folgował mu Teornis. W odrętwieniu pomyślała, że teraz stanie się modny. Dym unoszący się z mosiężnego cybucha był słodki i w niczym nie przypominał zapachu starych szmat królującego w gabinecie Makera.

– Oczywiście mówię poważnie – zaczął w końcu. – To uczciwa cena za to, co samodzielnie uzyskałaś w Kolegium.

Gdybym wykorzystał do tego zadania swoich najlepszych agentów, ich wyniki nie zbliżyłyby się do

twoich w połowie, nawet jeśli przespaliłyby się ze wszystkimi członkami Zgromadzenia. A poza tym... Czy nie jesteś nieco znudzona?

Bycie sługą jednego pana... Któryż pająkowiec cieszyłby się z takiego pozbawionego zawilosci życia? Ja zaś wolę, żebyś składała raporty mnie zamiast swoim byłym pracodawcom z Rekefu. W końcu Stenwold i ja jesteśmy po tej samej stronie.

– Adopcja... – wyszeptała.

Nikt spoza jej rasy nie rozumiałby znaczenia tej propozycji – przypominała gwiazdkę z nieba. Oznaczała, że stanie się Arianną z Aldanraelich, a to zblizniłoby wszystkie rany, jakie otrzymała od życia w dzieciństwie.

– Przemysł to – zaproponował Teornis. – Nie musisz podejmować decyzji pochopnie. W rzeczywistości nie oznacza ona nawet wyboru między mną a Stenwoldem. Mnie będziesz składać meldunki, z nim będziesz żyć – nasz układ będzie wyglądać jak biznes. I mam nadzieję, że nigdy nie zdarzy się taki moment, w którym musiałabyś się zastanawiać nad tym, komu właściwie winna jesteś lojalność.

Sklonił się jej lekko – niżej, niż mogłaby oczekiwać dziewczyna o jej pozycji, – po czym zostawił ją, by powitać serdecznie jednego z członków Zgromadzenia.

Arianna chwyciła się barierki, jakby bała się, że za chwilę przez nią wypadnie.

Stenwold znosił życie na pokładzie nie najlepiej. Ciągły ruch statku uniemożliwiał mu zachowanie równowagi i raz czy dwa niemal wyleciał za burtę. Siedział teraz załóżnie oparty o maszt, a załoga muchopodobnych latała wokół niego między takielunkiem. Płynęli już trzy dni i według Tomassa mieli bardzo dobry czas w drodze do mitycznego Kanaterisu, choć wokół nich widać było tylko morze.

To właśnie przeszkadzało mu najbardziej: od statku po horyzont tylko niebo i woda. Czuł się, jakby się w coś zapadał. *Moja rasa jest bardziej przywiązana do ziemi, niż przypuszczałem. Nawet gdybym miał z tuzin kompasów i setkę wróży, i tak trzymałbym się blisko lądu. Dziękuję państwu bardzo.* Nie podejrzewał, aby muszcy poradzili sobie lepiej niż on, gdyby spotkała ich tu jakaś katastrofa.

Wątpił, żeby jakakolwiek istota mogła dopłynąć do lądu z tego miejsca.

– Zmienia się pogoda! – dobiegł go krzyk z dziobu.

Uniósł głowę. Drobna postać w szarej szacie, Fernaea, stała z rozłożonymi ramionami, twarzą w stronę statku i z kapturem na głowie – prawdziwa ćma w miniaturze.

– Jaki kurs?! – zadudniła Gude z tyłu.

– Dwa rumby na sterburtę i przywiązać wszystko na pokładzie! – padła odpowiedź.

Stenwold zauważył, że Gude zaczerpnęła głęboko powietrza.

– Słyszeliście ją! – krzyknęła. – Przygotować się na Batoga!

Załoga, która i tak wyglądała na bardzo zajęta, wpadła teraz w jakiś amok. Wokół Stenwolda zaroilo się od marynarzy, którzy zabierali wszystko z taką werwą, że aż się zdziwił, że i jego nie przetransportowali pod pokład. Wstał, opierając się o maszt.

– Co mam robić? – zapytał.

Laszlo wylądował obok niego bez ostrzeżenia.

– Zależy, misz-Maker. Jak pan myśli, dobrze się pan wspina po linach?

– Dotychczas byłem tylko balastem.

– Balastem? Dobre marynarskie słowo – uśmiechnął się chłopak.

– Co to jest ten Batog, Laszlo?

Młodzieniec uśmiechnął się jeszcze szerzej, choć w jego twarzy widać było napięcie.

– To miejsce, gdzie zaczyna się sztorm. Tylko my jesteśmy na tyle głupi, żeby się tam pchać. Niech pan podejdzie na chwilę. – Poderwał się, a Stenwold ciężko ruszył za nim w pobliże Fernaei.

– Jakie wieści, Fern? – spytał Laszlo. – Kiedy się zacznie?

Trzymała się relingu i wpatrywała w dal, ale kiedy krzyknął do niej, zerknęła za siebie. Stenwold był zaskoczony, widząc, że oczy ma błękitne, a nie białe jak zwykle u ciemców.

– Sam zobacz – odparła.

Niebo na wprost *Wolnego od Pływów* gasło błyskawicznie. Ciemność gromadziła się na nim jak chmara szarańczy – wielkie tumany chmur przesłaniających błękit.

Wiatr również przyspieszył, dmąc niczym bladolicy herold burzy.

Makerowi przypomniał się dzień, w którym zniszczyli *Dumę* o kilka kroków od Helleronu. Silnik lokomotywy wywołał burzę, eksplodując i zwracając swój grom niebu.

Załoga za jego plecami refowała żagiel. Już nie latała jak popadnie, ale przeskakiwała z jednej liny na drugą, a wicher miotał nią na wielkiej połaci płótna. Zauważywszy, że część muszców przywiązuje się do pokładu linami, Stenwold zapytał:

– Nie powinienem też tak zrobić?

– A potrafi pan latać? – zapytał Laszlo.

– Nie!

– No to nie ma sensu. Wypadnie pan za burzę, a my i tak nie zdołamy pana wciągnąć z powrotem podczas Batoga.

Nasi ludzie zaś mogą sobie przez chwilę polatać w powietrzu, zanim przyjdzie się im na pomoc. Lepiej będzie, jak zejdzie pan pod pokład, misz-Maker.

Stenwold zacisnął zęby.

– A czy w ogóle mogę coś zrobić? Mam już dość bycia wyłącznie niepotrzebnym bagażem.

Uchylił się, kiedy coś zniecacka świsnęło mu nad głową, i w tej samej chwili Tomasso zatrzymał się koło nich z poślizgiem.

– Niech ktoś kopnie tę idiotkę Despard! – krzyknął. –

Żagiel zrefowany, a silnik ani drgnie i mamy jakieś dziesięć minut, żeby to naprawić.

Laszlo i Stenwold spojrzeli po sobie. Nad ich głowami właśnie zapadał przedburzowy zmierzch.

– No, przy tym mogę pomóc – oświadczył żukowiec i pospieszył do włazu, z zawiścią patrząc za Laszlem, który zniknął w nim z nieosiągalną dla niego szybkością.

Stawał właśnie na trzecim stopniu, kiedy coś walnęło w statek, aż zadrżały wszystkie deski pokładu. But zsunął się mu ze schodka i resztę drogi też pokonał w jednej chwili, zasłaniając tylko ramieniem twarz przed bólem w wąskim zejściu. Laszlo wisiał w powietrzu nad jego głową w całkowitym bezruchu, chociaż ściany korytarza poruszały się wokół niego.

– Co to było? – zapytał Stenwold, mimo że sam już się domyślił.

– To właśnie Batog! – oznajmił Laszlo i odwrócił się, zmuszając żukowca, by poszedł za nim niemal zgięty wpół z powodu panującej tu ciasnoty.

Maker słyszał, jak członkowie załogi biegają pod pokładem, kierując się do luku bagażowego, by poprzywiązywać wszystko i przetrwać burzę w osłoniętym przed deszczem miejscu. Miał tylko nadzieję, że zła pogoda nie wejdzie tu za nimi.

Nagle znaleźli się w pomieszczeniu na tyle dużym, że mógł się wyprostować. Domyślił się, że dotarli do rufy. Po śladach mocowań na ścianach rozpoznał, że niegdyś stała tu wielka machina parowa, ale zastępujący ją silnik olejowy był

o połowę mniejszy i to właśnie dzięki temu Stenwold mógł

poruszać się tu swobodnie. Maszyna powstała w Kolegium i była nieustannie modyfikowana przez

sprawne palce mechaników. Zasłaniała Despard niemal w połowie, kiedy ta klęczała przy niej w goglach, z kluczem francuskim w ręku.

– Szef chce wiedzieć, dlaczego tu tak cicho – oznajmił

beztrosko Laszlo.

Posłała mu paskudne spojrzenie, jeszcze wyrazistsze przez okulary ochronne.

– Zatarł się tuż po wypłynięciu z portu, dasz wiarę?

– Myślę, że szef wolałby, żeby ruszył, Despota.

Niezmacony spokój Laszlego zaczynał działać Stenwoldowi na nerwy i nie wyobrażał sobie, jak muszycy udawało się tak długo pływać z nim na jednym statku.

– Mogę jakoś pomóc? – zapytał.

– A znasz się pan na silnikach?! – odkrzyknęła.

Pominał szczegółowy opis swojej uniwersyteckiej edukacji i odpowiedział:

– Tak. Co mam robić?

– Niech pan podaje mi narzędzia i przytrzymuje, kiedy każe. I niech pan wali Laszlego po głębie, kiedy tylko ją otworzy – zażądała, po czym zniknęła za maszyną.

Statkiem znów zabujało tak mocno, że podłoga zaczęła się poważnie odchyłać od poziomu. Maker poszedł do silnika, przytrzymując się pozostałości po kotle parowym. Podawał

narzędzia Despard za każdym razem, kiedy rozlegał się jej rozkazujący głos. Słyszał, jak cały *Wolny od Pływów* skrzypi i jęczy, targany podmuchami wiatru, a deski napierają na siebie z całej siły. Podłoga pod jego stopami była w ciągłym ruchu – podskakiwała i przekrzywiała się niespodziewanie. I za każdym razem, kiedy jej pozycja się zmieniała, dwójka muchopodobnych instynktownie wzlatywała w powietrze. On zaś mógł jedynie wczepić się w coś, przeklinając ograniczenia swego gatunku.

– Cofnij się! – krzyknęła Despard.

Stenwold robił, co mógł, by wcisnąć się w róg pomieszczenia, kiedy furkocząc skrzydełkami dla zwiększenia siły ciągu, szarpała za dźwignię tak dużą jak ona sama.

Silnik obudził się z rykiem, wypełniając pomieszczenie zapachem spalenizny. Żukowiec jakimś cudem usłyszał w tym huku głos Fernaei, wysoki i czysty wśród skrzypiących desek oraz świszczących lin. Nawet dudniące odpowiedzi Gude przycichły, ale wskazówki wizjonerki przedzierały się przez wicher jak w koszmarze. Wyobraził sobie, jak stoi na samym dziobie, wczepiona w reling, ze wzrokiem utkwionym w niebo, a wicher szarpie nią i ciągnie za szare szaty –

i mimo to, tylko sobie znanym sposobem, odnajduje drogę w nawałnicy. *Bezsprzecznie wspierana przez myśl techniczną Kolegium. Ci muszcy pozyskali to, co najlepsze, z obu światów. Nic dziwnego, że przetrwali na morzach przez trzy pokolenia.*

Statkiem znów targnęło, a wibracja silnika zaczęła nakładać się na drżenie drewna, kiedy *Wolny od Pływów* stanął gwałtownie pod wiatr. Pod pokładem rozległ się taki dźwięk, jakby zagotowało się w wielkim kotle, jakby wrząca w nim woda syczała i parowała jednocześnie. Dopiero po chwili Stenwold uzmysłowił sobie, że to deszcz wściekle lunął na deski pokładu tuż nad jego głową. Statek zadudnił, kiedy walnęła w niego kolejna fala wiatru, a woda zaczęła ściekać po schodach, obmywając im stopy.

– Toniemy?! – wykrzyknął.

– To tylko deszcz, misz-Maker! – uspokajał go Laszlo. –

Jak się zrobi nieciekawie, to zaczniemy pompować.

Stenwold poszedł do wyjścia, mając szczerzy zamiar wydostać się na pokład. Dwoje muszców zawołało coś do niego.

– Nie mogę tu zostać! – zahuczał.

Dźwięki dochodzące z góry były wprost trudne do wyobrażenia. Wiatr wył w linach, a woda spadała na pokład z łoskotem. Wolał nie myśleć, jak musi to wyglądać w rzeczywistości. Wcale nie byłby zaskoczony, gdyby zobaczył

trzy morskie potwory wyrywające sobie statek ze szczyptic.

Ale gorsze od tego widoku było tkwienie tutaj, pod pokładem, i całkowita niewiedza o tym, co dzieje się naprawdę. Deski pod jego stopami tarły o siebie i przemieszczały się, wyginając się to w jedną, to w drugą stronę. Morze. Czuł, jak stara się go dopaść, szarpiąc burty zębiskami i rwąc pazurami.

– Jak pan tam wyjdzie, w jednej chwili wypadnie pan za burtę! – ostrzegł go Laszlo. – Większość załogi jest już pod pokładem. Zostały tylko Fern, Gude i może ze dwóch pomagających przy sterze. Reszta siedzi albo w kajutach, albo w luku bagażowym.

– A jak zaczniemy tonąć? – zapytał Stenwold.

– To pójdziemy na dno! – wykrzyknęła Despard.

Nagle nogi same ugięły się pod żukowcem i klapnął w wodę, która przelewała się to tu, to tam, jakby zazdrościła falom na zewnątrz. *To tylko pokazuje, jak bardzo odwróciliśmy się od morza*, pomyślał. Nigdy się nie zastanawiał nad tym, jak to jest, kiedy człowiek się topi. Ani razu. Teraz jednak ta groźba stała się tak przerażająco realna, że poczuł, jak wszystko ścisza mu się w środku. Często rozmyślał, jak to jest zginąć od miecza, spłonąć od żądał

osowców albo spaść na ziemię, kiedy zawiedzie balon na gorące powietrze, ale nigdy o tym. Nawet

nie podejrzewał, że może go wciągnąć ziejąca pod nim czerń lodowatej morskiej wody.

– Dokąd wiatr nas gna? – zapytał. – Na jaki brzeg?

– Wiatr nigdzie nas nie gna, skoro działa silnik! –

odkrzyknęła Despard.

– Albo – dodał Laszlo – może nas zagnać tam, gdzie nikt nigdy nie dopłynął. Kiedy nadchodzi Batog, zaciąga cię wprost na pełne morze. Przy odrobinie szczęścia ciało marynarza może wypłynąć przy wybrzeżu Atolu. Ale jeśli go się nie ma... to nikt już nie zobaczy ani ciebie, ani twego żagla. Niektórzy mówią, że tam, daleko za horyzontem, jest całe cmentarzysko martwych statków. Może pewnego dnia wypadałoby to zobaczyć...

Stenwold wczepił się w klamry po starym silniku. Nie dręczyła go żadna przypadłość w rodzaju choroby morskiej, o której tyle słyszał. Żukowcy z zasady mieli żołądek strusia i nawet kołysanie nie mogło ich zmóc. Jego cierpienia miały wyłącznie podłoże lękowe. *Nie mam czego tu szukać. Nic tu po mnie*, myślał. Jego rasa nie należała do stworzeń morskich, a mistrz Failwright niech się powiesi, jeśli jeszcze żyje. *Dlaczego wydawało mi się, że to dobry pomysł?*

– Powiedzcie mi... – musiał się odezwać, by przestać myśleć o zachłannych wodach. – Wybrzeże Atolu, byliście tam?! – zagadnął i można by sądzić, że to zwykła pogawędka, gdyby nie fakt, że wrzeszczał z całych sił, żeby przekrzyczeć odgłosy sztormu.

– My nie! – odpowiedziała Despard. – On robił tam dużo interesów, jak sądzę, ale kontakty szefa ograniczają głównie do Plaży.

– Ma na myśli wybrzeże Ziem Pająkowców, misz-Maker

– wtrącił się Laszlo.

Podłoga przekrzywiła się o dobre trzydzieści stopni i Stenwold zręcznie chwycił się czegoś, by nie zsunąć się w dół.

Muszczy zaś ponownie wzlecieli w powietrze. Żukowiec znów poczuł piekącą zawiść.

– W takim razie nigdy nie byliście w Tsenie? – zapytał.

Tsen. Polityka Kolegium. Interesy z Vekkeńczykami. O

wszystkim, byle nie o morzu. Byle nie o łapczywym, zachłannym morzu.

– Nigdy. Ale słyszałem o tym miejscu – stwierdził

Laszlo. – Dlaczego pan pyta?

– Słyszałem, że mają tam takie... takie ciekawe łodzie –

wykrztusił Stenwold.

Teraz woda wpadła pod pokład rwącą rzeką. Despard podfrunęła do silnika i coś przy nim poprawiła.

– To szaleńcy! – zawołała przez ramię.

– Podwodniaki! – wykrzyknął Maker, jakby było to najgorsze przekleństwo.

– Chodź tu, żukowcu, i zrób coś pożytecznego! – padła jedyna możliwa odpowiedź.

Podciągnął się do niej i zobaczył, że zamontowała jakieś urządzenie z rączką.

– Weź to w swoje wielkie łapska i do roboty! –

rozkazała. – Pompuj, żukowcu, pompuj!

– A dokąd wycieknie ta woda?

– Na zewnątrz! Mamy tutaj system zaworów zwrotnych.

Nie przejmuj się, wszystko wylatuje, nic nie wlatuje do środka.

Zaczął pompować i zdziwił się, że jak na urządzenie zaprojektowane do użytku muszców pracuje ono nadzwyczaj ciężko. Despard zaś zakrzyknęła w duchu poprzedniej konwersacji:

– Podwodniki, mówisz?!

– Tak słyszałem!

– Cóż, ja też – przyznała. – Ale nigdy w to nie wierzyłam. Dziwne rzeczy gadają na Atolu. On też opowiadał

kiedyś Tomassowi, bo teraz to by się nawet tam nie zbliżył.

Mówią, że tam jest inny świat. Że są porty, których nie znajdziesz na żadnych mapach! Morscy, którzy śpiewają ci na skałach, a potem grają twoimi kośćmi w kręgle!

Stenwold zatracił się w miarowym ruchu pompy. A ponieważ nie widział efektów swej pracy, bo woda wciąż obmywała mu buty, pomyślał, że zakpiono sobie z niego – a może kazano mu to robić, żeby przestał myśleć o głupstwach.

Próbował skupić się na ambasadorkach z Tsenu i stratach, jakie poniesie Kolegium, jeśli Vekkeńczycy odwrócą się teraz od niego. Ale natychmiast uzmysłowił sobie, że tu i teraz ma to gdzieś. Mógłby wrócić do domu i nawet zobaczyć czarno-złote proporce powiewające nad Amphiphosem. Jedyne, na czym mu obecnie naprawdę zależało, to stanąć na suchym lądzie.

DZIEWIĘĆ

Helmess Broiler przyjął pozycję półleżącą. Nie był zbyt szczupły, a żukowcy przeważnie siadali na drewnianych krzesłach z wysokimi oparciami, od czego po jakimś czasie bolały go kark i ramiona. Był też zbyt niezgrabny, by ułożyć się na kanapie jak pająkopodobni, a tym bardziej kucnąć na podłodze jak muszcy. Zainwestował więc w wielki wyściełany fotel, nazywany w Kolegium akademickim, gdyż świetnie nadawał się do zgłębiania wiedzy. Nie wyglądał zbyt okazale jak na fotel członka Zgromadzenia, ale przynajmniej był

wygodny. Pocieszał się, że Elytria – jak mu się wydawało, w geście uwielbienia – usiadzie u jego stóp, a on położy dłoń na jej puszystych włosach i będzie je gładził, co było niezwykle przyjemne.

Właśnie w takiej pozie powitał Formana Sandsa.

Zabójca był ubrany niezobowiązująco, lecz dobrze – wyglądał

jak skromny, ale cechujący się dobrym gustem kupiec.

Helmess odczuwał zadowolenie na myśl o tym, że gdyby jakiś niechciany gość wpadł teraz do jego domu i odkrył w nim mordercę do wynajęcia, to zastałby Sandsa na przeglądaniu książek czy podziwianiu jego kolekcji sztuki. Świadomość, że Sands był tak cywilizowany, była niezwykle krzepiąca.

– Czy ma pan dla mnie jakieś wieści, panie Sands? –

zapytał.

Mężczyzna pokręcił głową o nieprzeniknionej twarzy jak kupiec, który informuje właśnie klienta, że towaru chwilowo nie ma w magazynie.

– Szukaliśmy, pokonaliśmy nawet połowę drogi do Veku, mistrzu Broilerze. Nigdzie nie ma po nich śladu.

Helmess doskonale odgrywał wielkoduszność, gdyż Elytria już wcześniej powiadomiła go, iż Stenwold pozostaje nieuchwytny. Machnął wspaniałomyślnie ręką.

– Cóż, będą inne okazje. Prędzej czy później zatopisz swoje szpony w Makerze, na lądzie czy na morzu.

– Jak sobie życzysz, mistrzu Broilerze – odrzekł Sands, wykonując lekki ukłon. – Ma pan dla mnie coś jeszcze?

– Poczekaj tylko na... Nie, zaraz. Byłbym wdzięczny, gdybyś kazał jednemu ze swoich ludzi popytać w porcie, czy ktoś zna statek, na którym odpłynął Maker. Ciekaw jestem, z kim on się teraz zadaje.

– Sam się tym zajmę – obiecał Sands, wciąż zachowując się jak zwykły człowiek interesu. Nie poruszył nawet kwestii finansowych. Wiedział, że Helmessa stać na to, a prawdziwi ludzie interesu

nie muszą zniżać się do takich szczegółów –

jeśli oczywiście nie jest to naprawdę konieczne.

Trafił mi się jak w korcu maku, pomyślał Broiler, kiedy Sands wycofał się z pokoju. Gdzie mógłbym znaleźć mordercę, którego nie wstydzilibym się przedstawić własnej matce?

– Tak jak mówiłaś – stwierdził. – Czy twoi ludzie na pewno przeszukali wybrzeże w obu kierunkach? Wschodnim i zachodnim?

– O, tak – zapewniła go Elytria. – Znaleźli statki, ale żaden nie wyglądał jak tamten. Swoją drogą ten twój mistrz Maker powinien grać teraz w kości z krabami. Musi mieć sprytnych przyjaciół.

– Myślisz, że wysadzili go gdzieś blisko na ląd? Maker był agentem wywiadu podczas wojny, mógłby więc próbować pójść śladem Failwrighta, bo wszyscy przecież myślą, że tamten wyjechał. Bez wątpienia pojawi się wkrótce w Kolegium w przebraniu i będzie zadawał pytania.

Powinienem kazać Sandsowi wypatrywać go w mieście.

– Albo... – Oparła się o jego nogi, a on powiódł palcem po jej twarzy.

– Albo?

– Albo wypłynęli w morze, Helmessie. Po prostu wypłynęli w morze.

Zastanowił się nad tym. Zanim zaangażował się w tę sprawę z nią, jak prawdziwy naukowiec sprawdził wszystkie ewentualności. Znał morskie szlaki biegnące z Kolegium do znaczniejszych portów i najpierw założył, że Stenwold pojechał odwiedzić swoich przyjaciół w Veku. Kazał więc Sandsowi go schwytać, gdyby zawiedli przyjaciele Elytrii. Ale ponieważ ostrożności nigdy za wiele, jej ludzie czekali na niewielką łódź muszców także na innych szlakach, na wypadek gdyby Maker postanowił popłynąć do Kesu, jakiejś muszej kolonii lub nawet do Ziem Pająkowców. Statek jednak po prostu zniknął albo odpłynął w nieznaną. *Ale przecież nikt przy zdrowych zmysłach nie wypuszcza się na pełne morze.*

– Albo wypłynęli w morze – powtórzył po niej, uświadamiając sobie, że przecież ostatnio zdarzyło się wiele rzeczy niemożliwych. – Ale po co? Co Maker spodziewa się tam znaleźć?

Kiedy Stenwold odzyskał przytomność, świat wydawał

się nienaturalnie cichy. Deski pod nim wciąż się trzymały razem. Usłyszał plusk wody, skrzypienie drewna oraz takielunku i zaskakująco niewiele odgłosów świadczących o tym, iż załoga *Wolnego od Pływów* wykonuje swoje zwykłe zadania. Miał wrażenie, że Batog odmienił wszystko.

Sztorm, który przeżył, nie był zwykłą nawałnicą. Nie miał pojęcia, że od chwili, gdy silnik znów zaczął pracować, a statek mógł dać odpór żywiołowi, minęło wiele godzin, które spędzili na walce z rozszalałym morzem. Nastąpiła noc i jedynie kompas utrzymywał ich w ciemnościach na właściwym kursie – chmury wchłonęły księżyc, a wichry i wygłodniałe morze rzucały ich to tu, to tam. Żukowiec

nie czuł tego na swoim posterunku w maszynowni, ale oczyma duszy widział, jak wątlą ścieżkę obrali sobie muchopodobni.

Polegali wyłącznie na umiejętnościach Fernaei, która korygowała kurs dzięki wątpliwej wartości sztuczkom i szalbierstwom, jakich nauczyli ją ciemcy w górskich pustelniach.

Przekrzykiwała sztorm, wydając komendy Gude i załodze przy wiośle sterowym. Gude też należała do niepojętnych, a Laszlo upierał się, że są najlepszymi żeglarzami dzięki instynktowi, który umożliwiał im stworzenie więzi z falami i pogodą, w czym pojętni nie mogą się z nimi równać. Z tej właśnie jednak przyczyny Gude nie potrafiła odczytywać wskazań kompasu ani ustalać kursu za jego pomocą. Dlatego drugi rzemieślnik na statku trwał przy niej, przekazując je w taki sposób, aby Gude i Fern zdołały je zrozumieć. Było to zupełne wariactwo i przez całą noc Stenwolda dręczyła myśl, że wystarczy jedna drobna pomyłka tych małych żeglarzy, aby nigdy już nie postawił stopy na ziemi, i nikt nawet się nie dowie, co się z nim stało.

Musiał jednak przyznać, że w jakiejś mierze ich podziwiał. *Muszcy! Ci to potrafią przechytryć wszystkich, nawet podstawowe prawa natury.*

Nie umiał powiedzieć, kiedy sztorm zelżał ani też kiedy z niego wypłynęli. Stał w maszynowni przy pompie, które to zadanie – zrazu wyglądające na trywialne – wkrótce okazało się kluczowe. Nawet przy zasłoniętych włazach pod pokład wlewało się tyle wody, że mogło ich to posłać na dno.

Despard wciąż trwała przy silniku, przeważnie unosząc się nad nim, pogrążona w najwyższym skupieniu. Laszlo zaś najwyraźniej znał już swój fach na tyle, że przyjął na siebie funkcje linii obrony, wsparcia, a także ostatniej deski ratunku czy też pomagiera podającego Despard narzędzia, kiedy ta tylko wykrzyknęła ich nazwę.

Nie było czasu na odpoczynek. Maker pompował ile sił, aż zaczęły go piec ramiona, lecz pracował bez wytchnienia, wykonując zadania dwóch muszców, i do tego przez całą noc.

Może i nie potrafię latać, jestem duży, ciężki i powolny, ale umiem pracować. Zukowcy nie zdobywali laurów w biegach sprinterskich, ale na długie dystanse byli nie do pokonania. I potrafili dociągnąć do mety nawet wtedy, gdy ich najszybsi konkurenci dawno już odpadli z wyścigu.

Mimo wszystko nie był też młodzieniaszkiem i nawet jego zapasy energii w końcu się wyczerpały. Nie wiedział

nawet, kiedy tu dotarł, ponieważ zmęczenie zatarło wspomnienia. Wiedział tylko, że właśnie się obudził, czując ból w całym ciele i niemal słysząc, jak ramiona protestują po wczorajszym wysiłku.

Leżał na podłodze maszynowni zwinięty w kłębek wokół

silnika. Skrzywił się na to. Gdyby zeskoczyła jakaś przekładnia, doświadczyłby tego nadzwyczaj boleśnie. Coś nieznacznie napierało na jego nerki i zrozumiał, że to Despard, która zasnęła na siedząco, traktując go jak szeroką poduszkę. Bardzo nie chciał jej obudzić, ale teraz, kiedy odzyskał świadomość, czuł każdy fragment swego ciała spoczywający na twardych dechach. Przesunął się jak

najostrożniej, mając nadzieję, że uda mu się położyć ją delikatnie, tak że nawet nie otworzy oczu. Ale już przy pierwszym ruchu szarpnęła się, krzyknęła coś cicho i momentalnie stanęła na nogi – no, może nie na nogi, ale zawisała w powietrzu na chwilę, po czym wylądowała metr od niego.

– Zukowcy – rzuciła jeszcze w półśnie, za to z wyraźną niechęcią. Ziewnęła i przeciągnęła się, krzywiąc twarz. – Z

zasady ich nie lubię. Wielkie, niezdarne łajdaki. Miałeś świętą rację. Do niczego się nie nadajesz.

Stenwold usiadł wolno, okupując każdy ruch nową falą bólu.

– Czyli nie lubisz nas od czasów, kiedy byłeś w przytułku?

Usłyszał szelest jej sztyletu wysuwanego z pochwy.

Despard znów zawisała w powietrzu, kilka centymetrów nad podłogą, i spojrzała na niego z góry.

– A ty skąd wiesz... ?

Popatrzył ze smutkiem na jej niewielki nóż, zastanawiając się, jakie to stare rany przypomniawszy niechęć.

– Mucha o imieniu typowym dla zukowców? Ale powodów mogło być wiele. Mój student na przykład, mieszaniec, z tej samej przyczyny dostał musze imię, lecz nie ział nienawiścią do muchopodobnych.

Znów dotknęła stopami podłogi, ostrożnie chowając nóż, najwyraźniej zażenowana swoją gwałtowną reakcją.

– To zupełnie naturalne – stwierdziła. – W końcu wszyscy wiedzą, że jesteśmy o wiele milsi. – Ale jej pośpenny uśmiech zadawał kłam tej opinii. – Uwierz mi, ślub był

pierwszą miłą rzeczą, jaka zdarzyła mi się w życiu.

Maker zmarszczył brwi wciąż pochłonięty powolnym i bolesnym procesem stawania na nogi.

– Ślub?

Dopiero po chwili zrozumiała jego zdziwienie.

– Rodzina, Maker. Stanowimy tu rodzinę. Tak właśnie wszystko się toczy na *Krwawej Musze*. Dlatego właśnie mamy pirata w trzecim pokoleniu, czyli Tomassa. Jeśli ktoś umie robić coś pożytecznego, jak naprawiać silnik, albo czary-mary jak Fern, to się z nim chajta. I wierz mi, że był to dla mnie dobry układ.

Stenwold w końcu usiadł i starał się przywołać całą sztukę swoich przodków, żeby wyciągnąć ramiona.

– A kimże jest ten szczęściarz? – Raptem przyszyła mu do głowy zaskakująca odpowiedź. – Chyba nie Laszlo, co?

Despard wybuchnęła niepohamowanym śmiechem, który całkowicie zatarł poranne dąsy, a z drugiego pomieszczenia doszedł go głos:

– Proszę, misz-Maker, ja jednak mam nieco większe wymagania.

Po czym sam Laszlo wśliznął się do środka. Jego promienny uśmiech i czysta odzież przeczyły temu, że poprzedniej nocy przebywał na tym samym statku, co oni.

Spoglądanie na niego sprawiało żukowcowi niemal fizyczny ból.

– Może zechce pan teraz wyjść na pokład, misz-Maker?

Widać już Kanateris.

– Już?

– Cóż, chyba nie sądzi pan, że zdecydowalibyśmy się na to wszystko, gdyby nie było szybciej, co? – zapytał muszec, podskakując przed Stenwoldem, po czym śmignął po schodach w półmrok na górze.

Znów płynęli pod żaglem, a załoga byczyła wokół

takielunku, pilnując, by wszystko – cokolwiek to miałoby być, stwierdził – przebiegało jak należy. Z lewej burty dostrzegł cień wyłaniającego się z ciemności lądu.

– Świt na wyspach Bolas – oznajmił z dumą Laszlo.

Stenwold rozejrzał się i zobaczył na rufie Tomassa.

Gude wciąż trzymała ster i żukowiec nie wiedział, czy w ogóle nie odczuwała zmęczenia, czy też zmieniała się z kolegami podczas ataku Batoga. Nie dostrzegł natomiast nigdzie delikatniejszej Fernaei i pomyślał, że jej sztuczki podczas burzy były zapewne bardziej wyczerpujące.

– A gdzież to znajdują się owe wyspy Bolas? – zapytał

ich. – Poza tym, że po drugiej stronie Batoga.

– Na Plaży – odparł Laszlo – jak nazywa się długą linię brzegową Ziem Pająkowców, widzimy wielką zatokę wygryzioną przez morze. Nad nią leżą największe miasta pająkowców i letnie rezydencje ich najznamienitszych rodów.

Jest tak duża jak... no, powiedzmy, odległość między Kolegium i Vekiem. A może i większa. Nieważne. Ale linia brzegowa musi ciągnąć się pod wodą, jakby była to wielka miska wycięta w dnie morskim, bo są tu niebezpieczne płycizny, a kamienne palce wystają nad powierzchnię wody.

To są właśnie wyspy Bolas, a na największej z nich znajduje się port Kanateris.

– A cóż to jest? Jakaś kryjówka arystokracji?

– Och, arystokracja uwielbia to miejsce. – Nieznośny uśmiech Laszla jeszcze bardziej się poszerzył.

– Nie, Kanateris to kraj piratów. W końcu ściągają tu wszystkie szumowiny z Ziem Pająkowców, żeby coś kupić bądź

sprzedać.

– Hm.

Maker podszedł do relingu, chcąc oprzeć się o niego, ale zorientował się, że lina przebiega zbyt nisko. W końcu, przytrzymując się wanty, oparł na niej tylko stopę. Wiatr wiał

miarowo, dlatego morze było dosyć spokojne.

– A szlachta pająkowców nie ma nic przeciwko temu?

Po minie Laszla zorientował się, że było to głupie pytanie.

– Każde domostwo utrzymuje kilku korsarzy. Wszyscy mówią, że to straszne, ale nikt nie chce tego zakończyć. To jest Ziemia Pająkowców, misz-Maker, a oni zawsze są niesłychanie sprytni.

– Chyba... – Stenwold zamilkł i zmarszczył brwi. – Czy ja słyszę... muzykę?

– Ależ oczywiście – potwierdził Laszlo.

Płynęła do nich z wiatrem od strony wyspy – jakieś strzępy melodii, której nie mógł rozpoznać. Po chwili jednak, gdy minęli cypel i znaleźli się u wejścia do portu wtulonego w krzywiznę lądu, zobaczyli główną wyspę Bolas – gęsto porośniętą roślinnością górę wystającą z wody – a pośrodku zatoki miasteczko Kanateris – i to ono właśnie śpiewało.

Żukowiec usłyszał przedziwną melodię wygrywaną przez instrumenty strunowe, której rytm i tonacja zmieniały się w sposób przeczący znanym mu regułom muzyki. Dźwięk pęczniał i potężniał w miarę zbliżania się do portu, wzbogacony o instrumenty dęte i smyczkowe, z wprawą powtarzające stale zmieniającą się melodię. W końcu muzyka stała się donośna, a zarazem smutna i mądra, i nie przypominała niczego, co słyszały jego ostrożne kolegialne uszy – została stworzona przez i dla przedstawicieli świata starszego i bardziej tętniącego życiem niż jego.

Muzyka niepojętych, uświadomił sobie. Uczni z Kolegium mogli się spierać w tej kwestii ile dusza zapagnie, ale Stenwold wiedział z całą pewnością, tak jak znał zasadę działania biegów czy zamka, że niektórych zjawisk, jakich doświadczył w swoim życiu, nie da się łatwo wytłumaczyć.

Nie musiał też wierzyć w istnienie magii, by odczuwać powiew życia, do którego nigdy nie będzie miał wstępu. Tak jak żaden marynarz pojętych do pięt nie dorastał Gude i reszcie załogi *Krwawej Muchy*, która żeglowała po morzach, kierując się głównie instynktem, tak samo on doznał czegoś

zaskakującego, gdy ta poruszająca muzyka opływała go i przenikała, uderzając w niego tysiącem dźwięków, z których rozumiał tylko kilka, i budząc w nim pokorę. Poczuł, jak coś chwyta go za serce, chwyta, po czym puszcza, jakby chciało powiedzieć: „Poruszam tobą. Trzymam cię w dłoni, ale i tak nie jesteś zdolny usłyszeć w pełni mojego wołania”.

Kiedy *Wolny od Pływów* zawijał do portu, muzyka sięgnęła zenitu, a nuty zawisły nad wyspą na podobieństwo niewidzialnej chmury, po czym zaczęły niknąć w oddali, gdy muszcy przystąpili do refowania żagli. Na ich spotkanie wypłynął holownik, by popilotować ich na ostatnich metrach.

Byli teraz na tyle blisko, że Stenwold zauważył muzyków siedzących na dachach domów – chowali już swoje instrumenty gotowi na powitanie nowego dnia.

Nawet Laszlo zamilkł wobec tych dźwięków i kiedy się odezwał ponownie, w jego głosie słychać było jeszcze głębokie poruszenie, jakie ta muzyka w nim wywołała, choć jako pojętny też nie w pełni odbierał cały jej emocjonalny przekaz.

– Brzdąkają na tych swoich harfach po obu stronach zatoki – wyjaśnił. – Kiedy ich dźwięki podchwyci wiatr, zestrzają się i jak się ma dobre ucho, można po samym ich brzmieniu poznać, jaka będzie pogoda. Oczywiście później przyłączają się inni. Pająkowcy uwielbiają muzykę i każdy, kto ma talent w tej dziedzinie, może liczyć na znalezienie mecenasa. Gra ich więc coraz więcej, jak podejrzewam, i każdy poranek w pajęczych portach wygląda podobnie, bo w ten sposób witają nowy dzień. To dopiero coś, no nie?

Maker nie był jeszcze w stanie wypowiedzieć nawet słowa.

– Wie pan, jak pająkowcy nazywają żukowców? – dodał

Laszlo. – Hałaśliwym cichym ludem.

Wciąż jeszcze zasluchany w wybrzmiewające echo muzyki Stenwold pokiwał głową.

– Mają trochę racji.

Stali jeszcze z Laszlem przez kilka chwil w całkowitym milczeniu, kiedy holownik ciągnął *Wolnego od Pływów* do doku. Stenwold zauważył, że w ruch wprawiają go przykuci do wiosel niewolnicy, ale przecież nie powinno go to dziwić.

Podniósł wzrok ku miastu i stwierdził, że wędruje nim coraz wyżej, bo Kanateris położone było na zboczu góry, jakby ktoś ustawił najpierw wszystkie budynki na jej szczycie, a potem pozwolił im się rozsypać w dół, aż do samej linii brzegowej.

Laszlo spojrział tam, gdzie Stenwold.

– A więc nie potrafi pan latać? – upewnił się.

– Nie.

– A czy zna pan tę sztuczkę ze wspinaniem się po gładkiej ścianie?

– Nie, tego też nie potrafię. Nigdy nie pomyślałem, żeby rozwijać sztukę w tym kierunku, bo nie wiedziałem, że kiedykolwiek mi się to przyda.

– Niech mnie wysuszy, misz-Maker. To co pan w ogóle potrafi?! – wykrzyknął muszec.

– Wchodzić po schodach w nieskończoność – odrzekł

żukowiec i wybuchnął śmiechem.

Przypomniała mu się Myna, która również była miastem pełnym schodów, choć może nieco mniej stromych, i szaleńcza ucieczka przed osowcami sprzed wielu lat, gdy Tisamon ciągnął go i zmuszał do szybszego marszu po stopniach. *Gdybym tylko mógł wtedy przewidzieć, z czym przyjdzie mi się kiedyś zmierzyć, to bym nie narzekał.*

– Uwaga! – od strony rufy dobiegł ich głos Tomassa.

Wolny od Pływów przybił już do wysmukłego nabrzeża Kanaterisu, które wrzynało się w morze na podobieństwo długiego i krzywego odnoża. Dwóch członków załogi przywiązywało cumy, a ich szef przed chwilą rzucił garść monet na holowniczą galerę i stojąc z rękami założonymi z tyłu, patrzył na swoich ludzi, czekając na ich reakcję. Teraz w każdym calu wyglądał jak kapitan piratów. Kiedy spojrzeli na niego, zarządził:

– Laszlo, Piera, wy we dwójkę zabierzecie ze mną naszego gościa tam, gdzie może dowiedzieć się tego, czego chce. Co do pozostałych – niech nikt nie schodzi na ląd.

Chcę, żeby wszyscy byli gotowi, by zabrać nas stąd szybko, jakby co. Nie rozpoznaję większości żagli w porcie.

Dołączył do Stenwolda na śródkręciu, gdzie przerzucono trap na brzeg.

– Mistrzu Makerze, może zechciałby się pan dozbroić?

– Trzy modele broni z naszych czterech są obecnie bardzo modne wśród Kanateryjczyków – dodał Laszlo.

Stenwold pokiwał głową i już częściowo zniknął we włazie, gdy pojawiła się w nim Despard, słaniająca się pod ciężarem jego przebijaka.

– Pozwoliłam sobie – mruknęła, z trudem unosząc broń.

Masywna czterolufowa armata była niemal jej rozmiarów.

– Widzę.

Wziął ją od niej i ujrzał na jej twarzy promienny uśmiech, niemal taki jak u Laszla.

– Slicznotka – oznajmiła, choć było jasne, że ani Tomasso, ani Laszlo nie wiedzieli, co to takiego. – Model Marlwrighta-Yerwicka, prawda?

Nie spotkałem jeszcze rzemieślnika, który nie kochałby się w takich zabawkach, pomyślał Stenwold.

– Wiesz na jej temat więcej ode mnie – zauważył.

Już ją naładowała, bo z luf wystawały cztery pociski o opływowym kształcie. Zarzucił przebijak na ramię, zastanawiając się, czy nie będzie dziwnie wyglądał, paradując z czymś takim po mieście – z mieczem, przebijakiem i miniaturowym pukołukiem. Poczł się jak brygant. Tomasso miał dwa długie sztylety oraz kilka noży do rzucania zatkniętych za pas, a Laszlo – hak na linie, czyli broń muszców, która Stenwoldowi kojarzyła się niezbyt dobrze.

Piera przybrała wygląd ponurej muszycy noszącej gorset ze skóry i chitynowch łusek. Krótki łuk przewiesiła przez plecy, a kilka grubych strzał wetknęła w wysokie buty.

Poszarpana blizna na jej czole świadczyła o tym, że nie unika bijatyk.

– No, czyż nie wyglądamy jak dzika banda? – oznajmił

Tomasso. – Chodźmy, mistrzu Makerze, znajdziemy odpowiedzi na pańskie pytania.

Sprowadził ich na brzeg po drewnianym molo, które zaskrzypiało ostrzegawczo, kiedy wszedł na nie Stenwold.

– Dlaczego nie mogą zejść na ląd, szefie? – zapytał

Laszlo, kiedy stanęli na wąskim pasie szarego piasku stanowiącego plażę Kanaterisu.

– Fern powiedziała: „Starzy znajomi”, kiedy zapytałem ją o przyszłość – wyjawil Tomasso.

Ujrzawszy minę Stenwolda, skrzywił się. – Och, nie uciekałbym się do wróżb, gdybyśmy znajdowali się na wybrzeżu Kolegium, mistrzu Makerze, ale tutaj, na Ziemiach Pająkowców, nauczyłem się ufać takim przepowiedniom. W tej części świata nie znajdzie pan kapitana, który wypływa w morze, nie zasięgnąwszy najpierw opinii wróża w tej kwestii.

Na nabrzeżu zaczęła się krzątanina, kiedy załogi dwóch tuzinów jednostek wielkości *Wolnego od Pływów* budziły się, ziewały i przeciągały, racząc się wzajemnie ospałymi przekleństwami. Ulice natomiast, składające się głównie ze stromych i nierównych stopni, po których Stenwold wchodził

ostrożnie, wydawały się opustoszałe. To, co początkowo wziął

za budynki, okazało się ledwo drewnianymi konstrukcjami pokrytymi płachtami materiału i przymocowanymi do litej skały. Szare zasłony wydymały się lekko od porannej bryzy.

Nieliczni tubylcy, którzy już rozpoczęli dzień, wyglądali na złachmanionych i brudnych i najwyraźniej nie posiadali nawet kawałka brezentu, pod jakim mogliby spędzić noc. Ale w

większości byli pająkowcami i Stenwold przyglądał im się z zaciekawieniem. W Kolegium wszyscy pająkopodobni zachowywali się tak, jakby byli co najmniej równi mistrzom i wielmożom. Teraz rozumiał, dlaczego tak wielu z nich trafiało na Niziny. Nie mieli rodzin, a ich życie tutaj było bez znaczenia. Stanowili najpodlejszy sort obywateli. Mimo to wszyscy nadal byli piękni i serce mu krwawiło. Chodzili w łachmanach, z poszarzałą i popękaną skórą, a i tak stanowiliby ozdobę świąty każdego członka Zgromadzenia.

Kiedy jednak podchwytywał ich spojrzenia, przekonał się, że żebractwo nie było jedynym źródłem ich dochodów. *Cóż, moralność Kolegium nigdy nie przystawała do pająkowców.*

Coś poruszyło się koło jego stopy i aż odskoczył, kiedy o jego cholewy zahaczyły włochate, powyginane łapy. Szary pająk wielkości przeciętnego członka załogi *Wolnego od Pływów* zaczął błyskawicznie zwijać osnowę szarej zasłony jednej z budek, ukazując jej wnętrze. Stenwold spojrzał

wzdłuż stromej ulicy i zobaczył, że niemal przy każdej chacie stał taki stwór, prujący pracowicie wieczorną robotę.

Wyraz jego twarzy rozśmieszył Laszlo.

– Spokojnie, misz-Maker – powiedział muszec. – To tylko udomowione pająki.

– Każdy pająk tych rozmiarów czy większy został

upolowany w Kolegium już wiele pokoleń temu – mruknął

Stenwold. – W niektórych starych domach wciąż można spotkać kratę założoną ze strachu przed nimi.

– Och, bardzo mi przykro z tego powodu – odezwał się przez ramię Tomasso, kiedy pięli się dalej pod górę. – Nie ma drugiego takiego stworzenia, które dałoby się lepiej wytresować, a tutaj ma wiele zastosowań. Nawet większość kapitanów trzyma kilka takich maluchów na topmaszcie.

Niech to wij porwie, pamiętam, jak w sztormie starliśmy się z Ebrisem z Ganbrodielich. Przeplýwaliśmy tak blisko niego, że można było wypuścić strzały, a on starał się dokonać abordażu, i wtedy zobaczyliśmy na takielunku gniazdo tych stworzonek, które cerowały mu żagle i naprawiały liny.

Stenwold wiedział, że nie powinno go to ani dziwić, ani niepokoić. W końcu jego lud również udomowił za pomocą sztuki wiele stworzeń z rodzaju żuków. Tylko wśród nich nie było takich, które w nocy mogły wpełznąć na sufit, połyskując szczękami ociekającymi jadem...

– Oczywiście wszyscy słyszeli przynajmniej jedną historię o tym, jak ktoś się tu zapił na umór – powiedział

Laszlo radośnie – i zasnął w rynsztoku, a na drugi dzień znaleziono po nim tylko wyschniętą skórę. Ale to tylko bajania starych bab.

– Myślisz, że pomagasz mi takim gadaniem? – zapytał

Stenwold.

Uśmiech tamtego świadczył o tym, że doskonale zdaje sobie z tego sprawę.

Po pokonaniu stu stopni prowadzących pod górę prowizoryczne chaty po obu stronach schodów ustąpiły miejsca konstrukcjom trwalszym. Większość z nich miała przynajmniej solidne dachy wykonane z wąskich, mocno splecionych deszczulek, choć nadal pozbawione były ścian gwarantujących jakieś bezpieczeństwo. Jedyłą ochronę przed wścibskim sąsiadem z nożem w ręce stanowił pajęczy wartownik przyczajony w środku.

Kanateris budziło się do życia. Sieć ulic wokół

kamiennej ściany miasta zaczęła wypełniać się ludźmi i Stenwold był świadkiem dziwnego tańca pierwszeństwa, w którym jedni ustępowali z drogi innym według zasady zupełnie dla niego niepojętej. Zdawało się, że wszyscy oprócz niego wiedzieli bardzo dobrze, komu należy zejść z drogi, a kiedy przyjąć postawę prowokującą, podczas gdy Stenwold mógł jedynie iść niepewnie za Tomassem. Ale zdarzały się też przypadki sporów, w których dwie grupy nie zamierzały sobie ustąpić. Wtedy dłonie wędrowały w stronę rękojęści, padały wyzwiska i odrzucano płaszcze, ukazując ukryte pod nimi pancerze oraz sztylety. Stenwold jednak nie widział ani razu, by naprawdę poląła się krew. Zawsze jedna ze stron dochodziła do wniosku, że nie warto.

Ponieważ ulice były wąskie, co chwila ktoś go potrącał i żukowiec zahaczał o jakiś stragan, po czym, zanim ruszył w dalszą drogę, dostrzegał błaganie w oczach właściciela. Raz wpadł między wiklinowe klatki z ośmionożnymi lokatorami, na co pająkowiec w połyskujących jedwabiach starał się przekonać go, że bardzo potrzebuje strażnika, który pilnowałby go podczas snu. Innym znów razem znalazł się wśród misternych kilimów, a siedząca za nimi kobieta zaproponowała, że wyjawi mu jego przyszłość. Widząc jej rękodzieło, pełne symboli i alegorii, których znaczenia nawet nie próbował zgłębić, niemal uwierzył, że usłyszy prawdę.

Lud Kanaterisu był zróżnicowany kulturowo. Przeważali pająkowcy, ale Stenwold spostrzegł też muszców, szarańczopodobnych, a także mrówców z różnych dziwnych miast oraz kilku przedstawicieli ras, których nawet nie rozpoznawał. W pewnym momencie jego towarzysze pospiesznie zeszli z drogi skrytej za welonem pająkowej damie, której eskortę stanowiła dwójka modliszowców o perłowej karnacji, ze srebrnymi, misternej roboty obrożami niewolników na szyjach, obnoszonymi przez nich tak, jakby stanowiły powód do dumy.

Obejrząwszy się za nią, niemal się przewrócił. Przepaść pociągnęła go prawie w dół. Nie zdawał sobie sprawy, że zaszli tak wysoko.

– Długo jeszcze będziemy się piąć? – spytał.

– Być może pana lud za najważniejszych uznaje tych, co mieszkają w najwyższych budynkach – wyjaśnił Tomasso –

ale tutaj największe osobistości mieszkają najbliżej centrum.

Poza tym jesteśmy już blisko – dodał i zatrzymał się przy wejściu do tawerny, która wrzynała się w skałę głębiej, niż Stenwold się spodziewał.

W środku panował półmrok rozpraszany jedynie przez kilka migotliwych płomyków latarni.

– Ahoj, Gramposie! – pozdrowił właściciela Tomasso, wywołując we wnętrzu niemałe poruszenie, bo ktoś najwyraźniej zaczął przedzierać się między ściśniętymi bywalcami w ich stronę.

To, co wydobyło się ze środka niczym pędrak spod ziemi na słońce, przypominało pająkowca, lecz było bardziej krzepkie i z dłuższymi kończynami. Nagie od pasa w górę ciało miało pokryte gęstym i szorstkim ciemnym futrem.

– Proszę, proszę! Czy to nie szyper Tomasso? –

Grampos zagaił, jakby widzieli się wczoraj.

Odchodząc od nich, utykał i Maker zauważył, że dawno temu musiał odnieść poważną ranę w jedną z kostek. Myśl o niewolniczych kajdanach nasuwała się nieodparcie.

– Gramposie, czy Tyresia prorokini wciąż trzyma się starych śmieci? – zapytał Tomasso.

– Teraz jest w Księżycowym Kręgu – odparł właściciel tawerny.

Stenwold musiał uważnie wsłuchiwać się w jego słowa naznaczone mocnym obcym akcentem, żeby zrozumieć ich znaczenie. Tak czy inaczej odpowiedź zadowoliła Tomassa, który rzucił jeszcze cofającemu się Gramposowi monetę, zanim ruszyli dalej.

– A więc kołacze się jeszcze po tym świecie – skwitował

kapitan. – Dobrze to słyszeć, zwłaszcza o kimś, kto jest ci winien przysługę.

– Prorokini? – zapytał Stenwold z rezerwą. – Nie jestem pewien, czy...

– Mistrzu Makerze, jesteśmy na Ziemiach Pająkowców.

Prawdziwi czarnoksiężnicy, jeśli w ogóle dopuszcza pan ich istnienie, nie chwala się swą mocą wszem wobec. Tak więc ktoś, kto nazywa siebie prorokinią, nie może nią być.

Zmienił teraz kierunek marszu, schodząc czasami o kilka stopni, ale nadal brnąc w głąb.

Odnaleźli Tyresię w dużym namiocie z kolorowego jedwabiu, stojącym przy jednej z szerszych ulic. Jego zamknięta przestrzeń była jednak chłodna i widna dzięki połyskującym świetlikom pozostawionym w tkanym suficie.

Wieszczka była elegancką pajęczycą, według żukowca przynajmniej w średnim wieku, czyli w rzeczywistości o wiele starszą. Miała na sobie prostą złoto-brązową szatę upiętą jedną broszą z motywem motyla, jakby skromnością chciała podkreślić wyrafinowanie swojego stylu. Tomasso

odczekał

grzecznie w stosownej odległości, aż dokończy rozmowę z dwójką miedzianoskórych mężczyzn, w których Stenwold rozpoznał czerwonych mrówców. Pieniądze zmieniły właściciela, ale nie wzięła ich sama Tyresia, tylko trafiły do ręki muchy, która podfrunęła do nich na dany znak.

Następnie pająkowa matrona wycofała się na swoją kanapę i gestem przywołała Tomassa.

Obok stała druga kanapa, lecz pirat przysiadł na ziemi po drugiej stronie ławy oddzielającej go od gospodyni.

Stenwold zadowolony, że będzie mógł dać odpocząć swoim nogom, zajął miejsce obok niego, a Laszlo pozostał przy wejściu, ale na tyle blisko nich, by słyszeć rozmowę. Szmary nad głowami oznaczały, że Piera zajęła miejsce gdzieś na poziomie dachu.

Musza służąca, bo Stenwold wierzył, że dziewczyna nie jest niewolnicą, pojawiła się z tacką i niewielkimi czarkami.

Kiedy żukowiec spojrzał w dół, w snopie padającego z góry światła spostrzegł dwa naczynia wielkości naparstka – w jednym z nich parowała jakaś ciemna ciecz, a zawartość drugiego była przezroczysta.

Dziękując pajęczycy za gościnę, Tomasso łyknął

najpierw z jednego, a potem z drugiego, podobnie po chwili uczyniła i ona. Ufny w wytrzymałość swojej rasy Stenwold poszedł w ich ślady.

Miał nadzieję, że będzie to czekolada, pajęczy przysmak popularny w Kolegium, ale jego nos ostrzegł go, że jest inaczej. Gorący trunek był tak gorzki, że zaczął podejrzewać jakąś truciznę, za to drugi, przejrzysty, tak mocny, że można by nim było czyścić srebra, ale ulotnił się z języka jak mroźna mgiełka. Stenwold już miał się zakrztusić albo zacząć błagać o medyka, kiedy poczuł cudowne ciepło i kojący posmak.

Podejrzewał, że jego mina musiała wywołać w nich dobrze skrywane rozbawienie, ale jego kompan przybrał tak niewinny wyraz twarzy, jakby pił źródlaną wodę.

– Jak się miewa mój dawny partner od kart? – zapytała uprzejmie Tyresia.

– Starzeje się – przyznał Tomasso. – Pani, za każdym razem, kiedy cię odwiedzam, jestem o rok starszy. Jak to jest, że ciebie czas się nie ima?

Nie były to słowa ani przypadkowe, ani płynące z głębi serca; najwyraźniej Tomasso postępował według jakiejś wyszukanej etykiety. Po nich bowiem nastąpił ciąg starannie dobranych komplementów, oznak udawanej pokory i pytań o starych wspólnych znajomych. Maker znał pająkowców na tyle, by wiedzieć, że „stary znajomy”, podobnie jak „partner od tańca”, był jakimś wrogiem, a „partner od kart” jeśli nie przyjacielem, to przynajmniej znajomym, z którym rozmówca nie toczył akurat żadnego sporu.

Jeszcze nie usłyszał, aby Tomasso zadał jakieś pytanie, ale nagle Tyresia wybuchnęła perlistym śmiechem, równie niewinnym jak u młodej dziewczyny, i przystawiła dłoń do ust, żeby go nieco zdusić.

– Wybacz mi, mój drogi, wybacz. Masz na myśli Wybrzeże Barbarzyńskie, prawda?

Słyszając te słowa, Stenwold spojrział na kobietę cierpko, co niewątpliwie zauważyła, ale Tomasso tylko pokiwał

przyjaźnie głową.

– To prawda, ostatnio tam wypłynąłem na morze.

– Och, moje biedactwo. Jak mogłeś tam wytrzymać? –

Tyresia pokręciła głową ze smutkiem. – Niestety, ja już w ten sposób nie zdobywam informacji. Tak niewiele ciekawego dzieje się tu ostatnio. Odkąd weszłam do Księżycowego Kręgu, spoglądam na wszystko z szerszej perspektywy.

Tomasso pogładził się po brodzie.

– Oczywiście, ktoś taki jak ty cieszy się dużym szacunkiem w tym zawodzie, więc inni muszą wciąż spoglądać na ciebie.

– I ja ich znam – dokończyła. – Mądrze byłoby porozmawiać z Albinusem, serduszko moje. On wciąż ma w tamtych stronach swoich wywiadowców.

Tomasso pokiwał głową.

– Być może nasze ścieżki znów zejdą się pewnego dnia –

zakończył rozmowę.

Kiedy jednak podniósł się z miejsca, Tyresia uniosła dłoń i był to gest tak wyrazisty, że Stenwold w jednej chwili stał się czujny.

– Ponieważ cię kocham, mój malutki, wiedz, że do naszego portu wpłynął Ebris z Ganbrodielich.

– A wie, że ja tu jestem? – Tomasso zamarł w bezruchu.

– Nie ode mnie, mój drogi, ale rozpozna twój statek, gdy go zobaczy. Zaskoczona jestem, że ty nie rozpoznałeś jego.

– Ach, przy ostatnim naszym spotkaniu podrzuciłem mu trochę prochu, który wypalił pokład pod jego stopami.

Spodziewam się, że ma już nowy.

– Żeglujcie na *Burzowej Szarańczy* – oznajmiła. –

Uważaj na siebie, malutki. Przykro byłoby usłyszeć, że coś ci się stało.

Aby spotkać się z Albinusem, musieli okrążyć całe Kanateris i zbliżyć się nieco do portu. Tomasso wydawał się teraz nieco spięty i wraz z pozostałymi muchopodobnymi spoglądał co jakiś czas w niebo. Stenwold nie musiał nawet pytać. Stało się dla niego jasne, że wśród piratów więzi braterskie raczej nie istnieją.

Skryli się w niewielkiej pijalni czekolady, usytuowanej niecałe dwadzieścia metrów od nabrzeża. Weszli do środka w wypełnioną wonią kadzidła ciemność. Maker pozwolił

pociągnąć się Laszłowi za rękaw, nie wiedząc, czy to kres ich podróży, czy też po prostu chronią się tu, by uniknąć jakiegoś niebezpieczeństwa. Nagle znaleźli się przed jakimiś drzwiami i żukowiec uzmysłowił sobie wagę tej chwili. Były to pierwsze prawdziwe drzwi, jakie zobaczył w tym mieście. Nie utkał ich żaden pajak.

– Szyper Tomasso z *Wolnego od Pływów* na zakupy! –

zawołał muszec, pukając.

Po chwili usłyszeli szcęk zasuw. Światło, jakie na nich padło, nie było jaskrawe, ale po pobycie w ciemnościach za drzwiami wydawało się wręcz oślepiające. Ujrzeni w końcu niewielkie pomieszczenie urządzone na modłę mieszkańców Nizin, nawet z solidnymi krzesłami i biurkiem. Strażnicy stojący pod przeciwległą ścianą byli pszczelcami, ale z miasta nieznanego Stenwoldowi. Za biurkiem siedział sam Albinus, mrówiec. Imię pasowało do niego doskonale, gdyż w świetle lampy skórę miał upiornie bladą, a włosy tak bezbarwne, że wydawały się przezroczyście. Miał też srogie, niezdrowo różowe oczy, jakby całą noc spędził na pijaństwie.

Uśmiechnął się do nich bez cienia wesołości.

– Szyprze – przywitał się, wskazując głową krzesła. – To miło, że wraz ze swoimi ludźmi złożyłeś mi wizytę.

Tomasso stał dalej, ale Stenwold schował dumę do kieszeni i skorzystał z możliwości spoczęcia na chwilę.

Pierwszą jego myślą było to, że pozbawiony barw swoich pobratymców Albinus musiał być renegatem, ale za długo przebywał wśród Vekkeńczyków, żeby w to uwierzyć. Znał

mrówców – to braterstwo czyniło z nich tych, kim byli, a nie pigment zawarty w skórze. Usłyszawszy akcent Albinusa, stwierdził, że pewnie ciągle współpracuje z Keseńczykami. Ta wyspiarska nacja miała powód, by bacznie przyglądać się Ziemiom Pajakówców i szlakom handlowym. A czyż nie najlepszą przykrywką dla szpiega jest opinia osobnika działającego na własne konto?

Tutaj nie było nawet śladu po dworskich uprzejmościach, jakie Tomasso prawił Tyresii.

– Mówią, że można z tobą porozmawiać na temat transportu morskiego z Nizin.

– Miło z ich strony – odparł Albinus. Kiedy się uśmiechał, jego upiornie blada twarz przypominała czaszkę.

– *Wolny od Pływów* pływa wzdłuż Plaży, jak słyszałem.

Czego chcesz się dowiedzieć?

– Plaża stała się ostatnio trochę nieprzyjazna.

Mrówiec pokiwał głową, jakby zadowolony z takiej odpowiedzi.

– Pytaj więc, szyprze.

– Słyszałem, że ktoś strasznie napiera na łodzie z Kolegium. – Tomasso wskazał w stronę Stenwolda, ujawniając współnika w swoim spisku, jakby był jakimś żuczym przedsiębiorcą, który nie boi się o swoją skórę. – I dlatego, jeśli mam odkroić sobie kęs z Wybrzeża Barbarzyńskiego, chciałbym wiedzieć, z kim mogę mieć sprawę. A może powinienem raczej zaoferować mu swoje usługi, jeśli potrzebuje ludzi?

– Nie potrzebują, szyprze. Mają wszystko.

Głos Albinusa pozostał beznamiętny, ale Makerowi na te słowa serce aż podskoczyło. Miał rację. Failwright miał

świętą rację. Jest spisek. Wbił palce w oparcie krzesła, by nie zdradzić po sobie niczego.

– No to powiedz mi, komu mam schodzić z kursu. I ile za to chcesz, Albinusie?

Mrówiec liczył przez chwilę w milczeniu.

– Dwa tysiące łokci. I nie próbuj się ze mną targować, mały. My, mrówcy, nie mamy do tego cierpliwości.

Tomasso nie dał nic po sobie poznać, ale Laszlo nie potrafił powstrzymać pełnego podziwu gwizdnięcia.

Jakakolwiek była waluta, stanowiło to wyraźnie wielką sumę.

– Mam... – zaczął, myśląc o trzymanyh w sakwie monetach bitych w Hellerie.

– Ja mu zapłacę. Ty zapłacisz mi później – przerwał mu Tomasso. – Tylko pamiętaj o naszej umowie.

Dał znak i Laszlo podszedł. Zaczął odliczać duże monety, dwukrotnie większe niż hellerońskie centrale, które wyglądały jak lite złoto. Przerwał po dwudziestej, tworząc z nich dwa zgrabne sępki.

– Nazwisko? – zapytał Tomasso.

Albinus uśmiechnął się jak trupia główka.

– Ród Aldanraelich – powiedział.

DZIESIĘĆ

Kiedy znów znaleźli się na dworze, zostawiwszy za sobą półmrok siedziby mrówczego szpiega, Stenwold poczuł się odrętwiały. *Aldanraeli*. Przez chwilę żałował z całego serca, że Rones Failwright nie zaniósł tych swoich cholernych papierów komuś innemu. Komukolwiek innemu.

I oczywiście Rones Failwright został pewnie zabity na jego rozkaz. Ród Aldanraelich był uwielbiany przez żukowców jak żadna inna pajęczna rodzina. Czyż nie dowiódł

swej przyjaźni i poświęcenia? Czyż nie walczył z Vekkeńczykami i z Imperium o wolność Kolegium? *A teraz piractwo i plądrowanie. Tajemna wojna z naszą flotą transportową. Ale dlaczego?* Przed oczami stało mu oblicze Teornisa – przystojna, roześmiana twarz. *Powiadają, że nigdy nie można wierzyć pająkom, ale...* Próbował sobie wmówić, że jest głupcem, jeśli teraz wierzy na słowo jakiemuś wypłowiałemu mrówkopodobnemu, oskarżającemu człowieka, którego znał od lat, jednak ciężar, jaki osiadł mu w żołądku, świadczył o tym, że sam zna już prawdę. *Nie mogę wszak przyjąć tego bez zastrzeżeń. Muszę się upewnić.*

Następstwa tej sprawy były ogromne: zerwanie delikatnych stosunków dyplomatycznych z pająkowcami, z ich miastami na jedwabnym szlaku...

Niemal wpadł na Tomassa i podniósł głowę.

Tuzin mężczyzn i kobiet stał na ulicy na wprost nich.

Większość stanowili pająkowcy uzbrojeni w długie sztylety, rapiery oraz łuki. W środku grupy dostrzegli jej szefa w eleganckim ciężkim płaszczu, nieco za dużym na niego.

Mężczyzna zwyczajem swej rasy zaczesał długie włosy do przodu tak, że zasłaniały mu pół twarzy, ale pod grzywką i tak było widać blizny po poparzeniu. Po obu jego stronach stało dwóch wielgachnych skorpionców w kolczugach, z tarczami i toporami gotowymi do użycia. Roztropnie zachowywali dystans.

– No i proszę, kto to się na mnie nadział! – zawołał ich przywódca.

Stenwold zauważył, że ulica wokół nich opustoszała w okamgnieniu.

– Mały szyper – ciągnął pająkowiec. – Obrateś zły kurs, wpływając do tego portu.

– Ebris – zwrócił się do niego Tomasso. – Dobrze wyglądasz.

– Niech mnie fale pochłoną, jeśli kiedykolwiek chciałem usłyszeć uwagę na temat mojego wyglądu z

ust muszca –

warknął Ebris.

Dłonie Tomassa spoczywały na rękojeściach noży. I choć sam kapitan uśmiechał się do pająkowca spokojnie, to rozsunął stopy i przyglądał się przeciwnikowi z widocznym dla wszystkich napięciem.

– Powinieneś wiedzieć, Ebrisie, że teraz te wody należą do ciebie. Ja obieram kurs na południe. Pewnie nigdy już się nie spotkamy.

Maker zauważył, jak Piera naciąga cięciwę łuku, a w dłoni Laszla pojawił się zaostrzony hak – młodzieniec zdążył

już też odwinąć się z liny, na której hak był zawieszony.

Ostrożnie, aby nie zwrócić na siebie niczyjej uwagi, Stenwold zdjął z ramienia przebijak i sprawdził, czy jest naładowany.

– Nie będziemy musieli się spotykać? – zadrwił Ebris. –

Och, szypcze, nie doceniasz mojego przywiązania do ciebie.

Nawet nie śniłoby mi się, bym mógł się puścić w podróż bez kilku pamiątek po tobie, starym przyjacielu.

– Uważaj na sny – odparł Tomasso obojętnie.

Twarz pająkowca wykrzywiła się, ukazując siną gładką skórę w miejscu, w którym dopadły ją płomienie.

– Spaliłeś mi statek! – wyrzucił z siebie.

– Słyszałem, że masz już nowy – odpowiedział muszec wciąż beznamiętnym głosem.

– Spaliłeś mi statek!

– W tym czasie ty rabowałeś mój, Ebrisie – nie wytrzymał Tomasso. – A skoro ja włożyłem kilka baryłek prochu i zapalnik w ukradziony przez ciebie ładunek, nie możesz mieć do mnie pretensji, że postanowiłeś przywłaszczyć go sobie i obłupie ze skóry swojego brata złodzieja.

– Zhańbiłeś moją rodzinę do trzeciego pokolenia, nazywając mnie bra... – zaczął Ebris i nie dokończył zdania, bo w tej właśnie chwili Tomasso strzelił palcami i dwa noże śmignęły w powietrzu.

Jeden ze skorpionców w ostatniej chwili zasłonił twarz swojego pana tarczą, ale głowa stojącej obok Ebrisa pajęczycy strzeliła do tyłu pod siłą uderzenia niewielkiego, pozbawionego gardy ostrza, które wbiło się jej w oko.

Stenwold usłyszał jęk cięciwy łuku Piery, a Laszlo błyskawicznie wzbił się w górę, kreśląc szeroki łuk hakiem.

Dwójka z załogi Ebrisa natarła na Tomassa, lecz muszec już zdążył wyciągnąć długie sztylety, zakleszczyć ostrza rapierów i zepchnąć je do defensywy, na poły unosząc się nad ziemią, dzięki czemu niski wzrost i niewielki zasięg przestały mieć znaczenie. Tymczasem Ebris wrzeszczał na swoich ludzi, żeby zabili ich wszystkich.

Załoga *Wolnego od Pływów* przejęła inicjatywę, choć przeciwnicy mieli przewagę liczebną. Ale gdyby go nie było z nimi – Stenwold wiedział o tym doskonale – muszcy wzbiliby się w powietrze i salwowali ucieczką. *W takim razie to ja muszę zakończyć sprawę.*

– Ej, pająkowcu! – zadudnił i opuścił przebijak.

Dwaj skorpioncy zbili się posłusznie przed kapitanem, zasłaniając go tarczami. Było jasne, że żaden z nich nie miał

pojęcia, co Stenwold trzyma w dłoniach – poza tym, że wiedzieli, iż jest to jakaś broń.

– A kimże ty jesteś, że się do mnie odzywasz, niewolniku? – zapytał butnie Ebris z Ganbrodielich.

– Powiewem przyszłości – oznajmił Stenwold i nacisnął

spust.

Sam dźwięk przebijaka wystarczyłby, by zakończyć walkę.

Jego siła odrzuciła pająkowców do tyłu, a muszców dosłownie zdmuchnęła z nieba. Ale tak naprawdę potyczkę przerwało spustoszenie, jakiego dokonały cztery pociski.

Może i skorpioncy byli oddanymi strażnikami swego pana, ale przebijak przedarł się przez ich tarcze, krusząc je na drzazgi, a potem rozerwał ich kolczugi i rozszarpał ciała na strzępy, tak że wyglądali jak po ataku dzikiej bestii –

modliszki lub drapieżnego żuka. Jednak swoją ostatnią służbę wypełnili nadaremno – dwa pociski utkwily Ebrisowi w piersi i sterczały teraz dumnie z jego ciała, jakby ktoś miał

zaraz zawiesić na nich proporce.

Przez chwilę nikt nie mógł oderwać od nich wzroku.

Stenwold spokojnie opuścił przebijak i sięgnął do pasa. Być może znajdował się daleko od domu, ale znał się na ludziach

– ludziach wszystkich ras – i wiedział, że nadeszła kolej na wyczyn heroiczny.

Jeden z pająkopodobnych, poorany bliznami i starszy od Ebrisa, prawdopodobnie jakiś lojalny lennik

rodziny, wydał z siebie dziki okrzyk i natarł z mieczem na Makera.

Zanim Tomasso zdołał zagrozić mu drogę, żukowiec wypuścił bełty z obu luf kuszy Totho. Jeden z nich poszybował co prawda nad głową napastnika, ale drugi wbił

się w niego pod mostkiem i zatrzymał go w pół drogi.

Mężczyzna opadł na kolana z niedowierzaniem i zwałił się na bok.

– Jest jeszcze jakiś chętny? – zapytał Stenwold groźnie, wymachując bronią.

Przebijak, podobnie jak kusza, był pusty, ale niepojętni o tym nie wiedzieli. *Wierzcie dalej w swoje gusta*, pomyślał

ironicznie. *Dajcie mi kuźnię i odlewnię, a przekonamy się, kto doczeka kolejnego dnia.*

Ebrisowa załoga rozplynęła się bez śladu. Laszlo zaś wezwał pomoc i kiedy Maker odwrócił się w jego kierunku, zobaczył, że w tak krótkiej potyczce Piera dostała strzałą w brzuch. Zanieśli ją pospiesznie na pokład *Wolnego od Pływów*, gdzie rzucała się i płakała w objęciach żukowca.

Kiedy statek odbił od brzegu, Despard i Fernaea próbowały za pomocą wszystkich znanych im sztuczek utrzymać ją przy życiu, ale zanim Kanateris zniknął za horyzontem, było już po niej.

Jodry Drillen zatrudniał obecnie trzech sekretarzy, do których obowiązków należało radzenie sobie ze wszystkim, co nie wymagało jego cennej obecności, mimo to co ranka na jego biurku pojawiała się piramida zwojów – petycji, propozycji, skarg, terminarzy, meldunków od jego ludzi bądź

zachęt ze strony wysoko postawionych obywateli. *Ipo co mi to właściwie było?* Wszystko to zdawało się przerastać jego wpływy związane z obecnym stanowiskiem. Miejscowi mieli sporo problemów, kiedy starali się wytłumaczyć zagranicznym delegacjom, iż przewodniczący nie ma faktycznej władzy ani na forum Zgromadzenia, ani w mieście.

Jego rola stanowiła apoteozę biurokracji. W Kolegium bowiem poprzez głosowania rządziło Zgromadzenie, które podobnie jak sam przewodniczący wyłaniane było w wyborach powszechnych całej społeczności. Obcy goście nie mogli się nadziwić temu dziwacznemu systemowi politycznemu. Jodry widział, jak spacerują po ulicach Kolegium cali spięci, spodziewając się, że z za węgła może w każdej chwili wypaść na nich wataha opryszków nawołująca do przejęcia władzy.

Dlaczego więc każdy żukowiec przy zdrowych zmysłach bardzo chciał zostać przewodniczącym? Bo oczywiście ze stanowiskiem tym wiązały się też przywileje. Jeśli chodzi o politykę zagraniczną, przewodniczący przemawiał w imieniu Kolegium, spotykał się z ambasadorami i organizował

oficjalne spotkania. Nie oczekiwano od niego składania interpelacji, ale to on sporządzał listę osób mających zabrać głos podczas obrad Zgromadzenia. Drillen nie mógł zabronić nikomu wystąpienia, ale to od niego zależało, czy dana osoba dostanie czas w godzinach przedpołudniowych, kiedy członkowie Zgromadzenia byli wypoczęci i skorzy do kłótni, czy też z samego rana, kiedy jeszcze spali, albo później, kiedy myśleli już wyłącznie o tym, która garkuchnia zaserwuje im dzisiaj zrazy.

W ten sposób przewodniczący miał władzę równą *aristos* i być może dlatego właśnie pająkowcy najlepiej rozumieli wagę jego funkcji.

Mimo wszystko Jodry nie docenił znaczenia swego urzędu. Zaledwie w godzinę, choć tego ranka nie było nawet posiedzenia Zgromadzenia, na jego biurku znów zgromadziła się sterta papierów!

– Ambasador Aagen chce porozmawiać z panem na temat kolejnych igrzysk – oznajmił Arvi, a palec, którym wodził po liście spraw do załatwienia, nie znajdował się nawet w jej połowie.

Muszec był wcieleniem doskonałości urzędniczej i robił

wrażenie, że jeśli zajdzie taka konieczność, nie zawaha się przed z marnowaniem Jodryemu całego dnia.

– Czy my nie mamy przypadkiem komitetu zarządzającego igrzyskami? – zaczął Drillen płaczącym tonem. – Przysiągłbym, że przyznaliśmy starej Nemmie Linker jakieś fundusze na jego działalność.

Arvi zmarszczył nos.

– Aagen jest osowcem, mistrzu. Jest zatem przyzwyczajony do rządów jednostki – i to zwykle mężczyzny.

– No to spław go jakoś.

– Bardzo dobrze. – Muszec zrobił mały krzyżyk na zwoju. – Mistrz Outwright przyszedł z delegacją, by porozmawiać na temat przyszłości kompanii. Wiedzą, że jest wniosek, by je rozwiązać.

– A wspominałeś im, że wojna się skończyła? Może nie słyszał – mruknął przewodniczący.

– Podejrzewam, że odpowiedziałby, iż to nie takie proste, jak się wydaje, mistrzu – odparł Arvi sprytnie.

Był najbardziej wyzutym z poczucia humoru muszecem, jakiego Jodry znał, ale też najbardziej efektywnym.

– Spotkam się z nimi dziś po południu. – Drillen zamilkł, nad czymś się zastanawiając. – Niech przygotują moją bojową kryzę i wypolerują miecz, czy co tam się z tym robi, żeby dobrze wyglądało. Nie muszę wyglądać jak weteran.

– Bardzo dobrze. – Palec Aryiego przesunął się niżej. –

Delegat z Rady Trzynastu w Helleronie chce pomówić o kolei. To Jandry Pinhaver, więc...

– ... więc nie mogę go zignorować. Cóż, zaprosz go wieczorem na kieliszeczek czegoś zacniejszego. Powinno mu się to spodobać. Weź dwie butelki Seldis Glorhavael 500.

Słyszałem, że Pinhaver zna się na winie.

- Bardzo dobrze. Następnie mamy kolejnych trzynaście petycji w sprawach prawnych.
- Sam je przejrzyj. Jeśli znajdziesz coś, co wygląda poważnie, przynieś mi wraz z jutrzejszą listą.
- A dwie wyglądające poważnie petycje z wczoraj?
- Je też przynieś jutro i tę z przedwczoraj także –
westchnął Jodry.

A wydawało mu się, że będzie miał czas na kilka ważnych spraw. Próbował się nimi zająć przez pierwsze dwa dni, i to nie tylko dlatego, że wiedział, iż tego oczekiwałyby od niego Stenwold. Problem polegał na tym, że po odpowiednio długim grzebaniu w nich jedynie kilka nadal wyglądało niewinnie.

- Daj już mi spokój, męczyduszo. Coś jeszcze?
- Mistrz Stenwold zszedł dziś rano z pokładu *Wolnego od Pływów*, jednostki obsadzonej przez muszców bez konkretnego przydziału – zameldował Arvi, po czym starannie zwinął pergamin.

Drillen wpatrywał się w niego z otwartymi ustami, po czym zebrał się w sobie i rzekł:

- Nie mogłeś mi tego powiedzieć na początku?

Wyplłynął siedemnaście dni temu!

- A wysłuchałby mnie pan do końca, gdybym od razu powiedział, że mistrz Maker wrócił? – Arvi uniósł jedną brew.

Jodry posłał mu cierpkie spojrzenie.

- Nie myśl sobie, że nie mogę cię wylać. I to bez referencji.
- Ale niech pan pomyśli o tych wszystkich petycjach, które zazwyczaj wstępnie analizuję, mistrzu – odparł muszec z kamienną twarzą.
- Poślij po niego. Chcę się z nim spotkać, jak tylko będę miał chwilę. Powiedz mu, że robię wszystko, by powstrzymać trzecią wojnę z Vekiem. To powinno zwrócić uwagę tego beztroskiego zbira.
- Bardzo dobrze – odpowiedział Arvi i kłaniając się, wyszedł z sali.

Najpierw poszedł zobaczyć się z Arianną, ale tylko dlatego że plan postępowania opracował jeszcze na pokładzie statku. Załoga *Wolnego od Pływów* została w nie dokładnie wprowadzona i miała spotkać się z nim później.

Przez całą drogę do domu towarzyszyła mu jedna myśl: ród Aldanraelich. Ciężyla mu jak kula u nogi.

We mgle, wietrze i podczas Batoga analizował słowa Albinusa.

Zdobęde dowód, postanowił. Ale nawet jeśli bladolicy mrówiec mówił prawdę, wiedział, że niełatwo będzie wskazać palcem na lorda wojny Teornisa z rodu Aldanraelich.

Wysnuwać zaś pochopne wnioski i zrzucać na niego winę...

Cóż... Teornis był bardzo lubiany w Kolegium, ale pokój cieszył się jeszcze większą życzliwością. Stenwold nie miał też złudzeń, że z bohatera wojennego *aristoi* mógł w okamgnieniu zmienić się w podżegacza.

Przynajmniej Arianna ucieszyła się z jego powrotu.

Długo i mocno trzymała go za rękę i wydawało mu się, że się rozpłacze, chociaż kiedy go w końcu puściła, oczy miała suche. Przypomniało mu to czasy oblężenia przez Vekkeńczyków i początek ich znajomości.

Miał zamiar powiedzieć jej więcej, nawet poprosić o radę, ale nie potrafił znaleźć odpowiednich słów. Po prostu nie chciał obarczać jej swym brzemieniem.

Odnalazł go jeden z ludzi Jodry'ego i wezwał na pilną konferencję. Maker niechętnie zapatrywał się na taką perspektywę. *Czy nie za dużo sobie obiecywałem po jego nominacji na przewodniczącego? Sądziłem, że stanie o własnych siłach i skończy traktować mnie jak sługę.* Był

surowy w tej ocenie, wiedział o tym, ale przewidywania Drillena na temat Vekkeńczyków trąciły panikarstwem.

Zobaczę się z nim w dogodnym dla siebie czasie.

Wszedł do swego gabinetu i skreślił list, bardzo starannie dobierając słowa, chociaż nie był on adresowany do nikogo konkretnego. Prawdę mówiąc, Stenwold rozważał

wysłanie go do trzech lub czterech osób, które właściwie zrozumiałyby zawarte w nim sugestie, ale nie był pewien, czy przebywają w mieście i która będzie najodpowiedniejsza.

Niedostatek wiedzy w tej kwestii wstrząsnął nim bardzo, tak jakby schodząc rano na śniadanie odkrył, że w schodach brakuje stopnia. *Tracę instynkt. Powinienem wiedzieć takie rzeczy. Czy wcięż jestem asem wywiadu? A może zmieniłem się w kolejnego opasłego członka Zgromadzenia z wojennymi zasługami?*

Wówczas do gabinetu weszła Arianna z kubkiem gorącej czekolady. Instynktownie schował list pod kolejną pergaminową kartą i do razu dopadło go z tego powodu poczucie winy. I tak wkrótce odgadnie, że coś knuje.

Tymczasem usiadła, bo chciała posłuchać, co zatrzymało go na morzu przez niemal dwadzieścia dni, ale on nie chciał jej okłamywać. Kiedy uwiesiła mu się na ramieniu, nieomal jej powiedział, lecz ugryzł się w język i zastąpił wyznanie jakimś sprawiającym jej radość banałem. Wiedza, którą

posiadł, już zaczęła go zatruwać. Nie chciał, żeby ją również to spotkało.

Później, kiedy już wyprawił muchopodobnych z listami, wraz z Arianną znaleźli inną płaszczyznę porozumienia i niemal zapomniał o wszystkich tajemnicach. Na drugim końcu miasta zaś Jodry Drillen pieklił się, tupał i przeklinał

Makera, który nie zaszczycił go nawet jedną myślą.

Człowiek Drillena zapukał do drzwi Stenwolda wczesnym rankiem. Cardless przegonił go i kazał błąkać się po ulicach jeszcze przez ponad godzinę, ale Maker wiedział

już, że przewodniczącego, podobnie jak muchy od zepsutego pożywienia odgonić się nie da – zaraz zawróci i znów na nim usiądzie.

Wstał więc z łóżka, nie budząc Arianny, ubrał się w najlepszą akademicką szatę i poszedł do biura Jodry'ego.

Miejmy to już za sobą. Są inne sprawy do załatwienia.

Posłaniec złapał go na schodach wiodących do Amphiphosu i kołysząc się przed nim w rytmie jego kroków, podał mu złożony papier. Była to niezwykle schludna muchopodobna, z okrągłym, świeżo wypolerowanym znaczkiem jej gildii na piersi.

Stenwold rozwinął kartkę i zamrugał, przeczytawszy kilka zapisanych na niej słów, po czym spytał:

– Kto ci to dał?

– Mistrzu Makerze – odpowiedziała z urazą mucha. –

Ktoś zostawił to w pana biurze. Nikt nie wie kto.

Stenwold się zaniepokoił, bo na kartce ktoś nakreślił

stanowczym charakterem pisma: „Powiedz Makerowi, że tam będę. Ale nadal nic nie można z tym zrobić, do czasu...”. Miał

zamiar ruszyć naprzód, lecz muzyka podskoczyła i taktownie odkaszlnęła.

– Ach, więc nikt ci jeszcze nie zapłacił – stwierdził

ironicznie i podał jej kilka monet.

Skłoniła się grzecznie, już odrywając stopy od ziemi, i odleciała gdzieś w miasto.

Jodry'ego zastał przy biurku. I to nie samego. Młody żukowiec, w którym Stenwold rozpoznał Maxela Gainera, siedział nachmurzony na krześle obok, jakby zaraz miał trafić na dywanik przełożonego. Kiedy wprowadzono do sali Makera, podniósł wzrok z nadzieją.

– O co to całe halo? – zapytał z miejsca Stenwold.

Nie słyszał, żeby Kolegium znalazło się w stanie wojny z Tsenem czy Vekiem ani z żadnym innym miastem-państwem mrówców, a był pewien, że jeśli tak by się stało, ktoś wspomniałby mu o tym.

Drillen uniósł brwi.

– Czy wolno mi zapytać, gdzieżeś się podziewał przez dwadzieścia dni?

– Odbywałem zdrowotny rejs morski – odparł zwięźle.

– Jodry...

– Potrzebuję twoich talentów dyplomatycznych, Stenwoldzie. Znasz się na mrówcach lepiej ode mnie.

Czy zostałem specjalnym doradcą Kolegium do spraw wszystkich mrówców? Cóż to byłaby za posada. Zajął

miejsce, zerkając na Gainera z ukosa.

– Co on znowu nabroił?

– Nic, oprócz wzniesienia wojny – odparł

przewodniczący wymijająco. Kiedy Gainer zaczął

protestować, uniósł obie dłonie, by go uciszyć. – Oczywiście nieumyślnie i sprawa raczej dotyczyła starego Tseitusa, a nie jego bezpośrednio, ale na młot i cęgi, Stenwoldzie! Nie uwierzysz, po jak kruchym lodzie muszę tu stąpać, a wiesz, że nie jestem osobą do tego stworzoną.

– Zatem co się stało z Tseneńczykami i ich podwodnikami? – zapytał Stenwold.

Myśl, że podwodniki mogą się Kolegium wkrótce bardzo przydać, pojawiła się w jego głowie niemal naturalnie. Jeśli pająkowcy zaatakują, przybędą od strony morza. *Ciekawe, w jak bliskich relacjach Jodry pozostaje z Teornisem i jego krainami?* Stenwold od zawsze zajmował się Imperium.

Polował na jego agentów i sympatyków, piętnując tych, którzy brali pieniądze od osowców. Nigdy nie myślał o tym, że inne rasy też mogą wiązać jakieś plany z Kolegium i całymi Nizinami.

– Trwają na stanowisku, że *Tseitan* został im skradziony – wyjaśnił Drillen. – Robią z tego wielki problem, jakby chodziło o równie rewolucyjny wynalazek jak przebijak nowej generacji. Osobiście myślę jednak, że jest to wyłącznie wybieg i tak naprawdę chcą czegoś innego.

– Cóż, a czym dokładnie jest *Tseitańł* – dociekał

Stenwold.

Jodry dał znak Gainerowi, który odchrząknął.

– Oryginalny pojazd podwodny. Stara łódź mego mistrza wyprodukowana została w Kolegium, ale mistrz Tseitus dodał do niej wiele ulepszeń, które miał co prawda w głowie, ale kompletne, jak pan widzi. Zawsze uważałem, że to jego pomysły. – Młody rzemieślnik denerwował się nieco, bo najwyraźniej ta sprawa go przerosła. – Może powiedział o nich w Tsenie, ale my również włożyliśmy w to sporo pracy i odrzuciliśmy też kilka jego pomysłów, zastępując je lepszymi rozwiązaniami. Mistrz i seitus sam również przez cały czas usprawniał swój projekt. – I na koniec dodał: – Powiem panu, że żałuję, iż nie ma go z nami. – I faktycznie wyglądał

na przybitego.

– Czego więc chcą Tseneńczycy Kratii?

– Wojny z Vekiem – odparł Jodry. Widząc reakcję Stenwolda, uśmiechnął się blado. – Choć tego wprost nie powiedzieli, właiiiiie tego chcą. Kiedy tylko zwietrzyli, że w końcu nasze stosunki z tym miastem ociepliły się, zaczęli robić rwetes. Armie Veku od dłuższego czasu skierowane były na wschód, ale skoro nagle Vekkeńczycy poprawili relacje z nami, nic nie stoi na przeszkodzie, by zwrócili je przeciwko Tseneńczykom. W końcu jest ich dużo więcej niż tamtych.

– Cóż, mogą sobie pomarzyć o wojnie – stwierdził

Stenwold cierpko. – Za dużo wysiłku kosztowało mnie zbudowanie pokoju.

– Tak, ale Tseneńczycy – aż mi to nie chce przejść przez gardło – to sprytne sztuki. Są zupełnie inni niż pozostali ambasadorzy mrówkopodobnych. Pokazali się ludziom, gościli u członków Zgromadzenia. Podkreślali rolę swego państwa w wojnie – że wysłało żołnierzy taki kawał od domu, by walczyli z Imperium i ginęli na froncie pod Samem.

ATseitus... no, ale tu się uśmiejesz.

– Mówią, że był bohaterem – wykrztusił Gainer, a w jego tonie pobrzmiwała zarówno konsternacja, jak i duma.

– Wydawało mi się, że nazwały go złodziejem –

przypomniał Maker.

– Takie są właśnie następstwa długich podróży dla zdrowia – podsumował ironicznie Jodry. – Świat na nas nie czeka. Okazuje się teraz, że Tseitus był bohaterem Tsenu, który przybył z pomocą swoim przyjaciółom z Kolegium.

Sten, już dostałem pierwszą oficjalną prośbę o uznanie jego zasług podczas wojny. Chodzi tu oczywiście o zatopienie flagowego okrętu Vekkeńczyków. – Stenwold pokiwał głową ponuro. – I spójrzmy prawdzie w oczy: on to zrobił. – Jodry uniósł ręce w geście rezygnacji. – Poza tym

Vekkeńczycy rzeczywiście chcieli nas wykończyć i nie jest to jeszcze historia starożytna. Ludzie zaczynają więc szemrać.

– Wyobrażam sobie. – Stenwold miał wrażenie, że nad jego głową zamyka się lodowata toń. Znów pochłaniały go sprawy Kolegium. – Pozwól mi się nad tym zastanowić. Musi być jakiś sposób.

– A zastanawiaj się, zastanawiaj, byle nie za długo –

odparł Drillen. – Przynajmniej skorzystał na tym mistrz Gainer. Nie tylko jest teraz postrzegany jako uczeń bohatera, ale dotacje na dokończenie projektu *Tseitana* są większe niż potrzeba. Wyrzucanie pieniędzy na łódź, która tonie, jest dla mnie czystym szaleństwem, ale z ludźmi nigdy nic nie wiadomo.

– Ja tylko chcę kontynuować pracę mistrza Tseitusa –

oznajmił Gainer. – Nic mnie nie obchodzi cała reszta.

– Moja rada jest taka, żebyś brał się do roboty, póki możesz – odpowiedział mu Jodry i znów zwrócił się do Makera: – No i co? Cieszysz się, że tak szybko cię wezwałem?

– posłał mu szeroki sarkastyczny uśmiech.

– Nie – odparł Stenwold zwięźle. – Ale dobrze zrobiłeś, niech cię wij porwie. Ostatnią rzeczą, jakiej teraz potrzebujemy, są kłopoty z mrówcami. Z wszystkimi mrówcami.

Przewodniczący pokiwał głową.

– Pewnie wiesz też, że oddziały osowców stacjonujące wcześniej na granicy Myny nadal tam są. Podobno cała Piąta Armia maszeruje w tamtym kierunku w takim tempie, jakby ćwiczyła na urodziny imperatorowej. Prawdopodobnie osowcy czekają tylko na nową wojnę, która wybuchnie tu, na Nizinach. Gdybyśmy odwrócili od nich wzrok na dziesięć minut, wszystkie miasta trój przymierza zniknęłyby jak sen złoty.

A zwłaszcza gdyby Kolegium skrzyżowało miecze z mieszkańcami Ziem Pająkowców, pomyślał Stenwold.

Gdyby okazało się, że dwóch największych wrogów osowców zaczyna się okładać, świętowano by w całym Imperium. I wtedy by ruszyli.

Po wyjściu z gabinetu Drillena zatrzymał się na chwilę, by przemyśleć to wszystko raz jeszcze. *Czy przeoczył jakiś ślad zdrady? Cień pająkowca chowającego się za gładkimi słówkami?* Być może Jodry stał się już nazbyt biegłym politykiem, ale szósty zmysł podpowiadał mu, że nie ma nic wspólnego z piractwem, lednak Stenwold nie mógł

ryzykować, przyjmując to za pewnik. Wiedza, jaką posiadał, paliła go we wnętrzościach jak płynny metal. Jeśli Drillen był niewinny i nie spiskował, to lepiej, żeby nie wiedział, tak samo jak Arianna. *Zatrzymam to dla siebie, dopóki nie zdobędę dowodów. A musza załoga dotrzyma sekretu.*

JEDENAŚCIE

Zatrzymał się w drzwiach tawerny Merrai i kiedy ujrzał

znajome wnętrze, dopadła go słodko-gorzka nostalgia. Na długo przed wybuchem wojny miejsce to było bazą jego działań kontrwywiadowczych. Właściciel znał go doskonale –

oraz jego sakiewkę – ale wtedy chodziło o coś więcej...

Ile czasu to już minęło? Trzy lata i więcej, odkąd ich wysłał. Oznaczało to pożegnanie z niewinnością jego bratanicy i dwóch znajomych studentów. *Tylko Tynisa, która poprzedniej nocy zabiła człowieka, i Salma, który więcej wiedział o nieszczęściu i stracie, niż powinien jakkolwiek młodzieniec, znali nieco życie.*

Stojąc tak w wejściu do lokalu należącego do muszca, poczuł ukłucie żalu na tyle bolesne, że zamiast udać się od razu do ostatniego pomieszczenia, pod wpływem wspomnień usiadł na podłodze obok jednej z ław. *Straciłem ich wszystkich. Na młot i cęgi, iluż ich straciłem.* Tynisa uciekła nie wiadomo dokąd, a Totho został dezertorem i jakimś arcyzemieślnikiem w okolicach Exalsee. Che uciekła z Thalrykiem – z Thalrykiem! – a Salma... Cóż, pochłonęła go wojna, zginął z mieczem w dłoni w miejscu, które teraz ludzie zwą Szaleństwem Malkana albo jego Szańcem – w zależności od tego, po której stronie walczyli.

Dodaj do listy resztę. Ciemca Achaeosa, który zmarł od ran w Tharnie, i Scuto, który zginął podczas vekkeńskiego oblężenia. Tisamon, Nero, Marius zabity bełtem w Mynie tak dawno temu. Atryssa zmarła w połogu. Kończą mi się przyjaciele. A kto będzie następny? Czy moje działania doprowadzą do śmierci Jodry'ego? A może Arianny. Może zdziesiątkuję załogę Wolnego od Pływów.

Znów poczuł nudności, ale zmusił się do wstania z podłogi, po czym skinął głową właścicielowi, który chował się właśnie na zapleczu.

Tomasso i Laszlo czekali już na niego, popijając muszega cienkusa.

– Mistrzu Makerze – odezwał się brodac, kiedy Stenwold usiadł naprzeciw nich. – Mam nadzieję, że mądrze spędził pan kilka ostatnich dni.

– Zgadza się – potwierdził żukowiec.

Przez trzy doby, jakie upłynęły od jego zejścia z pokładu *Wolnego od Pływów*, zbierał raporty z doków, śledził listy przewozowe i zadawał pytania.

– Wygląda pan, jakby się czymś martwił – zauważył

Tomasso.

– Niczym, co ma związek z naszą sprawą. –

Przynajmniej taką mam nadzieję, dodał w myślach. –

Cumujecie... ?

– Znów za murami – odparł Tomasso. – Nie spodziewamy się zmiany pogody, a tam przynajmniej nie zwracamy niczyjej uwagi.

– W jaki sposób? – zapytał Stenwold. – Jak to się dzieje, że władze portowe was nie pogonią?

– Bo mają za sobą długą historię korupcji, która sięga prawdopodobnie jeszcze czasów sprzed rewolucji – wyjaśnił

Tomasso. – Poza tym nie przypominam sobie, żeby wasze prawo mówiło coś na temat tego, po której stronie murów należy cumować. Proszę mi wierzyć, sprawdzałem. Kilka monet tu i tam i już nikt się nami nie interesuje. Poza tym nikomu nie chce się podchodzić do murów i patrzeć w dół.

Życie portowe rzadko jest tematem rozmów tak ważnych figur jak pan, mistrzu Makerze.

Stenwold pokiwał głową, zastanawiając się, czy nie powinien wobec tego przeciwdziałać odkrytej właśnie korupcji, ale nie znalazł w sobie ani krztyny motywacji do tego.

– Jak się ma... ?

– On? Ani trochę lepiej, ale wciąż dycha. Miło, że pan spytał. – Tomasso osuszył swoją czarę i Laszlo napełnił ją ponownie. – Ale do rzeczy.

– Nie jesteśmy jeszcze gotowi – odrzekł Stenwold. –

Mam nadzieję, że...

Laszlo odkaszlnął znacząco i żukowiec zamarł. Tylne drzwi nie były zbyt przestronne ani też zagracona, ale dopiero teraz zauważył, że muszcy siedzą dziwnie blisko siebie. Na chwilę zamknął oczy, wsłuchując się w ciszę i tropiąc zapachy w powietrzu. Musiał jeszcze raz ocenić to miejsce, nie dając się już nabrać.

Zgadywał, że była w nim obecna sztuka używana od czasu do czasu przez Tisamona, choć nie z taką wprawą.

Kiedy ponownie otworzył oczy, siedziała tam – nie niewidzialna, nie wtopiona w otoczenie, ale pozostająca w takim bezruchu, że szukając muszców, prześliznął się po niej wzrokiem. Klęczała przy stole na tyle blisko, że gdyby chciała, już dawno by go dźgnęła – modliszkopodobna, o krótko przyciętych, ciemnych włosach i pociągłej twarzy. Wyglądała na młodą i byłaby nawet ładna, gdyby nie blizny –

poszarpana szrama ciągnęła się od podbródka do resztek lewego ucha. Jedna z dłoni błyszczała się od poparzeń, które zidentyfikował jako ślady po żądle osowca, chociaż palce miała sprawne, co było widać, kiedy zabierała dzban z piwem od Laszla. Ubrana była w skórzany kaftan z chitynowymi

ćwiekami, a na przedramionach miała wykładane brązem drewniane ochraniacze, umożliwiające postawienie kolców.

U boku zwisały jej dwa krótkie ostrza, wąskie jak rapiery, ale nie dłuższe od gladiusów.

Stenwold wyciągnął liścik dostarczony przez kurierkę.

– Od ciebie? – zapytał.

Ledwo rzuciła nań okiem.

– Przecież jestem, tak?

– A jesteś... ?

– Danaen – odparła.

Wiedział, że cieszyła się nie najlepszą sławą. I takiej osoby właśnie szukał. Modliszowcy z Felyalu nie zawsze byli dobrymi sąsiadami żukowców. Osady zorganizowane przez mieszkańców Kolegium na obrzeżach Felyalu przynosiły zyski, ale wraz z drewnem nadciągały stamtąd opowieści o walkach i tajemniczych zniknięciach ludzi, a niejeden kupiec przekonał się o tym, że ciekawskim tutaj podrzynają gardła.

Czasami, mniej więcej raz na dziesięć lat, sprawy się komplikowały i mieszkańcy Felyalu zamykali swoje granice na jakiś miesiąc. Z czym należało się po prostu pogodzić.

Ale to nie stanowiło największego problemu. Długie łodzie z Felyalu sunęły wzdłuż brzegu wyspy, w połowie drogi między nią a Parosyalem, zazdrośnie strzegąc swoich wód.

Często też większa ich grupa wyglądała z lasu i wtedy statki z Kesu czy Kolegium musiały uważać – ich kapitanowie poświęcali część towarów na ugłaskanie modliszowców –

choć prawdziwym celem mieszkańców Felyalu były jednostki handlowe pająkowców. Kiedy tylko u modliskopodobnych rozpoczynał się sezon łowów, żaden pająkopodobny nie był

na morzu bezpieczny.

Ale to wszystko opisywały podręczniki historii, gdyż Felyalu już nie było, a odbudowanie go, sądząc po tym, jak modliszowcy się do tego zabierali, powinno potrwać całe pokolenia. Druga Armia Imperialna ścięła kwiat ich wojowników, wypaliła grody i rozpedziła ich mieszkańców na cztery wiatry. Ci, co przeżyli, wylądowali w Kolegium i zażarcie walczyli z osowcami. Ale teraz, kiedy nastał pokój, stali się buntowniczą i agresywną mniejszością, zawsze gotową dobyć miecza i penetrującą biedniejsze obszary miasta.

Danaen była niegdyś kapitanem drakkaru. Handlowała trochę na wybrzeżach, ale jej imię kojarzyło się z rabunkiem

– z piractwem po prostu. *Znalazłem się dziś w doborowym towarzystwie* – stwierdził Stenwold. Ale najważniejsze było to, iż Danaen mógł zaufać w jednym – z całą pewnością nie zaliczała się do przyjaciół pająkowców czy rodu Aldanraelich.

Nie przekupili jej i nie dadzą rady tego zrobić, bo chociaż są bogaci, taka waluta nie istnieje. Stenwold potrzebował

właśnie kogoś takiego, ale patrząc na jej pooraną szramami twarz, poczuł lęk. Modliszowcy byli nieobliczalni, szybko się obrażali i równie szybko zabijali z tego powodu. *Muszę pamiętać, że to nie Tisamon.*

– W takim razie przejdźmy do interesów – powiedział i napotkał chłodne, lekko pogardliwe spojrzenie Danaen. – Ilu masz ludzi, którzy mogliby z tobą wypłynąć?

Wzruszyła ramionami.

– A któż to może wiedzieć? Dużo czasu minęło od dnia, gdy ktoś nas wzywał po raz ostatni. A jeszcze więcej od chwili, gdy czarno-złoci spalili nam statek. Niektórzy pozatrudniali się u waszych kupców, inni poszli do miasta mrówców, gdzie zostali zwiadowcami na wypadek ponownego ataku Imperium. Stare czasy minęły, żukowcu.

Może będziemy w stanie tchnąć w nie trochę życia, pomyślał Maker, ale nie odważył się powiedzieć tego głośno.

Czuł się wyjątkowo niezręcznie, prosząc o pomoc kogoś takiego. I nie chodziło o to, że nie lubił modliszowców, jednak większą wagę przykładali oni do swego honoru niż wymogów chwili czy dyplomacji.

– Nie będziesz potrzebowała własnego statku do tego zadania – oznajmił. – Chcę, żebyście chronili statki Kolegium przed piratami. Szczególnie statki Kolegium.

Na jej ustach zatańczył szyderczy uśmiezek.

– A więc jesteś kolejnym kupcem oferującym nam swoje złoto.

Ale nawet nie drgnęła, żeby wyjść.

– Nie – zebrał się w sobie. – Nie chcę, żebyście paradowali po pokładzie, machali proporcami i odstraszaali innych. Macie się ukryć pod pokładem i dopiero podczas abordażu, jeśli taki nastąpi, wyjdziecie na zewnątrz.

Wyraźnie się ożywiła.

– I spadniemy na nich?

– I zajmiecie ich statek, jeśli to będzie możliwe.

Zmusicie do poddania się – poddania, jeśli to będzie możliwe. Znajdziecie dowody na to, kto wydaje im rozkazy i do kogo należy statek. Rozumiesz mnie?

– Będziemy walczyć – powiedziała.

– *Będziecie pod rozkazami tego tutaj Tomassa albo osoby, którą on wyznaczy – zaznaczył Stenwold surowym tonem. – Nie chodzi tu o rzeź dla samej rzezi. Ja muszę znać prawdę. – I nie mogę wspomnieć o pająkowcach, jeszcze nie. Nie chcę, aby modliszowcy sądzili, że mają wolną rękę w wybieraniu wszystkich pająkowców w Kolegium. – Jaka jest twoja decyzja, Danaen?*

Niemal fizycznie odczuwał jej opór, ale spokojnie wytrzymał spojrzenie. W końcu to ona odwróciła wzrok.

– Będę słuchać rozkazów muchopodobnego, skoro taka jest twoja wola. Jeśli nasi wrogowie rzucą broń, oszczędzimy ich.

– Bez względu na to, kim będą?

Znów spojrzała na niego, krzywiąc usta.

– Chcesz, żebym podpisała jeden z tych waszych papierów? Na którym statku popłyniemy?

– Ach, cóż. To dobre pytanie.

Maker obmyślił już wcześniej, jak powinien wyglądać idealny statek, który ma paść łupem piratów – wziął pod uwagę ładunek, armatora i możliwości kupca. I spośród jednostek wypływających w ciągu najbliższych dziesięciu dni wybrał kilka, które mogłyby stać się łakomym kąskiem dla piratów. *Czy rodu Aldanraelich. Ktokolwiek za tym wszystkim stoi, z pewnością musi obserwować port, gdyż jak wskazują notatki Failwrighta, ma bardzo dokładne informacje o ładunku. Jak w takim razie wataha modliszowych marines wejdzie na pokład niezauważona?*

– Zaokręćcie się na *Wolnego od Pływów* Tomassa –

zdecydował Stenwold. – Następnie Tomasso spotka się z wybranym przeze mnie statkiem. Jego kapitan dostanie zalakowany list z wyjaśnieniem, że opłaciłem dodatkową ochronę wyprawy. Wierz mi, każdy przedsiębiorca transportowy i każde konsorcjum jest świadome zagrożenia i mam nadzieję, że to wystarczy, by przyjęli was pod pokład. A potem... Cóż, bardzo możliwe, że odbędziecie po prostu nader przyjemną podróż do Kesu i z powrotem, ale cały czas musicie pozostawać w gotowości.

– Będziemy – zapewniła go, a w myślach już ostrzyła miecze.

– Trzy centrale na jednego człowieka. Pięć centrali premii, jeśli statek zostanie zaatakowany. Kolejne pięć, jeśli dostanę niezbity dowód, kto nim dowodził.

Modliszkopodobni nie mieli w zwyczaju targowania się.

Nie do końca też rozumieli wartość pieniądza. Danaen skinęła więc głową bez komentarza.

– W takim razie przygotowujemy się do podniesienia żagli

– oznajmił Tomasso, wstając z miejsca.

Danaen też zerwała się, gotowa do działania.

– Zbiorę moich ludzi – oświadczyła. – Dobrze będzie znów poczuć zapach krwi i morza.

Wyszła przez właz w suficie i Stenwold najpierw usłyszał

furkot jej skrzydeł, a potem trzaśnięcie kłapy. *Jaką cenę trzeba płacić za nieprzekupność?* – pomyślał nie po raz pierwszy.

W ogrodach Amphiphosu świeciło jasne słońce.

Żukczyca w szatach członka Zgromadzenia, obsługiwana przez dwójkę służących serwujących wino i figi pochodzące z miast leżących na jedwabnym szlaku, zabawiała malucha o połowę młodszego od siebie. Siedząc samotnie wśród roślinności, Arianna spoglądała na nich cierpko. Żukowcy nie byli dobrymi ogrodnikami. Kiedy przejęli miasto wiele wieków temu, po rewolucji, musieli zająć się ważniejszymi sprawami. Amphiphos, podobnie jak kilka innych budynków uczelni i pozostałych, otrzymali w spadku po dawnych panach miasta, a ciemcy mieli wysublimowane poczucie piękna. I chociaż miejsce to było teraz bardziej uporządkowane, a żukowcy zamontowali zegar słoneczny, który wskazywał godziny, oraz parę fontann, umysł

niepojętnego wciąż mógł zaznać tutaj ulgi. Tyle że ona nie potrafiła się uspokoić.

Robiłam wszystko, co mogłam, by wzbudzić jego podejrzenia. Wszystko oprócz powiedzenia tego prosto z mostu. Kiedy Stenwold wrócił do domu po morskich wozach, była nerwowa, niepewna siebie i pozbawiona wiary we wspólną przyszłość. Kochała się z nim z taką samą desperacją jak wtedy, kiedy się zesłi, kiedy uciekła z Rekefu, kiedy darowała mu życie i walczyła u jego boku z Vekkeńczykami. Według niej musiał dostrzec podobieństwo.

Ale nie, w jego oczach nie zauważyła nawet cienia podejrzeń.

Niemal o nic nie spytałam. Przecież to powinno dać mu do myślenia. Oparła się pokusie. Gdyby usłyszała coś ważnego, mogłoby to ją pociągnąć w dół – ku kolejnej życiowej zdradzie, z jakich na podobieństwo sznura pereł

złożone było jej życie. Pomięła temat jego nieobecności, jakby poszedł tylko do sklepu po wino i wiktuały.

Stenwoldzie, asie wywiadu, czyżby to zupełnie cię nie niepokoiło?

Tak właśnie było. Maker był po prostu zadowolony, że nie musiał się z niczego tłumaczyć. Tylko tyle. Jak wszyscy żukowcy mozolnie szedł swoją drogą, zatopiony wyłącznie we własnych sprawach,

podczas gdy cały świat znaczeń i subtelności przelatywał mu nad głową. *Jak to możliwe, że nie widzi, iż znalazłam się na rozdrożu? Że stoję na krawędzi? Czy on sam chce, żebym go zdradziła? Czy mu nie zależy?*

Ich związek wykuwał się w ogniu walki o miasto, a umacniał później, lecz teraz, kiedy zapanował pokój, Stenwold stał się innym człowiekiem – a może to ona się zmieniła? Wolała nieustanną walkę. Teraz miała wszystko, o czym mogła zamarzyć, a przynajmniej wszystko, co mogło jej zaoferować to żuczce miasto. I byłoby tego aż nadto, gdyby nie Teornis, nie jego propozycja. Nie uświadamiała sobie, że czegoś jej brakuje, dopóty, dopóki jego zręczne słówka nie wyciągnęły z niej pragnień na wierzch.

Stenwold uważa, że jestem na każde jego zawołanie, pomyślała i zaraz doszła do wniosku, że taka jest prawda. Nie podejrzewa jej o nic, bo teraz należy do niego. Nie przyszło mu do głowy, że ten stan może zmienić się równie łatwo jak pogoda. Zukowcy wznosili budowle z kamienia. To, co postawili, trwało przez wiele pokoleń. Pająkowcy zaś korzystali z jedwabiu, który można było spruć i rano utkać ponownie.

Gdyby została przyjęta do rodu Aldanraelich, nawet jako ich bardzo odległa, uboga krewna, nie mogłaby już chcieć niczego więcej. Ale musiałyby przez cały czas pozostawać czujna. Odziedziczyłyby waśnie rodowe i sojusze

– musiałyby nauczyć się kroków ich tańca. Jej życie nie byłoby już tak bezpieczne jak tutaj, wśród kamiennych ścian.

Uwięziona. Jestem uwięziona w świecie żukowców, jakby mnie utrwalono w kropli bursztynu. Wyglądam pięknie, jest mi wygodnie, ale nie mam powietrza, ognia, którym dla mnie i dla Stenwolda były wojna, Imperium, ryzyko przegranej. Teraz to wszystko zniknęło: powietrze uszło, ogień zgasł – został tylko dym unoszący się znad świec oznaczających porażki Imperium: Myna, Szar, Solarno, Szaniec Malkana.

Pewnie jeszcze długo wiodłabym życie kochanki Stenwolda, gdyby Teornis nie otworzył mi oczu. Ale nie czuła wobec niego wdzięczności, już prędzej mogłaby go za to zniechęcić. Nie potrafiła jednak zapomnieć o tym wszystkim, co usłyszała. Nie umiała już teraz na powrót wpełznąć do tej wygodnej skorupki.

Poza tym jest tak, jak mówił Teornis, doszła do wniosku. *Są ze Stenwoldem w przyjaźni – czy zwyczajnie się lubią. Nie ma powodu, żebym musiała wybierać między nimi. Mogę grać na dwa fronty dopóty, dopóki będzie trzeba.*

Wyprostowała się.

– Powiedz swemu panu, że się zgadzam – wyszeptała i usłyszała poruszenie, kiedy niewidzialny słuchacz wycofał

się, a następnie popęzł dalej, by odszukać Teornisa z rodu Aldanraelich.

Od wielu stuleci sale Amphiofosu były sceną rozmaitych rozgrywek politycznych, często podejmowanych w ostatniej chwili.

O rzut kamieniem od miejsca obrad Zgromadzenia całe pokolenia jego członków cierpiały w nich udręki sumienia, oszukiwały sprzymierzeńców i odkrywały na nowo swoje cele. Obecnie te małe pokoje z białymi zasłonami na ścianach, które niegdyś stanowiły szaty posłów, zanim utarł

się zwyczaj, że każdy z nich ma własny ubiór – służyły jedynie zawiązywaniu spisków.

Jodry przywołał Stenwolda, by ten wszedł do środka, jak tylko żukowiec wsunął głowę w drzwi.

– Czasami udaje ci się je dobrze przystrzyc, Maker –

skomentował, zacierając rękę.

Przed wystąpieniem na forum Drillena zawsze zżerały nerwy, ale kiedy już stawał przed posłami, robił się twardy jak skała.

– Oczywiście znasz mistrza Outwrighta – dodał.

– Któż by nie znał? – zauważył Stenwold cierpko.

Janos Outwright od dziesięciu lat zatruwał życie członkom Zgromadzenia, prześcigając w tej sztuce nawet Makera, którego wystąpienie obawiali się wszyscy. Był łysy, krępy i niezwykle niski, a wyrazistości dodawały mu krzaczaste wąsiska. Fotel członka Zgromadzenia przyrósł mu do siedzenia za sprawą różnych chwytów i popisów, które jednały mu poparcie tłuszczy. Jednak po otrzymaniu odpowiedniej liczby głosów natychmiast porzucał swe pomysły. Stenwold miał nadzieję, że jego zaangażowanie w sprawę kompanii kupców nie było kolejną hucpą w jego wydaniu.

– Mistrzu Makerze, jestem zachwycony.

Outwright chwycił dłoń Stenwolda z werwą, która jego zdaniem powinna cechować raczej wojownika. Zresztą pod szatą posła Janos nosił emaliowaną błękitem kryzę i półpancerz inkrustowany srebrem we wzór koła najeżonego pikami i kuszami. Umieszczony na nim napis głosił: „Pełne zwycięstwo lub śmierć”.

Stenwold skinął mu grzecznie głową, czując, że odrobina dyplomacji nie zaszkodzi. *Koło jakich błaznów przyszło nam siedzieć*, pomyślał, ale teraz wiedział, że kontynuacja działalności kompanii była sprawą dość istotną.

– A to jest Elder Padstock, głównodowodząca... no... –

Jodry nie był w stanie powściągnąć złośliwego uśmiešku.

– Przynależnych Makerowi – dokończył za niego Stenwold.

Padstock była krępa, mocno zbudowaną kobietą o siwiejących włosach, ściągniętych z tyłu. Przyszła

w kaftanie do kolan z grubej skóry, jakie nosili obrońcy Kolegium i który niewiele się różnił od roboczego fartucha. Ten prosty pancerz przepasała czerwoną szarfą ze złotym symbolem miecza i księgi oraz napisem: „Przez wrota”.

– Wiedziałaś, że nas nie porzucisz, mistrzu Makerze.

Mocno uścisnęła mu dłoń i przytrzymała ją chwilę.

Stenwold starał się odszukać jakieś znane cechy w tej twarzy, ale nie przypominał sobie, żeby kiedykolwiek widział tę kobietę. Jakkolwiek zwykli mężczyźni i kobiety, którzy wspierali go w walce, nosili hełmy. Wiedział wtedy, że idzie na śmierć, i wołał zrobić to sam, bez towarzystwa. Jedyne właściwemu momentowi – oraz poczuciu honoru imperialnego generała – może zawdzięczać to, że uczynił z nich bohaterów, a nie batalion trupów.

Drżała lekko, a w jej oczach zalśniła łza. Ta chwila, chwila straceńców idących na pewną śmierć, była wciąż z nią

– bez wątpienia najwspanialsza w jej życiu chwila, którą będzie zawsze przywoływać w gronie rodziny i przyjaciół.

Jawne uwielbienie dla niego sprawiło, że poczuł się niezręcznie, uścisnął więc jej dłoń raz jeszcze i podziękował.

– Nie ma jeszcze chłopaków z Zimnego Głazu – rzekł

Drillen.

– Może to i lepiej – zastanawiał się Stenwold. – Jodry...

powiedz mi chociaż, że na ich stroju nie ma emblematu ze sterty vekkeńskich trupów czy czegoś podobnego. Nie jest to najlepszy moment na zadrażnienie relacji z Vekiem.

Przewodniczący parsknął rozbawiony.

– Nie chciałbyś tego, co? – Nagle uśmiech zniknął z jego twarzy. – Ich godłem jest biały hełm z profilu. A motto: „W

szatach naszych wrogów”. Rozumiesz coś z tego?

Stenwold pokiwał posępnie głową. Kiedy rozgoniono Vekkeńczyków, ludzie powiadali, że nie było na ulicy Zimny Głaz człowieka, który nie miałby zdobyczej kolczugi, miecza czy tarczy mrówców. Był gotów się założyć, że spora ich część miała też upchnięty w piwnicy bądź na strychu zestaw noszony przez osowców.

– No, dobrze – zakończył temat Jodry. – Chodźmy do nich.

Przeciągnął ręce, poruszając palcami, by zlikwidować napięcie. Drzwi otworzyły się w chwili, gdy

sięgnął do klamki.

Przed nimi stał mrówiec, jakiś renegat z Tarkeshu o woskowobladej skórze i stalowoszarych włosach. Miał na sobie szaro-granatową tunikę i płaszcz w nieco ciemniejszym odcieniu, a do tego był uzbrojony – u pasa wisiał mu gladius oraz puklerz z drewna i skóry z metalowymi ćwiekami.

Spodziewany przez nich symbol białego hełmu z mottem nie był widoczny, podobnie jak i inne ozdoby.

– Zimny Głaz? – zapytał Jodry i mrówiec skinął głową.

– Oficer Marteus – przedstawił się, skłaniając głowę w stronę Padstock.

– No to jesteście już w komplecie – oznajmił Drillen, chociaż widać było, że czułby się lepiej bez tej podejrzanej postaci stojącej obok niego.

Trójka dowódców kompanii kupców również przyglądała mu się wnikliwie.

– Proponuję najpierw, zanim tam wejdziemy, wyjaśnić sobie wszystko, żebyśmy się dobrze rozumieli – zaczął Jodry rzeczowym tonem. – Wiecie, jak wielu członków Zgromadzenia apeluje o rozwiązanie kompanii. Powiadają oni, że prywatne armie doskonale się sprawdzają w Hellerie, i ja się z nimi zgadzam. Znalazłem jednak – z błogosławieństwem mistrza Makera – jedno wyjście z tej sytuacji i powinniśmy zyskać wystarczającą liczbę głosów, by ten wniosek przepchnąć. Nie rozwiążę kompanii. Zalegalizuję je. Trzy siły obywatelskie zostaną uznane przez miasto.

Pokiwali poważnie głowami, więc Drillen ciągnął dalej:

– Mój sekretarz przygotował na moje polecenie zasady funkcjonowania oddziałów: ilu mają mieć członków, jak często muszą ćwiczyć i tak dalej. Załatwiliśmy też możliwość wypożyczenia przez nie pukoluków ze zbrojowni. Będą fundusze i legalizacja, ale pod warunkiem że będziecie postępować zgodnie z przepisami. Tym sposobem miasto będzie bezpieczne z wami, wy zachowacie swoją dumę i... cóż, nie musimy wymieniać trzeciej korzyści.

– Kolegium zyska wojsko – dokończył Stenwold.

– Armie sklepikarzy – zgodził się Jodry. – I niech rozum zwycięży. Chodźmy tam i ustalmy w końcu dyktaturę militarną, dobrze? Odrzucili dzisiaj rano pomysł stworzenia sierocińca, więc teraz niech zrobią dla miasta coś dobrego.

– Dla przyszłości kompanii i dla przyszłości Kolegium –

oświadczyła Elder Padstock z wielkim przekonaniem. –

Imperium znów nas najedzie, prawda, mistrzu Makerze?

– Bez wątplenia – przyznał Stenwold. *Ale obawiam się, że będziemy potrzebować was jeszcze szybciej...*

DWANAŚCIE

Jaclen Courser pojawiła się na pokładzie *Wędrownego Domu* jako uczennica głównego inżyniera wprost z Wielkiego Kolegium. Od tamtej pory ciężko pracowała i awansowała z pomocnika mechanika przez chiefa i nawigatora do kapitana *Domu*, któremu rozkazywał wyłącznie kartel będący właścicielem statku. Kiedy wypływali z portu, była pierwsza po Bogu, do tego przynajmniej była przyzwyczajona.

Stenwold Maker, pomyślała. Och, naturalnie, pamiętała Makera z Kolegium sprzed dwudziestu lat – pulchnego idealistę, młodszego od niej o rok, który zawsze trzymał się ze zwariowanym modliszowcem i pajęczą dziewczyną, tak lubianą przez wszystkich. Modliszowiec zginął podobno na wojnie. Ktoś mówił, że zakończył żywot, zabijając imperatora. Co się stało z pajęczycą, nikt nie wiedział, chociaż podopieczna Stenwolda bardzo ją Jaclen przypominała.

Maker zaś nieźle radził sobie w życiu. *Powiadają, że wykonał kawał dobrej roboty podczas wojny.* Zresztą wojna była dla Jaclen kwestią bolesną. Podobnie jak większość kupców została poza granicami Kolegium, kiedy rozpoczęła się jego blokada, i tym samym nie była w stanie pomóc miastu. *Chociaż i tak miło ze strony Makera, że radził sobie do tej pory bez konieczności angażowania mnie.*

Teraz trzymała w dłoni list od niego. Wedle instrukcji –

niechętnie, ale według instrukcji – złamała pieczęć dopiero, kiedy *Wędrowny Dom* wypłynął z portu. Nie podobało się jej wykonywanie czyichś rozkazów, ale wszystko wskazywało na to, że jej los zależał teraz od decyzji mistrza wojny Kolegium.

Do Kapitana Wędrownego Domu – przeczytała początek. Na forum Zgromadzenia pojawiły się skargi na nasilające się ataki na jednostki pływające wyruszające z naszego portu na wschód.

To była sprawka Ronesa Failwrighta, Jaclen wiedziała o tym doskonale. Od dawna agitował w Amphiphosie, aby zająć się piratami. Najwyraźniej ktoś w końcu go wysłuchał.

Po co jednak te wszystkie tajemnice? Wróciła do listu: Nakazałem, by Wolny od Pływów, statek pod dowództwem mistrza Tomasso, dobił do was już na morzu. Weźmiecie na pokład oddział strażników, których zadaniem będzie odparcie ataku piratów, jakich możecie napotkać podczas rejsu. Ja pokrywam koszty ich ekspedycji za zgodą i wiedzą waszych pracodawców.

I bardzo dobrze, i do tego niezwykle hojnie. Ale Jaclen zaczęła się zastanawiać, dlaczego eskorta nie wkroczyła na pokład w porcie, przy dźwięku fanfar, by pokazać wszystkim, że *Wędrowny Dom* na pewno nie padnie już łupem piratów.

Jedyna logiczna odpowiedź nie nastrajała jej optymistycznie: Stenwold Maker musiał prowadzić jakąś grę. Nie zamierzał

odstraszać piratów, ale zastawiał na nich pułapkę. *A ja mam być przynętą! Niech wij porwie tego człowieka!* Jaclen patrzyła markotnie, jak korweta muchopodobnych zbliża się do nich, refując żagle i dostosowując swoją prędkość do tempa zasapanego *Domu*.

Od dwudziestu lat utrzymywała *Dom* na powierzchni i w tym czasie była ośmiokrotnie napadana przez piratów.

Raz, kiedy abordażu chcieli dokonać zbyt pewni siebie łupieżcy z Felyalu, rozkazała odeprzeć atak za pomocą kusz.

Kiedy indziej załoga musiała stać spokojnie, kiedy piraci zabierali jej najcenniejszy ładunek. Z tych

ośmiu przypadków pięć zdarzyło się w ciągu ostatnich kilkunastu miesięcy.

Dlatego była skłonna zgodzić się na ten podstęp. Zaczynało robić się naprawdę niebezpiecznie, a konsorcjum, będące właścicielem *Domu*, znalazło się na skraju bankructwa z powodu strat. Inni kupcy już zostali bez grosza i musieli porzucić transport morski, szukając dla siebie miejsca w branżach, które nie wiązały się z takim ryzykiem.

Przyszło jej wprowadzić na myśl, że to przedsięwzięcie mogło być piractwem w przebraniu – Maker mógłby na przykład, wykorzystując swe dobre imię, nakłaniać statki do zatrzymywania się, podczas gdy inni dokonywaliby rabunku

– ale natychmiast odrzuciła ten pomysł. Nigdy nie widziała piratów, którzy działaliby według harmonogramu.

Statek muchopodobnych, węższy i mniejszy od *Domu*, manewrując ostrożnie, podpłynął bliżej. Jaclen rozkazała zatrzymać silniki i rzucić liny. Zanim jeszcze szepiono jednostki cumami, dwóch muszców przeskoczyło na drugi pokład, połyskując skrzydełkami w świetle słońca. Jeden z nich był młody, a drugi na tyle stary, że mógłby być jego ojcem – z gęstą czarną brodą.

– Pan musi być mistrzem Tomasso, prawda? – zapytała krótko, kiedy wylądowali przed nią.

– Nie kto inny – odparł tamten, szczerząc zęby w uśmiechu. – Mamy pozwolenie wejścia na pokład, szyprze?

– Udzielone, jak sądzę – odrzekła, ale wtedy spojrzała na pokład *Wolnego od Pływów*. – Mistrzu Tomasso, co zamierzacie? – zapytała głosem opanowanym, ale jej dłoń powędrowała w stronę noża.

Do wejścia na *Dom* szykowała się zgraja modliszowców uzbrojonych po zęby – właśnie takich łupieżców, jakim starała się całe życie schodzić z drogi.

Tomasso zerknął do tyłu przez ramię i roześmiał się na ten widok niezwykle głośno jak na mężczyznę tak małej postury.

– Rozumiem, dlaczego się pani niepokoi. Proszę się nie denerwować, mistrzyni Courser, oni nie będą was mordować, tylko bronić. To jest eskorta od mistrza Makera, która zapewni pani bezpieczeństwo.

Jaclen przystawiła dłoń do czoła, czując zbliżający się ból głowy.

– Płyniemy do Everisu, Tomasso, do pajakówców. Nie sądzę, żebym mogła pojawić się tam na targu z takim towarem.

– Kiedy tam dopłyniecie, będą siedzieć sobie pod pokładem cicho jak trusie – odparł, wciąż uśmiechając się od ucha do ucha. – Poza tym miejmy nadzieję, że nie będą musieli wyciągać broni. Jeśli jednak zostanie pani zaatakowana przez jakąś piracką banderę, to chyba lepiej mieć ich po swojej stronie?

Jaclen pokręciła głową. Na jej oczach modliszowcy wskakiwali na pokład, nie pokusiwszy się nawet

o skorzystanie z trapu, jak robią to cywilizowani ludzie. Była to straszliwa banda – szpony i rapiery, długie łuki i kolce na ramionach, a wszyscy ze szramami po ranach odniesionych w bitwach. Większość nosiła skórzane kaftany, szynele, kirysy z chitynowych łusek, a kilku miało nawet staromodne pancerze karapaksowe, które kosztowały fortunę, kiedy jeszcze w ogóle można było je kupić, a których nikt nawet nie potrafił już wykonać, odkąd spłonął Felyal.

Wkrótce wszyscy stanęli na pokładzie, tak jakby mieli zamiar przejąć statek. Załoga Jaclen trzymała się w bezpiecznej odległości.

– Cóż, zdaje się, że już za późno na odmówienie wam wejścia na pokład – zauważyła oschle i Tomasso znów wybuchnął śmiechem.

– Zostawiam tu swojego człowieka, Laszlo, żeby ich pilnował – wyjaśnił. – Pani mówi jemu, a on mówi im. Maker rozkazał, by nasi przyjaciele go słuchali.

– Miejmy nadzieję, że będą o tym pamiętać –

stwierdziła Jaclen.

Niemal całym swym solidnym, ciężko wypracowanym przez dwadzieścia lat jestestwem czuła, że jej statek zmienił

się w beczkę prochu. Tylko czekała na iskrę. Ale przebudził

się w niej też duch młodości. Czyż nie ziścił się właśnie jeden z jej snów, żeby rzucić to wszystko i znów zacząć walczyć?

Podnieść żagiel i popłynąć gdzieś, hen, w morze, by łupić i być wolnym jak ptak? I oto nagle dostała własny oddział

modliszowych marines, który tylko czekał, by skoczyć do gardła każdemu pirackiemu karaluszemu synowi, jaki miałby ochotę z nią zadrzeć.

Kiedy trzeci raz zaatakowano *Wędrowny Dom*, jej ówczesny szyper starał się podjąć walkę. Po złupieniu ładowni piraci powiesili owego człowieka wraz z trzema innymi, ot tak, żeby pokazać, kto tu rządzi. Wybrali ich losowo i równie dobrze to Jaclen mogła wierzgać na sznurze.

To stalowy cień, który czuła w sobie po tym wydarzeniu, sprawił, że zaczęła z niecierpliwością wyczekiwać widoku wrogiego żagla.

Spór, jaki rozgorzał na forum Zgromadzenia, wydawał

się bardziej zażarty niż walki na murach podczas oblężenia Kolegium, bo oponenti na sali zasypywali się zewsząd głośnymi argumentami za i przeciw. Gdyby Jodry nie był

przewodniczącym, kompanie rozwiązano by, nie zważając na konsekwencje. Okazało się jednak, że w Amphiphosie zasiadała wystarczająca liczba osób dumnych ze swej niedawnej historii, by

Outwright, Padstock i Marteus mogli zachować siły i oddać się bezpośrednio pod rozkazy Zgromadzenia. Nie była to armia duża w porównaniu z tymi, jakimi dysponowały miasta-państwa mrówców, ale stanowiła dobrze wyszkolony i uzbrojony trzon, wokół którego w razie potrzeby można było stworzyć wojsko ochotników.

Oczywiście wieści o zmianie stanowiska żukowców w sprawach militarnych szybko się rozniosły, szczególnie wśród ambasadorów, i Stenwold zdawał sobie sprawę z konieczności podjęcia kolejnych zabiegów dyplomatycznych.

Pomieszczenie wybrał bardzo starannie. Padło na jedną z niewielkich sal wykładowych Kolegium. Ale to nie jej rozmiary spodobały się Stenwoldowi, lecz wystrój. Uczelnia przyjmowała każdy podarowany jej element dekoracyjny, dlatego też każda pusta przestrzeń na ścianie od razu była zapełniana przez dzieła sztuki, dyplomy bądź też jarmarczną tandetę, którą mecenas pragnęli podkreślić swoje znaczenie.

Maker ustawił się w znaczącym miejscu i czekał.

Dokładnie w południe pojawili się w niej trzej vekkeńscy ambasadorzy – czarni jak smoła mrówcy, niemal lustrzane odbicia siebie w tunikach, sandałach, z mieczami u pasów.

Weszli do środka ostrożnie jak zwykle. Nie nauczyli się jeszcze tego, co zdawali się już wiedzieć ambasadorzy Tsenu

– że inne rasy przywiązują wagę do ozdób i widowiska.

Gdyby Stenwold minął ich na ulicy, stwierdziłby, że są za biedni nawet na wędrownych najemników. W myślach powtórzył sobie ich imiona: Accius, Malius i Termes.

– Dziękuję wam za przybycie – powitał ich.

Dwóch patrzyło na niego, a trzeci czujnie zerkał w stronę drzwi.

– Chciał pan przedyskutować sprawę zagrożenia ze strony Tsenu – oznajmił ten, który wydawał mu się Termesem. – Za późno jednak na dyskusje.

– I dlatego was tutaj zaprosiłem – zapewnił ich Stenwold.

Wciąż byli podejrzliwi. Chcieli wiedzieć, dlaczego spotkali się na uczelni, a nie w Amphiphosie. Najwyraźniej spodziewali się zasadzki. *Cóż, to prawda, zastawiłem na nich sidła*, uświadomił sobie Maker.

– Widzicie tę rycinę za moimi plecami? – zapytał.

Dwie pary oczu spojrzały na nią w milczeniu, po czym Termes ocenił z niezwykłą jak na Vekkeńczyków uprzejmością:

– Doskonale uchwycone pańskie podobieństwo.

Stenwold był odmiennego zdania, ale podejrzewał, iż przyzwyczajenia estetyczne żukowców oznaczały wymagania stawiane wyżej sztuce figuratywnej, niż mógłby udźwignąć vekkeński gust. Poza tym dla mrówców twarz była najmniej istotną częścią ciała.

– Wiecie, panowie, co to był za dzień? – naciskał na nich.

Znów zamilkli, a on niemal słyszał szum ich wewnętrznego dialogu. Odwrócił się, by samemu spojrzeć na dzieło, i stwierdził, że to nic wielkiego – ot, poprawny obrazek zrobiony z miedzi powypalanej kwasem. Technika ta była już nieco przestarzała, gdyż dzięki maszynom można było teraz wyciąć obraz o wiele bardziej szczegółowy, lecz dało się w nim rozpoznać Stenwolda, a on potrafił wymienić imiona kilku pozostałych postaci, choć nie był pewien, czy dobrze odgadrywał zamysł artysty. Pamiętał ten dzień bardzo dobrze – jak stał na schodach Amphiphosu na wprost tłumy, manifestując w ten sposób solidarność i triumf. Był tu Lineo Thadspar, który wówczas pełnił funkcję przewodniczącego, był Balkus, renegat z Samu, i Parops, wygnaniec z Tarkeshu. Naturalnie był też Teornis i żołądek Makera ścisnął się na widok przystojnego pająkowca w otoczeniu najemników i poborowych z satrapii.

– Ja wiem – odparł Termes, a w jego głosie słychać było odpowiednią dozę niezadowolenia, która miała uświadomić Stenwoldowi, że rzeczywiście rozumie.

– Myślę, że znacie mnie na tyle, by wiedzieć, iż nie sprowadziłem was tutaj, by was obrazić. Taką mam nadzieję.

To był kluczowy moment. Mogli wyjść i jego wszystkie starania poszłyby na marne. Mogli też zostać, a on dalej mozolnie budowałby most między nimi. Milczeli, skrywając wymianę myśli. Dał im czas na dyskusję.

– Niech pan mówi, o co chodzi – zdecydował Termes.

Zabrzmiało to wrogo, ale ich obecność świadczyła o tym, że odniósł małe zwycięstwo.

– To wizerunek tych, którzy byli w mieście, kiedy wasze oblężenie się skończyło – powiedział. – Na tym obrazie zawarty jest wielki sekret Kolegium, powód, dla którego nie zostaliśmy podbici ani przez Yek, ani przez Imperium. – *A teraz najwyraźniej nadszedł czas, żeby spróbowali tego dokonać pająkowcy. Zdaje się, że jesteśmy dla wszystkich oczkiem w głowie.*

Znów skoncentrowali się na obrazie, szukając jakiejś tajnej broni albo zaszyfrowanej wiadomości. Pozwolił im napatrzeć się do syta. Sekret, o którym wspomniał, był łatwy do zauważenia. Każdy student Kolegium potrafił go nazwać, ale Vekkeńczycy nie byli przyzwyczajeni do myślenia w ten sposób. Mimo kulturowych ograniczeń mrówców starał się ukierunkować ich wspólny umysł na ten szczegół.

– Widzicie? – zapytał w końcu.

Założył, iż powiedzą, że nie. I Termes już miał to zrobić, Stenwold był tego pewien, gdy jeden z pozostałych, Accius, stwierdził:

– Widzimy.

Zaległa kolejna chwila ciszy wypełniona sporem między nimi, co sugerowało, że Termes najwyraźniej nie widzi, ale gdy poznał odpowiedź, musiał się z nimi zgodzić.

– Samo Kolegium nie powstrzymałoby armii Veku –

zaczął Accius. – Oblężenie rozbito z zewnątrz.

Prawie, ale nie do końca o to chodziło.

– Ta lekcja dotyczy czegoś więcej niż tylko jednego konfliktu czy jednej wojny – odparł Maker. – Nasza siła tkwi w naszych przyjaciółach, w tych, którzy potrafią się poświęcić, żeby nas wspomóc. – Niemal zobaczył myśl przeskakującą z jednego na drugiego. – Wiem, że uważacie, iż mury obronne, miecze oraz pojazdy stanowią bardziej wymierną siłę i że jeśli się polega wyłącznie na sobie, to nikt nie może nas zawieść. Cóż, to prawda, i byłibyśmy głupcami, nie wzmacniając się samemu, całkowicie polegając na łasce innych. Tak myśleli Helleończycy, dlatego też ich miasto tak łatwo wpadło w łapy Imperium – i znów wpadnie.

– Nie wpadło. Oddało się im – zauważył Termes zgryźliwie.

– Och, zgoda. Nie będę ich bronił – westchnął Żukowiec.

– Były takie czasy, kiedy mury obronne, miecze i wyszkoleni żołnierze wystarczali, a miasta skutecznie broniły się przeciwko wszelkim napastnikom, trzymając resztę świata na odległość sztychu. – *Czas mrówców, można by powiedzieć wprost, choć nie byłoby to taktowne.* – Ale on już minął.

Nie zareagowali, czekali na ciąg dalszy.

– Imperium położyło mu kres – wyjaśnił Stenwold. –

Imperium, które kontroluje z tuzin miast i ze wszystkich czerpie swoją siłę. Żadna pojedyncza społeczność nie może się mu oprzeć. Tark nie był pierwszym państwem mrówców, które padło pod naporem imperialnej armii. Każde miasto decydujące się na izolację sprowadza na siebie zgubę, bo kiedy nadejdzie kolejny wielki agresor, czy to będzie znów Imperium, czy pająkowcy, czy nawet Wspólnota, będzie bardzo potrzebować przyjaciół.

– Świetnie rozumiemy, co chce pan nam powiedzieć –

odezwał się Termes.

– Chcę wam powiedzieć więcej, niż wam się wydaje –

uprzedził go Stenwold. – Tak, wyciągam do was przyjazną dłoń i będę lał po gębach wszystkich w Amphiphosie, którzy będą mieli coś przeciwko, aż całe Kolegium stanie za mną.

Nie chcemy trzeciej wojny z Vekiem. Nikt nie odniósł

korzyści z dwóch poprzednich. Doprowadziły tylko do tego, że po każdej nasze miasta były coraz słabsze.

– To prawda – zgodził się Termes.

W głosach mrówców nigdy nie było słycać emocji, ale w jego tonie Stenwold zauważył ich cień.

– No to porozmawiajmy o Tsenie.

Nagła zmiana tematu zupełnie ich nie zaskoczyła.

– Proponuje pan przymierze – domyślił się Termes.

– Nie takie przymierze, o jakim myślicie – odparł

stanowczo.

Zaległa chwila ciszy. Żadna z dłoni nie opadła na rękojeść miecza – nie doszli do wniosku, że Kolegium mogłoby się sprzymierzyć z Tsenem przeciwko nim. Widać nauczył ich sposobu myślenia żukowców.

– Proponuję przymierze Veku i Tsenu – oznajmił cicho.

– Niemożliwe.

– Ależ jak najbardziej możliwe. Spójrzcie, żołnierze Sarnu i Tarku stoją jeden obok drugiego. – Stenwold dopiero teraz uświadomił sobie, że na obrazie nie widać kolorów skóry, ale wiedział, że jego goście doskonale wiedzą, kto walczył przeciwko nim. – Żołnierze Tsenu i Tarkeshu walczyli ramię w ramię z tymi z Sarnu przeciwko Siódmej Imperialnej w Szaleństwie Maklana. Staram się wam tylko powiedzieć, że świat się zmienił.

– Tseneńczycy nigdy się na to nie zgodzą – odparł

Termes pogardliwie.

– A wy? – Kiedy Vekkeńczyk nie odpowiedział, kontynuował: – Jeżeli Tsen by się na to zgodził, wy byście też przystali? Będziemy gwarantem rozejmu między waszymi miastami. Kolegium wyciągnie ręce do obu stron. Nie możecie zaprzeczyć, że Sarn dobrze wyszedł na handlu z nami. Proponujemy wam to samo, ale będziecie musieli zaufać Tsenowi, podobnie jak on będzie musiał zaufać wam, bo jeśli jedna ze stron złamie postanowienia rozejmu, będzie miała do czynienia z Kolegium, a pewnie i z Sarnem, a może nawet z państwami Starożytnej Ligi. Wiem, że mrówcy przywiązują wagę do silnych murów obronnych, ale w dzisiejszych czasach mury nie wystarczają. Może i traktat zawiera się tylko na papierze, ale mur z papieru jest mocniejszy od tego z kamienia. Jeśli Vek będzie trzymać się na uboczu, pewnego dnia jego mury runą. Nie padnie pod naporem wojsk Kolegium, bo nasze miasto nie prowadzi wojen zaczepnych, ale nastanie taki dzień, że pojawi się jakiś inny najeźdźca,

który je zwali.

– Pan nam grozi – oburzył się Termes. – Wymachuje pan swoją pokojową naturą jak pałką.

Przez chwilę Stenwoldowi wydawało się, że wszystko przepadło, ale zastanowił się nad słowami ambasadora.

Czyżby żart? Trudno było powiedzieć bez dowodu w wyrazie twarzy czy w głosie, chociaż nie pierwszy raz zauważył ironię w słowach tego mrówca.

–

To miasto przetrwało dzięki umiejętności nawiązywania i pielęgnowania przyjaźni – oznajmił. –

Będziemy gwarantem pokoju między Tsenem i Vekiem i jeśli nie powstanie z tego przyjaźń, to przynajmniej zapanuje zrozumienie. Wy uważacie, że najlepszą drogą do bezpieczeństwa jest pokonanie wrogów, ale jeśli zrobicie z nich swoich przyjaciół, to będziecie znacznie silniejsi.

– Dał nam pan do myślenia, mistrzu Makerze –

powiedział Termes. – Rozumiemy, że pańska propozycja ma dużą wagę i musi być starannie przemyślana. Kłóci się z naszym sposobem życia, ale ma pan rację, mówiąc, że świat się zmienił. Maliusz zawiezie pańskie słowa do Veku. Król ich wysłucha.

– O nic więcej nie proszę – ucieszył się Żukowiec. – I za to jestem wam wdzięczny. – *Bo Kolegium za chwilę straci kilku starych przyjaciół i bardzo będzie potrzebować nowych. A przynajmniej dobrze byłoby pozbyć się wrogów.*

Teraz miejsce spotkania zaczęło mu przeszkadzać – wyraźnie widział rozpromienioną sylwetkę Teornisa patrzącego na nich z góry.

Kiedy Vekkeńczycy wyszli z sali, odczekał dobrych dziesięć minut, po czym zawołał:

– Może pani już wyjść!

Oprócz obrazka na ścianie pomieszczenie to miało jeszcze jedną zaletę – skrytkę wybudowaną przez ciemców.

Wystarczyło pchnąć drewniany panel w ścianie i Kratia z Tsenu wyłoniła się ze swej kryjówki. Stenwold spojrzał na nią uważnie.

– No i? – zapytał.

Błękitnoskóra mrówczyca skrzywiła się.

– Jest pan bardzo niebezpiecznym człowiekiem i właściwie powinnam pana zabić na miejscu.

Uniósł brwi.

– Jesteśmy sami.

– Naprawdę? – Rozejrzała się wokół. – Skąd mam niby wiedzieć, czy w ścianie nie ma jeszcze innych trumienek?

Mógłby pan schować tu całą armię Sarnu, która tylko czekałaby, żeby się na mnie rzucić – powiedziała beztroskim tonem, ale w konkretnym celu. Była tak przejęta, że nawet mrówcza rezerwa nie mogła tego ukryć. – Przymierze między Vekiem a Tsenem?

– Tak mówi plotka. Pani i pani ludzie wykazali się niezwykłą wprawą w rozsiewaniu pogłosek, ale moi rodacy uznają ją za szczególnie interesującą.

– Jak pan może w ogóle przypuszczać, że to się uda?

Vekkeńczycy...

– Vekkeńczycy utrzymują, że postępujecie nierozsądnie.

– Bardzo sprytnie, mistrzu Makerze. – Skrzyżowała ramiona. – Będą czerpać zyski z handlu z wami i czekać na dogodny moment, by znów ściągnąć tu swoją armię.

– Och, z całą pewnością – zgodził się. – Ale przez ten czas będą się bogacić, korzystać z wynalazków, przysyłać swoich studentów na naszą uczelnię – z początku jako szpiegów, ale również by zgłębiali wiedzę. I w końcu, kiedy nastanie czas agresji, zaczną pytać: „Dlaczego? Dlaczego mamy walczyć o coś, co możemy mieć bez walki? Po co mamy rezygnować ze wszystkiego, co już osiągnęliśmy?”.

– Tak pan myśli?

– Z Sarnem się udało – oświadczył Stenwold. –

Pierwszy przyznaję, że Vekkeńczycy są twardszym orzechem do zgryzienia, ale nie są szaleni i nie są potworami. Czują jedynie lęk. Pierwsza wojna z nimi wybuchła po podpisaniu traktatu z Sarnem. Podejrzewali, że uderzymy na nich, bo oni tak by zrobili. Myślą – proszę mi wybaczyć, ale wydaje mi się, że tak myśli większość mrówców – o przeżyciu i bezpieczeństwie w kategoriach eliminowania zagrożeń. I tak dochodzimy do was.

– Czy my jesteśmy zagrożeniem? – udała niewiniątko.

– Gdyby ktoś zapytał mnie o to dziesięć dni temu, powiedziałbym „nie”. Ale teraz, kiedy mieliście okazję pobiegać sobie po Kolegium, twierdzą, że tak. Dowódco Kratia, jest pani kobietą subtelną, zdolną poczynić wielkie szkody temu miastu wyłącznie za pomocą dobrze dobranych słów. Wierzę jednak, że pani działania wynikają z takiego samego motywu jak oblężenie Vekkeńczyków – pragnie pani zapewnić bezpieczeństwo swemu ludowi. Bezpieczeństwo przed Vekiem. Ja zaś proponuję je pani, podobnie jak zaproponowałem Vekkeńczykom bezpieczeństwo przed wami.

– Mistrzu Makerze, pan nie rozumie. Vek jest trzy razy większy od mojego miasta.

– W takim razie sugerowałbym postarać się o kilku sprzymierzeńców. Mogę zaproponować miasto Vek? Mają idealne położenie, by przyjść wam z pomocą. A może pani myśli, że działam wyłącznie na korzyść tamtych?

Stosując wybieg polegający na przekonaniu jej, iż zyskała nad nimi przewagę, bo spiskują razem, musiał

uważać na wiele pułapek, gdyż w rzeczywistości...

– Poza tym – dodał Stenwold – może i Tsen nie jest duży, ale nadrabia w rzemiośle. Możecie odkryć, że handel jest lepszy od walki. Może więc także pani pošle wiadomość na swój dwór?

– A jeśli powiedzą „nie”?

– Wtedy spotka mnie zawód. Vekkeńczycy już nad tym się zastanawiają – oznajmił Stenwold. Bez skrupułów wykorzystywał zasady rządzące społeczeństwem mrówców. –

Jak pani myśli, co się stanie, kiedy wy powiecie „nie”, a Vekkeńczycy „tak”?

Kominy *Wędrownego Domu* dymiły ile sił przez kilka kilometrów wybrzeża, ale obce szare pirackie żagle o olbrzymiej powierzchni ciągle się do niego zbliżały. Jaclen Courser przyjrzała im się dobrze przez lunetę. Laszlo kręcił

tylko głową, obserwując prędkość *Domu*. Jego maszyna parowa była napędzana węglem drzewnym. Wcale nie pracowała źle jak na ponaddziesięcioletnią jednostkę i podobnie jak silnik olejowy *Wolnego od Pływów* –

wprawdzie o wiele szybszy – niezależnie od pogody zapewniała statkowi miarowy rytm, to przy sprzyjających wiatrach dobry żaglowiec zawsze zyskiwał przewagę.

Razem z Jaclen postanowili, że skoro mają już odstawić tę pantomimę, nie powinni dawać piratom powodu do myślenia, że *Dom* coś knuje. Jeśli napastnicy zaczną podejrzewać podstęp, mogą równie dobrze naszpikować ich wszystkich strzałami przed abordażem. *Zagram w tę grę Makera, nie tracąc ani jednego członka załogi*, postanowiła w duszy Jaclen, a decyzja ta była widoczna na jej twarzy.

Piraci spodziewają się, że ich ofiary zrobią wszystko, by im umknąć, rozkazała więc postawić maszt i rozwinąć żagle. Nie na wiele to się zdało, bo żukowcy nie należeli do najlepszych żeglarzy. Równie dużo wysiłku poświęcali teraz na omijanie przybrzeżnych skał, co na zwiększenie dystansu między nimi a ścigającym ich okrętem.

Zbliżająca się jednostka zachodziła teraz ich od sterburty, odcinając od otwartego morza. Załoga *Wędrownego Domu* nie miała wyjścia: musiała walczyć, poddać się lub rozbić na przybrzeżnych skałach.

– To *Prawdziwe Ostrze* – zidentyfikowała jednostkę Jaclen.

– To nic nie znaczy – skomentował Laszlo. – Na tym brzegu każdy pirat żegluje pod fałszywą nazwą.
– Kiedy spojrzała na niego, dodał nieco zbyt pospiesznie: – Tak słyszałem.

– Zbliżamy się do końca – stwierdziła Jaclen. –

Robiliśmy, co mogliśmy. To jasne, że nie uciekniemy im, a dalsze igranie z ogniem może ich tylko rozwścieczyć.

Kiedy to mówiła, zobaczyli kłęb dymu na burcie *Ostrza*, a po chwili usłyszeli huk i między statkami wzbijała się w powietrze fontanna wody.

– Widzę kilka działek przy relingu – powiedziała Jaclen.

– Mały, przekaz mojej załodze, że kiedy pójdziemy już na noże, chcę, żeby każdy z nich ścinał te działka. Nie życzę sobie dziur w moim kadłubie.

Laszlo kiwnął głową, wbił się w powietrze i śmignął

wzdłuż pokładu, przekazując polecenie. Jaclen westchnęła, czując ucisk w żołądku. *Mogłabym rozkazać opróżnienie ładowni i oddać wszystko piratom... Ale przecież mam pod pokładem tych zabijaków modliszowców i dam sobie głowę uciąć, że piraci woleliby spalić mój statek, gdyby się o tym dowiedzieli. Niezłe to sobie Maker obmyślił. Cóż, jeśli coś pójdzie nie tak, przynajmniej zrobię sobie fok z jego skóry.*

Obiecuję.

Wśród wszystkich członków jej załogi panowała duża nerwowość, ale miała nadzieję, że wyglądało to na zwykłe nerwy marynarzy w obliczu pirackiego ataku. Każdy z nich miał przy sobie tylko nóż, ale na statku było zaskakująco wiele miejsc, w których pochowano miecze i kusze, żeby mieć je pod ręką, kiedy zrobi się gorąco. Jaclen zaczerpnęła głęboko powietrza i wydała rozkaz zrefowania żagla. Kiedy *Dom* zaczął wytracać prędkość, poczuła zmianę pod stopami.

Prawdziwe Ostrze zbliżało się do nich, operując żaglami z niezwykłą precyzją i ustawiając się burta równolegle do nich.

Poprzednie spotkania Jaclen z piratami nie obyły się bez rozlewu krwi, ale łupieżcy zwykle oszczędzali wszystkich, którzy się poddawali, i tylko plądrowali ładownie. Rozumiała tę taktykę. Korsarze nie chcieli się bić na śmierć i życie o jakieś towary, więc musieli się upewnić, że załoga napadniętego statku zna zasady: albo się bijesz i giniesz, albo poddajesz i pozwalamy ci żyć. Oczywiście nie było tu żadnej gwarancji – zdarzały się bowiem morderstwa, gwałty i okaleczenia. Jeśli piraci mieli kilka złych dni za sobą albo musieli ściagać statek odrobinę za długo, mogli postanowić wyładować się na załodze. *Nie ma żadnych gwarancji*, pomyślała, wspominając tych, których utraciła, i jednocześnie odnajdując spokój w obliczu tego, co miało nastąpić za chwilę.

Kiedy *Ostrze* zbliżało się do ich burty, dobrze przyjrzała się jego załodze. Stanowiła ją banda kundli: niemal tuzin mrówców, brązowoskórych Keseńczyków albo renegatów czy najemników w lekkich kolczych kamizelkach i stalowych hełmach – wielu z nich posiadało kusze wycelowane obecnie w

pokład *Domu*, a jeden nawet modny pukoluk, ukradziony nie wiadomo komu – a także prawdziwa zbieranina pająkowców, muchopodobnych, mieszańców oraz kilku zwalistych skorpionców. Mało zbroi, dużo błyskotek, bo zarówno mężczyźni, jak i kobiety obnosili się ze swym bogactwem. Każdy był uzbrojony w to, co lubił najbardziej: rapiery, noże, gladiusy, harpuny i topory abordażowe.

Laszlo ustawił się przy sterze, gdzie wcześniej schował

swój łuk. Z jego doświadczenia wynikało, że mieli przed sobą zwykłą bandę bezpańskich morskich szumowin. *Czyżby więc Albinus się mylił?* Jeśli była to sprawka rodu Aldanraelich, to sukces Stenwolda będzie zależał od tego, jak długa była smycz, na której pająkowcy trzymali tę menażerię. Ale Laszlo znał piratów i wiedział, że ten gatunek nie pracował zbyt dobrze dla nikogo. Praktyka stosowana na Ziemiach Pająkowców podpowiadała mu, iż prawdopodobnie na pokładzie *Ostrza* znajdą jakiegoś sługę *aristoi*, którego zadanie polegało na przypominaniu załodze, jakie statki ma atakować.

– A teraz niech nikt się nie rusza i niech nikomu nic głupiego nie przyjdzie do głowy! – zadudnił mrówiec z kuszą jak na placu apelowym, a jego głos dotarł do nich z opóźnieniem.

Chwilę później burta *Ostrza* zazgrzytała niemiłosiernie o burtę *Domu*, tak że większość marynarzy na obu jednostkach zachwiała się i dopiero wtedy rzucono liny.

Keseńczycy nawet nie drgnęli, za to z tuzin innych piratów zawiązywał z zapamiętaniem cumy. *Za chwilę pożałujecie tych mocnych węzłów*, pomyślał Laszlo. Oddychał miarowo, opierając się jakby nigdy nic o reling. Żukowy sternik obok niego zaciskał i rozwierał dłonie. Swoją kuszę trzymał w skrytce u nóg i Laszlo miał tylko nadzieję, że nie za szybko ją stamtąd wyciągnie.

– Dziękuję za wasz ładunek, zacni żukowcy – zadudnił

Keseńczyk w ich stronę. – Przekażcie moje ukłony braciom z Kolegium.

Piraci wspięli się na reling i zaczęli przeskakiwać na drugi statek, kierując się do dwóch włazów ładowni na rufie.

Kiedy układali ten plan, Stenwold spytał, dlaczego piraci zwykle zadowolają się zabraniem ładunku, a nie porywają całego statku, 'fo Tomasso uświadomił mu, że piraci to żeglarze, a nie kadra inżynierska. Były nikłe szanse, żeby starali się opanować wielki parowiec, jakim był *Dom*, i ciągnąć go do odległego portu, bo mogli kręcić się w kółko albo wręcz zatopić jednostkę.

Hałastrą złożoną z pająkowców, mrówców i mieszańców podeszła do włazu. Laszlo zaryzykował spojrzenie na czterech kuszników wciąż stojących przy relingu *Ostrza*. Nie zauważywszy nic niepokojącego, nieznacznie opuścili broń.

Metrowe żelazne lufy były wciąż zakleszczone na relingu przy dziobie, ale żukczyca i młodzieniec półkrwi, będący najwyraźniej artylerzystami na *Ostrzu*, nawet nie pofatygowali się, by założyć ładunki.

Główny pirat podniósł klapę włazu i muszec usłyszał, jak mówi:

– A teraz zobaczymy, co...

Zobaczył bardzo szybko. Coś bowiem natarło wprost na niego – szpica Danaen, pół tuzina modliszowców furkoczących skrzydłami i błyskających ostrzami z samą przywódczynią na czele.

Laszlo zauważył, jak w pierwszej sekundzie starcia jeden z modliszowców pada na pokład, trafiony z kuszy w ramię.

Ale w tym samym czasie życie straciło czterech piratów, a reszta odwróciła się od włazu, rzucając się do ucieczki. Ich plan jednak spalił na panewce. Wszyscy zaczęli krzyczeć, sięgając po broń. *Jak za starych dobrych czasów*, pomyślał

muszec i już trzymał w dłoniach łuk, zakładając pierwszą strzałę.

Przypominał sobie, jak *Wolny od Pływów* zaatakował

pajęczny statek handlowy, którego załoga zdecydowała się z nimi walczyć. Muchopodobni szyli z łuków ze swojego takielunku, a wynajęta załoga wyroiła się na pokładzie.

Wypuścił pierwszą strzałę, śmiejąc się jak szaleniec.

Artylerzystka korsarzy nie żyła już, wyłuskana z tłumu przez jednego z lepszych strzelców na pokładzie *Domu*.

Młodzieniec półkrwi przesunął broń w stronę kotłującej się masy zbrojnych. Coraz więcej i więcej modliszowców wylaniało się spod pokładu, podczas gdy Danaen wraz ze swoją szpicą już pędziła w stronę relingu. Laszlo odniósł

wrażenie, że piraci starają się podnieść po pierwszym wstrząsie. Wykrzykiwali sprzeczne rozkazy. Keseńczyk z kuszą nawoływał, żeby zbić się w kupę. Muszec próbował

wziąć go na cel, ale był za daleko. Zadowolił się naszpikowaniem innego kusznika. Kiedy stojący obok niego sternik w końcu wy dostał swój łuk, poderwał się w powietrze w stronę rei i w locie wypuścił kolejną strzałę.

Piraci mieli tylko jedną szansę na zepchnięcie ludzi Danaen na pokład *Domu*. Modliszowcy bowiem nie byli najlepszymi lotnikami i należało zatrzymać walkę przy relingu, by ich zmęczyć. Ale kiedy natarli z połyskującymi skrzydłami i wyjąc z żądz krwi, załoga *Ostrza* cofnęła się z przerażeniem. W tawernach często można było usłyszeć żarty na ich temat – że są zacofani, naiwni, zniewoleni własnymi przysięgami i poczuciem honoru. Ale nawet w takich sytuacjach śmiech zamierał na ustach, gdy w środku pojawiała się garstka modliszkopodobnych wygnańców.

Niech mnie skolopendra popieści, ale są szybcy, musiał

przyznać Laszlo, choć nie do końca była to prawda.

Kiedy Danaen postawiła stopę na pokładzie *Ostrza*, pół

tuzina jej ludzi było już martwych albo poważnie rannych, lecz nie zatrzymali się ani na chwilę. Ranni musieli się bronić sami, nie brali też jeńców. Muszec obserwował przez chwilę Danaen pojedynkującą się z pająkopodobnym – dwa ostrza na dwa ostrza, taniec ze stałą, który mógłby być główną atrakcją igrzysk w Kolegium. Tutaj jednak walka toczyła się o wyższą stawkę. Modliszka oderwała się na chwilę od przeciwnika, by zabić tnrówca usiłującego dźgnąć ją w plecy.

Poderżnęła mu gardło luz nad krawędzią jego tarczy, po czym odwróciła się w tej samej chwili, w której rzucił się na nią pająkowiec. Zaldeszczyła oba jego ostrza jednym swoim i wbiła mu drugie w oko. Kolejny modliszowiec, złotowłosy młodzieniec, przeszył włócznią kесеńskiego kusznika. Teraz musiał walczyć wyłącznie przy pomocy kolców wystających z przedramion, ale rozdzierał nimi pancerze i parował ciosy mieczy. Garstka ludzi Danaen znalazła się już przy relingu, wraz z Laszlem naciągając łuki niemal tak długie jak oni i szyjąc strzałami we wroga.

Muszec ponownie odszukał wygadanego Kесеńczyka.

Przyciskał kolbę kuszy do ramienia i celował dokładnie.

Chwilę później założył nowy bełt. Choć Laszlo nie miał

pojęcia, w co trafił, wyglądał na zadowolonego z siebie.

Wciąż jest za daleko na czysty strzał, pora zatem na wyczyn heroiczny, pomyślał muszec, wzbił się w powietrze i dał się ponieść swoim skrzydłom ponad pokładami *Ostrza*.

Był to błąd, co odkrył bardzo szybko. Obok niego świsnęła strzała, więc odpłacił pięknym za nadobne, rozdzierając ramię pająka wiszącego na linach. Śmignął na drugą stronę masztu, wyciągając błyskawicznie z sajdarka kolejną strzałę i szukając wzrokiem mrówca o donośnym głosie. Szybko go znalazł, bo tamten zadudnił na swoich, by utworzyli szyk i zakleszczyli modliszowców przy relingu. *To nawet dobry plan*, pomyślał Laszlo i uchylił się, kiedy kolejny pocisk przemknął koło niego, ale zaraz ruszył w stronę Kесеńczyka.

Ten zauważył go. Celował z długiej broni w kogoś innego, ale gdy nadleciał muszec, uniósł ją wyżej. Laszlo zwiększył prędkość i minął mężczyznę w odległości około trzech metrów. Tamten wystrzelił, ale nagły powiew zmylił go i pocisk zginął w dali. Muszec obrócił się wtedy błyskawicznie i lecąc tyłem, wypuścił cięciwę spomiędzy palców. Jego nagrodą był widok głowy Kесеńczyka odskakującej do tyłu, kiedy strzała, wbiwszy się w nią, niemal przepołowiła krawędź hełmu. Zaraz jednak kolejne trzy pociski świsnęły po niebie i Laszlo musiał się salwować ucieczką we względnie bezpieczne okolice masztu *Domu*.

Ale nie było to najlepsze schronienie. Usłyszał huk i wszystko wokół niego zatrzęśło się jak osika podczas burzy.

Drugie działko pokładowe wypuściło pocisk w stronę głównego masztu żukowców i chociaż chybił, rozerwał on jedną z want. Na szczęście Kolegium budowało solidnie, a spory zapas liny

zamortyzował napięcie. Laszlo poszybował

wokół masztu, a potem z powrotem w stronę *Ostrza*. Jego wprawne palce już umieściły kolejną strzałę na łuku, gdy sama Jaclen Courser zastrzeliła pirackiego artylerzystę.

Modliszkopodobni grasanci wykańczali każdego, kto jeszcze trzymał broń w dłoni. Wyeliminowali przy okazji też kilku, którzy tej broni nie mieli, i muszcowi się to nie spodobało.

– Brać więźniów! – krzyknął, przelatując im nad głowami. – Zostawcie ich, jak się poddają, niech to szerszeń skłuje!

Danaen podniosła na niego wzrok, w którym widać było szczere niezrozumienie dla takiego obyczaju.

– Będziemy ich przesłuchiwać! – zawołał do niej z góry.

– Ale po co? – zdziwiła się. – Co oni mogą wiedzieć?

– Jak ich nie przesłuchamy, to się nie dowiemy. – Opadł

niamal do jej poziomu, ale zachowując dystans bezpieczny na tyle, by ująć jej ostrzom. – Stenwold by sobie tego życzył –

dodał, mając nadzieję, że ma jeszcze resztkę szacunku dla swojego chwilowego pracodawcy.

Znów się skrzywiła, ale na jej znak zostawiono kilku piratów – bez broni i na klęczkach, ale przy życiu. W tej właśnie chwili drzwiczki do tylnych kabin otworzyły się z trzaskiem. *Prawdziwe Ostrze* miało wysoki kasztel rufowy, ale podczas walki nikt stamtąd nie wyszedł, więc Laszlo myślał, że nikogo w nim nie ma. Teraz zobaczyli jeszcze czterech pająkowców z rapierami i w dłoniach służącymi im nie do ataku, ale do obrony. A za nimi...

Laszlo aż głośno wciągnął powietrze przez zęby na jej widok. Kyła wysoka i elegancka, w idealnie skrojonym kaftaniku ze skóry, chityny i jedwabiu. Koszulę i nogawice miała jaskrawoczerwone, a na ramionach mnóstwo bransolet. Była to z całą pewnością kapitan statku, która stanęła teraz wśród zgrai modliszowców, nie wyciągnąwszy nawet rapiera.

– Co to ma znaczyć? – Jej głos zabrzmiał donośnie i wyraźnie w tym całym rozgardiaszu, po czym natychmiast zaległa głucha cisza.

Danaen warknęła i ruszyła na nią, wyciągając ostrza w szermierczej postawie, ale pajęczyca obrzuciła ją pogardliwym spojrzeniem.

– Cóż to za zbieranina śmie pustoszyć mój statek? –

zapytała.

Laszlo poczuł fale uderzeniowe jej sztuki, powalające wszystko wokół – rozkazujący ton

nieznoszącej sprzeciwu władzy absolutnej. Zobaczył, że Danaen zawahała się, a modliszowcy skulili z mieczami w dłoniach, jakby zasłaniając się przed razami. Muszec nigdy wcześniej nie widział na własne oczy, jak prawdziwa *aristoi* wyzwała pełnię swej sztuki i żelaznej woli.

– Opuśćcie mój statek, póki jeszcze możecie – warknęła i Danaen naprawdę zrobiła niepewny krok w tył.

Laszlo poczuł, jak słowa więzną mu w gardle: jedna kobieta stała naprzeciw całej bandy uzbrojonych modliszowców... No, niekoniecznie całej.

– Jeśli będziecie... – zaczęła, po czym zatoczyła się w tył

tak szybko, że dopiero po chwili muszec dostrzegł drzewce strzały, która ją trafiła.

Danaen wydała z siebie okrzyk furii i rzuciła się na eskortę kobiety, a jej ludzie poszli w jej ślady.

I było po wszystkim.

Laszlo nakazał załozce Jaclen zamknąć garstkę ocalałych piratów pod pokładem *Wędrownego Domu*, a ludzie Danaen ruszyli, by oczyścić pomieszczenia *Ostrza* z ostatnich maruderów.

Odnieśli oczywiście zwycięstwo, ale Laszlo już dawno zauważył, że modliszowcy nie cieszą się tak bardzo, gdy kończy się rzeź. Wiedział, że będą pili i śpiewali, ale głównie po to, by uczcić poległych towarzyszy. Ich rasa uczyniła z melancholii rozrywkę narodową i zupełnie tego nie pojmował.

Trupy pająkowców zostawili na pokładzie, co najwyraźniej miało oznaczać brak szacunku. Resztę ciał, zarówno piratów, jak i swoich towarzyszy – wcześniej pozbawiwszy je wszystkiego, co było warte zabrania –

wyrzucili za burtę, organizując ucztę rybom i krabom. A potem zaczęli się błąkać po pokładzie posępnie i pojedynczo, jakby zawiedzeni, że walka się skończyła.

Laszlo wszedł do pomieszczeń na rufie, z których wyłoniła się *arista*. Nie miał trudności z ustaleniem, które należały do niej, bo nawet na tej obskurnej łajbie nie żałowała sobie luksusu. Ściany kabiny zostały wyłożone najprzedniejszym kolorowym jedwabiem, stała tu też miękka kanapa oraz biurko. Przez chwilę kręcił się w środku, zbierając jakieś monety i papiery. Przejrzał też kilka rozrzuconych dokumentów i zwój przyczepiony do blatu, najwyraźniej niedokończony. Ale na żadnym z tych papierów nie dostrzegł nawet jednego zrozumiałego słowa. Na każdej stronie znajdowały się skomplikowane kolorowe wzory zachodzące na siebie, jakby pani kapitan zajmowała się sztuką abstrakcyjną.

Laszlo pokiwał posępnie głową. To pajęczy szyfr, wiedział z doświadczenia, i nie można było go odczytać, chyba że ktoś znał kryjący się za nim sekret. Ponieważ rywalizujący między sobą przedstawiciele tej rasy zwykle szli na całość w gmatwaniu spraw i budowaniu tajemnic. Co więcej, podobno tajne kody pająkowców były tak skomplikowane, że nawet oni sami mieli poważne problemy z ich odczytaniem...

Zatrzymał się, marszcząc czoło nad niekompletną wiadomością rozłożoną na blacie. Nie był szpiegiem, ale wyobrażał sobie, że trzeba być niezwykle biegłym, żeby stworzyć coś takiego w głowie. Oczywiście pająkowcy byli ludem wyrafinowanym, niemniej kobieta, która wyszła z tej kajuty, wydawała się bardziej bezpośrednia niż większość z nich...

I w końcu znalazł. Serce podskoczyło mu z radości, kiedy to zauważył. Obok pergaminu z kodem, nad którym pracowała, przypięła niewielki skrawek papieru – oryginalną wiadomość wypisaną eleganckim, ostentacyjnie nonszalanckim pismem – słowa, które miały być wkrótce zniszczone po przepisaniu ich szyfrem.

Mój najdroższy Aderonisie, czytał Laszlo. Zaczynam nienawidzić tej całej sprawy. Wolalabym zostać z Tobą i pozwolić tym łotrom robić swoje. Lecz bez ciągłego przypominania im o zwierzchności naszej rodziny któż to wie, co by narobili? Z pewnością nie to, czego się od nich wymaga. Czekaj mnie więc i wiedz, że myślę o Tobie pomimo wody, która nas dzieli. Prądy morskie i zła pogoda nie są w stanie nas rozdzielić.

Przerwał lekturę. Rzeczywiście musiała cierpieć, ale łódź

pełna modliszowców już niejednemu pokrzyżowała plany.

Zastanawiał się, kim był ów Aderonis i co sobie pomyśli, kiedy wieści dotrą w końcu do niego. *Zwierzchność naszej rodziny*, pomyślał, wcale niezachwycony. Nie ma najmniejszych wątpliwości. *Udało ci się, mistrzu Makerze.*

Przyszpiliłeś pająkowców. Mam tylko nadzieję, że będziesz miał spokojny sen, kiedy dowiedzą się, że na twój rozkaz zabito jedną z aristoł. Zabicie obszarpańca i renegata takiego jak Ebris z Ganbrodielich nie wzbudzi wielkich emocji, ale kobiety z rodu Aldanraelich... Czy mogłem powstrzymać modliszkopodobnych? Nawet nie wiedział, że ktoś w nią celuje, dopóty, dopóki strzała nie sięgnęła celu. Myślę, że właśnie zaczęła się wojna.

Upchnął papiery pod kaftan i wyszedł na pokład. Jaclen mogła dalej płynąć do Everisu, ale Laszlo i ludzie Danaen wrócą *Prawdziwym Ostrzem* do Kolegium, ponieważ Stenwold Maker musiał usłyszeć o tym wszystkim jak najszybciej.

TRZYNAŚCIE

Nazwisko to, wypowiedziane przez Stenwolda, długo jeszcze wisiało w powietrzu: Aldanrael. Nazwisko, do którego przywykli obywatele Kolegium, które kojarzono z przyjaźnią i pomocą w mrocznych czasach. Nie uciszał ich, lecz tylko patrzył po kolei po twarzach nielicznych zgromadzonych w jego gabinecie – Jodry’ego Drillena, wyglądającego tak, jakby ktoś właśnie dźgnął go nożem, posępnego Tomassa, zachowującego spokój w towarzystwie przewodniczącego, świadków: Laszla i modliszki Danaen, oraz statecznej Elder Padstock, komendantki Kompanii Przynależnych Makerowi; no i Arianny.

Stała za nim, trzymając dłonie na jego ramionach. A gdy dłonie te drgnęły, kiedy padła nazwa pajęczego rodu, Stenwold pomyślał jedynie: *Ona rozumie, co oznacza, zbrojny spór z aristoł.*

– Czy... czy można mieć całkowitą pewność? – udało się w końcu wykrztusić Jodryemu. – Im dalej w głąb Ziem Pająkowców, tym więcej pajęczyn, jak mawiają... prawda?

– Jeśli wierzyć notatkom Failwrighta, ukrywano wszystko przed nami przez ponad rok – odparł Stenwold. –

Udało nam się osiągnąć coś niebywałego: pokrzyżowaliśmy szyki pająkowcom. Nie wiedzieli, że nas przed nimi ostrzeżono. Statek, który przyprowadziła do portu Danaen, miał kapitana pajęczycę, która zostawiła po sobie dokumenty. – Stenwold uśmiechnął się półgębkiem. –

Wymienia w nich ród Aldanraelich.

– Stenwoldzie – niemal wyszeptał Drillen. –

Stenwoldzie, nie możemy... Wiesz, co to oznacza. Musi być inny sposób. Sprowadzasz na nas wojnę.

– Nie! – zachnął się. – Tak właśnie będzie mówił

Teornis. To bełkot ludzi pokroju Helmessa Broilera: „Oto stary Maker chce nowej wojny, by znów móc się pobawić w żołnierzyka”. Ja na nas tego nie ściągnąłem, Jodry. Ja odkryłem spisek, tajną wojnę przeciwko naszemu miastu.

– W takim razie, co proponujesz? – zapytał rzeczowo przewodniczący.

– Urządzić konfrontację. Ujawnimy to, co odkryliśmy, i sprawdzimy ich. Mam nadzieję, że się wycofają, znajdą jakiegoś kozła ofiarnego i zaprzestaną tych działań, których pełnego zakresu nawet jeszcze nie znamy. Albo wymienimy Aldanraelich na jakiś inny ród, który będzie mniej interesować się naszym transportem morskim. Sam wiesz, jakie spory potrafią toczyć z sobą *aristoi*. Uwierz mi, Jodry, nie zamierzałem wszczynać wojny z pająkowcami.

Drillen zerknął za ramię Stenwolda.

– Moja droga, a co ty powiesz? Przecież lepiej znasz sposób myślenia swoich niż my.

Arianna spojrzała na łysą głowę Stenwolda, a potem na grubego Jodry’ego.

– Myślę, że ani Aldanraeli, ani inni pająkowcy nie przejdą nad tym do porządku dziennego i nie zrezygnują –

odparła smutno. – Zabiliście jedną z nich.

– A nie możemy tego załatwić po cichu? – dociekał

przewodniczący. – Może po prostu zamkniemy się z Teornisem w jakimś pokoju i przedyskutujemy to wszystko?

Stenwold nie widział wyrazu twarzy Arianny, ale sądząc po reakcji Jodry’ego, nie był obiecujący.

– Nie jestem pewien, czy Teornis i ród Aldanraelich będą chcieli wyciszyć całą sprawę – zamruczał.

– Ale przecież to pająkowcy. Wydawało mi się, że lubią takie działania z za węgła – nie poddawał się Drillen.

Maker westchnął.

– Teornis wie, że nie chcemy kolejnej wojny, zwłaszcza że ostatnia dopiero co się skończyła. Będzie miał nadzieję, że wybierzemy pokój i przyjmiemy wszystkie warunki, jakie wysunie, zamiast walczyć. A tymczasem Imperium dalej umacnia swoje siły na granicy z Myną. Niewiele trzeba, by imperatorowa odzyskała kilka prowincji, kiedy my będziemy zajęci czym innym. Teornis wie o tym wszystkim.

– Wybuchnie panika, rozruchy. Całe Zgromadzenie będzie przerażone, mężowie stanu, kupcy i przedsiębiorcy –

jęczał Jodry.

– Ale to nie wszystko – dodał Stenwold. – Nasi obywatele zostali obrabowani, niektórzy zginęli. Mistrz Ronas Failwright, członek naszego Zgromadzenia, zniknął i wydaje się oczywiste, że pająkowcy go wykończyli, kiedy zaczął mówić o tym wszystkim zbyt głośno. Myślę, że nie ukryjemy tego, i jednocześnie nie jestem pewien, czy powinniśmy. Sądzę jednak, że pająkowcy też nie chcą wojny, i jasne postawienie sprawy może jej zapobiec. Kolegium musi być silne, bo grozi nam perspektywa wojny zarówno z pająkowcami, jak i osowcami.

– Jak zaczniecie ich błagać, to wyciągną noże –

ostrzegła Danaen. – Będą cię sami i zmuszać was, byście prosili o więcej. Z pająkowcem najlepiej spotykać się z mieczem w dłoni. Nie ma innego sposobu.

– Dziękuję za wnikliwą analizę – skrzywił się Jodry. –

Winiłbym raczej ciebie, mistrzu Makerze, za to, że nie lubisz łatwych rozwiązań. Ale w tej sprawie raczej takiego nie ma.

Życzyłbym tylko sobie bardzo, żebyś przestał mieć tak często rację. Tylko tyle. Jesteś gotów zabrać głos w tej kwestii na forum Zgromadzenia?

– Czy kiedykolwiek wymigiwałem się od przedstawienia niewygodnej prawdy jego członkom? – zapytał Stenwold z urazą.

– W takim razie z samego rana wezwę cię na mównicę.

Maker pokiwał głową i westchnął głęboko.

– Komendantko Padstock.

– Tak, mistrzu wojny – odrzekła kobieta, która wyglądała tak, jakby czekała na tę chwilę całe swoje życie.

– Chciałbym, żeby zebrała pani na jutro swoje oddziały przed Amphiofosem. Proszę nie podejmować żadnych działań bez rozkazu, chyba że dojdzie do aktów przemocy.

Chciałbym, żeby wszyscy zrozumieli, że Kolegium to nie tylko księgi, słowa i pieniądze do wzięcia.

– Z wielką przyjemnością, mistrzu wojny – odrzekła i dopiero teraz uświadomił sobie, że nazwała go tak już drugi raz.

Cóż, może nadszedł czas, by znów przywdziać ten stary płaszcz, pomyślał bez entuzjazmu.

Znikali jedno po drugim, a kiedy wszyscy wyszli, w gabinecie Makera oprócz niego została tylko Arianna. Szurał

papierami i wiedziała, że ma coś jeszcze do powiedzenia.

Czy Teornis wiedział, że tak się stanie? – pytała się w myślach. Czy dlatego mnie zwerbował? Nie, bo wtedy dałby jej jakieś konkretne zadanie, wydał szczegółowe polecenia.

Wiedział jednak, że prędzej czy później dojdzie do zwania między nim i Stenwoldem. Przypomniły się jej jego słowa o jej rasie i rodzinie. Nie można zatrzymać świata. A ten świat już zmiażdżył jej rodzinę na proch.

Żukowiec patrzył na nią z lekkim uśmiechem.

– Wiem – powiedział.

Serce jej zatrzepotało. *Wiedział?*

– Sten? – zapytała beztrąsko. Była to sztuka, którą znał

każdy pająkowiec: odseparowanie myśli od wyrazu twarzy, aby te pierwsze się na niej nie ujawniły.

– Mówię o tej całej sytuacji. Wiem, że to nie to samo, co wyruszyć z mieczem na Imperium. Wiem, że pająkowcy to zupełnie inna sprawa.

Och, gdybyś wiedział naprawdę.

Wyciągnął w jej stronę niewielki zwój – kawałek papieru wielkości ledwo jej małego palca. Wzięła go w odrętwieniu, otworzyła i zobaczyła jedno zdanie wypisane misternym charakterem pisma: „Zapraszam do tańca” –

przeczytała. Nie miała wątpliwości, że skreśliła je ręka Teornisa. Jakikolwiek inne słowa świadczyłyby o braku wychowania.

– Dotarło to do mnie przez tego samego posłańca, którego pchnąłem po Jodry’ego – wyjaśnił Stenwold.

– Wiesz, co to znaczy? – zapytała z naciskiem.

Czuła narastające w niej napięcie, ale nie była pewna, czy dotyczyło przyszłości jego, czy też jej.

– Wiem, że „taniec” oznacza politykę wśród pająkowców, więc – jak sądzę – Teornis zawiadamia mnie właśnie, że wie, co zrobiłem. Jego ludzie musieli rozpoznać *Prawdziwe Ostrze* w porcie.

– Och, Stenie... – westchnęła. – Nie rozumiesz, co to znaczy. Zupełnie nie rozumiesz. – *To może kosztować cię życie.*

Zmarszczył brwi.

– No to co to znaczy?

– Och, to jest swego rodzaju pochwała – odparła smutno. – Chce przez to powiedzieć, że odkrywszy to wszystko, stałeś się w jego oczach równorzędnym partnerem.

Uważa cię za przeciwnika godnego siebie. A więc nie będzie się oglądał na twoje pochodzenie. Jesteś dla niego pająkowcem. Nie oszczędzi więc ciebie, ale też nie oczekuje, żebyś ty oszczędzał jego.

– Ach. – Stenwold spojrzał na swoją dłoń. – Cóż, jasno i przejrzyście. Czy w takim razie mam się spodziewać ciosu nożem w ciemnym zaułku? Czy powinienem zacząć przygotowywać sobie sam jedzenie?

– Och, to byłoby w złym tonie – wyjaśniła Arianna. –

Nieeleganckie. Zlecenie zabójstwa głównego wroga jest przyznaniem się do porażki – albo prawie. Pająkowcy nie uciekają się do tego w odniesieniu do swych partnerów w tańcu, ale niszczą ich krok po kroku, aż śmierć wyda się im aktem łaski. Nie sądzę, żeby Teornis zlecił zabicie ciebie, chyba że nie zostawisz mu wyboru i zapędzisz go w kozi róg.

Lecz twoi sprzymierzeńcy nie znajdują się pod taką ochroną.

To tradycja wśród pająkopodobnych: atakowanie wroga poprzez jednego z jego domowników czy przyjaciół. Weźmy na przykład Jodry’ego.

– Jodry’ego? – Maker pokręcił głową. – Jodry jest przecież przewodniczącym Zgromadzenia. Jakoś nie sądzę, żeby Teornis był zdolny do takiego czynu, tylko żeby dopaść mnie. W rzeczywistości raczej zabije mnie, żeby Jodry’emu wszystko utrudnić.

– Nie, Stenwoldzie, nie masz racji – upierała się Arianna. – Cóż Teornis myśli o waszych tytułach i funkcjach?

Człowiek staje się prawdziwym przeciwnikiem pająkowca z powodu swoich umiejętności, a nie... stanowiska. Ty jesteś jego wrogiem. Ty jesteś człowiekiem, z którym chce zatańczyć. Co do reszty – Jodry’ego, twoich muszców, modliszki i jej załogi... – Stenwoldzie, sezon polowań na nich już się rozpoczął.

– A ty? – nie odpuszczał.

– Och, któż to wie, co Teornis zamierza zrobić ze mną –

powiedziała, patrząc mu prosto w oczy i myśląc: *Mówię ci, Stenwoldzie. Słuchaj tego, co mówię. Zrozum mnie wreszcie!*

Ale on jej nie rozumiał. Na jego twarzy malowała się wyłącznie troska.

– Powiniennem cię stąd gdzieś wysłać – zaczął i uniósł

dłoń, by uciąć jej protesty. – Ale wiem, że niczego by to nie rozwiązało. Odległość nie stanowi ochrony. Muszę cię więc wykorzystać. Zdaje się, że twoja pomoc to kwestia życia albo śmierci.

Och, bardzo prawdopodobne.

– Co chcesz uzyskać, Stenwoldzie? Co będziesz uważał

za zwycięstwo?

– Zachowanie bezpieczeństwa Kolegium – odparł bez zastanowienia. – Nie wiem, do czego dąży ród Aldanraelich –

nie ryzykowałby tyle dla zwykłego rabunku. Ale cokolwiek to jest, musi z tego zrezygnować. Moi rodacy nie będą niczym łupem.

– A jeśli Teornis proponuje kompromis?

– A czy mogę mu ufać? A jeżeli będzie zastawiał kolejne sidła?

Wzruszyła ramionami. *Nie znam odpowiedzi na to pytanie.*

Nie wiem też, czego Teornis chce.

– Może i tak. Ale załóżmy, że będzie szczery...

– Czy pójdę z nim na układ, chcesz zapytać? Byłbym głupi, gdybym nie wysłuchał tego, co ma do powiedzenia, lecz nie dopuszczę, by moje miasto zbierało cięgi. Zginęli ludzie.

Zaginęły statki. Jeśli pokornie ustąpimy, będzie to tylko wstęp do dalszych roszczeń.

I to też prawda, stwierdziła.

– Dokładnie przemyśl, co chcesz powiedzieć na forum –

ostrzegła go.

– Wiem. Nie można odwrócić raz wypowiedzianych słów. – Potarł twarz dłonią.

Czy ja udzielam mu rady na jego korzyść, czy na korzyść Teornisa? – pytała się w myślach. Co mogę powiedzieć, co nie byłoby zdradą jednego bądź drugiego?

– Jeśli nie dasz mu wyboru, będzie walczyć – dodała. –

Wiem, że modliszowcy uważają nas za tchórzy, ale to nieprawda. To tylko przemoc jest sposobem rozwiązywania problemów przez nas pogardzanym. Jeśli nie ma innego wyjścia, chwytamy za miecz, lecz jeżeli zostawisz mu jakąś furtkę, on z niej skorzysta. Bardzo ważny dla pająkowców jest wizerunek publiczny. Kiedy będziesz przemawiał, daj mu szansę, by mógł wycofać się z godnością. Nigdy nie wiadomo.

Może plany Aldanraelich nie nabrały jeszcze konkretnych kształtów? Może będą woleli je porzucić, zamiast ryzykować jawną konfrontację? Teornis może zechcieć jak najszybciej umyć ręce od tego wszystkiego.

– Rozumiem. – Stenwold pokiwał trzeźwo głową. –

Będę dobierał słowa uważnie.

Zostawiła go przy biurku, wpatrującego się w pustą kartę pergaminu.

Gdy zeszła na dół, kazała Cardlessowi zaparzyć sobie ziółka i zastanawiała się nad swoimi możliwościami.

Powiedzieć Stenwoldowi – brzmiała jedna z nich, ale właściwy moment na to dawno już minął. Powinna była mu o tym wspomnieć, kiedy tylko znaleźli się sami. A potem, gdy tylko wrócił z rejsu. Z każdą mijającą chwilą oddalała się jej szansa na to, by uzyskać wybaczenie. *A nie mogłabym po prostu rzucić tego i zniknąć?* Wiedziała jednak, że to niemożliwe. Mogła zdradzić żukowca, ale nie umiała go porzucić. Nie umiała odejść, gdy on wyruszał do walki i nikt nie miał pojęcia, jak to się skończy. *Jeśli będę trwać przy jego boku, bez względu na stronę, po której stanę, może nadejść taki moment, że uda mi się... uda mi się co?*

Zniszczyć go czy ocalić?

Teornis też nie pozwoli jej uciec. Osądziłby ją za to o wiele surowiej niż za lojalność wobec Makera. Stojąc po stronie Stenwolda bowiem, jest nadal cenna jako środek nacisku. Jeżeli ucieknie, stanie się godna pogardy i bezwartościowa. Choć tak czy siak nie zawaha się ani chwili, by się jej pozbyć.

A gdybym tak teraz poszła do Teornisa? Choć oczywiście mogła postąpić jeszcze gorzej: nie idąc teraz do niego. Jego list do Makera pokazywał jasno, iż wie, że wyciągnięto już miecze. Nie uwierzy

jej, jeśli będzie udawała zdziwienie. Poza tym nie podejrzewała, by umiała go okłamać. *Z każdą upływającą minutą zyskuje coraz większe przekonanie, że go zdradziłam.*

Stenwold. Teornis. Wielki, niezdamny żukowiec o przenikliwym umyśle oraz elegancki, roześmiany pająkowiec.

Stenwold, który poderwał całe miasto do walki przeciwko osowcom. Teornis, który powstrzymał całą Czwartą Armię jedynie przy pomocy dwustu ludzi i sprytnych słów.

Stenwold, który przez wiele dni opierał się vekkeńskiemu oblężeniu. Teornis, którego posiłki zmusiły mrówców do odejścia spod murów miasta.

Stenwold, który oddał się w ręce Imperium, by uratować mnie przed zawiśnięciem na skrzyżowanych pikach. Teornis, który przyjmie mnie do swojej rodziny.

W końcu jej egoizm przybladł. Kim była, by oceniać mistrza wojny Kolegium czy też *aristoi* z rodu Aldanraelich?

Była wyłącznie Arianną, pajęczą sierotą, zbiegłą agentką Rekefu wygnaną ze starego domu i pasożytującą w nowym.

Czymże były dla niej szlachetne sprawy i honorowy sposób postępowania? Kiedy to jej odpowiadało, ochoczo wstąpiła do Rekefu i równie szybko porzuciła tę służbę. Wtedy zajęła się Stenwoldem... Cóż, Stenwold był wielką figurą w tamtych czasach, ale już dalej z nim nie zajdzie. Być może szanowano ją, ale to miasto należało do żukowców i bez względu na to, jak bardzo starali się naśladować pająkowców, przypominali wyłącznie błaznów wystrojonych w pożyczone szaty.

Teornis uczyni ją jedną z *aristoi*. Stanie się częścią tańca. Będzie bogata, będzie miała niewolników, klejnoty i wszystkie zbytki. Co więcej, taniec nie ma końca, więc nie będzie nigdy znudzona. Żukowcy aspirowali do wygodnego życia. Pająkowcom zależało wyłącznie na tym, by czuć jego pełnię.

Wymknęła się z domu. Gdyby Maker miał odrobinę rozsądku, już zacząłby ją podejrzewać. Wiedziała jednak, że tak nie jest. Był asem wywiadu i tylko kilku ze swoich agentów darzył całkowitym zaufaniem. Lecz ona nie była już jego szpiegiem. Za bardzo się zbliżyli. I Stenwold podejrzewał

ją o zdradę w takim stopniu, jak mógł podejrzewać swoją bratanicę Cheerwell.

– Spodziewałem się ciebie.

Jeden z ludzi Teornisa poprowadził ją do kamienicy z widokiem na port, który wciąż nosił ślady po ładunkach Vekkeńczyków. Z wierzchu wyglądała jak zwykły dwupiętrowy budynek – przysadzisty, o płaskim dachu. W

środku zaś zdobiły ją jedwabne draperie.

Teornisa zastała na górze, gdzie leżał wyciągnięty na sofie. Kiedy tylko weszła, służący muszec zaproponował jej wino. Wzięła je, ale nie piła.

– Wiedziałeś, że do tego dojdzie, kiedy zacząłeś ze mną rozmawiać – rzuciła oskarżycielskim tonem.

– Potwierdzenie oczywistości jest stratą czasu –

pohamował jej zapędy. Wskazał jej ręką miejsce na drugiej sofie na wprost niego, gdzie usiadła sztywno. – Jeśli wydaje ci się, że wprowadziłem cię w błąd, to wracaj do swego kochanka. – Uśmiechał się i choć w jego głosie nie było ani jednej ostrej nuty, jego słowa cięły ją bezlitośnie.

– Co się dzieje? – zapytała stanowczym głosem. –

Chodzi o morski transport Kolegium? Po co tyle zamieszania o taką błahostkę?

– Och, prawdziwy dżentelmen nie zanudza damy prozaicznymi szczegółami. – Teornis upił wina, przyglądając się jej uważnie. – Prawdziwy dżentelmen pokazuje ukończone dzieło albo nie mówi nic. Zatem... ?

– Stenwold wystąpi jutro na forum Zgromadzenia.

Teornis uniósł rozczapierzone palce.

– Podnosi stawkę w pierwszym ruchu. Bardzo odważnie

– stwierdził. – Jaki ma aktyw?

– Jodry Drillen – zaczęła recytować Arianna, wiedząc, że być może wymawiając jedynie imiona tych ludzi, właśnie podpisuje wyrok śmierci na nich. – Jakaś dowódczyni milicji miejskiej o nazwisku Padstock. Załogę marynarzy pod wodzą Tomassa. No i Danaen z bandą modliszowców, którzy zajęli *Prawdziwe Ostrze*.

– Modliszowcy – Teornis zmiął to słowo w ustach z odrazą. – Pomyślałby kto, że powinni być mi wdzięczni za pławienie się w blasku chwały po rozgonieniu Czwartej. Cóż, radziłem sobie już z nimi, więc poradzę sobie i teraz. A propos, jak miewa się nasz niczego nieświadomy żukowiec?

Stoi w zakroku czy w wykroku?

– Stoi twardo na nogach – odpowiedziała. – Ale będzie mówił, jeśli ty się odezwiesz. Mam nadzieję, że udało mi się go przekonać, by nie rzucał jutro żadnych oskarżeń wprost, pozostawiając ci szansę na jakieś... porozumienie. –

Zamilkła, ponieważ posłał jej drapieżny uśmiech.

– To bardzo szlachetne, gdy ktoś próbuje grać na dwie strony, powstrzymując je i jednocześnie ciągnąc za sznurki –

zauważył rozbawiony. – Ale ty, moja dziewczynko, nie masz wystarczających umiejętności, by robić głupców z nas obu.

Pozostań więc przy wykonywaniu moich poleceń, a otrzymasz to, czego chcesz. Spróbuj tylko prowadzić w tym tańcu, a gwarantuję ci, że twoja przyszłość okryje się mrokiem.

Chciała coś powiedzieć, ale nie była w stanie wydusić z siebie ani słowa. Wolno pokiwał głową.

– Moja droga Arianno, nie myśl sobie, że nie wiem, co to przywiązanie. Ja sam bardzo lubię Makera. Nie chcę pozbawiać świata jego osoby, bo będziemy go potrzebować, kiedy – oby nieprędko – znów zacznie kotłować się w Imperium. Ale trzeba go zmusić do uległości, a on powinien przekonać się, że wyciąganie miecza na Aldanraelich nie jest najlepszym z pomysłów. – Postawił kielich na tacy podsunętej przez służbę. Towarzyszący temu metaliczny dźwięk wydał się jej bardzo głośny. – *Ostrzem* dowodziła moja kuzynka Elleria, a ludzie Makera ją zabili – oświadczył

obojętnie. – Rodzina łaknie krwi za ten czyn. Nie mogę po prostu podnieść rąk i porzucić całego planu. Jakikolwiek porozumienie osiągniemy, dla nas będzie zwycięstwem. Jeśli Maker ustąpi, tym lepiej, bo my wykonamy ruchy pozorne, po których on wyjdzie na silnego męża stanu, a my na niewiniątka. Jeżeli zaś będzie uparty... przelano krew *aristoi*, więc my nie możemy położyć uszu po sobie. – Nagle westchnął i Arianna zobaczyła przez ułamek sekundy prawdziwy żal na jego twarzy. – Jestem daleki od krytykowania kobiet mego rodu – ciągnął – ale Elleria była idiotką. Gdyby było inaczej, nie powierzyliby jej tak poniżającej funkcji. Nie spisała się zwyczajnie i dała się zabić.

Gdyby była na tym świecie jakaś sprawiedliwość, uznalibyśmy ją za odszczepieńca i znów mogliśmy się przyjaźnić. Była jednak członkiem rodziny, a ludzie Makera ją zabili. Posłałem wiadomość do Everisu, by zbierali flotę, prawdziwą armadę, przy której posiłki wysłane przeciwko Vekkeńczykom będą wyglądać jak oddział zwiadowczy. –

Jego twarz znów pojaśniała. Zatroskana mina gdzieś zniknęła. – Będziemy jednak musieli, moja droga, zmusić Makera do posłuszeństwa, zanim staniemy przed wyższą koniecznością. Ale nie lękaj się, wyprawienie armady trochę trwa. Minie kilka miesięcy, powiedziałbym, zanim ujrzymy żagle na horyzoncie.

Jak się spodziewał, kiedy wszedł poza kolejnością na mównicę, zaległa cisza. *Czyżby coś wiedzieli?* – zastanawiał

się. Niemożliwe przecież, żeby Jodry puścił farbę. Patrząc na ich twarze, upewnił się, że nie. Po prostu instynkt znów dał o sobie znać. Byli do tego przyzwyczajeni: Stenwold Maker wyjechał z miasta, Stenwold Maker wrócił, Stenwold Maker stanie teraz przed wszystkimi zgromadzonymi, by wieścić koniec świata. Nauczył ich tego w ciągu bez mała dziesięciu lat. *Tylko że teraz mi uwierzą*, pomyślał i to go naprawdę przeraziło. *Czy dawniej nie byłem w skrytości ducha zadowolony, że bez względu na to, co powiem, nikt nie zwróci na to uwagi? Teraz zaś, kiedy moje słowa wiążą się z konsekwencjami, muszę uważać na to, co mówię.*

Jego wzrok napotkał Teornisa. Pająkowiec miał prawo tu przebywać jako ambasador, choć rzadko z tego korzystał, chyba że na sali miały paść jakieś ważne słowa. Chłodno skinął Stenwoldowi głową.

„My wiemy”, zdawał się mówić jego wzrok. „Ty i ja, jedynie my dwaj wiemy, co tu się naprawdę dzieje”.

Żukowiec poświęcił wiele czasu na tej sali na wyliczanie knoń Imperium. Osowcy byli niemal jak starzy przyjaciele

– znał ich na wylot i wiedział, jak postąpią. Ród Aldanraelich zaś pozostawał tajemniczy i wyrachowany. Pomimo wszystkich zapewnień Arianny nie wykluczał bezpośredniego zamachu na własne życie. Przypasał miecz, włożył tunikę, a pod nią – skórzany kaftan wzmocniony stalowymi płytami.

– Szacowni członkowie Zgromadzenia, mistrzowie, magnaci miasta Kolegium – zwrócił się do nich.
– Kiedy słyszycie mój głos, chciałbym, żebyście przywołali w pamięci głos inny, który w dziwnych okolicznościach ostatnio zamilkł.

Mówię tu o przedstawicielu mieszkańców, który nie wahał się zburzyć porządku naszych obrad, by przedstawić nam to, co go niepokoiło. Lecz gdzież on teraz jest? Mówię tu o Roniesie Failwrightcie. Kto z was zadawał sobie pytanie, gdzie podział

się ten człowiek? Nikt?

Dał im chwilę na zastanowienie, po czym znów wrócił

do głosu, nie pozwalając, by między sobą wdali się w dyskusję na ten temat:

– Być może jesteście zwyczajnie, po ludzku zadowoleni, że ów stary szyper nie gnębi was swoimi problemami, wracając wciąż do tematu utraconych zysków?

Rozległy się rozbawione szmery i Stenwold zgromił salę spojrzeniem, ponieważ tak właśnie sobie to zaplanował.

– Mistrz Failwright zniknął. Nie widziano go już od trzykroć po dziesięć dni. I ja myślę, że nie żyje. Myślę, że został zamordowany.

To ich całkowicie uciszyło. Maker zaczerpnął głęboko powietrza. Teraz, kiedy mocno siedział w siodle, nawet nie zaszczyił spojrzeniem Teornisa z Aldanraelich.

– Spytacie pewnie, dlaczego nie zajęła się tym straż miejska. Czy jest to sprawa godna czasu i cierpliwości członków Zgromadzenia Kolegium? Cóż, mistrzowie i magnaci, podjąłem własne śledztwo w sprawach, które mistrz Failwright tak często tutaj poruszał. Bo po cóż byłoby zabijać tego człowieka, jeśli nie dlatego, że w jego skargach kryło się ziarno prawdy? Przypominacie sobie oczywiście ten temat. Utrzymywał, że transport morski Kolegium jest regularnie atakowany i że za wszystkimi tymi rabunkami i zaginięciami kryje się coś więcej niż tylko przypadkowe działania pirackie.

Zapanowało nieznaczne poruszenie i wszyscy zaczęli się wiercić na kamiennych ławach, zastanawiając się, do czego Stenwold zmierza. Jedynie garstka kupców korzystająca z transportu

morskiego słuchała go w napięciu.

– Jak każdy dobry mistrz z Kolegium pozwoliłem sobie przeprowadzić eksperyment – oznajmił Stenwold. – Ukryłem ładunek mieczy gotowych do walki na statku płynącym do Everisu, aby sprawdzić, co się stanie.

Po takiej rewelacji wszyscy zamilkli.

– Okazało się, że pewien piracki statek bardzo się nim zainteresował. *Prawdziwe Ostrze* zagoniło naszą jednostkę i jego załoga chciała dokonać abordażu. Ale nasza załoga wraz z marines odparła atak i zajęła ich okręt. Stoi on teraz w naszym porcie.

Na to rozległy się okrzyki radości, co nieco zbiło go z tropu. Być może sądzą, że jest po sprawie – stary Maker znów zabawił się w mistrza wojny, tym razem na morzu, i dla własnej rozrywki w imieniu Kolegium porozdawał kukuksańce łotrom spod ciemnej gwiazdy. Uniósł rękę, by ich uciszyć.

– Na pokładzie znaleźliśmy dowody, które świadczyły o tym, że mistrz Failwright miał rację – oznajmił. – Za występkami tych piratów skrywał się ktoś potężniejszy i któż może wiedzieć, czy w pozostałych przypadkach nie było podobnie.

W końcu zapadła całkowita cisza, co było w Amphiphosie rzeczą niezmiernie rzadką.

– Pozyskane dokumenty wskazują na udział w tym procederze osób z Ziemi Pająkowców i przykro mi to mówić, ale wymieniają ród Aldanraelich.

Przypominało to spuszczenie głazu do stojącej wody.

Chwila dostojnej ciszy momentalnie zmieniła się w chaos.

Niemal połowa członków Zgromadzenia zaczęła przekrzykiwać się jednocześnie – wrzeszczeli do siebie nawzajem, do niego, do całej izby. Wielu było przerażonych i ci protestowali, że to nieprawda, że ród Aldanraelich przyjaźni się z Kolegium. Mógł się z tym zgodzić. Nie wiedział, dlaczego to robią, ale takie były fakty. Inni, szczególnie przedsiębiorcy związani z transportem morskim, pomstowali na cały pajęczy ród, domagając się sprawiedliwości i zadośćuczynienia.

Stenwold odszukał wzrokiem ambasadora Imperium –

Aagen zachował kamienną twarz, ale za jego plecami w szczerym obliczu Honoriusza Bellowerna dostrzegł

zaniepokojenie, zaniepokojenie, które miało ogromną wagę.

Wtedy wkroczył w to wszystko Drillen i zaczął wybierać osoby ze Zgromadzenia po prostu po to, żeby uciszyć innych.

Solidnie zbudowana siwiejąca kobieta, której imienia Stenwold nie pamiętał, wstała z miejsca.

– To niedorzeczne! – warknęła. – Pająkowcy? Po co mieliby to robić? Od oblężenia postępowaliśmy z nimi niezwykle godnie, po cóż więc mieliby nas rabować?

Dostała dość duże wsparcie z sali, ale też porcję niezadowolonego szemrania, które składało się w jeden głos:

„Bo to pająkowcy, a tym nigdy nie można ufać”.

Jodry chciał wyłowić następną osobę, ale jego palec powędrował zbyt blisko Helmessa Broilera i jego stary przeciwnik wykorzystał nadarzącą się okazję. Wstał i podniósł dłoń, by uciszyć pozostałych. Miał wystarczająco wielu popleczników, żeby udało mu się zaprowadzić spokój – czy też raczej jego namiastkę.

– Moi bracia! – wykrzyknął dramatycznie i Stenwold przygotował się na kolejny głos sprzeciwu, ale zamiast grzmieć, Helmess powiedział: – Nie powinniśmy tego lekceważyć tylko dlatego, że śmialiśmy się z Failwrighta.

Była to deklaracja na tyle zaskakująca, że Zgromadzenie zaczęło go słuchać. Helmess spojrzał surowo w lewo i w prawo.

Maker musiał przyznać, że ten człowiek, wręcz ociekający autorytetem, doskonale nadawał się do tego typu dyskusji.

– Oczywiście przyjrzymy się dowodom mistrza Makera.

Mistrz Maker i ja przyjaźnimy się od dawna. Często kruszyliśmy tu kopie i chociaż sądziłem, że takie wyznanie trzeba będzie wyciągać ze mnie rozzarzonymi cęgami, muszę stwierdzić, iż jest to człowiek, który zawsze ma na celu dobro naszego miasta – bez względu na to, czy jego podejrzenia są uprawnione, czy nie. – Uśmiechnął się lekko, wyłącznie na użytek Stenwolda. – Panie przewodniczący, myślę, że nadszedł właściwy moment, by zwrócić się do obwinianego.

Co na to przedstawiciel pająkowców?

O co mu chodzi? Znalazłszy się najwyraźniej po jednej stronie barykady z Helmessem Broilerem, Maker poczuł się niezręcznie. Jodry myślał tak samo, ale skinął głową i wskazał w stronę Teornisa.

– Co ma do powiedzenia przedstawiciel rodu Aldanraelich?

Aristos wstał, a na jego twarzy nie było widać cienia niepokoju.

– To ciężkie słowa, mistrzu Makerze. Jak najbardziej, przyjrzymy się dokumentom, które zgromadziłeś, gdyż nie podejrzewam, że wywoływałbyś taką burzę za sprawą jakiejś błahostki. Być może jeden z rywali mojej rodziny chce wbić klin pomiędzy nas. Nasza obopólnie korzystna przyjaźń wzbudza zawiść u wielu, jestem tego pewien. A być może to jakiś wasz wróg pragnie zasiać ziarno niezgody. Lub moja rodzina ma jakieś plany, o których nic nie wiem. – Rozłożył

ramiona jak uosobienie głosu rozsądku. – Oddaję się do dyspozycji Zgromadzenia, żebyśmy mogli wspólnie oddzielić prawdę od domysłów. – Spojrzał teraz Stenwoldowi prosto w oczy. – Z całą pewnością wszyscy chcielibyśmy wykorzystać wszelkie środki pokojowe przed popełnieniem jakiegoś głupstwa.

CZTERNAŚCIE

Mam wieści z Everisu – oznajmił Stenwold swoim konspiratorom.

Znów byli wszyscy w jego gabinecie – Arianna, Jodry, Danaen, Laszlo i Tomasso. Cardless właśnie rozlał wino i ulotnił się.

– Jak sądzę, nie są zbyt krzepiące – wtrącił Tomasso.

– Cóż, wiem przynajmniej, że *Wędrowny Dom* przybił

do portu bez przeszkód, wyładował towar i odpłynął, co świadczy o tym, jak dobrze działają interesy pająkowców. Ale mój informator z Everisu donosi, że zbierają flotę – okręty wojenne, jednostki zaopatrzenia, transportowce wojska. Na razie nie jest duża, ale na jedwabnym szlaku pojawiło się mnóstwo nowych żagli i wszystkie płynęły do Everisu.

– Nazywają to armadą – pospieszył z wyjaśnieniami Tomasso.

Maker przytaknął.

– Właśnie tak. Jakie mamy z nią szanse?

– Och, to bardzo rzadki przypadek – odparł brodaty muszec. – Przede wszystkim, żeby zebrać armadę, wszyscy pająkowcy muszą patrzeć w jednym kierunku i mieć jeden cel. I żaden nie może wbić noża w plecy drugiemu.

Stenwoldzie, doprowadziłeś Aldanraelich do wrzenia i zaangażowania wszystkich swoich sił. Zwykle trudno zmusić ich do takiej reakcji, chyba że chodzi o jakiegoś zbuntowanego satrapę. Wiemy, co ich do tego skłoniło.

– *Arista* na pokładzie *Ostrza* – zgodził się Stenwold.

– Bez cienia wątpliwości. Czyjaś ukochana córeczka –

skonkludował Tomasso posępnie.

– Zasłużyła na śmierć – rzuciła z pogardą Danaen. –

Zasłużyła na gorszą śmierć. Strzała to betka. Nie mówcie mi teraz, że powinniśmy byli ją oszczędzić.

– Laszlo opisał mi okoliczności – rzekł Maker. –

Zrobiliście, co należało. Postąpiła głupio, próbując zmusić was do rejterady. Gdyby wykazała się nieco większym rozsądkiem, żyłaby do dziś, jestem tego pewien.

Wyraz twarzy Danaen nie potwierdzał tego, ale Stenwold za wszelką cenę próbował nie dać po sobie poznać, że to zauważył. *Ocal mnie przed nadgorliwymi sojusznikami.*

– Cóż, skoro już do tego doszło – stwierdził – musimy sprawdzić możliwości rzemieślniczego kunsztu mieszkańców Kolegium w potyczce z pajęczym sprytem. Vekkeńczykom nie szło z nami łatwo ani na lądzie, ani na morzu.

– Ale dokonali licznych zniszczeń, podobnie jak Imperium zaraz po nich – zauważył Drillen żałośnie. – Nie możemy być ciągle w stanie wojny. Przede wszystkim z powodu ceny życia i towarów. Stenwoldzie, zastanawiałeś się, czy nie poszukać sojuszników w jakimś innym pajęczym rodzie?

– Na przykład, w którym? – spytał Maker.

– No, nie mam pojęcia, ale przecież Aldanraeli mają z pewnością jakichś wrogów.

– Pajęcza polityka, Jodry. Sam stwierdziłeś, że nie mamy o nich bladego pojęcia. Codziennie zmieniają maski.

Rano wstają i wkuwają na pamięć nową listę swoich wrogów i przyjaciół. Arianno, mam rację?

– Łatwo znaleźlibyście ludzi chcących na was zarobić –

zgodziła się – ale nie wiedzielibyście, co naprawdę myślą.

Każdy, z kim się zwiążecie, może być równie dobrze stronnikiem Aldanraelich. Nie wchodźcie do tej wody. Nie macie ani odpowiedniego kompasu, ani mapy.

– Jako przykład podam wam wiadomość otrzymaną zeszłej nocy od mojego wroga – oznajmił Stenwold. –

Znalazłem ją na mojej poduszce. – Pokazał im niewielki skrawek pergaminu. – „Wysłuchałeś relacji swoich szpiegów.

Być może chciałbyś teraz wysłuchać nas. Ustal czas i miejsce, jeśli nie będziesz miał już wiatru w żaglach”. Podejrzewam, że nie usłyszę już nic od mojego agenta z Everisu. Zrobił, co mu pająkowcy kazali, i przekazał mi ostrzeżenie, że się zbierają.

– Ale Teornis chce rozmawiać – podsunął Jodry.

– Podobno. – Maker westchnął głęboko.

– Nie możecie rozmawiać z pająkowcami – rzuciła Danaen zapalczywie. – Każde ich słowo to kłamstwo. Każda obietnica zostanie złamana. Pokój z nimi można zawrzeć dopiero po pokonaniu ich w walce.

Drillen odkaszlnął.

– No tak, ja tylko uważam, że powinniśmy się z nim spotkać. Przecież nie chce wojny, więc z pewnością możemy wyjść z tego bagna obronną ręką i uniknąć blokady naszego portu przez setkę statków, a także lądowania oddziałów desantowych na całej długości naszego wybrzeża. Ziemie Pająkowców są rozległe, Stenwoldzie. Nie mamy pojęcia, co mogą nam tu przysłać. Wśród swoich poddanych mają też wielu rzemieślników. Nie miej złudzeń, że będą to tylko żaglowce i miecze.

Danaen patrzyła na Jodry'ego spode łba, rzucając błyskawice w stronę Arianny. Dwaj muszcy siedzieli spokojnie, czekając, aż staną się przydatni. Stenwold przyłożył dłoń do czoła.

– Spotkam się z nim – zdecydował.

Modliszka zasyczała ze złości.

– Jak tylko otworzą usta, namieszają ci w głowie, albo cię zabiją. Nie ma rozmowy z nimi, chyba że za pomocą miecza.

– My w ten sposób nie postępujemy – warknął Maker z taką mocą, że zamilkła. – Sytuacja wymyka się spod kontroli.

Pająkowcy, którzy przez całe życie mieszkali w Kolegium, zaczynają się lękać i nie chcą pokazywać się na ulicy.

Honoriusz Bellowern, niech go mrowisko pochłonie, zapewnił mnie o możliwości wsparcia ze strony Imperium w razie potrzeby, a jeśli nie da się tego rozwikłać – jeżeli pajęczce żagle zawiną do naszego portu – Piąta Armia bez wątpienia przekroczy granicę z Myną, żeby to wsparcie dotarło do nas nieco szybciej. Musimy więc działać. Spotkam się z Teornisem.

– Stenwoldzie Makerze, wysłuchaj mnie – odezwała się modliszka żarliwie. – Zabiję Teornisa z Aldanraelich.

Maker popatrzył na nią.

– Ja nie...

– Wezmę dwudziestkę najlepszych ludzi, odnajdę go i zabiję jego, jego sługi, straż i wszystkich, którzy z nim mieszkają – dodała beznamiętnie. – To jedyny sposób na pomyślne negocjacje z pająkowcem.

– I co to da? – zapytał Stenwold ostro. – Nie grozi nam wojna wyłącznie z nim, ale z całą jego przeklętą rodziną.

Uzyskamy tyle, że zamkniemy sobie na zawsze drogę do wszelkich rozmów pokojowych.

Danaen skrzyżowała ręce na piersiach.

– W takim razie gdzie się z nim spotkasz? Jak sobie z nim poradzisz? On skazi ci umysł swoją sztuką. Wokół będą czekać jego agenci gotowi otruć cię albo zaszlachtować jak cielę.

– Być może przydałby się do mediacji ktoś neutralny... ?

– zaczął Drillen.

– Niby kto? – warknęła na niego modliszkopodobna. –

No właśnie, jest wśród nas jeszcze ktoś nieprzekupny? Komu można całkowicie ufać? Żeby raz na zawsze pozbyć się tego tałatajstwa, możecie zaufać jedynie mojemu ludowi, a ja mówię: zabić!

– Komu można by zaufać? – spytał Maker. – Komu powierzyć wiedzę potrzebną do przeprowadzenia negocjacji?

Żadnych osób trzecich, Jodry. Jeśli mamy negocjować z Teornisem, musi to być szczerą i otwartą rozmową.

– W takim razie – przewodniczący Zgromadzenia miał

ponurą minę – modliszka ma rację, Sten. Skąd będziesz wiedział, że to nie zasadzka?

– Arianna mówi, że nie będzie próbował mnie zabić.

Oni tak nie postępują – stwierdził Stenwold.

– Z całym szacunkiem, mistrzu Makerze – wtrącił się Tomasso. – Oni zawsze chcą wygrać za wszelką cenę. – Od dłuższego czasu siedział w milczeniu, przysłuchując się ich rozmowie, a Laszlo trzymał się blisko niego. Teraz jego głos przyciągnął uwagę pozostałych. – Pająkowcy prowadzą rozgrywki między sobą, a wielki *aristoi* może utrzymywać, że przestrzegają swoich zasad. Ale, mistrzu Makerze, te zasady dotyczą wyłącznie najważniejszych, którzy rozdają karty.

Stenwoldowi przypomniał się pierwszy liścik od Teornisa zapraszający go do tańca. *A może chciał tylko uspić moją czujność, stwarzając pozory bezpieczeństwa? Czy naprawdę uwierzyłem, że aristoi może potraktować mnie jak równego sobie?*

– A poza tym – wtrącił się Laszlo – to nie znaczy też, że czasami nie naginają ich do swoich potrzeb.

Maker otworzył usta, po czym znów je zamknął, bo słowa mu gdzieś uleciały. W końcu powiedział:

– Musi być jakiś sposób. Chcę wierzyć, że Teornis pragnie wycofać się z tego z godnością, by nie wyjść na głupca przed swoją rodziną. Ale rozumiem wasze sugestie. –

Westchnął. – Musi być jakiś sposób – powtórzył.

– Może wpadniemy na to – zastanawiał się Jodry na głos. – Wybierzemy miejsce, mediatora, gwarancje bezpieczeństwa. Pozwólcie mi pomyśleć. Jestem pewien, że coś przyjdzie mi do głowy.

– Cóż, jak nie przyjdzie, to przybędzie armada –

stwierdził Stenwold. – A przy okazji pomyślcie też o obronie od morza.

Po tym jak jego informator wyszedł z pokoju, Helmess Broiler usadowił się na kanapie.

– Kto by pomyślał... ? – powtarzał wciąż do siebie.

Elytria ulokowała się na oparciu mebla i wodziła palcem po jego czaszce, czekając cierpliwie, aż podzieli się z nią spostrzeżeniami.

– Ta cała sprawa z Ziemią Pająkowców niepomnie mnie zaskoczyła – wyznał w końcu. – Człowiek uczy się w życiu wykorzystywać uśmiechy losu, zwłaszcza gdy w sprawę zaangażowani są pająkowcy. Być może teraz życie postanowiło oddać mi trochę tego, co zabrał mi Stenwold Maker.

– Być może zabicie Failwrighta było błędem –

zasugerowała Elytria.

– Najwyraźniej nie, ponieważ obwiniają o to ród Aldanraelich, co raduje mnie niezmiernie.

Helmess nalał jej nieco wina. Był to dobry pajęczy rocznik i wkrótce jego dostawy mogą się raptownie skończyć.

– Lepiej by było, żebyś przez jakiś czas nie wychodziła z domu – dodał. – W końcu tylko ja wiem, że nie jesteś pajęczycą, a mieszkańcy Kolegium niekoniecznie muszą być wystarczająco oświeceni w tej kwestii.

– A więc będzie wojna – zauważyła. – Czy twoi rodacy ciągle się z kimś biją?

– To Maker cały czas wpędza nas w jakąś wojnę –

odparował Helmess. – No, niech spróbuje z tej się wyplątać.

Zobaczy, że łatwo nie będzie. – Zamilkł i zastanowił się przez chwilę. – Chociaż jest nieźle wygadany, tego mu nie można odmówić. Nie powinniśmy mu pozwolić na dogadanie się z Teornisem. To byłoby zupełnie nie po naszej myśli, prawda?

– Chcesz, żeby pajęcza flota wpłynęła do waszego portu?

– zapytała nieco drwiąco.

– A dlaczego nie? Czy kilka tuzinów drewnianych łajb stanowiłoby jakąś przeszkodę dla twoich wojowników?

Parsknęła tylko.

– Wielkoszczypcy Rosandera zatopiają je wszystkie, zanim załogi zorientują się, co się dzieje.

– No to na jakąś godzinkę możecie nawet zostać bohaterskimi obrońcami miasta, dopóty, dopóki nie zorientują się, że nie ograniczycie się do pająkowców –

zaśmiał się Helmess. – Będziemy musieli jakoś załatwić, żeby stał akurat na czele swoich wojsk, kiedy to się stanie. Niech wyciągnie rękę w geście przyjaźni. Chcę zobaczyć, jak kleszcze Rosandera ucinają ją przy nadgarstku. Chciałbym to zobaczyć. – Nagle spochmurniał. – A może lepiej nie. Maker jest na to za sprytny. Potrafi zagadać muszka w powietrzu.

Myślę, że lepiej by było, gdyby załatwili go pająkowcy.

– To ma sens – zgodziła się. – Dlaczego Failwright miałby zostać jedynym męczennikiem?

Wybuchnął na to śmiechem.

– O, tak, męczennik. Kiedy zdechnie, sam postawię mu pomnik.

Elytria przyglądała mu się uważnie.

– I widzę, że masz już plan.

– Może i mam – przytaknął Broiler. – Myślę, że powinienem umówić się z nim na spotkanie jako zaniepokojony patriota ze Zgromadzenia Kolegium. Nasz mały informator musi zasłużyć na swoje honorarium. Idź i przyprowadź go z powrotem, dobrze?

Wyprostowała się i podpłynęła do drzwi, a Helmess śledził każdy jej ruch. *Wszystko układa się dobrze*, pomyślał.

Nie była pajęczycą, lecz była piękna jak one, a do tego miała tę ich grację, która tak bardzo mu się podobała. *Jest też bez wątpienia równie dwulicowa. Ale to tylko dodaje tej sprawie smaczku.*

Po chwili wprowadziła do pokoju schludnie ubranego młodego żukowca i Broiler zwrócił się do niego z kanapy:

– Mistrzu Cardlessie.

Sługa Stenwolda skłonił się grzecznie Helmessowi. Był

prawdziwym skarbem – dobrze wykształconym człowiekiem, który stracił posadę w Helleronie na skutek pewnych nieprawidłowości w rozliczeniach finansowych jego pracodawcy. Zgorzkniały i ambitny pojawił się w Kolegium po wojnie, gdy stary Maker szukał służącego. Broiler przekonał kilku swoich znajomych, by wystawili mu wspaniałe referencje, i tak Stenwold przyjął go do siebie bez zbędnych ceregieli. Co więcej, Helmess był pewien, że Cardless jest sługą doskonałym i żadne finansowe nieścisłości więcej się nie pojawią. W końcu otrzymywał teraz dwie pensje, nie musiał więc sięgać do cudzej kieszeni.

– Mam dla ciebie zadanie, Cardlessie – poinformował

go. – Coś ponad twoje zwykłe obserwacje i raporty.

Postawa sługi zmieniła się, co sugerowało, iż specjalne zadania specjalnie kosztują, choć dał to do zrozumienia z nienaganną grzecznością. Helmess uśmiechnął się cierpko.

Przynajmniej dzięki swojej złodziejskiej naturze jest przewidywalny.

– Och, dostaniesz, co ci się należy, nie przejmuj się, ale chcę, żebyś sprowadził do mnie tę modliszową wojowniczkę, o której mi wspominałeś.

– Danaen, mistrzu Broilerze? – Cardless zmarszczył

nos. – Tę dzikuskę?

– Nie inaczej – potwierdził Helmess. – Powiedz jej, że jestem zatroskanym obywatelem, który chce z nią porozmawiać o niecnym pająkowcach, a któż może mnie lepiej wprowadzić w ten temat niż ich zaprzysięgły wróg.

– Bardzo dobrze, mistrzu Broilerze – zgodził się Cardless. Jego uśmiech był na tyle bezczelny, że Helmess postanowił skrócić mu nieco smycz.

– Zapewnie zastanawiałeś się nad tym, czy nie podejrzewałem cię nigdy o to, że możesz mnie sprzedać Stenwoldowi Makerowi – zagrał *va banque* i wyraz twarzy sługi potwierdził, że trafił w punkt.

– Mistrzu Broilerze, ja nigdy...

– Oszczędź sobie. Znam cię jak zły szeląg – przerwał mu w pół zdania. – Musisz wiedzieć jedno: Stenwold Maker jest człowiekiem zasadniczym i nie marnowałby czasu na trzymanie u siebie zdrajcy niezależnie od tego, czy ten sam by się przyznał do zdrady, czy nie. W najlepszym razie mógłbyś liczyć na kopniaka w tyłek i kiepskie referencje. Rób, co ci każe, Cardlessie, a zyskasz. I nie kombinuj. A teraz idź i odszukaj mi tę modliszkę. Jeśli ci się uda, umów nam spotkanie na jutro.

Cardless znów wyszedł i zadowolony z siebie Helmess wyciągnął się na kanapie.

– Jutro – zdziwiła się Elytria – a nie dzisiaj wieczorem?

– Wolę popełniać mroczne czyny za dnia – zamruczał

Broiler. – Wtedy nikt ich się nie spodziewa. Poza tym myślałem, że dzisiaj w nocy mogliśmy razem odkryć zupełnie nowe pokłady łajdactwa, mam rację?

– Muszę przyznać, że mistrz Maker dociera do sedna sprawy – zauważył Teornis, kiedy Arianna skończyła swoją relację.

Miejski dom pajęczego lorda zmienił się od jej ostatniej wizyty. Trzon służby nieco się różnił – ubiło w niej strojnych muszców, za to przybyło ludzi uzbrojonych. Zauważyła przynajmniej pół tuzina mrówców z Kesu – najwyraźniej najemników – stojących w pogotowiu z mechanicznymi kuszami w dłoniach, i kilku nowych aroganckich ważkopodobnych w zbrojach z drewna i chityny. Ci na dachu mieli ekstrawagancko powyginane długie łuki, a ci w domu nosili miecze o jednostronnym ostrzu. Zostali ściągnięci z jakiejś satrapii, gdzie ród Aldanraelich dzierżył władzę.

– Choć oczywiście – ciągnął Teornis – wciąż jest tylko żukowcem, który postępuje ostrożnie, mozolnie i bez stylu.

Siedział za biurkiem, przeglądając jakieś papiery, i w tym momencie przypominał Ariannie zwykłego żukowca. Ale gdy podniósł wzrok, by spojrzeć jej w oczy, zauważyła lekkie skrzywienie ust i zrozumiała, że robił to dla zabawy. *Dla zabawy moim kosztem.* Bardzo niewielu cudzoziemców rozumiało, jak ważne dla pająkowców jest poczucie humoru, szczególnie w ciężkich czasach. Wejść samemu na szafot i rzucić kilka żartów w stronę zgromadzonego tłumu – tym właśnie cechował się prawdziwy *aristos*.

– Zgodzi się spotkać, jeśli warunki zadowolą jego ludzi.

– Znaczący tę oszalałą modliszkę – westchnął Teornis i uśmiech spełził mu z ust. – Bez względu na to, jak skończy się to spotkanie, ona musi zginąć. Te bezrozumne dzikusy niech sobie żyją w swoich lasach, jeśli chcą, ale zabicie mojej krewnej nie może im ujsć na sucho. Wydaje im się, że mają wyłączność na zemstę? Cóż, nie mogę się doczekać, by dać tej całej Danaen prawdziwy powód do nienawiści wobec mojej rasy. Będę zdzierać z niej skórę kawałek po kawałku i zmuszę do zjedzenia swoich kompanów. – Powiedział to niezwykle rzeczowym tonem, patrząc Ariannie prosto w oczy jakby ją testował.

– Ona nic dla mnie nie znaczy – oznajmiła mu. –

Jestem pewna, że zabiłaby mnie bez wahania, gdyby wiedziała, że Stenwold się o tym nie dowie. Moja lojalność nie miałaby znaczenia, bo dla niej jestem tylko kolejną pajęczycą.

– Maker robi błąd, zatrudniając tak nieobliczalne sługi

– zgodził się Teornis. – Cóż, muszę więc znaleźć jakieś całkowicie neutralne miejsce, co do którego nawet ta dzikuska nie będzie miała zastrzeżeń. Zobaczymy, co Maker zrobi, by uniknąć kolejnej wojny. Moi agenci już krążą po mieście, siejąc strach, odwracając złość ludu od mojej rasy i kierując go na nieudolnych przywódców. Wkrótce przyjmie moje warunki, żeby uniknąć zamieszek.

– Nie sądzę – powiedziała Arianna, zanim pomyślała.

Nastąpiła chwila ciszy, podczas której z oblicza Teornisa nie wyczytała niczego. *I tak w końcu zachowałam się lepiej niż zwykły pokorny sługa, pomyślała. Teornisie, obiecałeś mi przyjęcie do rodziny. Nie zapominaj o tym.*

Skinął nieznacznie głową.

– Masz rację. Nie doceniam naszego mistrza. Nie da się tak łatwo złamać. Słucha jednak tego grubego głupca Drillena, a Drillen jest tylko... jak się nazywają te maszyny latające? To opasły statek powietrzny wyniesiony do góry przez motłoch. Kiedy ludzie zwrócą się przeciwko niemu, zaczną naciskać Makera.

Arianna pokiwała powściągliwie głową.

– Wydaje się to prawdopodobne.

I tak Jodry Drillen będzie żył, bo jako żywy tchórz jest przydatniejszy niż jako martwy straszak. Ulżyło jej, co nieco ją zaskoczyło, bo nie uświadamiała sobie, jak bardzo polubiła zażywnego przewodniczącego.

– Będę wymagał od ciebie nieco większego zaangażowania w pewnej sprawie, gdy sytuacja zajdzie odpowiednio daleko – poinformował ją Teornis. – Nie tylko bowiem ciężka praca czyni z Makera godnego przeciwnika.

Jest sentymentalny. I choć to szlachetna cecha, prawdziwy *manipulus* powinien wiedzieć, kiedy ją porzucić. Gdyby mój wróg przystawił nóż do gardła mojej siostrze albo matce, zademonstrowałbym miłość do nich w formie zemsty, a nie klękając przed nim. Jak widzieliśmy, Maker taki nie jest.

Arianna przeczuwała, co teraz nastąpi, i wierciła się niespokojnie.

– Kogo Maker nienawidzi najbardziej na świecie? –

zapytał nagle Teornis.

– Jeszcze dziesięć dni temu powiedziałabym, że Imperium, a teraz, że chyba ciebie – odparła Arianna, sprawdzając, jak bardzo może być z nim szczera.

– O nie, nie, nie. Imperium to zawsze Imperium –

upomniął ją Teornis. – Ostatnie wydarzenia dlatego tak bardzo go poruszyły, bo odwracają uwagę od niego.

Ostatecznie chce mieć w nas sojuszników. Dlatego będzie kluczyć i kombinować, żeby do tego doprowadzić, zamęczać nas raz za razem tą swoją śpiewką o wspólnym wrogu.

Nienawidzi Imperium znacznie bardziej niż nas, i to nie bez powodu. Osowcy to bardzo nieprzyjemni ludzie, i do tego o gorszych manierach niż żukowcy. Ale... ale oddał się w ich ręce z własnej woli, by ratować ciebie.

– To było dawno.

– Och, moja droga, nie. Nie tak dawno. I zrobi to jeszcze raz, jeśli zajdzie taka potrzeba. Dla ciebie, moja słodka, wyłącznie dla ciebie. Jeśli Stenwold Maker okaże się niepragmatycznym człowiekiem i nie będzie chciał się poddać, trzeba będzie zagrozić tym, co jest mu najdroższe: utratą ciebie –

wyłącznie ciebie. Jeśli do tego dojdzie, odgrywaj swoją rolę. Wiem, że potrafisz.

Ajak daleko ma się posunąć ta farsa? Czy będę musiała grać nawet wtedy, gdy będziesz mi podrywał

gardło? Ale. Teornis najwyraźniej nie uważał, że prosi o coś nadzwyczajnego. Dla niego był to zwykły podstęp.

– Oczywiście – odpowiedziała.

– Oczywiście – powtórzył. – Ale może do tego nie dojdzie. Chociaż sytuacja może wymagać od ciebie jeszcze więcej. – Teornis pokręcił głową i na jego twarzy odmalował

się autentyczny żal. – Wolałbym cię do tego nie zmuszać i przysięgam, że zrobię wszystko, by załatwić to w inny sposób, ale będę z tobą całkowicie szczerzy: może dojść do tego, że będziesz musiała go zabić.

Milczała, z całych sił starając się zachować kamienną twarz.

– Wiem, że to nieeleganckie – powiedział, najwyraźniej sądząc, że wie, co sobie pomyślała.

Mówiłam Stenwoldowi, że do tego nie dojdzie. Ze prostackie wyeliminowanie oponenta jest zdaniem aristoi pozbawione taktu i najpierw będą próbowali mu wszystko wydrzeć. Ale jak lepiej pokazać człowiekowi, że nic mu już nie zostało, jeśli nie zadając mu śmierć ręką najdroższej mu osoby? O tak, to będzie dopiero taktowne zachowanie.

– Wolałbym, żebyś się nie ujawniła w tak barbarzyński sposób – cedził słowa Teornis. – Ale okoliczności mogą tego od ciebie wymagać, więc ostrzegam cię zawczasu. Poza tym Stenwold Maker nie jest jedyną osobą, która powinna poczuć obawę przed zastosowaniem przemocy podczas naszych negocjacji.

– Stenwold nigdy by...

– Och, jestem przekonany, że on sam nie – zgodził się Teornis. – Ale chcę, żebyś mu przystawiła ostrze do gardła, gdyby ktoś z jego grupy odważył się na coś takiego. – Widząc jej minę, znów się uśmiechnął. – Wiem, jak się teraz czujesz, moja droga, . ile być może przebywałaś wśród nich zbyt długo. Zapomniałaś, jak to jest być sobą. Kiedy twoja żuczka wylinka spadnie z ciebie, ukaże się światu prawdziwa pajęczycza. I zapewniam cię, że nie będziesz musiała się już dłużej przejmować takimi głupstwami.

Helmess wrócił do domu później, niż planował, z powodu pewnej nieprzyjemnej sprawy. Honoriusz Bellowern wezwał go kategorycznie na kolejne spotkanie. Tym razem zachowanie tego imperialnego żukowca było dalekie od przebiegłości, a jego zwykła buta niemal zniknęła pod falą niezwykłego podekscytowania dobrą nowiną.

– No to jak, jesteś gotowy przyjąć korzyści z faktu bycia przyjacielem Imperium? Może to nastąpić szybciej, niż się spodziewasz – oznajmił w chwili, gdy zostali sami.

– Masz na myśli tę sprawę z pająkowcami? –

odpowiedział Helmess, starając się, by w jego tonie słychać było wszystkie pokłady lekceważenia, jakie posiadał. W

rzeczywistości sądził, że zatarg między Stenwoldem i rodem Aldanraelich bardziej sprzyjał planom jego niż Imperium, ale zachował to wyłącznie dla siebie.

– Chcemy, żebyś wyświadczył nam kolejną przysługę, mistrzu Broilerze – zaczął Bellowern, czego Helmess oczywiście się spodziewał. – Chcemy, żebyś podsycał

płomień tam, gdzie możesz. Wygrażaj pięścią w stronę Ziem Pająkowców. Uściśnij dłoń Stenwolda Makera i nazwij go prawdziwym patriotą.

Na twarzy Helmessa wykwitł kwaśny uśmiech, który nie wymagał od niego zbyt wielkich umiejętności aktorskich.

– Już zacząłem.

– Twoja inicjatywa została dostrzeżona – padła protekcyjna odpowiedź Bellowerna. – Nie mam jeszcze oczywiście zwrotnych rozkazów, ale spodziewam się ich, bo kiedy tylko w porcie pojawią się obce żagle, nasza armia będzie gotowa, by przywrócić Mynę i tak zwane miasta przymierza na łono Imperium. Krwawiące serce Kolegium będzie zbyt zajęte walką o własną wolność, którą podobno tak kocha. Po tym przejmemy Helleron, a następnie, szczerze mówiąc, Niziny. Pod koniec roku wypuścimy na Sarn dwie pełne armie, a ty i ja będziemy spożywać w Amphiphosie wystawne posiłki pod czarno-złotym proporcem. No i co, jak to brzmi? Dobrze, co?

Uśmiech Helmessa był szeroki i szczery, ale myśli, które ukrywał, już tak optymistyczne nie były: *Och, nie masz pojęcia, ilu uczestników włączyło się do tej gry, mistrzu Bellowernie. Czarno-złoty może czekać spora niespodzianka, jeśli chodzi o wybrzeże.*

– Powiedz po prostu, co mam zrobić – zaproponował

jednak, zanim wyruszył do domu, na spotkanie kolejnego swego nieświadomego niczego narzędzia.

Danaen wkroczyła do salonu Helmessa pewna siebie jak zdobywczyni świata, ale modliszkopodobni wcale nie byli tak trudni do rozgryzienia, jak myśleli, że są. Gdyby była pająkowcem czy ciemcem, nie przejrzałby jej na wylot. Teraz zaś na jej twarzy widać było zżerającą ją ciekawość. Może i nie była specjalistką w dziedzinie polityki Kolegium, ale bez wątplenia wiedziała, że Helmess i Stenwold nie należeli do najlepszych przyjaciół.

Odesłał Elytrię na czas rozmowy, ponieważ nie chciał

ryzykować obecności u swego boku osoby tak bardzo podobnej do pająkowców. Danaen splotła ręce i spoglądała na niego z pogardą. *Pięćset lat temu taki wyraz twarzy u przedstawiciela twojej rasy byłby całkowicie uzasadniony, pomyślał. Ale teraz jesteś wyłącznie kiepskim żartem, mimo to wykorzystam cię w towarzystwie.*

– Poprosiłem o spotkanie z tobą, bo wiem, że współpracujesz z mistrzem Makerem, a on bardzo rzadko mnie słucha – zaczął Broiler przymilnie.

Wojowniczką tylko patrzyła na niego zuchwale, więc przybrał wygląd zatroskanego, być może nieco nieporadnego męża stanu, ponieważ wiedział, że za takiego go uważała, i ciągnął:

– Wszyscy byliśmy niezwykle zaskoczeni, kiedy powiedział nam o podstępie pajakówców. W końcu to jego ludzie zaangażowali Teornisa i ród Aldanraelich w wojnę z Vekiem i Imperium. – Przyglądał się jej uważnie, nie zrzucając dobrodusznej maski. Nic nie wskazywało na to, by jakieś pogłoski dotarły do niej – zresztą zgodne z prawdą – o jego współpracy z agentami Imperium. *Ależ oczywiście, modliszowcy nie zniżali się do słuchania plotek i ja teraz to wykorzystam.* – Wielu z nas niepokoi się tym, jak mistrz Maker sobie teraz poradzi.

Jej szyderczy grymas na twarzy pogłębiał się z każdą chwilą – bez wątpienia uznała, że jest przeciwny wojnie.

Pozwolił jej w to uwierzyć, po czym po chwili dodał:

– Wielu członków Zgromadzenia obawia się, że po tym wszystkim, jak już krew zostanie przelana, Maker znów wykona woltę i wlezie pajakówcom do wyra, jakby nic się nie stało.

Uniosła brew.

– To nie ma sensu. Po co by więc wam mówił o tej hucpie? Czy któryś z was, tłustych żukowców, dowiedziałby się o tym, gdyby nie otworzył wam oczu?

– Cóż, możliwe, że nie – Helmess starannie dobierał

słowa. – Ale przecież mistrz Maker osiągnął swój obecny status właśnie dzięki wojnie, która była przedmiotem naszych częstych sporów. A ja nie jestem taki pewien, czy teraz też uda mu się wyciągnąć nas z kolejnej. Stał się...

człowiekiem kompromisu. Wiesz, co się działo podczas oblężenia kilka lat temu?

W odpowiedzi zobaczył powściągliwe skinięcie głową.

– No to musisz wiedzieć, że Maker podlizuje się obecnie Vekkeńczykom.

Wiedziała – zobaczył to w jej oczach – ale i tak zasiał w niej ziarno zwątpienia. Nie powiedziała nic, lecz jej postawa zmieniła się – zrezygnowała z rezerwy i widać było, że jest zaciekawiona.

– A więc wplątał nas w kolejną wojenkę. Cóż, jeśli to, co mówi o pajakówcach, jest prawdą, być może ten konflikt ma jakieś uzasadnienie. Martwię się jednak, podobnie jak inni, tym, że teraz, kiedy znów znalazł się w centrum uwagi, dogada się z Teornisem, po czym wszystko wyciszy. –

Helmess uniósł pulchny palec. – I co to rozwiąże? Czy przestaną nas wykorzystywać? Raczej w to wątpię. Nie jest mi łatwo przyznać, ale pajakówcy to szczywana banda. Nie chciałbym się z takimi

układać. Nigdy nie wiadomo, co z tego może wyjść.

Pokiwała głową, a on pomyślał: *Uprzedzenia to taka piękna sprawa.*

– Oczywiście twój lud zna pajakówców. Kiedy usłyszałem, że bierzesz w tym udział, mówię ci, zobaczyłem iskierkę nadziei, że Maker maksymalnie wykorzysta wasze umiejętności w mocnym, twardym uderzeniu na pajakopodobnych, żeby pokazać im, że z nami nie ma żartów.

Ale nic takiego się nie stało, co więcej, złożył to swoje wielkie oświadczenie i niektórzy z nas martwią się, czy on aby nie skapcaniał.

Przekrzywiła głowę i przyglądała mu się z ukosa.

– Co chcesz mi powiedzieć?

– Czy gdybyś miała okazję, zabiłabyś pajakowego lorda?

– Oczywiście – odparła bez namysłu.

– Ale, jak sądzę, Maker tego nie chce, bo już wydałby ci odpowiedni rozkaz. W końcu Teornis jest tu, w Kolegium. –

Jakże to musi ją irytować. Pewnie nawet wyczuwa jego zapach z odległości dwudziestu ulic. Tak, jej dłoń wędruje do rękojeści na samą myśl o nim...

– On się... zastanawia – odpowiedziała tylko Danaen, ale mowa jej ciała zdradziła więcej, niż chciała.

– No dobrze, niech się zastanawia. Myślenie ma przyszłość. – I Ielmess wzniosł ręce w geście rozpaczony, zaczynając dramatyczną część spektaklu. – Powiedz mi, proszę, czy moje obawy są uzasadnione? Czy on ma zamiar się z nim spotkać?

– Może. Nad tym się właśnie zastanawia – odparła wojowniczką. Przyszła tu zakuta w zbroję nieufności, ale on ściągał ją z niej kawałek po kawałku. – Nie ma jednak dobrego miejsca na spotkanie. – Znow jej usta wygięły się w szyderczym uśmiechu. – Gdyby nie to, bez wątpienia już by się z nim spotkał.

– A może właśnie tak należałoby postąpić? – zauważył

Broiler szczerze.

Zaskoczona Danaen zmarszczyła czoło, ale on ciągnął:

– Jeśli spotka się z pajakowcem gdzieś na osobności, to kto będzie wiedział, co się tam właściwie stało?

Spoglądała na niego bez zrozumienia i stwierdził, że musi rozwinąć myśl:

– Gdzieś na osobności, gdzie nikt się nie wtrąci –

kontynuował. – Gdzie pajęczy agenci i ich bestie nie będą mogli, powiedzmy, przeszkodzić. Jeśli na tym spotkaniu nikt nie będzie miał zamiaru bronić interesów miasta – i zostaniemy sprzedani Ziemiom Pająkowców – to może śmiały cios miecza mógłby osiągnąć znacznie więcej.

Wyglądało na to, że nie jest świadoma, iż nakłania ją do nieprawości, albo może wypowiedział tylko jej myśli kłębiące się w głowie. Nie miał bowiem wątpliwości, że nie dostrzegą w tym zdrady, gdyż dla niej, podobnie jak dla wielu modliszowców z Felyalu, nienawiść do pająkowców była obowiązkiem i wszystko, co stawało jej na drodze, było brane za złe. Obserwował ją bacznie, starając się zinterpretować jej reakcję. Na koniec powiedziała:

– Być może, ale to się nie zdarzy. Nie ma takiego miejsca.

I osiągnąłem swoje.

– A gdybym ja takie znalazł?

Spojrzała na niego przenikliwie i było to prawdziwie przerażające. *Jej ofiary musiały czuć to samo, uzmysłowił*

sobie. Wzrok wojowniczkę miał ostrość brzytwy.

– Gdzie? – zapytała, a on jej powiedział.

W odpowiedzi obdarzyła go szczerym modliszkowym uśmiechem.

Stenwold bardzo długo zastanawiał się nad propozycją, przyglądając się jej pod każdym kątem. Teraz miał przy sobie jedynie swoich najlepszych ludzi. Nie wezwał Elder Padstock, bo nie chciał plugawić jej lojalności meandrami polityki, ani Jodry'ego Drillena, bo wiedział, że i tak musi znosić silne naciski w Zgromadzeniu. Wciąż liczył się z jego zdaniem, lecz teraz w jego słowach pobrzmiwały echa głosów innych członków Zgromadzenia.

Arianna i Tomasso – tylko na ich radę mógł liczyć.

Dlatego zebrali się we trójkę w jego gabinecie, by wysłuchać propozycji Danaen.

– Na statku? – zastanawiał się Stenwold. – Radzisz, by spotkać się na statku?

– Moja rada jest taka: pozwólcie mi zabić tych pająkowców. Nie spotykaj się z nimi – powtórzyła Danaen twardo. – Skoro jednak musisz, spotkaj się z nimi gdzieś, gdzie nie będą mogli zastawić pułapki, gdzie nie będzie niespodzianek. Na statku, dużym, płaskim transportowcu.

Wy płyn na pełne morze.

Wyślemy tam kogoś, może twoich małych muszców, żeby sprawdzili, czy nie ma ukrytych zbirów. Gdy upewnimy się, że jest czysto, zawieziemy cię tam łódką z wiosłami –

ciebie i innych. Niech tak wygląda to spotkanie, skoro musi do niego dojść. Albo daj mi go zabić.

Maker zerknął na Ariannę.

– Co myślisz?

Nie spieszyła się z odpowiedzią, co dodało mu otuchy.

Dobrze jest mieć wsparcie w rozsądnej osobie.

– Myślę, że to niezły pomysł – rzekła w końcu. –

Teornis też powinien go zaakceptować. Biorąc pod uwagę przyczynę sporu, jest to najodpowiedniejsze miejsce.

Stenwold zwrócił się w stronę Tomassa. Muszec potaknął głową.

– Trudno jest podkraść się do kogoś na otwartym morzu w biały dzień – zauważył. – Żagiel widać na wiele mil, a nawet niski statek z silnikiem można zauważyć z takiej odległości, że zdąży się podjąć jakieś działanie. Zawieziemy cię *Wolnym od Pływów*, mistrzu Makerze, ponieważ sam wiesz, że niewiele statków da radę go prześcignąć czy zagnać na brzeg. Jeśli pajęczy lord będzie próbował ściągnąć większe siły, dostrzeżemy je i wywieziemy cię, zanim się tam zjawią.

– W takim razie tak właśnie zrobimy – oznajmił

Stenwold i poczuł wielką ulgę, że w końcu zmierzy się z Teornisem bezpośrednio. *Znam go długo, mimo to nie rozumiem, dlaczego ryzykował tak wiele w zamian za tak niewiele. Muszę to najpierw pojąć, a potem być może uda nam się znaleźć sposób na rozwiązanie tego sporu bez walki.*

– Ja zapewnię eskortę – zadeklarowała Danaen.

Maker zmarszczył czoło, przypominając sobie porywczość modliszki i jej kpiny ze słów pająkowca.

– Może wezmę ciebie i ze dwóch twoich ludzi, a także kilku członków oddziału Padstock. Czyli ja i, powiedzmy, osiem osób, to powinno się udać. Teornis zabierze z sobą tyle samo i tak samo najpierw sprawdzi statek. Nie potrafię wymyślić uczciwszych warunków.

Danaen była wyraźnie zawiedziona, ale nie narzekała.

Stenwold zdecydowanie wolałby zjawić się tam bez modliszkopodobnych za plecami – choć była to dziwna myśl, wzięwszy pod uwagę jego dzieje. Jeśli jednak okaże się, że to pułapka, jeżeli negocjacje zostaną zerwane, na nikim innym nie mógłby polegać tak jak na ludziach Danaen. Będą gotowi na śmierć nawet nie dla niego, ale w imię starej nienawiści do pająkowców.

– Poślemy mu wiadomość – postanowił. – I mam nadzieję, że Teornis przyjmie warunki.

– Nie wiem, dlaczego nie miałyby się na to zgodzić –

zawyrokowała Arianna, ale dwuznaczność w jej głosie umknęła uwagi jej kochanka.

PIĘTNAŚCIE

Morze było lekko wzburzone, a kadłub *Wolnego od Pływów* trząsł się i podskakiwał, sunąc przez fale do celu.

Stenwold stał na dziobie zatopiony w ponurych myślach, a obok niego na relingu siedział Laszlo, dotrzymując mu towarzystwa.

Ktoś znalazł odpowiedni statek na spotkanie z Teornisem i skoro on sam uznał, że się nadaje, nie było sensu tego potwierdzać. Znał tę szeroką barcę zacumowaną tam, skąd nie było już widać portu Kolegium. Był to jeden z okrętów zaopatrzenia Vekkeńczyków, wykorzystywanych przez nich podczas ostatniego oblężenia, jedyna jednostka ocalała z flotyli płaskodennych łodzi, stanowiących część ich floty inwazyjnej. W przedziwny sposób uniknęła spalenia, zatopienia czy wywiezienia i teraz miała spełnić niezwykłą funkcję.

Stenwold pamiętał, iż żaglowce, które ją zdobyły, rozbiły też okręty wojenne Veku oraz przerwały oblężenie, a dowodził nimi Teornis z Aldanraelich. Jakże się Maker cieszył na widok tego człowieka, bo pająkowiec był

bohaterem, najbardziej lubianym obywatelem honorowym Kolegium. A teraz... *Jak mogliśmy dopuścić, żeby do tego doszło? Jak on mógł dopuścić? I dlaczego, na młot i cęgi!*

– Coś nie tak, misz-Maker? – zapytał Laszlo.

Wiele, bardzo wiele rzeczy jest nie tak.

– Nie, zamyśliłem się tylko – odparł mało przekonująco.

– Powiedz mi, dlaczego zakotwiczyliście ją właśnie tam?

– To krawędź szelfu, misz-Maker – odparł Laszlo, ale zaraz zauważył, że Stenwoldowi nic to nie mówiło. – Chodzi o to, że morze nie jest takie samo wszędzie. Czasem jest głębsze, kiedy się płynie dalej.

– To chyba jasne – stwierdził żukowiec, wzruszając ramionami, aby skórzany rzemieślniczy fartuch lepiej się na nim ułożył.

– No tak, oczywiście. Ale morze nie jest jak czara wina.

Nagle robi się bardzo głębokie, jednym skokiem. Trochę dalej i przy całym zapasie łańcucha, jaki jest na statku, nie dałoby się zarzucić kotwicy. Tam właśnie zaczyna się prawdziwa głębia, na którą statki nie wypływają. Chociaż my oczywiście tak. Jeśli będziemy musieli zniknąć szybko, to szef pewnie zawróci nas na otwarte morze i będzie patrzył, czy pająkowcy zaryzykują pójdzie naszym kursem na wprost Batoga i morza porośniętego wodorostami. Ja postawiłbym na to, że nie.

– Mijmy nadzieję, że do tego nie dojdzie – stwierdził

Stenwold i zerknął za siebie, na pokład *Wolnego od Pływów*, na którym było dzisiaj sporo ludzi.

Kręciła się po nim Elder Padstock wraz z tuzinem swoich ludzi w hełmach i półpancerzach, z pukołukami co dopiero pobranymi z kolegiальной zbrojowni. W głębi bez wyraźnego planu wałęsali się modliszowcy. Danaen mogła zabrać jedynie ich garstkę, ale gdyby coś poszło nie tak, zapewni mu odsiecz z piekła rodem. Stenwold był pewien, że na pokładzie Teornisa znajduje się jakiś pojętny z lunetą, i chciał, żeby jego marines byli widoczni, tak na wszelki wypadek. *No właśnie, na wszelki wypadek.*

– O, tam jest! – wskazał Laszlo i Stenwold powiódł

wzrokiem za jego palcem.

Jasny żagiel zbliżał się pod kątem do ich kursu, więc żukowiec wyjął lunetę i dokładnie obejrzał sobie jednostkę Teornisa.

Kształtem przypominała *Prawdziwe Ostrze*, choć była mniejsza i chyba szybsza. I tak długa jak *Wolny od Pływów*.

Maker zauważył też, że Teornis również wzmocnił swoją załogę zbrojnymi, choć z tej odległości nie mógł stwierdzić, jaki kaliber wojowników zabrał.

– Jesteśmy szybsi – zauważył Laszlo, najwyraźniej czytając Stenwoldowi w myślach. – Jak przyjdzie co do czego, możemy pływać wokół nich w kółko. Zajmowaliśmy już większe statki niż ten, i to z mniejszą ekipą niż ta, jaką mamy dziś na pokładzie.

– Dobrze to słyszeć – rzekł Maker słabym głosem, zastanawiając się, czy owe większe statki należały do kupców, którzy w desperacji próbowali umknąć pirackiej *Krwawej Musze*. – Kto będzie sprawdzał teren?

– Ja i Solli oraz Fernaea – odparł Laszlo. – I ja jako jeden z ośmiu ludzi wejdę z panem na pokład, jeśli nie ma pan nic przeciwko temu. W końcu jestem najszybszy. W razie kłopotów wrócę na *Wolnego od Pływów* i nie dam się zestrzelić do wody.

– Szybki jesteś?

– Tak, mógłbym zostać posłańcem – potwierdził Laszlo.

Podobnie jak Teornis płynęli prędko w stronę barki.

Stenwold zerknął przez lunetę raz jeszcze i zauważył

wypolerowane broje kesońskich najemników oraz innych, z długimi łukami, których trudniej było rozpoznać. Nagle obraz przed oczami mu zawirował. Opuścił więc lunetę i zobaczył, że pajęczystatek podpływa bliżej, a jego załoga refuje żagiel.

– Czas zarobić na swoje utrzymanie – stwierdził Laszlo, odbił się od relingu i śmignął nad pokładem do głównego masztu, gdzie czekało na niego dwoje członków załogi *Wolnego od Pływów*. Jeden z nich podał mu krótki łuk i kołczan. Przypasał je i pomachał Stenwoldowi, a potem uśmiechnął się szeroko, choć jego towarzysze zachowali powagę.

I słusznie, bo nie wiemy, co tam zastaną, pomyślał

żukowiec. Nie podejrzewał, żeby Teornis ukrył swoich ludzi na barce. Muszcy mają bystre oko, a w wyścigu do portu czy też po bezkresie otwartego morza *Wolny od Pływów* z łatwością zdystansowałby jednostkę pająkowców. Ale jeśli Teornis byłby jednak nieco zbyt pewny siebie lub wykazałby się zaskakująco małą jak na siebie subtelnością działania, wtedy Laszlo i jego towarzysze mogliby uruchomić maszynę, której sami nie potrafiliby powstrzymać. Maker przypomniał

sobie sztukę, dzięki której Danaen wtopiła się w otoczenie tak, że nikt nie mógł jej dostrzec. Pająkowcy też ją znali, był

tego świadom. *Ale Teornis nie ryzykowałby aż tak, jeśli postanowiłby uciec się do pomocy skrytobójcy. Muszcy bowiem są niezwykle dociekliwi.* Mimo to czuł ucisk w żołądku, kiedy trójka nieustraszonych zwiadowców wzbiła się w niebo z pokładu *Wolnego od Pływów* i poszybowała nad wzburzonymi falami w stronę barki.

Gdy zatrzymali się nad pokładem i wylądowali, wyglądali jak drobinki i Stenwold ujrzał przez lunetę, jak zatrzymują się na chwilę, napinając cięciwy, następnie sprawnie, jak prawdziwi zawodowcy, zaczęli przeczesywać górny pokład. A potem zniknęli w ładowniach.

Była to długa, wypełniona nerwowym oczekiwaniem chwila, podczas której żukowiec omiatał lunetą statek i przestępował z nogi na nogę, świadom obecności za swoimi plecami chmary uzbrojonych modliszowców, którym wystarczała byle wymówka, żeby rzucić się do walki. *Modlę się, żeby żadnej nie znaleźli.*

Coś poruszyło się koło jego łokcia i oderwawszy oko od lunety, przekonał się, że to Tomasso. Brodaty muszec do tej pory stał obok Gude przy sterze, a teraz rozciągnął swój teleskop, ale nie taki kieszonkowy, jak Stenwolda, tylko prawdziwy, marynarski, w połowie tak długi jak sam muszec, i mruknął:

– Powinien pan wiedzieć, że teraz ja jestem czwartym Krwawą Muchą – od wczesnych godzin rannych.

Stenwold dopiero po chwili zrozumiał sens tych słów.

– Najszczęśliwsze wyrazy współczucia – powiedział.

Tomasso skinął głową.

– To jednak nie zmienia naszej umowy, mistrzu Makerze. Po prostu chciałem panu o niej przypomnieć.

Najwyższy czas, by moja rodzina zaczęła cieszyć się poważaniem co najmniej przez jedno pokolenie czy dwa.

– Mam nadzieję, że zna mnie pan na tyle i wie, iż memu słowu można ufać – zauważył Stenwold.

– Myślę, że tak – stwierdził Tomasso. – Tylko widzi pan, że należy do ludzi, którzy za wszelką cenę chcą wyprzedzić swoją śmierć.

– Cóż, jeśli o to chodzi – zaśmiał się Maker nerwowo –

to na wszelki wypadek zostawiłem wskazówki dotyczące zakończenia spraw własnych i precyzyjne instrukcje w odniesieniu do pańskiej sprawy. Proszę mi wierzyć, będziecie pod tak dobrą opieką jak moja.

– Ja tylko pilnuję naszych interesów, nic innego –

zaznaczył Tomasso rzeczowym tonem. – Ach, oto nasi śmiałkowie.

Przystawił okular do oka i Stenwold poszedł w jego ślady. Muszcy znów wyszli na górny pokład, a ich postacie były malutkie nawet w soczewkach lunety. Laszlo wskoczył

na reling barki, skąd teatralnym gestem zaczął machać białą chustą do pająkowego statku, kończąc spektakl głębokim ukłonem. Tomasso parsknął.

– Chłopak najwyraźniej szuka guza i znajdzie go, jeśli wystawi tyłek lordowi pająkowców.

Muszcy wciąż stali na relingu barki, na coś czekając.

Maker skierował spojrzenie w stronę statku Teornisa i zobaczył, jak uniosły się z niego trzy postacie i również poleciały ku barce. Teraz cała procedura sprawdzania miała być powtórzona przez ludzi pająkowca. Pewnie nawet vekkeńscy majtkowie nigdy nie przeczesali tego statku tak dokładnie.

– Och, paskudna sprawa – zamruczał Tomasso.

Kontrolerami Teornisa nie byli jednak muszcy, jak spodziewał się Stenwold. Po dokładniejszych oględzinach stwierdził, że to ważkowcy w lekkich zbrojach z chityny i drewna i to właśnie oni nosili fantastycznie rzeźbione długie łuki. Nie byli to cywilizowani i wytworni obywatele Wspólnoty, z którymi Maker miał sporadyczne kontakty podczas wojny, lecz mieszkańcy jakiejś pajęczej satrapii, którzy dostatecznie już zdziczeli. Żukowiec coś słyszał o tym, że za dni wiedzy, jeszcze przed rewolucją ze Wspólnoty zaczął

się swoisty exodus, gdy niezadowolonych wielmożów wraz z ich ludźmi wypędzano z kraju. I tak ważkowcy wspierali Teornisa, kiedy przełamywał vekkeńskie oblężenie, ale też prowadzili bardziej osiadły tryb życia, na przykład nad Exalsee, gdzie utrudniali morski transport towarów Solarneńczykom.

Stenwold wolałby, żeby Teornis wybrał sobie gorszych żołnierzy. I stwierdził, że niepokój Tomassa

był uzasadniony, gdyż wążkowcy byli równie zwrotni w powietrzu jak muszcy i niemal tak sprawni w walce jak modliszowcy.

– Tu może się zdarzyć praktycznie wszystko –

zamruczał brodaty szyper. – A jak się już zacznie, to na całego. I nie będzie można tego zatrzymać.

– Zapewne – zgodził się Maker, zastanawiając się, co sam czuje na ten widok, i zamiast strachu odnalazł w sobie przyływ emocji jak wtedy, gdy wypływał w pierwszy rejs z muszcami. *Kiedyś, zanim stałem się szacownym obywatelem, wiodłem właśnie takie życie. A gdy w końcu okazało się, że mam rację w sprawie Imperium, niemal przyplącałem to utratą resztek energii.* Poczł dziwną tęsknotę za czasami, gdy stawał z przeciwnikami oko w oko.

Och, Tisamonie, cóż ja bym dał, żeby mieć cię znów u swego boku, westchnął, choć żywił jeszcze nadzieję, że tę lukę po przyjacielu wypełni Danaen.

Usłyszał za plecami czyjeś kroki i odwróciwszy się, ujrzał Ariannę. Była w stroju bitewnym – skórzanym kaftanie z krótkim łukiem w sajdaku na plecach – i wyglądała prawie tak samo jak wtedy, gdy stawiała się, by walczyć u jego boku przeciwko Vekkeńczykom. Uśmiechnął się do niej blado.

– Łódź jest gotowa – oznajmiła. – Wypłynie, kiedy skończą.

– Już wracają – zauważył Tomasso.

I rzeczywiście wążkowcy lecieli na swój statek, sprawdzwszy wszystko dość pobieżnie. *Czy Teornis próbuje mi coś powiedzieć? – zastanawiał się Stenwold. Czy kazał im wracać szybko, żeby pokazać, że mi ufa? A może lepiej im wychodzi zabijanie niż sumienność w prozaicznych czynnościach?*

Po chwili również Laszlo i jego towarzysze wystartowali w stronę *Wolnego od Pływów*. Żukowiec zaczerpnął głęboko powietrza i ruszył ku łodzi zawieszanej na burcie, którą za pomocą bloków mieli opuścić na wodę dwaj pojętni członkowie załogi. Jego delegacja czekała w pogotowiu –

Elder Padstock oraz dwójka jej ludzi pod bronią, a także Danaen wraz z dwójką swoich, uzbrojonych w miecze, łuki, kolce na przedramionach, a także właściwą modliszowcom żądzę krwi.

Stenwold dołączył do nich z Arianną u boku, a po chwili wylądował między nimi Laszlo, co wywołało na twarzach modliszowców grymas irytacji.

– Wiecie, co mamy zrobić – zwrócił się do nich Maker.

– Miejcie oczy i uszy otwarte, a jak zobaczycie, że coś jest nie tak, od razu krzyczcie. Nie będziemy ryzykować. Nie róbcie też niczego dopóty, dopóki druga strona sama nie zacznie albo nie wydam takiego rozkazu. Jeśli dzisiaj ma się polać krew, to nie chcę, żebyśmy to my zaczęli.

– Tak jest, mistrzu wojny – wyrwała się Padstock.

– No to bierzemy się do roboty – rzekł i ostrożnie zszedł

do chybotliwej łódki.

Dołączali do niego pojedynczo, a modliszowcy Danaen od razu złapali za wiosła. Ostatni zszedł Laszlo, którzy przycupnął na dziobie, kiedy opuszczano łódkę na fale.

Trzymał łuk w pogotowiu i wyglądał jak figurka jakiegoś bożka wojny.

Modliszowcy zaczęli wiosłować, a Stenwold ponownie wyciągnął lunetę i obserwował wodowanie łódki przeciwnika.

Była wspanialsza, szersza, a sam pajęczy lord był wyraźnie widoczny na jej rufie. *Pod warunkiem, że to on, a nie jakiś podobny krewny*, przysłała mu do głowy nieprzyjemna myśl.

Z tej odległości jednak nie był w stanie ustawić ostrości lunety na twarzy. *Przynajmniej jedna korzyść wynika z zatrudnienia ważkowców. Gdyby to byli przedstawiciele jakieś rasy pojętnej, nawet muszcy, mogliby zamontować na statku ładunki wybuchowe czy zapalające. Powinienem dziękować za niepojętych wrogów!*

Zbliżali się do barki – masywnej jednostki o małym zanurzeniu. Jej pokład wydawał się tak bliski wody, że każda większa fala mogła się przelać przez reling. *Na młot i cęgi, jak pogoda się pogorszy, to jeszcze nabierze wody i zatonie.*

Czyż nie byłaby to ironia losu – Teornis i ja wczepieni w jedną deskę pośródfal?

Laszlo uniósł się na skrzydłach, zanim dziób łódki dotknął barki. Wciągnął na pokład drabinę sznurową, związał ją i zrzucił towarzyszom. Danaen stała w łodzi, utrzymując równowagę na falach bez problemu, po chwili jednak wzleciała wraz ze swymi ludźmi w powietrze, podczas gdy Stenwold przywiązywał szalupę. *To było mądre posunięcie, że ich zabrałem*, pomyślał, ciesząc się z umiejętności lotniczych modliszowców. W tej kwestii miał

nieprzyjemną świadomość własnej ułomności – statek mógł

w każdej chwili zmienić się w pływającą pułapkę, a rozwierająca się pod nim porażająca głębina pochłonełaby na wieki wszelkie plany – jego i Teornisa.

Przegnął te myśli i zaczął się wspinać.

Przybył na miejsce pierwszy, więc wybrał rufę na swoje stanowisko. Padstock wraz z dwoma zbrojnymi z kompanii Przynależnych Markerowi stanęła za nim po bokach z bronią na ramionach. Stenwold patrzył, jak trójka modliszowców lokuje się po jednej stronie, zdecydowanie za daleko, niżby sobie tego życzył. Dłonie Danaen właściwie ani na chwilę nie opuszczały rękojeści mieczy.

Poczuł delikatne dotknięcie na ramieniu i uścisnął

przelotnie dłoń Arianny. Miała poważną minę, a nawet wyglądała na zdenerwowaną, ale była to

przecież naturalna reakcja. *Teornis należy w końcu do aristo i wiele musiało ją kosztować, by wystąpiła w przeciwnej frakcji.*

Laszlo zafurkotał w powietrzu, by spojrzeć za drugi reling, i już wracał do nich.

– Goście przybyli – oznajmił zwięźle i spojrział w górę, a Maker pomyślał, że pewnie brakuje mu takielunku, na którym mógłby przysiąść.

Po chwili dwóch ważkowców Teornisa opadło na pokład ledwo kilka metrów od nich. Gwałtowność ich lądowania wstrząsnęła niektórymi na tyle, że w dłoniach modliszowców błysnęła broń, a ważkowcy w odpowiedzi napięli lekko cięciwy łuków. Wszystko uspokoiło się jednak, gdy jeden z ludzi Teornisa spuścił drabinkę i na pokładzie pojawił się sam *aristoi*.

Wyglądał niczym tragiczny bohater ze sztuki dla wyższych sfer. *Nie*, Stenwold skorygował pierwsze wrażenie, *wygląda jak człowiek, którego zachowanie chcą naśladować aktorzy*. Miał na sobie długi kaftan z czarnego jedwabiu połyskujący srebrną nicią, której misterny wzór gęstniał, pełznąc w stronę mankietów. Na to włożył

imponujący pancerz kolczy, który wyglądał na lżejszy i wygodniejszy niż skórzany fartuch Stenwolda. *Załóżę się, że potrafi w tym pływać, jeśli trzeba*. I nagle pojawiła się inna myśl: *Doskonała kolczuga na jedwabiu, która może spowolnić pocisk?*

Opaska na głowie Teornisa skrzyła się czystym złotem, rozjaśniając jego twarz okoloną ciemnymi włosami i zarostem. Przy pasie nosił rapier z misternie skreconą gardą, a na lewej dłoni – ciężką rękawicę z wytłaczanej skóry, służącą do parowania ciosów w pojedynkach. Widać było nawet rękojeść sztyletu wystającą z cholewy jednego z wysokich butów.

Gdy wyszedł na pokład, za nim zaczęli lądować jego ludzie – dwóch ważkowców oraz czterech mrówców z Kesu z dużymi tarczami i gladiusami. *Nie mają pukoluków*, zauważył Stenwold.

Przynajmniej tutaj zyskał przewagę. Opanowało go nieznośne przeświadczenie, że zabierając Laszlo w roli posłańca i Ariannę jako doradczynię, bardzo ograniczył swoje możliwości, jeśli wszystko miało się zakończyć bijatyką.

– Lordzie Teornisie – powiedział, nadając swemu głosowi tembr znany z występów w Amphiphosie.

– Mistrzu Makerze – odwzajemnił powitanie pająkowiec.

Stenwold wyszedł naprzód, aż zrównał się z Danaen.

– Dziękuję, że zgodziłeś się ze mną spotkać.

– Dlaczego nie miałbym się spotkać ze starym przyjacielem? – odparł Teornis. – Choć ten ostatnio rzucił na członków mej rodziny bolesne oskarżenia.

– Rozmawiajmy szczerze, bo inaczej cała ta eskapada nie będzie mieć sensu – zripostował żukowiec.

– Spotkaliśmy się tutaj w obecności tylko tych świadków. Którzy notabene przysięgli nam posłuszeństwo. Skoro nie możemy otwarcie dyskutować, jaki jest cel tego spotkania?

Przez chwilę oblicze Teornisa nie odzwierciedlało żadnych odczuć, ale zaraz pająkopodobny uśmiechnął się promiennie.

– No to mów.

– Piraci pod rozkazami twojej rodziny plądrują statki Kolegium – zaczął Stenwold, lecz niemal od razu przerwał, bo Teornis uniósł dłoń. – Jeśli zaprzeczasz...

– To już nie są piraci, bo słuchają rozkazów, mistrzu Makerze – poprawił go Teornis.

– Dlaczego więc? Po co wydaliście im takie rozkazy?

– Nie jestem upoważniony, by wyłuszczać ci plany Aldanraelich, skoro sam nie potrafisz ich przejrzeć – odparł

Teornis obojętnym głosem.

– No i co dalej? Czy wypowiesz nam teraz wojnę na forum Zgromadzenia? Albo ja mam upublicznić dokumenty zabrane z *Prawdziwego Ostrza*? Czy utrzymujesz, że jego kapitan nie była członkiem waszej rodziny?

– Och, ależ była, Makerze. Była moją kuzynką, to Elleria Aldanrael. Zawsze zbyt śmiała i nieostrożna, niecierpliwa i mało rozsądna w kwestii postępowania z szyframi. Krótko mówiąc, głupia, i to w dwójnasób, bo wołała bawić się w kapitana piratów, zamiast doskonalić charakter na łądzie. Ale była członkiem naszej rodziny, a twoi siepacze ją zabili. –

Spojrzał na trójkę modliszowców z ledwo skrywaną nienawiścią.

– Zaatakowała obywateli Kolegium – uściślił Stenwold zły, że dał się zepchnąć do defensywy. – Czy nazywasz jej śmierć niesprawiedliwością?

Teornis potrafił uśmiechnąć się w taki sposób, że przy jego uśmiechu ostrza Danaen wydawały się tępe.

– Nie, Makerze, wcale tak nie twierdzą. Poniosła śmierć w konsekwencji swoich działań. Zginęła na skutek braku rozsądku. Ale tak czy siak należała do rodziny i była przedstawicielką żeńskiej linii Aldanraelich. Jej śmierć uruchomiła działania wykraczające poza sprawiedliwość żukowców. Twoi ludzie dyskutują bez końca o prawach, Stenwoldzie. Biadolą na temat wzajemnego poszanowania i humanitaryzmu. Ale nie ma żadnych praw. Należy ci się tylko to, co wytniesz sobie z życia mieczem lub zakłębem. Jeśli nasza armada spadnie całą swą siłą na wasze miasto, złamię waszą obronę, wyrznie żołnierzy, weźmie mieszkańców w niewolę. I tak, nie będzie to sprawiedliwe, ale świata to nic nie obejdzie. Sprawiedliwość przypomina piękne kwiaty hodowane przez twój lud. Nie przeżyje bez ciepłego pomieszczenia i podlewania.

– Czy tego właśnie chcesz? Kolegium w pętach? –

zapytał Stenwold, w duchu dodając, że zarówno Sarn, jak i miasta Ligi Starożytnych, a nawet Vek będą miały coś do powiedzenia, jeśli statki pająkowców przybiją do ich brzegu.

– Nie, oczywiście, że nie – odparł Teornis chyba naprawdę zirytowany, a nawet rozwścieczony – ale wiązesz mi ręce, Makerze. Mojej rodziny nie da się tak łatwo uspokoić. Choć może ty znajdziesz sposób, żeby ją udobruchać. Bo jeśli nasza armada podniesie żagle, to nic na świecie jej nie powstrzyma i przy tym flota, jaką poprowadziłem na Vekkeńczyków, będzie wyglądać jak garstka liści na wodzie. A obydwaj wiemy, co się stanie, gdy rzucimy się sobie do gardeł: zanim ze sobą skończymy, czarno-złoci znajdą się u progu Sarnu, a może nawet Seldisu.

– A więc twierdzisz – zaczął wolno Stenwold – że w zamian za to, iż w ciągu ostatnich sześciu miesięcy twoja rodzina splądrowała połowę statków Kolegium i zabijała naszych marynarzy, my powinniśmy posłać jej teraz jakiś wspaniały dar i błagać o wybaczenie, że ją uraziliśmy?

– Jak mówiłem, to jawna niesprawiedliwość, ale rozważ swoje położenie – odrzekł spokojnie Teornis.

– Ja mam wyjście z sytuacji – usłyszeli czyjś głos.

Była to Danaen. Stenwold zmarszczył brwi, nie wiedząc, co ma z nią począć, ale postanowił iść za ciosem.

– Moja modliszkowa wojowniczką chciałaby, abym wydał rozkaz pojmania cię lub zabicia – oświadczył. – Czy do tego właśnie zmierzasz?

– A czy ty sugerujesz, że to by coś rozwiązało? – zapytał

Teornis.

– Rozwiązałoby problem bieżący. I być może byłoby odpowiednio sugestywną wiadomością dla rodu Aldanraelich. Ale nie, to nie jest kurs, który chciałbym obrać.

Pamiętam, Teornisie, jak staliśmy po jednej stronie. Nigdy też nie oczekiwałem od ciebie niczego poza twoją przyjaźnią.

Lecz nie mogę stać bezczynnie, gdy moje miasto pada ofiarą... bezsensownych aktów przemocy na morzu. Cóż więc mam robić?

– Pozwól mi go zabić – podpowiedziała Danaen.

Teornis wydał wargi.

– Twoja modliszka zbyt ufa swoim umiejętnościom.

– To nie posuwa nas do przodu – uciął Stenwold. –

Przyszedliśmy rozmawiać, a nie walczyć.

Danaen splunęła.

– Mówiłam ci, Maker, jest tylko jeden sposób rozmowy z palmowcem. Jeśli ty nie pójdziesz krok dalej, ja to zrobię.

– Ani mi się waż! – warknął żukowiec.

Oczy zapłonęły jej buntowniczym blaskiem i wążkowcy Teornisa sięgnęli do kołczanów.

– Felyalczycy! W kupę! – zakrzyknęła Danaen.

Wszystko zamarło na chwilę w przestachu i nagle z burt na pokład zaczęło zeskakiwać pół tuzina uzbrojonych po zęby i ociekających wodą modliszowców. Wążcy natychmiast napięli luki, a mrówcy ustawili się wokół Teornisa, chroniąc go ścianą larcz.

– Dlaczego, Maker? Dlaczego wziąłeś modliszowców?! –

krzyczał pająkowiec. – Każda inna rasa panuje nad sobą, ma jakieś zasady moralne, ale modliszowcy? Tym samym poderżnąłeś gardło wszelkim szansom na pokój między nami.

Stenwold prawie go nie słyszał.

– Danaen! Co to ma znaczyć?! – zakrzyknął gromkim głosem świadomy tego, że straż Padstock uniosła broń do strzału.

– Nie będę się pytać żukowca o pozwolenie – rzuciła modliszka.

Jej ludzie rozstawili się teraz na pokładzie półkolem w luźnym szyku gotowi spaść na straż Teornisa. *A my postanowiliśmy obserwować niebo, żeby nikt nie nadleciał*

tu z odsieczką, pomyślał wściekły Maker. Kto by podejrzewał, że wrogowie mogą po prostu pod płynąć?

– A co z honorem modliszowców?! – krzyczał dalej. –

Podobno tak go sobie cenicie? Nie podejrzewałem, że dopuścicie się takiej zdrady!

Spojrzenie, jakim obdarzyła go Danaen, ociekało jawną kpina.

– Twój przyjaciel modliszowiec był cholernym zdrajcą, rozplodnikiem ohydy – zasyczała do niego. – Niech ci się nie wydaje, że nas znasz, żukowcu.

Stenwold musiał przegapić kolejny sygnał – tym razem nie modliszkopodobnej, lecz samego Teornisa. Zorientował

się dopiero wtedy, gdy poczuł zimne ostrze sztyletu przystawione do gardła i czyjś mocny uchwyt. Pomyślał, że pojmał go któryś z modliszowców, ale w tej chwili usłyszał

szept Arianny:

– Wybacz.

– Niech nikt teraz się nie rusza! – zakrzyknął Teornis. –

Modliszowcy chowają miecze do pochew, a reszta niech wyceluje swym żelastwem w pokład. A skoro mowa o sprawiedliwości, Makerze, to twoi ludzie mają duże problemy z jej przestrzeganiem.

Stenwold patrzył na niego uparcie, bo gdyby odwrócił

głowę, poczułby większy ból niż od cięcia sztyletem.

Spodziewał się pogardy w jego oczach, że człowiek, którego wyznaczył sobie za partnera do tańca, dał się nabrać na najstarszą sztuczkę na świecie, ale z zaskoczeniem stwierdził, że błąka się w nich cień współczucia.

– A teraz porozmawiamy – oznajmił Teornis.

– Chyba źle nas oceniłeś pająkowcu – stwierdziła Danaen, wyraźnie delektując się swymi słowami.
– Twoja zdrajczynie może sobie wybebeszyć tego starucha, jeśli sobie życzysz, ale co ja mam do niego?

Teornis starał się zachować spokój.

– On przemawia w imieniu miasta, które was przygarnęło. Chyba że chcecie sprzeniewierzyć się swoim dobrodziejom? – odparł wyniośle.

Zaśmiała się szyderczo.

– Choćby tylko rozważając układanie się z kimś takim jak ty, zdradził ludzi myślących rozumnie. Zabij go albo ja go zabiję. Nie dbam o to.

Wzrok Teornisa spoczął na Stenwoldzie, a ten odczytał

w jego oczach oskarżenie: „Twoja śmierć spadnie na twoją głowę, skoro zadałeś się z tymi fanatykami”. *Ma rację*, pomyślał żukowiec, ale w tej chwili modliszowcy w ogóle go nie obchodzili. Inna zdrada zraniła go znacznie bardziej.

Czterech Keseńczyków zacieśniło szranki wokół

Teornisa, wymieniając się w myślach wskazówkami, by odeprzeć nagły atak modliszowców. Maker zaś miał przed oczami Padstock i jej ludzi, najpewniej zamierzających unieszkodliwić Ariannę, której sztylet opierał się na jego gardle. Słyszał jej urywany oddech, a ramię wokół jego szyi drżało

lekko. *Zaraz zginę z powodu jej wyrzutów sumienia, pomyślał. Ale przynajmniej je odczuwa.* Wążkowcy naciągnęli cięciwy.

– Jeśli dojdzie tu do rozlewu krwi, mój statek ruszy do ataku i uwolni świat od waszej obecności – oznajmił Teornis beznamiętnie. – Możecie sobie być urodzonymi zabójcami, ale niczego tu nie wskóracie. A jeśli spadnie kropla mojej krwi, moi krewni... a... – przerwał, utkwivszy w czymś osłupiały wzrok.

Fala niepewności przetoczyła się po modliszowcach, którzy powstrzymali się na kilka bezcennych sekund.

– Arianno... – wykrztusił Stenwold.

– Nie ruszaj się – wyszeptała. – Nie chcę cię zranić, Sten. Naprawdę nie chcę cię zranić. Proszę, proszę cię, odwołaj ich.

– Chyba nie jestem w stanie... – zaczął, ale ona krzyknęła, odpychając go od siebie.

Pomyślał, że ją postrzelono, lecz nie słyszał niczego.

Potem wydało mu się, że jednak go cięła, bo poczuł w szyi ból, lecz było to jedynie płytkie draśnięcie wycofującego się noża. I wtedy wybuchł chaos, ponieważ krzyk Arianny spowodował modliszowców do ataku.

Nie stosowali żadnej taktyki. Z dziką szybkością natarli wprost na mrówców, mając nadzieję pokonać ich samym impetem uderzenia. Ze szczękiem starli się z Keseńczykami ufnyimi w swoje zbroje i tarcze i ostrzegającymi się wzajem w obliczu przeważających sił wroga. Ale jeden z czterech mrówców padł, bo zakrzywione ostrze Danaen przedarło się przez zaporę tarczy i szczerbiąc jej brzeg, dosięgło jego szyi.

Jakiś modliszowiec runął na pokład, wijąc się z bólu, przyszpilony długą strzałą, a kolejny padł z rozoraną twarzą.

Stenwold szarpnął za swój miecz, odwrócił się i zobaczył...

Zobaczył to samo, co Teornis i Arianna, i ten widok też sprawił, że stanął jak wryty. Było to ślepie.

Wystawało z fal w szpiczastej otoczce gąbczastego ciała na tyle wysoko, że mogło zajrzeć za drugą burtę barki – żółte cętkowane oko z szeroką szczeliną czarnej źrenicy, większe niż pierś mężczyzny.

Wszyscy wokół rzucili się do walki – ludzie Teornisa i jego. Usłyszał odgłos zwalnianej cięciwy Padstock i jej krzyk:

– Przez wrotaaaa!!! – który musiał zaskoczyć wszystkich oprócz jej ludzi.

Wążkowcy unosili się w powietrzu, szyjąc strzałami do każdego modliszowca, jaki się odsłonił. Teornis padł nagle na pokład i Stenwold pomyślał, że został trafiony, gdyż jego Keseńczycy byli w

mniejszości, choć nadal wściekle walczyli z wrogiem. Ale wtedy zobaczył to i żołądek wywrócił mu się na drugą stronę.

Coś złapało Teornisa za nogę – coś przypominającego linę ze skóry – i ciągnęło go w stronę relingu. Pająkowiec trzymał w ręku rapier, ale wąskie ostrze broni nie nadawało się do przecinania, raczej do kłucia, a jego ludzie byli zbyt zajęci, by usłyszeć wołanie o pomoc. Widok ten był tak przerażający, że Maker momentalnie ruszył w jego stronę, chcąc ratować go z łap potwora.

Furkocząc skrzydłami, wylądował koło niego Laszlo.

– Lecę na *Wolnego od Pływów!* – wykrzyknął.

– Laszlo, patrz! – zawołał żukowiec, ale kiedy wyciągnął

rękę, straszego oka już nie było.

Muszec wzbił się w powietrze i jakaś strzała śmignęła tam, gdzie stał przed chwilą.

Stenwold wziął do ręki miecz, odwrócił się i zobaczył, że znajduje się kilka kroków od Arianny. Wciąż trzymała w dłoni sztylet, na którego ostrzu lśniła jego krew. Ich oczy spotkały się.

Coś plasnęło go w nogę i myśląc, że to strzała, kucnął

momentalnie, unosząc bezsensownie ramię, by zasłonić się przed tli ngą. Ale wtedy coś przewróciło go na plecy, wyduszając z niego powietrze. Wierzgnął w desperacji, czując ucisk wokół łydki, i miecz niemal wypadł mu z ręki. Nagły skurcz pociągnął go z metr po pokładzie w stronę relingu i wtedy zrozumiał, że to coś dopadło także i jego.

Złożył się wpół, krzycząc na widok grubej macki, która przepęzła po pokładzie, by zacisnąć się na jego nodze.

Ciachnął ją mieczem i kolejny skurcz przebiegł przez całą jej długość, a jego ciało znów zbliżyło się do burty.

Nerwy mu puściły. Na samą myśl o oku, które należało do jakiegoś straszliwego potwora czającego się za burtą barki, o wodzie i pochłaniającej wszystko głębi rozciągającej się o kilka metrów od niego nie wytrzymał – tego było już za wiele. Ryknął z obrzydzenia i strachu, wściekle siekąc zachłanną mackę. Pierwszy cios ześliznął się po grubej, oślizgłej skórze, a drugi irafił go w udo, rozcinając je. Kolejne szarpnięcie zbliżyło go do krawędzi. Rzucił się wściekle, wciąż wołając o pomoc. Ujrzał, jak jeden z ludzi Padstock pada na ziemię przeszyty strzałą. Modliszowcy wykańczali mrówców, a niektórzy ślali strzały do latających nad nimi ważkowców.

Teornis...

Z wrzaskiem bezsilnej, dzikiej wściekłości Teornis zniknął za burtą, wypuszczając z dłoni rapier, który potoczył

się po pokładzie. Chwilę potem wolna noga Stenwolda wierzgnęła o drewniany reling. Starał się go złapać, czując odrażającą siłę mięśni potwora, które skręcały się i pulsowały. Znow ciął go mieczem, ledwo naruszając grubą skórę.

– Misz-Maker!

Laszlo w jednej chwili znalazł się obok niego. W całym swoim pirackim życiu nie widział niczego podobnego. W

okamgnieniu wyciągnął sztylet, przytrzymał sploty owinięte wokół nogi Stenwolda i zaczął ciąć. Powinien być teraz w połowie drogi do *Wolnego od Pływów*, ale Stenwold nigdy nie był tak szczęśliwy z powodu niewykonania rozkazu przez swojego podwładnego.

Kolejny mocny skurcz wywołał falę bólu w nodze i drewniany reling pękł jak zapałka. Laszlo wbijał ostrze obiema rękami, nie bacząc już, czy nie skaleczy żukowca.

– Jeszcze chwila, misz-Maker! – dyszał przez zaciśnięte zęby. – Jeszcze tylko chwileczka...

Spojrzał Stenwoldowi w oczy i nagle obaj poczuli niewypowiedzianą grozę, bo oto kolejna macka przepęłzła pod relingiem i trzasnęła go w piersi. Laszlo otworzył usta, by krzyknąć, ale w jednej sekundzie wzleciał w powietrze nie za sprawą własnych skrzydeł, lecz zmieciony z pokładu konwulsyjnym spazmem, a w drugiej sekundzie był już pod wodą.

Maker uderzył w oplatającą go kończynę z całej siły, celując tam, gdzie sztylet muchowca dokonał już pewnego spustoszenia. Szarpnęło nim znowu i tym razem reling poddał się całkowicie. Nie miał już żadnych pomysłów ani sztuczek w zanadrzu, nie potrafił też jasno myśleć –

zapomniał nawet o mieczu. Wczepiając się obiema rękami w deski pokładu, walczył bezskutecznie, by nie dać się pochłonąć głodnemu oceanowi. Z jego ust wydobywał się teraz skowyt, jakby w desperacji błagał potwora o litość. Nic nie pozostało z mistrza wojny Stenwolda Makera, jedynie straszliwe przerażenie przed głębinami.

Jakaś dłoń chwyciła go za nadgarstek i pociągnęła do siebie. Podniósł wzrok i zobaczył wykrzywioną strachem twarz Arianny.

– Trzymam cię! – krzyczała.

– Nie puszczaj! – łkał teraz, starając się wierzgnąć unieruchomioną nogą, ryjąc paznokciami w deskach pokładu, a cały jego kunszt i sztuka poszły w niepamięć.

– Trzymam cię, Sten! – znów krzyknęła, ciągnąc go do siebie, wykradając cenne centymetry zachłannemu morzu. –

Wybacz mi, Sten! Wybacz mi, proszę!

Zobaczył końcówkę miecza wystającą jej z piersi i dopiero po sekundzie zorientował się, co to było. Przez chwilę scena ta przypominała wyłącznie jakąś abstrakcyjną wizję, jak tamto żółte ślepie ponad falami, ale sekundę później Arianna wygięła się w łuk, a krew trysnęła jej z ust.

Uścisk na nadgarstku zelżał. Kiedy padła na deski, zza jej pleców wyłoniła się Danaen z rękami zakrwawionymi po łokcie, szczerząc zęby jak w obłąkaniu. Spojrzała na Stenwolda i w jej oczach ujrział triumf.

Krzyknął coś do niej z żalu, wściekłości, strachu i wszechogarniającej grozy, po czym – kiedy macka szarpnęła go ponownie – ześliznął się po połamanym relingu w wodę.

CZEŚĆ DRUGA

Otchłań także się przypatruje

SZESNAŚCIE

Pierwszą rzeczą, jaka do niego dotarła po przebudzeniu, było ciepło parnego powietrza. Poczul

zapach potu i morza.

Noga bolała go i paliła. Przypomnił sobie, że sam zranił ją w tym pośpiechu, kiedy coś go ciągnęło i ścisnęło... *Potwór morski*, pomyślał. *Na młot i cęgi, połknął mnie.*

Zaczęły docierać do niego inne doznania, jedno po drugim. Leżał na twardej powierzchni, nie tak chłodnej jak metal, ale w dotyku przypominającej kość czy muszlę. Nad nim rozlegał się pulsujący dźwięk, ciężki i natarczywy, który wprawiał podłoże w drzenie, i Stenwold czuł w żołądku, że się porusza. Zaczął bać się nie na żarty.

Był przemoczony do suchej nitki. Być może z powodu wilgoci w powietrzu uświadomił to sobie, zanim otworzył

oczy.

Ale otwarcie oczu nie na wiele się zdało.

Zauważył światło, lecz nigdy wcześniej takiego nie widział. Miało irytujący czerwono-fioletowy kolor i trudno było przy nim dostrzec cokolwiek.

Leżał w czymś – kufrze czy brzuchu bestii – z twarzą wciśniętą w jakąś nieckę. Starał się nie ruszać, by nie wzbudzić gniewu morskiego potwora, ale groza całej sytuacji opadła go jak rój szerszeni i nie chciała ustąpić. Choć desperacko bronił się przed otwartą paszczą oceanu, ohydna macka wciągnęła go do wody.

Arianna. Jej twarz, gdy Danaen przebiła ją mieczem...

Próbowała go zdradzić, ale nie dała rady. Zginęła, dowodząc swej lojalności.

Nie potrafił dłużej myśleć o tym spokojnie. Najpierw zadrżały mu ramiona, a potem całe ciało. Starał się sięgnąć, szarpnąć za wnętrze potwora, by powstrzymać natłok uczuć, ale odkrył, że ręce ma związane z tyłu. Przeszedł go dreszcz i zapłakał nad śmiercią pajęczycy, a także nad sobą, że zamiast słońca musi teraz oglądać trzewia bestii.

Dopiero po chwili uświadomił sobie, że oprócz tego nierównego delikatnego pulsu słyszy również jakiś inny dźwięk. Rozmowę... Głos – mocno i dziwnie akcentujący wyrazy, tak że nie rozumiał ani słowa – co chwila cichł, ale niewątpliwie należał do człowieka. Żukowiec spróbował się przekręcić, lecz spostrzegł, że jest związany bądź opleciony siecią. Pozostało mu zatem tylko nasłuchiwanie. Zmusił się do zachowania spokoju. *Tam, gdzie są żywi ludzie, jest jakaś nadzieja, a ci najwyraźniej nie mają być strawieni.* Ton ich wypowiedzi świadczył bowiem o tym, że najwyraźniej o coś się sprzeczą. Zapanował więc nad żalem, strachem i poczuciem straty, postanawiając zrozumieć coś z ich sprzeczeki.

W końcu uświadomił sobie, że wymawiali dobrze mu znane słowa, ale z dziwną intonacją. Przez jakiś czas wyławiał

tylko strzępy znaczeń, aż w końcu zaczęły się one układać w zdania:

– ... Zupełnie nie tak wyobrażałem sobie tych całych łądowych. Ale i tak ci dwaj to prawdziwe paskudy, no nie?

Dlaczego złapaliśmy właśnie ich?

– Zapytaj Arkeuthysa – odpowiedział drugi, a przynajmniej tak się Stenwoldowi wydawało. Nie był pewien, czy usłyszał czyjeś imię, aż do chwili, w której ponownie rozbrzmiał pierwszy głos:

– Sam sobie zapytaj. – Jego właściciel musiał być dosyć młody.

– Nigdy nie rozmawiałeś z Arkeuthysem, co? – zapytał

drugi.

Teraz Maker był niemal pewien, że rozmówcy są mężczyznami.

– Boisz się?

– Nie muszę z nim rozmawiać, żeby się bać – odparł

młodszy. – Wystarczy, że się na niego spojrzy.

Ich głosy dochodziły z bliska, jakby kucali gdzieś obok niego i mówili na tyle głośno, że można ich było usłyszeć pomimo... *Pomimo dźwięku silnika...* Kiedy to sobie uświadomił, poczuł przyływ energii. Nie było to bicie olbrzymiego serca, lecz stukot maszyny. Nigdy wcześniej nie słyszał podobnego, ale zyskał pewność, że źródłem odgłosu był jakiś mechanizm – zauważył teraz, że każdemu grzmiącemu dźwiękowi towarzyszyło szarpnięcie do przodu, i mógł jedynie zgadywać, że to objawy działania ciągu.

Jeden z mężczyzn zachrypiał nagle i Stenwoldowi wydało się, że drugi musiał go szturchnąć, bo po chwili młodszy wrócił do przerwanej wątku:

– Arkeuthys mówi...

Żukowiec zaczerpnął głęboko powietrza i szarpnął się w niewidocznych pętach, co skończyło się tym, że padł na plecy, przygniatając sobie ramiona. Przez krótką chwilę widział

bladą krzywiznę sufitu z lampą rozlewającą krwistoczerwone światło, ale znów przetoczył się na bok i teraz widział głębiej pomieszczenia.

Było tu mniej miejsca, niż się spodziewał. To skoki w pracy silnika tworzyły wrażenie przestronności. I nagle uświadomił sobie, że patrzy na Teornisa.

Pajęczy lord był przytomny, ale leżał bez ruchu, więc Stenwold stwierdził, że udaje martwego na użytek porywaczy. Gdy żukowiec się poruszył, otworzył jednak oczy, a teraz bardzo wyraźnie mrugnął do niego. Jego wspaniałe szaty były w strzępach i też miał związane ręce. *A więc nie był to żaden pajęczy podstęp, lecz kto... ?*

Za Teornisem znajdowało się dwóch mężczyzn.

Oczywiście to ich rozmowę śledził Stenwold. Pomieszczenie było tak niskie, że musieli klęczeć. I choć krwawe światło rozmywało szczegóły, Maker zauważył ich bladą skórę i ciemne włosy. Stanowili przy tym najdziwniejszą parę, jaką dotychczas widział na pokładzie jakiegokolwiek poruszającej się maszyny.

Wyglądali na dzikusów – taka była jego pierwsza myśl –

barbarzyńców, prymitywny lud zamieszkujący jakąś słabo rozwiniętą krainę. Za całe ubranie służyły im spódniczki sięgające połowy uda, ale nadrabiali to w inny sposób: na ramionach młodszego Stenwold zobaczył bransolety zdobione w kunsztowne arabeski, a na szyi – naszyjnik.

Starszy zaś nosił metalową plecionkę biegnącą od nadgarstków do łokci, tak delikatną i skomplikowaną, że żukowiec w życiu czegoś podobnego nie widział. Była tak lekka i zagmatwana, jakby wyrosła sama – liść po liściu. Jego kołnierz składał się mniej więcej z tego samego – płaszczyzna rozgałęziających się i splatających pnączy z metalu pokrywająca większość jego ramion oraz górną partię piersi.

Stroju mężczyzny dopełniała opaska z dwóch błyszczących gałązek spinająca długie włosy. Niepodobna było stwierdzić tego w tym świetle z całą pewnością, ale Stenwold gotów był

przysiąc, iż wszystko było szczerozłote i nawet *aristoi* uniósłby brwi ze zdziwienia, widząc ten kunszt – żukowiec nie znał ani człowieka, ani maszyny zdolnych stworzyć takie dzieła.

Młodszy mężczyzna był szczupły i wiotki, jego towarzysz zaś szerszy w pasie, niemal tęgi, z obwisłą twarzą i niezwykle wypielegnowaną brodą, która – w odróżnieniu od prostokątnej bródki pierwszego – zakręcała się do góry.

Nagle nadeszło otrzeźwienie – bo chociaż obok Stenwolda leżał skrzepowany Teornis, to w niewolę pojмали ich pająkowcy Albo nie, nie do końca pająkowcy. Ich twarze przypominały oblicze Teornisa, ale raczej wyglądali na przedstawicieli jakiejś odnogi tego gatunku, jakby kiedyś, przed wiekami mieli wspólnego przodka. *Czy nie widziałem takich cech ostatnio u kogoś?* – pomyślał zaniepokojony, ale teraz nie potrafił sobie niczego przypomnieć.

– Arkeuthys mówi... – zająknął się starszy, jakby czymś zdenerwowany – że widział ich dwóch przywódców rzucających na siebie oskarżenia, i dlatego ich złapał.

– A co z trzecim? Czy ty... ?

– Pewnie, że tak. – Starszy spojrział triumfująco na towarzysza. – Mówi, że to jakiś lądowy, który przeszkadzał.

Ten mały zaś chciał pociąć Arkeuthysa.

– W takim razie nie jest nam potrzebny?

Stenwold z przerażeniem zobaczył, jak młodszy wyciąga zza pasa nóż – paskudnie zakrzywione ostrze. Wyteżył

wszystkie mięśnie, by przekonać się, co tamten zamierza, i zauważył trzeciego jeńca – drobną postać posiniaczonego i wciąż nieprzytomnego Laszlo.

Nagle jego wzrok napotkał spojrzenie starszego i żukowiec aż wzdrygnął się z zaskoczenia, zastanawiając się jednocześnie usilnie nad tym, kim jest ów Arkeuthys.

Oczywiście istniała sztuka umożliwiająca rozmowę ze zwierzętami, ale rzadko już się do niej odwoływano. Poza tym ludzie mogli rozmawiać tylko ze zwierzętami związanymi z ich rasą... *Na znak założycielski!* – aż zaskamlał w duchu. *To są morscy potworowcy!*

Zauważywszy jego udrękę, starszy mężczyzna aż się uśmiechnął.

– Zabij tego małego. Niewiele z niego pożytku –

powiedział.

– Stać! – rozległ się nowy głos gdzieś z przodu. – Ani mi się waż!

– Nie wtrącaj się do tego – warknął starszy.

– Nikt tu nie będzie nikogo zabijał! – odpowiedział

nowy głos, najwyraźniej należący do kobiety, a mimo to nienaturalnie wysoki. Stenwoldowi było jeszcze trudniej go zrozumieć niż dwóch pozostałych.

– Arkeuthys mówi... – upierał się mężczyzna.

– Nic mnie to nie obchodzi. Skoro mam trzech lądowych, to przywieziemy do kolonii trzech lądowych, i to żywych.

Na twarzy mężczyzny odmalowały się uraza i obrzydzenie.

– Ja tutaj jestem głosem naszego admira.

– A ja dowodzę na tej łajbie – wypaliła kobieta.

– No i co z tego?

– A to, że jeśli chcecie trafić z powrotem do miasta waszego admira, musicie być dla mnie mili, bo inaczej popłynę do Gorących Rewirów, Głębokiego Wysięku albo gdzie mi się będzie podobać.

– Nie ośmieliłabyś się...

– I co więcej – ciągnęła kobieta, nie zważając na słowa starszego – jeśli chcesz zabić kogoś tylko

dlatego, że jest mały, to Rosander zaraz odłupie ci łapska w łokciach, zrozumiano?

Stenwold stwierdził, że starszy wyglądał teraz dokładnie tak jak zwykły pająkowiec, gdy ktoś mu bruździ.

– Edmir się o tym dowie, Chenni – zawarczał.

– Proszę bardzo, mogę wystawić swego szefa przeciwko twojemu, kiedy tylko chcesz – zakpiła kobieta. – Powiedz mi przynajmniej, czy ich zrównałeś. Czy chociaż to ci się udało?

– Skoro nie mają pogruhotanych czerepów i żyją, to oczywiste, że tak – odszczeknął się młody. – Znamy nasz fach. Ty trzymaj się swojego!

Jedno Stenwold wiedział już na pewno: mieli powody do kłótni. Nawet tutaj, spętany żalem i w okowach, nie miał

co do tego wątpliwości i zaświtała w nim isierka nadziei. Bo skoro się sprzeczali, to istniały w ich społeczeństwie jakieś odłamy, a to oznaczało istnienie polityki. A przecież Stenwold mimo rozlicznych talentów był przede wszystkim mężem stanu.

Laszlo przeżył i żukowiec już wiedział, że ma sprzymierzeńca. *Może również w Teornisie. Chociaż bardzo przypominają pająkowców, są mu równie obcy jak mnie.*

Starszy warknął ze złości i gestem nakazał towarzyszowi schowanie noża. Aby jednak dać wyraz swojemu niezadowoleniu, kopnął Teornisa w nerkę, a następnie stanął

na krwawiącej nodze Stenwolda. Nagły przyływ bólu ponownie wydarł świadomość z żukowca.

Obudziło go silne i uporczywe szturchanie w zdrową nogę. Otworzył oczy i zobaczył posępne czerwone światło.

Zamknął je ponownie, ale wtedy ktoś znowu zaczął go trącać.

Najwyraźniej stopą.

Arianna. Ta myśl przyszła do niego znikąd, osierocona i bez treści, mijając go jak światła statku przepływającego w oddali. Zaciśnął dłonie w pięści i poczuł ucisk więzów.

– Maker – usłyszał głos tak cichy, że niemal niewychwytywalny dla ludzkiego ucha.

– Teornis? – zamruczał równie cicho w odpowiedzi.

– Nikt inny – nadeszła odpowiedź. – Nasi żartownisie sobie poszli. Usłyszałeś coś z ich rozmowy?

– Trochę. Ale zrozumiałem jeszcze mniej. A ty?

– Tak samo. To jednak jasne, że to zbiry spod ciemnej gwiazdy.

Stenwold musiał natężyć słuch, by zrozumieć jego cichy głos.

– I zapewne pojętni – dodał pająkowiec – ponieważ znajdujemy się w jakiejś maszynie.

– Też tak myślę, choć ściany i podłogę zrobiono z jakiegoś naturalnego materiału.

Coś poruszyło się w pobliżu, więc natychmiast zamilkli.

Stenwold usłyszał dwa znane mu już głosy. Gdy w końcu przykucnęli nieopodal nich, młodszy zapytał:

– Jakie rozkazy?

– Zawinąć ich i zasłonić im twarze. Edmir nie chce, żeby ktokolwiek patrzył na lądowych. Przyśle ludzi, którzy zabiorą ich prosto do jego piwnic.

Ale młodszy miał wątpliwości:

– A co będzie – wyszeptał – jak ona zechce ich dla Rosandera?

Starszy głośno wypuścił powietrze z płuc.

– Miejmy nadzieję, że edmir prędzej przyśle ludzi niż nauarch.

Stenwold zaczął się zastanawiać gorączkowo, od kogo powinna zależeć jego przyszłość – admira czy Rosandera.

Choć miał pewne podejrzenia, że żadne z tych rąk nie będą bezpieczne.

I dokąd, na wszystkie mapy świata, oni nas zabierają?

Ale na to nie było odpowiedzi.

Pojazd jakby zwolnił, czemu towarzyszyło kilka szarpnięć w bok, więc Stenwold domyślił się, iż zmienili kierunek wędrówki. Żołądek skoczył mu do gardła, kiedy to sobie uświadomił, bo bez względu na to, do jakiego portu mieli zawinąć, ich podróż dobiegała końca.

Nagle zanurkowali – nie znalazł na to innego określenia. Poczł się jak w maszynie latającej, która nagle straciła sterowność. Jeden z porywaczy jęknął, choć żukowiec przyjął ten ruch zupełnie naturalnie. *Czyżby byli niepojętni?*

Po chwili, równie niespodziewanie, zaczęli się wznosić i pojazd zakołysał się pod wpływem jakichś prądów wodnych, z którymi niewidoczny sternik zmagął się najpewniej za pomocą drążków.

Sekundę później silnik się uspokoił, a maszyna, której wewnątrz wypełniła ogłuszająca cisza, zaczęła wykonywać irytująco znajomy ruch – kołysali się na powierzchni wody niczym w zwykłej szalupie.

– Najpierw gruby – usłyszał wyraźnie Stenwold i zaraz poczuł na sobie czyjeś dłonie.

W ciasnej przestrzeni im również musiało być niewygodnie i żukowiec sądził, że dlatego się spieszą. Celowo rozluźnił wszystkie mięśnie, by utrudnić im sprawę, ale zaraz zauważył, że dzięki jakiemuś zabiegowi – instynktownie rozpoznanemu jako działanie sztuki – ich dłonie pewnie zacisnęły się na jego ubraniu i ciele, powodując ból. Gdy go unieśli, miał wrażenie, że zaraz zaczną rwać z niego pasy.

Wrzasnął więc z nadmiaru cierpienia i zaczął im pomagać najlepiej, jak umiał. Parsknęli na to śmiechem, tak że przyszło mu do głowy, czy przypadkiem przez cały czas nie wiedzieli, że jest przytomny.

– Załóż mu kaptur – rzucił starszy w chwili, gdy piekielna czerwień wnętrza pojazdu zmieniła się w zielonobłękitną poświatę – nie mniej sztuczną, lecz poniekąd przyjemniejszą dla oczu.

Chwilę później miał już na głowie jakiś worek z nieprzyjemnie śliskiego materiału i od tej pory musiał już polegać tylko na wskazówkach porywaczy, którzy przeciągnęli go przez jakiś właz i poprowadzili łagodnie wznoszącą się i opadającą kamienną drogą.

Ponieważ chcieli się go jak najszybciej pozbyć, młodszy przywołał kogoś i oddając mu w ręce Stenwolda, migiem wypowiedział kilka zdań, z których żukowiec zrozumiał tylko imię „Rosander” i polecenie „Pilnować go”. Podejrzewał, że łajdaki wróciły teraz na statek po Teornisa i Laszlo.

Podłoże przypominało kamień, ale gdy zbadał je dłońmi, przekonał się, że jak na ten materiał miało zbyt dziwną strukturę – wypolerowaną powierzchnię przecinały drobne wybrzuszenia i występy. Temperatura otoczenia nie była ani wysoka, ani niska, za to w powietrzu czuć było stęchliznę, zapach ryb i morza. Ludzie wokół Stenwolda rozsiewali też zapach rybiego tłuszczu, z czym nigdy wcześniej się nie spotkał.

Coś spadło mu na nogi, aż krzyknął z bólu. W końcu wiercący się ciężar ześliznął się z niego i po jego rozmiarach Stenwold doszedł do wniosku, że to Laszlo. Nagle usłyszał

czyjeś kroki i wśród wartowników zapanowało poruszenie.

Ktoś szczechnął w taki sposób, że mogło to być wyłącznie wyzwanie, i wtedy rozległy się krzyki.

Stenwold starał się coś wyłowić z tego hałasu, ale słowa padały zbyt szybko. Pojął jedynie, że kłótnia ta przypominała spór złodziei o podział łupów. *I to ja jestem tym łupem*. Prym wiódł starszy mężczyzna, który pilnował ich podczas podróży, a wspierał go cały chór głosów. Przeciwnicy byli mniej liczni, ale ich głosy przypominały dudnienie, co nasuwało skojarzenie z dużymi osobnikami, jak skorpioncy czy turkuciovcy.

Do kakofonii dźwięków po chwili dołączył się brzęk stali i świst ostrzy – jeszcze nienurzanych w ciałach, ale zgrzytających o siebie i zlaknionych krwi. Pokręcił głową, by pozbyć się worka, ale bezskutecznie. *To szaleństwo*. Nagle rozległo się wyraźne stukanie, jakby ktoś drewnianą laską uderzył kilka razy w kamienną posadzkę. I po nim nastąpiła cisza. Zwaśnione strony niechętnie

rozsunęły się na boki.

– Dość już tego – powiedział ktoś, kto najwyraźniej przywykł do wymuszania posłuszeństwa. – Dobrze, kto tutaj dowodzi... Ach, czy widzę Chenni?

Po chwili Stenwold usłyszał piskliwy głos kapitan:

– Tak, Wasza Eminencjo – odparła wywołana, ale z lekkim podenerwowaniem.

– Powiedz łaskawie swojemu nauarchowi, mojemu sojusznikowi, dobremu Rosanderowi, że nie musi się lękać.

Może w każdej chwili przyjść do mnie i porozmawiać z lądowymi – wyjaśnił mężczyzna łagodnie, ale już po chwili w jego głosie pojawił się nowy ton: – Jeśli zaś twoi chorążowie nie rozejdą się w tej chwili, nawet Rosander nie uchroni ich przed rozczłonkowaniem, kawałek po kawałku.

– Ty... – Cokolwiek Chenni chciała powiedzieć, ugryzła się w język.

– Nie ośmielę się? – Głos mężczyzny stał się niebezpiecznie cichy. – Twój Rosander nie jest takim sentymentalnym głupcem, za jakiego go bierzesz. Nie przeciwstawi mi się z powodu tych kilku bezwartościowych lądowych. Bądź wdzięczna losowi, że jesteś mu droższa niż inni. A teraz idź. Doceniamy twoje zasługi – i twojej maszyny

– ale nadszedł czas, byś poszła w swoją stronę i nie przeszkadzała mi dłużej.

Po krótkiej przepychance i cichnym odgłosie kroków, oznaczającym zapewne, że Chenni i jej chorążowie zastosowali się do sugestii, Stenwold usłyszał rozkaz:

– Podnieście ich.

A następnie bezceremonialnie podciągnięto go w górę i popchnięto do przodu tak, że potknął się o własne nogi. Miał

tylko nadzieję, że Laszlo i Teornis idą razem z nim.

Droga była tak skomplikowana, że już po chwili całkowicie stracił orientację i nie wiedział, ile razy i w którą stronę skręcili. Słaniał się i potykał o śliskie progi z kamienia, z którymi jego buty nie dawały sobie rady, a za każdym razem, gdy tracił równowagę, bezwzględni porywacze używali swej sztuki, by boleśnie przypomnieć mu, gdzie się znajduje.

W końcu zatrzymali się i mimo worka na głowie wiedział, że znalazł się w wielkiej otwartej przestrzeni, która rozbrzmiewała echem wielu szeptów. *Sala rady? Sąd? Czy będą mnie sądzić za to, że urodziłem się na lądzie?*

– Lądowi! – Głos przywódcy oddziału był teraz nieco cichszy. – Traficie teraz do cel pod moimi salami i nie wiem, czy kiedykolwiek je opuścicie. Uważam więc za słuszne, byście ten jeden raz popatrzyli na fragment tego, co przywiedzie wasz lud do zagłady.

Gdy na te słowa Stenwoldowi ściągnięto z głowy worek, zamknął oczy, spodziewając się rażącej jasności, ale znalazł

się w mrocznym pomieszczeniu, w którym jedynym źródłem światła były niebiesko-zielone, zielono-białe i fioletowoczerwone kule, prowadzące w głąb sali. Stał na krawędzi balkonu również wykonanego z kamienia i patrzył na wielką sklepioną przestrzeń, nabrzmiewającą ciemnością między łukami przypór zbiegających się w jednym punkcie na suficie i tworzących elegancką, na pół tonącą w mroku i promieniście się układającą ścianę, przypominającą wnętrze gigantycznej tykwy. I nawet mimo słabego oświetlenia Stenwold zauważył, że na krawędziach, gdzie ściany stykały się z sufitem, nałożono budulca tak, że całość przypominała twór natury, jakąś gigantyczną muszlę, a nie dzieło rąk ludzkich. Ze swego miejsca dostrzegł też mnóstwo krzątających się w dole postaci, które nawet w tym różnobarwnym i słabym świetle nie przypominały mu żadnej z ras, jakie w życiu spotkał. Były wśród nich osoby tak małe jak muszcy i tak duże jak turkuciowcy lub też tak wysmukłe jak modliszowcy i zasadniczo wszyscy byli niezwykle skąpo ubrani – jedynie w kilty, peleryny i czasami szarfy. Przez tłum przedzierali się też wyglądający jak zwaliste maszyny osobnicy w zbrojach, którzy w barach byli szersi, niż Stenwold miał wzrostu.

Żukowiec zerknął na Teornisa i Laszlo, którzy patrzyli na kłębiący się poniżej tłum w takim samym osłupieniu, a potem na strażników, którzy przypominali tych ze statku podwodnego. Kobiety miały wysokie kości policzkowe i błyszczące jasne włosy, mężczyźni zaś nosili dziwaczne brody. Wszyscy natomiast byli wystrojeni w złoto i drogocenne kamienie, których Stenwold nie potrafił nawet nazwać. Tutejsi słudzy – przynajmniej tak ich nazwał

Stenwold – byli wyżsi i smuklejsi, lekko opancerzeni, w wysokich hełmach z chityny czy nawet utwardzonej skóry.

Mieli peleryny i długie włócznie, a ich pociągłe twarze z zapadniętymi policzkami nie przypominały Stenwoldowi żadnego znanego mu gatunku.

Obok niego stał mężczyzna, w którym od razu rozpoznał

przywódcę. On również należał do pajęczych krewnych i chociaż wszyscy tutaj ubierali się jak *aristoi*, posiadał więcej od innych drogocennych ozdób. Ciemne, kędzierzawe włosy przewiązał sznurami złota i skrzących się klejnotów, a złote listowie pokrywało jego całe ramiona aż do barków. Jego strój uszyto ze skóry jakiegoś zwierzęcia, która opalizowała różnymi barwami, a naszyjnik w kształcie półksiężyca wykonano z macicy perłowej, odbijającej sztuczne światło rzucane przez lampy.

– No i co powiesz, lądowy? – zapytał. – Podoba ci się twój nowy dom?

– Zaszła jakaś pomyłka. Nie jesteśmy waszymi wrogami... – zaczął Stenwold pospiesznie, ale za sprawą jednego gestu znów włożono mu worek na głowę i gdzieś poprowadzono.

SIEDEMNAŚCIE

Nakrycie z głowy zdjęto mu w miejscu znacznie ciaśniejszym i prowadzącym pochyło w dół. Lampy

dawały tu ziemiste zielonożółte światło, a podłogę wyłożono misternymi i nieregularnymi kratownicami z kamienia.

Nawet tutaj, w tym lochu, ściany i sufit pokryte były na tyle skomplikowanymi i przenikającymi się wzajemnie wzorami spirali i pasów, że Stenwold w końcu zaczął myśleć o nich w kategoriach wyhodowanych, a nie wykonanych. Połowa strażników gdzieś zniknęła i została z nimi jedynie garstka brodatych mężczyzn. Teornis rozglądał się wokół z pogodnym wyrazem twarzy, choć Stenwold doskonale wiedział, że była to jedynie dobra mina do złej gry, która nie odzwierciedlała prawdziwych przeżyć pająkowca.

– Do oddzielnych cel! – rozległ się głos przywódcy.

Stenwold powędrował wzrokiem w stronę, z której dobiegł, i zobaczył jego postać skrytą w cieniu łuku, ale jej zarys po chwili zniknął w mroku.

Żukowiec zaczął więc wypatrywać cel. I gdy właśnie doszedł do wniosku, że tutaj ich nie ma, jeden ze strażników uniósł znajdującą się w podłodze kratę, ukazując wewnątrz wilgotnej i nędznej groty – przestrzeń ograniczoną kamiennymi słupkami, która łączyła w sobie najgorsze cechy lochu znajdującego się pod wodą i pod ziemią.

Pierwszy do lochu wszedł Teornis, z godnością stając na jego brzegu, jak śmiałek bez lęku idący na szafot. Jeden ze strażników uniósł zakrzywiony nóż i Stenwold przeżył chwilę grozy, ale ten tylko przeciął więzy Teornisa, po czym uwolnił

nadgarstki pozostałym więźniom.

– Dziękuję – powiedział pająkowiec z dworną elegancją.

– Nie kazał rozcinać więzów – zauważył ze złością drugi strażnik.

– Nie zakazał też tego robić – odparł pierwszy. –

Przecież to ładowi. Dokąd mogą uciec? – By udobruchać wciąż jeszcze wściekłego towarzysza, dźgnął Stenwolda palcem w brzuch. – Te, gruby, wiesz, gdzie jesteś?

Stenwold pokręcił w milczeniu głową.

– Niech sobie przynajmniej poruszają łapkami, biedne zagubione łajdaki – oznajmił, a Stenwold dopiero po chwili zdał sobie sprawę, że na jego obliczu pojawiło się coś na kształt załączków współczucia. – No, popatrz na nich, cały świat im się zawalił.

Pośmiali się wszyscy z ostatniej uwagi, tylko ten z nożem się do nich nie przyłączył.

Kiedy Teornis zniknął w celi, podnieśli drugą kratę dla Laszlo. Muszec jednak miał tak buntowniczą minę, że Stenwold myślał przez chwilę, że zaraz rozwinie skrzydła i polecą... Ale dokąd? Obcy mieli oczywiście rację: Laszlo mógł

bzyczyć do utraty tchu, latając po rzeźbionych korytarzach przez całą wieczność. W końcu zszedł do dziury i kiedy tylko opuszczono jego kratę, Stenwold doszedł do wniosku: *Sprytny chłopak. Nie chciał im zdradzić, że umie latać.*

Dobrze jest mieć taką tajemnicę w zanadrzu – dodał w myślach, bo żaden z napotkanych przez nich podwodników ani na sekundę nie zawisł w powietrzu.

– Duży, teraz ty – oznajmił ten z nożem, gdy otwarła się kolejna jama.

– Czy mogę coś powiedzieć? – zapytał Stenwold bez większej nadziei.

– No, co tam znowu? – strażnik zmarszczył brwi.

Stenwold powtórzył pytanie wolniej, a drugi pokręcił ze złością głową.

– Możesz mówić, ile wlezie, ale do admira, kiedy po ciebie przyjdzie. Na razie włącz do środka.

Stenwold zerknął w dół świadomy, jak niewiele tego i tak skąpego światła dotrze do niego w celi. *Teornis i Laszlo widzą lepiej po ciemku. Ja będę całkowicie ślepy.* W grocie nie było wiele miejsca – mógł siedzieć z podkurczonymi nogami, ale położyć się nie dałby rady. Kości rozprostować mógł jedynie na stojąco, bo powała wznosiła się prawie dwa metry nad podłogą.

Uścisk strażnika nieco osłabł i żeby go nie popchnęli w dół, sam zeskoczył, przytrzymując się krawędzi wejścia.

Krata nad jego głową opadła nadzwyczaj cicho i strażnicy gdzieś poszli niemal bezszelestnie, gdyż ich bose stopy nie wydawały żadnych dźwięków na kamiennej posadzce.

Mrok był wszechobecny i nie mając żadnego innego obiektu przed sobą, Stenwold wbił wzrok w przygaszone i mizernie świecące lampy, bardziej przypominające fosforyzujące grzyby niż prawdziwe źródła światła. Po chwili usłyszał ironiczny chichot, który bez wątpienia wydał z siebie Teornis. Odwrócił się w jego stronę i ręka natrafiła na nierówne kamienne kolumny oddzielające cele.

– No co? – rzucił. – Co cię tak bawi?

– Tak sobie myślałem, że nawet mistrz wojny Stenwold Maker z Kolegium nie mógłby o to obwinić Imperium –

odparł wesoło Teornis i w jego słowach nie było śladu niepokoju.

Jak to możliwe, że nawet teraz się nie denerwuje? Ależ oczywiście, taka zuchwałość w obliczu zagrożenia była naturalna dla pająkowców. Musieli zachować twarz do końca. I ta myśl uspokoiła Stenwolda, jakby przykład Teornisa przywrócił mu równowagę ducha. Nawet dotarł do niego sens słów dawnego przyjaciela i nagle zaśmiał się, aczkolwiek nieco żałośnie.

– Teraz lepiej. Myślałem, że już po tobie – zauważył

pająkowiec.

Stenwoldowi wydawało się nawet, że widzi jego postać pomiędzy lasem potężnych kolumn.

– No to może wrócimy do naszej szczerzej dyskusji, którą w tak niefortunny sposób nam przerwano? – zaproponował

Stenwold i po chichocie Laszlo i uprzejmym śmiechu Teornisa wywnioskował, że tamci również poczuli się raźniej.

– Tak, spartoliliśmy to, prawda? – przyznał Teornis. –

Albo, no cóż...

– Albo ja spartoliłem – rzucił Stenwold zrezygnowany.

– Misz-Maker, to nie tak... – pospieszył mu na pomoc Laszlo.

– Danaen złamała rozejm, ale to ja postanowiłem zabrać ją na spotkanie – stwierdził Stenwold.

– Danaen to zapewne tamta modliszka? – zapytał

Teornis. – Cóż, nie pierwszy nabrałeś się na te ich opowieści o sobie – że niby odwaga i honor. Nawet oni w to wierzą, tylko jak my wszyscy są ludźmi. Podobnie jak nasi porywacze, co do czego mam szczerą nadzieję. Wydaje mi się również, że miejsce naszego spotkania także było twoim pomysłem.

– Właściwie... – Stenwold zmarszczył czoło – ... to też sprawka Danaen.

Teornis przez chwilę milczał, a potem odpowiedział:

– Sam nie wiem, co mam o tym myśleć.

– Ci modliszowcy z Felyalu, misz-Maker, to wioślarze różnego sortu – zaczął Laszlo wolno. – Ich długie łodzie pojawiają się wszędzie. Może...

– Może sprzedali nas morskim – dokończył za niego Stenwold. – Uważam, że to mało prawdopodobne, ale...

– ... ale oto, gdzie się znaleźliśmy – tym razem Teornis dokończył jego myśl. – Może była to dla nich za duża pokusa, kiedy wspaniałomyślnie powierzyłem im swe życie. No ale cóż, wyciągnąłem z tego naukę, chociaż trudno mi powiedzieć, gdzie mógłbym tę wiedzę teraz wykorzystać.

Stenwold chwycił się oddzielających ich słupów i poczuł

pod palcami gładką powierzchnię kamienia.

– Szczerze i uczciwie, Teornis? Wciąż masz ochotę na rozmowę?

– O wszystkim, czego zapragniesz, mistrzu Makerze.

– No to wyjaśnij mi, dlaczego? – A ponieważ Teornis nie odpowiedział od razu, Stenwold postanowił kuć żelazo, póki gorące. – Czy ród Aldanraelich był tak rozczarowany naszymi umowami handlowymi, że musiał aż przeć do wojny?

– Ach, do tego zmierzasz – odrzekł pająkowiec, jakby chodziło o jakąś błahostkę, jakąś dziecięcą sprawę sprzed lat.

– Mistrzu Makerze, żałuję tego bardzo. Głosowałem nawet przeciwko temu, ale kiedy matrony Aldanraelich wydają rozkaz, muszę ich słuchać. Jestem zaskoczony, że jeszcze na to nie wpadłeś, Stenwoldzie. Handel – tylko o to idzie.

Kolegium bazuje na towarach z Helleronu transportowanych zarówno koleją, jak i powietrzem. Nawet kiedy Imperium zajęło to miasto, ruch handlowy między waszymi miastami nie zmarł. Ale wtedy też z każdym dniem wzrastało znaczenie tras morskich i tacy ludzie jak Failwright, podobnie jak wielu mych rodaków, umacniali swe pozycje.

To jasne jak słońce, że Helleron znów padnie. Wystarczy, by Imperium tylko popatrzyło na zachód. A kiedy nadejdzie ta chwila, my chcieliśmy przejąć całkowitą kontrolę nad morskimi szlakami handlowymi. Tylko o to chodziło. O nic bardziej złowróbnego, dramatycznego czy nawet znaczącego. Jak mówiłem, według mnie to poniżej naszej godności i istnieją lepsze sposoby wykorzystywania naszych relacji z Kolegium, ale moi cholerni kuzynkowie kretyni chcieli się pobawić w piratów. Wystarczająco szczerze i uczciwie?

– A Arianna? – Stenwold nie zdołał się powstrzymać. –

Dlaczego... ? – Nie dokończył pytania, by nie usłyszeć drżenia własnego głosu.

– Zaproponowałem jej szansę życia godnego pajęczycy.

Wydawało mi się, że nie chce już dłużej udawać żukopodobnej – wyjaśnił Teornis. – Jeśli cię to jednak pocieszy, nie jestem pewien, czy ją przekonałem. Podobnie jak nie byłem pewien, czy tego naprawdę chciała.

– Nie jest to wielkie pocieszenie.

– Ale istnieją warunki do pojednania. Jeśli, co raczej mało prawdopodobne, znów zobaczymy ziemię i światło słoneczne. W końcu nasze obecne położenie każe spojrzeć na te wszystkie wydarzenia z nowej perspektywy.

– Ona nie żyje. Danaen ją zabiła.

Teornis taktownie odczekał chwilę, zanim odpowiedział:

– Cóż, myślę, że po części jestem temu winien. To ja zmusiłem ją do pojawienia się tam z nożem w dłoni.

Stenwold nic na to nie odpowiedział i zapadła kłopotliwa cisza. W końcu to Laszlo przejął inicjatywę:

– Przykro mi, misz-Maker. Przygotowałem dla niej strzałę, kiedy przystawiła panu nóż do gardła, ale powstrzymałem się. Pomyślałem sobie, że nie chciałby pan...

– Dziękuję ci – odparł Stenwold głucho. – Ale myślę, że Teornis ma rację. W tej sytuacji – wykonał gest, który oni zobaczyli wyraźniej niż on sam – wszystko to wydaje się nieco bezsensowne.

– Morscy... – stwierdził Teornis. – Cóż, na swoje usprawiedliwienie mam to, że trudno uwzględnić w planach coś, co jeszcze do niedawna było kwestią czysto mitologiczną.

Laszlo zaśmiał się z goryczą.

– Wszystkie te stare mapy i opowieści żeglarzy!

Morskich można podobno usłyszeć w lasach wodorostów albo pośród skał, gdzie ich kobiety wabią marynarzy, by posłać ich statki na pewną śmierć. Rysowano je na pustych miejscach na mapach: piękne dziewczęta z ogonem homara albo czymś takim. Trochę to głupie, jeśli wolno mi powiedzieć.

– To abominacje, brzydota – uściślił Teornis. –

Wyłącznie konwencja artystyczna. Ale ci morscy są bardzo realni i są ludźmi. Twój lud nigdy o nich nie słyszał, Stenwoldzie?

– Jeśli nawet, to nic o nich nie wiem. Pewnie marynarze o nich opowiadają, jak mówił Laszlo, ale do mnie nie dotarła żadna z tych historii.

– A my dalej przesuwamy granice świata, aż zaczynamy żałować, że nie zostawiliśmy ich w spokoju – zaintonował

cicho pająkowiec, najwyraźniej cytując jakiś nieznaną Stenwoldowi utwór. – Słyszeliście o Mieście Kości?

Laszlo odpowiedział, że nie, a Stenwold tylko pokręcił

głową, ufając, że pajęcze oko to dostrzeże. Jego wzrok z wolna przyzwyczajał się do nikłego światła, ale nie do sztuczek, jakie mrok wyczytniał z cieniami.

– Są takie wykopaliska daleko za miejscem, gdzie pustynia graniczy z Irrovenem. Nasi uczeni kopią tam już od dziesięciu lat. Ale nikt wcześniej czegoś takiego nie widział.

Stenwold zmarszczył czoło, nie dostrzegając związku tej uwagi z poprzednim tematem, ale nie przerwał Teornisowi.

Prawdę mówiąc, spokój pająkowca działał na niego kojąco, o czym *aristoi* być może wiedział.

– Stało tam niegdyś miasto. Choć nie potrafię powiedzieć, jak dawno temu, a żadne pajęczce kroniki tego nie odnotowały. Teraz w pobliżu nie żyje żadna ludzka rasa, a rejon ten cieszy się złą sławą. Pracujący tam naukowcy pośród ruin dawnych ulic natknęli się na coś odrażającego i jednocześnie fascynującego – na dowód, iż miasto to było świadkiem masakry.

– Nie ma potrzeby organizować wypraw badawczych w takim celu. Sam mogę ci wskazać kilka podobnych miejsc, i to młodszych – zauważył Stenwold cierpko.

– Wyglądało to tak, jakby jakaś armia najeźdźców przelała się przez mury, zabiła wszystko, co żyje, i zostawiła to miejsce pustyni. Ale prawdziwą niespodzianką był rodzaj odkopanych kości, należących do ludzi i różnych zwierząt, lecz również zwierząt wielu dziwacznych i nieznanym nam gatunków. Widziałem rysunki sporządzone przez uczonych, przedstawiające wygląd tych stworzeń. Świat może się spokojnie bez nich obejść – były to potwory, jakie trudno sobie wyobrazić: z rogami i kłami. A ich kości leżały tam, gdzie padły – w środku miasta, którego nie ma na żadnej mapie. Wygląda na to, że zginęły w ostatniej walce. Ale z kim?

Stenwold zadrżał, wymazując z myśli nieprzyjemne wizje.

– A konkluzja? – zapytał.

– Konkluzja jest taka, że są na świecie cuda, których nie znamy. Nawet ci morscy są z nami bliżej spokrewnieni niż żyjące kiedyś w tym mieście martwe rasy. Nasi strażnicy są tak do mnie podobni, że muszę przyjąć, iż stanowią jakąś gałąź mojej rasy. Ustalmy więc, co właściwie wiemy na ich temat, a wtedy może pojawi się jakieś rozwiązanie.

– Wiemy bardzo niewiele – odparł Stenwold ze smutkiem. – Nie wiemy nawet, dlaczego nas pojмали. Nas, którzy nawet nie wiedzieliśmy o ich istnieniu.

– Zaczynaj od szczegółów – zaproponował Teornis. –

Popatrzmy na naszą obecną kwaterę. Z czym ci się kojarzy to miejsce?

Stenwold znów zmarszczył czoło, kładąc dłoń na najbliższej kolumnie. Poczł pod nią gładki kamień, który wyglądał tak, jakby kiedyś miał płynną postać, po czym zakrzepł.

– Nie ma szczerb – zauważył. – To wszystko jest wykonane z jednego kawałka.

– Widziałeś kiedyś rzeźby turkuciovców? – zapytał

Teornis. – Potrafią tak budować za pomocą swej sztuki.

– Jaskinie – odezwał się niespodziewanie Laszlo.

Zaintrygował ich, więc rozwinął myśl: – Widziałem morskie jaskinie podobne do tych. Nie wiem, jak powstają, ale ma się wrażenie, że kamień kapie z sufitu. Pojawiają się kolce i kolumny

wszelkiego rodzaju, jakby materiał zamarzał. Tylko że nie założyłbym się, że nasze cele powstają w taki sam sposób.

– Morskie jaskinie... – Stenwold poczuł irracjonalny przypływ nadziei. – Czy to możliwe, że my... Na wschód i zachód od Kolegium jest bardzo długa linia brzegowa, w której powinno być też mnóstwo jaskiń – wyjaśniał, choć rozum podpowiadał mu, że sala, którą widzieli przez chwilę, była zbyt duża jak na jaskinię ukrytą w jakimś klifie. – Być może znajdujemy się niedaleko Kolegium i gdyby udało nam się wyrwać na wolność...

– Nie liczcie na to.

Nieznajomy głos sprawił, że cała trójka natychmiast zamilkła. I choć jego właścicielka akcentowała wyrazy tak jak porywacze, to nie mówiła do nich z góry, ale z dołu. Z którejś z cel.

Stenwold próbował przeniknąć wzrokiem ciemności, ale dostrzegł wyłącznie zarysy postaci Teornisa i Laszlo, nikogo więcej. Najwyraźniej Teornisowi też się to nie udało, bo zażądał ostro:

– Proszę się pokazać.

Maker nie zobaczył niczego, ale usłyszał, jak Laszlo gwałtownie łapie powietrze.

– Jesteście lądowymi? Naprawdę? – przemówiła ponownie.

– Tak, moja pani, jesteśmy – potwierdził Teornis z zauważalnym szacunkiem w głosie. – Jestem lord wojny Teornis z Aldanraelich, a to mistrz wojny Stenwold Maker z Kolegium. Jego towarzysz jest mi nieznany.

– Laszlo z *Wolnego od Pływów* – wydusił z siebie muszec, nie chcąc być gorszy. – Milady, miło mi cię poznać.

Stenwold zauważył nieznaczny ruch i stwierdził, że cień musiał należeć do niej.

– W takim razie ja jestem Paladrya – odparła prosto. –

Wszystkie tytuły mi odebrano i mogę jedynie przeprosić, najszczerzej przeprosić, za to, co was spotkało za moją sprawą.

– O czymże pani mówisz, *bella* Paladrya? – zapytał

Teornis cicho.

– To, że tu jesteście, to moja wina – wyjaśniła. – I z mojej winy także wasz lud jest w niebezpieczeństwie.

Wszystko, co was tutaj spotka, spotka was przeze mnie.

OSIEMNAŚCIE

Kiedy objął władzę w kolonii Hermatyre i rozwiązał

wszystkie swoje problemy, poprosił budowniczych, by otworzyli fragment tego przedsionka, tak aby mógł widzieć wodę.

Dzięki swym umiejętnościom i sztuce rozpuścili substancję azylu i w jednym miejscu zostawili przezroczystą membranę, tak że w końcu ich pan i władca mógł spoglądać na swoją rozległą dziedzinę. Choć w rzeczywistości budowniczym oczywiście nie mieli nad sobą żadnych panów ani władców, tylko trzymali się jakiegoś nieznanego planu czy projektu, który nakazywał im tolerować wszystkich intruzów – obligatorystów – mieszkających pod stworzonym przez nich dachem. W tych nielicznych momentach historii Hermatyre, kiedy jakiś admirał rozdrażnił budowniczych, jego rządy kończyły się od razu i nic nie dało dociekanie, jakie popełnił błędy. Dlatego admirał Claeon, podobnie jak inni przed nim, kroczył ostrożnie ścieżką, której granic nigdy nie pozna. *Ale zdobyłem ten tron i codziennie muszę robić wszystko, by go utrzymać.* Przypomniało mu się imię Rosander i skrzywił się. *Gdyby wszystko potoczyło się inaczej, zostawiłbym tę jego małą główkę rybom, by ją wyczyściły.* Ale Rosander był złem koniecznym, które – jak mu się wydawało – z dnia na dzień będzie wymagać nakładu coraz większych sił i środków, by nad nim zapanować. *Lecz teraz mamy lądowych i wszystko się zmieni. Rosander dostanie swoją wojenkę i zniknie mi z oczu.*

Przez membranę widział pod sobą plamiste dno morza, które rozciągało się dalej, niż mógł sięgnąć wzrokiem. Było niezwykle urozmaicone, ponieważ poza granicami Hermatyre, nakreślonymi przez budowniczych, znajdowały się posterunki strażników, a jeszcze dalej rozciągały się pola wodorostów, farmy homarów i inne kompleksy zapewniające mieszkańcom Hermatyre wszystko, czego potrzebowali do życia. Oczywiście budowniczym z tego nie korzystali, gdyż byli samowystarczalni i zupełnie nie dbali o tych, którzy musieli żyć w wytworach ich sztuki. Dlaczego więc nas tolerują, skoro nas nie potrzebują? – to pytanie dręczyło wszystkich admirałów od pierwszego włącznie.

Coś potwornego i wielkiego przesunęło się przed jego oczami, zasłaniając widok z farmami i zarysami budowli. Claeon czekał, aż olbrzymi lewiatan zewrze ponownie w węzeł

ramiona i workowate, pasiaste ciało, po czym podpłył bliżej i przycisnął żółtawe ślepie do jego okna. Była to jedna z jego prywatnych rozrywek. Jego lud nie mógł podpływać bliżej do przezroczystej membrany i zerkać na swego władcę, a straż pilnowała tego rozkazu. Ale niektórych stworzeń w Hermatyre nie obowiązywały żadne prawa. Właśnie w tej chwili Arkeuthys dawał Claeonowi do zrozumienia, że ma ochotę na rozmowę.

Claeon wiedział, że inne rasy porozumiewają się za pomocą sztuki mowy. Ich pobratymcy byli głupimi zwierzkami o prostych potrzebach i łatwo było nimi kierować, łajając ich i wydawać im polecenia. Lud Claeona zaś zawsze miał bardziej złożone relacje ze swymi stworami, gdyż umysły wielkich ośmiornic z rafy były równie skomplikowane jak ludzkie, a Arkeuthys... Arkeuthys miał grubo ponad sto lat i był największym, najmądrzejszym i najbardziej starożytnym stworzeniem swego gatunku oraz niekwestionowanym przywódcą swego ludu. I kolejnym złem koniecznym, bez którego Claeon nie znalazłby się w tym miejscu.

– *Prowadzisz niebezpieczną grę.* – Rozbrzmiewający pod czaszką Claeona głos króla ośmiornic

przypominał trące o siebie kamienie w głębinach morskich.

Zwykle to ludzki umysł otwierał kanały dla sztuki mowy, ale Arkeuthys widział całe pokolenia odchodzące w niebyt i rozumiał ludzi lepiej, niż oni sami pojmowali siebie.

– Bo muszę – wyszeptał Claeon, wiedząc, że Arkeuthys odbierze jego myśli: mimo rozdzielającej ich membrany i wody odczyta je z ruchu jego ust.

– *Ci więźniowie...*

– ... są bezpieczni.

– *Nie martwi cię, że posunąłeś się za daleko?*

– Jestem tu, gdzie jestem, bo umiem podejmować ryzyko. Wiesz przecież.

– *Wieści o schwytyanych lądowych rozniosły się już po całym mieście.*

Claeon zmarszczył brwi.

– Jak to możliwe? Przecież podjąłem wszelkie środki...

– *Zostawiłeś swoich ludzi i ludzi nauarcha przy życiu.*

Byli świadkami, a wy, ludzie, uwielbiacie rozmawiać.

Myślę, że teraz każdy rozprawia już o nowych więźniach admira. Lepiej szybko ich wykorzystaj.

Claeon pokiwał głową.

– Ale jesteś ich całkowicie pewien, prawda?

– *Dwóch z nich to przywódcy, trzeci to tylko utrapienie.*

Edmir wpatrywał się w poziomą szczelinę-źrenicę Arkeuthysa.

– A skąd znasz przywódców lądowych?

– *Potrafię ich rozpoznać po postawie – mella ciężko słowa ośmiornica.*

Claeonowi mina nieco zrzędła, bo wydawało mu się, że usłyszał w tych słowach cień przygany. Czy on, Claeon, wygląda na przywódcę ludzi? Arkeuthys milczał w tej sprawie, a spytanie o to wprost świadczyłoby o słabości.

– Zobaczymy, co da się z nich wydusić i czym później nakarmimy Rosandera. – Uśmiechnął się niespodziewanie, błyskając zębami na tle czarnej brody – A ty? Czy nie zastanawiałeś się nad legendarnymi lądowymi?

– *Czymże oni są dla mnie czy dla mego ludu. ? Mniej niż niczym* – nadeszła odpowiedź Arkeuthysa. Wielkie ciało skonsolidowało się w ramie okna Claeona. – *Edmirze, nadchodzą kłopoty. Wyczuwam zmianę prądów. Nie daj się zaskoczyć.*

Nagle olbrzymie cielsko zaczęło się oddalać w wirze kończyn w kierunku otwartego morza, rzucając rozczapierzony cień na spokojny, wręcz idylliczny podwodny krajobraz.

Po chwili do komnaty weszła sługa i skłoniwszy się, czekała, aż się do niej zwróci. Była mątwopodobna, a jej bladą skórę pokrywały teraz czerwonobrazowe piegi, pulsujące lekko wraz z jej oddechem. Claeon spojrział na nią władczo – należała do ładniejszych jego podwładnych, a do tego była bystrzejsza niż przeciętni przedstawiciele jej rasy; przynajmniej na tyle, by wiedzieć, że pan powinien być zadowolony.

– Co cię sprowadza?

Staął na tle wielkiego okna, za którym rozciągało się jego dominium.

– Posłaniec od litoralistów czeka na posłuchanie. To Pellectes, Wasza Eminencjo – oznajmiła, skromnie spuszczać wzrok.

Podobnie jak wszyscy mątwopodobni była drobnej budowy, o zaokrąglonym i miękkim ciele, a naturę miała, jak się spodziewał, równie namiętą i wyrazistą jak wszyscy przedstawiciele jej gatunku. Nie potrafił przypomnieć sobie jej imienia, ale przecież była to drugorzędna sprawa; podobnie jak to, że sprawdziła się w funkcji majordomusa, do której wyznaczył ją przed trzema miesiącami. Wytrwała na tym stanowisku dłużej niż trzy ostatnie razem wzięte. A Claeon nie tolerował nawet drobnych potknięć. *W końcu po co człowiek stara się zostać admirem, skoro później głupcy mogą zniweczyć jego wszystkie starania? A propos głupców...*

– Litoraliści mogą zaczekać, aż ich koral porośnie –

warknął i zobaczył, jak jej skóra pod wpływem ostrego tonu błękitnieje i pokrywa się wirującymi zielonymi plamkami.

Pellectes oczywiście chciałby oddać lądowych bezpośrednio im, ale Claeon nie potrzebował już litoralistów.

Jedno zło konieczne traci właśnie rację bytu. A on miał tylko jedną odpowiedź na to.

– Poślij strażnika po przedstawiciela więźniów, z którym będę mógł rozmawiać. Zobaczę, jak tańczą te stworzenia – rozkazał słudze.

Miała na imię Haelyn, przypomniał sobie. Będzie musiał ją zatrzymać, kiedy tylko przekaże jego rozkaz. I nie będzie to pierwszy raz, a ona będzie z tego zadowolona – czy też przynajmniej na tyle mądra, żeby nie okazać, iż jest inaczej. Dzięki temu wprawi się w odpowiedni nastrój do torturowania lądowego.

– Twoja wina, pani? – zapytał Stenwold, starając się przyjrzeć Paladryi.

– Nie mogę niczego naprawić – wyznała łamiącym się głosem. – Wyświadczyć mi jedną tylko przysługę, o lądowy.

Powiedz mi, czy dobrze się miewa.

Było to tak nieoczekiwane pytanie, że nawet Teornis nie miał na nie gotowej odpowiedzi. Ponieważ więc cisza się przedłużała, zaczęła ich błagać:

– Proszę, powiedzcie mi, czy nic mu nie jest. On... on przecież nie mógł zginąć. – W jej głosie pojawiła się nuta rozpacz.

– Pani, nie wiemy, o kogo pytasz – zaczął łagodnie tłumaczyć Teornis.

– Ale to on musiał was wysłać... – Słowa zamarły jej na ustach. – Skoro nie jesteście od Aradoklesa, to dlaczego się tu znaleźliście?

– Bardzo dobre pytanie, ale odpowiedź tkwi pod falami, nie nad nimi – odparł pająkowiec.

– Zostaliśmy porwani z naszego statku przez morskiego potwora – wyjaśnił Stenwold drżącym głosem. Nawet myśl o tej chwili, gdy ramię potwora zacisnęło się na jego nodze, a on poczuł szarpnięcie i woda zamknęła się nad jego głową...

– W takim razie rozumiem, że nie jest to więzienie przeznaczone wyłącznie dla lądowych – zauważył przytomnie Teornis. – Jak mniemam, jest pani miejscowa. Czyżby jednak morscy tak bardzo szanowali prawo, że jest pani ich jedynym więźniem? Co sprawiło, że musi pani znosić nasze towarzystwo?

Stenwold widział ją teraz nieco lepiej. Dzięki bladej cerze odcinała się w ciemności, bo wątle światła obmywały jej skórę. Podobnie jak wszystkie morskie ludy miała na sobie bardzo skąpe odzienie – jedynie kilt i przepaskę wokół piersi.

Była wychudła, a jej zachowanie świadczyło o tym, że cierpi i jest bezradna.

– To jest prywatny loch naszego admira – wyjaśniła. –

Te cele przeznaczone są dla tych, których należy zachować przy życiu, ale w odosobnieniu, gdyż są zbyt niebezpieczni, by cieszyć się wolnością. Jestem tutaj, gdyż zdradziłam admira, mimo to... mimo to nie zdobył się na to, by mnie zabić.

– Ten admira to jest jakiś wasz pan, tak? Władca tego miejsca? – naciskał Teornis, a Stenwold musiał wyciągnąć szyję, by zobaczyć, jak kiwa głową. – A co to za miejsce? – nie odpuszczał pająkowiec. – Jak je zwą?

– Kolonia Hermatyre – odpowiedziała im, najwyraźniej sądząc, że to wszystko wyjaśnia.

– Miasto? – zapytał Teornis, a ponieważ milczała, dodał: – Dużo ludzi mieszka w tej waszej kolonii?

– Och, tysiące – odrzekła. – Hermatyre jest największą ze wszystkich kolonii, nie licząc łańcucha bentoników.

– Cóż, któż by ich liczył – skomentował Teornis, nie mogąc wyjść z zaskoczenia. – Wybacz pani nam te wszystkie pytania, ale jesteśmy tu obcy, w dodatku trafiliśmy tutaj jako więźniowie, a pani jest pierwszą osobą, która zaszczyciła nas miłym słowem.

– Dlaczego obwinia się pani za to, że się tu znaleźliśmy?

– przerwał mu Stenwold, być może nieco grubiańsko. – A może jednak zmieniła pani zdanie, skoro nie przybywamy od tego... Aradoklesa, czy jak mu tam na imię.

– Jestem winna – potwierdziła ze smutkiem. – To ja zwróciłam uwagę admira na ląd. Naraziłam na niebezpieczeństwo nie tylko was, ale wszystkie wasze rasy...

– przerwała trwożliwie i Stenwold też usłyszał jakiś ruch na górze.

Na jego oczach Paladrya wyblakła, a jej skóra poszarzała do tego stopnia, że zgubiła się w mroku, wtapiając w kamień.

Co jej to da, skoro wciąż tkwi w celi? – pomyślał, choć zgadywał, że sztuka ukrywania się pojawiła się u niej odruchowo i była jej ostatnim mechanizmem obronnym przed kolejną chłostą albo czymś jeszcze gorszym.

Do pomieszczenia nad ich głowami wszedł oddział

morskich, którzy zaglądali przez kratę – czterech mężczyzn i kobieta. Ich złote ozdoby połyskiwały w skąpym świetle, odcinając się wyraźnie od rybiej białej skóry i błyszczących czarnych włosów.

– Lądowi! – zawołał jeden z nich.

– Słyszemy cię – odparł Teornis.

– Ty jesteś tu najważniejszy? – zapytali go.

– Nikt inny – Teornis rzucił Stenwoldowi ostrzegawcze spojrzenie, prostując się z godnością, jakby chciał mu przekazać: „Stawię temu czoło bez względu na ich intencje”.

A żukowiec zastanawiał się, czy męstwo pająkowca nie wynikało ze smutnego losu Arianny, za który chciał się teraz zrehabilitować.

Morscy podciągnęli kratę i Stenwold odnotował, że jedynie waga utrzymywała ją na miejscu – nie wyposażono jej w żadne zamki czy rygle. Zastanowił się, czy udałoby mu się podważyć ją ramieniem, gdyby zdołał się wspiąć na taką wysokość.

Teornis wyciągnął ramiona w górę, a oni bezceremonialnie złapali go za nadgarstki i wyciągnęli z celi.

Pająkowiec nogami zaparł się o ścianę, by nie szurać brzuchem po szorstkiej powierzchni, po czym stanął między nimi niczym wielki pan pośród sług, tak że przez chwilę tamci zawahali się, zbici z tropu. W końcu dowódca walnął go na odlew w głowę, a drugi posłał mu takiego kuksańca, że Teornis aż się zatoczył, i wywlekli go gdzieś dalej.

Stenwold miał nadzieję, że wielka zaradność pozwoli przetrwać pająkowcowi to, co go czekało. *Ależ, drodzy państwo, to przecież Teornis z Aldanraelich. Wróci tutaj w lektyce niesionej przez tuzin dziewic* – ale nawet w myślach kpina ta zabrzmiała dość blado, bo Teornis – jeszcze wczoraj jego wróg – stał się niemal jedynym, oprócz Laszlo, jego łącznikiem ze światem ponad wodą.

Laszlo dobył z siebie przeciągłe westchnienie.

– I tak zostało ich dwóch, misz-Maker. Myślę, czy nie rozejrzeć się po tym całym miejscu odosobnienia, zanim mnie też tak wyciągną.

Stenwold skrzywił się cierpko.

– Doskonały plan, Laszlo. Może też pójde z tobą, tylko muszę podłapać trochę turkuciowej sztuki, by przejść przez te ściany.

– Sztuka muszców bije inne na głowę – oznajmił

młodzieniec. – Ale przecież rozmawialiśmy z damą. Hej, proszę pani, jest pani tam jeszcze?

Stenwold wiedział już, czego ma wypatrywać, i rzeczywiście po chwili zobaczył, jak Paladrya zyskuje barwę i znów pojawia się w swej bladej formie. Przypominało to sztukę Danaen, która umiała trwać w takim bezruchu, że Stenwold nie mógł jej zauważyć – kamuflaż.

– Jestem tutaj – powiedziała.

– Co się stanie z Teornisem? – zapytał Stenwold.

Spuściła wzrok.

– Nie potrafię powiedzieć, bo nie wiem, czego od was chcą. Prawdopodobnie wezmą go na tortury, jeśli tak zadecyduje edmir, albo gdy zaczną podejrzewać, że ma coś wspólnego z Aradoklesem.

– Nic o nim nie wiemy – oznajmił Stenwold. – Niby dlaczego mielibyśmy?

– Ponieważ kilka lat temu zabrałam go na brzeg i wysłałam do waszej krainy, żeby mógł uciec przed edmirem.

Miałam nadzieję, że wróci, być może z armią lądowych, ale nic takiego się nie zdarzyło. Dlatego sądziłam, że wy... że wysłał was tutaj.

Stenwold zrezygnowany pokręcił głową. *Ludzie to mają problemy*, pomyślał.

– Gdybym stąd wyszedł, to dokąd bym trafił? – wtrącił

się Laszlo.

– Znajdujemy się pod pałacem admira – wyjaśniła. –

Jest tu mnóstwo tuneli i kilka kwater jego najbardziej zaufanych sług. Są też sale przeznaczone dla jego rozrywki.

Położyła szczególny nacisk na ostatnie słowo i Stenwold od razu zrozumiał: tortury. Spojrzał na Paladryę i dopiero teraz zauważył, że ona również je odwiedziła.

– A dalej? – naciskał Laszlo.

Kiedy spojrzała na niego, cień uśmiechu pojawił się na jej ustach.

– A potem, malutki, wyszedłbyś do głównych sal pałacu, a stamtąd byłby już tylko krok do katedry admira i całego Hermatyre, jeśli byś wiedział, gdzie albo do kogo chcesz pójść.

Laszlo pokiwał głową, najwyraźniej poważnie analizując ten pomysł.

– Nasi gospodarze byli tak mili i dali nam peleryny. Czy bardzo bym się w niej tam wyróżniał? Widziałem kilku gości mniej więcej mojej postury, kiedy patrzyliśmy na to wasze...

targowisko.

– Można by cię wziąć za dziecko mózgowców albo za jednego z małoszczypowców – zastanawiała się Paladrya. –

Chociaż ty masz włosy, a żaden ze szczypowców ich nie ma.

Stenwold mrugał ze zdumienia, słysząc te nazwy, ale Laszlo tylko wzruszył ramionami.

– Będę się starał zakrywać głowę – powiedział. – A teraz sprawdźmy tę kratę.

Stenwold stanął z ramionami założonymi na piersiach i patrzył, jak w mroku zatrzepotały skrzydła Laszlo i uniosły go do wyjścia, tak że mógł się wczepić rękami w kratę.

Paladrya z zaskoczenia gwałtownie wciągnęła powietrze.

– To jest twoja sztuka? – zapytała z podziwem. – Ależ to niesłychane, niemożliwe...

– Droga pani, to tylko latanie – odparł Laszlo beztrąsko.

– Myślę jednak, że pani koledzy z góry nie spodziewali się, że mogę znaleźć się pod szyjką tej butli.

Skreślił się tak, że jego stopy natrafiły na coś w końcu na ścianie i mógł naprzec z całej siły na kratę. Zawisł pod nią w bezruchu, dysząc ciężko, po czym zafurkotał skrzydłami i przywarł całym ciałem

do niej.

Nawet nie drgnęła. Równie dobrze mógł próbować rozgiąć kamienne kolumny. Padł wyczerpany na podłogę z wyrazem zaskoczenia na twarzy.

– No, myślałem, że chociaż drgnie. Ile toto waży? –

wysapał.

– Włazy mają wodne rygle – wyjaśniła Paladrya. – Jeśli się nie zna sztuki ani nie wie, gdzie pociągnąć, nie otworzą się. Przykro mi.

– Sztuki? – powtórzył Laszlo ponuro.

– Sztuki mózgowców – potwierdziła. – Sztuki uchwytu.

Stenwold przypomniał sobie uścisk dłoni strażników, po których zostały mu pręgi na ciele i podarte odzienie. Laszlo zaklął ze złości i choć jego pewność siebie znikła, Stenwold był przekonany, że za chwilę znów podleci do kraty i zacznie w nią walić, żeby wydostać się z celi.

Po chwili usłyszeli podniesione głosy i nagle nad ich głowami pojawiła się grupa ludzi, z których kilku stawiało naprawdę ciężkie kroki. Byli to strażnicy – i to nie sami.

Czterej mężczyźni starali się powstrzymać nowo przybyłą trójkę, ale byli zdecydowanie mniejsi od nich. Postać na przedzie była olbrzymia, ponad dwa razy większa od strażnika i okryta półokrągłymi, zachodzącymi na siebie płytami. Nie było słyhać zgrzytania metalu, więc Stenwold doszedł do wniosku, że to pancerz chitynowy albo z jakiegoś tutejszego i nieznanego mu materiału. Nie dostrzegł nawet skrawka gołego ciała mężczyzny – od podkutych segmentowanych butów przez masywne naramienniki aż po zadziwiająco mały hełm, w którym była tylko wizura.

Strażnicy krzyczeli coś do niego, starając się zagrozić mu drogę, ale też najwyraźniej unikając przy tym przemocy.

Wielkolud mimo to parł tylko naprzód, stawiając jeden potężny krok za drugim, aż stanął przy samej rampie z włazami. Uniósł oba ramiona na wysokość barków i wartownicy wycofali się pospiesznie, ponieważ z obu jego rękawic wystawały wygięte do przodu jak haki szpony, sterczące z kłykci na dobre piętnaście centymetrów.

Za wielkoludem, niemal w jego cieniu, stała dwójka jego towarzyszy. Jedna z postaci była wzrostu muszca, w jakimś krótkim fartuchu, ale z łysą czaszką i garbem. Druga –

normalnego wzrostu, szczupła, muskularna i również łysa, z jakimiś naroślami wystającymi z pięści.

– Ośmielacie się sprzeciwiać rozkazom admira? – łajał

ich strażnik. – Wydaje się wam, że będzie patrzył spokojnie na bunt w kolonii?

– Nauarch chce tylko porozmawiać z lądowymi. Czy to źle? – odezwała się najmniejsza postać, która najwyraźniej tu dowodziła.

Stenwold aż podskoczył, bo rozpoznał ten głos – to ona przywiozła ich tutaj w ciasnym podwodniku. Wyciągnął

szyję, żeby lepiej wszystko widzieć. U jej pasa coś wisiało, jakieś zawiniątko, ale kiedy przyjrzał mu się dokładniej, pomyślał, że to zwykła kieszeń na narzędzia. *Pojętna*, stwierdził. *Ale czy tylko ona?*

Strażnicy w kiltach i barbarzyńskich ozdobach nie byli raczej kandydatami na inżynierów, podobnie jak dwaj jej towarzysze. Kiedy patrzył z balkonu na zatłoczoną przestrzeń przed sobą, nic nie sugerowało znajomości przemysłu. Bo niby jak? Pod wodą? Ale ten statek... Ktoś go przecież zbudował. Może jakiś odszczepieniec, samotnik?

– Nauarch może sobie najwyżej wylinkę zrzucić –

warknął jeden ze strażników, ale chyba pochopnie, bo w jednej chwili smukły, łysy mężczyzna walnął go w szczękę tak, że aż głowa mu odskoczyła i osunął się pozbawiony świadomości na swoich kompanów, a ci pozwolili mu opaść na ziemię.

Ale już stali gotowi do walki z zakrzywionymi nożami w dłoniach, choć na tle opancerzonego wielkoluda i mężczyzny z kolcami na pięści wyglądali nędznie.

– Jeśli zabijecie nas, sługi admira, to nie będziecie mogli więcej postawić nogi w kolonii – dostrzegł to również jeden ze strażników i próbował pokonać przeciwników sprytem.

– Cóż to by była za niepowetowana strata – zakpiła kobieta. – Wasz admira powiedział coś do mnie, kiedy przywoziliśmy tu lądowych. Niektórzy z naszych chorążych chcieli wypełnić polecenie nauracha i zabrać ich z sobą od razu, ale stary Claeon powiedział, że mój Rosander nie będzie ryzykował zerwania sojuszu tylko dlatego, że zabito kilku naszych. Cóż, myślę, że to prawda, ale to działa w obie strony.

Admira prędzej rozedrze was na strzępy i wasze ścierwo wywiesi jak proporzec, niż zechce wszcząć wojnę z Rosanderem. Nie jesteście aż tak ważni, więc trzymajcie mordy na kłódkę i zejście nam z drogi. – Po raz pierwszy spojrzała w dół i ku rozgoryczeniu Stenwolda zwróciła się do muszka: – Ty tutaj rządzisz?

– Och, byłoby wspaniale – odparł Laszlo, wciąż nie mogąc dojść do siebie po nieudanej próbie ucieczki.

– Jestem mistrz wojny Stenwold Maker z Kolegium –

przemówił żukowiec, ściągając na siebie jej uwagę. Nie podobało mu się to, dokąd mogło ich to wszystko zaprowadzić, i jeśli mieli jeszcze zamiar potorturować kogoś z lądowych, to Laszlo nie będzie nadstawiał za niego pleców na ciosy knuta.

– To brzmi bardzo dumnie – zauważyła kobieta i wtedy Stenwold przypomniał sobie jej imię:

Chenni.

– Będę rad, mogąc pełnić funkcję ambasadora mego kraju przed twoim dowódcą – oznajmił.

Uśmiechnęła się złośliwie na te słowa.

– No, to pięknie, wasza miłość. – Znow gwałtownie podniosła głowę, spoglądając na strażników. – Otwierać mi to – rozkazała.

Patrzyli na nią przez jakiś czas posępnie – trzech, którzy jeszcze mogli stać – aż poddali się i zgodzili, by zabrano im więźniów z lochu. Ale pomagać jej w tym już nie mieli zamiaru.

– Nie ma chętnych? – ponagliła ich Chenni i po chwili westchnęła: – Cóż, chciałam z wami po dobroci.

Odsunęła się, robiąc miejsce dla wysokiego mężczyzny.

– Czyń swoją powinność.

Łysy pięściarz rozluźnił ramiona i rozruszał barki, po czym przykucnął przy kracie celi Stenwolda. Miał wielkie pięści pokryte chitynowym pancerzem z paskudnie wyglądającymi zakrzywionymi kolcami. Na oczach Stenwolda kolce te napięły się, wystrzeliwując do przodu jak sztylety, po czym schowały wolno z powrotem. Jeśli chodzi o broń wykształconą dzięki sztuce, był to jej najbardziej niezwykły i złożony wytwór, jaki widział.

Ale skupiwszy się na niej, nie zauważył ruchu.

Mężczyzna nad nim bowiem zmienił się w szarą plamę i nagle fragmenty rozbitej kraty poleciały mu na głowę, odbijając się boleśnie od czaszki. Przysiadł przy ścianie celi, zasłaniając się ramionami. Gdy się rozprostował, skonstatował ze zdziwieniem, że kamień był pusty w środku

– miały nieregularne otwory jak pumeks. Dlatego na miejscu musiały trzymać go wodne rygle...

Mężczyzna wyciągnął do niego opancerzoną dłoń.

– Lepiej, żebym nie musiał po ciebie schodzić – ostrzegł

go i choć Stenwold nadal nie posiadał się ze zdumienia, nie trzeba mu było tego dwa razy powtarzać.

Wyciągnął ostrożnie ręce i natychmiast poczuł siłę uścisku mężczyzny. Opancerzony gigant złapał towarzysza wpół i razem wydobyli Stenwolda z celi. Ostre krawędzie zniszczonego wejścia porwały mu ubranie i poraniły skórę, ale najwyraźniej jego nowych prześladowców nic nie obchodziła jego wygodą, bo rzucili go do stóp swej mikrej dowódczyni.

– Ktoś się chce z tobą spotkać, lądowy – oznajmiła Chenni, po czym poinstruowała swoich podkomendnych: –

Podnieście go, będziecie go eskortować. Wyruszamy zaraz.

DZIEWIĘTNAŚCIE

Kiedy tylko wyciągnięto Teornisa z lochu, znów włożono mu pelerynę i kaptur na głowę. Nawet się nie wrywał, czując, że jego prześladowcy mają wielką ochotę sprawić mu ból. Starał się nadażyć, kiedy skręcali czy schodzili w dół, ale dość szybko całe to Hermatyre wydało mu się dziełem jakichś szaleńców, bo po chwili już nie wiedział, gdzie się znajduje i czy czasem nie kręci się w kółko. Wyczuwał jednak obecność innych, więc albo robili przejście dla strażników, albo też poruszali się jakimś oddzielnym korytarzem. *Nie chcą, żeby ktokolwiek nas widział. Bez wątpienia lądowy wywołałby tu niemałe poruszenie.*

I był to kolejny aspekt tutejszego życia, który będzie mógł wykorzystać: uprzywilejowanie strażników i rola zwykłej ludności. Była to woda na jego młyn – i bardzo dobrze, bo od jakiegoś czasu ten młyn niewiele mell. Sporo spraw wyjawiał też Stenwoldowi i jego rodzina nie byłaby tym zachwycona. Wyobrażał sobie moment, w którym musiałby się z tego tłumaczyć – a matka albo najstarsza siostra patrzyłaby na niego gniewnie z góry. Na pewno usłyszałby:

„Zdradziłeś plany swojej rodziny wrogowi. To jawne sprzeniewierzenie się rodowi”. „Byliśmy uwięzieni w podmorskiej jaskini, bez szans na uwolnienie” – dał w myślach odpowiedź na to. „To nie jest dobra wymówka”, nadeszłaby sroga ocena i byłaby prawdziwa. Żeby tak nierozważnie paplać na prawo i lewo nawet wtedy, gdy wszystko stracone...

Ale też Stenwold Maker, ten zmućnie dążący do celu as wywiadu, nigdy by nie uwierzył, jaka siła pchnęła Teornisa do zwierzeń. Usłyszał jedynie jego beztroski głos i nie podejrzewał nawet, jak krucha była to powłoka kryjąca prawdziwe uczucia Teornisa z rodu Aldanraelich w tej poniżającej i najgorszej godzinie jego życia.

Rozpacz. Nie doświadczyłem wcześniej rozpacz. I nie jest to uczucie godne prawdziwego aristo. Próbował je zlekceważyć, ale owo obce mu doznanie wciąż ciężko spoczywało na jego ramieniu. Pierwszy raz poczuł jego dotyk na barce, kiedy uświadomił sobie, jak bardzo się pomylił w swoich kalkulacjach. Po tak długim czasie niczego nie rozumiałem. Czyżbym nie docenił żukowca? Nie, raczej go przeceniłem. Nie obawiałem się zdrady z jego strony i tym samym umknął mi fakt, że zdrada niejedno ma imię.

Zwabiono go na ten upiorny statek, gdzie modliszkowe ostrza przechytrzyły wszystkich. Och, miał jeszcze w odwodzie duży oddział waźkowców czekających na jego statku, którzy przylecieliby na barkę, gdyby coś było nie tak. Ale chodziło o coś innego. Został wyprowadzony w pole. Pomylił się podczas tańca. Było to takie niezręczne – i kładło się cieniem na jego starannie tworzonym od dwudziestu lat wizerunku.

A do tego jeszcze to ponure miejsce – ci surowi, okrutni ludzie. Z powodów, których nie rozumiał, stał się więźniem ludzi, o których istnieniu do tej pory nie wiedział. Został

wyciągnięty z jednego tańca do drugiego, którego kroków nie znał i który toczył się o najwyższą stawkę. On, Teornis z Aldanraelich, musiał tańczyć tak, jak mu inni zagrają.

Dlatego rozpaczał i dlatego zwierzył się Stenwoldowi Makerowi, który był jedyną znaną mu osobą w tym świecie.

A może jego rodzina zrozumiałaby, gdyby udało mu się ją przekonać, że ten gruby, łysiejący żukowiec był

równorzędnym przeciwnikiem i partnerem do tańca. Poza tym istniało jeszcze koleżeństwo między osobami płaszącymi na tym dziwnym parkiecie. Nie można nienawidzić wroga. Należy mu być wdzięcznym za to, że dzięki niemu warto żyć.

– Niech no ja go zobaczę – usłyszał czyjś głos i zdarto mu wraz z peleryną kaptur z głowy.

Pomieszczenie nie było duże, mniej więcej tej samej wielkości co komnata nad celami, i posiadało też znaną mu już konstrukcję: było pozbawione okien, z niskim sufitem, o nieregularnym kształcie. Ktoś jednak musiał się bardzo starać, meblując je. Na zielonkawych linach wisały tu konstrukcje z żółtawego, podobnego do kości tworzywa.

Teornis zauważył też stojak ze lśniącymi ostrzami wszelkich kształtów oraz drugi – z biczami o pojedynczych i rozdwojonych końcówkach. Zobaczywszy to wszystko, zaśmiał się, a jego prześladowcy, zaskoczeni, odsunęli się od niego. Zerknął na nich – niemal pajęcze twarze z podejrzliwymi minami. Ich dłonie spoczęły na rękojeściach noży, jakby nagle zaczął przedstawiać sobą niezwykle zagrożenie. Ponownie parsknął śmiechem.

– Cóż za radość – odezwał się ten sam głos.

Teornis oderwał wzrok od strażników, by spojrzeć na mówiącego, który siedział na krześle z muszli połyskujących macicą perłową. Był to ten sam mężczyzna, który pokazał im wcześniej podwodny targ – Teornis rozpoznał go po naszyjniku, efektownej pelerynie i złotej biżuterii. Był

potężnie zbudowany, szeroki w pasie, a jego broda i kędzierzawe włosy połyskiwały tęczowo od wonnych olejków.

Teornis spojrzał prosto w jego ciemne oczy, zauważając haczykowaty nos i zmarszczki świadczące o wrodzonym okrucieństwie. I doszedł do wniosku, że żaden prawdziwy pająkowiec nie pozwoliłby na to, by prawda o tych skłonnościach uwydatniła się na jego twarzy, tak łatwa do rozszyfrowania dla innych.

Mężczyzna podniósł się z krzesła i podszedł do Teornisa.

– Dlaczego ten widok cię bawi, lądowy? Wiesz, na co patrzysz?

Teornis odpowiedział mu wolno i wyraźnie, żeby tamten mógł zrozumieć obcy akcent:

– Kiedy znalazłem się w twoim mieście, sądziłem, że oto nadszedł najgorszy dzień w moim życiu. Ale jak się okazuje, zawsze można zejść jeszcze niżej.

Mężczyzna przyglądał mu się przez chwilę, nie dając po sobie poznać, że rozumiał jego słowa.

Tylko drgnął mu koniuszek ust. *Dobrze, można nad tym popracować*, pomyślał Teornis i zaraz został przywiązany do jednej z kościanych konstrukcji.

Musieli go przegiąć do tyłu, by zacisnąć mocno linę na jego kostkach i nadgarstkach, aż rama zatrzeszczała z wysiłku. I choć tego się spodziewał, starał się trzymać ich na dystans.

– Zastanawiam się, czy to zwykła rozrywka, czy ma związek z Aradoklesem? – strzelił na oślep, mając nadzieję, że dobrze zapamiętał to imię.

Mężczyzna z perłowym naszyjnikiem zamarł nad stojakiem z ostrzami. Nie patrząc w jego stronę, warknął:

– Skąd znasz to imię?

– Podała mi je kobieta z celi – wyjaśnił Teornis. – Czy w takim razie mogę już stanąć przed edmirem?

Mężczyzna odwrócił się na te słowa z nożem w dłoni.

– Ja jestem edmirem Claeonem, niepodzielnym władcą całego Hermatyre, lądowy. Radziłbym ci ostrożniej dobierać słowa.

Trójka porywaczy nawet nie starała się uchronić Stenwolda przed ciekawskim wzrokiem mieszkańców kolonii. Wielki opancerzony wojownik zabezpieczał tyły, więc jeśli żukowiec zwalniał, wpadał na jego szeroką pierś.

Szczupły, łysy pięściarz szedł na przedzie, a z każdego jego ruchu wiało śmiercią. Chenni dreptała obok Stenwolda, jakby była jego towarzyszką w podróży.

Patrz uważnie, powtarzał sobie w myślach Stenwold.

Zapamiętuj wszystko, co widzisz. Z rampy co chwila skręcali w tunele oświetlone jedynie przez fosforyzujące bańki. Raz czy dwa natknęli się na grupki przypominających pająkowców ludzi – w większości biednie ubranych, jedynie w przepaskach biodrowych, rzadko w biżuterii – które pospiesznie usuwano im z drogi, a one też nie stawiały żadnego oporu. Opancerzona postać za jego plecami zaś kroczyła tak miarowo, że Stenwold zaczął się zastanawiać, czy nie ma do czynienia z zaawansowaną technologią mechanicznego wojownika. Ale wtedy łysy na przedzie rzucił

coś, czego Stenwold nie zrozumiał, i spod hełmu z tyłu dobiegł go dudniący śmiech.

Szli teraz pod górę i Stenwold ślizgał się na gładkiej kamiennej powierzchni. W końcu stanęli w dużej komnacie podzielonej lukami przyporowymi zbiegającymi się na suficie na cztery części. Stało tutaj pół tuzina barczystych zbrojnych, którzy wyglądali, jakby szykowali się do bitwy. W bojowych szponiastych rękawicach dzierżyli zakrzywione sztylety i miecze o ciężkim sztychu, a jeden z nich trzymał nadziak, którego bijak wyglądał tak, jakby został zrobiony z dziesięciu kilogramów złota pokrytych brązem. Otaczali trójkę innych osób – dwóch z pająkopodobnej rasy i kobietę jeszcze innego gatunku, której skóra opalizowała bladymi barwami, głównie białą i niebieską.

– Ruszamy! – rzuciła do nich Chenni. – Podziękujcie tym ludziom za gościnę i już nas nie ma.

Wojownicy, zgrzytając zbrojami, wykonali zwrot i cała grupa ze Stenwoldem w środku zaczęła się pospiesznie, jak mu się zdawało, ewakuować. Ich broje zasłaniały mu widok i cały czas uważał, by nie wpaść twarzą na czyjeś zaokrąglone naramienniki. Pomimo potężnej postury wojownicy ci poruszali się nad wyraz szybko i sprawiali wrażenie, że niewiele rzeczy na świecie może ich zatrzymać.

– Zapewne nie mogę zapytać, dokąd idziemy? –

wykrztusił, nie wiedząc nawet, czy ktoś go słyszy.

– Do dowódcy – odparła Chenni gdzieś z góry i z tyłu.

Stenwold nie mógł się nadziwić, że taka drobna osoba potrafi uniknąć zdeptania, ale kiedy wyciągnął szyję, zobaczył, że siedzi na ramieniu jednego z członków kohorty.

– Ładowy, kiedy tam dotrzesz, może już nie będziesz taki ciekawy.

Wspaniale.

Wciąż szli przez wielką, bogato zdobioną salę i w pewnym momencie kątem oka dostrzegł nawet jakieś rzeźby stojące po bokach. Nagle rozległ się krzyk i dało się słyszeć odgłosy bijatyki. Zobaczył wysokich, szczupłych mężczyzn z włóczniami, których jego obstawa rozepchnęła bez większego trudu, on zaś wyczuł, że między innymi dzięki temu, że nikt tu tak naprawdę nie chciał wszczynać bitwy i wszyscy pozornie byli po tej samej stronie.

I wtedy znaleźli się na zewnątrz.

No, nie na powietrzu. Oczywiście, że nie. Na chwilę z powodu złudzenia nieograniczonej przestrzeni i światła zapomniał, gdzie jest. Ale zaraz zorientował się, że światło pochodziło z jarzących się półokrągłych punktów, których niebieskawy poblask sprawiał wrażenie naturalnego. Kątem oka dostrzegł wielu ludzi pierzchających przed jego eskortą, a wywodzących się z ras, których nie znał czy też wyglądających niemal znajomo, choć znać ich nie mógł.

Uchwycił widok przypominający targ albo obóz przejściowy dla uchodźców, który powstał w Sarnie podczas wojny. Nie potrafił rozróżnić typu zabudowań, bo szybko przemieszczająca się eskorta wywoływała takie poruszenie, że trudno było dostrzec coś poza nią.

Z tyłu ktoś krzyknął i czwórka wojowników zatrzymała się, by poczekać na idących ich śladem. Jednym z nich był

mężczyzna z nadzieją i Stenwold w końcu dobrze przyjrzał

się tej broni. Nawet w tym dziwnym oświetleniu zyskał

pewność, że była wykonana ze złota. I choć trudno w to było uwierzyć, widział tu już tyle złotych

ornamentów, że równie dobrze i ona mogła być z litego kruszcu. *A skoro morscy dysponują taką ilością złota, to niby czego mieliby szukać na lądzie?*

W myślach zganił się za to, że zaczął rozmawiać jak jakiś kupczyk z Helleronu. Przecież skoro mieli tyle złota, nie mogło być podstawą ich waluty. *Jeśli w ogóle mają jakąś walutę.*

Znów skręcili w sieć tuneli, przystając jednak i ścieśniając się, kiedy mijaly ich grupy bladoliczych mężczyzn.

Biała skóra tych osobników była misternie tatuowana, a ich twarze nie zdradzały nawet cienia uczuć. Było coś niepokojącego w ich milczeniu i zachowaniu – wydawali się palcami jakiejś niewidzialnej dłoni. I kimkolwiek byli, Chenni i jej wojownicy zamierali w bezruchu, kiedy ich mijali, najwyraźniej nie chcąc wpaść na nich.

Kiedy minęła ich kolejna grupa małych ludzi, Chenni się zdziwiła:

– A oni dokąd idą? Co ich tak wściekło?

– Nie warto się nad tym zastanawiać – odparł szczupły.

– Miejmy nadzieję, że to nas nie dotyczy.

Wkrótce potem zaczęli wędrować w dół – tylko – i wygląd mijanych sal pozostawiał coraz więcej do życzenia.

Nie było tu dużych targów, choć Stenwold widział wielu ludzi wyglądających jak kuzyni Chenni, którzy z rosnącym napięciem intensywnie im się przyglądali. Światła jarzyły się też słabiej i było ich coraz mniej, a oni wciąż szli w dół.

Jak duża jest ta kolonia? – zastanawiał się Stenwold. I gdzie jest morze? Gdzie znajduje się Kolegium?

Wkrótce na wprost eskorty zobaczył kolejnych ustawionych w szeregu opancerzonych wojowników, którzy jak drzwi rozstąpili się na ich widok, i wtedy otaczający go mężczyźni zaczęli się rozdzielać, odchodząc do swoich zadań.

Jedynie pierwsza trójka pozostała przy nim i odprowadziła go do długiego i niskiego pomieszczenia. Świeciła się tu pojedyncza lampa – szeroki dysk w suficie, w którym coś się delikatnie poruszało w środku – i dzięki niej Stenwold dostrzegł na końcu sali postać siedzącą na kamiennym tronie w kształcie kosza o gęstym splocie. Ta delikatnie wyglądająca rzeźba wydawała się zbyt krucha, by utrzymać mężczyznę trzykrotnie przewyższającego strażników, którego dodatkowo jeszcze powiększała zbroja.

Kiedy się do niego zbliżyli, Stenwold zauważył, że jego pancerz nie składał się z fragmentów muszli jak pozostałych wojowników, lecz został wykonany z jakiegoś jaśniejszego materiału. Wojownik nie włożył też hełmu, więc żukowiec widział jego wąską czaszkę, tak samo łysą jak u Chenni, wyraźnie zarysowane łuki brwiowe i szczękę, a na czubku głowy napinający skórę niski grzebień. Miał drobne

usta i nos, podejrzliwie spoglądające głęboko osadzone oczy i skórę o barwie starej kości.

– Szefie, ten tutaj jest mistrzem wojny lądowych czy coś takiego – oznajmiła Chenni. – Lądowy, oto Rosander, nauarch Taboru Tysiąca Kolców.

Rosander wstał, a zgrzyt jego zbroi nie przypominał

tarcia metalu o metal ani muszli o muszlę. Stenwold przyglądał mu się w milczeniu.

– Tylko tyle mają? – mruknął nauarch.

– Mieli jeszcze taką włochatą krewetkę mojego rozmiaru – oznajmiła Chenni. – Jego i tego grubego tutaj.

Gruby mówi, że on tu rządzi. Arkeuthys najpierw się przyjrzał i zabrał ich przywódców.

– Przywódców czego? – Rosander rzucił z pogardą, wbijając w Stenwolda pełne niedowierzania spojrzenie. –

Lądowy, dla mnie wyglądasz jak jakiś hodowca wodorostów z rodu gastropodowców.

Żukowiec rozejrzał się wokół. Strażnicy się odsunęli i stał teraz sam pośrodku sali. Wyprostował się.

– Miło mi zakomunikować, że nawet nie wiem, co to jest.

Niespodziewanie Rosander uśmiechnął się, ukazując żółte kwadratowe zęby.

– Jesteś przywódcą lądowych?

– Nie mamy jednego przywódcy – odparł Stenwold.

Rosander zdziwił się, słysząc te słowa, i koniuszki jego ust zdecydowanie opadły.

– Cóż, wiem, jak to jest. Opowiesz mi jednak, w co nie wątpię, o waszej broni i ilu zbrojnych możecie wystawić.

Może to trochę potrwać, ale w końcu opowiesz.

Stenwold zrobił krok w jego stronę, spodziewając się, że wartownicy zblizną się w gotowości, ale nic takiego się nie stało. I nie było w tym nic dziwnego, bo Rosander wyglądał

tak, że mógłby rozerwać go na pół swymi zakutymi w pancerz dłońmi. Wyciosane w czymś płyty jego zbroi błyszczały się w nikłym świetle i Stenwold zyskiwał coraz głębsze – lecz jakże absurdalne – przekonanie, że zostały wykonane z kamienia.

Kamienna zbroja? Jak można wyciąć zbroję z kamienia?

– Nauarchu Rosanderze – odezwał się, starając się naśladować intonację Chenni, która akcentowała środkową sylabę jego imienia. – Zdaje się, że masz wobec mego ludu jakieś wrogie zamiary. Jestem dyplomata, mężem stanu. A ponieważ pochodzimy z innych światów, światów, które do tej pory się nie zetknęły, nie rozumiem, skąd pojawiła się w tobie ta wrogość.

Starał się cofnąć, gdy w połowie jego przemowy ramię nauarcha wyciągnęło się w jego stronę, ale było już za późno, by uniknąć mocnego chwytu szczypców wystających z rękawicy Rosandera. Wielkolud przystawił jeden od dołu do nadgarstka Stenwolda, a drugi od góry.

– Na bentonicznych szczytach nie mamy czasu na subtelności – warknął Rosander. – Kiedy ktoś mnie obraża albo zawodzi, albo zagraża moim ludziom, ucinam mu rękę i zostawiam na pustkowiu. Więc nie mów mi, lądowcy, że nie ma między nami waśni.

Bardzo łatwo było sobie wyobrazić, jak Rosander jednym ruchem miażdży nadgarstek Stenwolda, ale żukowiec ani drgnął.

– W takim razie najwyraźniej jest między nami jakaś zadra – odparł spokojnie. – Powiedz mi, jak mogę ją zaleczyć.

Rosander zmarszczył ciężkie brwi nad głęboko osadzonymi oczami.

– Cóż, nie słyszałem jeszcze, żeby ktoś tak mówił –

zwrócił się do Chenni. – Może i jest lądowym, ale nie tego oczekiwałem. Czyżby mówił prawdę? Czyżby naprawdę zapomnieli?

Chenni wzruszyła zaokrąglonymi ramionami.

– Szeffie, sam pan rozumie: jak człowiekowi zabiorą, to pamięta. Ale jak człowiek sam zabierze, to jakoś pamięć szybko mu szwankuje.

– Co myśmy wam zabrali? – zapytał Stenwold na tyle stanowczo, na ile pozwalała mu sytuacja. – Dlaczego mielibyście wysyłać przeciw nam wojsko?

– Żeby odebrać – odparł Rosander zwięźle i widząc wciąż zaskoczoną minę Stenwolda, ciągnął: – Zabrać wszystko: dom naszych przodków, miejsce, z którego nas wygnaliście. Tak przynajmniej powiadają. – Przyglądał się twarzy żukowca, szukając potwierdzenia, ale Stenwold zapytał tylko:

– Kiedy?

– U początku historii, kiedy powstało siedem rodów –

odparł nauarch wolno, wymawiając tę nazwę z namaszczeniem. – Zostaliśmy zepchnięci do morza i uratowały nas tylko wodne bestie. Odnależliśmy swoją drogę.

Budowaliśmy. Podróżowaliśmy Żyliśmy wśród naszych gospodarzy. Ale żyliśmy w cieniu. Teraz zaś jesteśmy potężniejsi niż kiedykolwiek, potężniejsi niż wtedy, gdy twój lud wpędził nas w fale. My o

tym nie zapomnieliśmy. Zawsze mamy pod ręką litoralistów, którzy przypominają nam starożytne dzieje. – Na jego usta powrócił uśmiech prostokątnych zębów. – Niewiele mnie to obchodzi, lądowy, bo to dla mnie tylko historia, ale moi wojownicy niecierpliwiają się, a admirał obiecał mi wojnę.

Coś poruszyło się za ich plecami i Stenwold poczuł, jak uścisk na jego nadgarstku się nasila. Po ręce zaczęła mu ściekać wilgotna strużka. Nie odważył się odwrócić.

– Przynoszę posłanie od admirała – odezwał się kobiecy głos starający się zachować spokój.

– A ty jesteś.. – Rosander zwrócił się do nowo przybyłej.

– Nie, musisz być najnowszym zwierzątkiem Claeona.

– Jestem Haelyn, jego majordomus. Na razie.

Znów ten uśmiech.

– Aż się tobą znudzi?

– Zapewne, nauarchu, ale teraz wysłał mnie, żebym się wypytała o zbłąkanego więźnia, który uciekł z jego lochu.

– Czy użył dokładnie takich słów, dziewczyno?

– Formę pozostawił mnie.

Rosander zaśmiał się na to i kiedy jego zbroja zazgrzytała pod wpływem ruchu, Stenwold zyskał pewność, że naprawdę jest z kamienia. Przypomniawszy sobie, jak szybko ten człowiek sięgnął do jego dłoni.

– Rzeczywiście schwytaliśmy to dziwne stworzenie –

oznajmił nauarch, puszczając momentalnie nadgarstek żukowca, a ten zaryzykował zerknięcie w tył i stwierdził, że to być może ta sama kobieta, której wcześniej grozili zbrojni Rosandera.

Morscy bez oporów ciągnęli to przedstawienie:

– To stworzenie zdaje się odpowiadać opisowi więźnia –

potwierdziła Haelyn. – Na zewnątrz czekają moi ludzie, by je odprowadzić do lochu.

Człowiek Rosandera, który przybył tu z Chenni, nagle stanął za posłanniczką, zasłaniając sobą światło.

– Jesteś pewna, że admirał nie wolałby, bym go tu zatrzymał? Głupio robi, ufając tak swoim kazamatom, skoro tacy jak ten mogą bez problemu z nich wyjść.

Stenwold spostrzegł, że skóra Haelyn zapłonęła i zatańczyły na niej intensywne barwy.

– Niestety – odrzekła, patrząc Rosanderowi prosto w oczy – obawiam się, że byłby bardzo niezadowolony, gdyby tak się stało. – „Niezadowolony ze mnie”, krzyczała cała jej postawa.

Stenwold zerknął na nauarcha i wydawało mu się, że zauważa cień współczucia na jego pociągłej twarzy.

– Więcejś warta niż twój pan – zadudnił. – Zabieraj swego więźnia. Poinformuj Claeona, że wkrótce będę mówił z wszystkimi jego podopiecznymi. Jeśli nie, to znów wybuchną niepokoje na moim łańcuchu i znajdzie się mnóstwo powodów dla jego niezadowolenia.

– Dzięki ci, o nauarchu – odparła Haelyn i Rosander pchnął Stenwolda, niemal delikatnie, w jej stronę.

– Wasz admirał powinien zwiększyć straż w swoim lochu

– poradził Rosander. – Bo jeśli ucieknie mu kolejny więzień, możemy zacząć tracić do niego zaufanie.

Haelyn obrzuciła Stenwolda wrogim spojrzeniem, najwyraźniej dostrzegając w nim równie dziwne cechy, jakie on widział w jej świecie. Następnie ostrożnie obesła zwalistą sylwetkę wojownika, a żukowiec zrozumiał, że nie ma innego wyjścia, tylko musi pójść za nią.

DWADZIEŚCIA

Kiedy Stenwold wrócił do lochu, zauważył, że wymieniono już roztrzaskaną kratę i podwojono straż.

Zastanowił się, czy powstrzymałoby to Rosandera, gdyby chciał odbyć z nim kolejną pogawędkę. Strażnicy admirała opuścili go do celi pod czujnym okiem Haelyn.

– Gdzie jest Teornis? – zapytał, gdy znalazł się na dole.

Laszlo pokręcił ponuro głową.

– Jeszcze go nie przyprowadzili.

– Może to nigdy nie nastąpić – dobiegł go z ciemności widmowy głos Paladryi. – Admirał ma swoje...

pryzwyczenia. Mając do dyspozycji jeszcze dwóch lądowych, może chcieć sprawdzić wytrzymałość trzeciego.

Uważa, że czerpanie przyjemności z zadawania cierpienia innym jest prerogatywą władców. – Wyłoniła się z ciemności, a jej skóra straciła barwę kamienia.

Stenwold wycelował w nią palec, wyładowując na niej złość z braku innych obiektów:

– Ty! – warknął, aż cała się skuliła. – Zaczynaj mówić o tym, co może się nam przydać. – Kiedy mimo to milczała, dodał: – Na początek opowiedz mi o tym, jak to niby wygnaliśmy was w morskie odmęty.

– To bzdura – zgodziła się i była to ostatnia rzecz, jaką spodziewał się usłyszeć. – To tylko stare bajanie, którym nikt się nie przejmuje oprócz litoralistów. Już nikt oprócz nich w to nie wierzy.

– Wasz Rosander wierzy – odparował Stenwold ostro, ale już wypowiadając te słowa, stracił pewność. Rosander wykorzystywał tylko ten mit, a Stenwold potrafił rozpoznać fałszywy pretekst do podjęcia działań wojennych.

– Nie wiem, w co wierzy nauarch – odparła Paladrya pokornie. – Prawdę mówiąc, mogłabym podejrzewać, że kiedyś żyliśmy na lądzie, bo chociaż znamy sztukę oddychania pod wodą, to powietrze jest naszym naturalnym środowiskiem. Ale mieszkamy tutaj. Jeszcze nie tak dawno temu ktoś, kto sugerowałby, że powinniśmy się przenieść na ląd, musiałby się wynieść z kolonii, bo inni zabiliby go śmiechem, a tych całych litoralistów wszyscy traktowali jak nieszkodliwych wariatów. Ale teraz admirał im sprzyja i daje władzę, a ci, którzy się z nich śmieją, często źle kończą. I jest jeszcze Rosander – dodała. – Rosanderowi obiecano wojnę...

– Wojnę z moim ludem – potwierdził Stenwold.

– Jakąkolwiek wojnę, ale Claeon najwyraźniej w was znalazł wrogów godnych jego siły.

Stenwold błędził wzrokiem po twarzy Paladryi i bardzo się starał, żeby mu złość nie przeszła, ale wypisana na jej obliczu bezgraniczna przyzwoitość już zdążyła ją złagodzić, podpowiadając mu, że kobieta na nią nie zasługuje.

Westchnął głęboko.

– Proszę posłuchać, chciałbym się dowiedzieć kilku rzeczy, które dla pani są oczywiste. Kim jest admirał? Kto to jest nauarch?

O co chodzi w tej rozgrywce między Rosanderem i tym Claeonem? Jak w ogóle funkcjonuje to miejsce? Czy mogłaby mi pani to wyjaśnić bez zamącenia tego, co już wiem?

– Kiedyś byłam guwernantką – odparła Paladrya smutno.

– A ja byłem studentem. Dobraliśmy się więc jak w korcu maku...

– To jest kolonia Hermatyre. Są też inne kolonie, ale żadna nie leży w pobliżu. Morze... zapewne z ziemią jest inaczej, ale morskie dno jest przeważnie jałowe, opuszczone.

Trudno się żyje na tak wielkich przestrzeniach. Jest też niebezpiecznie. Dlatego za każdym razem, gdy budowniczy odnajduje kolonię, wielu przychodzi...

– Budowniczy? – przerwał jej Stenwold. – Proszę wyjaśnić, kto to. Wasi ludzie?

– Arketoi – odpowiedziała. – Budują kolonie warstwa po warstwie. Zawsze to robią. Gdy skończą, zaczynają od nowa. Dzięki nim wszystko istnieje. W zamierzchłej przeszłości zaczęli formować Hermatyre i wtedy przysłała moja rasa i wszyscy inni, wielkie rody. – Przyglądała się jego twarzy, szukając śladu zrozumienia. – Sposób na przeżycie –

mówiła dalej. – Nie jest łatwo żyć w otwartym akwenu.

Niewielu było takich, którzy radzili sobie sami. Ci, co mieszkają w kolonii, nazywają się obligatorystami.

– Czy to jakaś rasa? – zapytał zaskoczony Stenwold.

– Nie, nie. Ta nazwa oznacza wyłącznie sposób życia.

Obligatoryści żyją w koloniach wybudowanych przez Arketoi.

A nazywają się tak dlatego, że są zobligowani wobec Arketoi

– wszystko, co mają, zawdzięczają właśnie im.

– To są wasi władcy? A ten Claeon... ?

– Nie, nie – powtórzyła, nie mogąc sobie poradzić z jego krańcową ignorancją. – Oni ledwo nas zauważają. W ogóle nic ich nie obchodzimy. A już z całą pewnością nie rządzą nami. Po prostu tworzą przestrzeń, do której wpełzamy, by żyć, i pilnujemy się, żeby ich nie urazić. Gdy kolonia zostaje zaatakowana, na przykład przez hordy szkarłupniowców, walczymy na śmierć i życie, broniąc naszych domów. I być może tylko tego oczekują od nas budowniczości – że będziemy do końca bronić ich dzieł. Któż może zgłębić ich umysły?

– Ja nie potrafię zgłębić nawet pani umysłu – stwierdził

Stenwold cierpko, ale zaraz tego pożałował, widząc, jak się skuliła. – A więc Claeon nie jest architektem? Czymże więc jest? Jaka jest jego rola... i rola Rosandera?

– Claeon jest admirem. Admir rządzi kolonią czy też przynajmniej zamieszkującą ją populacją obligatorystów, przedstawicielami mózgowców, szczypcowców i wszystkimi innymi wielkimi rodami.

Stenwold patrzył na nią z uwagą, bo odniósł wrażenie, że Paladrya stara się ocenić, gdzie powinna zacząć. Takich błahych spraw mogła nauczyć nawet oseska, ale dla lądowych była to czarna magia.

– Pochodzę z rodziny mózgowców. Rasy z rodu mózgowców stanowią tu większość, w Hermatyre. Claeon jest mózgowcem, ale z rodziny królewskiej, i jest admirem kolonii. Ale w Hermatyre są też rasy rodów szczypcowców.

Rosander jest szczypcowcem, podobnie jak jego słudzy, którzy wyrwali pana spod kurateli Claeona.

Stenwold zaczął rozumieć.

– Rosander jest nauarchem jakiegoś tam... taboru?

– Taboru Tysiąca Kolców. Rosander i jego lud są nomadami. Przemierzają pustkowia, na których żerują i prowadzą handel. Zwykle przybywają do koloni takiej jak ta i po jakimś czasie znów odchodzą w ciemność, ale ludzie Rosandera żyją z nami już od pięciu lat. Sprowadził ich Claeon. Claeon trzyma ich tutaj.

– A oni zaczynają się niecierpliwić – zrozumiał

Stenwold. – Rosander ma swoich wojowników, tak? Jego lud jest waleczny z natury. I jak się domyślam, wasz niekoniecznie, dobrze mówię?

Pokiwała głową.

– Zaczynasz to rozumieć, lądowy. Claeon nakłonił

żyjących przy brzegach litoralistów, żeby porozmawiali z Rosanderem o jakiejś przedpotopowej głupiej waśni i ten zaczął planować podbój. Mówią, że już raz wyszedł na ląd.

Stenwold zadrżał. *Czy to poważne zagrożenie?*

Wyobraził sobie, jak giganci Rosandera stają naprzeciwko wojowników uzbrojonych w pukołuki. Jak mocne były te ich pancerze? I jak dalece mogliby spustoszyć port i wybrzeże, zanim ktokolwiek zorientowałby się, co się dzieje. *I skryliby się w morzu, zanim ktokolwiek zrozumiałby, co się stało... I uniknęliby kontrataku.*

Poczuł, że powinien powiedzieć coś pogrzipiającego w stylu: „Musimy coś zrobić” albo „Musimy się stąd wydostać”, ale świadomość niewykonalności tego zadania rosła w nim z każdą chwilą, bo utknęli w jakimś lochu pod pałacem nieznaney im kolonii nieznaney im podmorskiej populacji.

– Poznałem Rosandera – oznajmił. – Opowiedz mi teraz o Claeonie.

– Jest edmirem Hermatyre, uzurpatorem i tyranem –

odparła cicho. – A kiedyś był moim kochankiem.

Kiwnął tylko głową.

– Jak się spodziewam, wszystko się skończyło z chwilą, w której cię tu zamknął.

Zobaczył, jak jej blade dłonie chwytają za kraty celi.

– Nie, lądowy, skończyło się, kiedy odkrył, że go zdradziłam. Wtedy kazał mnie wychłostać i zgwałcić –

powiedziała to głuchym, beznamiętnym tonem. – Ale musi coś do mnie czuć, jeszcze teraz, bo tkwię tu od dwóch lat i nadal żyję. Nie połamał mi kości ani nie zranił mnie tak, żeby nie można było tego wyleczyć. – Jej głos zaczął się łamać, ale nawet na chwilę nie przerwała: – Z pewnością nie ma takich ludzi tam, skąd pochodzisz. Proszę, uwierz mi, z mojej rasy, ze wszystkich ras morskich Claeon jest najgorszy. Chociaż nie zawsze taki był. Kiedy żył jego brat... zanim poczuł pokusę...

był... zupełnie innym człowiekiem.

Stenwold chciał jej zadać jeszcze wiele pytań, ale widząc jej żal, nie miał serca, by dalej ją wypytywać.

Claeon ponownie wszedł do sali i widać było, że jest jeszcze bardziej wściekły. Teornis przygotował się. Przerwano im zaledwie po kilku razach pejcem, które starał się znieść po męsku i które ewidentnie były jedynie klapsami na powitanie u admira. A potem zostawiono go przywiązanego na tym koźle do chłosty, bo najwyraźniej coś się stało, co nie wróżyło dobrze jego zdrowiu i życiu. Claeon został gdzieś wezwany, a teraz, jak Teornis podejrzewał, był gotów już do bardziej konkretnej rozmowy, prawdopodobnie przy użyciu noży, którymi tak lubił się bawić. *Cóż, miałem swoją szansę, by przygotować odpowiednią przemowę.*

O admirze, myślał sobie. Sprawdźmy więc, czy moje umiejętności na coś się jeszcze przydadzą.

Najgorszym aspektem całej sytuacji było to, że czuł

wobec Claeona wyłącznie pogardę. Och, nie dlatego, że pająkowcy również czasem dla rozrywki brali kogoś na tortury. Lecz dlatego, że były one dla nich wyłącznie zabawą albo metodą przesłuchania upartego, acz bogatego w wiadomości więźnia. Gdyby więc teraz zamienili się miejscami i gdyby to Teornis schwycił ambasadora jakiejś nieznannej mu cywilizacji, który mógłby znać wszelkie tajemnice swego świata, nie marnowałby czasu na zaspokajanie swoich niskich ciągót do zadawania bólu. Albo kazałby zawodowemu męczycielowi wwiercić się w każdy nerw Claeona w celu wydobycia z niego wszystkich sekretów, albo też roztoczyłby przed nim swój czar, starając się pozyskać w nim stronnika rodu Aldanraelich. A ponieważ najwyraźniej admira nie należał do grona zwolenników tego drugiego sposobu, wszystko zależało od Teornisa.

Claeon patrzył na rozciągniętą postać pająkowca, ale myślami był gdzie indziej.

– Wiele bym dał – zamruczał – żeby mieć tu tego prostaczka Rosandera na mojej łasce i niełasce.

Teornis zaczerpnął głęboko powietrza. Plecy bolały go od pejcza, a stawy i mięśnie zaczynały piec od rozciągania. Z

łatwością jednak, wynikającą z długoletniej praktyki, wygnał

te niedogodności z umysłu, starając się przemówić nadzwyczaj miłym tonem:

– Jest jeszcze jeden, którego, jak sądzę, wolałbyś tu mieć, na moim miejscu.

Claeon podskoczył na te słowa i Teornis pomyślał: *Nie przywykł, żeby mięcho na raku zwracało się*

do niego.

Muszę działać szybko, zanim stwierdzi, że mogę się obyć bez języka.

– Mogę ci ściągnąć tu Aradoklesa. Czy to cię zadowoli, admirze?

W jednej chwili na twarzy Claeona pojawiła się niezwykła czujność.

– Nawet nie wiesz, kim on jest – stwierdził z ironią.

– To prawda, chociaż wiem, że ci uciekł i tym samym jest twoim wrogiem.

Claeon podszedł bliżej. Dłonią musnął rząd noży, tak że zadźwięczały, ale żadnego nie wybrał.

– Bez wątplenia wydaje ci się, że wysłę cię z powrotem na ląd w zamian za obietnicę, że wrócisz z chłopcem. Straszni z was prostacy.

Och, w rzeczy samej, pomyślał Teornis i odparł

łagodnie:

– Spodziewam się, że wysłesz wraz ze mną kilku swoich wojowników. Ale mogę ci dać coś więcej niż tylko to, żeby udowodnić moją dobrą wolę.

Jego rzeczowy ton, niezmacony strachem, błaganiami i wrzaskami, zaintrygował admira. *Moja rybka zaraz złapie haczyk.* Ale Claeon nie odezwał się, tylko skinął lekko głową, jakby zachęcając go, by mówił dalej.

– Pozwól mi, admirze, na snucie domysłów – ciągnął

Teornis. – Jeśli się pomylę, znajdujesz się w idealnej pozycji, by skorygować moje przypuszczenia.

Na ustach Claeona pojawił się lekki uśmiech, ledwo widoczny w bujnej brodzie.

– No to snuj domysły – zachęcił pająkowca.

– Twój potwór zabrał nas ze statku niedaleko pewnego miasta – kolonii – wybranego z całego naszego długiego wybrzeża. – Teornis wnikliwie przyglądał się twarzy admira, by sprawdzić, czy słowo „wybrzeże” z czymś się tu kojarzy. –

Dlaczego interesowało cię to jedno miejsce, skoro jesteś władcą morza? – dodał, stwierdziwszy, że Claeon z całą pewnością nie jest odporny na pochlebstwa. – Musiało tak być, bo masz tam jakieś sprawy? Ale jakie? Czy można je połączyć ze zniknięciem Aradoklesa?

– Widzę, że Paladrya zdradza mnie nawet w lochu –

warknął Claeon. – Za dużo z tobą rozmawia, a za mało ze mną, nawet kiedy goszczę ją w tej

komnacie. Utrzymuje, że nie wie, dokąd udał się chłopak, że zostawiła taką decyzję sługom, którzy z nim uciekli. Ale ta ziemiska kolonia jest najbliższą dużą osadą w pobliżu miejsca – jak wyznała – ich wyjścia na ląd. Dlaczego wasza kolonia nie ma poczuć mego gniewu, skoro ukrywa zbiegłych wrogów?

– No właśnie, dlaczego? – Teornis zmusił się do uśmiechu. – Szczególnie że to nie jest moja kolonia.

– Jaśniej proszę – warknął Claeon.

– Z ochotą. Moja kolonia leży bardzo daleko od tego miejsca, a między moim ludem i tamtejszym rozpoczął się spór. Twój potwór schwytał nas podczas rozmów ostatniej szansy. – Uśmiechnął się szerzej. – Widzę, że mi nie wierzysz, i na twoim miejscu też pewnie miałbym wątpliwości. – *A jeśli pewnego dnia ty znajdziesz się na moim miejscu, o edmirze, pokażę ci, jak mszczą się cywilizowani ludzie.* – Z pewnością masz swoich agentów w tej kolonii, bo inaczej skąd byś wiedział, gdzie nas szukać. A skoro tak, to zaklinam cię, poślij po nich. Poślij po nich i zapytaj ich, jak się mają sprawy między tą kolonią a Ziemią Pająkowców. Zapytaj ich o mnie, Teornisa z Aldanraelich, i zobaczysz, co powiedzą.

Claeon przyglądał mu się przez dłuższy czas, a oblicze Teornisa jak każdego pająkowca *aristosa* stawało się coraz bardziej nieodgadnione. W końcu przywołał strażnika.

– Zaprowadź go do komnat na górze – zamruczał. –

Niech go nakarmią, ale niech nie spuszczają z niego oka. Jeśli to, co mówiłeś, jest prawdą – zwrócił się do Teornisa – bez wątpienia nie będziesz miał nic przeciwko temu, bym przyprowadził na twoje miejsce jednego z twoich towarzyszy z sąsiedniej celi?

– Są moimi wrogami, tak samo jak twoimi – oznajmił

pająkowiec, czując ukłucie wstydu, które jednak rozplynęło się pod wpływem ulgi, jakiej doznał po uwolnieniu z pęt.

– Jak myślisz, jest noc czy dzień? – zapytał Laszlo.

Stenwold trącił bez entuzjazmu przyniesioną przez strażnika miskę z czymś nieokreślonym w środku. Żołądek, który jeszcze przed chwilą skręcał się z głodu, teraz udawał, że ma inne zajęcia. Cokolwiek to było, podjeżdżało rybą bardziej niż wszystko inne w tym miejscu, choć miało konsystencję owsianki.

Zastanowił się nad pytaniem Laszlo i uświadomił sobie z przerażeniem, że nie ma pojęcia.

– Ja... – Nie potrafił się przyznać, że jego wewnętrzny zegar rozregulował się pod wpływem braku słońca. – Dzień –

odpowiedział w końcu, starając się nadać temu oświadczeniu jak najwięcej zdecydowania.

– Jest noc. – Paladrya znów przybrała barwę kamienia i jej głos zabrzmiał dość upiornie w mroku. –

Przypływ naciąga do morskiej krawędzi. Nautili wypływają z głębin.

– Skąd pani wie? – zapytał Stenwold stanowczo. – W

ogóle po co wam taka wiedza?

– Wyczuwamy księżyc wędrujący po niebie. Czujemy, jak morze ożywa w słońcu tysiącami tysięcy istot. Czujemy, kiedy zimno wypelza ku górze z otchłani, gdzie mieszka od zarania dziejów – oznajmiła.

Stenwold zadrżał. *Umrę tutaj*, pomyślał. *Umrę, nie zobaczywszy słońca ani Cheerwell. Nie będę też świadkiem ponownej inwazji osowców. Zginę, nie zobaczywszy Arianny, ale to już jest nie do naprawienia.* Wzdrygnął się z rozpaczy i smutku. A ponieważ był świadom, że Laszlo przygląda mu się ze współczuciem, pożałował, że oczy muszca tak doskonale widzą po ciemku.

Wtedy usłyszeli nad głowami jakieś odgłosy.

Najwyraźniej znów mieli gości. Stenwold wstał, mając nadzieję, że to w końcu przybywa do nich Teornis, ale na górze toczyła się jakaś rozmowa na ważniejsze tematy niż tylko powrót więźnia do celi.

– Zmiana warty? – zasugerował Laszlo cicho.

On też stanął, gotowy do działania, zdecydowany użyć swojej sztuki. Stenwold podejrzewał, że muszec miał zamiar odstawić jakiś spektakl po otwarciu celi, przeskoczyć nad dziesiątką strażników i wysforować się na te marne kilka metrów wolności. I choć wiedział, że powinien mu to wyperswadować, jakiś głos w głowie podpowiadał mu, że lepiej zdobyć się na jakikolwiek wysiłek, niż gnić tu w tych ciemnościach.

– No to załatw sobie to z szefem – usłyszał wysoki kobiecy głos. – Przeczytaj sobie, co tu stoi, albo idź i przerwij mu to, co robi.

– A od kiedy to jesteś w straży? – zapytał stanowczo jeden z wartowników – Ej, pytałem o coś... !

Dotarli już do połowy rampy, kiedy podszedł do nich pierwszy wartownik. Stenwold z początku myślał, że to Chenni, ale zobaczył inną kobietę jej rasy, równie drobną i przygarbioną.

– Na wypadek gdybyś nie wiedział – odparła głosem żrącym niczym wotriol – szef zmienia strażę z każdą fazą księżyca – głównie dlatego, że działają mu na nerwy, bo nie chcą wykonywać jego poleceń.

Strażnik górował nad nią wzrostem, ale ona w ogóle się tym nie przejmowała.

– Wasza trójka? Na dwóch więźniów? – sprzeciwił się kolejny wartownik.

Na rampie zaczęło się robić tłoczno. Stało tam już przynajmniej czterech strażników i mężczyzna o ostrych rysach, nieco wyższy od pozostałych i łysy jak połowa tutejszej populacji. Kolejna grupka

wartowników zgromadziła się wokół innej osoby, wciąż czekającej na szczycie rampy.

– Myślicie, że nie poradzimy sobie z nimi? – zapytała kobieta, idąc w dół rampy i zmuszając dwóch strażników do pójścia za nią.

– On sam podwoił straż tutaj – zaprotestował

mężczyzna. – To przecież bez sensu, nie wysyłałby trójki...

trójki nie wiadomo skąd, żeby zająć się dwójką więźniów. Ci tutaj to jakieś ważne figury.

– I to jeszcze jeden powód, dla którego powinniście robić to, co się wam każe. Widzieliście rozkazy – nie ustępowała kobieta.

Stenwold zaczął bacznie przyglądać się Laszlo.

Zdenerwowany muszec unosił się już lekko nad podłogą i na poły wzlatając w górę, na poły wspinając się po ścianie, czekał w milczeniu, najwyraźniej gotowy do działania. *Coś się kroi*. Ton głosu kobiety brzmiał dla nich fałszywie.

– Słuchaj no, nie będę tego znosił – postanowił

dowódca straży. – Być może on ma kilku szczypcowców w ekipie do czarnej roboty, ale nigdy nie słyszałem, żeby zatrudniał ukwiałowców. – Wskazał ręką na rampę. – No bo po prawdzie kto by chciał zatrudnić kogoś takiego?

– Ale tylko ja to potrafię! – rzuciła ze złością kolejna kobieta i nagle dwóch strażników spadło z chodnika do lochu.

Kiedy uderzyli o ziemię, skręcali się i wierzgali.

Szef straży wykrzyczał jakieś przekleństwo, wyciągając nóż z pochwy przyszytej w pasie. Ale drobna niewiasta była odrobinę szybsza. Chwyciła błyskawicznie swój sztylet wbiła go strażnikowi w krocze, a następnie w gardło, żeby zdławić krzyk. Na rampie zapanował chaos. Łysy wpadł w jakiś szal, siekąc wszystkich wokół gołymi rękami, ale nieznajomy posiadał tę samą sztukę i na jego pięściach – oprócz dwóch sztyletów w dłoniach – pojawiły się kolce, które wysunęły się z nich jak noże. Kiedy zaczął walczyć, Stenwold w końcu odkrył pokrewieństwo jego gatunku – tak jak lud Paladryi przypominał pająkowców, tak ta rasa była spowinowacana z modliszowcami.

Druga kobieta zeszła w dół rampy, również atakując wszystkich gołymi rękami. Pędziła dwóch strażników przed sobą i chociaż mieli broń w dłoniach, trzymali się od niej z daleka, tak że w końcu to łysy mężczyzna ich zabił, zanim zorientowali się, że cofnęli się za daleko. Wbił im szpikulce w karki z taką brutalną precyzją, jakiej Stenwold nigdy w życiu nie widział.

Został ostatni, który nacierał na drobną kobietę z zakrzywionym ostrzem, ale kiedy przechodził nad celą Laszlo, muszec złapał go za stopę, a ten się potknął. Reszty dokonała stal przeciwniczki. Wyprostowała się później i spojrzała na unoszącego się pod kratą Laszlo, który za wszelką cenę

chciał się wydostać na zewnątrz.

– No i po sprawie – powiedziała drżącym głosem, wpatrując się w mgiełkę skrzydeł muszka. – To naprawdę łądowi, a nie jacyś przebierańcy.

– Czas – mruknął podobny do modliszowca mężczyzna, a drobna kobieta pokiwała entuzjastycznie głową.

– Jasne. Phylles, otwórz pokrywy.

Wezwana kobieta, która wzbudziła taki popłoch wśród strażników, kucnęła nad celą Stenwolda. Wprawdzie należała do rasy, jakiej w życiu nie widział – nie miała ani pajęczej elegancji ruchów Paladryi, ani masywnej budowy Rosandera

– ale wydawała mu się znajoma. Przede wszystkim nosiła więcej ubrań niż miejscowi. Podczas gdy według standardów Kolegium praktycznie każdy morski był nieprzystojnie skąpo odziany, ona miała długi płaszcz nałożony na tunikę i –

mimo iż była bosa – jakieś nogawice. Była mocnej budowy, z przyciętymi na jeża włosami, a jej fioletowa skóra przypominała w tym skąpym świetle siniec.

Poza tym ani rysami twarzy, ani ogólną posturą nie odbiegała znowu tak bardzo od cech fizycznych samego Stenwolda i dlatego przypominała mu nieco żukczycę. I chociaż to nic nie znaczyło, bo była taką samą żukczycą jak Paladrya pajęczycą, jego serce zadrżało.

– Przestań się gapić – warknęła na niego i przyłożyła dłonie do kraty.

Zamknęła na chwilę oczy i niemal od razu podniosła ją bez widocznego wysiłku. Wyciągnęła do niego rękę, uśmiechając się szeroko, i była mocno zaskoczona, kiedy ją za nią chwycił. Dopiero wtedy przypomniało mu się, jak bardzo strażnicy unikali jej dotyku. Coś skręciło się w jej dłoni i byłby ją puścił, gdyby nie potrzeba zachowania twarzy. Z posępną miną ciągnęła go na chodnik, a on szurał

stopami o kamień, żeby jej pomóc. Po chwili leżał już na brzuchu na posadzce, wciąż mając nogami w dziurze.

Kiedy odnalazł swoje stopy, zobaczył, że Laszlo też jest wolny i zabiera martwym strażnikom noże.

– No, chodźcie już – pospieszyła ich ściszym głosem mała kobieta.

– A niby kto nam każe? – zapytał Laszlo butnie.

Trzymał się z dala od nich, choć już stanął na ziemi.

– Pewni ludzie chcą was stąd wydostać – oznajmiła, mrużąc oczy i patrząc mu prosto w twarz.

– A może powinniśmy sami ruszyć w drogę?

– Laszlo. – Stenwold z trudem usiadł. – Dokąd to niby chcesz iść?

Muszec nie był zadowolony.

– A ona? – zapytał, wskazując na dół.

– Czas, Wys – powtórzył z naciskiem łysy, ale stanął na szczycie rampy i przykucnął w cieniu przy wejściu.

– Ona? Jaka ona? Ktoś tam jeszcze jest na dole? –

Drobna kobietka – czyżby Wys? – zmrużyła oczy, żeby dostrzec osobę, którą wskazywał Laszlo.

Skóra Paladryi zalśniła niechętnie, zanim pozwoliła się zobaczyć.

– Jesteś lądowa? – zapytała Wys z powątpiewaniem.

– Nie jestem – odparła Paladrya.

– W takim razie nie ma cię na liście. Lądowi, idziemy...

– Jak ona zostaje, to ja też – odparł Laszlo z uporem. –

Ona również jest więźniem.

Na szczycie rampy pojawiło się dwóch mężczyzn najwyraźniej niespodziewających się kłopotów. Być może przyszli, by sprawdzić, gdzie zniknęli strażnicy. Stenwold widział ich tylko przez ułamek sekundy, zanim łysy uderzył.

Jego dłonie wystrzeliły do przodu, zamazując się z powodu szybkości ruchu. Stenwold nie zauważył, czy dosięgły ich ostrza sztyletów, czy też szpikulce wyrosły na skutek działania sztuki, ale padli na ziemię w mgnieniu oka.

Mężczyzna spojrział znacząco na pozostałych.

– Wyciągnij ją, Phylles – poprosiła zirytowana Wys.

Phylles obdarzyła cały świat obrażonym spojrzeniem, ale uniosła kratę nad celą Paladryi i wyciągnęła ją stamtąd z o wiele mniejszym wysiłkiem niż Stenwolda.

– Niech mnie jeżowiec pokłuje – zaklęła Wys, gapiąc się na nią. – To jest zdrajczyni.

W ciszy, jaka zapadła po tych słowach, Stenwold starał

się wypatrzeć jej reakcję na taką potwarz, ale ona unikała jego wzroku.

– No dobra, ją też weźmiemy. Dostaniemy ładną premię, kiedy ją dorzucimy – powiedziała Wys z entuzjazmem. – A teraz w drogę. I bez numerów, bo zawsze możemy dostarczyć lądowych bez jednej

ręki albo czegoś innego – mówiła to, idąc już po rampie.

Tymczasem Phylles wskazała lądowym i Paladryi, żeby szli za nią. Kiedy Stenwold zbliżył się do niedawnej towarzyszkii niedoli, wyszeptał:

– Zdrajczyń?

Ale kobieta nie zareagowała.

Minęli opustoszałą wartownię zaśmieconą fragmentami biżuterii, która musiała należeć do tych, co tu zmarli przed nimi. Na płaskim wyższym kamieniu leżącym na podłodze stała jakaś plansza z kilkoma koncentrycznymi okręgami podzielonymi na części oraz czarnymi i czerwonymi kamieniami zostawionymi w połowie partii nieznanego gry.

Stenwold starał się przypomnieć sobie trasę, jaką pokonał z Chenni i jej zbrojnymi, ale szybko zorientował się, że szli teraz inną drogą. Podążali w dół i miał wrażenie, że zagłębiają się jeszcze bardziej w kazamaty pałacu admira –

czy też we wnętrzu jakiegoś innego gmachu. Kiedy próbował

o coś zapytać, otrzymał w odpowiedzi tak wściekłe spojrzenie łysiego, że słowa uwięzły mu w krtani. Paladrya sprawiała wrażenie przestraszonej.

Bryganci, pomyślał, najemnicy. Nawet jeśli tak, to z doskonałymi koneksjami. Najwyraźniej dysponowali jakąś pieczęcią albo dokumentem, który wykorzystali, żeby dostać się do cel, chociaż nie w pełni przekonali strażników. *Ale za to szybko poradzili sobie z nimi.* Nie pałał do przedwcześnie zmarłych miłością, ale wściekłością, z jaką Phylles i łysy ich wyeliminowali, była przerażająca.

Nagle korytarz, którym szli, skończył się półokrągłą ścianą z odcisniętą na niej gwiazdą. Stenwold dopóty nie podejrzewał, że to drzwi, dopóki Wys nie pchnęła ich, a ich najeżone zębami skrzydła nie otworzyły się na zewnątrz. Za nimi znajdowało się niewielkie pomieszczenie z identycznymi drzwiami, które wydało się Stenwoldowi niepotrzebnym przedpokojem.

Kiedy znaleźli się w środku, Wys pociągnęła za jeden z zakrzywionych zębów na drzwiach, przez które weszli, i te zamknęły się za nimi, poruszając się jak żywa istota.

Stenwolda opanowało dziwne przeczucie i zapytał:

– A co tam jest?

– Morze, kretynie – odparła drobna kobietka i ruszyła do drugiego wjazdu.

Żukowiec poczuł przez chwilę straszliwą grozę i rzucił

się z pięściami na Wys. I choć łysy mężczyzna złapał go za pas w połowie drogi i odciągnął do tyłu, on już zdążył wczepić się w ramię drobnej niewiasty, wytrącając ją z równowagi.

Błyskawicznie dobyła noża, a łysy również przystawił mu najeżoną kolcami pięść do twarzy. Laszlo nie zasypiał

gruszek w popiele, ale Phylles wyciągnęła dłoń w jego kierunku, co bardzo przypominało gest osowca, który miał

zaraz uządlić.

– Potopimy się! – wykrztusił Stenwold. – Morze...

utopimy się. Utopisz nas wszystkich.

Przez chwilę Wys patrzyła na niego z otwartą buzią, po czym mrugnęła do swoich kamratów:

– Niech mnie płaszczka popieści – rzuciła. – W ikrę jechani lądowi. Ta robota robi się coraz durniejsza.

– Pęcherze – zaproponował łysy.

Wys uśmiechnęła się na to i pokiwała głową.

– Zostańcie tutaj i pilnujcie ich – powiedziała, po czym ponownie otworzyła pierwsze zębate drzwi i zniknęła za nimi.

DWADZIEŚCIA JEDEN

Ich statek był muszlą. Zachwycił się jego widokiem –

wiszącego w bladej poświacie kolonii niczym spiralny księżyc, i jednocześnie uchroniło go to przed utratą zmysłów.

Wys wróciła bardzo szybko, zbyt szybko, co świadczyło o tym, że brak więźniów i rzeź strażników nie przeszły niezauważone. Stenwold podejrzewał, iż siepacze admira spodziewali się, że będą uciekać w głąb kolonii, a nie do śluzy, ale ta myśl z pewnością wkrótce im się nasunie.

– Włóżcie to na głowy – warknęła niecierpliwie drobna kobietka.

Chwilę później Phylles starała się naciągnąć Stenwoldowi na twarz worek z przezroczystej błony. Gdy próbował z nią walczyć, wbiła mu boleśnie kolano w żołądek, po czym nałożyła mu go na głowę, pokrywając ją w całości.

Śmierdziała jak gnijąca ryba i widział przez nią tylko zamazany obraz, więc starał się ją zrzucić, myśląc, że nie będzie mógł w tym oddychać. Ale Phylles znów go uderzyła, bez litości, aż stracił dech, i ze zdziwieniem zauważył, że błona nie przylgnęła do jego twarzy, a w środku znajduje się nieco powietrza.

Strumień wody zaskoczył go całkowicie. Starał się wierzgać desperacko, by się wycofać, ale Phylles

przytrzymała go za kołnierz i brutalnie sponiewierała, podczas gdy pomieszczenie błyskawicznie napełniało się wodą. Jej nagie stopy jakby przywarły do podłogi i radziła sobie ze Stenwoldem tak, jakby był latawcem na wietrze, aż strumień ustał. Wtedy zaczęła go ciągnąć z ponurą determinacją. Ściany kolonii oddalały się od nich, a on uświadomił sobie, że jest na zewnątrz – w głębinach.

Oddech przychodził mu z trudnością, ale nie z powodu oporu pęcherza, tylko zimna i przytłaczającej wagi oceanu wokół niego. Kiedy woda zaczęła się wlewać do śluzy, zamknął oczy i otworzył je dopiero wtedy, gdy oddech mu się ustabilizował. Ku jego zaskoczeniu pęcherz w wodzie umożliwiał widzenie z krystaliczną ostrością.

Za nim kolonia jarzyła się tysiącami barw. Serce podskoczyło mu na ten widok, bo był on taki obcy i taki piękny jednocześnie. I chociaż znów popadł w niewolę, nie mógł zaprzeczyć urodzie tego miejsca. Muszla też była ogromna. Jej nieregularne ściany zdawały się wznosić bez końca, tworząc wieże, kopuły i strzeliste hełmy udrapowane listkami, falbanami i festonami falującej podmorskiej flory, oświetlonej wielkimi wypukłymi lampami rozsiewającymi upiorną zieleń i krwistą czerwień, głęboki fiolet oraz jaskrawy błękit. Przez chwilę zapomniał o masie wody wokół siebie, o potworach, które w niej pływały, i groźbie utonięcia. Patrzył

tylko na ten nierealny obraz ciągnący się po horyzont.

Kolonia była miastem. Kolonia była przeogromna.

I pełna życia.

Morska fauna roiła się w jej cieniu: iskry wiecznie zmieniających się konstelacji ławic, przywierające do jej powierzchni macki ośmiornic, długonogie kraby wędrujące bokiem po ścianach, krewetki długości ramienia, które śmigwały na prawo i lewo, falując odnóżami. Ale kolonia żyła nie tylko za sprawą tych stworzeń, gdyż jej zewnętrzne mury również tętniły życiem: niezliczone komórki wypełnione rozetami drobnych czułek. Kiedy jakaś ryba muskała kamień, widział wielkie poruszenie pośród tych żywych budowniczych, których drobne macki chowały się do środka i znów wykwitwały, gdy intruz odpływał. *Budownicowie*, przypomniał sobie Stenwold. *Rasa budowniczych, Arketoi...*

Nieemożliwe... Ale przypomniała mu się strzaskana krata, która była niczym innym jak plastrem dziur. *Komórka do komórki, aż...* Ten powalający widok pokazywał dobitnie, dokąd mogło zaprowadzić to „aż”.

Phylles ciągnęła go nadal i kiedy mimo jej uścisku obrócił się w wodzie, dostrzegł statek.

Zrozumiał wtedy przedziwną wewnętrzną geometrię statku ich porywaczy. Morscy nie budowali sami tego, w czym natura była lepsza. Wys już płynęła szybko w stronę zawieszanej w wodzie jasnej prążkowanej muszli, którą było widać doskonale w świetle z Hermatyre. Miała spiralny kształt, jaki Stenwold znał dobrze, bo nieraz widział na targu w Kolegium wisiorki wielkości dłoni, wykonane przez przeczesujących plaże poszukiwaczy. Być może coś takiego morze też czasami wyrzuca na piasek, w całości bądź w kawałkach. Szczęśliwy znalazca mógłby nawet w tym zamieszkać.

Phylles objęła go na wysokości piersi, złączyła dłonie i wierzgnęła nogami w wodzie, tak że miał lepszy widok.

Wnęka, którą zajmował poprzedni lokator muszli, służyła za włącz do statku, opatrzony teraz zmyślnym urządzeniem zamykającym. Po drugiej stronie, z tyłu, wycięto okrągły otwór i pokryto go czymś przezroczystym, przez co w środku było widać blade światło. Starał się dostrzec śrubę, kończyny czy też jakiś inny mechanizm napędowy, ale jeśli gdzieś był, nie znalazł go.

Wys zniknęła już we włazie, ciągnąc za sobą Laszlo, a łysy mężczyzna prowadził za nimi Paladryę. Stenwold poczuł, że Phylles natężyła ruchy, by mogli wpłynąć do środka, i po chwili znalazł się w wąskim, zaokrąglonym pomieszczeniu.

Musiał teraz oddychać wolniej, choć to ona wykonała wszystkie czynności. Uczni z Kolegium wiele dziesiątek lat temu odkryli, że powietrze, czy to podtrzymujące płomień, czy życie, może skończyć się szybko, odgadł więc, że teraz jego pęcherz osiągnął granicę wydajności. Pojął też, do czego służy to małe pomieszczenie – zanim woda z niego wyciekła i zanim Phylles zdążyła mu pomóc, już sam ściągnął błonę z głowy.

– Ciebie – rzuciła oskarżycielskim tonem – cholernie trudno transportować.

Wciąż czując jej kuksańce, posłał jej krnąbrne spojrzenie.

Wys otworzyła kolejne składające się z segmentów drzwi. Za nimi znajdowała się zapewne główna kabina statku

– długie, kręte i wznoszące się pomieszczenie oświetlone przez dwie fosforyzujące lampy. Na ścianach wisały sieci z kilkoma pakunkami, ale oprócz tego wyglądało na całkowicie ogołoczone.

– Lej?! – zawołała Wys. – Lej! Ej, Wyciek!

Coś wyłoniło się przed nimi i Stenwold aż się wzdrygnął, ale po chwili uświadomił sobie, co to było: głowa i ramiona kolejnego mężczyzny z rodu Rosandera, które ukazały się w krzywiznie sufitu.

– Szefowa? – odezwała się zjawa.

– Ruszamy! – oznajmiła Wys, a on błyskawicznie zniknął w górnych obszarach statku.

– Co macie zamiar z nami zrobić? – zapytała Paladrya, która teraz obejmowała się ramionami, jakby próbując się ogrzać, i prezentowała prawdziwy obraz niedoli.

Wys uśmiechnęła się nieprzyjemnie.

– Jeśli chodzi o lądowych, to po prostu ich przekażę i nie mam bladego pojęcia, co ktoś może od nich chcieć.

Chociaż na pewno lepiej będzie im z dala od szorstkich łapek Claeona. A co do ciebie, kobieto, to chyba czeka cię śmierć zdrajczynie, no bo niby dlaczego nie?

Paladrya padła na kolana, po czym przewróciła się na bok i Stenwold myślał, że mając w perspektywie egzekucję, w jakiś sposób sama zadała sobie śmierć. Ale wciąż oddychała i miała oczy szeroko otwarte. Kiedy przykląkł przy niej, pokręciła jedynie głową, mówiąc:

– Przepraszam.

Phylles położyła mu dłoń na ramieniu, by odciągnąć go od niej, lecz między nimi stanął Laszlo i gdy zafurkotał

skrzydłami, cofnęła się, najwyraźniej nie wiedząc, na czym polega ta sztuka lądowych.

– Zostawcie ją w spokoju. Co ona wam zrobiła? – rzucił

muszec wojowniczo.

– Oddała Hermatyre Claeonowi – rzuciła Phylles.

– Och, a wy to pewnie grupa zatroskanych obywateli?

Laszlo, mniejszy od niej o połowę, stał w wyzywającej pozie z rękami na biodrach. Wys parsknęła rozbawiona.

– No i tu cię ma.

Phylles spojrzała na nią, po czym przeniosła wzrok na Laszlo.

– No, jest przecież morderczynią – oznajmiła, chociaż już bez wielkiego przekonania.

– Nikogo nie zabiłam – rzekła Paladrya tak cicho, że jedynie Stenwold ją usłyszał.

Tymczasem Laszlo najwyraźniej był gotów do kłótni.

– A wy to niby jesteście organizacją charytatywną, co? I ci wszyscy strażnicy, których zmiotliście w lochach z tym łysym, teraz siedzą sobie spokojnie i tylko bardzo boli ich głowa?

– Uratowaliśmy was! – krzyknęła na niego zirytowana Phylles.

– Wcale nie. – Laszlo skrzyżował ramiona na piersi i butnie wysunął brodę. – Macie zamiar nas odsprzedać komuś innemu, prawda? Jeśli to naprawdę jest misja ratunkowa, to bardzo proszę wysadzić mnie w porcie Kolegium.

– Mówi, że nikogo nie zabiła. – Stenwold przekazał

słowa Paladryi, próbując przerwać sprzeczkę, gdyż widział, że pokłady cierpliwości Phylles są na wyczerpaniu.

Kobieta obrzuciła go nieprzyjemnym spojrzeniem i coś poruszyło się w jej dłoniach, jakby trzymała

w nich jakieś wrywające się na wolność stworzenie. Po chwili, głośno tupiąc, poszła krętym pokładem do góry.

– Zdrajczyni może sobie mówić, co chce, ale to ona zabiła prawdziwego admira – oznajmiła Wys bez cienia współczucia. – Nie jestem obligatorystką. Ten mały szprot był pewnie wstrętnym gnojkiem i zasługiwał na to, ale śmierć władcy to śmierć władcy.

– Aradokles – Stenwold wolno wymówił jego imię.

Paladrya pokiwała anemicznie głową, a Stenwold stwierdził, że ma mętlik w głowie, bo ciągle był czymś zaskakiwany i nie mógł zrozumieć zależności.

– Aradokles był admirem?

– Z pewnością by nim został po śmierci swego ojca –

odparła Wys, marszcząc czoło.

– Jego ojca?

Stenwold dopiero po chwili zrozumiał znaczenie tych słów. Tutaj tytuły dziedziczone. Wiedział, że we Wspólnocie też obowiązywały podobne zasady, no i oczywiście w cesarskiej rodzinie osowców, ale ani przykład Imperium, ani chylącego się ku upadkowi państwa ważkowców nie nastrajały go pozytywnie do takiej idei.

Nagle wielka muszla zatrzęsała się i coś nią szarpnęło, a Stenwold wiedział już, że ruszyli w drogę. Spojrzał przez okno wycięte w tyle pojazdu i zobaczył, jak dno oddala się od nich. *Płyniemy tyłem*, pomyślał i zaraz poczuł te same zrywy, które tak go zmyliły w mniejszym pojeździe Chenni.

Wys miała dziwną minę.

– Niech mnie rozgwiżdza ukąsi. Wy naprawdę jesteście lądowymi?

Zerkała to na niego, to na Laszlo.

– Dokładnie – potwierdził Stenwold.

– W takim razie to, co mówię, to dla was kompletny bełkot – zauważyła.

Stenwold zaśmiał się, chociaż Paladrya aż się skuliła, kiedy to zrobił.

– Och, można tak powiedzieć. Ale ten wasz Aradokles żyje, jak wynika z tego, co ona mówi. Może znacie tylko wersję zdarzeń stworzoną przez admira, co?

Wys uśmiechnęła się cynicznie.

– Wygląda na to, że zarówno na lądzie, jak i pod wodą wszystko działa podobnie. Ale ja sądzę, że on

naprawdę nie żyje. Zniknął – i rozpoczęły się wielkie, trwające ze dwa lata poszukiwania: Gdzie jest zaginiony następca tronu? Krążyły plotki, że w pałacu odchodzą jakieś brudne sprawy. I nawet jedna ze służek chłopaka, jego guwernantka, dostała za to po uszach. Podobno kazali ją zabić, a Claeon z regenta stał się admirałem. Odbyła się wielka ceremonia, choć nikogo z nas na nią nie zaproszono. Ale to była ona. – Dźgnęła palcem w stronę Paladryi. – Prowadzili ją ulicami z łańcuchem na szyi.

To widziałam. Pamiętam jej twarz.

– Zaklina się, że zaprowadziła go na ląd – upierał się Stenwold.

– Ha, cóż, czyli równie dobrze mogła go dźgnąć nożem, prawda... ? – zauważyła i zaraz w jej głowie pojawiła się nowa myśl: – A więc Claeon zamierza się teraz na lądowych, tak?

Stenwold bezgłośnie wskazał na siebie i Laszlo. Mała kobietka zamyśliła się nad czymś.

– Zdaje się, że wplątaliśmy się w coś, co nas przerasta –

wymamrotała. – Nie wierzyłam, że naprawdę jesteście lądowymi. Myślałam, że to takie bajania litoralistów. Niech mnie mątwą ściśnie. W co myśmy się wpakowali?

– Och, myślisz, że ty masz problemy? – odezwał się Laszlo, a ona parsknęła śmiechem, mierząc go wzrokiem od stóp do głów.

– Powinniśmy cię ogolić, chłopcze – orzekła. – Jeszcze zrobimy z ciebie małoszczypowca. No niech mnie ośmiornica zadziobie, jestem skłonna sprzedać twojego wielkiego kumpla i zdrajczynię, a ciebie zatrzymać sobie.

Ktoś, kto potrafi tak wisieć w powietrzu, wart jest każdej ceny. – Spojrzenie, jakim go obdarzyła, było tak radośnie zachłanne, że Laszlo nie potrafił nic na to odpowiedzieć.

– Dokąd płyniemy? – zapytał Stenwold. – Teraz, kiedy egzekucja nam już nie grozi, chyba możesz nam powiedzieć?

Paladrya w jego ramionach starała się usiąść, ale wciąż drżała na całym ciele. Kiedy na nią popatrzył w tym mocniejszym świetle, stwierdził, że była straszliwie traktowana – i to od dłuższego czasu. Na jej bladej skórze widać było ślady, których nie kryła nawet jej sztuka, poza tym była wychudzona i miała zapadnięte oczy.

– Do gospodarstwa, które wskazał mój zleceniodawca.

Prawdopodobnie jego właściciele sympatyzują z dysydentami. To sprawa polityczna. Dla ciebie ważniejsze jest to, komu zostanieie przekazani, a nie gdzie dobijemy targu. Stawiałabym na stronników poprzedniego admira –

chłopaków brata Claeona. W końcu wyłącznie dzięki motłochowi z Tysięcy Kolców nie wypruto Claeonowi flaków włócznią bez względu na to, czy Aradokles żyje, czy nie...

Tysiąc Kolców... To jest... – Stenwold szukał

właściwych słów – *łańcuch Rosandera, jego wojowniczy szczep czy coś w tym rodzaju. To znaczy, że Claeon przejął*

władzę dzięki pomocy Rosandera. Mamy więc obligatorystów, którzy mieszkają w kolonii, i bentoników żyjących poza nią i tylko czasami w niej przebywających, jak Rosander, na zaproszenie. A obligatoryści i tak są podzieleni... Zacisnął dłonie z frustracji, ponieważ starał się pojąć całe tysiąclecia historii i w dodatku nie mógł popełnić błędu – od tego zależało jego życie.

– Wys – zwrócił się do kobiety, a ona skinęła głową. –

Wasz lud to... Do kogo należycie?

– Do darmozjadów, lądowy. I nie należymy do nikogo.

Nie wypływamy na pełne morze i nie mieszkamy w koloniach. Szukamy tylko okazji, starając się przeżyć. Ja, Phylles, Fel i ten śmierdzący leń przy maszynach, Lej, jesteśmy Łowcami Wys.

– Najemnikami – przytaknął Stenwold, a kiedy spojrzała na niego, nie rozumiejąc go, dopowiedział:
–

Wynajmują was za pieniądze. Znacie tu słowo „pieniądze”?

Nagle przypomniało mu się całe bogactwo metali szlachetnych, które zobaczył, ale Wys tylko pokiwała głową.

– Oczywiście, że mamy pieniądze. Myślisz, że z kim rozmawiasz? Najemnicy... Podoba mi się.

– Nie może być wielu takich jak wy – zauważył

Stenwold. *Zwłaszcza, że nawet nie znają słowa, które ich opisuje.*

– Pieniądze są dobre tylko w kolonii – zgodziła się Wys

– a nie ma zbyt wielu rzeczy, dla których zdobycia obligatoryści byliby skłonni wynająć kogoś spoza niej.

Jesteśmy wyjątkami.

I założę się, że kiedy strumyczek wysycha, zmieniacie się w zwykłych bandziorów, pomyślał Stenwold.

– Czy możemy poruszać się po statku swobodnie?

– Po naszej łajbie? – Wys zakreśliła koło ręką. – Nie wchodźcie Lejowi w drogę, nie drażnijcie Phylles, a Fel będzie się wam przyglądał. Poza tym macie trochę czasu dla siebie. Walczymy z

prądem, żeby tam dotrzeć. Ja radziłabym się wyspać, ale wolna wola.

Powiedziawszy to, wykonała jakąś pospieszną i skomplikowaną czynność z siecią na ścianie, która zmieniła się w hamak. Wpakowała się na niego w ubraniu – czy też przynajmniej nie zdejmując krótkiej tuniki – i zasnęła w mgnieniu oka.

Stenwold i Laszlo spojrzeli po sobie.

– Zaczynamy do czegoś dochodzić – mruknął żukowiec.

– Jeśli chodzi o zrozumienie tych łysych świrów. –

Laszlo wzruszył ramionami. – Ale zupełnie nie zbliżamy się do światła i powietrza, misz-Maker.

Stenwold pokiwał głową. Starał się o tym nie myśleć, bo trudno było zachować spokój, kiedy umysł błądził po ziejącej otchłani, która oddzielała go od domu. Pewnie gdybym zobaczył tu, na dole, choćby ślad czarno-żółtego, tobym go uściskał. Ale nie, Teornis miał rację. Nawet Imperium nie dosięgnie nas tutaj. A jeśli morskcy sięgną wzwyż?

Nie miał pojęcia, co potrafili. Byli przecież na tyle pojętni, że budowali podwodniki – bez względu na to, na jakiej zasadzie właściwie działały – wytwarzali światło i jakimś cudem powietrze...

– Powietrze.. – Zmarszczył brwi. – Paladryo...

Spojrzała na niego lękliwie, jakby spodziewała się ciosu.

Od czasu pojmania nie zaznała zapewne zbyt wielu oznak sympatii. I podobno była kochanką Claeona. I zdradziła go dla Aradoklesa... I gdzie na tym cholernym świecie mógł się podziewać ten Aradokles, skoro odstawiła go tam tyle lat temu? W jego głowie pojawiła się oczywista odpowiedź, ale szybko ją stłumił. Jeśli ich dziedzic nie żyje, niewiele zyskam. Ale jeśli można go odnaleźć... Na tę przynętę mógł

złapać okazję powrotu do domu. Przecież chcą, by ich drogocenny następca tronu wrócił w domowe pielesze. Ale najpierw musiał ich poznać, żeby nie wykonać fałszywego kroku, bo inaczej morska otchłań wchłonie go na dobre.

– Paladryo, opowiedz mi o powietrzu – poprosił

łagodnie.

– Nie rozumiem – stwierdziła, co zresztą było widać na jej twarzy.

– Wasz lud potrafi oddychać pod wodą. Dlaczego po prostu się nie utopiłem? Do czego służą wam te pęcherze?

Rozbawił ją na chwilę, co z pewnością nie zdarzyło jej się od dłuższego już czasu.

– Nie obraż się – powiedziała – ale pęcherze są dla dzieci. Tej sztuki uczymy się najwcześniej, około szóstego, może siódmego roku życia... Do tego właśnie służą. Wynaleźli je bentonicy, tak przynajmniej twierdzą. Oni bardziej ich potrzebują podczas swoich podróży.

Stenwold na razie postanowił pominąć kwestię bentoników.

– Ale powietrze – wrócił do meritum. – Powietrze potrafi stęchnąć, nawet mój lud to wie. Jak wy... jak je robicie? Macie do tego jakąś maszynę?

To nie mógł być pomysł pojętnych, chyba że byliby pojętnymi od jakiegoś, no, tysiąca lat – na tyle długo, że zostali zapomniani przez innych i zerwali wszelkie więzy z lądem.

– Oczywiście je natwarzamy – wyjaśniła, ale zobaczyła, że to słowo nie wywarło na nim większego wrażenia. – W

procesie natwarzania – zaczęła tłumaczyć mu jak półgłówkowi albo dziecku – czerpiemy je z wody.

– W wodzie nie ma powietrza – zadrwił Laszlo – jakby było, to człowiek by się nie topił.

– W wodzie jest powietrze – odrzekła spokojnie. –

Trzeba tylko dysponować odpowiednią sztuką, by je uwolnić.

To jest najprostsza forma natwarzania.

Stenwold i Laszlo wymienili spojrzenia.

– Co jeszcze potraficie... natworzyć? – zapytał żukowiec wolno.

– W wodzie jest wiele składników. Na przykład światła konturowe. To bardzo prosta sprawa. – Wskazała na blade kule oświetlające wnętrze podwodnika. – Wytwarzamy większość rzeczy, których potrzebujemy – a raczej natwarzamy. Muszle, brąz, złoto, błona, kamień – wszystko to może być odpowiednio uformowane przez kogoś, kto posiada sztukę i ma umiejętności. Niektóre rzeczy wykonuje za nas samo morze, ale niemal wszystko inne jest wynikiem natwarzania.

– Czyli wyczarowujecie potrzebne wam surowce z wody? – zapytał Stenwold z niedowierzaniem.

– Surowce? – zapytała znów, marszcząc czoło.

– Jemu zadaj to pytanie – wtrącił się do dyskusji nowy głos.

To Phylles wróciła i Stenwold stwierdził, że kręte korytarze statku sprawiają, że nie można tu prowadzić poufnych rozmów. Kobieta o fioletowej karnacji przykucnęła obok, wciąż z obrażoną miną, choć najwyraźniej zaintrygowana.

– Jak wy w ogóle możecie cokolwiek wykonać na lądzie, lądowy, skoro nie natwarzacie tego z wody?

– My... robimy różne rzeczy – powiedział Stenwold na odczepnego. – Wykopujemy surowce – rudę metalu na przykład – spod ziemi, a potem wytapiamy z niej metal, odlewamy go w różne formy albo kowal wykuwa z niego kształt i wykańcza, albo mechanik wycina z niego odpowiedni element, jeśli to precyzyjne narzędzie... – przerwał, bo wyciągnęła nóż. Dopiero po chwili przypomniał sobie, że nie potrzebowała go do walki. Położyła go przed nim i zobaczył

dziesięć centymetrów zaostrej brązowej krawędzi z rękojeścią uformowaną z jakiejś perlistej muszli.

– A więc bierzecie bryłkę brązu i tak jakby zmuszacie ją, żeby wyglądała jak ostrze? – zapytała i w jej głosie słychać było wyłącznie niedowierzanie.

– No, podgrzewamy i wyklepujemy na płasko, raz za razem...

Nie widziałem tu ani jednego płomienia, ani jednego otwartego ognia. W takim razie czym oni tu palą? W celach może i nie było najcieplej, ale nie było też w nich zimno. Nie potrzebują więc zbyt wielu ubrań i noszą je wyłącznie w imię przyzwoitości... Nie znają ognia. Wykonują różne przedmioty bez niego.

– A wy... wy tak nie robicie?

Jej mina sugerowała, że za wszelką cenę stara się nie rozeźmiać.

– Wyklepujecie? Jak kamień czy coś takiego? Raz za razem... ?

Przegrała tę bitwę i zarechotała z rozbawieniem. Bez typowej dla niej naburmuszonej miny jeszcze bardziej przypominała żukczycę z problemami z cerą z jakiegoś odległego miasta.

– Bardzo śmieszne – warknął wściekły Laszlo. – A wy potraficie lepiej, co?

Spojrzała na niego współczująco.

– Wykonał to dla mnie człowiek z Gorących Rewirów.

Dobrze tam sobie radzą z metalem. Powiedziałam mu, czego chcę, a on wystawił zbiornik i kiedy wróciłam po trzech dniach, miał dla mnie gotowe ostrze. Rękojeść zrobiłam sama. Zresztą zrobiłam tu większość wyposażenia.

Podniosła nóż, a Stenwold zauważył, że ostrze było proste, ale rękojeść przyozdobiono misternymi geometrycznymi wzorami z zielonej patyny tak starannie, jakby była jadeitową inkrustacją. *Dokonała tego za pomocą natwarzania, uświadomił sobie. Nie wyźłobiła ani wytrawiła, ale po prostu nałożyła zgodnie z zamysłem dzięki przesiewaniu materiału z wody morskiej.*

Przypomniała mu się niezwykle kunsztowna biżuteria, jaką widywał w Hermatyre. *Potrafia więc po prostu wydrzeć złoto morskiej wodzie i ukształtować je według własnej woli bez znajomości jubilerskiego kunsztu. Ciekaw jestem, czy mają świadomość, że mogliby sobie po prostu kupić kawał*

ziemi bez konieczności organizowania inwazji? I czy ich sztuka posiada jakieś ograniczenia? Czy czegoś nie potrafią?

Phylles wciąż uśmiechała się do niego pobłaźliwie, ale widział w jej twarzy dozę niepewności, która najprawdopodobniej była też przyczyną jej wcześniejszego agresywnego zachowania. *Jest*

przerażona, uświadomił sobie Stenwold. *Jesteśmy lądowymi, a ona nas nie zna.*

– Czy ty również wierzysz w to, że moi przodkowie wygnali twoich z suchego lądu? – zapytał. – Czy marzy ci się powrót na ziemię?

– Widziałam kiedyś ląd – odparła obojętnie, zasłaniając się wojowniczością jak tarczą. – Wynurzyłam się na powierzchnię, kiedy niezdarny Lej próbował uruchomić maszynę. Sucho i ponuro. Moja skóra zaczęła pękać bez wody. Możecie sobie tam zostać, lądowy. Nie próbujcie tylko schodzić tu, pod wodę.

Znów wypadła z pomieszczenia jak burza, a gdy znikła za zakrętem, zza niego wyłonił się ich mechanik. Stenwold uśmiechnął się lekko. Może i była morską niesprecyzowanego gatunku, ale często spotykał ludzi podobnych do niej, którzy łatwo się obrażali i szybko wycofywali z dyskusji. Bez względu na to, kim była, już umiał

sobie z nią poradzić.

– No dobrze – odezwał się obojętnie, zerkając na łysego kuzyna modliszowców, Fela.

Przez całą rozmowę mężczyzna nie wtrącił się ani razu, tylko stał z ramionami opuszczonymi wzdłuż ciała, jakby szykował się do burdy *Modliszowiec pełną gębą*.

– Jak sądzę, nie mamy szans dostać czegoś do jedzenia?

– zapytał. – Może być cokolwiek, byle nie ryba, chociaż jak będziecie nalegać, to zaryzykuję.

Przez chwilę Fel tylko patrzył na niego, prężąc nieco szpikulce na pięściach, ale po chwili zaczął jedną ręką przetrząsać sieć z ładunkiem.

– Czujesz się na siłach, by odpowiedzieć jeszcze na kilka pytań? – zwrócił się Stenwold do Paladryi.

– Wygląda na to, że ten, kto ich wynajął, raczej nie zabije cię od razu.

Wciąż wtulała się w jego ramię. Przestała już drzeć, ale widać było, że jej spokój wisi na włosku.

– Pytaj – rzekła cicho. – To ja skazałam was na to wszystko, więc postaram się jakoś wam to zrekompensować.

– No to... – na sekundę Stenwold zanurzył się w oceanie własnej ignorancji – czy poza Hermatyre, którym rządzi admirał, są jeszcze inne kolonie?

– O tak – odparła. – Jest Głęboki Wysiłek, tam w dole i chłodzie. Słyszałam, że jeszcze dalej jest Atoł Wielki... i pelagicy mówią jeszcze o innych koloniach.

– A jak wyglądają stosunki Hermatyre z nimi? Czy istnieją jacyś sojusznicy lub wrogowie Claeona? Nie wygląda mi on na osobę o dyplomatycznych talentach – ciągnął.

Paladrya spojrzała na niego w ten charakterystyczny sposób, który świadczył o tym, że ją

zaintrygował.

– Stosunki? – powtórzyła. – Cóż, handlujemy trochę.

Transporty bentoników docierają do tych miejsc, czasami, a są jeszcze pelagicy...

– Ale przecież kogoś musi obchodzić, że u jego sąsiadów rządzi tyran? – naciskał Stenwold.

– Dlaczego? – zapytała po prostu.

– No... gdyby na przykład Claeon postanowił podbić ten Głęboki Wysięk i wysłał tam swoją armię?

– Tak jest na lądzie?

– To zdarzyło się w moim rodzinnym mieście – w mojej kolonii – całkiem niedawno.

Wzdrygnęła się na samą myśl o tym.

– Karawany bentonitów podróżują między koloniami przez wiele księżyców, nawet jeśli podążają wytyczonym szlakiem, a przecież zwykle ich dowódcy szukają czegoś w głębinach. Pelagicy są szybsi, ale nawet oni... są tak nieliczni, że zobaczyć ich pięciu w jednym miejscu to duże zaskoczenie.

Jakżeby można było coś takiego przeprowadzić?

– Pustynia – wtrącił się rzeczowo Laszlo. Najwyraźniej szybciej to pojął niż Stenwold. – Dno morskie jest pustynią.

Ci bentonicy są jak plemiona nomadów, jak, powiedzmy, skorpioncy z Suchego Szponu. Wymieniają się informacjami, trochę handlują, być może zdarzają się rabunki, ale każda kolonia sobie rzepekę skrobie. Co oznacza, że jakby przyszło co do czego, to staną się najgorszymi wrogami. I teraz wyraźnie widać, w jakie bagno wdepnęliśmy Pani, czy opowiesz o czymś, co musimy wiedzieć?

– Pytaj – zachęciła go Paladrya, ale wtedy wrócił Fel, najwyraźniej zawiedziony, że nie chcieli wykorzystać faktu, iż był zajęty.

Podał im do zucia paski czegoś twardego i ciągnącego się. Stenwold skosztował ostrożnie i stwierdził, że jest smaczne, coś na kształt suszonego mięsa i, co najważniejsze, tylko trochę czuć to było rybą. *Gdyby się dobrze zastanović, to taki homar jest w sumie morskim żukiem.*

– Opowiedz nam o swojej rasie, swojej morskiej rasie –

poprosił Laszlo z miną wprawnego podróżnika, który za chwilę dowie się o czymś, czego nikt w jego kraju nie wie. –

Te wasze rodziny...

– Tak, siedem rodów – powiedziała Paladrya. – Chociaż to tylko tradycja. Zawsze krążyły pogłoski o

innych rodach, innych rasach w ich obrębie. Na głębinie, w odległych rejonach, w dalekich koloniach...

– Poczekaj. – Stenwold uniósł dłoń, zerkając na strażnika. – Mamy jakąś szansę dostać coś do pisania?

Powiniennem to zanotować.

Fel wyglądał, jakby Stenwold poprosił go o księżyc na patyku, ale po chwili przyniósł arkusz cienkiej skórzastej tkaniny oraz podłużną muszelkę zakończoną czymś w rodzaju rogu. W środku był inkaust i chociaż pióro trochę zalewało, jakby Stenwold pisał na bibule, to nie różniło się zbyt od jego pióra z tłoczkiem zostawionego w Kolegium.

Litery jednak, które stawiał, były najwyraźniej nieznane ich gospodarzom. *Cóż, pewnie w czasach, kiedy przenieśli się tu na dół, pismo nie było jeszcze powszechnie znane.*

– Siedem rodów – powtórzyła Paladrya, a Stenwold przypomniał sobie, że przecież była kiedyś guwernantką. –

Pierwszy z nich to mózgowiec, który rządzi kolonią Hermatyre i wszystkimi jej farmami i terenami – recytowała.

– Z tego rodu my, krakenowcy, jesteśmy najpotężniejsi, ale strzałkoi mątwpodobni oraz wędrownikowcy są naszymi kuzynami, których nie należy lekceważyć za to, że nie mają naszych zdolności w zarządzaniu.

Dało się słyszeć parsknięcie Phylles, która zeszła do nich, by wysłuchać wykładu. Najwyraźniej miała inne zdanie na temat umiejętności krakenowców.

– Zaczekaj. – Laszlo uniósł dłoń jak uczeniak. –

Krakenowcy? Czy ja dobrze usłyszałem, że nazwa ta wywodzi się od słowa „kraken”?

– A co to jest kraken? – zapytał Stenwold.

– No cóż, misz-Maker, dla większości wilków morskich ta paskuda, która ściągnęła pańską rzyć tutaj, na dół, to będzie kraken, bez pudła. Słyszał pan pewnie te wszystkie opowieści?

Że niby są to zmyślne bestie, które ratują marynarzy i takie tam bajdu, bajdu... No i proszę, o kant tyłka rozbić te wszystkie bajki. – Uniósł brwi, patrząc na Paladryę. – A więc pani jest jedną z nich, tak? Z ośmiornicowców?

Pokiwała głową.

– Podobnie jak Claeon, Aradokles i cała ich gałąź, która rządzi Hermatyre od jedenastu pokoleń.

– Proszę dalej – ponaglił Stenwold. – O siedmiu rodach.

– Następny to szczypcowiec, lud szczypcowców –

wyjaśniła. – Niektórzy żyją w obrębie kolonii, ale największa grupa, czyli bentonicy, podróżuje po dnie oceanicznym.

Teraz sporo z nich żyje podobno w Gorących Rewirach.

Poznałeś Rosandera i Wys, i tego tu Fela. To są wszystko szczypcowcy z różnych gatunków.

To duża różnorodność w obrębie jednej rasy, pomyślał

Stenwold, porównując wygląd Wys i Rosandera. *Albo inaczej. To nie jest jedna rasa, ale wiele ras w obrębie jednego rodzaju: krabów, krewetek i tego, po czym Fel odziedziczył swoje cechy. Wszyscy są spokrewnieni. A to oznacza, iż są najbliższym spokrewnieni z nami spośród wszystkich ras morskich.*

– Następny ród to Arketoi, który buduje kolonie i pozwala nam w nich żyć – tłumaczyła dalej Paladrya, coraz bardziej miarowym głosem, jakby wygłaszała pogadankę dla dzieci. – Są budowniczymi, godnymi zaszczytów, i nikt, kto żyje w kolonii, nie powinien ich obrażać ani im zawadzać, ponieważ żyje dzięki nim. Oprócz dwóch wielkich rodów i budowniczych są jeszcze pomniejsze rasy. – Tutaj Paladrya rzuciła bardzo wymowne spojrzenie w kierunku Phylles.

Ciemnoskóra skrzywiła się, ale nie skomentowała tego i Paladrya mogła kontynuować.

– Są cztery i zwykle ukwiałowcowców wymienia się na pierwszym miejscu.

– Wyłącz mnie z tego – rzuciła jednak burkliwie Phylles.

– Nie chcę być częścią idiotycznych klasyfikacji obligatorystów.

– Ukwiałowcowcy są samotni i samowystarczalni –

ciągnęła Paladrya, na co wtrąciła się Phylles:

– Są samotnikami. Samotnikami, nie są samotni. Po prostu doskonale sobie radzimy sami.

– Może uściślisz te informacje, kiedy skończymy? –

zapropozował Stenwold, ściągając na siebie jej chmurne spojrzenie.

– To nie moja sprawa, czy zostaniesz właściwie wyedukowany – oznajmiła i znów odegrała scenę z tupaniem i odchodzeniem.

Paladrya głęboko westchnęła.

– Cóż, ukwiałowcowcy żyją głównie w pobliżu kolonii, na farmach i w osadach wokół nich albo też samotnie jak pustelnicy. Czasami można również spotkać pustelników szczypcowców i

ukwiałowców, którzy mieszkają nieopodal nich. My uważamy, że są samotni, bo dlaczego właściwie trzymają się w pobliżu, zamiast po prostu odejść w swoją stronę?

Gdzieś w głębi statku rozległo się pogardliwe prychnięcie, ale Stenwold bezgłośnie zachęcił Paladryę, by mówiła dalej.

– Następni to meduzowcy, którzy stale przemierzają ocean i niewiele mają wspólnego z koloniami. Są największymi z pelagików, a ich miano można przetłumaczyć jako „ci, którzy pływają swobodnie”, chociaż zdarzają się też mózgowcy i szczypcowcy niezwiązani z żadną kolonią czy łańcuchem. Meduzowcy są dziwni i niebezpieczni. Szóstym z siedmiu rodów są gastropodowcy, czyli pokorni.

Gastropodowcy przeważnie mieszkają poza kolonią, ale prowadzą gospodarstwa i farmy, które nas żywią. Są spokojni, pokorni i sumienni, a my w zamian bronimy ich przed morskimi niebezpieczeństwami. Są również biegli w natwarzaniu i obróbce muszli i kamieni, jakie daje nam morze.

Wydawało się, że skończyła, więc Stenwold policzył na palcach i szybko ustalił, że jednak nie wymieniła wszystkich rodów. Wcześniej aż pokraśniała z zadowolenia, mając okazję do przekazania swej wiedzy, teraz zaś znów zamknęła się w sobie.

– Siódmy ród jest... inny. Pozostałe są w jakiejś mierze częścią naszego społeczeństwa. Nawet meduzowcy wiedzą, co wolno, a czego nie, i chociaż są bardzo niebezpieczni, gdy ktoś wejdzie im w drogę, sami nie szukają zwady.

Szkarłupniowcy są jednak inni. Szkarłupniowcy nie mają żadnych praw. Nawet nie wiemy, czy mają jakiś język.

Podobno są nawet... inni niż ludzie. Niektórzy utrzymują, że zamieszkiwali morza na długo, zanim pojawiły się inne rody, i nienawidzą nas za to wtargnięcie. Z całą pewnością jednak tylko oni nie potrzebują powietrza. Nie wiemy, jak radzą sobie ich dzieci. Szkarłupniowcy to kolczy. Przemierzają bezkresy oceanicznego dna. Kiedy ich wataha wyszuka ofiarę

– jakąś farmę, tabor czy nawet całą kolonię – atakuje bez litości. Są wrogami nas wszystkich. Mam nadzieję, że nigdy ich nie zobaczysz, lądowy. Ich nie obejdzie, kim jesteś.

I tak będą żerować na twoim truchle.

– Uroczu – wymamrotał Laszlo pośepnie. – Właśnie w chwili, kiedy pomyślałem sobie, że jestem otoczony przez bandę gburów, okazało się, że może być jeszcze gorzej.

Fel, który przez cały wykład Paladryi zachowywał

wstrzeźliwość, uśmiechnął się na to szeroko, ukazując równe uzębienie drapieżnika.

DWADZIEŚCIA DWA

Jak to działa? – zapytał Stenwold.

Zostawił śpiącą Paladryę i Laszlo, który wybierał już sobie siatkę, a sam zaczął piąć się pod górę, aż stanął w miejscu wyglądającym na maszynownię. Była wciśnięta w końcówkę zwojów muszli i mechanik wydawał się ostatnią pasującą tu osobą. Pierwszy raz Stenwold zobaczył wielkiego szczypcowca bez pancerza, mimo to mężczyzna nadal imponował szerokością barów. Ponadto był chyba o głowę wyższy od Rosandera i sprawiłby wiele problemów turkuciovcowi, stając z nim do zapasów. Jedno jego nieopaczne machnięcie na odlew, a Stenwold przeleciałby przez cały statek i znalazłby się przy włączniku wejściowym, w dodatku może i w niezbyt dobrym stanie, bo z każdej dłoni wystawały mu wielkie ząbkowane i zakrzywione szczypce.

Kolczaste rękawice chorążych Rosandera również musiały skrywać tego typu wytwory sztuki. Nazywa się Lej, przypomniał sobie Stenwold, czy też Wyciek.

– Działa? – mechanik odpowiedział pytaniem.

Jego twarz była na pierwszy rzut oka dość przerażająca, a łysa czaszka z wydatną szczęką wciśnięta między potężne bary dopełniała tego obrazu. Jednak najłagodniejsze błękitne oczy dziecka, jakie Stenwold kiedykolwiek widział, nieco łagodziły ten posępny wygląd.

– Och, to kupa wielkiej magii, Niżowcu – dodał. – Nie zrozumiałbyś.

Stenwold uniósł brwi.

– Cóż, widzę za tobą napędzany sprężyną mechanizm, który z jakiejś przyczyny porusza dwoma silnikami. Nie mogę tylko pojąć, w jaki sposób te dwa silniki uruchamiają podwodnika. – Gdyby jakkolwiek znany mu pojazd poruszał

się skokowo, posłałby go od razu do naprawy.

Lejowi aż szczeka opadła.

– Jesteś zdatnym? – zapytał.

– Tak, pojętnym. Bardzo niewiele wiecie na temat lądu.

Myślę, że nie znacie nawet podstawowych informacji.

Podobnie jak ja nie wiem wiele na temat morza.

Szczypcowiec już się uśmiechał pełną gębą, ukazując zębiska podobne do żółtawych kołków.

– Och, lądowy, tylko garstka ludzi zdaje sobie sprawę, że to są silniki. Jestem pod wrażeniem, naprawdę jestem pod wrażeniem. Czy tam, skąd pochodzisz, macie przekładnie?

– Oczywiście. W takim razie to u was... nowość?

– Ta łajba powstała ledwo dwa lata temu – powiedział

Lej. – Ale silniki te zaczęli robić... ile?... sześć czy osiem lat temu. Pierwsze mechanizmy jednak były złomem, mówiąc między nami. Lepiej było normalnie pływać. Dopiero w ostatnich latach poradzili sobie z parametrami obciążenia i podobnymi sprawami. Słyszałem, że nowe modele opracowywane w Gorących Rewirach są sprytne, naprawdę sprytne. – Mówił jak prawdziwy inżynier i Stenwold na chwilę stracił poczucie miejsca. *Równie dobrze moglibyśmy rozmawiać w warsztatach Kolegium. W głosie tego morskiego słyhać niemal mojego Totho.*

– Dlaczego więc zaczęto budować mechanizmy? –

zapytał.

Niemożliwe, żeby z niepojętnych stali się pojętnymi w osiem lat.

Musiło to w nich tkwić od dawna i czekało na odpowiedni bodziec, na coś, co...

– Sprężyny – wyjaśnił Lej. – Mówią, że sam pomysł

powstał jeszcze przed moim urodzeniem, ale potrzebne były odpowiednio mocne sprężyny, które wytrzymałyby napięcie.

W Gorących Rewirach opracowano sposób ich natwarzania.

Chodź, zobacz.

Stenwold starał się podejść bliżej, ale pośliznął się i potężna dłoń schwyciła go za ramię, nie pozwalając, by zjechał na sam dół.

– Po co masz te worki na nogach? Nic dziwnego, że nie potrafisz ustać – stwierdził Lej.

Miał na myśli buty Stenwolda. I ten dopiero teraz zrozumiał, dlaczego wszyscy bogacze i biedacy chodzili tutaj na bosaka – ponieważ niemal wszystkie podłoga były nierówne i wypolerowane. Przeklinając się w duchu za to, że był tak mało rozbudowany, rozsznurował buty i cisnął nimi o podłogę, po czym usłyszał, jak – stukocząc – sturlały się aż do głównej ładowni.

– No kto by pomyślał – zauważył Lej. – Ładowi też mają palce u stóp.

Teraz był w stanie podejść do silników.

– Widzę tę twoją sprężynę – powiedział, myśląc w duchu, że to coś nie przeszłoby w Kolegium testu sprawności.

– Ale co ona napędza? Śruby? Kończyny? Jak porusza się ta muszla?

– Tak samo jak wtedy, gdy miała żywego lokatora –

odparł Lej najwyraźniej zaintrygowany – A jak by inaczej?

– Nie mam pojęcia, jak porusza się muszla w morzu –

wyznał Stenwold. Historia naturalna nigdy nie była jego ulubionym przedmiotem. I któż by przypuszczał, że od jej znajomości będzie zależeć kiedyś jego życie?

– Za pomocą syfonów – wyjaśnił Lej, ale zobaczył, że dla Stenwolda było to puste słowo. – Zasysamy wodę od przodu i wypuszczamy ją pod ciśnieniem z tyłu, z prawej i lewej strony, żeby płynąć do przodu. Trudniej jest na dół i do góry. Albo zatapiamy wewnętrzne komory, albo wypełniamy je powietrzem. Sprytne, co?

Gdybym tylko nie był tu więźniem. Gdyby tylko Kolegium nie groziły ataki z lądu i morza. Gdybym... Był tu świadkiem czystej historii. Morscy odkryli właśnie swą pojętność i Stenwold obserwował pierwsze stadium rewolucji technicznej podobnej do tej, która wyzwoliła jego lud z jarzma ciemców pięć stuleci temu.

– To robi wrażenie – powiedział, czując nagle wewnętrzną pustkę. – Dziękuję, że mi to pokazałeś.

Ześliznął się ostrożnie do głównego pomieszczenia, w którym Laszlo spojrział na niego z nadzieją, ale Stenwold posłał mu jedynie cierpki uśmiech i znalazł sobie jakieś miejsce do siedzenia. Usadawił się jak najwygodniej pod krzywą ścianą. *Gdyby doszło do wojny z morskimi, pomyślał, nie wiem, jak by się potoczyła. Mają przewagę elementu zaskoczenia oraz znajomość obcych nam dziedzin sztuki. Dlatego przez dłuższy czas nie moglibyśmy przeprowadzić kontruderzenia. Co dziwne, przypomnieli mu się ciemcy z Tharnu z czasów wojny i to, co oni musieli czuć, kiedy po ich wielu atakach na spółki kopalniane Helleronu flota powietrzna osowców stanęła u bram miasta. Bez wątpienia moglibyśmy wyprodukować wojenne podwodniki, nawet gdyby wypchnięto nas z Kolegium. Z*

czasem przenieśliśmy też ich wojnę na ich teren. Ale bez względu na wynik walk, ten załęczek nowego sposobu życia zostałby zmiążdżony. Tak wiele musimy nauczyć się o tym miejscu, że trudno stwierdzić, czy Rosander nie dostanie tej swojej wojenki.

Zobaczył, że Wys obudziła się już i stanęła przed wieloelementowym bulajem na rufie bądź dziobie muszli –

zależy, jak do tego podejść. Stenwold przez chwilę podziwiał

kunszt konstruktorów, niestrudzonych rzemieślników, którzy wycięli setki zachodzących na siebie otworów w grubym na dłoń kadłubie, wypełniając je potem jakimś przezroczystym materiałem, który bez wątpienia został w nich natworzony.

Przerwy i wsporniki między membraną były rzeźbione w spiralne motywy, a całość prezentowała się jak dzieło sztuki abstrakcyjnej. Morscy kierujący się w swojej pracy raczej wyobraźnią najwyraźniej nie potrafili tworzyć prostych i nieskomplikowanych przedmiotów.

– Obudź swoją przyjaciółkę – poleciła mu Wys, wskazując na Paladryę.

– Jesteśmy na miejscu?

– Zbliżamy się. Niech teraz kogo innego boli głowa z waszego powodu.

Zbliżali się do przeogromnej płaskiej muszli małża, a ich pojazd dostał się w kłębiące się, zanikające i fosforyzujące wiry. Za nimi rozpościerała się ściana ciemności, którą Stenwold początkowo wziął za zwykłą wodę, ale po chwili zaczął dostrzegać nieznaczny ruch w poświacie rzucanej przez ich statek – wciągnął głęboko powietrze przez zęby.

– Morze wodorostów – zamruczał stojący obok niego Laszlo. – Ile statków utknęło w tym zielsku? Pewnie ciągną się aż na samą górę?

Zapora z wodorostów przypominała gęsty las przytwierdzonych do podłoża liści, które kołysząc się w wodzie, pięły się w stronę niewidocznej, odległej powierzchni.

– Pną się do słońca – potwierdziła Wys. – Jakżeby mogły inaczej? – Zmarszczyła brwi. – A może wy nie... ?

– Tak, uprawiamy rośliny. To jedna z tych prymitywnych umiejętności, jakie my, lądowi, zdołaliśmy osiąść. Wraz z noszeniem butów i życiem z dala od morza, co tylko czeka, by człowieka ukąsić w tyłek – warknął Laszlo.

– Naprawdę działasz mi na nerwy. Masz tego świadomość?

– Laszlo – zaczął Stenwold, bo Fel i jego zabójcze pięści były bardzo blisko, a stracił z oczu Phylles. Jeszcze nie tak dawno przecież morscy debatowali nad tym, jak bardzo zbędny jest Laszlo. Wys jednak śmiała się, przyciskając dłoń do ust, żeby powstrzymać wybuch wesołości.

– Jesteś pyszny – powiedziała z czułością. – Bardzo chętnie bym cię zatrzymała, ale interesy przede wszystkim.

Zbliżyli się do muszli, która wyraźnie była znacznie większa nawet od ich statku. Stenwold zobaczył jakiś ruch u jej podstawy, gdzie przysiadła ośmiornica sporych rozmiarów i łypała na nich złowieszczą jednym okiem. Coś jeszcze przemknęło przed oknem i zobaczył zamazany podłużny kształt, za którym ciągnęły się serpentyny festonów, oraz – co było już zupełnie abstrakcyjne – jakąś postać siedzącą na nim.

– To jest rumak naszego pracodawcy, jak sędzę –

zauważyła Wys.

Z jakiegoś zakamarka wyłoniła się Phylles i podeszła do niej, zerkając przez bulaj.

– Na to wygląda – potwierdziła. – A to... jakieś stworzenie pelagiczne. A tutaj co mamy?

Kiedy ich muszla obróciła się, wskazała na kolejnego morskiego potwora czającego się w pobliżu i

zdaniem Stenwolda wyglądającego w miarę normalnie – przypominał

spłaszczony wija z łbem w kształcie kotwicy, a wielkością dorównywał podwodnikowi Wys.

– Wy ujeżdżacie te potwory? – zapytał Laszlo.

– No, tak. Jedni jeżdżą na oklep, inni podróżują w brzuchach takich ślicznotek – odparła Wys, stukając w kadłub swego statku. – A jak niby mamy się poruszać? Sami daleko byśmy nie zapłynęli. Wyciek, zatrzymaj nas!

Z góry dobiegły ich odgłosy potwierdzające otrzymanie rozkazu i przez następnych kilka minut podwodnik kręcił się trochę w wodzie, a następnie dość gwałtownie zatrzymał się w dobrej odległości. Za oknem wystrzeliły bańki powietrza, rozpoczynając długą drogę w stronę słońca i nieba.

Phylles znalazła się obok lądowych i podała im oklapłe pęcherze. Stenwold przyjął je niechętnie. Podróż w tej maszynie i możliwość poznania jej dziwnej konstrukcji i jeszcze dziwniejszych zasad poruszania się wydawały się jedyną chwilą normalności od momentu porwania ich przez potwornego Arkeuthysa z barki. Ale teraz był przygotowany na to, co miało nastąpić. Poczul pęd wpływającej do komory wody i kiedy Phylles go chwyciła, robił, co mógł, by ułatwić jej zadanie, ale nadal był bardzo niewygodnym pakunkiem.

W dodatku rozglądał się jeszcze z zaciekawieniem, oglądając skrzyconego podwodnika i olbrzymi kamienisty kopiec, w którego stronę się kierowali.

Przy zawiasie utrzymującym dwie połówki muszli wycięto pojedynczy otwór i to właśnie przez niego weszli do wnętrza, a potem przez podwójne włazy *Jak śluza*, stwierdził

Stenwold, przypominając sobie zasadę działania kanałów i grodzi. *Tylko że w tym oni poszli dalej. Jak uruchamiają te włazy?*

Drzwi nie składały się z zachodzących na siebie segmentów, ale z zakrzywionej pokrywy wykonanej z poskręcane go kamienia – a może była to tylko inna muszla?

Zauważył, że wewnętrzne powierzchnie były gładkie od śluzu, który uszczelniał ostatni właz.

Wnętrze domu rozjaśniał tuzin niewielkich błękitnych lamp, a wykuta w muszli zakrzywiona rampa prowadziła wzdłuż ściany od włazu do środka. Gdy dotarli na miejsce, Stenwold najpierw zauważył bele czegoś, co uznał za wyschnięte wodorosty, a dopiero później komitet powitalny.

Niezrażona tym wcale Wys prowadziła ich na dół, gdzie było nieco luźniej. Stenwold zerknął w prawo i w lewo i zobaczył, że Fel i Phylles ani na moment nie tracą czujności.

– No dobra, dość już tego! – wykrzyknęła Wys. – Dla niektórych czas to pieniądz.

Pojawiła się jakaś postać, najwyraźniej jeden z tych mózgowców, ludu Paladryi – wysoki, szczupły mężczyzna o haczykowatym nosie oraz ze wspaniałą brodą rozwidlającą się na podbródku i kończącą

dwoma zawijasami niczym baranie rogi. Jego włosy nad wysokim czołem układały się w eleganckie fale. Poza peleryną i kiltem miał na sobie wyłącznie majątek w złocie i innych precjozach, a jego naga pierś była niemal skryta w kaftanie ze sznurów pereł.

– Macie więźniów admira? – zapytał podejrzliwie.

Stenwold teraz zobaczył, jak coś się porusza za jego plecami – czterech, pięciu podobnych mu mężczyzn i kobiet w szłomach, napierśnikach i nagołennikach z jakiejś jasnej substancji. Mieli też włócznie o długich prostych grotach, ale trzymali je jakby od niechcienia, nie kierując w stronę ludzi Wys.

– Wątpisz w moje możliwości? – zapytała Wys. –

Zraniłeś mnie. Mam coś więcej niż tylko tych więźniów, drogi rajco. Mam lądowych.

Oczy wysokiego zwęziły się pod rąbkiem kaptura.

– I zapewne wydaje ci się, że tym samym więcej za nich zapłacę.

– Och, szefie – powiedziała Wys. – Trzymałabym się ustalonej ceny, ale ci tutaj to prawdziwy skarb. Ty, mały, pokaż, co potrafisz.

Laszlo spiorunował ją wzrokiem, po czym Fel trącił go lekko i musiał rozwinąć skrzydła. Uniósł się ku sufitowi skrytemu w mroku. Na twarzach zaskoczonych włóczników pojawiły się strach i zadziwienie, ale ich dowódca tylko pokiwał głową.

– Tak jak obiecałaś – stwierdził. – I w tym wypadku zapracowałaś na nagrodę. Czy zechcesz zostać chwilę z nami, to pomówimy o kolejnym zleceniu?

– Najpierw zapłać mi za wykonanie pierwszego –

warknęła Wys. – A skoro mówimy o cenie, to ile za nią?

Pociągnęła Paladryę za dłoń, wypychając ją do przodu.

Oczy wysokiego zrobiły się na chwilę wielkie jak spodki, a z twarzy spęzła mu maska obojętności.

– Ty?

– Heiraclesie – wypowiedziała głucho jego imię.

Dwóch strażników opuściło broń na sam jej widok i Stenwold zobaczył jakiś kolczasty twór, który zwijał się wokół

długich grotów.

– Co to ma być? – zapytał Heiracles władczo.

– Prosto z prywatnych lochów admira. I do tego całkiem żywa – wyjaśniła Wys.

– Cóż, to można naprawić. Mój lud będzie bardzo zadowolony, wiedząc, że sprawiedliwości wobec zdrajczyni naprawdę stało się zadość. Zawsze podejrzewaliśmy, że Claeon kłamie. – Skinął na swych ludzi. – Zabijcie ją.

Zatrzymamy jej głowę jako dowód.

– Poczekaj no, szefie. Ona mówi, że ten biedny chłopak też żyje.

Heiracles jednym gestem powstrzymał zbrojnych i wbił spojrzenie w Paladryę.

– Podobno go zabiłaś – wymruczał. – Claeon tak mówił... Myśleliśmy, że najpierw knułaś wraz z nim, a potem się ciebie pozbył. Nigdy nie był szczególnie sentymentalny.

No ale ty...

– Dlaczego miałabym zabijać Aradoklesa? – zapytała Paladrya cicho.

– Byłaś kochanką Claeona.

– Nie kochałam go jednak. Kochałam tego chłopca, tak jak powinna kochać guwernantka.

Wys zakaszłała znacząco.

– Eee, szefie...

– Zapłaćcie jej.

Na gest Heiraclesa z szeregu wystąpił jeden z włóczników z czymś, co wyglądało jak podłużny rzeźbiony kamień. Położył go przed Wys, która otworzyła go wzdłuż niewidocznej szczeliny. W środku Stenwold dostrzegł

kolorowe zwoje skórzastego materiału używanego w funkcji papieru. Wys przeliczyła je, jakby to były akty własności czy weksle gwarancyjne, i była najwyraźniej ukontentowana.

– Cała przyjemność po mojej stronie, archonie –

powiedziała z szerokim uśmiechem na twarzy. – A teraz mówileś, że masz coś dla nas, zanim wyruszymy do Rewirów...

– Zostań i posłuchaj naszych obrad, a być może będę coś miał – oznajmił Heiracles. – Chodź za mną i weź ich wszystkich z sobą.

Laszlo już był z powrotem na ziemi, bo znudziło mu się, że wszyscy się na niego gapią. Heiracles

pozwoił sobie zaszczyścić dwóch lądowych jednym zatroskanym spojrzeniem, zanim zostali odprowadzeni między ułożonymi w stosy belami. Czekala tam na nich kolejna dwójka strażników wraz z postawną postacią o brązowej skórze, przypominającą nieco Stenwolda w płaszczu z jasnej skóry zarzuconym na nagą pierś. Wydawało się, że głowę i szczękę mężczyzny pokrywa siwy zarost, ale po dokładniejszych oględzinach Stenwold stwierdził, że to nie były włosy, ale drobne kuleczki czegoś, co przypominało kamień.

– Kiedy przybędzie reszta twoich ludzi? – zapytał

Heiracles i w odpowiedzi otrzymał pełne znużenia kręcenie głową.

– Będą, kiedy będą – odrzekł mężczyzna schrypniętym głosem. – To nie jest tak jak u was, gdzie wszyscy żyją obok siebie. Podróżowaliśmy wiele dni i Nemoctes zjawi się tutaj może już za pół dnia. A może za dwie godziny. Albo za dzień.

W zależności od prądów. A pozostali? Wszyscy pozostali?

Możemy czekać tu na nich, aż twoje chłopaki z włóczniami zemrą ze starości. – Jego zmęczone oczy wyłowiły nowo przybyłych. – Kto to?

– Ładowi, Gribbernie – oznajmił Heiracles, jakby sam właśnie odkrył nowy gatunek. – No i jak, robi się ciekawie?

– Nie. To nie ma ze mną nic wspólnego – odparł

Gribbern tym samym znużonym tonem. – Jestem tutaj, bo Nemoctes powiedział mi, że ktoś powinien się zjawić. I zgadnij, kto miał największego pecha i był akurat w okolicy?

– W takim razie przemawiasz w imieniu pelagików? –

naciskał Heiracles.

– Nie wiem, czy ktokolwiek przemawia w ich imieniu.

Nie jest to Nemoctes. Z całą pewnością też nie jestem to ja.

Wiem tylko, że Nemoctes kazał mi się tu stawić, a większość ludzi raczej mu nie odmawia. Nie wiem dlaczego. Po prostu płynę z prądem. Stary Gribbern ma sto lat i nic nie wie. Poza tym, mówiąc ściślej, jestem profundystą, a nie pelagikiem, ale skoro tak niewielu tutaj rozumie tę różnicę...

Heiracles najwyraźniej stracił cierpliwość, ponieważ odwrócił się do Paladryi.

– Mieszkańcy Hermatyre sądzą, że to ty zabiłaś ich dziedzica i że Claeon stracił cię za to. Najwyraźniej druga informacja jest nieprawdziwa. Opowiedz mi więc o pierwszej.

Paladrya zaczerpnęła głęboko powietrza.

– Po tym, jak pojawił się tabor Rosandera, by zaprowadzić spokój, jak zapewniał Claeon, wiedziałam, że Aradoldes jest w niebezpieczeństwie. Claeon ufał mi, a poza tym rozmawia...

– ... rozmawia z tymi, z którymi dzieli łożę. To wiemy –

dokończył chłodno za nią Heiracles.

– Nie powiedział mi wprost, że chce zabić dziedzica, ale nie potrafił też tego ukryć. Był zbyt pochłonięty planami przyszłego panowania w Hermatyre. A ja zrozumiałam, że ludzie Rosandera przyjdą po Aradoklesa i sprawią, że zniknie, aby ułatwić powołanie Claeona na stanowisko admira. Chłopak był już prawie w odpowiednim wieku, lecz Claeonowi zbyt spodobano się bycie regentem. Dlatego też zabrałam go w jedno miejsce, gdzie Claeon nie mógłby go osiągnąć. – Zerknęła na Stenwolda, a potem na pochmurne oblicze Heiraclesa.

– Jak? – zapytał stanowczo. – Jak mogłaś go tam zabrać? Łąd to śmierć.

– Zbyt długo słuchaliśmy naszych doradców – odparła Paladrya łagodnie. – Inne rasy mają swoje stare sekrety, a nam nawet nie przyjdzie do głowy zapytać. Mówiono mi, że istnieją starożytne pakt między pewnymi rodami strzałkopodobnych a pewnymi siłami na lądzie – pakt wzajemnego szacunku i współpracy. Nie pytałam o szczegóły, wiedziałam tylko, że istnieje sposób, by przekazać wiadomość. Wysłałam Aradoklesa na ląd z dwójką strzałkopodobnych, by czekał... czekał... nie wiem na co.

Wiedziałam tylko, że jeśli Claeon będzie miał do niego dostęp, zginie.

– Ale mógł się skryć w Gorących Rewirach –

zaprotestował Heiracles – albo w Głębokim Wysięku.

– W obu tych miejscach Claeon ma swoich ludzi –

odrzekła. – Sam przecież wiesz. Ty też znasz Claeona. Nie ma ani krztyny mądrości swego brata. Jest tylko małym człowieczkiem, który czepił się myśli, że może stać się wielki.

– Ze wszystkich sił walczyła ze strachem i poczuciem beznadziei, którymi nasiąknęła w niewoli. – Tak więc, Heiraclesie, ty pozostałeś wierny swemu prawdziwemu dziedzicowi, choć uważałeś, że nie żyje? Czy tak właśnie jest?

– Nie przesłuchuj mnie – napomniał ją surowo, a Stenwold zobaczył, jak Wys rusza brwiami, najwyraźniej rozbawiona. Widać wiele rzeczy ją bawiło.

– A może to dlatego, że Claeon nie włączył ciebie do swojej menażerii? – palnęła Paladrya.

Heiracles spojrzał na nią z wściekłością.

– Claeon jest mordercą i uzurpatorem, a niektórzy z tu obecnych dzielili z nim łożę.

Wzruszyła tylko ramionami.

– A co ty zrobiłeś w tym czasie? Aradokles zniknął na ponad cztery lata. Ja od dwóch lat gniję w lochu. A ty? Jakiż to wspiały plan ułożyłeś, Heiraclesie?

– Kiedy chorążowie Rosandera rozleźli się po całym mieście, niewiele można było zrobić – odparł beznamiętnie.

– Mam swoich szpiegów w pałacu. Zbierałem informacje.

Ostatnio właśnie zleciłem wyciągnięcie z lochu dziwnych więźniów, o których mi doniesiono. Pilnuj się, bym nie zaczął

tego żałować.

– A jeśli Aradokles wróci?

Heiracles spojrzał na nią z kamienną twarzą.

– O, tak, jeśli delfin edmir wróci, wtedy bez wątpienia kolonia powstanie, choć pozostaje jeszcze drobny szczegół: powstańcy od razu wpadną w szczytce zbirów Rosandera.

Ale ty wysłałaś go na ląd, a ląd to śmierć. Jedynie litoraliści utrzymują, że jest inaczej.

– A lądowi? – zapytała Paladrya z uporem. –

Heiraclesie, wyślij tych dwóch lądowych na poszukiwania Aradoklesa. Niech go sprowadzą z powrotem. Przecież Rosander nie jest nieśmiertelny.

Uśmiech Heiraclesa nie należał do przyjemnych.

Zwrócił swe bystre oczy na Stenwolda.

– Zrobiłbyś to, co?

Na młot i cęgi, tak!

– Wypuście nas na ląd, a ja zrobię wszystko, co w mojej mocy. Wierzcie mi.

Na twarzy Heiraclesa pojawiło się lekceważenie.

– Och, z całą pewnością. Jeśli ktoś wam zaufa. Niby dlaczego miałyby was obchodzić nasze problemy? Bez cienia wątpliwości, jego rodacy z pewnością już dawno oskórowali i pożarli chłopaka, jeśli w ogóle potrafią jeść przygotowane wcześniej potrawy.

– Claeon uważa, że chłopak wciąż żyje – upierała się Paladrya. – Po co miałyby brać lądowych w niewolę?

Heiracles posłał jej współczujące spojrzenie.

– Claeon wierzy w wiele rzeczy. Niektórzy nawet mówią, że wierzy litoralistom i chce podbić krainy nad falami. Ja jednak sędzę inaczej. Myślę, że próbuje okiełznać Tabor Tysiąca Kolców Rosandera, by trzymać kolonię pod butem. I myślę, że ci lądowi mają stać się jego nową jednostką w Hermatyre – armią niewolników wykonujących rozkazy albo znajdujących tu śmierć. Poza tym czy jakieś stworzenia nie chciałyby uciec od palącego słońca i pyłu, kiedy mają okazję żyć tak jak my? Nie, nie zaufam tym dzikusom.

Takie buńczuczne deklaracje wypowiediane przez osobnika ubranego jedynie w przepaskę biodrową i błyskotki wydały się Stenwoldowi lekką przesadą. Laszlo również najwyraźniej zbierał się w sobie, by rzucić jakąś inwektywę, ale Wys pacnęła go w tył głowy.

– Nie sędzę, żeby ktokolwiek chciał mnie posłuchać –

wtrącił się monotony głos Gribberna – ale nie rozumiem, w jakim stopniu dotyczy to pelagików, że o profundystach nie wspomnę. Nie sędzę też, by Nemoctes, który jest osobą o wiele bardziej towarzyską niż ja, chciał się mieszać do tego.

– No to po co cię tu przysłał? – zapytał Heiracles.

– Nie uważam, że mnie tu przysłał – odparł Gribbern posępnie. – Raczej poprosił, bym się tu zjawił, ponieważ obchodzi go los Hermatyre i ponieważ nawet pelagicy czasami się tam kręcą, podobnie jak profundyści. Ale wygląda na to, że niewiele się zmieni, chyba że wyczarujesz chłopaka z morskiej wody. Poza tym odnoszę wrażenie, że tym też nie jesteś zainteresowany...

– Niczego takiego nie powiedziałem – zaprotestował

Heiracles pospiesznie, co wzbudziło zainteresowanie Stenwolda. – Ja powiedziałem tylko, że nie rozumiem, dlaczego mielibyśmy zaufać tym... tym cudzoziemcom.

Oczywiście, że pragnąłbym powrotu Aradoklesa, gdyby istniała na to jakakolwiek szansa.

– Istnieje szansa – upierała się Paladrya.

– Ty już się dość nagadałaś – warknął. – Poza tym nadal ciąży na tobie wyrok śmierci. Będziesz mi tak dogadywać dalej, to... Co znowu?

Zza rzędów bali wyłonił się kolejny włócznie wcięż jeszcze ociekający wodą.

– Archonie – wysapał. – Musisz uciekać. Nadchodzą ludzie admira.

DWADZIEŚCIA TRZY

Wyglądasz mi na kogoś, kto właśnie otrzymał złe wieści.

Teornis jak zwykle był powściągliwy. W

rzeczywistości oblicze admira ciskało gromy. Pechowy posłaniec, który przekazał mu te wieści, z całą pewnością miał niewiele czasu, by tego pożałować. Teornis już poznał

charakter Claeona po tym, jak traktował on swoich podwładnych. Dobry arystoi wzbudzał szacunek i doceniał

wierność, nagradzał też za dobrą służbę, ale kiedy było to konieczne, potrafił być bezlitosny. Usposobienie Claeona zaś przypominało spuszczoną z łańcucha bestię. Kiedy był

zły, chłostał tego, kto mu się nawinął pod rękę, a to wywoływało jedynie eskalację wściekłości. Jego władza nie dopuszczała do działań odwetowych i Teornis widział już, jak podobni mu władcy padali bardzo szybko, kiedy tylko ktoś wykopnął im łaskę z dłoni. I to moja stopa dokona pewnego dnia tego dzieła, o admirze.

– Opowiedz mi o swoich towarzyszach – warknął

Claeon, rzucając się na tkany materac.

Teornis dopiero po chwili odnalazł właściwe słowa, które pozwoliłyby mu nadal korzystać z tej względnej wygody, a nie gnić w celi czy też tym bardziej cierpieć w sali tortur. Te komnaty były przynajmniej przestronne, umeblowane i ozdobione sztuką morskich opartą na bezsensownych plecionkach. I było tu nawet gumowate okno wychodzące na mroczny bezkres otaczających ich wód.

– Jeśli chodzi o tego małego – zaczął – to nie ma o czym mówić. Jest tylko sługą.

Claeon chrząknął, dając znak, że rozumie. Prawdę mówiąc, Teornis nie darzył muszego towarzysza Stenwolda żadnymi konkretnymi uczuciami, ale nie zamierzał

ryzykować własnego życia, by mały robał miał na tym skorzystać.

– Ten drugi jednak zawsze był moim głównym przeciwnikiem w wojnie między moim i jego ludem. Ma znaczną władzę i wpływy w swojej kolonii.

– Jest mądry? – wymamrotał admira.

– Och, z całą pewnością.

Coś jest nie tak. Niezadowolenie Claeona było na tyle duże, że nie można było po nim niczego poznać. Czyżby Stenwold zginął? Była to przykra myśl. Być może starał się wprowadzić jakiś radykalny, idiotyczny plan ucieczki i strażnicy go zabili. A być może strażnicy zabili go z nudów.

Z tego, co widział, panowała tu zasada: jaki pan, taki kram.

– Powiedziałbym, że jest to cenny więzień przy wszelkich negocjacjach. Człowiek, który posiada mnóstwo użytecznych informacji.

Oblicze Claeona spochmurniało jeszcze bardziej.

Teornis się skrzywił.

– O, admirze, jeśli cię rozdrażniłem, to powiedz tylko...

– starał się, jak mógł.

Edmir obrzucił go chmurnym spojrzeniem, jakby zobaczył go pierwszy raz w życiu.

– Ty? Och, ciebie wciąż tu mam i widzę, że postąpiłem mądrze, rozdzielając was. Jak sam mówisz, ty też jesteś wpływową osobą.

– Tak, wśród mego ludu – dodał Teornis ostrożnie. – W

rzeczy samej wśród wielu ludów żyjących na lądzie.

Chciałbyś, żebym dla ciebie użył moich wpływów?

– I jesteś nieprzyjacielem tamtych dwóch?

– Nasze narody nie żyją w przyjaźni.

Claeon wydał z siebie przeciągły syk.

– Jak podejrzewałeś, mam swoich ludzi na lądzie.

Litoraliści na coś się jednak przydają. Wasz lud – czy też wasi wrogowie – też ma swoich agentów u nas, o czym się przekonałem.

Teornis zamrugał ze zdziwienia i pozostawił to na chwilę bez odpowiedzi.

– Ja... nie podejrzewałem tego, admirze – wykrztusił w końcu.

Claeon warknął na niego:

– Jeśli prowadzisz ze mną jakąś grę, lądowy, to rzucę cię Arkeuthysowi na pożarcie.

– O, admirze, przecież nic nie wiedzieliśmy o was – ani o waszej kolonii. Choć być może jest kilku lądowych, którzy kiedyś mieli takie informacje. Być może ci, którzy poprzednio rządzili tam, skąd pochodzą twoi pozostali więźniowie, kiedyś wiedzieli. Oni wiedzieli bardzo dużo, choć nie dzielili się tą wiedzą z nikim. Ale jego lud? Nie, z całą pewnością nie.

Nie jestem sobie w stanie wyobrazić, że mając taką wiedzę, nie roztrąbiliby jej wszem i wobec. Nie są tak wysublimowani jak ty czy ja. Nie pojmują wagi tajemnic.

– W takim razie mamy w naszym gronie jakąś gnijącą ostrygę, bo ktoś jednak powążył się na ten czyn – zamruczał

Claeon bardziej do siebie niż do Teornisa. – Być może to jednak po nią przyszli, a lądowych zabrali

po prostu dlatego, że tam byli. Zdradzono mnie. W pałacu są szpiegzy, nie ma co do tego wątpliwości. Na kim ja mogę polegać? – Podniósł

na niego bystre spojrzenie. – Twoi współtowarzysze niewoli nie wiedzieli nic o Aradoklesie? Zarzekasz się?

– To imię nieznane żadnemu z nas – potwierdził

Teornis.

– Ale może teraz, jeśli jeszcze gdzieś żyje, będą chcieli go odnaleźć – powiedział do siebie admirał.

– Równie dobrze ja to mogę zrobić – zaproponował

Teornis ostrożnie.

Claeon wstał gwałtownie.

– Nie ufam ci – oznajmił. – I nie zaufam, aż będzie to całkowicie niezbędne. Twoi kamraci uciekli, ale ich odzyskam. Moi ludzie już idą ich tropem. Sprowadzę ich z powrotem i kiedy to zrobię, tak nad nimi popracuję, że nie będą się już nadawać do żadnych ucieczek.

Wypadł z sali, zostawiając w niej Teornisa, który pocierał w zamyśleniu brodę, bo jego plan zaczął się krystalizować.

Twarz Heiraclesa stężała na te wieści.

– W jakiej sile? – zapytał.

– Zbliża się do nas kawaleria strzałkopodobnych.

Zwiadowcy dostrzegli też szczypcowców – zameldował

strażnik.

– Powstrzymajcie ich – rozkazał Heiracles, a posłaniec puścił się pędem do wjazdu.

Heiracles odwrócił się, by spojrzeć na Paladryę i dwóch lądowych.

– Jak rozumiem, nie oddychają wodą? – warknął, wskazując na pęcherz wciąż trzymany przez Stenwolda.

– Szefie, oni w ogóle bardzo mało potrafią – orzekła Wys.

– Nie mogę ich ciągnąć z sobą. Przyjechałem tu z całą świtą i dobrze by było, gdyby oni wyjechali stąd oddzielnie, żeby zmylić pogoń. Gribbernie...

Ciemnolicy mężczyzna westchnął.

– Niech ci się nie wydaje, że się do tego palę, ale gdyby tu był Nemoctes, chciałby, żeby tak się stało. Naprawdę szkoda, że go tu nie ma.

– Gribbernie, czy nie możesz dać mi prostej odpowiedzi?! – Heiracles już bardzo słabo panował nad nerwami.

Starszy mężczyzna wydobył z siebie kolejne potężne westchnienie.

– Zdaje się, że mógłbym wziąć jednego, tak w sam raz.

Ale, uważasz, tylko jednego. Myślę, że w moim Pserryim nie znajdzie się miejsca na więcej.

– Ja chciałabym wziąć tego małego – wtrąciła pośpiesznie Wys.

– Nie taki miałem plan co do ciebie – zaczął Heiracles.

– Ale tego właśnie potrzebujesz, prawda? O zapłacie porozmawiamy na następnym spotkaniu.

– Gribbern może się skryć w zielsku. Wasz statek nie ucieknie strzałkopodobnym.

– Moja łajba, szefie, poradzi sobie. Jak popłyną za mną, to wejdą na mętne wody – zarzekła się. – Ty, pąkło, jesteś mój. – Pociągnęła Laszlo za rękę, a muszec posłał

Stenwoldowi rozpaczliwe spojrzenie.

– Idź z nią. Spotkamy się niedługo.

– Ale gdzie? Te błazny nawet nie mają planu ucieczki, misz-Maker! – zaprotestował Laszlo, siłując się z Wys. – Kto będzie się panem opiekował?

– Idź już, dobrze? – Stenwold zmusił się do uśmiechu. –

Nie daj się.

– Wyślę wiadomość przez pelagików – oznajmił

Heiracles Wys.

– Jasne, szefie – odrzekła i pociągnęła Laszlo po rampie, a cała jej załoga poszła za nimi.

Stenwold ostatni raz zerknął na muszca dokładnie w chwili, gdy na jego wyrywającą się głowę naciągano pęcherz.

– Paladryo, popłyniesz ze mną? – Heiracles wyciągnął

dłoń w jej stronę.

– A mam jakiś wybór?

– Zważywszy na okoliczności, nie, nie masz.

– W takim razie będę zachwycona – odparła znacząco.

– I .ądowy... – Wbrew ewidentnemu zniecierpliwieniu Heiraclesa spojrzała na Stenwolda, któremu powoli kończyli się znajomi.

– Paladryo – skinął jej głową żukowiec i ku swemu zaskoczeniu poczuł, jak objęła go pospiesznie.

Wymieniła z nim tylko dotyk, przycisnęła swój policzek do jego twarzy, po czym została odciągnięta.

– Niech fortuna ci sprzyja.

– Tobie również – powiedział i odwrócił się do Gribberna, nie znajdując ani śladu pocieszenia w tej posępnej, naznaczonej kamienną wysypką twarzy.

– Zdaje się, że lepiej będzie, jak udasz się ze mną –

mruknął mężczyzna i ruszył przed siebie.

Zanim Stenwold poszedł jego śladem, jeszcze raz spojrzął Paladryi w oczy.

Znalazłszy się ponownie w wodzie, w zimnym, wyduszającym oddech uścisku morza, Stenwold zobaczył, jak Gribbern odpycha się od włazu i kieruje do dna, a jego szara peleryna wydyma się wokół niego niczym postrzępione skrzydła. Nie mając innego wyjścia, Stenwold zrobił tak samo, nieskutecznie rozgarniając wodę i czując, jak delikatny prąd znosi go na ścianę zielska. Kiedy już, podskakując i rzucając się, zbliżył się do Gribberna, nie stanął właściwie na dnie, tylko zawisł nad mułem, wzniecając tumany osadu.

Morski spoglądał w górę z ramionami osowiale opuszczonymi wzdłuż boków. Stenwold też tam zerknął i zobaczył jakieś kształty przepływające nad ich głowami.

Poruszały się niezwykle zwinnie i nacierały z równą furją jak pojedynkujący się lotnicy znad Exalsee, śmigając obok siebie z oszałamiającą prędkością. Dwa zderzyły się z sobą i uchwycił widok skulonych jeźdźców z lancami w dłoniach, a potem rozdzieliły się w wirze ciemnej krwi. A może inkaustu?

Bo teraz odkrył, że płyną na kałamarnicach i, co dziwne, tyłem do przodu. Nie mieli nic ponad te lance, żadnych łuków czy oszczepów, niczego, co przypominałoby współczesną broń, i zaczął się zastanawiać, jak daleko doleciałby tutaj bełt z kuszy.

Zobaczył, jak łajba Wys pospiesznie sunie przez wodę niemal na granicy lasu wodorostów. Jedna z kałamarnic rzuciła się w jej stronę, ale kiedy się zbliżyła, czmychnęła zygzakiem jak niepyszna, niemal strącając jeźdźca.

Coś złapało go za rękaw, a ponieważ od razu przypomniały mu się macki, próbował się wyrwać z uścisku.

Jego oczy natrafiły jednak na udręczone spojrzenie Gribberna, bo to on właśnie ciągnął go za sobą, nie płynąc, lecz skacząc po dnie morza wielkimi susami. Stenwold łapał

właśnie oddech, kiedy zobaczył, dokąd zmierzają – stwór z równonogów pasł się spokojnie w kępie zielska, leniwie ruszając długimi czułkami.

Kończy mi się powietrze, pomyślał Stenwold. *Nie mogę usiąść na tym czymś i jechać na oklep.* Gribbern jednak szarpał go niecierpliwie i wkrótce znaleźli się w cieniu olbrzymiego stworzenia. Nagle mężczyzna puścił Stenwolda, który poczuł, że zaczyna się dusić pod pęcherzem, odepchnął się od podłoża i na chwilę zniknął za zakrzywionym rogiem potwora. Gdy pojawił się ponownie, zaczął energicznie machać do Stenwolda, który z olbrzymim wysiłkiem odbił się od dna i podskoczył.

Marny był to skok, ale na tyle wysoki, że Gribbern zdołał

go złapać i podciągnąć bez wysiłku do siebie. Dotarli do szczeliny, która była otworem w ciele zwierzęcia – może brzegiem skrzeli – w miejscu, gdzie łeb łączył się z pierwszym segmentem odwłoka. Była na tyle szeroka, że mógł się przez nią przecisnąć człowiek. Najwyraźniej Gribbern uparł się, żeby go tam wcisnąć. Stenwold zapierał się i wrywał, ale w końcu znalazł się w niewielkiej przestrzeni pod pancerzem.

Chwilę później dołączył do niego Gribbern i usiadł, wbijając kolana Stenwoldowi w pierś, a łokieć w oko. Kabina zadrżała i ściana za plecami żukowca rozstąpiła się tak, że woda przelała się do kolejnej komory. Upadł na plecy, szarpiąc się z pęcherzem, i w końcu ściągnął go, nabierając głośno powietrza w płuca.

Powietrze tutaj podjeżdżało stęchlizną i paliła się tylko jedna żółtawa lampka. Choć po prawdzie nawet ona nie miała czego specjalnie oświetlać: kilka gładkich kawałków muszli, które – jak zgadywał Stenwold – były pojemnikami, oraz porozrzucane ubrania i jakieś pasy materiału niewiadomego przeznaczenia.

– Gdzie jesteśmy? – zapytał.

Woda, która wciekła wraz z nim, odpływała już z pomieszczenia.

– W domu – odparł Gribbern zwięźle.

Lokum zachwiało się, po czym wyprostowało i Stenwold uświadomił sobie, że oto znajdują się w środku potwora i że ten potwór właśnie wyruszył w drogę.

– Ty... mieszkasz w tym czymś?

– Pserry i ja żyjemy sobie razem. – Jedna z dłoni Gribberna powędrowała w górę, by z zaskakującą czułością pogłodzić ścianę. – Będzie już ze czterdzieści lat, jak żyjemy sobie razem, Pserry i ja. Jesteśmy już za starzy na takie pościgi, ale byliśmy blisko i wciąż mamy nierówno pod sufitem, a Nemoctes i inni nie mogli dotrzeć na czas. Trudno, nasz pech. I twój też, bo inaczej miałbyś pewnie

lepszą kajutę. Chociaż jesteś tutaj, więc będziemy musieli się trochę bardziej postarać.

– Jeśli możesz... Dokąd zmierzamy?

– W cholerę – odparł Gribbern. – Pserry wie. On widzi, a ja widzę to, co on widzi, i czuję to, co on czuje. Najczęściej nie ma światła tam, gdzie chadzamy my, pelagicy. Chociaż właściwie jestem profundystą. Chodzę sobie głębiej niż ktokolwiek inny. Jedyńm błędem było wypłynięcie na te płyiczny, tak to widzę.

– Płyiczny? – Stenwold nie mógł się powstrzymać.

Po raz pierwszy Gribbern się uśmiechnął, choć zupełnie bez wesołości.

– No tak, przecież jesteś lądowym. No cóż, ziemski człowieku, są głębiny i są prawdziwe głębiny, i są jeszcze takie głębiny, które widzieliśmy tylko my dwaj, Pserry i ja. A później robi się naprawdę głęboko.

Kiedy tylko Laszlo został zaciągnięty na pokład, Wys zaczęła drzeć się na Leja, żeby ruszał. Poprzedni leniwy rytm statku zmienił się teraz w tak gwałtowny pęd, że Fel i Phylles musieli się złapać takielunku, a Laszlo wzleciał w powietrze, trzepocąc skrzydłami. Wys uśmiechała się drapieżnie.

– Kurs?! – zadudnił mechanik.

– Schodź nisko za zielsko! – odkrzyknęła. – Mamy towarzystwo, które musimy zgubić.

– Płyniemy szybciej? – zapytał ją Laszlo.

– Nie.

– No to jak... ?

– My się nie męczymy, a oni nie wiedzą podstawowej rzeczy o łajbie takiej jak ta. Mogą sobie połamać te wszystkie włócznie o nasz kadłub – pochwaliła się chętnie.

Chwilę później coś przemknęło przed bulajem niczym ostrze spadającego noża i wzrok Laszlo uchwycił zarys szczupłego mężczyzny przygarbionego w siodle. Biała bestia pod nim błysnęła w świetle lamp pozycyjnych statku i jedyne, co muszec zapamiętał z widoku tego podwodnego rumaka, to wielkie wylupiaсте oko.

Chwilę później pojawiło się ich więcej. Krążyły wokół

statku i dopiero wtedy uświadomił sobie, że tutaj toczyła się walka. Pędzili przez toń z niewyobrażalną prędkością, a jeźdźcy przechylali się na boki, by wrazić w przeciwników ostrze lancy. Byli to wojownicy z rodzaju tych, jakimi dowodził Heiracles – wysocy, szczupli, w profilowanych pancerzach. W drugiej ręce trzymali przeważnie dodatkową włócznie i najwyraźniej gardzili czymś takim jak tarcza.

Chociaż w błyskawicznych atakach rzadko trafiali na siebie, Laszlo zobaczył, jak jeden z nich zostaje przebity lancą, której ostrze przedarło się przez jego pancerz, pierś i wryło głęboko w osłonę rumaka. Potwór momentalnie wierzgnął i śmignął

gdzieś w głąb w kłębach czernidła i krwi. *Czy był to jeden z ludzi Heiraclesa, czy admira?*

Nie było sposobu, żeby to sprawdzić, chociaż walczący najwyraźniej nie mieli problemów z rozpoznaniem siebie. W

tak mętnej wodzie odróżnienie twarzy wroga wydawało się niemożliwe, ale nie nosili uniformów ani insygniów...

– Ci wasi kawalerzyści... – zaczął Laszlo, bo coś mu przyszło do głowy.

– Strzałkopodobni – poprawiła go Wys, wciąż uważnie pilnując kursu statku.

Przysunęła się teraz do bulaja, kładąc dłonie na czymś, co od biedy mogło uchodzić za stery.

– Są biegli w sztuce mowy ze swoimi zwierzętami?

– Oczywiście – padła natychmiastowa odpowiedź. – Jak większość ludzi, których nie stać na lepsze środki transportu.

– Mówiąc to, poklepała czule ścianę swojego statku.

W jej tonie zabrzmiała dobrze mu znana pogarda osoby wyznającej wyższość technologii nad naturą. Pokiwał głową.

Podejrzewał, że jeźdźcy musieli się kierować wskazówkami rumaków, które rozpoznawały sztuki z własnej stajni po zapachu, smaku czy czym tam jeszcze. Rzadko się widywało takie porozumienie ze zwierzętami na lądzie, ale Laszlo słyszał o nim, a można je było zobaczyć już tylko w zapadłych dziurach. Świat dawno ruszył naprzód. *Ale tu na dole najwyraźniej jeszcze nie.*

Wys odskoczyła, kiedy jeden z jeźdźców śmignął tuż obok bulaja, dźgając go włócznią. Laszlo doświadczył chwili grozy, spodziewając się, że błona rozedrze się jak papier, ale trzymała się mocno mimo paskudnej białej szramy, jaką zostawiła broń.

Jeździec nawracał, by spróbować jeszcze raz. Nie chciał

ryzykować frontalnego ataku. Wolał natrzeć po skosie, kiedy miał największą prędkość. Wys pociągnęła za jakąś wajchę, ale bez widocznego skutku.

Laszlo przygotował się. Trzymał w pogotowiu ociekający wodą pęcherz, chociaż podejrzewał, że gdyby woda wdarła się do środka, nie na wiele by mu się przydał. Zerknął na Fela i Phylles i zobaczył, że są całkowicie spokojni.

Kiedy wydawało się, że jeździec za chwilę wbije włócznię w kadłub muszli, bestia skręciła pod nim,

szarpnęła się i zaczęła wymachiwać mackami. Wyprostowała kurs, najwyraźniej kierując się w przeciwną stronę, i Laszlo przez chwilę obserwował, jak mężczyzna zмага się z nią wściekle, żeby zawrócić, aż zniknęli we dwójkę z wielką prędkością w mrocznej toni.

– Taka mieszanka z Gorących Rewirów – wyjaśniła Wys najwyraźniej bardzo z siebie zadowolona.
– Bo widzisz, tym zwierzątkom nie bardzo ona smakuje.

Na chwilę pojawiła się w bulaju jeszcze jedna para jeźdźców, ale w tej samej sekundzie ich zwierzęta zaczęły się wycofywać. Wkrótce potem widać było wyłącznie czerń oceanu.

– I już po sprawie – oznajmiła Wys, odchodząc od okna.

– Chłopaki Heiraclesa musieli im pogonić flądre i z całą pewnością ktoś w edmirowej straży zapłaci za to dzisiaj gardłem. Słyszałam, że jest to ostatnia osoba, której można zameldować brak wykonania zadania.

– Miejmy nadzieję, że zameldują tylko o tym – zauważył

Laszlo.

– Och, gdybym wiedziała, że jesteś taki marudny, tobym cię zostawiła – zbeształa go z uśmiechem na ustach. – A teraz posłuchaj mnie uważnie. Awansowałeś na członka załogi, dopóki Heiracles nie powie mi, co mam z tobą zrobić. To znaczy ja mówię, a ty wykonujesz.

– Naprawdę? – zakpił Laszlo.

– Albo nauczysz się pływać – dokończyła dobitnie. –

Myślałeś sobie, że my wszyscy będziemy pracowali, a ty będziesz się cieszył rejsem, co? Stać cię na bilet, hm?

Muszec kilkakrotnie otworzył i zamknął usta, po czym naburmuszony splótł ramiona na piersiach.

– No to co mam robić?

– Och, Phylles może ci najpierw pokazać coś zupełnie prostego.

– Wys, ten tutaj nie potrafi nawet natwarzać – odezwała się z urazą w głosie kobieta. – I jeśli nie masz potrzeby zdejmowania z góry różnych przedmiotów, te jego sztuczki nie na wiele się zdadzą.

– Znajdź coś, co będzie mógł robić – poleciła Wys. – Ej, Wyciek!

– Co znowu?! – dobiegł ich głos mechanika.

– Wyznacz kurs na Gorące Rewiry.

Phylles zmarszczyła czoło.

– Dlaczego?

Wys się uśmiechnęła.

– Ponieważ za długo pracowaliśmy dla Heiraclesa, żebym nie wiedziała, gdzie lubi robić interesy. Będzie chciał

wywieźć tych lądowych daleko od Hermatyre i z tego, co słyszałam, ma przyjaciół w Rewirach. Wspomnisz moje słowa, prędzej czy później pojawi się jakiś niechlujny pelagik, żeby nam to właśnie przekazać, więc równie dobrze możemy tam na niego czekać. Poza tym w Rewirach robi się dobre interesy. – Uśmiechnęła się do Laszlo. – Spodobają ci się, lądowy chłopaczku. Gorące Rewiry to miejsce, gdzie wszystko może się zdarzyć.

DWADZIEŚCIA CZTERY

Za głową Pserry'ego było naprawdę mało miejsca, co nie dziwiło już Stenwolda. Całe pomieszczenie mocno podjeżdżało Gribbernem, który najwyraźniej większość swego życia spędził właśnie w nim. Do tej pory gderliwy zbawiciel Stenwolda mruczał coś do siebie, przygarbiony w swej pelerynie, a Stenwold siedział niemal oparty o jego plecy, wpatrując się w ścianę i czując lekki kołyszący ruch, kiedy Pserry, morski wij, czy też kim on tam był, z chrzęstem sunął po dnie.

– Dokąd zmierzamy? – zapytał.

Do szaleństwa doprowadzało go to, że został

pozbawiony widoku na zewnątrz.

– Zdaje się, że ten facet nie powiedział mi właściwie, dokąd mam się udać – Gribbern przerwał swoje mamrotanie, by odpowiedzieć. – Ale nie uśmiecha mi się schwytnie przez ludzi tego admira, ponieważ my, pelagicy, powinniśmy być ponad to wszystko. Czy też raczej profandyści, bo...

– ... bo praktycznie jesteś profandyką, tak wiem –

dokończył za niego Stenwold. – Proszę cię, mistrzu Gribbernie, powiedz mi tylko, co się dzieje.

– Mistrzu Gribbernie – powtórzył morski, jakby smakował ten tytuł. – Brzmi imponująco. Jeśli kiedykolwiek spotkam mistrza Gribberna, przekażę mu twoje pozdrowienia. Ten oto tutaj prosty, zwyczajny Gribbern mówi, że teraz jesteśmy w wodorostach, gdzie ich kałamarnice nie mogą tak sobie po prostu pływać, a nawet jeśli, to nie tak szybko. Możemy tu nieźle się zabawić, a ja zawsze mówię, że wszystko można, byle z wolna i z ostrożnością.

– A potem co? – dopytywał się Stenwold. – Masz jakiś plan?

– Zdaje się, że wymyślanie planów to nie moja broszka.

Zdaje się, że ten cały Heiracles pogada z Nemoctesem albo z kimś innym, zależy, kto będzie w pobliżu, i przekaże komu trzeba wiadomo co.

– Zawsze mógłbyś odstawić mnie na brzeg – podsunął

Stenwold. – Skoro najwyraźniej tylko siedzę ci na głowie...

Gribbern prychnął lekceważąco.

– Pomijając to, że zdaje mi się, że nie jest to dobry pomysł, bo wielu ludzi by się na mnie wściekło, włącznie z Nemoctesem, Pserry nie mógłby tego zrobić. Na drodze stoi wał ziemny – zbyt stromy, żeby się po nim wspiąć, a nie ma też możliwości, żebyśmy do niego podpłynęli. Poza tym słyszałem, że zbliżanie się do lądu to jakby proszenie się o śmierć. Więc jak mówię, nie ma sensu ryzykować.

– Wał ziemny? – powtórzył Stenwold zaskoczony.

– Jasne. – Gribbern skrzywił się tak, jakby chciał na niego spojrzeć. – Przecież o tym wiesz, mam rację? Jestem pewien, że lądowi lubią sobie z nami, zwykłymi ludźmi, trochę pogrywać.

– Nic nie wiem – odpowiedział Stenwold cierpliwie. –

Proszę, oświeć mnie.

– Cóż, w stronę lądu znajduje się wielki mur, tam, gdzie dno morza ciągle się podnosi. Mój Pserry nie pływa za dobrze i nie potrafi go przejść, ale słyszałem, że można podpłynąć tak blisko do niego, że da się go przejść, że niektórzy szczypcowcy potrafią się po nim wspiąć. Mówią, że to trwa wiele dni. Ale tam na górze woda jest płytka, coraz płytsza i płytsza, i niezdrowa, a potem przechodzi w ląd. Straszliwe miejsce, jak mówili. Nic, tylko pustka nad głową, zimno i sucho, i gorąco, i sucho, cały czas, jak mówią.

Laszlo mówił coś o szelfie, przypomniał sobie nagle Stenwold. „Rzucamy kotwicę na krawędzi szelfu, bo dalej woda robi się głębsza”. Graniczna Krawędź, wielkie klify stanowiące naturalną granicę między Nizinami i Wspólnotą.

Być może ten wał ziemny był podobnym tworem, ale pod wodą tworzył naturalną granicę świata morskich. *Tylko że oni potrafili ją przepłynąć... A my też potrafimy przelecieć nad Graniczną Krawędzią, choć niewiele to robi, bo Wspólnota jest obcą i niegościnną krainą i niczego stamtąd nie potrzebujemy.*

– W takim razie jak wysokie jest to zielsko? – zapytał.

– Ciągnie się aż na samą górę, tak przynajmniej gadają

– nadeszła wymijająca odpowiedź i Gribbern ponownie zatopił się w dziwacznej konwersacji z samym sobą.

Stenwold zaczął się zastanawiać, czy przypadkiem nie uczestniczył w niej Pserry. *Miejmy nadzieję, że Laszlo też się wydostał. IPaladrya.* Zastanawiał się, co mogło się z nią teraz dziać. Chciał mieć nadzieję, że od tej pory będzie miała wyłącznie lepsze życie, ale ani na jotę nie ufał Heiraclesowi.

Zbyttnio przypominał on *aristos*. A poza tym nie miał

złudzeń, że gdyby okazało się to korzystne, Heiracles zadenuncjowałby Paladryę bez zmrużenia powieki. I to go martwiło, bo krakenówna miała w sobie rzadko spotykaną siłę, która pozwoliła jej przetrwać to wszystko, czego doświadczyła z ręki Claeona.

– Mistrzu lądowy – odezwał się nagle Gribbern. –

Zdążyłeś już poznać litoralistów?

– Nieco o nich wiem, ale naprawdę niewiele –

powiedział Stenwold. – Że mają jakiś zatarg z lądem, chcą tam wrócić i wyciąć moich ludzi. Tylko nie mów mi, że wierzysz w to wszystko, że niby zmusiliśmy waszych przodków do wejścia do morza?

– Nie wiem dokładnie i zdaje się, że i tak nie ma to już większego znaczenia – odparł Gribbern. – Widzę to tak, że nam dostało się to, co najlepsze. Chociaż słyszałem, że litoraliści zdobywają ostatnio coraz większy posłuch w Hermatyre.

Stenwold tylko mruknął. *Dlaczego to ja odpowiadam na pytania dotyczące ich świata? Al* Gribbern najwyraźniej nie zamierzał dać za wygraną, bo po dłuższej chwili mruczenia znów zagaił:

– Mają swoich ludzi u was? Znaczą ci litoraliści?

– Niby jak? – Stenwold zmarszczył brwi. – Ale chyba mają. To nie przypadek, że zostałem wciągnięty pod wodę.

Ktoś podstępem zwabił nas na tę łajbę, a inni już tam na nas czekali.

Gribbern wydał z siebie żaloszny odgłos i znów zaczął

szeptać do siebie, a Stenwold nie potrafił pozbyć się wrażenia, że powtarza każde jego słowo. *Swemu zwierzęciu?*

Z pewnością nie. Przechylił głowę, starając się wyłowić sens murmuranda.

– Wygląda na to, że Claeon mocno się tam u nich zagnieździł – usłyszał, ale głos dochodził z większej odległości, nie mógł więc należeć do Gribberna.

Jego żołądek wywinął kozła, bo teraz był przekonany, że w tej ciasnej przestrzeni oprócz nich dwóch znajduje się ktoś jeszcze.

– Kto to powiedział? – zapytał stanowczo. – Kto tu jeszcze jest poza nami?

– Nie widzę nikogo ze mną oprócz ciebie – odparł

Gribbern tak wolno, że Stenwold miał wrażenie, że zaraz dostanie szału. – Ale ja mówiłem do Nemoctesa.

– Do kogo? W jaki sposób?

– To tylko sztuka, lądowy – powiedział Gribbern, jakby przekazanie tej wiedzy Stenwoldowi oznaczało jakąś jego osobistą tragedię. – Tylko sztuka. My, pelagicy, nie mówiąc już o profundystach, spędzamy tak wiele czasu w samotności... Żyjemy w takim oddaleniu od siebie, a w głębinach można spędzić całe lata, nie widując żadnego stworzenia czy łajby. Samotność nam służy, naprawdę, ale nie możemy udawać, że nie brak nam głosu naszych pobratymców. Mamy więc sztukę, wszyscy, wszystkie nomadyczne rasy. Od czasu do czasu więc rozmawiamy z sobą.

– Na jaką odległość? – zapytał Stenwold.

Czy któraś ze znanych mi ras jest do tego zdolna?

Wiedział, że nie. Nie była to łączność mentalna mrówców –

odległości były zbyt wielkie, a Stenwold naprawdę usłyszał

głos Nemoctesa. Morscy posiadali kolejnego asa w rękawie.

– Och, ona się zmienia – powiedział Gribbern spokojnie. – Może powinieneś sam z nim porozmawiać.

Przekażę mu wszystko, co powiesz. Nemoctesie, możesz teraz do niego mówić.

Z jakiegoś trudnego do zlokalizowania punktu przed Gribbernem dobiegł go odległy głos:

– Lądowy, słyszysz mnie?

– Nazywam się Stenwold Maker.

– Mówi, że jest Stenwold Maker – zamruczał Gribbern.

– Dziwnie mi brzmi to imię. Powiedziałbym, że nazbyt fikuśne. Ale co ja tam wiem?

– Jestem Nemoctes, Stenwoldzie Makerze – przemówił

głos. Chociaż brzmiał cicho, Stenwold zauważył brzmącą w nim pewnością siebie i doszedł do wniosku, że rozmawia z człowiekiem o dużej władzy.

– Jesteś, panie, przywódcą pelagików? – zapytał

Stenwold, a cichy głos Gribberna stał się cieniem jego słów.

– Nie ma czegoś takiego – odparł Nemoctes lekko rozbawiony – ale niewielu z nich mnie słucha.

Reprezentuję tych, którym nie podoba się Hermatyre pod obecnymi rządami.

– Nemoctesie – powiedział Stenwold, starając się zachować cierpliwość. – Rozumiem, że bardzo dużo się u was dzieje w polityce, ale to nie ma nic wspólnego ze mną ani z moim ludem. Ja chcę wyłącznie wrócić do domu.

Kiedy Gribbern przekazał wiernie tę wiadomość, na dłuższą chwilę zaległa cisza, podczas której Stenwold mógł

wyłącznie gapić się na ścianę ciasnego domu Gribberna. W

końcu Nemoctes odparł:

– Rozumiem. Ale gdyby to wszystko było tak proste, jak mówisz, sam odstawiłbym cię na brzeg. Sam jednak potwierdziłeś, że Claeon interesuje się waszym światem.

Litoraliści już tam szpiegują i bez wątpienia pozyskali sojuszników. Bez względu na to, czy chodzi o wojnę przeciwko wam, czy też o spisek mający podporządkować mu kolejną rasę, jesteś częścią planów Claeona. Żałuję, bardzo żałuję, ale nie mogę pozwolić ci wrócić.

– Jeśli coś się dzieje tam, na górze – nalegał Stenwold –

to najlepszym sposobem na powstrzymanie nieszczęścia jest zgoda na mój powrót tam, bym jakoś temu zaradził. Nie chcę, żeby agenci morskich myszkowali pośród mego ludu, podobnie jak i ty, a nic, co planuje Claeon, nie może być dla nas dobre. Pozwól mi pomóc wam tam, gdzie wy nie możecie.

– To wydaje się logiczne – odparł Nemoctes, ale w jego głosie nie było nawet iskierki nadziei dla Stenwolda. –

Równie dobrze tak to się może skończyć. Powinniśmy jednak najpierw odbyć tajne posiedzenie, my, pelagicy, i ludzie Heiraclesa, bo słyszałem pogłoski, że być może następca tronu mimo wszystko żyje. Musimy poczekać, aż woda się ustoi, żeby obrać jak najlepszy kurs.

– Jasne – powiedział Stenwold.

Nagle zamknięcie w ciasnej przestrzeni, napierające na niego plecy Gribberna, przyćmione światło i zatęchłe powietrze stały się ponad jego siły. Znalazł się na skraju rozpacz.

– Daję ci słowo, że będziesz mógł się w tej kwestii wypowiedzieć i że nie wykorzystamy cię dla politycznych celów Heiraclesa. Postąpimy z korzyścią dla naszego ludu, ale też w miarę możliwości waszego.

Stenwold wierzył temu głosowi z oddali, ale wcale go to nie ucieszyło. Na bezkresnym oceanie przysięga jednego człowieka była taką drobnostką.

– Nemoctesie – odezwał się teraz Gribbern.

– Mów.

– Zdaje się, że muszę przerwać. Nie jesteśmy sami.

Zarówno Stenwold, jak i Nemoctes zastanowili się nad tymi słowami.

– Śledzą nas – wyjaśnił Gribbern z lekkim drżeniem w głosie.

– Kto? – zapytał ostro Nemoctes, a Stenwold dołączył

do niego, pytając:

– Jak to nas śledzą? Kto śledzi?

– Pserry mówi, że to szczypcowcy – meldował Gribbern.

– Niedaleko za nami. I idą naszym śladem przez las wodorostów.

– Z jaką prędkością? – naciskał Nemoctes.

– Och, zdaje mi się, że z taką jak nasza – odparł

Gribbern żałośnie. – Jest ich trzech, może czterech.

– Skieruj się na głębiej – rozkazał cichy, zrodzony ze sztuki głos. – Już po was idę. Jestem niedaleko.

– Nie myśl sobie, że się tak nimi przejmuję –

wymamrotał Gribbern. – Pserry mówi, że idą za nami, od kiedy wyruszyliśmy, i ani się nie zbliżają, ani nie oddalają, a my możemy biec dłużej niż oni. Ale coś jeszcze rusza się w wodorostach nad naszymi głowami i trzyma odległość. –

Przez chwilę, ale tylko przez chwilę jego głos był znacznie wyższy.

– Zachowaj spokój, Gribbernie – odezwał się Nemoctes.

– Zbliżam się. Zaraz będę koło ciebie – zapewniał, ale w jego głosie słyhać było nuty niweczące cel, jaki chciał osiągnąć: wzbudzić w Gribbernie pewność siebie.

Ani Stenwold, ani też Gribbern nie poruszyli tego tematu, ale obydwaj myśleli to samo: Nie jest wcale tak blisko. Jest daleko. Prawdę mówiąc, Stenwold nie miał

pojęcia, jaka odległość mogłaby ich dzielić, ale najwyraźniej wiedział to Nemoctes – i głos go zdradzał.

– W takim razie zdaje się, że nikogo innego tam nie ma?

– stwierdził Gribbern.

Stenwold poczuł dreszcz biegnący mu po plecach.

– Ktoś mnie słyszy?

Pojawił się nowy głos, który brzmiał tak, jakby należał

do starej kobiety:

– Słyszę cię, mój stary Gribbernie. Ruszam w drogę.

– Jestem blisko Hermatyre – odezwał się kolejny, nakładając się na pierwszy, tym razem młody i ostry. –

Możesz zawrócić w moją stronę?

– Chyba raczej nie – odparł Gribbern posępnie. –

Szczypcowcy mnie dopadną, jak nie będę szedł prosto.

– Jestem blisko – usłyszeli i Stenwoldowi podniosły się wszystkie włosy na karku. Tym razem odezwała się kobieta, ale jej głos brzmiał upiornie, jakby jego właścicielka była pozbawiona ciała: – Nadchodzę.

– Tylko że... – Gribbern zakrztusił się kolejnym słowem, po czym dzielnie kontynuował: – Tylko że Pserry mówi, że mamy nad głową coś naprawdę wielkiego, a ja mam paskudne przeczucie...

– Jestem w drodze, po prostu idź dalej – naciskał

Nemoctes.

Inne głosy też dodawały im otuchy, ale Stenwold i tak czuł, jak Gribbern drży.

– Nemoctesie – wyszeptał morski. – Pserry jest przerażony.

– Jestem już blisko – zapewnił Nemoctes żałośnie.

– Gribbernie, bądź silny – rozległ się głos nieznajomej kobiety.

Stenwold słyszał, jak oddech Gribberna przyspiesza i robi się coraz bardziej chrapliwy, jakby bestia zrzucała na niego cały swój wysiłek. Pserry poruszał się teraz zdecydowanie szybciej – delikatny, kołyszący ruch przerodził

się w serię wstrząsów, kiedy stworzenie śmigło między łodygami wodorostów.

– Łądowy – zwrócił się do niego Gribbern niezwykle spokojnym głosem. – Zdaje się, że powinieneś założyć pęcherz.

– A co to da? – zapytał Stenwold.

Zarażony lękiem towarzysza podróży zapomniał o sobie.

Ale teraz jego myśli znów zaczęły krążyć wokół zatrważającej głębiny i jej miażdżącego nacisku. Na jak długo wystarczy mu powietrza w pęcherzu? Pięć minut? Mniej?

– Gribbernie, ja tam i tak nie przeżyję.

– Załóż go, to moja rada. Może Nemoctes... zdąży.

Może... – Nagle rzucił się do przodu, jakby ktoś wbił mu nóż w brzuch. – Nemoctesie! – zasyczał. – Wysłali Arkeuthys a!

Stenwold poczuł to samo ostrze grozy zagłębiające się w jego brzuch. Był to potwór morski, którego ślepie obserwowało go na pokładzie barki, a macki ściągnęły go do tego przeklętego świata. Arkeuthys – imię, które wzbudzało przerażenie nawet u jego sprzymierzeńców.

– Gribbernie, posłuchaj mnie – zaczął Nemoctes, chociaż żaden z nich go nie słuchał. – Idź prosto, niech wodorosty cię ochronią. Nawet Arkeuthys... Gribbernie, wytrzymaj! Po prostu wytrzymaj!

Chwilę później Stenwold został ciśnięty na bok, kiedy Pserry bez ostrzeżenia wykonał zwrot, a całe ciało stworzenia odwróciło się, po czym znów zaczęło pędzić, jeszcze szybciej niż poprzednio.

– Co jest?! Co się stało?! – wykrzyknął Stenwold, ale Gribbern nie miał ochoty na pogawędkę.

Pserry odwrócił się ponownie, z taką samą szybkością, praktycznie podskakując na nierównym dnie morskim i szarpiąc dwójką pasażerów w środku.

Gribbern krzyknął. Stenwold walnął z całej siły plecami w niego, a pudełka, podobnie jak cały świat, poleciały na ścianę, która na chwilę zmieniła się w sufit. Ogon Pserry'ego musiał teraz sterczeć do góry. Padł z wielkim łoskotem i znów zaczął uciekać. Stenwoldowi wydawało się, że runęli w jakąś szczelinę, ale wtedy serce mu zamarło: *Niemal nas dopadł*, uświadomił sobie. Potwór wisiał tuż nad nimi.

– Nie zawiodę cię – rzucił Gribbern nie wiadomo, czy do Stenwolda, Pserry'ego, czy nieobecnego Nemoctesa.

Kobiecy głos wciąż coś mówił, ale Stenwold go nie rozumiał. Gribbern odwrócił się do niego, wykręcając się niezgrabnie do tyłu i barkiem trącając brodę Stenwolda.

– Zakładaj pęcherz! – krzyknął. – Załóż go!

Jednocześnie wziął coś z kabiny, jakąś broń – potężny nadziak.

Stenwold naciągnął pęcherz na twarz w chwili, w której Pserry przeskakiwał przez jakąś przeszkodę. Niemal usłyszał

gorączkowe szuranie jego odnóży.

Chwilę później kabina napełniła się wodą i do środka wpadło morze, które cisnęło Stenwoldem o podłogę, ale Gribbern przytrzymał go i popchnął w kierunku nagle otwartego wjazdu. Żukowiec przecisnął się przez niego w płataninie kończyn, bijąc wściekle w morską wodę i niemal ściągając odruchowo pęcherz z głowy w obawie przed utonięciem. Spodziewał się zobaczyć głęboką czerń, ale dostrzegł światła – jarzące się kule wielkości człowieka błyszcząły między wodorostami, oświetlając splecione, klaustrofobiczne kępy rozhuśtanej zieloności.

Stenwold dotknął dna i odbił się bez widocznego celu, machając bezradnie rękami. Zobaczył Gribberna z nadziekiem ciągnącym go jak kotwica do dna i z rozwianą peleryną.

Zobaczył też Pserry'ego: dzielne stworzenie nadal uciekało, a jego tępo zakończony łeb przedzierał się przez wodorosty. Nad nim jednak wisiał teraz ogromny cień, licznymi mackami rozgarniający zielsko. Stenwold przypomniał sobie, że Pserry był wielkości dużego pojazdu transportowego, a więc Arkeuthys był...

Wijące się sploty morskiego potwora uderzyły jednocześnie, odrywając Pserry'ego od dna i obracając nieszczęsne stworzenie na plecy. Stenwold dostrzegł

zamazany obraz wielkiego, przedzielnego kreską żółtego ślepią i ostrego dzioba przypominającego gigantyczne cęgi.

Poczuł wstrząs, kiedy spadły na ofiarę, rozrywając jej bok i przedzierając się przez pancerz wijącego się Pserry'ego. Raz za razem tnący dziób Arkeuthysa uderzał w dół, a członki jego ofiary trzepotały bezradnie, aż w wodzie wokół potwora zaczęły się unosić kawałki pogruchoanego pancerza i fragmenty odnóży.

Gribbern pchnął Stenwolda w stronę wodorostów. Nie było słów na opisanie wyrazu twarzy morskiego, ale jego wolna ręka przekazała mu sygnał, którego znaczenie było oczywiste:

Uciekaj!

Dokąd?!

Wnętrze pęcherza już niebezpiecznie wklęśło. Wtedy Gribbern zakręcił Stenwoldem i ten zobaczył, co się święci.

Oczywiście Arkeuthys nie przybył sam. Między łodygami wodorostów przedzierali się szczypcowcy – potężnie opancerzeni, równie szerocy co wysocy, siedzący na długonogich, kroczących bokiem krabach, mierzących ćwierć ciała Pserry'ego.

Gribbern ponownie pchnął Stenwolda i obrócił się, unosząc potężny nadziek. Żukowiec gorączkowo szukał

jakiejsz broni, ale w odróżnieniu od Laszlo nie przezbroidł się po wyrwaniu z więzienia. Miał tylko rękę.

Jeden ze szczypcowców zeskoczył z wysokiego siodła i powoli opadł na dno, gdzie stanął przed

Gribbernem. Był

uzbrojony w dziwny miecz – ciężki, opływowy przedmiot, zakrzywiony ku przodowi i zakończony szpikulcem. Ale gdy potknął się, dotknąwszy dna, Gribbern nie pozwolił mu się podnieść. Zamachnął się nadziakiem, tak że kolec z całym impetem wbił się w naramiennik szczypcowca. Ale jego siła uderzenia była zbyt mała, by poruszyć nieludzko szeroką postacią. Wtedy ten mieczem ciął od góry, a wszystko odbywało się w zwolnionym tempie, jakby ktoś ćwiczył

choreografię walki. Gribbernowi wykorzystującemu jakąś sztukę, by mocno przywrzeć do podłoża, udało się uniknąć ciosu, a wtedy leniwym ruchem jego broń na odlew dosięgła hełmu szczypcowca.

Bez ostrzeżenia, poruszając się szybciej i sprawniej niż obaj mężczyźni, krabi szczypiec złapał za wolną rękę Gribberna. Rumak szczypcowca zrobił nieznaczny krok i sprawnie zakończył pojedynek swego pana. Chwilę później drugi szczypiec złapał Gribberna w pól i na tyle mocno, że woda w jednej chwili zabarwiła się na czerwono.

Stenwold krzyknął z żalu i przerażenia i starał się uciec, brnąc i kopiąc w wodę i muł. Widział, jak szczypcowcy zbliżają się w jego stronę, a każdy ich krok przypominał

zupełnie niewinny skok. Niezdrowe światło lamp zabłysło mocniej, ukazując mu znacznie więcej, niż pragnął zobaczyć.

Krab był zajęty jedzeniem. Tuzin szczękoczułek jego aparatu gębowego pracował wytrwale nad każdym kęsem, rozdzierając pozostałości szarego płaszcza. Szczypcowiec zrobił kolejny krok i zatrzymał się z uniesionym mieczem.

Wszędzie było jasno. Nawet wodorosty zaczęły świecić.

Ale nie były to wodorosty. Na Stenwolda opadła jakaś zasłona, woal macek emanujących własną luminescencją.

Niektóre były tak cienkie, że ledwo je widział, inne – zwinięte

– poruszały się falistym ruchem bądź też powiewały niczym targane wiatrem haftowane falbany. Oddychał z coraz większą trudnością – pęcherz wyczerpał wszystkie swoje zasoby.

Szczypcowiec wycofał się ostrożnie w stronę rumaka, ale Stenwolda wcale to nie uradowało, bo nad krabami jeźdźcami wciąż unosił się tuman Arkeuthysa.

Dotknął macką pierwszej warstwy połyskującego płaszcza i momentalnie cofnął się jakby pod wpływem uderzenia, a wielka kula potwora falowała i ścieśniała się w sobie. Jedno wielkie patrzące na nich ślepie zabłysnęło niemal ludzką wściekłością i bólem. Stenwold, już coraz słabszy, padł, dał się ponieść i podniósł wzrok.

Księżyc, pomyślał, tracąc przytomność. Księżyc przybył, by mnie uratować...

DWADZIEŚCIA PIĘĆ

Wydawało mi się, że nie lubimy bentoników – marudził

Laszlo na tyle głośno, by było go słyszeć w maszynowni.

Z góry dobiegło go pytające mruknięcie Leja i Laszlo powtórzył to jeszcze głośniejszym głosem. Usłyszał szuranie i drapanie, po czym wielki mechanik wyłonił się w głównej kabynie podwodnika.

– Coś ty powiedział? – zapytał Lej.

– No, bandy Rosandera – uściślił Laszlo. – To są bentonicy, prawda? Szczypcowcy?

– Jasne – potwierdził Lej, najwyraźniej zaciekawiony jego stanowiskiem.

Przyczłapał, by dołączyć do Laszlo wyglądającego przez okno. Poszarpane przez skały i pokryte mułem dno morza stanowiło teren obozowiska bentoników, całego rzędu zwierząt i pojazdów ustawionych spiralnie, gdzie najprawdopodobniej w środku było najmniej niebezpiecznie.

Było tu ze czterdzieści bestii ze szczypcami, odnóżami i kolczastymi skorupami, z których każda była obciążona sieciami z ładunkiem albo palankinem z muszli i rybiej skóry, a niektóre ciągnęły też wyładowane przyczepy. Oprócz zwierząt Laszlo zauważył również jakiś pojazd – wielką maszynę wykonaną z brązu na kształt homara, która była na tyle okazała, iż podejrzewał, że musiał nią podróżować szef bentoników, ich „nauarch”. Nad nimi dostojnie przesuwali się mózgowcy na kałamarnicach, znikający w ciemnościach poza światłami karawany, po czym wracający po łuku i najwyraźniej wypatrujący niebezpieczeństwa. Wraz z nimi płynął jeden podwodnik – wysmukła maszyna wykonana z wąskiej muszli, która mogła pomieścić wyłącznie pilota wzrostu Wys.

– Rosandera nie lubimy. Bentonicy nam nie wadzą.

Szczypcowcy? Ja jestem szczypcowcem. Tak samo Wys i Fel

– zadudnił Lej. – Ze szczypcowcami wszystko jest w porządku. Tak samo z mózgowcami. Ludzie to ludzie. Nie pałamy miłością jedynie do kilku gagatków. Poza tym oferujemy swoje usługi, nie płacą nam za sympatię.

Wys, Fel i Phylles wyszli do bentoników z kufrem pieniędzy od Heiraclesa, chcąc zapewne coś kupić. Widok obozu był im najwyraźniej miły.

– Problem z Rosanderem – ciągnął Lej, starannie dobierając słowa – polega na tym, że on nie zachowuje się jak bentonik. Tabor Tysiąca Kolców zjawił się w Hermatyre kilka lat temu i wciąż tam pozostaje. Bentonicy zaś muszą być w ruchu. Nikt nie jest zadowolony, że się tam zagnieźdźdźli.

Laszlo pokiwał głową, wciąż spoglądając na tłumną karawanę. Z całą pewnością bentoników była siła. Ich grupy wyłaniały się z mroku, przemierzając oceaniczne bezdroża.

Laszlo podejrzewał, że łowią tam też ryby bądź żerują w inny sposób. Dno morskie wyglądało tak niegościnnie, że był

zadziwiony, iż mogło wyżywić tyle luda. Oszacował, że w obozie tym było przynajmniej czterystu bentoników, nie licząc tych, którzy rozeszli się po okolicy w poszukiwaniu pożywienia. Większość z nich stanowili szczypcowcy – w masywnych zbrojach i bez nich, przypominający Leja. Inni należeli do skoligaconych z Wys gatunków, niewielkich osobników śmigających to tu, to tam, doglądających zwierząt i towarów. Wszyscy mieli na sobie znacznie więcej ubrań niż ludzie mieszkający w Hermatyre, ale podejrzewał, że otwarte wody były chłodniejsze. Po chwili muszec umiał już rozpoznać inne rasy – oprócz kawalerzystów mózgowców, zauważył kilku osobników podobnych do Paladryi w otoczeniu ciężkich, szerokich w barach szczypcowców.

Dostrzegł nawet przysadzistego młodego człowieka, który mógł być bratem Phylles, wylegującego się na grzbiecie jednego ze stworzeń i opierającego się o jakiś przedziwny, podobny do kwiatu wykwit falujący setką macek w niewidocznym prądzie morskim. Kiedy wspomniał o tym Lejowi, wielkolud tylko wzruszył ramionami.

– Dlaczego nie? – zapytał ze swoją zwyczajową flegmatycznością. – Jeśli ktoś chce podróżować z bentonikami, to czemu nie? życie nie jest łatwe. Łatwiej jest w kolonii, gdzie wystarczy zat howywać się zgodnie z panującymi w niej zasadami. Ale prawdziwie wolne życie można toczyć tylko u boku bentoników. Niektórzy ludzie tego właśnie pragną: nie czuć otaczających ich ścian, wałęsać się jak jakiś pelagik. Niektórzy to lubią.

– Czy kiedykolwiek tak właśnie żyłeś? Podróżowałeś w taborze? – zapytał Laszlo.

– Urodziłem się w nim – potwierdził Lej. – Wysiadłem w Rewirach, kiedy miałem czternaście lat. Pracowałem tam, uczyłem się, a teraz jestem tutaj.

– Lubisz maszyny?

– Jasne. – Lej uśmiechnął się szeroko, a uśmiech od razu zmienił jego twarz, która wyglądała teraz młodziej i bardziej ludzko. – I)obrze jest umieć coś, co rzadko kto potrafi. Tak jak z tobą. Wiesz, o czym mówię. – Oczywiście miał na myśli pojętność.

Laszlo starał się złożyć wszystkie informacje, by oszacować, ilu ludzi pod wodą należało do pojętnych.

Odniósł wrażenie, że w ten talent los wyposażył głównie szczypcowców, ale najwyraźniej było też wśród nich sporo takich, którzy tak jak Wys nie zajmowali się mechaniką.

Dlatego twierdzili, iż otacza ich jakaś tajemnicza aura.

Zdawkowe zainteresowanie się Laszlo silnikiem podwodnika wzbudziło w Leju sporo szacunku, chociaż muszec nie potrafił mu pomagać przy maszynie. Nie chodziło o znajomość rzemiosła – minimalną w tym wypadku – ale o to, że przekładnie, które pchały tę łajbę naprzód, powstały w umyśle kogoś takiego jak Lej, a Laszlo ledwo poradziłby sobie z pojedynczą zębatką. Nawet do nakręcania mechanizmu konieczne były szerokie ramiona Leja.

– Oto ona we własnej osobie – zamruczał mechanik, wskazując na miejsce, w którym wyłoniła się

Wys wraz z innymi.

Laszlo parsknął, co zaciekało Leja.

– Czasami my też tak mówimy – wyjaśnił muszec. –

Mówimy: „On jest w złym nastroju” albo coś podobnego. To dziwne, że wy też tak robicie.

Lej długo patrzył na niego z uwagą.

– Łądowny, ja nawet nie wiem, dlaczego ty i ja rozumiemy choćby słowo z naszej mowy – stwierdził.

Laszlo gapił się na niego, bo ta myśl go zaskoczyła. W

końcu słowa to słowa... Mają znaczenie... Samoistne znaczenie. Był pewien, że gdzieś to wyczytał.

Fel i Phylles szli obładowani workami i dzbanami oraz dziwnymi perłowymi pojemnikami. Wys była pochłonięta rozmową z kobietą szczypcowców z rasy Leja, która nosiła kombinezon zakrywający wszystkie stawy i częściowo wzmocniony płytami. Była równie szeroka i mocno zbudowana jak mężczyźni jej gatunku i Lej rozpoznał w niej Epiphonę, nauarcha taboru Trzech Czerwonych Ryb.

Rzeczywiście kilka opancerzonych zwierząt pociągowych nosiło kwadratowe proporce z trzema karmazynowymi kropkami, choć zdaniem Laszlo trudno się było dopatrzeć w nich ryby.

Epiphona bacznie patrzyła Wys na ręce, kiedy drobna kobietka przemawiała do niej dłońmi, jak mieli w zwyczaju ci ludzie, znajdując się w wodzie. Sama w odpowiedzi poruszyła palcami – było to kilka znaków, za to bardziej zdecydowanych. Chwilę później Wys i jej załoga wrócili do podwodnika.

– Musiała dostać dobry upust – domyślił się Lej. –

Wygląda na zadowoloną.

Laszlo widział ich walutę – skórzaste płachty chropowatego papieru zadrukowane w fantastyczne wzory.

Najwyraźniej wypuściło je Hermatyre na rozkaz admira i każdy, kto pracował dla miasta, dostawał w nich zapłatę.

Muszec był zdania, że z łatwością można je podrobić, ale usłyszał, iż zarówno kładzenie inkaustu, jak i skomplikowane wzory są tak trudne do wykonania, że nawet doświadczony adept natwarzania miałby problemy z wykonaniem duplikatu. Wydawało mu się to czystym wariactwem, ale postanowił uwierzyć im na słowo. W końcu najwyraźniej nieprędko znajdzie się w obszarze, w którym obowiązywała złota waluta z Helleronu.

Wkrótce Wys i reszta jej ekipy weszli na statek, głośno tupiąc i ociekając wodą. Przynieśli jedzenie, świeżo utkaną odzież i coś, co nazwała „lejtwodą” dla Leja, a co było jakimś mocnym trunkiem. Lej zaczął wypytywać o rocznik i dowiedział się, kto wydestylował tę berbeluchę z wody morskiej.

Laszlo poczuł się źle, bo przecież każdy głupi wiedział, że woda morska to trucizna. Chociaż ci wariaci mieszkali w niej i oddychali nią, więc nie powinien być zaskoczony kolejnym przejawem ich szaleństwa.

– Jakies wieści? – zapytał Wys, kiedy tylko mógł się wtrącić do rozmowy.

– Hm? – Wys uniosła miękkie jak puch brwi, jedyne kępkę włosów na jej głowie. – A, o twoim przyjacielu?

Żadnych. Spotkali kilku pelagików, ale ostatnio żadnego i raczej niepodobna, by wieści mogły tak szybko do nas dotrzeć. Nie przejmuj się, znajdą nas. – Uśmiechnęła się do niego, najwyraźniej wierząc w to, że go uspokoiła. – Nic złego mu się nie przydarzy. IY wnie już dotarł do Rewirów.

Przypomniał sobie, jak ciemność spowiła wszystko wokół.

Przypomniał sobie, jak coś wbiło mu się w bok, paląc żywym ogniem ciało, jak starał się zaczerpnąć powietrza.

Poruszające się wielkie cielsko Arkeuthysa przesuwalo się nad nimi niczym wściekła chmura, sięgając do niego mackami i błyskawicznie je cofając.

On sam pędził przez wodę w górę ciągnięty przez to coś w jego boku ku...

Ku światłu...

I przebudził się pod jego wpływem, bo było tak silne, że tańczyło na obrzeżach jego powiek.

Leżał na jakiejś uginającej się powierzchni i czuł tępy ból w boku, gdzie to coś go przeszło. Światło było tak białe, że widział je mimo zamkniętych oczu. Białe, jasne i czyste jak nic, co miał okazję zobaczyć od momentu porwania go z barki.

Przez chwilę myślał... Ale przecież nie znalazł się na łodzi. Nie czuł bryzy ani otwartej przestrzeni. Wilgotne, bezwonne powietrze wokół niego rozbrzmiewało cichym rytmicznym odgłosem, jakby trzy pomieszczenia dalej szumiała woda. *Pewnie jestem w podwodniku...* Ale nie w odrzutowym statku, jaki zabrał go po porwaniu, ani w spiralnym domu Wys. Ruch był doskonale wyczuwalny przez wyściełaną powierzchnię, na której leżał, ale różnił się od gwałtownych skoków statku napędzanego syfonami.

Stenwold otworzył oczy – czy też starał się to uczynić, bo światło zbyt go raziło. Był otoczony blaskiem. Uniósł dłoń, żeby osłonić oczy, i poczuł ból we wszystkich stawach. Był

gotów na ukłucie w bok, ale teraz wspomnienie o nim zamazało się w pamięci.

Kolejne dziwne miejsce. Za każdym razem, kiedy staram się zrozumieć... Łajba Chenni, potem loch, statek Wys, dom w muszli – klaustrofobiczne pomieszczenie za głową biednego morskiego potwora Gribberna... A teraz to.

Tylko co to jest? *Mam nadzieję, że Laszlo lepiej wylądował.*

I Teornis też, gdziekolwiek się znajduje. Zdał sobie sprawę, że ucałowałby Teornisa, gdyby go zobaczył, bez względu na to, czy był jego wrogiem, czy nie.

W końcu zaryzykował i zerknął przez palce. Ze wszystkich stron otaczała go blada poświata, jakby siedział

pod księżycem w pełni, i półkoliste ściany. Nie, to była kopuła. W dodatku lekko falowała. Dostrzegł w środku niej jakieś szare kształty, jakby robaki, worki i... wnętrzości. Te ciemniejsze kształty wyglądały jak wnętrzości jakiegoś stworzenia, a za nimi znajdowało się... morze. Woda.

Zauważył czmychające w popłochu ryby, które najpierw podpływały do tego obiektu, zwabione światłem. Popatrzył w dół.

I teraz już wiedział, że popełnił błąd. Z dołu wprawdzie nie świeciło tak mocno – podłoże było prawie przezroczyste, ale pod nim znajdowało się morze. Choć nie tylko. Ciągnęło się też coś za nimi, co przypominało wodorosty niknące w oddali, w rejonach, do których nie docierało już białe światło.

Nici i zwoje, jakby błyszczące sznury klejnotów. Macki.

To nie jest podwodnik. Zamarł w bezruchu. Obecność powietrza zamiast soków trawiennych świadczyła o tym, że był teraz gościem jakiegoś przedstawiciela rasy morskich, co jednak nie napawało go zbyt wielką otuchą. Zobaczył rybę sunącą przez te leniwie poruszające się nitki. Wystarczył

jeden dotyk, nawet otarcie się o najcieńszą witkę, i stworzenie zaczęło się miotać, a potem zamarło, przyczepione do niemal niewidzialnej macki. Teraz stworzenie, w którym podróżował, wciągnęło zdobycz, zwijając stopniowo nić, i ofiara zniknęła w jakimś niewidocznym dla Stenwolda otworze. *Tak jak ja?*

Przypomniało mu się ukłucie bólu, szarpnięcie. *Jak oni mogą tak żyć? Dlaczego nie wariują z obrzydzenia?*

Wszystko tutaj jest paskudne!

– Jak się czujesz?

Jego głowa sama obróciła się odruchowo w stronę, z której dobiegł głos.

– Och – stęknął Stenwold.

Nie była paskudna. Można było o niej wszystko powiedzieć, tylko nie to. I od razu wiedział, jakich lądowych kuzynów musiała kiedyś mieć. Te białe oczy, blada skóra mieniąca się macicą perłową... Przypomniała mu się dziewczyna, którą pokochał kiedyś Salma, znana między innymi pod imieniem Spętany Smutek – cudownie tańczyła i była nieziemsko piękna; zupełnie nie pasowała do świata

pełnego krwi i przemocy, świata Stenwolda i Salmy. Ta kobieta była taka sama, ale jeszcze bardziej eteryczna. Jej skóra była tak alabastrowa, że nie śmiał przyglądać się jej dokładniej, żeby nie dostrzec jej organów wewnętrznych; była jednak niewiarygodna, podobnie jak długie jasne włosy, falujące i skręcające się, jakby przepływał przez nie jakiś niewidzialny prąd morski. Klęczała przed nim i spoglądała na niego wielkimi oczami, a na jej twarzy nie było widać ani śladu emocji.

– Co... ? – wykrztusił.

Poczuł się, jakby leżał tak bez ducha całe dni, a przed jego oczami przesuwały się niezrozumiałe obrazy; jakby w każdej chwili mógł znów znaleźć się w wodzie, w celi lub w paszczęce kolejnego potwora. Drżał i drzenie to stale przybierało na sile, a on nie potrafił nad nim zapanować.

Mógł jedynie spoglądać na zjawiskową morską.

– Powiedz mi, jak się czujesz – powtórzyła.

Otworzył usta, by udzielić odpowiedzi, ale sam nie wiedział, co odpowiedzieć. *Zagubiony*, pomyślał. *Czuję się zagubiony*. Przecież żadnego syna Kolegium nie zagnało tak daleko. *Chcę wrócić do domu*. Nie dlatego, że był mistrzem wojny Stenwoldem Makerem, bohaterem, który uratuje miasto przed pająkowcami, tak jak uratował je przed Vekkeńczykami i osowcami. Chciał wrócić do domu z tej samej przyczyny, dla której dziecko płacze za matką. *Chcę zobaczyć coś, co znam. Ściany, drzwi, dachy, przyjaciół. A nie...* Nagle stanęła mu przed oczami scena śmierci Gribberna – beznamiętne, mechaniczne ruchy aparatu gębowego kraba, wprawnie rozrywającego trupa i pochłaniającego go. Wzdrygnął się na samo wspomnienie tego i nagle napięte do granic wytrzymałości sprężyny umysłu puściły. Wszyscy się pojawili, wszystkie znajome twarze: *Tisamon, stary łajdaku, gdzie jesteś, kiedy cię potrzebuję?* Pojawił się Nero, ten, który zmarł tysiące mil stąd, w Solarno... Salma, Totho, Tynisa... Martwi i zaginieni.

Arianna. Przeżywał na nowo jej śmierć zadaną przez okrutne ostrze Danaen, odrywające ją od życia z modliskową precyzją. Arianna, która go zdradziła i która zdradzała dla niego, która starała się zabić dla niego generała i może nawet kochała go w krótkich chwilach między wojnami.

Wiedział, że przewraca się na bok, ale jego ręce były zajęte próbą opanowania drżenia. Powierzchnia, na którą spadł, zafalowała obcym życiem i miał nadzieję, że go pochłonie, wciągnie, wybawi od dojmującego bólu i żalu, tak jak modliskowe ostrze pozbawiło go Arianny.

Wtedy poczuł jej obecność – delikatne palce sunęły po poszarpanej odzieży na plecach, badając fakturę materiału, niepewne, co mają z nim zrobić. Cofały się, natrafiając na skórę. Czuł, jak niemal unosi się nad nim, kiedy drżał

powalony rozpaczą. Najwyraźniej wiedziona instynktem czy też jakimś wspomnieniem objęła go ramionami, nie dotykając go jednak, a sploty jej włosów wolno poruszały się po jego ciele. Trząsał się i szlochał pod jej troskliwą opieką i w końcu, kiedy wszystkie emocje z niego uszły i zwyciężyło wyczerpanie, usnął.

Obudziły go jakieś głosy i przez chwilę wierzgał, myśląc, że znajduje się w ciasnej kabinie

Gribberna, a docierające do niego głosy to odległe echa rozmowy Nemoctesa... a ona odpowiedziała, rozpoznał jej głos jako tamten widmowy szept, który nawiedził Gribberna na chwilę przed tym, jak zginął wraz ze swym stworzeniem. „Jestem blisko” –

zapewniała go, choć nie była aż tak blisko.

– Wraca do nas – powiedziała, nie odwracając się, by na niego spojrzeć, ale wyczuwając, że Stenwold się przebudził.

Siedziała z podciągniętymi pod brodę kolanami, plecami do niego.

– Stenwoldzie Makerze, lądowy, słyszysz mnie? –

dobiegł go chropawy dźwięk za sprawą ich sztuki.

– A jeśli słyszę? – odparł Stenwold słabym głosem.

– Słyszysz – potwierdziła kobieta.

– Cieszę się, że wciąż żyjesz, lądowy.

– Nie jestem pewien, czy podzielam tę radość – rzucił

Stenwold w powietrze. – Czego chcesz?

Zapadła cisza po tym, jak przekazała jego słowa. W

końcu Nemoctes powiedział:

– Poprosiłem Lyess, żeby zawiozła cię do Gorących Rewirów. Spotkamy się tam, jeśli to będzie możliwe, z Heiraclesem i innymi lojalistami. Claeon nie odważy się otwarcie wystąpić przeciwko nam ze strachu przed nim. –

Ostatnie słowo wypowiedział z taką mocą, że musiał być to ktoś ważny. – Odnajdę twojego przyjaciela, tego drugiego lądowego. Dołączy do ciebie na miejscu.

– Dobrze – odparł Stenwold, myśląc, że skoro nie chcą ich wypuścić na wolność, to dobre i to. Nagle poczuł wstyd i zamruczał: – Przykro mi z powodu twojego przyjaciela.

– Mnie również. – Smutek w głosie Nemoctesa był

bardzo wyraźny. – Tym bardziej że to ja wciągnąłem moich braci pelagików w ten konflikt. Nie zamierzam dłużej przypatrywać się, jak moi ludzie giną – ani też inni pozostający pod moją opieką, włącznie z tobą.

– W takim razie zawieź mnie na ląd – błyskawicznie wykorzystał okazję Stenwold. – Uwolnij mnie.

Nie usłyszał westchnienia Nemoctesa, ale odgadł, że musiało nastąpić, bo na chwilę na łączach zapadła cisza. W

końcu morski odpowiedział:

– Gdybym nie miał związanych rąk, nie przetrzymywałbym więźniów. Wolność jest istotą życia pelagika, dlatego też niechętnie odmawiam jej innym. Mogę jedynie zabiegać o to, by Heiracles i jego ludzie wysunęli konkretne argumenty za przetrzymywaniem ciebie tutaj.

Jeśli to nie nastąpi, sam oddam cię twoim, tak jak twego przyjaciela. Dość czekania. Dość trzymania cię tu na wszelki wypadek.

Być może było to uczciwe postawienie sprawy, ale Stenwold był innego zdania.

– Cóż – powiedział w przestrzeń. – A teraz co?

– Znajdziesz się w Gorących Rewirach tak szybko, jak pozwolą na to prądy morskie – wyjaśnił Nemoctes. – Do tego czasu Lyess zadba o ciebie. W oceanie niewiele istot mogłoby jej zagrozić, tak przynajmniej myślę.

Stenwold przypomniał sobie, jak Arkeuthys odskoczył

oparzony dotykiem potwora, w którym żukowiec przemierzał

teraz głębiny morskie. Być może w innych okolicznościach zastanowiłby się, jak bardzo tutejsi ludzie są związani ze zwierzętami dzięki swej sztuce, jak bardzo na nich polegają i tym samym jak te stwory na nich oddziałują. Teraz jednak czuł tylko do nich wszystkie obrzydzenie.

Lyess odwróciła się do niego, nadal obejmując kolana mlecznobiałymi ramionami.

– Ja... Zdaje się, że jesteśmy przez jakiś czas na siebie skazani – zaczął nieporadnie.

Widać było, że miała zamiar coś odpowiedzieć, ale z całą pewnością nie chciała wyrazić radości z tego, że będą razem.

Być może raczej lęk, choć lęk przed czymś, czego lądowi nie potrafili zrozumieć.

– Jak daleko jest do tych Rewirów? Jak rozumiem, wiesz tam jakieś towary?

Rozejrzał się po pomieszczeniu w kształcie dzwonu i szybko przekonał się, że nie było tu miejsca na ładunek.

Wszędzie wokół za falującymi ścianami rozpościerało się morze.

– Wykonamy zadanie – odparła.

Zgadywał, że to „my” oznaczało również jej stworzenie, którego tętniące życiem ciało otaczało go w

tej chwili.

Wzdrygnął się na myśl o tym i przesunął do przodu, na co ona błyskawicznie wyciągnęła dłonie przed siebie jak osowiec, który ma zamiar użądlić. Na jej twarzy pojawiło się zaniepokojenie.

– Co się stało? – zdziwił się. Nie miał już cierpliwości, by dbać o jej uczucia. – O co chodzi?

– Nie miałam styczności z kimś takim jak ty. Nikt taki jak ty nie znajdował się w tym miejscu. Nigdy.

– To mnie wcale nie dziwi – odparł lekceważąco. –

Ponieważ z jakiegoś powodu my, lądowi, nie schodzimy tu do was za często...

Ale ona już pokręciła głową.

– Ja... w ogóle nikogo nie gościłam. Nie mam jak Nemoctes wielu spraw z obligatorystami. Znam wyłącznie głosy moich pobratymców. My, pelagicy, podróżujemy daleko i głęboko. Czasami mijają lata, zanim kogoś spotkamy. Niektórzy z nas, unoszący się w najdalszych prądach morskich, nigdy nie spotykają nikogo ze swej rasy –

z żadnej rasy. Jesteśmy stworzeni, by żyć samotnie, jak morze długie i szerokie. Nie jestem przyzwyczajona do...

czyjejś obecności. Nawet z innymi pelagikami spotykam się na krótko, po czym każdy rusza w swoją drogę. Nawet z moją matką czy z moimi dziećmi... Są tylko głosy – sztuka mowy na odległość. To trudne... patrzeć na czyjąś twarz.

W jego głowie pojawiło się pytanie, którego nie miał

okazji zadać biednemu Gribbernowi, a które dręczyło go, od kiedy rozszyfrował pomrukiwanie tamtego.

– Ta wasza sztuka. Czy odbywa się poprzez wasze zwierzęta? Czy ich umysły łączą się na taką odległość?

– Nie – padła prosta odpowiedź. – Masz pewnie na myśli Pserry'ego. Pserry miał umysł, chociaż tylko Gribbern i jego kuzyni potrafili z nim rozmawiać. Kontakt ze zwierzętami to inna sztuka. Moja towarzyszka – zatoczyła krąg ramieniem – nie mówi i nie ma umysłu. Dlatego nasze współistnienie jest innego rodzaju.

Ta liczba mnoga zaczynała go coraz bardziej niepokoić.

– Ale nią kierujesz?

– Jesteśmy połączone, istnieje jednak tylko jedno ja. Ja jestem Lyess, więc my jesteśmy Lyess. Nie ma drugiego umysłu, tylko echo. Echo w olbrzymiej przestrzeni wspomnień.

– Nie rozumiem.

– Czasami umysł jest wrogiem wspomnień. Istnieje olbrzymia pamięć, sięgająca wielu tysięcy lat. Przemawia bardzo cicho, tak cicho, że nawet głos Nemoctesa zagłuszyłby jej szept. Ale nie ma żadnego drugiego głosu, kiedy jestem tu sama. Gdy wsłuchuję się bacznie, mogę usłyszeć tę pamięć.

To starożytna pamięć. Nasza rasa należy do najstarszych, naprawdę najstarszych ze wszystkich.

Stenwoldowi przypomniały się jakieś teorie nieco mniej szacownych filozofów z Kolegium na temat pamięci ras owadów, wielkiej przestrzeni połączonego umysłu, w której w jakiś sposób funkcjonowały zwierzęta, a do której czasami odwoływali się ludzie za pomocą sztuki. Wariackie koncepcje ostatnich pokoleń... Spojrzał na nią, na jej twarz, bladą, piękną i delikatną jak Spętanego Smutku, i poczuł, że uwierzy jej we wszystko. *Czuję się przecież tak, jakby Rosander i Paladrya byli mi bratem i siostrą.*

– No to jak? – naciskał. – Sztuka pochodzi od zwierząt, od idealnego, doskonałego konceptu zwierzęcia, jeśli wierzyć teoriom. Muszcy potrafią latać, bo muchy też to umieją. –

Jego słowa najwyraźniej wprowadziły spory zamęt, ale brnął

dalej: – Dlaczego używacie mowy na odległość? Co pomaga wam opanować tę sztukę?

– Samotność, lądowy – odrzekła. – Nic, tylko samotność tutaj, w tej długiej, ciemnej podmorskiej nocy.

DWADZIEŚCIA SZEŚĆ

Daleko jeszcze do tych Rewirów? – zapytał Stenwold, spoglądając na mijane okolice oświetlane aurą emanującą z rumaka Lyess, którego nazwała swoją towarzyszką.

– Czas – odparła, a kiedy zirytował się, przekrzywiła tylko głowę na bok. – Zabierzemy cię tam, lądowy. Będziemy spać i budzić się, spać i budzić i jeszcze... i będziemy tam.

– A co ja mam do tej pory robić? – zapytał.

– Odpoczywaj – odparła po prostu Lyess. – Claeon nie będzie cię niepokoił dopóty, dopóki będziesz pod moją opieką, ani też chorążowie Rosandera cię nie znajdą.

Odpoczywaj i przyglądaj się wodzie. – Kiedy wypowiadała jakieś dłuższe zdanie, jej głos stawał się śpiewny, jakby ktoś uderzył w kryształ. Rozbrzmiewał w pomieszczeniu, jakby wydobywał się z jestestwa stworzenia, które ich niosło.

– Widok wody wcale mnie nie cieszy – rzekł, zasępiając się.

Obok przemknęła ławica ryb i światło odbite od ich łusek padło na niego. Nie miał złudzeń. Wiedział, że zapłacą za to najwyższą cenę, dostając się w objęcia zabójczej nitki ciągnącej się za nimi. Świadomość, że ich mięso, przetworzone przez Lyess, miało stanowić jego pożywienie,

wywoływała nudności.

– To smutne – powiedziała, znów bacznie mu się przyglądając.

Czasami rozglądała się po komnacie, zostawiając na ścianie kolorową wstęgę, która zmieniała barwę pod dotykiem jej dłoni. Czasami tylko klęczała, jakby zatopiona w medytacjach. Prawie nie mrugała, a jej oczy były niemal stale utkwione w Stenwoldzie. Nie wiedziała, co ma z nim robić, ale fakt, że dzieli z nim pomieszczenie, niepokoił ją i fascynował jednocześnie. *Nic ją nawet nie obchodzi, że jestem z lądu*, pomyślał Stenwold. *Tak samo gapiłaby się na każdego morskiego.*

– Nie pasuję do tego miejsca – oznajmił. – To... –

zatoczył dłonią krąg po bezbrzeżnej pustce nad nimi, pod nimi i wszędzie wokół – ... wygląda jak pustynia. Morska pustynia.

Dajcie mi wieże Kolegium. Na młot i cęgi, dajcie mi nawet niewolniczy obóz osowców! Dwie nogi i bystry umysł

wyzwoliłyby go z łap osowców. Tutaj jedyną ucieczką było utonięcie.

– Jeśli poczekaś trochę, zobaczysz bardzo wiele –

obiecała. – Występuje tu piękno w wielu postaciach. I także walka. Ale przede wszystkim jest tu spokój. Jak sądzę, nie doświadczyłeś go zbyt wiele w życiu.

Nie mógł na nią nie spojrzeć, kiedy to powiedziała.

Piękna, tak, ale dotykać nie wolno. Przypominała kruche szkło, które rozpadnie się pod dotykiem człowieka, ale przecież wcześniej objęła go ramionami i wyczuł w niej o wiele większą siłę, niż można by sądzić po jej wyglądzie. Był

to bardzo dziwny gest jak na kogoś, kto żyje z dala od innych.

Być może doszedł w niej do głosu jakiś instynkt – wbrew wszystkim stopniom morskiego wyobcowania i różnicy ras.

– Widok, jaki najbardziej chciałbym teraz ujrzeć, nie ma nic wspólnego z morzem – wyznał.

Pomyślał, że jest złym gościem, ale był pewien, że mogła go zawieźć na ląd, lecz tego nie robi. Wciąż był więźniem, choć w innym lochu.

– Chciałbyś, żebym ci pokazała słońce? – zapytała.

Coś wygięło się w nim niebezpiecznie, jakby za chwilę miało trzasnąć.

– Tak – rozległ się jego ledwo słyszalny szept.

Poczuł zmianę w monotonnym pulsowaniu stworzenia...

Czyżby się wznosili? Mroczne morze, jednolite w swej ciemni, nie wskazywało na to. *W ogóle jaka jest teraz pora dnia? Skąd mogła wiedzieć, czy w ogóle świeci słońce?*

Niemal straciłem w nie wiarę. Zacząłem myśleć, że jest jednym z tych mitów z dni wiedzy, jak wielka magia ciemców.

Jej uporczywe spojrzenie wytrącało go już z równowagi, jego oczy zaś zmęczyły się już bezdenną głębią, ciemnymi kształtami przesuwanymi się za przezroczystymi ścianami jego więzienia. *Kto chciałby żyć w ten sposób? Musieli być na krawędzi desperacji. A może rzeczywiście ich do tego zmusiliśmy?*

– Odpocznij – powiedziała. – Obudzę cię.

Było jasne, że nie szybowali w górę na chyżych skrzydłach, odwrócił się więc od niej i położył na boku, czując, jak podłoże ugina się pod jego ciężarem i nieprzyjemnie rozciąga. Zamknął oczy, żeby nie widzieć uporczywego światła, i starał się zdrzemnąć. Jego zegar biologiczny był beznadziejnie rozregulowany i nie miał

pojęcia, ile dni spędził tu, na dole. Ci morscy zdawali się żyć według jakiegoś własnego rytmu, nie miał jednak pojęcia jakiego. Bez wschodów i zachodów słońca czuł się zagubiony w czasie.

Później nie był pewien, czy naprawdę wtedy zasnął, tylko nagle zorientował się, że jest bardzo blisko niego i że jakiś czas musiał upłynąć. Uchylił jedną powiekę i zobaczył ją kątem oka, jak przykucnęła obok. Przez chwilę miał ochotę ją kopnąć, myśląc, że niczym w opowieściach o moskitach ma zamiar wypić jego krew, ale opanował się i zmusił, by spojrzeć na nią.

Kiedy się odwracał, ona już się wycofała. Jej włosy zwisające na twarz zareagowały pierwsze i skręciły się, pozornie same, na ramionach. Przez sekundę cały jego świat tkwił w jej oczach, wielkich i niewidzących, głębszych niż ocean. A potem ona też się cofnęła i usiadła na podłodze.

– Jesteśmy – oznajmiła.

– Gdzie?

– Na górze.

Podniósł wzrok i niemal krzyknął. Zobaczył światło, ale nie tę zimną, sterylną poświatę roztaczaną przez jej stworzenie. Nad nimi rozciągał się błękit, o którym niemal już zapomniał. Zerwał się na równe nogi i wyciągnął dłoń, jakby chciał schwytać słońce i przytulić je do siebie, zabrać je na dół, by wypaliło wszystkie koszmary głębin.

– Muszę wyjść na zewnątrz – powiedział. – Proszę, muszę poczuć powietrze.

Cofnęła się na drugi koniec pomieszczenia, jakby w jednej chwili zmienił się w niebezpiecznego wariata. Nie dała mu żadnego sygnału ani też nie wypowiedziała tego na głos, ale w jeszcze przed

chwila jednorodnej podłodze pojawiła się szczelina, przez którą zaczęła napływać woda. Sięgała mu już do kostek i wiedział, że będzie musiał w jakiś sposób wypłynąć spod czaszy potwora, ale w tej chwili nic sobie nie robił z parzących wici ani bezmiaru wody czy też z faktu, że nie umiał pływać. Nałożył pęcherz na głowę i po prostu skoczył w szczelinę, zagłębiając się w morzu.

Przez chwilę tonął, ale wciąż był w lesie macek, które dawały mu podparcie. Przedzierał się przez nie, za każdym razem znajdując przejście, gdziekolwiek się obrócił.

Wydostawał się z plątaniny żywego stworzenia, myśląc tylko o tym, że gdzieś tam jest powietrze, które musi wciągnąć w płuca.

I w końcu przysłała taka chwila, kiedy miał nad głową wyłącznie wodę, i zaczął wierzgać i kopać z całych sił, wspinając się po zakrzywionym cielsku stworzenia, aż jego twarz wynurzyła się nad falującą toń i mógł zedrzeć z niej pęcherz.

Był jasny dzień – niebo niemal bezchmurne, a Batog nie zaciemniał horyzontu. Stenwold Maker wdrapał się z mozołem na gąbczastą, uginającą się pod naciskiem powierzchnię i wyłonił się z wody. Kiedy tylko znalazł się na górze, padł na plecy, rozrzucając ramiona na boki, i chłonał

wzrokiem przepastny, przyjazny bezkres nieba, a płucami –

świeże słone powietrze.

Gdybym tylko umiał latać, przyszło mu do głowy. Ale dobrze wiedział, że gdyby umiał latać, to może uciekłby Lyess, ale nie zdołałby pokonać morza. Nie wiedział, w którą stronę musiałby się udać, a nikt nie miał takiej wytrzymałości, by dolecieć do lądu z tego pustkowia. Wokół

niego we wszystkich zakamarkach horyzontu widać było wyłącznie wodę i ani śladu żagla sunącego po bezkresie fal.

Mimo to było to słodkie uczucie. Była to rozkosz, którą przez całe życie traktował jako zupełnie naturalną, a która teraz smakowała wspaniale.

Nie potrafił później powiedzieć, jak długo leżał tam w coraz suchszym poszarpanym ubraniu, ale w końcu stwór pod nim zaczął się powoli zanurzać w wodzie. *Niech ją szlag trafi*, pomyślał wytrącony z błogostanu. *Takie to było trudne? Czy Nemoctes ma aż tak napięty grafik? Nie mamy czasu?* Naciągnął pęcherz na głowę i ześliznął się do wody, wiedząc, że nie ma wyjścia i musi wrócić w niewolę albo utonie. Tym razem macki potwora popychały go naprzód, robiąc wiry i niemal ciągnąc go do miejsca, w którym otwarte usta czekały tylko, by go znów wchłonać. Klnąc na wszystkich morskich razem wziętych, precyzyjnie się przez szczelinę, czując, jak zamykają się za nim – zimne, wręcz lodowate –

tak szybko, że okryły mu stopę śluzem. Krzyknął z obrzydzenia i odwrócił się, by posłać Lyess piorunujące spojrzenie.

– Jakie wieści? – zapytał stanowczym głosem. –

Zakładam, że muszą być jakieś wieści, skoro musimy teraz pędzić na złamanie karku do tych Gorących Rewirów?

Kłęcząc ze zwieszoną głową, z włosami zakrywającymi twarz, Lyess nie odpowiedziała.

– Odezwij się do mnie – zażądał. – Co takiego się stało, że znów musimy się zanurzać?

– Musimy zejść pod wodę – wyznała bardzo cicho i podniosła na niego wzrok.

Stenwold usłyszał własny stłumiony okrzyk. Jej skórzana twarz była popękana i pomarszczona, jakby postarzała się o wiele dziesiątek lat.

– Słońce nam szkodzi – wyjaśniła. – Ja i moja towarzyszką nie możemy znieść jego dotknięcia.

Chciałbyś, żebym ci pokazała słońce? – spytała go.

Poczuł się strasznie.

– Twoja twarz... Czy...

– Wkrótce wydobrzeje – zapewniła go. – Ale słońce zabiłoby nas, gdybyśmy mu nie uciekli. Wiadomo to od dawna. Jesteśmy związani z morzem w większym stopniu niż inne rasy. Dla nas ląd jest jedynie echem naszych wspomnień. Byliśmy pierwsi – albo niemal pierwsi.

– Wybacz mi – poprosił.

Oddała mu tylko spojrzenie i zapytała:

– Co?

Laszlo obudził się na dźwięk słów: „Ej, ty, lądowy” – i odkrył, że je rozumie, podobnie jak swoją obecną sytuację.

Leżał w sieci na towary, która wisiała wzdłuż ścian łajby Wys, i odkrył, że służyła też jako hamak. Otworzył oko i zobaczył

Phylles przyglądającą mu się podejrzliwie.

– Wys mówi, że powinieneś kogoś zobaczyć –

oznajmiła.

Trzymała się przeważnie na dystans i podejrzewał, że to dlatego, iż nie wiedziała, w jakiej niebezpiecznej sztuce może być biegły. *Byłoby to mądre postępowanie, gdybym należał*

do jakiejś innej rasy, a nie był zwykłym muszcem.

Zeskoczył ze swej grędy, pomagając sobie skrzydłami, na co Phylles cofnęła się jeszcze o kilka

kroków, i wtedy od razu zobaczył, kogo miała na myśli. Wys i Fel stali we dwójkę nieopodal wjazdu obok wysokiego mężczyzny w zbroi o szerokich barach.

– Kto to jest? – zapytał muszec. – I jak się tu dostał?

Phylles strzeliła palcami nad ramieniem, wskazując na okno. Coś wisiało w wodzie i Laszlo musiał przyjrzeć się temu, żeby zrozumieć. Było dokładnie tej samej wielkości i kształtu co podwodnik, ale wciąż cieszyło się dobrym zdrowiem. Przy władze wystawał łeb i łapy morskiego potwora. Olbrzymie białe ślepia z miniaturową źrenicą osadzone były pod cętkowanym skórzastym płaszczem, który zdaniem Laszlo przypominał źle dopasowaną czapkę. Przed okiem kłębiły się macki w takiej liczbie, że stworzenie z pewnością samo nie wiedziało, do czego która służy. W

porównaniu z Arkeuthysem emanowało nieprzeniknionym spokojem, jakby wiedziało bardzo wiele, choć zachowywało w tej sprawie milczenie.

Laszlo podszedł do Wys, żeby sprawdzić, jakież to szalenie pływa z taką bestią. Nowo przybyły wyglądał, jakby należał do mózgowców i to do tego potężnego i malowniczego gatunku. Miał skórę ciemniejszą niż Paladrya czy strażnicy z lochu – barwy wyblakłego brązu, jak stare kości leżące na pustyni. Nad wysokim czołem kręciły mu się długie czarne włosy, a broda lśniła od olejków. Największe wrażenie jednak zrobiła na Laszlo jego zbroja, choćby tylko dlatego, że była przedmiotem, który można wykonać i nosić. Poszczególne jej fragmenty były najwyraźniej natworzone z czegoś, co przypominało pancerz kraba i fantazyjnie przyozdobione w fale, wrak statku, sercówki i poskręcane ślimaki. Ale przynajmniej była to zbroja, którą równie dobrze mógł nosić lądowy. U pasa wisiała mu naprawdę paskudnie wyglądająca broń – skrzyżowanie łomu z kilofem – która z pewnością była niezwykle przydatna zarówno przy powalaniu przeciwnika, jaki i wydłubywaniu potworów z muszli. Przez plecy miał

przewieszoną tarczę i był prawdopodobnie najbardziej normalnie wyglądającą osobą, jaką Laszlo widział od pewnego już czasu.

– Mały lądowy – Wys wskazała na mężczyznę – poznaj Nemoctesa.

Laszlo skinął wstrzemięźliwie głową, za to Nemoctes przyglądał mu się obojętnie.

– Pozdrawiam cię, lądowy.

– Nazywam się Laszlo. Gdzie jest mistrz Maker? –

Muszec nie widział potrzeby zachowywania konwenansów.

– Bezpieczny – zapewnił go Nemoctes. – Już bardziej bezpieczny być nie może. Wynikły pewne komplikacje, inaczej zawiadomiłbym was wcześniej.

– Jakie komplikacje? – chciał wiedzieć Laszlo.

– Gribbern nie żyje, ale inna osoba, u której mam posłuch, uratowała twego przyjaciela – oznajmił Nemoctes. –

Kierują się do Gorących Rewirów, co – jak się okazuje – Wys przewidziała. Odbędzie się tam rada, poza zasięgiem Claeona.

– No i brawo morscy – odparł Laszlo beczelnie. Miał

cichą nadzieję, że mężczyzna się obrazi, co pokazałoby, jakim jest człowiekiem, ale Nemoctes tylko skinął głową.

– To wojna, mam rację? – odezwała się niespodziewanie Wys. – Jakkolwiek na to spojrzeć, w Hermatyre wybuchnie wojna.

Cień przemknął po obliczu Nemoctesa.

– Jeśli ci lądowi sprowadzą naszego następcę tronu, to być może uda się ograniczyć rozlew krwi wyłącznie do pałacu. Jeśli nie... wyniknie z tego coś nieprzewidywalnego, zwłaszcza gdy Heiracles skrzyknie motłoch pod swoim sztandarem.

Wys prychnęła pogardliwie.

– Nie pójdę nigdzie z Heiraclesem, chyba że mi zapłaci.

Nie wiem, co o nim sądzą w Hermatyre, ale nie wydaje mi się, żeby cieszył się tam jakimś szczególnym poważaniem.

– Możesz mieć rację. – Nemoctes wzruszył ramionami i płyty jego zbroi zaszurały o siebie. – Moi ludzie pomogli mu na tyle, na ile byli w stanie, a w niektórych sprawach bardziej, niż powinni. Nie mamy jednak armii, która by mogła za niego walczyć, choć i tak byśmy tego nie zrobili.

Jeśli o mnie chodzi, nie interesuje mnie, jaka krew płynie w jego żyłach, ale wielu myśli inaczej i tym samym nie zgodzą się na niego, nawet jeśli nie pałają miłością do Claeona.

– Może wkrótce zacznę handlować z Głębokim Wysiękiem – rozmarzyła się Wys. – Nie przypominam sobie, żeby kogoś tam obchodziły jakieś wojenki.

– Powodem jest to cholerne zimno, jakie tam panuje –

mruknęła Phylles i Wys pokiwała posepnie głową.

– No to pogadaj ze swoimi – zwróciła się do Nemoctesa.

– Zobaczmy się w Rewirach i wtedy przekonamy się, co w wodorostach piszczy.

Mężczyzna pokiwał głową i otworzył właz, po czym zniknął w śluzie za nim, a Wys westchnęła głęboko i przeciągle. Kiedy jednak podniosła wzrok, jej oczy błyszczały radością.

– Fel, Phylles, Lej – zwróciła się do nich, nawet do niewidocznego mechanika. – To jest jedna z takich chwil.

– Takich, kiedy możemy się wzbogacić albo zginąć? –

zapytała Phylles cierpko.

– Przecież jesteśmy bogaci, prawda? A poza tym kiedyś trzeba zginąć. – Wys uśmiechała się od ucha do ucha. – Z

takim doświadczeniem nie możemy tego spartolić.

Zarówno Phylles, jak i Fel wciąż byli dalecy od entuzjazmu, więc tylko machnęła na nich lekceważąco ręką.

– Ładowy – skinęła na muszka. – Podejdz ze mną do okna. Zobaczmy, jak Nemoctes odpływa.

Laszlo poszedł za nią na koniec pomieszczenia.

Nemoctes już pewnie znalazł się na swoim rumaku, bo stworzenie zaczęło leniwie odpływać w ciemność.

– Opowiedz mi o swoim ludzie, ładowy – powiedziała Wys zachęcająco.

– Znaczy o mojej rasie?

– Miałam na myśli twój lud. Są tam na górze tacy, co chcą cię z powrotem, tak? Ktoś z pewnością uronił łzę, kiedy twoja łajba przybyła do twojej kolonii i ciebie na niej nie było.

– Moja rodzina – odparł Laszlo. *Lepiej, żeby tak właśnie było, podle łajdaki.*

– Założę się, że zapłaciliby za ciebie, gdybyś miał wrócić

– zastanawiała się Wys.

Laszlo zerknął na nią z ukosa, ale ona obserwowała tylko wolno przepływającą wodę.

– Zapłaciliby, jeśli o to chodzi – poinformował ją.

Pokiwała głową.

– Laszlo, jestem kobietą, która nauczyła się radzić sobie w życiu – oznajmiła – i być może zauważyłeś, że cię polubiłam. Nie różnisz się wiele od nas, boś równie ciemny jak my. Wciąż mam ochotę ogolić ci głowę, żeby zrobić z ciebie ucywilizowanego człowieka, ale poza włosami jesteś zupełnie do nas podobny.

Iprzystojniejszy niż ty i cała twoja załoga, pomyślał

Laszlo, ale pokiwał tylko dyplomatycznie głową.

– Heiracles, Nemoctes i nawet Claeon – żaden z nich nie ma mózgu meduzy – zauważyła Wys w zamyśleniu. – Co oni w was widzą? Stanowicie zagrożenie? A może jesteście warci tego, by was podbić i zrobić z was niewolnicze oddziały, które pilnowałyby porządku w kolonii? Nie, nie, nie, to głupie, jedno i trzecie. Widziałam cię, jak rozmawiałeś z Wyciekim jak inżynier. Twoje ubranie to obraz nędzy i rozpacz i masz go na sobie stanowczo za dużo, ale jest doskonałej jakości. Wasz lud ma w sobie potencjał.

– Cóż, pięknie dziękuję – odpowiedział Laszlo zjadliwie, ale ona zamachała mu ostrzegawczo ręką przed oczami.

– Powściągnij ten swój ozór i posłuchaj kogoś, kto dobrze ci życzy – warknęła. – Czy byłoby straszną tragedią, gdybyśmy w ogóle nie dotarli do Gorących Rewirów, a ciebie zostawili gdzieś nad falami, żebyś mógł stamtąd ruszyć z buta do domu?

Zabrakło mu tchu. Miał ochotę ją uścisnąć, objąć bardzo mocno.

– Do domu? – wyszeptał.

– Wasi ludzie robią wszystko inaczej niż my. A to oznacza, że robią też inne rzeczy niż my – stwierdziła. –

Rzeczy, których tu nikt nie widział. Rzeczy, które są dla was tak powszechne, jak tutaj nieosiągalny jest krabi inkaust.

Natomiast o rzeczy, które są całkiem powszednie dla nas, twoi ludzie by się bili. Rozumiesz, do czego zmierzam?

– Handel – odparł.

– Jasne, że handel – potwierdziła. – Chromolić Heiraclesa i ich wojnę. Jeśli wasi ludzie, twoja rodzina jest zainteresowana wymianą barterową, to czemu nie?

Wszystko, co kiedykolwiek powiedziano o łądzie, sprowadza się do tego, że łądowi – jeśli w ogóle jacyś istnieją – to niebezpieczne dzikusy, a na górze można spotkać tylko śmierć. Ale skoro wy nie otruliście się u nas, to pewnie my nie potrujemy się u was. Może więc zapomnimy o tych całych Rewirach i zaczniemy zbijać fortunę?

– A co z mistrzem Makerem? – zapytał Laszlo.

– Nie moja sprawa – odparła. – Heiracles sprzeda go gdzieś albo Nemoctes, albo jeszcze ktoś inny. Tu chodzi o sprawy między nami, Laszlo.

Dom. Moja rodzina. Była to najlepsza oferta, na jaką mógł liczyć. *A kiedy tylko się tam znajdzie, zorganizuje uwolnienie Stenwolda...* Ale musiał przyznać, że cienko to wyglądało. Zanim załoga *Wolnego od Pływów* nawiąże kontakt z ludźmi Wys, Stenwolda spotka los, jaki morze gotuje mu od początku. Zaklął w myślach.

– Nie odbierz tego źle – powiedział wolno – ale muszę wydostać mistrza Stenwolda. Nie mógłbym postąpić inaczej.

Zaraz jednak, jak tylko obaj znajdziemy się na łądzie, obiecuję, że zaczniemy realizować twój plan. Mój szef będzie szczęśliwy. Polubisz go. Jesteście bardzo podobni. My też, podobnie jak wy, żyjemy w takiej większej rodzinie. I my też musimy sobie sami radzić w życiu. Sprowadź nas obu na łąd, a nie pożałujesz.

Wys przez chwilę nie okazywała żadnych emocji i trudno było odgadnąć, co myśli, ale potem uśmiechnęła się nieoczekiwanie.

– Ty sprytny szkarłupniu – powiedziała. – No cóż, w takim razie płyniemy do Rewirów i tam zobaczymy, co będziemy mogli zrobić dla twego przyjaciela.

Podróżowanie z Lyess przypominało lot w kabinie statku powietrznego. Mimo poruszającego się przezroczystego dzwonu nad ich głowami niepodobna było stwierdzić, czy kierują się naprzód, czy tylko są ciągnięci przez prąd morski na zewnątrz. Przy całej ogromnej powierzchni tego zwierzęcia byli jak drobina w bezkresnych wodach oceanu. Według Stenwolda mogli równie dobrze wisieć nieruchomo w jednym miejscu.

By ulżyć sobie nieco w monotonnej podróży, próbował

sztuki medytacji, czego nie robił od zgoła dziesięciu lat. Nie był pewien, czy może się ona udać komuś zamkniętemu w głębinach, ale delikatne kołysanie wielkiej meduzy sprzyjało wędrówkom umysłu, które sprawiały, że czas płynął szybciej.

Czasami, kiedy otrząsał się z transu, widział, że Lyess siedzi tuż obok niego, zaledwie o włos od jego ciała, i patrzy, zawsze patrzy na niego. *Jest samotna*, skonstatował ze smutkiem. *I nie uświadamiała sobie, jak bardzo jest samotna, dopóki nie zjawilem się ja.*

Kiedy morze ujawniało im coś, czym można było nacieszyć oczy, to posiłki, jakie im z tego serwowano, przyprawiały go o mdłości. Jednego razu byli świadkami bitwy czy też czegoś, co ją przypominało. Tabor bentoników ustawił się w długim, ciemnym szeregu na dnie, wystawiając do walki opancerzone bestie i od czasu do czasu równie pancerną maszynę. Na wprost nich ciągnęło się morze czerwieni i pomarańcza i w pierwszej chwili Stenwold nie był

w stanie orzec, na co patrzy. Wyglądało to jak fala kolców i szpikulców, pełzający kobierzec najeżony cierniami i zakrzywionymi ostrzami. Ale w końcu jego oczy wychwyciły kształt rozgwiazd – pełzających potworów o wielu odnóżach

– oraz czegoś, co wyglądało jak lance nacierających razem w zwartej formacji pikinierów. Wśród tych stworzeń znajdowali się zwinni ludzie o pomarańczowej skórze, która wydawała się tak samo szorstka i najeżona kolcami. Nosili zbroje płytowe z brązu, dzierżyli piki i zakrzywione miecze i wraz ze zwierzętami nadciągającymi ze wszystkich stron rzucali się na bentoników z dziką furją.

Bentonicy dwoili się i troili, broniąc taboru.

Opancerzeni szczypcownicy z młotami bojowymi i mieczami oraz wzmocnionymi sztuką szczypcami posuwali się ociężale w przód, podczas gdy ich zwierzęta miażdżyły i cięły wrogów swymi wielkimi kleszczami. Ucinały im kolce i odrywały wyciągnięte kończyny, ale Stenwold widział też kilka stawonogów po prostu rozerwanych na strzępy, tak że fragmenty ich kończyn i pancerza unosiły się wśród napastników w białych chmurach.

Ludzie walczyli nie mniej żąrcie. Jeden ze szczypcowniców chwycił ramię wroga między szczypiec i sztylet i uciał je bez trudu przy barku. Gdzie indziej atakujący zatopił sztych w szczelinie półpancerza obrońcy. Najgorsze w tym wszystkim było tempo starcia, bo wszystko odbywało się w zwolnionym tempie, hamowane przez wodę, jakby wszyscy uczestniczyli w jakimś upiornym tańcu, walcząc i konając tak wolno, iż ofiara miała wystarczająco dużo czasu, by dostrzec nieuchronny koniec.

– Kim oni są? – zapytał Stenwold, wskazując agresorów.

– To szkarłupniowcy – odparła Lyess. – Czasami napadają na kolonie i to podobno jedyny powód, dla którego budowniczo wie tolerują obcych w swoich domach.

Szkarłupniowcy są wrogami wszystkich. Byli pierwsi w morzu i za sprawą nas i innych ras zostali zepchnięci w jego głębsze rejony i nigdy o tym nie zapomnieli. Niektórzy mówią, że mieszkają w wielkich koloniach na pustkowiach, ale nie znam nikogo, kto by je widział na własne oczy.

Dryfowali nad sceną powolnej bitwy, która wkrótce została za nimi w ciemnościach. Jedyne mrugające światła taboru świadczyły o tym, że coś się tam dzieje, w miejscu równie odległym jak gwiazdy na niebie. Stenwold widział, jak gasły po kolei, i nie po raz pierwszy pomyślał, jak przerażająca byłaby śmierć w tych głębinach.

Nagle pojawiły się ryby, przynajmniej zdaniem Stenwolda były to ryby. Spostrzegł je dopiero, gdy pojazd Lyess zaczął mocniej kurczyć się i rozkurczać. Żołądek podpowiedział też żukowcowi, że

bardzo szybko się zanurzali.

Spojrzał na Lyess i zauważył, że wpadła chyba w panikę, bo rozglądała się bacznie dookoła. Nad ich głowami woda nieco pojaśniała, jakby to było pierwsze srebrne echo promieni słonecznych, ale pociemniała tak szybko, że Stenwold ledwo dostrzegł zmianę.

– Co się dzieje? – zapytał, ale wtedy je zobaczył: szare wrzecionowate ciała gwałtownie odskakujące od czaszy nad ich głowami.

Było ich z pół tuzina i atakowały ich ze wszystkich stron, jedna po drugiej i zawsze z góry, tak że żukowiec pomyślał, że powinni się raczej wynurzyć, by zapobiec uszkodzeniu pojazdu, ale zamiast tego jak najszybciej szli w dół.

Ryby były w ciągłym ruchu i stale chowały się za falującym płaszczem meduzy, po kolei zerkając do środka przez jej przezroczyste ciało. Stenwold patrzył im prosto w ślepia i doświadczył wstrząsu bezpośredniego kontaktu, jakby miał do czynienia z inteligentnym, choć jednocześnie całkowicie nieludzkim stworzeniem. Jeszcze gorzej się poczuł, gdy zerknął na pyski ryb.

– Ta cholerna ryba się do mnie uśmiechała – powiedział

wstrząśnięty do głębi.

– To są człekoryby – rzuciła ze złością Lyess i jej towarzyszka wzdrygnęła się po kolejnym ataku. – Są zmorą pelagików. Zawsze nas atakują. Myślą tak jak ludzie, chociaż to tylko ryby, i nienawidzą nas.

– Mogą nam zrobić krzywdę? – zapytał.

Ich ataki stały się szybsze i bardziej zajadłe.

– Mogłyby tak uszkodzić moją towarzyszkę, że uniemożliwiłoby to nam dalszą podróż, i wtedy rzuciłyby się na nas. Musimy zejść głębiej, bo te stworzenia żyją blisko powierzchni.

Nagle wszystkie człekoryby rozpierchły się w sekundzie, znikając w ciemnej wodzie. Ale Stenwold nie poczuł ulgi, bo poznał ten świat na tyle, by zorientować się, że uciekły przed jeszcze gorszym potworem.

Przez chwilę wisieli w wodzie, jedynie kłosz o poszarpanych brzegach falował bezgłośnie, kurcząc się i rozkurczając. Nagle minął ich jakiś cień opancerzonego stworzenia, lecz Stenwold widział je tylko częściowo: segmentowe ciało, łopaty na łapach i ogonie i złożone szczytce jak u największego ze skorpionów. Przytłoczył ich całkowicie i Stenwold pomyślał, że przy nim wszystko wygląda mikroskopijnie.

Lyess klęczała, wpatrując się w stwora i powtarzała coś raz za razem, niemal bezgłośnie. Stenwold nachylił się do niej i usłyszał:

– ... bogowie morza.

– Bogowie? – powtórzył drętwo.

Największy potwór, jakiego widział w życiu, wracał

zaciekawiony. Dostrzegł wielkie oko na szypułce, większe niż on sam, które połyskiwało w poświacie meduzy, jakby coś za tą szeroką siatką ślepie szacowało go i wyrokowało o jego losie.

– Tak je nazywamy – wyjaśniła Lyess niemal bezgłośnie. – Rzadko je spotykamy. Czasami zabijają nas, pelagików, ale częściej pozwalają nam żyć. To prawdziwa potęga głębin morskich.

Jej rezerwa znikła całkowicie. Strach i euforia walczyły z nią o lepsze na jej obliczu i Stenwold zobaczył, jak na jej skórze pojawiają się i bledną barwne plamy: szara, czerwona oraz granatowa.

– Czy one mają... – bardzo bał się tego, co mógł usłyszeć w odpowiedzi – ... swój ludzki odpowiednik?

– Nemoctes uważa, że tak – wyszeptała. – Podobno pewien jego znajomy pelagik zapuścił się kiedyś w głębiny do niewielkiej kolonii, do której trafiamy tylko my i zbiegowie. I powiedział, że pojawił się tam przedstawiciel szczypcowców, jakiego nigdy wcześniej nie widział: o połowę wyższy od normalnych ludzi ze szczypcami i nie przypominał osobnika żadnej znanej mu rasy. Zarzekał się, że to był bóg morza.

Opancerzony cień odpływał, pochłonięty swoimi sprawami, a kiedy zniknął, Stenwold pomyślał, że wiecznie żywe marynarskie opowieści można usłyszeć nie tylko nad wodą, ale i pod nią. Nie mógł zaprzeczyć temu, co widział, i jeśli nie był to prawdziwy morski bóg, to nie miał ochoty na spotkanie z czymś jeszcze bardziej boskim. *Powinniśmy być wdzięczni, że morze zazdrośnie strzeże swoich tajemnic.*

Niedługo po tym obudziła go, unosząc się nad nim i niemal dotykając jego twarzy, aż świadomość jej obecności wyrwała go z drzemki.

– Gorące Rewiry – oznajmiła. – Jesteśmy na miejscu.

Usiadł i zobaczył przez ściany imponującą panoramę i bezwiednie wyszeptał:

– Helleron.

DWADZIEŚCIA SIEDEM

Widzę, że mi już nie ufasz – warknął Claeon.

Rosander, nauarch Taboru Tysiąca Kolców, zjawił się u niego w pełnej zbroi i sprawiał wrażenie takiego kolosa, że Teornis był zaskoczony, że podłoga się pod nim nie ugina.

Drobinki pyłu unosiły się w powietrzu w miejscach, gdzie nowsze fragmenty pancerza właśnie się docierały. Przy nim pająkowiec, Claeon i mózgowiec, który też brał udział w spotkaniu, wyglądali jak dzieci.

– Claeonie – zamruczał Rosander – gdyby zaufanie wypełniało morza od głębin po powierzchnię, to i tak nie byłoby go wystarczająco, żeby ja mógł zaufać tobie. – Na jego zaciętej, pociągłej twarzy pojawił się nieprzejednany uśmiech. – Poza tym muszę się przyzwyczaić do wagi mojej zbroi noszonej na powierzchni. Kiedy rozpocznę kampanię, woda mi nie pomoże. A teraz powiedz mi, kiedy to nastąpi.

– Byłoby szybciej, gdyby twoje tumany nie pozwoliły lądowym uciec – rzucił Claeon oskarżycielsko, ale Rosander się nie przejął.

– Moi chorążowie robili, co mogli – odparł. – To twoja bestia pozwoliła uciec jednemu z nich, a strzałkopodobni drugiemu. Widzę, że jakimś cudem udało ci się zatrzymać trzeciego. – Zerknął na Teornisa bez większego zainteresowania. – A może miałeś zamiar go komuś przekazać? Na przykład mnie?

– Nie będziesz brał go na męki.

Claeon przemierzał komnatę, której zakrzywione ściany ozdobione były złotymi arabeskami – zdaniem Teornisa pięknymi pojedynczo, ale w takim nagromadzeniu dającymi dość jarmarczny efekt.

– To ty myślisz o mękach – zamruczał Rosander – lecz twoje ulubione rozrywki mnie nie obchodzą. Ja jednak lepiej bym go strzegł niż ty.

Claeon odwrócił się do niego i wściekły podbiegł do potężnego korpusu wojownika, jakby miał zamiar złamać sobie rękę o kamienny pancerz.

– Nie bądź bezczelny! Ja tu jestem admirem! Jesteś silny, Rosanderze, ale nie myśl, że tutaj, w sercu mego pałacu, możesz ze mnie kpić.

Rosander popatrzył z góry na niego i westchnął.

– Tabor Łowców Muszli handluje w Hermatyre od kilku dni. Wczoraj dwudziestu moich chorążych poprosiło o pozwolenie na dołączenie do nich i wyruszenie z nimi w dalszą drogę.

Claeon zmrużył oczy.

– Odmówiłeś?

– Dałem im swoje błogosławieństwo. Mogą iść, gdzie chcą, bo wolę, żeby dołączyli do mnie później, niż zerwali wszelkie więzi z Tysiącem Kolców. Moi ludzie są znudzeni, Claeonie. Chcą ruszać w drogę. Ja chcę ruszać w drogę. Daj mi tę obiecaną wojnę. A tego lądowego na początek.

Claeon uniósł dłoń, by uciszyć Rosandera.

– Ten tutaj jest wyjątkowy. Będzie ci bardziej przydatny żywy i zadowolony niż jakakolwiek liczba trupów czy więźniów. Oczywiście znasz Pellectesa? – zapytał, wskazując na czwartego mężczyznę w pokoju – mózgowca.

Nieznajomy był wyższy od Claeona i byłby szczuplejszy, gdyby nie nieznaczny brzuch. Jego długie włosy i broda lśniły zielonkawo i Teornis miał nadzieję, że była to zasługa wyłącznie kosmetyków.

Po obojętnej minie Rosandera trudno było stwierdzić, czy zna Pellectesa, czy nie, więc Claeon mówił dalej:

– Jest przywódcą litoralistów, a jego ludzie już zbierają na lądzie informacje o naszym wrogu. To za sprawą Rosandera – rzekł do mózgowca – wrócimy na ziemię.

– Tak jak mówi przepowiednia – dodał na bezdechu Pellectes.

Teornis zauważył, że mózgowiec spojrział na Rosandera z nienawiścią i szczypcowiec poruszył się, szurając płytami zbroi, co wyraźnie świadczyło o tym, że jego cierpliwość się kończy.

– No to powiedz mi w takim razie – zaczął – dlaczego ten lądowy jest taki wyjątkowy.

– Utrzymuje, że lądowi, których szpiegujemy, są w stanie wojny z innym szczepem i że on właśnie się z niego wywodzi – oznajmił Claeon, lekceważącym machnięciem dłoni zbywając wiele stuleci polityki na lądzie.

– I to prawda – potwierdził Pellectes żarliwie. – Moja agentka w ich kolonii doniosła mi o tym.

Rosander zrobił dwa kroki, chrzęszcząc pancerzem, i stanął przed Teornisem.

– No to co możesz dla nas zrobić?

Pająkowiec spojrział mu prosto w oczy.

– Mam agentów w Kolegium, w ich kolonii. Mogę ominąć ich linię obrony, poprowadzić waszych żołnierzy i wskazać przywódców. Zdaje się, że mamy wspólnego wroga.

Rosander oszacował go spojrzeniem, ale wyniki były niejasne. Zerknął z ukosa na zielonobrodego litoralistę.

– A gdzie się podziała wasza ortodoksja? – mruknął. –

Pierwszy raz słyszę, żeby litoralista uznał jakiegoś lądowego za sprzymierzeńca.

– Ale tak jest – oświadczył Pellectes. – No, popatrz tylko na niego! Wygląda jak nasz kuzyn mózgowiec. To jasne, że jesteśmy spokrewnieni, a on należy do rasy, która uniknęła czystki i uciekła w głąb lądu, gdzie znalazła schronienie. Teraz razem możemy uderzyć na naszych prześladowców.

Szczypcowiec prychnął lekceważąco.

– Jak widzę, można nagiąć każdą teorię – zauważył.

– To nie jest naginanie – warknął na niego Pellectes. –

Wiąże nas powinność wobec naszych przodków, aby pomścić wyrządzone nam zło. Ci, którzy wyrzucili nas z domów, muszą zostać ukarani i zabici. Odzyskamy to, co nam się należy.

Oschłe spojrzenie Rosandera przeniosło się teraz na Teornisa.

– Ładowy, czy ktoś tam na górze wygląda na mojego brata?

– Nigdy kogoś takiego nie widziałem – odparł Teornis gładko.

– Dobrze. Przykro by było zabijać takiego twardego łajdaka jak ja. – Rosander znów zerknął na Pellectesa, który trząsał się z wściekłości tuż za nim.

– Nie ośmielaj się kpić ze mnie! – wykrzyknął mu prosto w twarz.

– Ośmielam się – warknął Rosander.

Nozdrza Pellectesa zadrgały.

– Twój przodkowie też zostali wypędzeni. Wy też utraciliście ojczyznę. Odzyskanie jej jest twoim obowiązkiem, przechodzącym z ojca na syna przez te wszystkie stulecia.

Twoim przeznaczeniem jest umożliwienie naszego powrotu.

Jak śmiesz z tego żartować? Czy kpiłbyś w żywe oczy swoim przodkom z ich przelanej krwi?

– Powiedziałbym im, że byli słabymi głupcami, skoro dali sobą pomiatać, a morze mi się podoba. Nie staraj się mnie zarazić tą twoją obłudą. Moi chorążowie i ja chcemy po prostu podbijać i plądrować. Ideologię zachowaj dla siebie.

– Nie wolno ci kłaść naszej sprawy... ! – zaczął

Pellectes, ale zamilkł.

Teornis obserwował, jak Rosander wyjmując nóż –

zadziwiająco oszczędny ruch jak na takiego olbrzyma.

Niemniej jednak jego ramię obarczone całym tym ciężarem kamienia uderzyło szybko. Z jednej strony przystawił

zakrzywione ostrze do gardła mózgowca, z drugiej trzymając przyłożony zagięty szpon. Dwa strumyczki krwi wypłynęły na szyję Pellectesa i litoralista zamarł w bezruchu, wybałuszając oczy ze spotęgowanej strachem wściekłości.

– I tak jest dobrze. Nie mów już nic więcej – zażądał

Rosander, po czym odwrócił nadgarstek, zabierając ostrze.

Litoralista zatoczył się, przystawiając dłonie do dwóch płytkich ran.

– W takim razie niech ten tutaj zacznie działać – polecił

szczypcowiec Claeonowi, wskazując ostrzem o zakrwawionym czubku na Teornisa. – Musi się jednak spieszyć. Jeszcze chwila, a mój tabor ruszy w drogę. Moi ludzie nie nadają się do życia w kolonii, podobnie jak ja.

Odwrócił się i ruszył ociężale przed siebie, rozsiewając wokół drobinki startego kamienia.

Pellectes wyszczerzył zęby z wściekłości.

– Barbarzyńca! – rzucił w jego stronę. – Edmirze, na pewno jest jakiś inny sposób, żeby pchnąć naszą sprawę do przodu. Czy musimy polegać na tej tępej bestii?

Claeon założył ramiona na piersi.

– Ale ja polegam na nim, Pellectesie. Niestety, potrzebuję go. – Zmrużył oczy. – Co więcej, ciebie potrzebuję tylko dlatego, że jesteś mu poniekąd przydatny. Więc jeśli Rosander postanowi oderwać ci ten rozgadany czerep od ramion, to ja mu tylko przyklasnę. Posłuchaj mnie teraz. To ja uczyniłem z bezwartościowych litoralistów siłę, bo wcześniej byliście wyłącznie pośmiewiskiem Hermatyre. I to ja mogę z łatwością stracić was z powrotem w niebyt, jeśli przestaniecie być użyteczni. Rób więc, co ci każe, i nie wchodź mi w drogę albo rzucę całą waszą bandę na pożarcie Arkeuthysowi, od czego będzie miał bez wątpienia zgagę.

Pellectes trzymał się prosto, śmiertelnie urażony, ale nie protestował. Claeon pokręcił z ubolewaniem głową.

– Naprawdę, Pellectesie, czy ty w to wszystko wierzysz?

W ten ład, który jest ziemią obiecaną? Wiem z wiarygodnych źródeł, że tam jest strasznie.

– Kiedy odbierzemy naszą rodową siedzibę, znów będzie tam jak w rajku – odparł Pellectes z niezłomnym przekonaniem.

– Jak tam sobie chcesz. Wkrótce prześlę wiadomość dla twojego szpiega. A teraz wynoś się z pałacu i wracaj do swoich zaplutyh wyznawców.

Odczekał, aż litoralista wyjdzie z komnaty, po czym zwrócił się do Teornisa:

– Widzisz, z czym ja się tu muszę użerać? Otaczają mnie zbiry spod ciemnej gwiazdy i wariaci.

Z których nawet nie starasz się uczynić swoich sojuszników, pomyślał Teornis, ale pokiwał współczująco głową.

– Będziesz potrzebował wiadomości ode mnie –

zauważył.

– Musimy tylko znaleźć sposób ich przekazania. –

Claeon pokręcił głową, ponieważ okazało się to nieoczekiwaną przeszkodą.

Morscy pisali zbyt zawile, wypełniając wzorami – i nieznanymi Teornisowi literami – gruby papier wytwarzany z wodorostów. Ich zakrętasy i piktogramy nie nosły z sobą dla niego żadnego znaczenia. Chociaż oczywiście miało to dobre strony. Jego pismo było dla nich taką samą czarną magią, nie musiał się więc obawiać, że Claeon czy Pellectes odszyfrują jego kod. Będzie mógł wysłać do swoich ludzi wiadomości pełne ukrytych znaczeń.

– A w tej drugiej sprawie... – zaczął Claeon z niezwykłą jak na niego subtelnością. – Co z zaginionym... chłopcem?

– ■

Cóż, nie wiem, z jakich źródeł będą korzystali moi ludzie bez moich wskazówek, ale nakazę im rozpocząć poszukiwania – zapewnił Teornis. *I znajdą wyłącznie na tyle skomplikowane tropy, że będą wymagały pomocy kogoś o większej wiedzy. A wtedy wydostanę się z tego ohydneho, mokrego miejsca pełnego barbarzyńców i odnajdę to ich książątka, jeśli się da, i wtedy Claeon będzie żył w strachu do końca swych dni.*

Helleron. W tym obcym miejscu słowo to brzmiało dziwnie. *W zasadzie podwodny Helleron.*

Najbardziej oczywistą paralelę stanowiły kominy: poskręcane kolumny z kamienia, wyższe od wszelkich kominów na ziemi i z oczywistych względów niedymiące, choć blask bijący od nich w wodzie nasuwał skojarzenie z poświatą obecną w kuźni czy odlewni. Z innych wystawały szerokie wiatraki lub obracające się nieregularnie ramiona.

Był to Helleron ze snu – czy raczej z koszmaru.

U podnóża kominów rozciągało się miasto, prawdziwe miasto. Według Stenwolda siedliska tego nie można było określić żadnym innym słowem, a już na pewno nie

„kolonią”. Nie stworzyli go Arketoi, a jako budulca nie wykorzystano też tu muszli. Zbudowali je mężczyźni i kobiety. I wciąż rozbudowywali. I nawet jeśli wykorzystywali do tego fragmenty muszli czy natworzone substancje – a ich umiejętności zadziwiłyby każdego szanującego się cieślę z Kolegium – to i tak efekt ich pracy przypominał dzielnice biedoty, jakie powstawały na tyłach hellerońskich fabryk.

Scuto mógłby tu mieszkać, stwierdził, choć sam pomysł, by kolczasty Scuto mocował się z pęcherzem, był zgoła absurdalny.

Gorące Rewiry były również oświetlone jak prawdziwe miasteczko. Jaśniejące kule i tuleje znajdowały się tu wszędzie, nie wyłącznie na ścianach, ale również zawieszane na linach jak balony. Zamysł był dla Stenwolda jasny: miały stanowić uliczne oświetlenie tak jak lampy gazowe w domu.

Otoczające miasto dno morskie było jasne, a lampy widoczne w oddali być może oświetlały kopalnie, zakłady odzysku materiałów czy też farmy wodorostów lub posterunki bentoników. Któż to mógł wiedzieć. Stenwold dostrzegł też kominy wygasłe – puste spirale z prążkowanego kamienia wznoszące się nad szkieletem głównej części miasta, która była na jego oczach przenoszona w nowe miejsce.

Najwyraźniej Gorące Rewiry były miastem ruchomym.

Panowała tu niezwykła krzątanina. Grupy konstruktorów poruszały się między nową siedzibą a starą, transportując wszystko, co było warte ocalenia, i znajdując dla tych obiektów nowe miejsca. Robotnikami byli przeważnie niewysocy szczypcowcy albo też inna rasa –

dużych, szarych osobników o wielkich stopach, którzy zasadniczo mocowali przeniesione przedmioty. Na ten zwykły widok osób wykonujących żmudne, zwyczajne czynności łąza zakręciła się w oku Stenwolda. Woda nad nimi też nie była spokojna, bo unosiło się w niej mnóstwo pływaków, jeźdźców na kałamarnicach i pół tuzina podwodników o formie prostych i spiralnych muszli oraz spora grupa udomowionej fauny. Nikt nie zbliżał się do buchających czernią kominów, przy których woda buzowała i unosiła się jak powietrze nad ogniskiem. Najwyraźniej

„gorąco” w Gorących Rewirach należało traktować z szacunkiem.

Nie widział nikogo takiego jak Lyess i jej towarzyszka i wyczuwał, że nie jest zbyt szczęśliwa z powodu pobytu w tym miejscu. Odwrócił się i spostrzegł, że znów się na niego gapi.

Widać w niej było jakąś desperację, choć sama nie wiedziała, czego chce – tylko że jej dotychczasowy sposób życia legł w gruzach w wyniku pojawienia się tego zgryźliwego, marudnego lądowego.

– Przepraszam – powiedział, choć nie był pewien właściwie za co.

Nawet nie drgnęła. Wyczuwał, że szuka właściwych słów i nie może ich znaleźć. *Ze będzie za mną tęsknić? Ze jest zadowolona, że może się mnie pozbyć? Żałuje, że Arkeuthys mnie nie pożarł, bo zakłóciłem jej harmonię?*

– Jestem tutaj – odrzekła w końcu ku jego zaskoczeniu.

Odpowiedział jej pusty, cichy głos z oddali:

– Przyjdę do ciebie. – Stenwold rozpoznał Nemoctesa. –

Dobrze się spisałaś.

I wtedy twarz Lyess się zmieniła, a Stenwold zrozumiał, że do tej pory ukrywała to, co naprawdę myślała. Nie była to duma z dobrze wykonanego zadania, ale skrajna rozpacz, niepohamowana i niezafałszowana. Pojawiła się i tak samo szybko zniknęła, pozostawiając po sobie maskę spokoju z tymi skupionymi, ogarniającymi wszystko oczami. Ale ten wyraz udręczenia miał pozostać w głowie Stenwolda przez dłuższy czas. *Och, ponieśli wiele ofiar, pomyślał nagle, by współistnieć ze swoimi*

morskimi potworami. Potrafią przetrwać w najdalszych zakątkach morza, podróżować do najczarniejszych otchłani w głębinach, ale wciąż są ludźmi, nawet ona, i nie zostali stworzeni, by żyć w tak trudnych warunkach. Czy z pokorą niosą to brzemię? Czy też to myje im nałożyliśmy? Czy historia, którą opowiadają, jest prawdziwa?

– Lyess – odezwał się.

Po prostu popatrzyła na niego bez słowa, więc brnął

dalej:

– Mówiłaś o pamięci. Ze twoja bestia nie ma rozumu, ale zbiorczą pamięć...

Pokiwała ostrożnie głową, jakby żałowała, że w ogóle o tym wspomniała.

– Jak daleko ona sięga? – zapytał.

– Daleko – odparła tak, jak tego oczekiwał.

– W Hermatyre mówili, że zostaliście zepchnięci tutaj z lądu. Jak sędzę przez mój lud – moich zamierzonych krewnych. Czy ta pamięć sięga tak daleko?

– Być może – rzekła.

– Czy mogłabyś sprawdzić... ? Chciałbym wiedzieć.

Muszę wiedzieć, czy to prawda. – *Chyba nie mam poczucia winy? A może to złość z powodu fałszywych oskarżeń? Czy przez to, że kiedyś zajmowałem się historią, nie umiem się pogodzić z określeniem „bardzo dawno temu”?*

– Mogę wsłuchać się w echo – odparła. – Może usłyszę to, czego pragniesz się dowiedzieć. Ale nie ma gwarancji.

Powiem ci, jeśli spotkamy się ponownie.

Pokiwał głową niezbyt zadowolony, wiedział jednak, że niczego więcej już nie uzyska. Najwyraźniej przetrząsanie pamięci rodu meduz zajmuje nieco czasu.

Właśnie wtedy ktoś się do nich zbliżył w wodzie. Jakiś ślimak z kalmarzą głową i mężczyzna w pełnej zbroi bez wysiłku podpłynęli w ich stronę. Kiedy w podłożu znów powstała szczelina, Lyess przyklękała i czekała spokojnie, jakby Stenwolda w ogóle tutaj nie było.

Woda poza schronieniem Lyess była tak obezwładniająco ciężka, że Stenwold z ledwością mógł

zaczepnąć powietrza. Była też gorąca i jej temperatura rosła, kiedy zbliżali się do Gorących Rewirów. Nemoctes musiał go przeciągnąć przez dwie śluzy, zanim natrafili na prowizoryczny wąż, będący jedynie okrągłym korkiem na zawiasach tkwiącym w nierównej ścianie. Gdy ktoś zwolnił

wajchę i otworzył go na zewnątrz, Stenwold wpadł do środka niesiony przez kaskady wody. Wylądował na podłodze u stóp szerokiego szczypcowca, który mocował się z włazem, wciskając go na miejsce, tak że samo ciśnienie wody go uszczelniało.

Było tu gorąco jak w piecu, a szczypcowiec nie miał na sobie niczego poza przepaską biodrową. Stenwold zastanawiał się, jak Nemoctes mógł znieść taką temperaturę w pełnej zbroi i nie zapocić się na śmierć. *Tylko że oczywiście nie jest to metalowa zbroja.* Podniósł się ciężko z ziemi, obciążając tunikę. Od razu pojawił się z tuzin miejscowych, którzy przeważnie zajmowali się przeciekami, ubranych tylko na tyle, by zakryć wstyd. Mimo to Stenwold poczuł zażenowanie. Mógł chodzić bez butów. Ale łażenie z gołą klatką trąciło już skrajnym barbarzyństwem.

Nemoctes przyglądał mu się bacznie. *Czy ci pelagicy niczego innego nie potrafią?* W końcu Stenwold westchnął

ciężko i zapytał:

– Co znowu?

– Chodź ze mną – polecił mu Nemoctes.

– Czy to znacząco poprawi moją sytuację? – zapytał

Stenwold cierpko.

– Czyli czy pomoże w powrocie do domu? Mam nadzieję, ale niczego nie obiecuję – odparł pelagik.

– Na pewno jednak wyjdzie ci na dobre. – Odwrócił się i ruszył, mijając robotników, a Stenwold, nie mając innego wyjścia –

jak zbyt często ostatnio – poszedł w jego ślady.

Komnata była długa i szeroka, ale z dziwnie niskim sufitem podpartym tuzinem pochyłych kolumn. Wszystko wyglądało na sklecone w pośpiechu i bez zachowania zasad sztuki budowlanej. I samo odejście od gładkiej perfekcji morskich mogło być wielce pożądane, jeśli pominęło się wielką wagę wody nad głową.

– Zdaje się, że nie potraficie skłonić swoich budowniczych, by zapędzili się tak daleko w morze – zauważył Stenwold.

– Arketoi nie można zmusić do niczego – rzucił przez ramię Nemoctes. – Budują tam, gdzie chcą, i inni przybywają w tamte miejsca, by zostać ich gośćmi. W głębinach zawsze były małe, wzniesione ręcznie placówki, gdzie gromadzili się ludzie, bentonicy zatrzymywali się na handel, a samotnicy znajdowali spokój. Gorące Rewiry są czymś innym. Czymś nowym.

Stenwold miał więcej pytań, ale weszli teraz do wspanialszej komnaty, która wydawała się gettem i targowiskiem jednocześnie. Zbierali się tutaj ludzie wszelkich ras, zrzucali worek z towarem oraz potargany węzeł rzeczy osobistych na ziemię i zamieszkiwali wspólnie. Miejsce to pyszniło się

plataniną parawanów z jaskrawych materiałów tkanych przez morskich i dudniło odgłosami i zapachami jakichś dwóch setek ludzi, z których każdy był czymś zajęty.

Przygotowywano jedzenie, głównie surową i soloną rybę, o którą targowano się podobnie jak o narzędzia, ubrania, gruby pergamin i biżuterię. Szczupła kobieta mózgowiec tatuowała szerokie plecy mężczyzny ze szczypcowców w abstrakcyjne wzory o żywych kolorach wyłącznie za pomocą dłoni. Kolejny szczypcowiec, jeden z mniejszych, siedział po turecku pod poszarpaną markizą z dwiema pełnymi towaru miskami przed sobą. W środku pojawiała się zamazana siatka przedmiotu, a on dalej doskonalił swoją sztukę natwarzania.

Nagle ktoś rzucił się pędem w stronę Stenwolda, rozpychając w tłumie na poziomie pasa, i jego dłoń automatycznie sięgnęła do miecza, którego nie nosił od wielu dni.

– Misz-Maker!

Muszec szczyrzył zęby w uśmiechu, stając przed Stenwoldem z rękami na biodrach, tak dumny, jakby został

królem tej całej menażerii. Żukowiec uśmiechnął się do niego blado.

– Mam nadzieję, że miałaś lepszą podróż ode mnie, Laszlo.

– Och, o wiele lepszą – zapewnił muszec i podniósł

wzrok na Nemoctesa. – Ty idź przodem, muszłaku. Mistrz Maker i ja mamy wiele do obgadania.

Nemoctes wyglądał na rozbawionego sytuacją i posłusznie szedł kilka kroków przed nimi. Stenwold nachylił

się, by usłyszeć małego towarzysza.

– No bo widzi pan – trajkotał muszec. – Pamięta pan Wys, tak? Tę, co wyrwała nas z Hermatyre?

– Najemniczkę – potwierdził Stenwold.

– I to jaką najemniczkę – zgodził się Laszlo. – Mówię panu, ta to ma łeb na karku. Nie boi się ładu, ale też nie chce na nim wojować. Handel, misz-Maker, to jest to, i ona mówi, że wyprowadzi nas nad wodę tak szybko, jak będzie mogła.

Cokolwiek się zdarzy, cokolwiek ten facet i ten szlamowiec Heiracles z całą resztą uradzą. Pan niech robi wszystko, żeby znaleźć się na jej łajbie.

– Ale czy Wys wystąpi przeciwko swoim zleceniodawcom? – dopytywał się Stenwold, uważając, że to wszystko brzmi zbyt pięknie.

– Heiraclesa nie lubi, Nemoctesa lubi, trochę – tak jak ja, jak sędzę – ale on nie płaci. Ona wie, że jak przyjdzie co do czego, to jej załoga i moja załoga, wszyscy się bardzo wzbogacimy i być może

będzie w stanie założyć miejsce takie jak to. Mówią, że on, ten, który rządzi w Rewirach, był też kiedyś wolnym strzelcem.

Dotarli już do Wys, którą witał uroczyście Nemoctes.

Podwójny cień Fela i Phylles nie odstępował małej kapitan.

Stenwold skinął jej głową, a ona uśmiechnęła się do niego z chciwością na twarzy. Słowa Laszlo miała niemal na niej wypisane i Stenwoldowi żywiej zabiło serce, bo promień nadziei odnalazł w jakiś sposób do niego drogę w tych głębinach. Ale rozegraj to na zimno, powtarzał sobie w myślach, ufając, że Laszlo postąpi tak samo. Jeśli morscy nabiorą podejrzeń, wtedy nawet Wys ich stąd nie wyciągnie.

– Szalałem z niepokoju, czekając tu na pana –

powiedział Laszlo. – Jesteśmy tu od jakichś czterech dni, może dłużej.

– Mieliśmy kłopoty po drodze.

Z jego tonu muszec wywnioskował, że Stenwold nie chce rozwijać tematu. Na krótko znów stanęły mu przed oczyma wody, w których zakończył życie Gribbern.

– Cóż, wystarczy mieć odrobinę sprytu, a kłopoty prysną jak sen złoty czy też jakoś tak... – zamilkł Laszlo. –

Niech to szlag.

Żukowiec dopiero po chwili zrozumiał, że coś jest nie tak. Wys wyciągnęła już swoje ostrze, a wesołość błyskawicznie zniknęła z jej twarzy. Fel i Phylles już stali obok niej, zasłaniając ją ciałem. Na twarzy Nemoctesa, który odwrócił się do lądowych, widać było lęk.

Jakaś dłoń spadła na bark Stenwolda z całą siłą opancerzonej rękawicy, aż żukowiec przyklęknął. Odziani w kamienne zbroje szczypcowcy przeciskali się przez tłum, zbliżając do nich z czterech stron. Laszlo wystrzelił w górę, zaskakując ich całkowicie. W rękę błysnął mu nóż, ale nawet nie miał go jak użyć. Stenwold starał się wywinąć ze stalowego uścisku, lecz dłoń nie puszczała, gniotąc kości i podrywając go do góry. Walnął na oślep tam, gdzie powinna znajdować się głowa napastnika, ale uderzenie w łokieć było tak silne, że zdrętwiało mu całe ramię, bo zbroja o piaskowym kolorze była twarda jak brąz.

Nemoctes szedł szybko w ich kierunku z poskręcaną bronią o ciosakowym ostrzu w dłoniach.

– Co to ma być?! – krzyknął. – Puść tego człowieka!

Usłyszawszy jego podniesiony głos, ludzie zaczęli im się przyglądać, po czym kilkanaście osób wyszło z tłumy i stanęło przy nich. Byli to głównie mózgowcy, chociaż ciemnoskóra kobieta z upstrzoną na białą głową mogła równie dobrze być kuzynką Gribberna.

– Spokojnie, tylko spokojnie.

Jakaś postać wyszła zza dwóch opancerzonych szczypcowców, zatrzymując się przed Stenwoldem i patrząc na niego z uwielbieniem.

– Nie ma sensu dobywać topora, Nemoctesie. Wiesz, że w interesach wszystko jest dozwolone.

Nemoctes obdarzył nowo przybyłego chłodnym spojrzeniem. Był to drobny mężczyzna ze szczypcowców, łysy jak oni wszyscy, tylko z krzaczastymi brwiami, strzępiastymi jak czułki ćmy. Był cały obwieszony złotem, a za jego piękny pas upleciony z łańcuchów i ogniw uformowanych w morskie wzory każdy helleroński przedsiębiorca oddałby przynoszącą największe zyski fabrykę. Naręcze purpurowego materiału noszonego na ramieniu jak toga dopełniało ogólnego wrażenia, iż oto stoi przed nimi człowiek, który doszedł do wszystkiego sam i na nic nie mógł narzekać.

– Od kiedy to występujesz przeciwko pelagikom, Mandirze? – zapytał cicho Nemoctes. – Masz już dość naszego cła?

– Nie denerwuj się, stary wędrowcze. – Mandir machnął lekceważąco dłonią. – Wy nie nadużyliście naszej gościny, możecie więc odejść, kiedy przyjdzie wam ochota.

Ale wasi więźniowie... Cóż, możesz ich teraz uważać za uwolnionych spod twojej opieki dla większego dobra.

Fel i Phylles stali teraz po bokach Nemoctesa, szukając najwyraźniej okazji do rozpoczęcia bójki, ale wielkich szczypcowców było ośmiu czy dziewięciu, w dodatku uzbrojonych i opancerzonych od stóp do głów, a na ich rękawicach widać było paskudne kolce.

– Bo widzisz – ciągnął ekstrawagancko ubrany Mandir

– my lubimy gościć pelagików, a pelagicy lubią nas. Masz pojęcie, ilu głębokokolcych zamieniło tutaj swoje bestie na gąsienicowce wytwarzane w naszych fabrykach? Gorące Rewiry są kolejną wielką falą, stary wędrowcze. Nigdzie nie ma podobnej osady. I dopóty, dopóki rządzą nimi, będą tu panowały wprowadzone przeze mnie zasady.

– A która to zasada mówi, że wolno ci postępować w ten sposób? – zapytał Nemoctes.

Mandir wskazał leniwie palcem na miejsce, w którym wciąż unosił się Laszlo.

– Ładowi zostali uznani za moją własność, stary podróżniku.

– Nigdy wcześniej nie słyszałem o takiej zasadzie.

– Bo nigdy wcześniej nie przywiodłeś tu ładowych. Ten mały ignorujący podłogę jest tu już od kilku dni, czyli wystarczająco długo, by moi ludzie zrozumieli, iż jest jedyny w swoim rodzaju. A teraz pojawił się ten drugi, więc zabieramy ich, stary wędrowcze. Nie musisz się już nimi przejmować.

– Nie sądziłem – powiedział Nemoctes głosem ociekającym wściekłością – że Claeon sięga aż tak

daleko.

– Claeon? – zaskrzeczał Mandir. – Och, olać Claeona.

Jeśli przejmujesz się Hermatyre, to, zaufaj mi, potrafię trzymać ich z dala od Claeona. W całym oceanie nie znajdują bezpieczniejszego miejsca. Może będziecie w takim razie wraz z Wys i resztą ruszyli w swoją drogę, a rozstaniemy się w przyjaźni.

– To jeszcze nie koniec – przyrzekł Nemoctes posepnie.

– Nic nie ma końca – stwierdził Mandir pogodnie. – Na tym właśnie polega życie, prawda?

Kiedy szczypcowcy zacieśnili krąg wokół Stenwolda, Mandir podniósł wzrok.

– A teraz ty, niesamowity, wspaniały małoszczypcowcu, może byś tak zszedł do nas?

– Czujesz się na siłach, żeby podfrunąć do mnie, stara kreweto? – zakpił Laszlo, choć Stenwold wyraźnie widział, że utrzymywanie się w górze sprawia mu niejakie trudności.

Mandir dał znak i jeden ze szczypcowców uniósł jakieś urządzenie – stalową tubę, lub też tylko wyglądającą na stalową, z dwiema szerokimi obejmami. I Stenwold w jednej chwili zrozumiał, do czego służy. Była to pierwsza broń dalekiego zasięgu, jaką widział w rękach morskich. Otwór, skierowany w stronę Laszlo, był na tyle duży, że można było w niego wsadzić pięść.

– Nie chcę, żeby coś się komuś stało – perorował

rozsądnie szef Rewirów – ale nie mogę pozwolić, żebyś śmigał po sali i robił różne cuda w powietrzu, bo gdzie ład, gdzie porządek? Zejdź więc i dołącz do swego przyjaciela, zanim stanie się coś, czego wszyscy będziemy żałować.

Stenwold sądził, że Laszlo spróbuje uciec, przeleci przez salę z wielką prędkością, tak że nie nadążąby za nim ta groźnie wyglądająca broń. Ale on opadł potulnie na ziemię i podszedł prosto do jednego ze szczypcowców. Udało mu się jednak posłać Stenwoldowi porozumiewawcze spojrzenie.

Mój człowiek w terenie, tak? – pomyślał Stenwold, tracąc resztkę nadziei. *Szkoda tylko, że obydwaj jesteśmy na tym samym terenie – zdradzeni i pojmani w chwili, kiedy praktycznie byliśmy już jedną nogą na górze. Miałem rację, to miejsce przypomina Helleron...*

DWADZIEŚCIA OSIEM

Było prawdą, że Caractes był uważany za najmniej towarzyską osobę w całym morzu, ale stało się tak tylko dlatego, że od zawsze trzymał się z dala od innych i jedynie niewielu w ogóle wiedziało o jego istnieniu. Był starym przedstawicielem ukwiałowcowców, a jego skóra z fioleto-woczerwonej z wiekiem stała się szaroniebieska. Nie przycinał włosów jak większość przedstawicieli jego gatunku i nosił długą białą grzywę oraz brodę, która skręcała się i falowała w morskich pływach. Mieszkał u podnóża klifów nazywanych Krawędzią, w cieniu wielkiej muszli kraba pustelnika, będącej pozostałością po potyczce, jaką odbył w wieku średnim, kiedy przybył tutaj po trwającej miesiąc

podróży. Jego jedynym towarzyszem było jego zwierzę, które zamieszkało na szczycie muszli i przeczesywało prądy morskie parzącymi mackami.

Bardzo niewielu morskich żyło w pobliżu Krawędzi, gdyż miejsce to cieszyło się wśród nich złą sławą. Zagubiony prąd lub wielki odpływ mogły zmyć każdego zapuszczającego się zbyt blisko powierzchni i być może rzucić go nawet na śmiertelnie niebezpieczny ląd, gdzie mógłby zginąć z pragnienia bądź upału albo zostać pożarty przez dzikie plemiona lądowych. O tym mówiły liczne opowieści i od początku znanego historii czasu Krawędź wyznaczała granicę państwa morskich dla wszystkich oprócz szalonych, zapalczywych litoralistów i kilku rodzin myśliwych oraz zbieraczy.

Niektóre z nich przetrwały, ale z roku na rok przedstawiciele ich fachu było coraz mniej, podobnie jak tych, którzy próbowali swego szczęścia na płyciznach. Ci jednak, co wciąż żyli w tradycyjny sposób, od czasu do czasu odwiedzali Caractesa, podobnie jak garstka pelagików, których tęsknota za podróżami wiodła nie tylko w największe głębiny, ale również na sam skraj oceanu.

Teraz właśnie Caractes przyjmował gościa i, prawdę mówiąc, bardzo się z tego cieszył – po raz pierwszy od lat czekał na kogoś niecierpliwie. Szczupła, długonoga kobieta strzałkopodobnych weszła do jego domu, zostawiwszy kalmarzego rumaka na zewnątrz, żeby sobie zapolował z dala od gigantycznego ukwiału na szczycie chaty gospodarza.

Dom Caractesa nie miał ścian, jedynie pusty pancerz podparty kamieniami, i rozmowa odbywała się za pośrednictwem języka migowego, który każdy morski zna od niemowlęctwa i który zaczyna instynktownie stosować, zanim nauczy się wypowiadać pierwsze słowa.

– *Caractesie* – złożyła jego imię z pojedynczych sylab. –

Jak ci się żyje?

– *Lerean* – powitał ją. – *Cieężko.*

– *Starość?* – Z ruchu jej palców można było wyczytać delikatną kpinę.

Spiorunował ją wzrokiem, a włosy zatańczyły na jego twarzy. Miała jedną trzecią jego lat, czyli jak na strzałkopodobnego najlepszy okres miała już za sobą, ale wciąż – inaczej jak jej pobratymcy – była zwinna i silna.

– *Posiedź tu ze mną i poczekaj, a sama zobaczysz.*

– *No co?*

Spojrzała na niego podejrzliwie. Spotkali się dotychczas tylko trzy razy w ciągu pięciu lat, a on w końcu był

zwariowanym starym pustelnikiem.

Caractes schował się w muszli, gdzie jego dłonie odnalazły zawiniątko z prasowaną rybą. Bez słowa zaoferował jej kawałek. Wzięła ją i zaczęła żuć, siadając obok niego jednym eleganckim ruchem.

– *Lepiej, żeby to nie był jakiś spóźniony przyptyw uczuć* – ostrzegły go jej dłonie.

Z urazą uniósł krzaczastą brew.

– *Mam córki dwa razy starsze od ciebie* – odrzekł. –

Coś nowego pojawiło się w morzu.

Zastanowiła się nad tym, wciąż przeżuując rybę. Na zewnątrz jej rumak szarpał się do przodu i do tyłu, więc posłała mu uspokajającą myśl.

– *Co to ma znaczyć?*

– *Znaczyć? Myślę to, co mówię. Jest coś nowego* –

migał wyraźnie. – *Powiedz mi, dotrzymujesz starych umów?*

Zesztywniała, kiedy to odczytała. Stare umowy... Jej lud nie poruszał tego tematu, ale nie było w tym nic dziwnego, że Caractes o nich wiedział. Starzec wiedział o wielu rzeczach, o których nawet nie powinien słyszeć. Utkwił w niej wzrok, a ona miała wrażenie, że jego spojrzenie jest ostre jak grot włóczni.

– *Staramy się* – odpowiedziała tylko w końcu.

– *Nie wychodzi wam* – rzucił oskarżycielsko.

Skoczyła na równe nogi w jednej chwili zdjęta wściekłością.

– *Nie masz pojęcia, o czym mówisz.*

Uciszyło ją jedno machnięcie jego dłoni.

– *Albo wam się nie udaje, albo im* – rozwinął myśl, kładąc szczególny nacisk na „im”. – *Albo oni zapominają o daninie, albo wam nie wychodzą żniwa.*

– *Czasy się zmieniły. Od pokoleń mamy z sobą coraz mniejszy kontakt. To ich wina, nie nasza.*

– *Być może oni tego tak nie widzą* – padła odpowiedź i wtedy wstał, kierując wzrok ku górze, jakby chciał

przewiercić wzrokiem martwą muszlę nad sobą. – *Co dzień przychodzi* – powiedziały jego dłonie, podczas gdy on wciąż spoglądał w górę.

Jednym zręcznym wykopem wy dostał się spod cienia martwego raka i nie miała wyjścia – musiała ruszyć jego śladem.

Wskazał na coś i z początku dostrzegła wyłącznie dwa światła – jak podejrzewała: dwie lampy

konturowe –

ciągnące przez wodę nad ich głowami. Po chwili jednak jej oczy dostosowały się do ciemności i odległości i uświadomiła sobie, że patrzy w czyjeś ślepie.

Jej rumak błyskawicznie znalazł się obok niej, a ona położyła na nim dłoń, by go uspokoić, wciąż patrząc w dal.

„W morzu jest coś nowego”, mówił stary i było tam –

niepodobne do niczego, co widziała wcześniej. Nadpłynęło na segmentowych kończynach, ale zupełnie inaczej niż krab czy krewetka, których ruchy dobrze знаła – leniwie, wzdłuż wybrzeża, wykonując miarowe pociągnięcia sześciu zakończonych łopatką kończyn.

Znad Krawędzi? – zamigała i Caractes posępnie pokiwał głową. Następnie ku jej zaskoczeniu zapytał:

– *Rozmawiałaś ostatnio z jakimiś pelagikami?*

– *Z kilkoma.*

– *Idź i odszukaj ich. Powiedz im, żeby to przekazali dalej. Słyszałem od nich o lądowych. Nie wiem, dlaczego mi o nich opowiadali. Nigdy nie chciałem nic o nich wiedzieć.*

Gadali jednak i teraz widzę to na własne oczy.

– *To nie lądowi – zamachała stanowczo rękami. – To jakaś bestia szczypcowców, jakiś nowy gatunek, który być może zabłąkał się tu z innego morza.*

Wykonał szyderczy gest.

– *Popatrz. Tylko popatrz – upierał się. – Zobacz to, co tam jest, ii nie to, co byś chciała tam zobaczyć. Weź swego rumaka i podpłyn bliżej, jeśli się odważysz.*

Ostatnia uwaga zabolą ją, wskoczyła więc na siodło i poprowadziła wierzchowca do tyłu wielkim łukiem, nie odrywając wzroku od stworzenia nieznacznie wiosłującego nad jej głową. Było duże, ale nie aż tak wielkie, jak myślała, że będzie. Zsunęła kołczan z włóczniami z pleców i wymacała jedną na wszelki wypadek. *Wielka morska bestia z gorejącymi oczami*, pomyślała. *W Hermatyre można będzie za to mnóstwo dostać, za żywą czy martwą.* Przygotowała broń i zerknęła w najbliższe z gorejących ślepi, a wtedy zobaczyła twarze i zrozumiała, co Caractes miał na myśli.

Chwilę później śmigała przez morze tak szybko, jak potrafił ją unieść wierzchowiec. Caractes miał rację. Nie może popłynąć z tymi wieściami do Hermatyre, bo dobrze znała usposobienie admira. Musiała płynąć do tych, co mają odpowiednią wiedzę do tego, aby sobie z tym poradzić, i są bezstronni. Musi znaleźć jakiegoś pelagika i przekazać mu wiadomość.

– No dobrze, pewnie zastanawiasz się, co się dzieje, lądowy – zwrócił się do niego Mandir,

maszerując z dumą na czele swej bandy strażników, jakby był najwyższym obywatelem Gorących Rewirów.

– Niezupełnie – odparł Stenwold zmęczonym głosem. –

To wszystko staje się depresyjnie znajome.

– Nikt nie rozumie waszej wartości – rzucił przez ramię Mandir.

Stenwold chciał się zatrzymać po takiej uwadze, ale jeden ze szczypcowców po prostu pchnął go naprzód. Upał, który do niedawna był tylko uciążliwy, stał się nie do zniesienia. Żukowiec spodziewał się wręcz w każdej chwili usłyszeć odgłosy młota spadającego na kowadło, ale oczywiście nie trafił tu na nic równie krzepiąco znajomego, bo i nie mógł.

– Co masz na myśli? – zapytał za to. – Od kiedy to znasz się na ludziach takich jak my?

Mandir zachichotał uradowany.

– Myślisz, że jesteś pierwszym lądowym, który tu trafił?

Zastanów się. Przez lata mieliśmy tu was ze dwa tuziny.

– Macie dwa tuziny lądowych tu, na dole? – zapytał

zaskoczony żukowiec.

– No nie, nie w tej chwili. Większość z was źle znosi tutejszy klimat. – Mandir posłał im przez ramię zażenowany uśmiech. – Może to kwestia pożywienia, a może tego, że ich zamykamy. Niektórzy okazują się zupełnie nieprzydatni, więc

– jak widzisz – to prawdziwa loteria, czy wam się uda, czy nie. Czasami też próbują ucieczki, ale ta nigdy im nie wychodzi. Mam nadzieję, że z wami będzie inaczej. Tak w ogóle to mam nadzieję, że znajdziecie tu szczęście. Jeśli będziecie w porządku, niczego wam nie zabraknie –

oczywiście poza możliwością wydostania się stąd.

Stenwold wymienił posępny uśmiech z Laszlo.

– A więc mam zostać twoim niewolnikiem, czy tak?

Mandir gwałtownie skreślił. Najwyraźniej zbliżali się do celu.

– Zaraz, znam to słowo – powiedział. – Jedna z twoich krewnych rzuciła mi je w twarz. Nie była tu szczęśliwa, aż przykro mi to stwierdzić, ale jeśli macie się czuć tu jak w domu, to, proszę bardzo, możecie się teraz uważać za moich niewolników.

Uśmiechał się z zadowoleniem i Stenwold naprawdę nie wiedział, czy oczekuje od nich

podziękowań, czy tylko ma taki szelmowski sposób bycia.

– Nie rozumiem – odparł beznamiętnie Żukowiec. –

Jesteśmy podobno pierwszymi lądowymi, jacy tutaj przybyli.

A może już wcześniej porywaliście ludzi z naszych statków?

– Ranisz mnie – powiedział Mandir, podchodząc do niego z buńczuczną miną. Sięgnął Stenwoldowi do pasa i jedynie obecność opancerzonych gigantów ratowała go przed skręceniem karku. – Ratowaliśmy, lądowy, ratowaliśmy.

Wasz lud buduje te pływające łajby, ale nie wszystkie utrzymują się na wodzie. Mam swoich ludzi czekających za Krawędzią, mój oddział ratunkowy, i kiedy fale są duże, oni mają tam baczenie na wszystko. Czasami im się poszczęści i odnajdują waszych ludzi, którzy na własnej skórze przekonali się o tym, czym jest morze. Więc ich ratujemy. Przynajmniej na chwilę – jeśli są użyteczni. Naprawdę mam nadzieję, że tak będzie w waszym wypadku. Tu, w Rewirach, panują surowe zasady. Wszyscy pracują. Sporo waszych zmarło, bo tego nie umieli.

Stenwold pokręcił głową.

– A jakąż to pracę chciałbyś, żebyśmy wykonywali?

– Pozwólcie, że nasz ekspert wam to wyjaśni – odparł

Mandir. – Teraz, kiedy się tu znaleźliście, możecie być jego niewolnikami. Przekonacie się, że to twardziel. Mamy go od kilku ładnych lat. Oczywiście należy do tych użytecznych. Na razie był najlepszy. Będziecie go słuchać i być może przy odrobinie dobrej woli życie z nami nie będzie dla was takie złe. – Jego wybujała gestykulacja zawężyła się niespodziewanie do jednego wyciągniętego palca. – Tędy.

Stenwold i Laszlo zostali wepchnięci do komnaty o nieregularnych kształtach, której ściany i sufit składały się z różnorodnych materiałów, podobnie jak reszta Gorących Rewirów. Stenwolda prawdziwie zaskoczył widok mebli.

Wyglądały, jakby ktoś opisał ślepcowi, jak wygląda ława do pracy, stół i krzesła, i kazał mu je sklecić z odpadków organicznych, choć pierwotny zamysł był aż nadto czytelny.

Papier – czy też to, co morscy za niego uważali – był ułożony wszędzie wokół w wielkich stosach. Niektóre kartki były czyste, a inne ciasno pokryte opisami i projektami.

W środku siedział mężczyzna, który gapił się na nich.

Stenwold obojętnie rzucił na niego okiem, nie rozumiejąc właściwie, kogo ma przed sobą. Błękitnobiała skóra nieznanego była pomarszczona i spękana, na nagim torsie było widać każde żebro, a brzuch świadczył o tym, że był

kiedys zażywnym mężczyzną. Miał brudnobiałe włosy, spadające mu aż na ramiona, i postrzępioną bródkę, pod którą widać było kilka blizn po próbach jej przycięcia. Był

mrówcem, Tseneńczykiem – Stenwold nie miał co do tego wątpliwości.

– Mistrz wojny Maker? – zaskrzeczał i grube pióro wypadło mu z dłoni na ich widok.

Głos potwierdził jego tożsamość.

– Mistrz Tseitus? – zapytał Stenwold, wciągając powietrze z niedowierzaniem.

– Wiedziałem – wykrztusił mrówiec. – Wiedziałem, że przyjdzie pan w końcu po mnie. Wiedziałem, że przyjdzie pan, żeby mnie uratować.

Mówił to wbrew ścianie opancerzonych szczypcowców za plecami Stenwolda i wbrew uśmiezkowi Mandira. W tej chwili wyglądał jak dziecko, które chciałoby, żeby jego słowa były prawdą – wbrew wszelkim okolicznościom. *To powinna być prawda*, pomyślał Stenwold. Za jego plecami powinna stać armia Kolegium. Powinni zakuć Mandira w dyby, a jego straż rozpedzić po całym morzu. Tak powinno być, lecz tymczasem czekała ich niewola trzeciej kategorii.

– Myśleliśmy, że nie żyjesz – wyznał cicho Stenwold. –

Gdy nie powróciłeś, myśleliśmy, że...

– Dowiedzieliśmy się mnóstwa rzeczy od tego tu, nawet jeszcze zanim zabraliśmy go tutaj – wyjaśnił Mandir z niezmaconą radością. – Jego łajba, cóż... pół roku ją rozgryzaliśmy, ale już ona wystarczyła, byśmy stwierdzili, że jest wyjątkowy. I nie zawiódł nas. To geniusz. Powinniście się czegoś od niego nauczyć.

– Tseitusie – zaczął Stenwold. – Do czego oni cię zmuszają?

Błękitnawa dłoń machnęła niemrawo w stronę stert papieru.

– Robię projekty, szkice. Chcą mieć maszyny, podwodniki, pojazdy. To wszystko dla nich jest nowe, rozumiesz, i nie byli w tym najlepsi. Byli wciąż... Och, sam wiesz, ale są bardzo bystrzy i szybko się uczą. Więc rysuję dla nich, a niektórzy z nich nawet nauczyli się naszego pisma.

– Pomagasz im? – chciał wiedzieć Stenwold. – Z

własnej woli?

– Tak jak ty będziesz pomagał – oznajmił Mandir – i twój mały przyjaciel. – Dźgnął Stenwolda w brzuch. – Każdy pracuje. Nie ma pracy, nie ma jedzenia. Będziesz zaskoczony, jak szybko zrozumiesz tę zasadę. Twój przyjaciel, bo przecież widzę, że się znacie, zginąłby bez nas, tak jak wszyscy łądowi, którzy tu wylądowali.

– Nie ja – warknął do niego Stenwold. – Ani nie Laszlo.

Zostaliśmy tu zaciągnięci wbrew naszej woli.

Ku swemu zaskoczeniu zauważył zmianę w zachowaniu Mandira, który przynajmniej przetworzył w głowie tę informację – i była to pierwsza oznaka przyzwoitości, jaką żukowiec zauważył u przywódcy Rewirów. Ostateczna decyzja jednak była oczywista:

– W takim razie macie pecha. I przykro mi z tego powodu, ale jesteście dla nas zbyt cenni. Potrzebujemy takich jak wy. – Skinął głową, jakby utwierdzając się w tej myśli. –

Zostawiam was tu, żebyście odświeżyli starą przyjaźń.

Tseitus pokaże wam, czego od was oczekujemy.

– Całkowite oddzielenie lądu i morza to fikcja –

wyjaśniał mu Tseitus na drugi dzień.

Ten temat pojawił się po kilku uwagach o tym, że nie planowano żadnej misji ratunkowej. Poirytowany Stenwold oznajmił, że nikt nie podejrzewał, iż tu, w dole, jest coś, przed czym trzeba ratować ludzi, ale Tseitus nie zamierzał tak łatwo składać broni. Był pierwszym lądowym, oprócz Laszlo, którego Stenwold widział od dłuższego czasu, lecz wszelka radość z tego spotkania została zepsuta przez tę samą samolubną postawę uczonego, jaką ten prezentował w trakcie wojny *Wojny, podczas której oddat nam nieocenione usługi*, łącał się w myślach żukowiec, ale trudno było o tym pamiętać.

– Twój sługa jest marynarzem, więc zapytaj go o morskich – rzucił Tseitus.

Laszlo, który kręcił się przy wejściu do warsztatu, zagadując szczypcowca o takich samych rozmiarach co on, zerknął do tyłu i wzruszył ramionami.

– Bajania, misz-Maker, tylko marynarskie bajania.

Podobno podczas sztormu widywano ludzi na falach albo słyszano śpiew kobiety tam, gdzie nie miało prawa być nikogo. Piękne niewiasty z tyłeczkami jak u homarów czy też mątw, bo ja wiem. Ja sam nigdy w to nie wierzyłem.

– To dlatego, że jesteś pojętnym – stwierdził Tseitus, poznawszy to po zainteresowaniach Laszlo projektami. –

Gdybyś miał z sobą niepojętną załogę, byłbyś bardziej bezkrytyczny. Zwykle to niedobra cecha, i dlatego nie rozmawiam z niepojętnymi, ale w tym wypadku miałiby rację. – Dźgnął Stenwolda w pierś chudym błękitnym palcem. – Wasi dawni mistrzowie, ciemcy, musieli mieć powiązania z ludem morza. Szkoda tylko, że nam tej wiedzy nie przekazali. W Tsenie zawsze wiedzieliśmy swoje.

– Prawdopodobnie masz rację – zamruczał Stenwold.

Stanowczo odmówił wczoraj udziału we wszelkich pracach i równie stanowczo odmówiono mu

posiłku, a głód wywoływał u niego dziwne sny.

– Mówią tutaj, że łąd to śmierć, ale to bzdura. Pomijając ekipę ratunkową Mandira, słyszałem, że istnieją pewne kultury i kręgi, które utrzymują łączność z łądem i tym samym pewne grupy Niżowców utrzymują wiarę w morze. Nie zdziwiłoby mnie to wcale.

– Cóż, mnie zdziwiło – oznajmił Stenwold, starając się nadać temu oświadczeniu ostateczne brzmienie, ale Tseitus nie chciał się z tym pogodzić.

– Nigdy nie byłeś na Atolu? – zapytał mrówiec.

– W Tsenie? Nie, zawsze zajmowały mnie sprawy związane ze wschodem – przyznał Stenwold.

Pewien powracający sen szarpał mu nerwy i burzył

spokój ducha na jawie, bo nie wiedział, co ma o nim sądzić.

Był bardzo intensywny, szczególnie dla człowieka, który niezmiernie rzadko pamiętał nocne wytwory swej wyobraźni.

Był to sen pełen napiętności, choć nie było w nim Arianny. I nawet nie przypominał wstydliwych i jaskrawych wizji, jakie jego umysł snuł na temat Atryssy, ukochanej Tisamona, kiedy wszyscy byli jeszcze bardzo młodzi. Smukłą postacią, która pojawiała się w jego wizjach, była Lyess z tak białą skórą, że niemal przezroczystą, oraz z wielkimi białymi oczami. To, że jego podświadomość snuła tego rodzaju wizje po dniach, jakie spędzili razem w markotnej ciszy we wnętrzu jej towarzyszki, wydawało się czystą perwersją, ale we śnie przywoływała ten jej pozacielesny uścisk, jakim obdarowała go, kiedy leżał bez ducha w brzuchu meduzy, a Lyess przełamywała swoją nieporadną rezerwę, obdarzając go chłodnym, uległym dotykiem. Jej ramiona zaś, usta, sploty jej włosów...

Tseitus parsknął.

– Wschód – rzucił lekceważąco, jakby cała sprawa z Imperium Os potoczyła się swoim rytmem, gdyby tylko Stenwold właściwie określił priorytety. – Wy, Niżowcy, macie takie beztrioskie życie – powiedział oskarżycielskim tonem. –

Kolegium pławi się w luksusie – miasto portowe otoczone przez żyzną glebę, tak że twoi pobratymcy kręcą nosem na ryby. Żalotne! Atol jest surową krainą i Tsen, Seym, Cerrih, wszystkie miasta, muszą współistnieć z morzem. My znamy morskich.

Stenwold gapił się na niego i widząc jego minę, Tseitus znów parsknął z chełpliwą pogardą.

– Oczywiście wiesz, Maker, skąd pochodzi nazwa Atolu?

– Gdyby Tseitus był wykładowcą, zapewne nienawidziliby go wszyscy studenci. – Miejsce to składa się z wielu wysp ciągnących się wzdłuż wybrzeża, z setek wysp zbudowanych głównie ze smaganych wichrami skał. To jednak nie są skały, lecz koralowce, Maker. Są rafy i rafy, dlatego też nawigatorzy i piloci statków to doskonale płatne profesje. Rafy te to nie tylko skały, rozumiesz przecież.

– Arketoi... – mruknął Stenwold.

– Kolonia wielkiego Atolu to przymierza za portem Seym – oznajmił Tseitus. – Nie są tam tacy nieśmiali. Nie tak dawno temu przekonaliśmy się, że spotkania lądowych i morskich oznaczają wyłącznie kłopoty – były zapowiedzią wojny między światami, która skąpałaby ziemię i morze we krwi. Po tym przez kilka ostatnich stuleci kontakty były minimalne. Nie powiedziałbym, że ziemia i ląd idą ręką w rękę. Choć mamy dyplomatów i nawet niewielki, starannie kontrolowany handel, to niewiele rzeczy, których oni mogliby pragnąć. To wszystko – machnął ręką, wskazując to, co Stenwold uznał za kwintesencję Gorących Rewirów – jest inne. Pojętność, żądza poznania rzemiosła – tego nie zrozumieliby w Atolu Wielkim. Tam wszyscy są niepojętni, jak sędzę, albo też po prostu są ignorantami. – Mówiąc to, cały czas zręcznie szkicował piórem tłoczkowym o dziwnym kształcie, jakie wykonali dla niego morscy. – Nawet nie masz pojęcia, Maker... Zupełnie nie masz pojęcia.

Białe oczy i aksamitny dotyk... Stenwold zamrugnął, patrząc na starego mrówca.

– O czym nie mam pojęcia?

Od drzwi dobiegł ich nagły wybuch tubalnego rechotu.

To Laszlo wciągnął jednego z barczystych strażników w rozmowę i pokazywał coś, na co Tseitus mlasnęła głośno z irytacją. Chwilę później mała grupka wraz z Laszlo wyszła na zewnątrz, uśmiechając się znacząco.

– Nie masz pojęcia, jakie mamy szczęście, my, lądowi, że pierwsi znaleźliśmy się na lądzie. Ach, może i jest na ziemi coś, co wspomaga postęp, nie zaprzeczam. Z całą pewnością rozumiem też, dlaczego lud na Atolu Wielkim uważa ziemię za nieprzyjazne miejsce – gorące, zimne, jałowe. Morze zapewnia im wszystko, czego potrzebują, a my stale prowadzimy walkę. Ale gdyby było na odwrót...

– Co? – zapytał Stenwold wojowniczo. – Widziałem mechanikę morskich. Nic specjalnego mimo tego, że ty i twoi poprzednicy uzupełniacie za nich luki. U nas uczniowie dostają trudniejsze zadania.

– Nie o to chodzi – upierał się Tseitus z istic naukową drwiną w głosie. – Powiedziałbym, że pojętność rozpowszechnia się tu od niecałego stulecia. Lub też po prostu wcześniej z niej nie korzystali. Są zacofani, Makerze.

Są o wieki za nami. Nic więc dziwnego, że ich konstrukcje są nieporadne. Ale spójrz na ich naturalne atuty, a zobaczysz, że gdybyśmy to my byli w tyle, obecnie luka byłaby o tyle większa. Przyjrzyj się ich technologii wytwarzania.

– Masz na myśli to natwarzanie? – zapytał Stenwold.

– Widziałeś ich ornamentykę, jaka jest subtelna i skomplikowana jednocześnie? – naciskał Tseitus. – Wyobraź

sobie teraz części maszyn wykonane tą techniką z doskonałą precyzją. Wystarczyłoby tylko znaleźć rzemieślnika, który z dostateczną jasnością wyobrazi sobie, czego mu potrzeba – i oni już ich mają,

co prawda nielicznych, ale będzie ich więcej.

Odpowiedź zamarła Stenwoldowi na ustach.

– Rozumiem – powiedział po chwili w zamyśleniu.

– A do tego te materiały.

– Widziałem głównie brąz oraz różnego rodzaju muszle.

I ten papier.

Tseitus gwałtownie pokręcił głową jak rasowy uczonek podczas burzliwej debaty.

– Nie, nie, nie, papier i tkaniny wykonują z wodorostów. Tkają i przędą, ścierają na pulpę i zszywają tak jak my. Ale materiały twarde są natwarzane i chociaż większa część populacji morskiej uważa brąz za technologiczny szczyt, to tutaj, w Rewirach jest inaczej. Dlaczego, jak sądzisz, uparcie tkwią tutaj bez pomocy dających schronienie budowniczych? Chodzi o temperaturę – wysoka temperatura i minerały zawarte w wodzie pozwalają im natworzyć mocniejsze substancje. Ich metal, Makerze, to bentoniczna sprężysta stal. Daję ci słowo, że ma większą hartowność niż jakikolwiek materiał na lądzie. Jest tak wytrzymały, tak giętki... Gdyby nam w jakiś sposób udało się stworzyć go za pomocą konwencjonalnych metod, zrewolucjonizowalibyśmy wiele dziedzin mechaniki!

– I do tego właśnie dążysz, mam rację? – zapytał

Stenwold. – Dlatego właśnie im pomagasz, bo jednocześnie starasz się zgłębić tajemnice ich metalu?

– Oczywiście jestem naukowcem i rzemieślnikiem –

odparł Tseitus jakby zaskoczony, że w ogóle można było mu zadać takie pytanie.

Stenwold ukrył głowę w dłoniach.

– Czy wiedziałeś o tym, że zamierzają napaść na Kolegium? – zapytał zmęczonym głosem. – W Hermatyre czeka na rozkaz w pogotowiu armia szczypcowców. –

Podniósł wzrok na Tseitusa i zobaczył, że starzec stracił

rezon.

– Ja... – wymamrotał mrówiec – zginąłbym w podwodniku... albo zagłodziliby mnie na śmierć, zabiliby mnie... Nie miałem wyboru.

– Nie wątpię – odparł Stenwold smutno, zastanawiając się nad tym, czy on będzie miał jakiś wybór.

Sala audiencyjna Mandira była sklecona z byle czego i podobnie jak reszta jego dominium krzywa, ale robił, co mógł, by wzbudzić na każdym petencie przekonanie o swoim znaczeniu.

Przed wszystkim miał prawdziwy tron czy też raczej krzesło o wysokim oparciu, zbudowane z kawałków koralowca, kamienia i metalu, przypominających w formie mozaikę. Umieszczono je tak, że każdy odwiedzający go musiał podnieść na niego wzrok.

Po obu bokach petentów, jako dowód bitewnego męstwa Mandira, ustawiono wachlarze z włóczni, zakrzywionych mieczy i innej dziwacznej broni. Znajdująca się po obu stronach tronu para szczypcowców dodawała jeszcze jego majestatowi powagi. Ale Stenwoldowi najbardziej u tego samozwańczego władcy podobała się peleryna. Sięgała ona do samej ziemi i na pewno pasowałyby na giganta, a zafarbowana była na głęboki żywy fiolet, z lamówką zachodzących na siebie błyszczących płytek, w których żukowiec rozpoznał w końcu wypolerowane rybie łuski.

– Mizernie wyglądasz, lądowy – zwrócił się do niego Mandir. – Jedzenie ci nie służy?

Od ostatniego posiłku Stenwolda minęły dwa dni i musiał zastanowić się nad swoją moralną postawą – gdzie biegły granice kompromisu. W końcu jednak głód zaczął rozwiewać jego obiekcje.

– Mandirze – zwrócił się po imieniu do szefa Rewirów, zastanawiając się, czy to właściwa forma. Mały despota jednak wyglądał na zadowolonego i gestem ponaglił go. –

Będę dla ciebie pracował – dokończył Stenwold zmęczonym głosem. – Dam ci projekty i usprawnię te, które twoi ludzie już mają.

– O to tylko proszę – odparł Mandir rzeczowo. – Zaraz ktoś z moich ludzi przyrzędzi ci suty posiłek. Wygląda na to, że coś byś zjadł.

– Poczekaj – rzucił Stenwold, unosząc dłoń.

Na ten gest strażnicy aż drgnęli, sięgając po broń.

– Mam swoje warunki – oznajmił.

Mandir zmarszczył czoło.

– On ma warunki – rzucił w przestrzeń. – Znów odzywa się wielmożny pan z lądu, co?

– To ty chcesz mojej pomocy – zauważył Stenwold.

– Chcę, to prawda. Ale ty musisz jeść. Powinieneś być wdzięczny, że dajemy ci na kredyt słodką wodę.

– To nie jest żaden wygórowany warunek, przywódco Rewirów – powiedział Stenwold, widząc, że właściwy zwrot działa uspokajająco.

Mandir znów wykonał lakoniczny gest i Stenwold kontynuował:

– Dotyczy mojego towarzysza Laszlo.

Mandir uśmiechnął się tylko na to.

– Dużo o nim słyszę. Okazuje się, że jest lubiany. Ogolił głowę, tak? Chce wyglądać jak człowiek cywilizowany.

– Tak myślę – zgodził się Stenwold.

W rzeczywistości zaś Laszlo wyglądał teraz niemal jak niewielki szczypowiec, jakich pełno było wśród tutejszych ludzi. Z niebywałą łatwością udawał morskiego, co świadczyło o jego interesującej przeszłości. I Stenwold przypomniał sobie, że Laszlo służył na *Wolnym od Pływów* jako intendent, którego wysyłano na zakupy i by dogadywał

się z miejscowymi.

– Słyszałem, że jest bardzo popularny wśród moich –

rozkoszował się tym tematem Mandir. – Podskakuje i tańczy z pomocą swojej sztuki i tak dalej. Chciałem go nawet ściągnąć, żeby i dla mnie zatańczył.

Taniec z całą pewnością nie był mocną stroną Laszlo, ale skoro był jedyną osobą w głębinach, która potrafiła latać, nie musiał zbyt wiele umieć, by zadziwić publikę. Ludzie Mandira walili drzwiami i oknami, żeby zobaczyć to dziwo z lądu.

– On nie jest mechanikiem, Mandirze – wyjaśnił

Stenwold. – Jest niespokojny i nieszczęśliwy. Chce sobie pooglądać twoją dziedzinę. Jeśli pozwolisz mu pokręcić się trochę, ja zostanę jako zabezpieczenie.

– Naprawdę? – Mandir zerknął na niego z góry, jakby nagle pożałował, że siedzi tak blisko. – Dlaczego?

– Ponieważ on nie może żyć w niewoli – odparł

Stenwold. – Bo mówiłeś mi, że my, lądowi, nie potrafimy tu rozkwitnąć. Pomyśl sobie, jak tobie by się to podobało, gdybyś siedział za kratami w obcym miejscu, odcięty od wszystkiego, co znasz. Gdyby tylko miał szansę na poznanie nowych przyjaciół, rozpoczęcie nowego życia tutaj, cóż...

– A co z tobą? Tobie nie pozwolę włóczyć się samopas –

ostrzegł go Mandir.

– Ja przynajmniej będę miał satysfakcję z tego, jak wróci i przyniesie mi wieści. Dopóki będę w twoich rękach, dopóty – zapewniam cię – on będzie wracał.

– Będzie dla ciebie szpiegował – rzucił oskarżycielsko Mandir.

– Skoro chcesz tak to określić, proszę bardzo. Ale jeśli będę miał swoje oczy i uszy na zewnątrz, to też pomoże mi się dostosować. Przyznaję, zdaje mi się, że utknąłem tu na dobre, daj mi więc cokolwiek poza pracą.

Nie był pewien, czy jest przekonujący, ale w końcu Mandir nie był ekspertem w żukowych wyrażeniach, podobnie jak Stenwold nie potrafił jednoznacznie rozszyfrować jego.

– Cóż – westchnął w końcu mały tyran. – Może... Być może, ale ja też mam swoje warunki.

Czyżby?

– A cóż to za warunki, przywódco Rewirów?

Mandir włożył rękę w fałdy peleryny i wyciągnął

spomiędzy nich przedmiot, który był mały nawet w jego dłoniach, a na którego widok Stenwolda przeszedł dreszcz.

– Gdzie... ?

– Och, proszę cię, ładowy, sam sobie możesz odpowiedzieć na to pytanie. Naturalnie od ludzi Claeona, którzy cię pojмали. Nie mieli pojęcia, co to takiego, ale moi agenci w Hermatyre wykupili to od nich, bo wyglądało na coś, czym mógłbym się zainteresować. – Mandir błysnął

rozradowanymi ślepiami. – I bardzo mnie to interesuje, ładowy. Zbadałem ten przedmiot i nie rozumiem, jak działa, ale rozumiem jego przeznaczenie i uważam, że jest piękne.

Emfaza w jego głosie, ta nagle opanowująca go pasja były zaskakujące i Stenwold znów musiał skorygować swoją opinię na jego temat, bo do tej pory uważał go za szybko robiącego majątek przywódcę kupczyków. *Wgłębi duszy jest zapalonym mechanikiem, pomyślał, rzemieślnikiem, który teraz trzyma w dłoniach przycięty pukoluk.* Bo była to dwulufowa broń wykonana dla Stenwolda przez Totho, która błyszczała złowróźnie w panującym tu półmroku.

– Popracujesz nad tym urządzeniem, ładowy.

Narysujesz mi plan prostszej wersji tego czegoś, tak żeby mogli to skopiować nasi mechanicy. Dam twojemu przyjacielowi wolność poruszania się po całych Rewirach, tylko musi mieć świadomość, iż będzie obserwowany. Ale chcę mieć coś takiego. Chcę, żeby coś takiego było w Rewirach. To – oznajmił z bezwzględnym uśmiechem na twarzy – jest ładne.

DWADZIEŚCIA DZIEWIĘĆ

Poprzedni władca Gorących Rewirów nie miał sali audiencyjnej, nie zasiadał na tronie, ubierał się niewyszukanie i był jedynie dawnym właścicielem tawerny obsługującej przejeżdżające tędy tabory bentoników.

Poprzedni władca nie przyjmował emisariuszy z Głębokiego Wysięku czy Hermatyre, którzy przynosili wieści od admirałów, jakby zarządca Rewirów był im równy –

przynajmniej wtedy, gdy ci admirały coś od niego chcieli.

Mandir kontemplował ten stan, spoczywając na swoim tronie. Claeon miał wiele wad, ale nie należała do nich nieporadność w doborze szpiegów, więc jego nowy agent w Rewirach już z całą pewnością węszył za dwójką zaginionych więźniów.

Na jego rozkaz pojawiła się bez broni i bez eskorty, na jego rozkaz. Spotkali się już wcześniej, jedynie raz, kilka lat temu, choć wtedy była jeszcze jedynie ozdobą świty ówczesnego majordomusa Claeona. Mandir szukał w pamięci i przypominał sobie, że człowiek, u którego służyła, został w końcu rozszarpany przez kraby... A może to jego wrzucono w jadowite sploty ukwiału? Mandir nie miał ochoty odwiedzić Hermatyre, choć wyglądało na to, że rozrywki tam mają pierwszej wody. Claeon był wariatem, ale szaleństwo dodawało mu stylu.

– Haelyn, jak pamiętam – zwrócił się do niej po imieniu, nachylając się ku niej.

Była taka, jaką ją zapamiętał, a pamiętał ją całkiem dobrze. Wywodziła się z mątwowców, pomniejszej gałęzi mózgowców, ale nieczęsto spotykanej. Stała teraz na środku jego sali audiencyjnej ze spokojnie założonymi rękami, odziana w białą szatę tak skrojoną, żeby skrywała, co miała skrywać, a jednocześnie sugerowała idealne proporcje ciała.

Jej skóra mrugała błękitem, złotem i czerwienią, jakby była zdenerwowana, ale w jej wzroku nie dostrzegł lęku.

– Mandirze, przywódco Gorących Rewirów – zaczęła. –

Przywożę ci pozdrowienia od twojego druha, morskiego lorda admira Claeona z Hermatyre.

– No i co tam u staruszka? – zakpił Mandir. – Coraz grubszy i coraz głupszy? Nie musisz odpowiadać. Zapewne nieźle mu się wiedzie. Jego wybór majordomusa zasługuje na podziw. Od dawna piastujesz ten urząd, Haelyn?

– Wystarczająco długo.

– Czymże mogą skromne Gorące Rewiry służyć twemu wspaniałemu panu?

Wyprostowała się i przekrzywiła głowę.

– Z radością przyjął wiadomość, iż przechwyciłeś zbiegłych renegatów, i bardzo niecierpliwie wyczekuje ich powrotu, by mogli stanąć przed wymiarem sprawiedliwości.

– Renegaci z Hermatyre? – Mandir doskonale udał

zaskoczenie. – Na co schodzi ten świat? Dlaczego ktoś chciałby uciekać z kolonii zarządzanej przez takiego światłego człowieka jak Claeon?

Nie skomentowała tego.

– Pewnych niezwykłych renegatów... Doskonale wiesz, że mówię o lądowych, Mandirze.

– O lądowych? A istnieją w ogóle jacyś lądowi? Czy to nie są te olbrzymy, które mogą człowieka zabić jednym spojrzeniem?

Haelyn westchnęła jeszcze raz, splatając ramiona na piersi.

– Czy możemy sobie oszczędzić tych oficjalnych dementi?

– Udajmy, że mamy to już za sobą. Ale lądowych zatrzymuję. Twój pan może się wściekać, ile dusza zapragnie.

Zapomina, że to my jesteśmy na tych terenach potęgą.

– Cła z Hermatyre napędzają wasz przemysł. Jesteście w pełni zależni od handlu z innymi – zauważyła.

– Cła z Hermatyre nie przestaną płynąć tylko dlatego, że Claeon wyda taki edykt. Przybliży go to wyłącznie o krok do strącenia z tronu i rozszarpania przez poddanych – niech ten dzień rychło nadejdzie – odparł Mandir beznamiętnie. –

Nigdy go nie lubiłem, nawet jak jeszcze żył stary edmir.

Wszyscy byśmy lepiej wyszli na tym, gdyby chłopak przeżył.

Mówię tak, bo obecnie uciekinierzy z Hermatyre zaludniają moje ulice i wykonują moje polecenia. Skoro Claeon ma zamiar popełnić jakieś kolejne głupstwo, niech nie myśli, że nie dam rady zawrócić Taboru Tysiąca Kolców Rosandera, jeśli tu przymaszeruje. To też mu możesz przekazać.

Zagryzła usta.

– Nie dajesz mi szansy przeżycia tej misji.

– W takim razie nie wracaj tam – zaproponował

Mandir. – Nie mamy tu za wielu mątwowców. Zostań z nami.

Spodobałaś mi się już podczas pierwszego naszego spotkania.

Teraz, widząc cię znowu, lubię cię jeszcze bardziej. Tańczysz?

– Czy tańczę? – wykrztusiła.

– No ten wasz taniec mątwowców. Z falowaniem? Lata całe już go nie widziałem. Jak mówiłem, nie ma tu wielu twoich kuzynów i też nie wytrzymują za długo.

– Bo ich zabijasz? – zasugerowała cierpko.

Patrzył na nią ciężko, pozwalając sekundom płynąć.

– Ponieważ życie jest tu trudne, a twoi ludzie nie są przyzwyczajeni ani do gorąca, ani do zmiany otoczenia. Ja nie jestem Claeonem. Staram się tylko trzymać nasz mały sztuczny świat w jako takim porządku i jestem bezwzględny wyłącznie na tyle, na ile muszę – na przykład przechwytyjąc lądowych. Ale nie jestem Claeonem. Znam ja dobrze jego rozrywki, te wszystkie haki i bicze. Ja lubię kobiety, dobry trunek i ładne przedmioty, a obdzieranie poddanych ze skóry nigdy mi się nie podobało. Poza tym oni by tego nie znieśli.

Wciąż spoglądała na niego z urazą i uporem.

– Moja rasa nie jest w stanie tu przetrwać, a ty chcesz, żebym tu została? Jaki to ma sens?

– Pożyjesz dłużej tutaj niż u boku Claeona. Myślę, że to ma sens, tak czy siak.

– Ja nie tańczę.

– Szkoda. Ale oferta wciąż jest aktualna.

– Mówisz poważnie? – Haelyn zmarszczyła brwi z niedowierzaniem. – Mandirze, utrzymujesz, że to Claeon oszalał? A co można powiedzieć o tobie, który chcesz mu wykraść emisariuszkę? Jak myślisz, co zrobi, skoro jest taki okrutny?

Mandir rozparł się na swoim tronie, skubnął coś z fałdy peleryny i przyglądał się temu przez chwilę.

– Nie boję się go, bo gdyby wysłał tu oddział

mózgowców, to połowa z nich zmieniłaby barwy zaraz po zjawieniu się tutaj, zadowolona, że może ujść spod jego władzy. Co do Rosandera, cóż, Rosander dobrze wie, jakie mamy tu zabawki. Sam ma kilka z nich, a wie, że my mamy ich więcej. Gdyby Claeon posłał go tutaj, założę się, że byłby to koniec ich przyjaźni – która podobno i tak już się sypie.

Więc zatrzymuję lądowych i, jeśli się zgodzisz, ciebie też, i to w dobrym zdrowiu.

– Czy dzielenie z tobą łoża byłoby dodatkowym warunkiem? – zapytała szyderczo. – Żałuję, że nigdy nie gustowałam w małoszczypych.

Mandir przekrzywił głowę.

– ■

Powinnaś zrewidować swój gust, Haelyn. Kiedy byłem chłopcem, zawsze siadaliśmy ostatni do stołu, nawet tutaj.

Rządzili mózgowcy, wielkoszczypcy. Byli silni i prowadzili tabory, a pelagicy nie mieli dla nas

czasu. Po prostu trzymaliśmy się każdego, kto nas tolerował. Wykonywaliśmy różne przedmioty, naprawialiśmy broje i staraliśmy się, żeby nikt się na nas nie gniewał. Ale te czasy minęły i teraz ja tu rządę, a moja rasa zaczyna dochodzić do głosu.

Prowadzimy Gorące Rewiry i przodujemy w całym morzu w nowinkach. To, że jesteśmy o połowę mniejsi, nie oznacza, że musimy się na was oglądać. – Wskazał szerokim gestem na wszystko, co było w komnacie: straż i poustawianą broń. –

Ale nie, to nie jest konieczny warunek. Zostań z nami, a będziesz bezpieczna, bez zbędnych pytań. Bo cię lubię. I dlatego że nie jestem Claeonem. Ładowi, sama wiesz, trzymają w swoich domach ludzi, których nazywają niewolnikami – ludzi, którzy nie mają własności, pracują do śmierci i umierają na rozkaz panów bez możliwości protestu.

– Zamilkł, by przyjrzeć się jej reakcji. – Tak właśnie wygląda ład, Haelyn. Nie ma tam śmierci, która zagląda ci w twarz, ale też nie jest to raj, i litoraliści są jeszcze większymi głupcami, że głoszą co innego. Sama jednak wiesz, że Claeon doskonale by tam pasował. Byłby z niego idealny ładowy, a ja szczycę się tym, że ze mnie nie. A teraz posłuchaj: idź i namyśl się, co powiesz twojemu panu, żeby zachować życie, albo pomyśl, jak by ci było dobrze, gdybyś została z nami. Nie spiesz się, tak czy inaczej.

Skinęła głową, cofnęła się o kilka kroków i powiedziała:

– Dziękuję. – Po czym wyszła.

W obrębie nieustannie modyfikowanych zabudowań Gorących Rewirów ich mieszkańcy zajmowali i wykorzystywali przestrzeń, którą sobie wybrali, aż ktoś –

dawniej silniejszy, ale obecnie raczej posiadający nakaz Mandira – im ją zabierał. W tej komnacie na przykład, przypominającej skurczoną kopułę, spali przeważnie ludzie bez profesji, talentów i innych możliwości zwiększenia swoich zarobków – włóczędzy i uchodźcy, wędrowni pelagicy, wygnańcy mający nadzieję na lepsze życie z dala od admira czy nauarcha. Dysponowali skromnym dobytkiem i matą do spania na nierównej podłodze.

Przy końcu komnaty, gdzie bardzo dogodnie łączyła się ona z głównymi zakładami Rewirów, zajęta była większa część przestrzeni. Było to miejsce zadaszone, z różnymi drobiazgami na sprzedaż lub wymianę i jadłodajnią serwującą rosół grupie mających mniej szczęścia mieszkańców, w którym też skupowano od nich wszystko, co udało im się upolować bądź zebrać. Co więcej, właściciel tego miejsca był zupełnie niezłym gorzelnikiem i jego marka natwarzanego bimbrowa miała swój udział w tym, że wielu przebywających tu nieszczęśników, już nigdy nie miało się podnieść.

Było to również idealne miejsce spotkania dla tych, którzy chcieli uniknąć rozgłosu, gdyż przebywający tu tłum rozpychających się obcych nie zadawał żadnych pytań. Teraz na poszarpanym kocu leżącym w rogu spotkała się tu trójka spiskowców.

Nemoctes, nawet bez zbroi, zupełnie nie pasował do tego miejsca, bo był dużym mężczyzną, co nie do końca dało się ukryć pod lichym okryciem. Ale panował tu taki ruch głodnych i podchmielonych

klientów, wśród których wielu było wysokich i szerokich w barach szczypcowców, że zginął

wśród nich bez problemu. Wszędzie widać tu było ludzi w płaszczach i pelerynach, gdyż większość z nich wkrótce znów wyruszała na chłodniejsze wody albo miała sporo ważnych powodów ku temu, by nie wyróżniać się z tłumu.

Obok Nemoctesa siedziała Wys, kolejna małoszczypca wśród wielu innych, która nieco niekomfortowo czuła się w towarzystwie trzeciego spiskowca – szczupłego mężczyzny z mózgowców. Żaden kaptur czy peleryna na świecie nie mogły ukryć tego, jak bardzo dbał o siebie.

– Nazywa się Diamedes – wyjaśnił Nemoctes cicho. –

Jest człowiekiem Heiraclesa. Poznałem go już wcześniej.

– Skoro to człowiek Heiraclesa, to pewnie wie, gdzie jest jego pan – stwierdziła Wys.

– Bardzo trudno jest się poruszać teraz w Rewirach –

wyjaśnił Diamedes. – Wielu ludzi zaniepokoiło zatrzymanie lądowych przez Mandira. Mimo przechwałek ta krewetka nigdy wcześniej nie poważyła się na coś takiego.

Wys zjeżyła się, słysząc, jak lekceważąco wyraża się o jej rasie, ale Diamedes ciągnął niezrażony:

– Pomimo licznych niedostatków to on tutaj rządzi.

Gdyby zechciał uwięzić mego mistrza i sprzedać go Claeonowi, co mogłoby go powstrzymać?

Wys wciąż się dąsała.

– W takim razie wygląda na to, że dzisiaj daleko nie zajedziemy.

– Czekaj – powstrzymał ją Nemoctes. – Diamedes poinformował mnie, że przyjdzie jeszcze jedna osoba, która z całą pewnością sprawi, że spotkanie będzie warte zachodu.

– Cóż. – Cierpka mina Wys znikła, a zastąpił ją szeroki uśmiech. – Zobaczą jeszcze jednego z was i każę jednemu z moich wykopać was na ląd. Myślicie sobie, że jesteście bardzo sprytni, co mózgowcy? Cóż. My, „małe krewetki”, też potrafimy co nieco, i to bez takiego zadęcia.

– Bez wątpienia – odparł Nemoctes cierpko.

Rzuciła mu gniewne spojrzenie.

– Ty się nigdy nie złościsz, co?

– Postaraj się żyć tak jak pelagicy przez rok i jeden dzień, Wys. To kojące doświadczenie – powiedział do niej z bladym uśmiechem.

– Chyba raczej nudne – wypaliła Wys, widząc Fela przedzierającego się przez tłum, a za nim drobną postać w kapturze i płaszczu.

Skinął głową, powierzając jej swoją przesyłkę, i cofnął

się w stronę wyjścia.

– Jak poszło? – zapytała Wys nowo przybyłego, nachylając się do niego.

– Zdaje się, że wasza Phylles wciąż prowadzi ich wszystkich – padła odpowiedź – z wynajętym małoszczypowcem.

– Zrzuc kaptur, jesteś wśród przyjaciół – zachichotała.

– Diamedesie, przedstawiam ci Laszlo Ziemnego.

Widząc łysą, przygarbioną postać, pozostała dwójka czekała na jakąś rewelację. W końcu Nemoctes uniósł brwi i widać było, że jest pod dużym wrażeniem.

– To jest to – przyznał. – Co za przemiana.

– Ale nie myślcie sobie, że tego nie żałuję – mruknął

Laszlo. – Spróbujcie sobie golić łeb dwa razy dziennie. Żadna przyjemność, możecie mi wierzyć na słowo. A jak sprawy?

Wymyśliliście już, jak nas wyciągniecie?

– Jak to coś się wydostało? – zapytał Diamedes, patrząc na Laszlo z przerażeniem. – To naprawdę jest lądowy?

– Ciszej – syknęła Wys. – Ale tak, to jest lądowy.

Wydostał się, bo jego szef namówił onego, a poza tym jest sprytnym chłopakiem, posiadającym niezwykłą sztukę, no i mistrzem w wymykaniu się opiekunom. Teraz moi ludzie muszą wodzić za nos strażę Mandira, tak że nie mamy wiele czasu. A gdzie twój człowiek, Dio?

Diamedes wstał płynnie, żeby wyszukać go wzrokiem w tłumie. Chwilę później wskazał im brodą.

– Jest tutaj. Idzie do nas.

– Ale poważnie – wtrącił się Laszlo. – Jaki jest plan?

Mistrz Maker jest teraz w ciężkim położeniu.

Jakaś kobieta objęła Diamedesa i stali tak przez chwilę przytuleni do siebie, zanim usiedli i dołączyli do grupy. Pokaz uczuć miał zmylić ewentualnych obserwatorów.

– A kto to znowu? – zapytała Wys ostro. – Nie znam jej.

Diamedes przedstawił spiskowców swej znajomej i dodał nieI rasobliwie:

– Każdy z nich jest tu z innych powodów, ale możesz im ufać.

– Tak jak tobie? – padło zgryźliwe pytanie spod kaptura.

– Ja już znam twoją tajemnicę – odparł z godnością Diamedes – więc gdybym chciał cię zdradzić, już byś nie żyła.

– Na tym buduje się zaufanie w Hermatyre: na ludziach, którzy cię jeszcze nie zdradzili – stwierdziła, co zabrzmiało jak warta zapamiętania sentencja.

Uchyliła nieco kaptura, ukazując twarz, która z początku wyglądała ładnie, ale po chwili zamigotała kolorami. Jej spojrzenie pozostało twarde i podejrzliwe.

– Haelyn – powiedziała. – Tak mam na imię.

– Zaraz, zaraz... Poczekaj no kapkę – mówiła Wys bardzo szybko. – Słyszałam, że kobieta mątwowców o tym imieniu jest...

– ... majordomusem admira? – dokończyła za nią Haelyn. – Masz rację.

– Służysz u admira? – zapytał Laszlo z oczami wielkimi jak spodki.

Popatrzyła na Diamedesa, żeby wyjaśnił, a mózgowiec powiedział:

– Zawsze była agentką mego mistrza w domu Claeona.

Latami awansowała i była użyteczna na tyle, by unikać gniewu Claeona, co nie jest taką prostą sprawą. Niestety przedobrzyła, a może czas ją dogonił. Claeon uczynił z niej opiekunkę domu, a osoby, które sprawują to stanowisko, pozostają w dobrym zdrowiu zaledwie przez kilka księżyców.

– Pewnego dnia okazało się, że zostałam najstarszą pracownicą w domostwie Claeona – jedyną, która nie uciekła, nie została zgładzona i wykazała się odpowiednim doświadczeniem – odparła Haelyn z goryczą.

– Claeon posłał cię po lądowych – odgadł Nemoctes.

– No właśnie – potwierdziła. – Rozmawiałam z Mandirem. Był... naprawdę uprzejmy, ale zupełnie nieprzydatny. I oczywiście Claeon nie spodziewał się, że odda mu tak po prostu lądowych. Chce teraz ich zabić i już wciela swój plan w życie, więc nie jestem tu jedyna.

Popatrzyli po sobie.

– Wysłał morderców – stwierdziła cicho Wys. –

Mogliśmy się tego spodziewać.

– Dwóch krakenowców z dużymi nadziejami na awans w służbie Claeona z powodów, które z mojego punktu widzenia są niezrozumiałe – oznajmiła Haelyn. – Nazywają się Menes i Theomen. Jeśli pójdziecie za mną, wskażę wam ich, żebyście znali ich twarze.

– Dobrzy są? – zapytała Wys.

– Od lat podrzynają gardła w Hermatyre. Uciszyli już kilku krzykaczy dla Claeona, ale edmir nie ufa zbyt dobrze wyszkolonym zabójcom. Dlatego zazwyczaj żyją oni krócej niż kompetentny majordomus. Można więc uznać, że są...

niezgorsi.

– Szepnąć słówko Mandirowi? – zaproponował

Nemoctes po namyśle.

– Co prawdopodobnie skończyłoby się też moją śmiercią – sprzeciwiła się Haelyn. – Mówię to wam, żebyście sami podjęli działania, nie włączając w to jego. – Pokręciła głową. – Dlaczego w ogóle to jest takie zagnatwane? Czego tak naprawdę Mandir od was chce, malutki?

Laszlo splótł ramiona.

– Wygląda na to, że tacy malutcy tu rządzą, paniusiu –

stwierdził śmiało. – A ten wasz Mandir przynajmniej wie, skąd wieje wiatr – dodał, ale zaraz uświadomił sobie, że wyrażenie to zupełnie nic im nie mówiło. – Zna wartość dobrego lądowego rzemieślnika, więc porywa ludzi ze statków i łódek i zmusza ich do pracy. Wy wszyscy uważacie nas za bandę dzikusów pożerających dzieci, a on wie, w czym jesteśmy ekspertami. Ze potrafimy złożyć przekładnię albo narysować schemat. Ty też wiesz – zwrócił się do Wys. –

Słyszałaś, jak mistrz Maker rozmawiał z Wyciekim. My znamy się na maszynach i Mandir za to nas kocha.

Nemoctes miał ponurą minę.

– Ja... nie miałem o tym pojęcia. Musiał to trzymać w tajemnicy. Inaczej nie ściągnąłbym was tutaj...

– Jasne, jasne. – Laszlo machnął ręką, żeby poczuł się lepiej. – Nie mówię, że chciałeś, żeby tak się stało, staruszkę, ale zrozum: mistrz Maker zgadza się na pracę nad czymś tylko po to, żebym ja mógł pogadać z wami. Więc lepiej myślcie nad tym, jak go wydostać. Macie jakiś plan?

Wymienili spojrzenia i Laszlo aż się skrzywił.

– Nie macie żadnego? Naprawdę?

– Mandir kontroluje to miejsce. Przebudowuje je, jak chce. Gdyby naprawdę nie pozwolili ci wychodzić, wciąż byś tam tkwił – rzucił Diamedes ostro. – Szczypcowcy Mandira mają... nową broń. Jest bardzo niebezpieczna i widziałem ją w użyciu. Nie mamy żadnych posiłków, a ostatnią rzeczą, jaką zrobiłby zdrowy na umyśle człowiek, byłoby najechanie na Gorące Rewiry.

– Dlatego czekamy – rzucił z mocą Nemoctes, próbując zatuszować przygnębienie przedmówcy. – Może ludzie Mandira i są dobrze uzbrojeni, ale nie stanowią armii.

Mandir ma ich ograniczoną liczbę, a życie w Gorących Rewirach zawsze było kruche. Czekamy więc na moment, w którym coś odwróci ich uwagę. Moi pelagicy powiadają, że taka szansa może się wkrótce nadarzyć. – Najwyraźniej była to nowina dla nich wszystkich, ale on tylko pokręcił głową. –

Nie powiem teraz nic więcej. Nie wiem, jak byście to przyjęli, ale na razie czekamy. Będziemy też obserwować zamachowców Claeona. I chyba najlepiej by było, gdyby nie wzbudzili nieufności strażników Mandira. Nie chcemy, żeby wzmógł czujność.

– Zostawcie to mnie – oznajmiła Wys. – Naślę na nich Fela i Phylles. Jak coś się zacznie, to skończą w rosole.

– Cóż za pokrzepiająca myśl – stwierdził Diamedes.

Rosół był specjalnością Rewirów i przyrządzało się go z gorzkiej wody tryskającej z ujść, na których zbudowano to miejsce. Ale najwyraźniej nie był on przysmakiem mózgowców.

– Nasz czas nadchodzi – oznajmił Nemoctes. – Moi ludzie przekażą wam wiadomość, jeśli coś zacznie się dziać.

Na razie Haelyn, wracaj do swoich, a ty, Wys, idź za nią. Aha, lądowy, wracaj do swoich opiekunów, zanim znów cię zamkną.

Kiedy Laszlo wrócił, Stenwold pochylał się z markotną miną nad jakimś planem, a Tseitus rozbierał na stole jakiś mechanizm, przestawiając jego trzpienie niczym pionki na szachownicy. Obaj podnieśli wzrok, gdy strażę przyprowadziły muszka. Było już jasne, że między nimi nie ma cienia sympatii. Wbrew logice Tseitus wciąż miał do żukowca żal o to, że zostawiono go pod wodą, i z pogardą wyrażał się o – nieco zaniedbanych – umiejętnościach technicznych Stenwolda. Ale też Tseitus nigdy nie słyszał o pukołuku, który odkryto po jego uwięzieniu pod falami.

I chociaż mieli wspólny cel – ucieczkę – wydawało się, że jeśli muchopodobny jej nie zorganizuje, to nie zorganizuje jej żaden z nich. Czekali, aż szczypcowcy wyjdą, dając Laszlo czas na zdjęcie peleryny i podrapanie się po odrastającej szczecinie, choć obydwaj jak najszybciej chcieli poznać wieści, jakie przynosił.

– Mam nadzieję, że doceniacie, co dla was robię –

oznajmił na wstępie. – Swędzi jak jasna cholera.

– Drobne wyrzeczenie – warknął Tseitus. – Jaki mają plan?

Laszlo posłał mu pogardliwe spojrzenie i zwrócił się do Stenwolda:

– Cóż, odbyliśmy rozmowę i, mówiąc szczerze, misz-Maker, nie potrafiliby sami znaleźć własnego tyłka, nawet gdyby wisiał na nim krab. Heiracles i ta jego banda – ja bym nie powierzył im nawet złamanej szpili. Nemoctes zaś ma jakiegoś asa w rękawie, ale chyba nam się nie spodoba, co już samo w sobie mi się nie podoba. I choć jest uczciwy, to jego ludzie nie mają tu żadnych wpływów, więc czeka, aż coś się stanie. Prawdopodobnie liczy na to, że ludzie Mandira będą na tyle długo wyglądać przez okno, że sobie po prostu stąd spokojnie wyjdziemy. Widziałem działanie straży od środka i nie jest ona zbyt sprawna, ale przecież nie aż tak niemrawa, żeby nam się to udało. Tak więc Wys i ja przygotowaliśmy własny plan i chromolić ich wszystkich.

– Plan – powtórzył Stenwold. – Jaki plan?

– Chodzi o gastropodowców. Zna pan ich?

– Chłopi – rzucił z pogardą Tseitus.

Stenwold zmarszczył czoło. Widział ich: wielcy, niezgrabni mężczyźni i kobiety o ciężkich stopach i szarej skórze, wykonujący poślednie i ciężkie prace, jakimi najwyraźniej szczypcowcy gardzili. Marni byliby z nich sprzymierzeńcy.

– Mrówiec ma częściowo rację – stwierdził Laszlo. – To chłopci, rolnicy, całe mnóstwo, pasterze i zbieracze. Też z Hermatyre. Mnóstwo ich mieszka na tych małych farmach i gospodarstwach rozsianych w pobliżu kolonii. Ale Claeon zrobił sobie z torturowania ich regularną rozrywkę. To tylko chłopci, jak powiedział nasz ekspert, i z całą pewnością Claeon też tak myśli. Wielu z nich opuściło swoje gospodarstwa albo po prostu uciekło – uciekło tutaj. I nie lubią Claeona jak płaszczki, ale są za to lojalni wobec Hermatyre. Chcą znów zobaczyć, jak kolonię zaczyna rządzić prawdziwy władca.

– I... ? – Stenwold patrzył na niego z ukosa, widząc, że Laszlo wije się i skręca.

Zaraz to powie.

– Tak sobie rozmawialiśmy z Wys, że jak się wydostaniemy, to wyruszymy, żeby znaleźć tego Aradoklesa.

– O którym wszyscy myślą, że nie żyje – dodał

Stenwold. – Który, mówiąc szczerze, może naprawdę nie żyć.

– Ale wyruszymy na poszukiwania, dobrze? No bo taki był przecież pana plan, prawda? – naciskał Laszlo.

– To była moja wymówka, żeby wysadzili nas na brzeg –

wyjawił Stenwold. – Ale żeby naprawdę go szukać...

– No dobrze, i tak im powiedziałem, podobnie jak Wys

– oznajmił Laszlo nieco niepewnie. – Oni są... lojalni, rozumie pan. Nienawidzą Claeona, bo to potworek o pokręconym rozumku, ale chcą chłopaka z powrotem i już nie wierzą, że nie żyje.

– A co to nas obchodzi? – zapytał Tseitus ostro. –

Zebrałeś watahę? Czy to znaczy, że będą walczyć? Ze obalą Mandira? Nie.

– Nie – zgodził się Laszlo – ale dysponują różnorodną sztuką. Widziałem tych gastropodowców przy pracy. Robią coś z rękami i mogą rzeźbić w kamieniu czy metalu albo w czymkolwiek i ugniatać to jak glinę. Wszystkie elementy, z których zbudowano Rewiry, przygotowali gastropodowcy. I to oznacza, że kiedy Wys szepnie im co trzeba, kiedy nadejdzie to, czego spodziewa się Nemoctes, nie będziemy czekać na ekipę ratunkową. Wychodzimy, wracamy, a oni niech się wypchają. Wtedy Wys nas wyprowadzi i już nie będziemy niczymi więźniami.

– A tych jej ufasz, prawda? – stwierdził Stenwold. –

Tylko że nasze kontakty z tymi morskimi są żadne, delikatnie mówiąc.

– Och, ona jest moim ulubionym typem morskiej –

zapewnił go Laszlo.

Tseitus parsknął i ostentacyjnie wrócił do swoich trzpieni. Stenwold westchnął i zatopił głowę w dłoniach.

– Niech się pan trzyma, misz-Maker – dodał Laszlo. –

Wychodziłem już z gorszych opałów.

Na to żukowiec podniósł głowę.

– Naprawdę?

– No nie do końca, ale zawsze poprawiam swój wynik. I teraz tak będzie.

– Miejmy nadzieję. Nie mogę w nieskończoność przeciągać sprawy z Mandirem. On też ma zdolności techniczne. To, co mu dam, musi pasować do jego wyobrażeń albo kłapa.

– Wygląda na to, że spędza to panu sen z powiek, misz-Maker.

Stenwold uśmiechnął się gorzko.

– Mimo to miewam sny. I męczą mnie bardziej niż jawa.

– pokręcił głową. – Myślę, że to ona mi coś zrobiła – dodał

niemal szeptem.

Kiedy jednak Laszlo zmarszczył czoło, machnął tylko lekceważąco ręką.

TRZYDZIEŚCI

Claeon wpadł do środka, z dwoma strażnikami za plecami. Na pierwszy rzut oka trudno było stwierdzić, czy zirykowało go coś konkretnego, czy też po prostu miał jak zwykle napad złego nastroju. Teornis leżał, obserwując go bacznie, bo nagłe zerwanie się na nogi mogło świadczyć o jego winie. Nie miał jednak powodów, by się do niej poczuwać, ani też nie widział dla siebie żadnej korzyści z udawania jej. Przywołał na usta pytający uśmiech.

Claeon machnął brodą w kierunku pająkowca i para wężowatych mózgowców z zakrzywionymi nożami podeszła do niego. Poderwali go na nogi, wykręcając mu boleśnie ręce do tyłu, ale zachował spokój, ufając własnej ocenie tyrana.

Dostatecznie długo przebywał już z Claeonem, żeby odczytać jego zmienny jak morską pogodę nastrój. To nie był jego koniec – admirał jedynie pokazywał swoje dziecięce humory. Gdyby miała go spotkać śmierć, powtarzał sobie w myślach, wyczytałby ją w spojrzeniu Claeona.

– Możesz znaleźć tego smarkacza, Aradoklesa, jak mówiłeś?! – wykrzyczał mu w twarz admirał, zaciskając i rozkurczając dłonie.

W istocie minęło wiele dni, od kiedy po raz ostatni wymienili imię zaginionego dziedzica, ale Teornis zastawił

sidła w umyśle Claeona i w końcu ujrział efekt swych działań.

– Jeśli wciąż żyje i jeśli suchy ląd go nie wykończył, mogę z dumą powiedzieć, że znajdę go dla ciebie – odparł

Teornis.

Udało mu się już opracować specjalny ton, który przybierał podczas rozmów z Claeonem – była to mieszanina szacunku i pewności siebie, bez cienia mogącej go rozjuszyć bezczelności, ale i bez służalczości, z jaką zwracali się do niego wszyscy morscy. Do tej pory metoda ta zdawała egzamin.

– Powiedzie ci się tam, gdzie ludzie Pellectesa zawiedli

– i to po wielu księżycach poszukiwań. – Claeon pchnął

Teornisa w pierś tak mocno, że ten poczuł to w wykręconych ramionach.

– Ale jeśli chodzi o Pellectesa, to, jak mniemam, odgadłeś to, co ja – odparł gładko Teornis, mając nadzieję, że nie ma w pobliżu żadnych litoralistów.

Claeon zmrużył oczy, a pająkowiec poczuł, jak drgnęło mu ramię. Miał zamiar kogoś uderzyć i

choć Teornis wydawał się aż nadto oczywistym celem, była to jedna z rzadkich sytuacji, kiedy edmir się opanował.

– A co odgadłeś, lądowy?

– Przede wszystkim Pellectes jest szalony – zaczął

Teornis, myśląc w skrytości ducha, że zasadniczo nie spotkał

jeszcze do tej pory żadnego morskiego przy zdrowych zmysłach. – Mówmy szczerze, edmirze, przecież nie wierzysz w tę całą historię o prześladowaniach morskich przed wiekami przez lądowych, a nawet jeśli, to niewiele sobie z niej robisz. No bo niby dlaczego miałbyś? Ląd to okrutna kochanka. Wszczynać wojnę i przelewać krew tylko po to, żeby borykać się z życiem na górze? Ale dla Pellectesa jest to jedyny cel – cel przeczący wszelkiej logice. Cała jego władza nad wyznawcami bierze się z wielkiego planu zemsty i on w to wierzy naprawdę. Myślałem z początku, że wykorzystuje kłamstwo do własnych celów, ale teraz już wiem, że jest szalony i wierzy w każde swoje słowo.

– Mimo to ulokował swoich agentów na lądzie, czego się nawet nie spodziewaliście.

– Nie twierdzę, że jest nieefektywny, jedynie pomyłony jak pąkla. – Przez chwilę zastanawiał się, czy istnieje pod wodą rasa małzopodobnych. – On nie słucha cię dlatego, że jesteś prawowitym edmirem Hermatyre – cudzoziemskie słowo przeszło mu przez usta całkiem gładko – ale z tego powodu, że możesz mu zapewnić to, czego pragnie: ląd. Ty zaś ze swojej strony, panie, masz gdzieś mrzonki litoralistów, a ląd jest dobrym placem zabaw dla twoich sojuszników oraz dla twojej kobiety. Jak jej tam było? Bo to ona wysłała tam chłopaka. Być może na pewną śmierć, ale trupa wciąż nie odnaleziono, więc kto to może wiedzieć? – Claeon zaczął

zdradzać oznaki niecierpliwości, więc Teornis skrócił wątek:

– Dlaczego Pellectes nakazał swoim agentom schwytać chłopaka? Czy w ogóle powiedziałby ci o tym, gdyby jakimś cudem udało im się go odnaleźć? Martwi się, że jeśli Aradokles gryzie ziemię – albo śpi z rybami, jak pewnie wy mówicie – nie będziesz dłużej go potrzebował ani też wspierał jego dążeń. Założę się więc, że jego agenci nie szukali zbyt dokładnie. Przygotowują się przecież do swojej chwalebnej inwazji.

Nastąpiła chwila, w której wszystko stanęło na ostrzu noża, w której Claeon wahał się między wyładowaniem swej złości na Teornisie a skierowaniem jej – bezpiecznie dla niego – na litoralistów. Pajęczce oczy widziały, jak wszystkie elementy układanki znajdują swoje miejsce i szala przechyliła się na jego korzyść, oddalając zagrożenie. Claeon szorstkim ruchem podbródka nakazał strażnikom uwolnić Teornisa.

– Dlaczego mam ci ufać? – zawarczał.

– Przynajmniej w jednym ludzie Pellectesa oddali ci przysługę: potwierdzając moją tożsamość. Ci tam na górze są również moimi wrogami. Poza tym wyślesz mnie tam pod strażą. Udowodnię moje

czyste intencje wobec ciebie, admirze, ustalając, jaki los spotkał twojego bratanka. Jeśli zechcesz, sprawię, że pozostanie na górze po kres czasów. A potem pomówimy o kampanii Rosandera, podczas której z moją pomocą zagarnie tak dużą część ładu, że nawet Pellektes będzie usatysfakcjonowany. Wszyscy będą zadowoleni oprócz twoich wrogów. I czyż nie o to właśnie chodzi?

Spodziewał się, że Claeon wyjdzie z sali, by to sobie przemyśleć, jak już wiele razy się zdarzyło, ale najwyraźniej sprawy przybrały nieoczekiwany obrót – i Teornis zgadywał, że Stenwold wciąż przebywa na wolności, poza zasięgiem Hermatyre.

– Czego będziesz potrzebował? – warknął Claeon.

– Imienia agentki Pellektesa i informacji o tym, jak nawiązać z nią kontakt. A także eskorty. Twoi mózgowcy –

krakenowcy – przypominają mój lud, żeby więc nie wzbudzać powszechnego zainteresowania, sugerowałbym właśnie ich.

Radziłbym zabrać też odpowiednie ubranie: peleryny i tak dalej. Ale żadnych szczypcowców. Między nami mówiąc, dla każdego lądowego wyglądają dziwacznie.

Claeon parsknął śmiechem.

– Dla mnie przeważnie też. Nie, ich z tego wyłączymy.

Mam nawet przecucie, że wolą być z Rosanderem. Nie zaufam więc żadnemu z nich.

Patrząc w małe oczy admira, rzucające na wszystkie strony ciężkie spojrzenia, Teornis wiedział, jak czują się szczypcowcy. Na ładzie mówiono: „Nigdy nie ufaj pajakowi”, ale ludzie o tym zapominali, bo jego rasa była bardzo dobra w zdobywaniu zaufania i sama doceniała jego wartość. *Aristos* długo wybierał sługi i niewolników i traktował ich w sposób wzbudzający u nich szacunek, a nawet uwielbienie. Claeon wydawałby mu się śmieszny, gdyby od jego zachłannych, kochających bicz łapek nie zależało jego życie.

– Nie mogę już dłużej czekać – wyszeptał admira i Teornis zastanowił się, czy on w ogóle ma świadomość, że mówi na głos. – I en przekłety bachor nawiedza mnie w snach. Nawet mała szansa, i, najdrobniejsza szansa, że żyje... i wróci... – Oczy, które już przygasły nieco, teraz nagle zabłysły na nowo jeszcze większym żarem. – A jeśli wszyscy się dowiedzą, że zginął na ładzie, gdzie posłała go ta zdrajczyni Paladrya, że został rozerwany na strzępy albo pożarty przez lądowych – cóż, wtedy być może Rosander będzie miał

mnóstwo ochotników do wzięcia udziału w tej jego głupiej wojnie. Zanim skończymy, całe morze odda się mi pod władanie! – Uśmiechnął się radośnie i Teornis również wyszczerzył zęby, bo admira najwyraźniej oczekiwał w tym jego pomocy.

I wtedy padły doniosłe słowa:

– Wyruszysz z przepływem nad Krawędź i dalej na ład –

zapowiedział Claeon. – Dziś w nocy.

Teornis nie miał pojęcia, w jaki sposób odbędzie się przywrócenie go cywilizowanemu społeczeństwu. Wyobrażał

więc sobie, jak wpływa do portu Kolegium na grzbiecie gigantycznej kałamarnicy i tak dalej, niczym alegoryczna postać z pajęczych oper. Ale posłaniec, który po niego przybył, nie należał do ekipy Claeona, lecz do skarłowaciałych szczypcowców. Teornis zasadniczo ich nie zauważał, gdyż ludzie admira traktowali ich jak utrapienie, i przypisał im status poślednich sług, które należy trzymać poza pałacem. Miał jednak doskonały słuch i kiedy zwróciła się do niego, przypomniał ją sobie.

– Szefie lądowych – oznajmiła – łajba oczekuje.

Była pilotem maszyny, która nas tu ściągnęła, przypomniał sobie. Jest jedną z ludzi Rosandera. Czyżby znów mnie porywali?

Widząc jego niepewną minę, zaszydziła z niego:

– Robimy próby w mętnej wodzie na płycznach.

Podobno czeka już na nas hałastra Claeona i pan też ma z nami płynąć.

– I Claeon nie przyszedł, żeby powiedzieć mi o tym osobiście? – zapytał Teornis ostrożnie.

Skrzywiła sarkastycznie usta.

– Chce pan go szturchnąć, żeby usłyszeć, co powie, czy chce pan stąd zniknąć, szefie lądowych?

Trudno było ją rozszyfrować, bo dzieliły ich klasa, rasa i kultura, dlatego decyzja nie była łatwa, ale w końcu powiedział:

– W takim razie prowadź, Chenni.

Wyglądała na zaskoczoną, że zapamiętał jej imię, ale machnęła tylko ręką, by poszedł za nią.

Za drzwiami nie było eskorty zwalistych szczypcowców, choć wcześniej nie mieli skrupułów przed wpraszaniem się do komnat Claeona, a dla Teornisa brak wariantów był

niezwykle frustrujący. Gdyby sprawy przybrały niekorzystny obrót, miał niewiele możliwości decyzji. Nie mógł nawet uciekać. Bo niby dokąd? Zabójcze morze było najlepszym strażnikiem, a on był więźniem wyłącznie z powodu swego lądowego pochodzenia.

– Rozumiem, że cieszysz się dużymi względami nauarcha Rosandera – zaczął rozmowę, ponieważ istniała nieznaczna szansa na wykorzystanie tej sytuacji.

Roztoczył przed nią cały swój urok, zmieniając jej sposób postrzegania, dzięki czemu stała się bardziej przyjazna. Było to dla niego tak naturalne jak oddychanie, więc nawet nie zdawał sobie

sprawy, że używa sztuki.

– Daję mu to, czego chce – rzuciła przez ramię i po chwili, stwierdziwszy, że mogła być źle zrozumiana, uściśliła:

– Robię różne rzeczy, buduję. Jestem jego głównym mechanikiem.

Słowo to oczywiście nic Teornisowi nie mówiło oprócz tego, że pachniało rzemiosłem. Była to kolejna dzieląca ich bariera, tym razem pojętności. *Ciekawym, czy Claeon ma pojęcie, co się tu kroi między tymi paskudami? Bez wątplenia ciemcy też niczego nie wiedzieli swego czasu. Ze wszystkich starych władców jedynie rasa Teornisa zachowała w pełni władzę nad pojętnymi, i to tylko dlatego, że posiadała duże zrozumienie natury ludzkiej, nicpodlegającej ani prawom magii, ani mechaniki.*

– Będziemy płynąć do brzegu w jednym z twoich urządzeń?

– Trochę płynąć, trochę pełzać. Muszę coś przetestować

– wyznała z większym entuzjazmem. – Moi ludzie poświęcili chyba cały księżyc na poprzestawianie obciążeń mechanizmu tak, by działał poza wodą, ale wygląda na to, że nam się udało. Wszystko się pięknie zazębia i nie pęka.

– Brzmi dobrze – uznał Teornis, puszczając mimo uszu jej wyjaśnienia. Jeśli chodzi o niego, miał ludzi od rozumienia zasad mechaniki.

Wcześniej, niż myślał, wyszli z pałacu i naprawdę czekała na nich grupa mózgowców – sześciu mężczyzn i dwie kobiety – obładowanych złotem, z tatuażami, włosami opadającymi na ramiona w luźnych lokach i – w wypadku mężczyzn – elegancko zawiniętymi brodami. *Jeśli ktoś mógłby się bardziej od nich wyróżniać w Kolegium, to chyba tylko cała imperialna armia*, stwierdził Teornis, ale wiedział, że szybko sobie z tym poradzi. Poza tym nie musiał

zbyt na nich polegać. Bardziej martwiło go co innego – ich podobieństwo do niego, bo wyglądali jak oddział

uderzeniowy pajęczych sił po wyjściu z balu maskowego.

Pomyślę o tym, kiedy znów znajdę się na lądzie, zobaczę błogosławione niebo, a wiatr owieje moją twarz.

Na wprost dostrzegł kolejnych szczypcowców – grupę Chenni, która zbliżała się do miejsca służącego za dok.

Teornis spodziewał się zobaczyć poprzednią smukłą łódź

podwodną podskakującą w wodzie, ale nowa machina przypominała kraba.

I zrozumiał, że musi to być jakiś opancerzony pojazd mechaniczny. Jego korpus składał się z

olbrzymiej zaokrąglonej tarczy i końcówek wielu odnóży widocznych na jej brzegu. Za tarczą znajdowała się jakaś maszyna zakończona utrzymującym się na powierzchni wody sztywnym ogonem. Teornis nie był w tej dziedzinie znawcą, ale szybko się zorientował, że pojazd był tak opancerzony jak sami szczypcowcy, a tarcza wyglądała tak solidnie, że z pewnością mogła powstrzymać ostrzał z działka.

– Pańska barka, szefie lądowych – oznajmiła Chenni z dumą. – Będziemy musieli ją holować w górę i przez Krawędź, a potem po prostu gładko wyjdzie na brzeg.

– Nie możecie tego czegoś wprowadzić do portu w Kolegium – powiedział Teornis.

– Och, nie ma strachu. Jest taka mała zatoczka, w której spotkamy się ze szpiegiem Claeona, z litoralistką. – Ostatnie słowo wymówiła z ledwo skrywaną pogardą. – No dobrze, niech się pan ładuje. Nie ma tu za wiele miejsca, ale jestem pewna, że przecierpi pan lekkie niewygody, żeby dostać się tam, dokąd zmierzamy.

– Och, nie będzie problemu – zadeklarował Teornis.

To, że morsecy osiągnęli prawdziwy stan pojętności, udowodniły mu nudności i niewygody, jakich doświadczył w podróży. Pierwszy i najkrótszy etap poszedł gładko, lecz był

dość nużący, gdyż pojazd musiała podnosić z głębin jedna z bestii mózgowców czy też jakieś inne stworzenie o wielkiej sile, którego Teornis jednakowoż nie widział. Kiedy stwierdził, że to chyba wada projektowa maszyny, mała szczypcowata, która leżała na brzuchu obok niego, podpierając się łokciami w zatłoczonej kabinie, wyjaśniła, że statek sam może dotrzeć do szczytu Krawędzi, ale trwa to o wiele dłużej. Później zaczęła raczyć pająkowca objaśnieniami różnych skomplikowanych szczegółów konstrukcyjnych pojazdu i choć Teornis cały czas kiwał głową, niewiele z tego rozumiał. *Najwyraźniej wierzą, że wszyscy lądowi są pojętnymi*, uznał po ponadgodzinnym wykładzie. W końcu postanowił sprowokować ją pytaniem do dyskusji na temat, który bardziej go interesował.

– Och, bardzo często jeździmy do Rewirów – odrzekła.

– Słyszałam jakieś plotki o lądowych na długo, zanim się tu pojawiliście.

Intrygujące, choć zupełnie nieprzydatne – stwierdził

Teornis. Zapamiętał jednak tę informację na potrzeby późniejszych rozmów.

Droga powrotna na ląd była wolniejsza niż wejście w morski świat. Podobna do noża łódź podwodna, która zaniósł ich z dala od światła, była rączym stateczkiem. Teraz zaś od dobrych dwóch dni płynęli z największą szybkością do szelfu – czy też Krawędzi, jak mówili morsecy – a potem musieli jeszcze mozolnie przepełznąć po dnie morskim ze ściśniętym żołądkiem tam, gdzie fale przyboju stanowiły granicę między dwoma światami. Teornis spożywał posiłki wraz z załogą, słuchał jej paplaniny, obserwował ciągłe prace przy pojeździe, który szarpał i podskakiwał na nierównej powierzchni. I stwierdził, że była w wyśmienitym nastroju, bo najwyraźniej konstrukcja spełniała pokładane w niej nadzieje.

– Coś taki blady, lądowy. Nie rzygamy na statku –

ostrzegła go Chenni.

– To nic. – Nie chciał się przyznać do swojej niepojętności.

– To wszystko przez to wyrównywanie, ot co –

powiedziała, zaskakując go. Widząc jego pytające spojrzenie, rozwinęła temat: – Kiedy płynęliśmy w górę, ludzie Claeona użyli na tobie swojej sztuki. Jest równie stara jak oddychanie.

Bo, rozumiesz, kiedy schodzisz z płycizny w głębiny, potrzebujesz wyrównania, inaczej umrzesz. I to do tego paskudną śmiercią. Teraz znów się wznosimy i cały proces trzeba powtórzyć w drugą stronę. Ale za pierwszym razem człowiek czuje się nieco skołowany. Sama czuję lekkie mdłości, bo po raz pierwszy wypływamy w ten sposób.

– Dużo macie takich urządzeń? – zapytał Teornis, który cały czas sądził, że to prototyp.

– Och, już z tuzin. A reszta się robi. Przedłużony pobyt w Hermatyre był dobry pod tym względem. Bo konstruowanie czegoś podczas podróży jest zawsze kłopotliwe. Oczywiście kiedy już nastąpi inwazja, będziemy mieli z sobą nasze bestie, które zniszczą wszystko, co tam zbudowaliście, a resztę zabiorą.

Teornis przypomniał jej, że to nie jest jego kraina, ale ona tylko wzruszyła ramionami.

– Szczerze mówiąc, dla mnie to bez różnicy –

powiedziała. – Ja tylko wiem, że Rosander aż rwie się do działania. Zbyt długo siedział w kolonii i wraz ze swoimi ludźmi powoli dostaje od tego szału. No ale teraz będziemy mieli w końcu wojnę, którą wymyślił Claeon i jego litki.

Przynajmniej jakaś odmiana. Napad na lądowych to z pewnością większa frajda niż zaatakowanie taboru. I też, jak sądzę, będzie szło łatwiej.

Nie ciekawi was zupełnie, dlaczego Claeon z taką radością zostawia to wam? – pomyślał Teornis. Wyobraził

sobie ośmiornicę, która ostrożnie bada wszystko mackami, i kraba, który śmiga bokiem z groźnie uniesionymi szczypcami. *Dużo czasu minęło, zanim staliśmy się tym, kim jesteśmy. Osiągnęliśmy idealną postać. Mam szczęście, że pająkowcy są zarówno cierpliwi, jak i przebiegli. Jeszcze wszyscy oni wpadną w moją sieć żukowcy, i potwory morskie.*

Po cięższym ruchu pojazdu Teornis zorientował się, że zbliżają się do lądu. Nagle usłyszał odgłos fal bijących o metalowy dziób i zmieniony rytm przekładni. Pół tuzina szczypcowców zamarło w napięciu, czekając, aż coś pęknie, ale maszyna wciąż parła naprzód, choć wolniej. Nie zatrzymując się, podciągnęła się chwiejnie i stanęła na plaży.

Chenni krzyknęła z triumfem i przez chwilę odziani jedynie do połowy morscy ściskali się i gratulowali sobie głośno nawzajem.

– Jesteśmy na brzegu? – zapytał Teornis, kiedy w końcu udało mu się zwrócić na siebie uwagę.

– Ależ naturalnie, szefie lądowych – odpowiedziała Chenni. – Najwyższy czas, by opuścić statek.

Oczywiście sami musieli otworzyć mu włącz i zaraz potem nastąpił pozbawiony godności marsz na czworakach w stronę rufy i dalej, po mokrym, śliskim od wodorostów piasku, zanim stanął na lądzie. Nawet się nie skrzywił. Stanął

i przeciągnął się pod zasnutym chmurami nocnym niebem, mając pod stopami twardą ziemię, a nad sobą otwartą przestrzeń. *Czy ktoś mógłby sobie pomyśleć, że będzie to kiedyś stanowiło kres moich ambicji?*

Jego sojusznicy, ludzie Claeona, przykucnęli w płyciźnie, czekając na niego, jakby chwyтали się desperacko ostatniego symbolu swego świata. Bez względu na to, co im obiecano za złamanie tak wielkiego tabu, teraz nie byli już tak pewni swego. Ale nie mieli zamiaru wracać do Claeona, którego porywczosć nawet tutaj stanowiła większe zagrożenie niż nieprzyjazne warunki panujące wokół i którego gniew był

zdecydowanie bardziej nieuchronny niż śmierć tutaj.

Teornis zbliżył się do nich z uśmiechem.

– Który z was tutaj dowodzi? – zapytał.

Dopiero po dłuższym czasie wystąpił jeden z mężczyzn.

– Ja jestem najstarszy stopniem – oświadczył

mózgowiec, już drżąc z chłodu, odziany jedynie w przepaskę biodrową i ozdoby. – Jestem Geontes.

Miał mniej więcej tyle lat co Teornis, ale był szerszy w pasie (najwyraźniej jego obwód powiększał się u tego gatunku z wiekiem). Z brody żałośnie kapłała mu woda.

– No to, Geontesie, zaraz zrobimy z ciebie lądowego. Z

was wszystkich – oznajmił Teornis z uprzejmym uśmiechem.

– Nie możesz przecież wejść do Kolegium w takim stroju, jak najbogatszy żebrak na Nizinach. Zakładając, że nie zamarzniesz na kość, zanim tam trafisz.

– Jest twój szpieg – zauważyła zgryźliwie Chenni, wskazując na coś na plaży, przy ścianie klifu.

Wzrok Teornisa wyłowił dwie postacie ostrożnie schodzące ku nim wąską ścieżką: żukowca i pajęczycę... Nie, kobietę mózgowców, chociaż łatwo ją było pomylić z pajęczycą. To była agentka

Pellectesa, kornik toczący drewno Kolegium. A mężczyzna... Teornis bezwiednie się uśmiechnął, kiedy rozpoznał jego twarz. *Och, to niezwykle interesujące. Ilu właściwie panów ma ten czbwiek?*

Podszedł do nich, stąpając jak *aristos* w każdym calu i nie dając po sobie poznać, że przez wiele dni i nocy trzymano go w niewoli, z dala od światła i powietrza.

– Proszę, proszę, mistrz Broiler we własnej osobie. Jak wspaniale.

Helmess Broiler najwyraźniej był odmiennego zdania.

Poczuł właśnie, że sprawy wymykały mu się z rąk. Teornis skłonił się nisko przed kobietą.

– Pani, mam nadzieję, że słyszała pani o mnie?

– Coś słyszałam – potwierdziła, przyglądając mu się spod zmrużonych powiek.

Stwierdził, że jest niczego sobie, chociaż przy bliższych oględzinach nie mogła się równać z pajęczycą czystej krwi.

– Jestem Teornis z Aldanraelich, były lord wojny Wielkiej Armii Ziem Pająkowców i nieprzejednany wróg Kolegium. A pani, jak sądzę, jest jedną z ludzi Pellectesa, litoralistką.

Pospiesznie zatuszowane zaskoczenie na obliczu Helmessa sprawiło mu niewysłowioną radość. *Czyli już wiem więcej niż ty, stary żukowcu. A więc strzeż się.*

– Elytria – przedstawiła się kobieta. – Mówiono mi, że przydasz się sprawie. Czy tak?

– W jakimż innym celu miałbym się tu zjawiać? –

zapewnił ją Teornis. – Przyprowadziłem też z sobą kilkoro pomagierów na wasze potrzeby, ale trzeba będzie ich przebrać. Niedobrze by było, gdyby wkroczyli tak do Kolegium ani jako morscy, ani jako pająkowcy.

– Mamy ubrania, peleryny – powiedziała, nadal zachowując rezerwę. – Czeka też powóz, ale wszyscy się nie zmieszczą.

– W takim razie będą musieli jak prawdziwi służący biec za nim – postanowił Teornis. – Powiemy im, że to taki zwyczaj lądowych. Trochę ruchu dobrze im zrobi, bo śmiem twierdzić, że Claeon nie ćwiczy ich jak należy.

Przypatrywał się jej wnikliwie i zauważył na jej twarzy nieznaczną reakcję na te żarty. *Och, Claeonie, nawet twoi sojusznicy niewielkim darzą cię szacunkiem.*

– Możemy już ruszać? – zapytał, a ona skinęła lakonicznie głową.

Za nim szczypcowcy wciąż cmokali z zachwytem nad testowaną maszyną, a zaledwie kilka metrów dalej w górę klifu i o kilka chwil jazdy stąd powozem czekały na niego cywilizowane, lądowe

wygody Kolegium. Po tym, co przeszedł, przyjmie z wdzięcznością nawet zuchą gościnność.

Znudziło mu się już tańczenie do cudzej melodii. Nadszedł

czas na skomponowanie własnej.

Straż Kolegium znała Helmessa Broilera, to było oczywiste, i najwyraźniej była przyzwyczajona do jego nocnych eskapad. Teornis zastanawiał się, czy ten człowiek, by je usprawiedliwić, rozgłaszał, że ma nietypowe hobby, jak obserwacja gwiazd bądź zbieranie ciem, czy też po prostu korzystał z przywileju bycia członkiem Zgromadzenia, by ukreślić łeb plotkom. Zważywszy na to, co o nim wiedział, Teornis skłonny był wybrać to pierwsze. Podejrzywał też, że do tej konkretnej zmiany warty wybrał konkretnego oficera, który oko miał przymknięte, a dłoń wyciągniętą. Był

fachowym agentem, który od jakiegoś czasu miał też swoją wielką tajemnicę. *Kiedy to ja słyszałem, że Broiler sprawił*

sobie pajęczą kochankę? Wtedy nie wydawało się to istotne i, szczerze mówiąc, nawet trochę modne, od kiedy Stenwold związał się z Arianną. Przez jego skłonności bezdomna młódź

i wygnańcy z całych Ziemi Pająkowców kończyli jako kochanki i osoby do towarzystwa żukowców obu płci. Teornis nie miał powodu umieszczać szpiega w salonie Helmessa, bo zawsze uważał go za człowieka Imperium, a Aldanraeli już mieli swego człowieka w imperialnej ambasadzie. Po co więc marnować siły i środki na starego żukowca? *Iluż jednak ciekawych rzeczy moglibyśmy się dowiedzieć! No, ale nie ma czego żałować. Nad przeszłością czas płakać, gdy wytracę wrogów swoich, jak mawiał poeta.*

Teornis dopilnował, żeby Broiler wyszedł rozprostować nogi, kiedy powóz zatrzyma się przed bramami miasta.

Ludzie Clae ona, wyglądający na niechlujnych wieśniaków o trudnej do określenia rasie, stłoczyli się za pojazdem, najwyraźniej przerażeni widokiem Kolegium nawet w nocy Teornis położył uspokajająco dłoń na ramieniu Geontesa.

Zaoszczędzę wam niepotrzebnych niepokojów, przyrzekł

sobie w myślach. Uśmiechnął się do gwiazd z czystej przyjemności odświeżenia znajomości z nimi i dlatego że zaraz po wjeździe do miasta niektórzy będą się pilnie przypatrywać jego twarzy. *Z całą pewnością morskcy nawet o tym nie pomyślą, a żukowcy zbyt ciężko stąpają po ziemi, by spojrzeć w niebo.* I nagle jego bystre oczy wychwyciły furkoczące skrzydła w górze i emocje, które do tej pory trzymał na wodzy, zaczęły w nim wzbierać. *Wróciłem do tańca.*

Rozlokowali się w miejskim domu Broilera, ale żukowiec wyglądał na przestraszonego – i nie bez przyczyny Spodziewał się ludzi Claeona i bez wątpienia czuł, że poradzi sobie z zaskoczonymi, zagubionymi na lądzie mózgowcami, ale Teornis był tutaj zdecydowanie czarnym Piotrusiem, elementem, którego nie było w jego planach. I zasady gry się zmieniły. Choć pająkowiec robił, co mógł, by udawać potulność, to podczas podróży zachowywał się jak człowiek Claeona, który wyłonił

się z głębin wyłącznie po to, by wykonać powierzone mu zadanie.

– Och, nie jest pan sobie w stanie wyobrazić – szeptał

do Helmessa Broilera – jaka tam panuje ciemność, jakie ma się poczucie masy wody nad sobą. To nie jest miejsce dla nas, lądowych, wcale nie.

Żukowiec jednak nie był przekonany.

Geontes wraz ze swoimi towarzyszami zajął salon, a liche płaszcze zarzucone na biżuterię z Hermatyre przydawały im wyglądu wędrownych złodziejasków. U

Helmessa prawie nie było służby, bo bez wątpienia odesłał

wszystkich dzisiaj, by uniknąć opowieści o niezwykłych przybyszach. Został tylko jeden przysadzisty mężczyzna o kulturalnym wyglądzie, który podawał trunki i w którym Teornis rozpoznał mieszańca, choć obdarzonego niezwykłą subtelnością. *Ma pajęczą krew, więc wart jest obserwacji.*

– To Sands – odparł Helmess, kiedy Teornis zapytał o niego. – Forman Sands, mój człowiek do specjalnych poruczeń. – Kiedy to powiedział, na jego ustach pojawił się stalowy uśmiech.

Teornis znał ten wyraz twarzy – był to greczny Żukowy komentarz na temat kogoś, kto za pomocą różnych środków usuwa przeszkody zarówno w interesach, jak i w życiu prywatnym swego pryncypała.

– Wydaje się zręczny – zauważył Teornis.

– Och, wystarcza z nawiązką – potwierdził Helmess z wyraźną groźbą w głosie.

Pająkowiec tylko się grzecznie uśmiechnął.

Kiedy mózgowcy otrzymali czarki z winem, które w większości wylądowało na podłodze, Teornis podszedł do okna i wychylił się przez nie, po czym zaczerpnął głęboko powietrza. Czując Helmessa za plecami, wyznał:

– Jeszcze nie przywykłem na powrót do nieba nad głową.

I była to prawda. Uśmiechnął się do gospodarza, podczas gdy jego dłonie kreśliły za parapetem świetliste nici.

– Powiedz mi, mistrzu Broilerze, czego się spodziewasz po tym wszystkim?

– Dlaczego mam odpowiadać? – obruszył się Helmess.

Tak, był podejrzliwy, ale skupił się na pytaniu, zupełnie nie zauważając zajętych dłoni Teornisa – dostrzegały je wyłącznie oczy, dla których ich gesty były przeznaczone. Nie tylko morscy posiadali język migowy.

– Obiecali panu gubernatorstwo? Cóż by takiego miał

robić Rosander z tym miastem, kiedy je już zdobędzie?

– Wątpię, żeby to sobie przemyślał – odparł Helmess wbrew sobie wciągnięty w rozmowę. – Dlatego też będzie zapewne potrzebował kogoś, kto będzie myślał za niego.

Podoba mi się bardzo ta Elytria i dlatego zostanę królem tego miasta, a ona – królewską małżonką. Przecież Rosander nie ma pojęcia o zarządzaniu, a po skutecznym najeździe z morza zapragnie czegoś bardziej trwałego. Ja będę tu jego ostoją lojalności.

Nie przychodzi mi do głowy bardziej mylne określenie ciebie.

– Jak pan wie, mój lud też zaatakuję wkrótce to miasto

– oznajmił Teornis, zastanawiając się, czy statki w ogóle opuściły rodzinny port. – Kiedy Zgromadzenie ugnie w końcu swój kark, pańska wizja może się okazać bardzo trafna.

Pozornie niepodległe Kolegium będzie dla nas źródłem większych korzyści i jestem pewien, że z radością pozwoli pan naszym statkom pływać po morzu dla was. W końcu tylko tego chcieliśmy, a wynikła z tego taka awantura, bo jednemu kupczykowi z drugim ubyło trochę monet.

Zatarł dłonie, gdyż wykonały już swoje zadanie, a pasma świetlistych nici odpłynęły niczym zjawy w noc.

Oparł się o ścianę i spojrzał na mózgowców, którzy z ponurymi minami słuchali tego, co miała im do powiedzenia Elytria na temat wielkich czynów, jakich dokonają litoraliści, kiedy odzyskają dawno utraconą ojczyznę. Helmess pił mało i zachowywał ostrożność. Jego człowiek do specjalnych poruczeń nie odstępował go zaś ani na chwilę. Niepodobna jednak było odczytać z jego twarzy, ile wiedział na temat spisku. *Ma spory potencjał, zauważył Teornis. A jak spory, to zobaczymy za chwilę.*

Jakieś pół godziny później jego ludzie wpadli przez wszystkie okna.

Byli to ważkowcy, którzy bez problemów przebywali w Kolegium, gdyż żukowcy uważali ich za wrogów osowców i tym samym przyjaciół miasta. A ponieważ mieli jednocześnie bardzo nikłe pojęcie o tym, jak tacy ważkowcy ze Wspólnoty powinni wyglądać, nie przerażały ich ani ich chitynowo-skórzane zbroje, ani szramy i tatuaże zdradzające prawdziwą historię najemników. W końcu wszyscy wiedzieli, że Wspólnota to dziwne i zacofane miejsce.

Spadli na mózgowców z zaciekłością i bez wahania.

Kilkoro morskich wyjęło co prawda noże, ale zaplątali się w obce im ubrania i ważkowcy zaszlachtowali ich bez litości.

Geontes zginął jako jeden z pierwszych. A później napastnicy napięli łuki, kierując je w stronę Sandsa, Helmessa i Elytrii.

Polecenia Teornisa były z konieczności krótkie: zabić wszystkich pająkowców z wyjątkiem mnie i *aristy*. I Foreman Sands zawdzięczał temu życie. Stał jednak chlubnie przed swoim mocodawcą, zasłaniając go przed wycelowaną w niego strzałą. Na szczęście ludzie Teornisa rozpoznali *aristę* w Elytrii, bo inaczej też by zginęła.

Po kilku chwilach było po sprawie, bez zbędnych ceregieli. Z trzech ważkowych księstw wojowniczy lud Solornu najdalej odszedł od swego dziedzictwa. Dawno już odwrócił się od pokoju i filozofii Wspólnoty, wiodąc na skalistym półwyspie żywot bandytów i najemników, podobnie jak ich kuzyni w Pryncypacie Exilla. Teornis zatrudnił jego przedstawicieli lata temu jako swoją gwardię przyboczną.

– Varante – przywitał ich przywódcę.

Wysoki mężczyzna z węzłami mięśni skłonił się przed nim krótko i odruchowo zaczął czyścić ostrze swego nadziaka szmatką uczynioną z ubrania jednego z zabitych. Służył

Aldanraelim od dwudziestu lat, posiwiiał i ogorzał na ich służbie. Ale na pewno się nie zestarzał.

– Lordzie wojny – zwrócił się do Teornisa. – Jestem zaszczycony, że mogę ci dalej służyć. Ciała do zatoki?

Pająkowiec uśmiechnął się do niego szeroko i szczerze.

Głębka jego uczuć zaskoczyła go samego – ucieszył się bardzo, widząc znajomą twarz starego sługi, który teraz znów przywrócił mu pełnię władzy.

– Nie, tylko nie do zatoki. Byłaby to stanowczo za szybko przesłana wiadomość. Porzućcie ich gdzieś na lądzie.

Im dalej od morza, tym lepiej. Niech staną się żerem dla mrówek i robaków, ale nie dla ryb – odwrócił się do Helmessa i Elytrii.

Wszyscy teraz się uśmiechnęli. – Możecie odczuwać niepokój, bo nie wiecie, do czego zmierzam – stwierdził, jakby nie było tu ośmiu ciał, które po odarciu z kosztowności ważkowcy wynosili przez okno jedno po drugim.

Gapili się na niego zbyt wstrząśnięci, by nawet drgnąć.

Jedynie Sands wydawał się zdolny do jakiejś reakcji, ale milczał, wiedząc, że właśnie awansował na najmniej potrzebną osobę w pomieszczeniu. *Ciekawe, czy chciałby zmienić pracodawcę?*

– Ty – Teornis zwrócił się do kobiety – będziesz miała ten swój podbój. Sprowadź Rosandera i jego ludzi do Kolegium. To wystarczy. Wszystko, co mówiłem do tej pory, utrzymuję w mocy A ty – machnął palcem w stronę Helmessa – możesz sobie być później gubernatorem, królem czy wielkim morskim hrabią. – Uśmiechnął się drapieżnie. –

Ale zrobimy to po mojemu. A teraz pomówmy o Aradoklesie.

Myślisz, że pajęcza flota dopłynęła już do Kolegium? –

zapytał Stenwold.

Linie i wykresy na papierze tańczyły mu przed oczami.

Starał się sporządzić na tyle skomplikowany schemat pukołuku, żeby całkowicie zaskoczyć mechaników Mandira i jednocześnie dotrzymać słowa, ale miał nieprzyjemne przeczucie, że byli w tym lepsi, niż przypuszczał. Skórzasty, nieprzyjemny w dotyku pergamin i nieporadnie sklecone pióro z tłoczkiem skonstruowane przez Tseitusa wcale mu w tym nie pomagały. Choć ogarniała go wielka senność, nie chciał się jej poddawać. Co rano budził się z dudnieniem w głowie i poczuciem straty, jakby miejsce, do którego zawędrował we śnie, nie chciało go wypuścić.

– Zależy – odparł Laszlo filozoficznie, czyszcząc paznokcie końcem noża, w którego posiadanie wszedł jakimś cudem. – Jeśli to rzeczywiście flota, to tak, ale co ona zwojuje, to już inne pytanie. Z tego, co jednak słyszałem, miała to być armada, a to już coś zupełnie innego. Oznacza to, że musiał się zebrać więcej niż jeden ród, a z mego doświadczenia wynika, że zorganizowanie jej może trochę potrwać. Jeśli to rzeczywiście armada i jeśli poważnie podchodzą do wojny na morzu, to dam głowę, że wciąż cumuje w porcie, a czterech dowódców i pięćdziesięciu szyprów nadal kłóci się o pieniądze.

– Zdaje się, że powinienem się tego trzymać –

powiedział Stenwold słabym głosem.

Podniósł wzrok, kiedy Laszlo zbliżył się do niego. Na twarzy muszka malowała się troska.

– Wyjdziemy stąd, misz-Maker. Bez pudła. I to wkrótce, jeśli można wierzyć Wys i temu Nemmo. Mówią, że lada dzień. Coś nadchodzi. Kiedy byłem na zewnątrz ostatni raz, wszyscy byli strasznie spięci, ale nikt nie chciał gadać na ten temat. Będą kłopoty, misz-Maker, a tam, gdzie kłopoty, tam też i szansa.

– To zdaje się hasło *Wolnego od Pływów*? – Stenwold zdobył się na uśmiech.

– A przed nim *Krwawej Muchy* – potwierdził Laszlo. –

Druga część brzmi: „A jak nie ma kłopotów, to w nie wpadnij”.

– Czy Tseitus wie, że masz takie plany?

Laszlo się skrzywił.

– Nie, że aż takie. Nie jestem pewien, co mogłoby mu wpaść do głowy. Powiem mu, kiedy się zacznie. Wtedy będzie mógł wybrać. Ale do tego czasu... Nie chcę, żeby nasz mrówiec stwierdził ze skwaszoną miną, że mu się tu podoba.

– To raczej nieprawdopodobne.

Laszlo wzruszył ramionami.

– Któż może wiedzieć, co myśli sobie mrówiec, oprócz innego mrówca.

Sięgnął po arkusz, na którym pracował Stenwold, i zmarszczył czoło.

– Krytykujesz mój kunszt rysowniczy? – zapytał

Stenwold wyniośle.

– Tak pan to nazywa? Chyba nie pokaże pan tego Mandirowi?

– A dlaczego nie?

– Bo może się zacząć zastanawiać, że nie ma pan jednak innych uzdolnień.

Laszlo odwrócił kartę, ukazując owoce pracy Stenwolda.

Plątanina koślawych, narysowanych drżącą dłonią linii rozplątywała się, by na dole kartki ułożyć się z powrotem w kobiecy, dość nieporadny portret. Ze Stenwolda był żaden malarz, ale rozpoznawał twarz, którą narysował.

– Nie pamiętam, żebym to szkicował – wyznał

przybitym tonem.

– A wie pan – odezwał się Laszlo, najwyraźniej starając się jak najdelikatniej podejść do tego tematu – że Mandir może tu panu sprowadzić kobietę, gdyby pan zechciał.

Czasami, jak słyszałem, jest wręcz nad wyraz hojny.

– Nie! – krzyknął Stenwold po dłuższej chwili. –

Absolutnie nie.

Sama myśl, że jakaś straszna szczypcowata albo gastropodowca mogłaby pojawić się w tej komnacie, była nie do zniesienia. *Poza tym moje dłonie pokazały mi, na jakie manowce spycha mnie mój zdradziecki umysł. A jej Mandir nie może tu sprowadzić – i biada mu, gdyby próbował.*

Kolejne wzruszenie ramion Laszlo poinformowało go, że sypiało się z gorszymi niż morskie, i Stenwold zastanawiał

się, czy między innymi z Wys. Ale za każdym razem, kiedy Laszlo wspominał o kapitan z podwodnika, było więcej niż pewne, że ich relacje opierały się wyłącznie na interesach.

Muszec pokręcił głową.

– Niech pan się prześpi, misz-Maker. Wygląda pan, jakby jeden z tych byków szczypcowców podbił panu oba ślepia.

Spać znaczy śnić. Stenwold zatrzęsł się z żalu. *Nie mam spokoju, o nie.* Chociaż ciągnęło go do barłogu, chciał być wystarczająco zmęczony, by uciec temu, co na niego w nim czekało.

Obudził się potrząsany przez Laszlo. Nie miał pojęcia, ile czasu spał, ponieważ w Rewirach nie było dnia ani nocy.

Pod czaszką zaś wciąż krążyły mu senne wizje: sploty włosów, świecące kończyny...

– No co... ? – wykrztusił.

– Wstajemy misz-Maker! Wstajemy! – ponaglał go Laszlo. – Już czas!

– Hm? – Stenwold zamrugał, a następnie wydał z siebie zduszony okrzyk i skoczył na równe nogi. – Czas na... ?

– Rewiry zostały zaatakowane – oznajmił ponurym głosem muszec.

Stenwold gapił się na niego.

– Przez Claeona?

– Po prostu niech się pan ubiera i gotuje do biegu.

– Albo... – *Nemoctes atakuje?*

– Och, to nie on. Jego by się tak nie bali. Ale są przerażeni, sam widziałem. Każdy sprawny morski chwycił za broń i czeka na atak. No niech się pan ubiera! – krzyknął i wypadł z komnaty z furkotem skrzydeł.

Stenwolda dochodziły odgłosy zamieszania, jakieś rozkazy i paniczne krzyki. *Atak? Co ten Nemoctes zrobił? A może to Claeon? Z całą pewnością nie z mojego powodu to wszystko.*

Rozmyślania przerwało mu szuranie, dochodzące jakby ze ściany. Odwrócił się i zauważył coś dziwnego. Z początku był to punkcik, a potem, jakby za sprawą ręki niewidzialnego artysty, pojawiła się od niego zakrzywiona linia. Stenwold patrzył na to przez chwilę, nie mogąc dociec, co ma przed sobą, aż w końcu linia zamknęła obwód i w ścianie powstał

okrągły otwór.

Za nim pojawiły się trzy szybko zbliżające się postacie.

Wyłoniły się ze szczeliny niby zjawy z koszmaru nocnego.

Szerokie w ramionach, mocnej budowy i przysadziste typy –

dwóch mężczyzn i kobieta z płaskimi twarzami bez wyrazu, o szarej skórze. Dopiero po chwili Stenwold ich skojarzył: gastropodowcy.

– Chodź – powiedziała jedna z tych osób niskim, dudniącym głosem. – Szybko.

– Ale Laszlo, mój przyjaciel... Muszę poczekać.

– Szybko – powtórzył mężczyzna.

Pozostała dwójka rozglądała się z obawą, ale nie potrafił

powiedzieć, czy wypatrywali ludzi Mandira, czy niewidocznych jeszcze napastników.

Stenwold zacisnął zęby. W końcu Laszlo ugadał wszystko z Wys – wydostanie się z łatwością.

Rzucił się do dziury, lecz zawrócił, by zabrać coś ze stołu, i wyczuł doskonale mu znany kontur oryginalnej broni, do której skopiowania go zmuszano. Zaraz potem wypadł za gastropodowcami i poszli razem. *Ale dokąd?* – zastanawiał

się. Na razie jednak samo „dalej” musiało mu wystarczyć.

Nie wiedział, gdzie się znalazł, ale nie było tu nikogo, a odgłosy walki rozlegały się daleko, wyraźnie się zbliżając.

Poprowadzili go, powłócząc nogami, przez krótki korytarz między dwoma pomieszczeniami, a następnie do kolejnej komnaty, tym razem z podmokłymi legowiskami. W

metalowej ścianie dostrzegł kolejną wyciętą dziurę, ale o tak regularnych brzegach, jakby ktoś piłował ją ręcznie. Za nią zaś była woda.

Kiedy pierwszy gastropodowiec tam wszedł, Stenwold zauważył, że woda sięga mu tylko do kostek, lecz i tak stał jak sparaliżowany. *Zrobiono wylom*, pomyślał, i rzeczywiście tak się stało. Choć szybko go załatano, z pewnością woda wpłynęła właśnie przez niego. Jakie następstwa spowodowałoby całkowite zalanie Rewirów?

– Pęcherze! – krzyknął do gastropodowców.

Odwrócili się i widział teraz wyraźnie ich surowe twarze bez wyrazu.

– Nie potrafię oddychać pod wodą – wyjaśnił. –

Potrzebuję pęcherzy. Tylu, ile znajdziecie. Proszę, ja... – *nie chcę się utopić. Wszystko tylko nie to* – w obawie przed ich pogardą ostatnie zdanie dokończył w myślach. Wpatrywali się w niego zaskoczeni przez kilka chwil, po czym jeden skinął głową, a drugi zaczął się rozglądać, jakby spodziewał

się znaleźć tu zostawiony przez kogoś, ot, tak po prostu, stos przezroczystych kapturów właśnie dla nich.

Rozległ się ryk i nagle najważniejszy z gastropodowców zniknął w dziurze w fontannie krwi. Stenwold po omacku odszukał pukołuk, starając się przypomnieć sobie, czy go naładował. Kobieta z jego obstawy odwróciła się, unosząc ręce, ale ktoś wraził jej krótką włócznię pod żebra. Chrapliwie krzyknęła i zamachnęła się na niewidocznego napastnika, lecz dopadł jej drugi zbrojny – mały szczypcowiec – i zakrzywionym nożem rozorał jej cały bok. Wypadła przez szczelinę i momentalnie dwóch szczypcowców przeskoczyło przez nią, idąc na Stenwolda. Za nimi otwór pociemniał, przesłonięty przez męzczyznę mózgowców z długą włócznią w dłoniach. *Zabójcy Claeona*, Stenwold miał jedynie chwilę na zastanowienie.

Mały włócznik ruszył za nim, ale ostatni gastropodowiec, który stał w bezruchu i nie został wcześniej dostrzeżony, rzucił się na niego, kiedy tamten próbował

dźgnąć Stenwolda włócznią. Złapał małego człowieczka za biceps i Stenwold, niewiele myśląc, pociągnął za spust pukołuku. Huk sprężonego powietrza przyniósł Stenwoldowi wielką ulgę, a szczypcowiec zginał, nawet nie wiedząc od czego.

Na twarzy trzeciego gastropodowca pojawiła się skrajna desperacja i na oczach Stenwolda zwrócił on swoją sztukę przeciwko wrogowi. To, co potrafiło kroić ściany, bez najmniejszego wysiłku odcięło pozostałemu przy życiu szczypcowcowi ramię. Kiedy okaleczona, wrzeszcząca postać

osunęła się na ziemię, włócznia ostatniego mózgowca zagłębiła się w szyi powolnego giganta. Stenwold ponownie uniósł lufę pukołuku i zobaczył, że mózgowiec nawet nie drgnął, nie rozpoznając w wymierzonym w siebie przedmiocie broni.

Wtedy Tseitus przebił go na wylot.

Mrówiec wyłonił się z okrągłego otworu w przemoczonej do kolan koszuli nocnej, trzymając w dłoni przedmiot, któremu najbliższej było do nizinnego gladiusa, a który udało mu się wykonać podczas lat niewoli. Uderzył jeszcze dwukrotnie, szybko i skutecznie, co uświadomiło Stenwoldowi, iż koszula nie powinna była go zmylić, Tseitus bowiem wychował się w mieście-państwie wojowników.

– Twój muszec mówi... że musimy już iść – wykrztusił

mrówiec, ciężko oddychając.

Z całą pewnością nie walczył ani nawet nie wbijał

nikomu noża w plecy od wielu lat. W tej chwili pojawił się również Laszlo i spojrzał na rzeź z poszarzałą twarzą.

– Nie tak miało być – powiedział słabym głosem.

Oczywiście gastropodowcy zostali zwerbowani przez niego.

– Laszlo, co się dzieje? – zapytał ostro Stenwold.

Poziom wody za ścianą podnosił się i zaczęła się przelewać do środka przez krawędź otworu.

– Mówią, że to szkarłupniowcy – odparł muszec zwyczajnie, jakby ta nazwa nic mu nie mówiła, ale Stenwoldowi stanęła przed oczyma pomarańczowa fala najeżona szpikulcami, nieustępliwy przypływ zalewający tabor bentoników.

– Musimy szybko stąd zniknąć – rzucił.

– Właśnie to staram się wam przekazać – niemal krzyczał Laszlo. – No dalej! Musimy odnaleźć Wys i jej ludzi!

Wystrzelił do przodu, na poły biegnąc, na poły lecąc, zostawiwszy z tyłu Stenwolda i Tseitusa, którzy robili, co mogli, by za nim nadążyć.

W Rewirach zwoływano pospolite ruszenie, dysponując jedynie ogólnym planem obrony, więc Laszlo prowadził ich między pomieszczeniami i niewykończonymi przestrzeniami, w których wznoszone ściany składały się ze starannie połączonych metalu, muszli i dokładnie dobranych pod względem rozmiaru kamieni. W każdej chwili jednak mogli przejść do głównych sal Rewirów, publicznych rejonów dziedziny Mandira, biegnących w poprzek bazarów czy sypialnych komnat. Wszystkie tutejsze prace ustały i widzieli ludzi zbierających gorączkowo swój dobytek oraz innych, zbrojących się z przerażeniem na twarzach.

Gdzieniedzie przez spanikowany tłum przedzierały się oddziały pancernych wielkoszczypcych z ostrzami i maczugami w pogotowiu i wszyscy udawali się w sobie tylko znanych kierunkach, lecz w oczywistym celu. Laszlo zatrzymał się, widząc jedną z takich grup przechodzącą obok, a nawet padł na ziemię, ale nikt nie zwracał teraz uwagi na zbiegów.

– Chromolę to – zaklął lekko. – Gdzie jest ta łajdaczka Wys?

– Laszlo, dokąd my idziemy? – zapytał Stenwold. –

Przecież nie możemy wyważyć kopniakiem drzwi i wyjść na zewnątrz.

– Mam dla nas pęcherze, ale tylko po jednym na osobę.

Muszec podał mu przezroczysty kaptur, wciąż wodząc wzrokiem po tłumie.

– Potrzebujemy jednak Wys albo w najgorszym razie Nemoctesa.

– Ale bajzel – stwierdził Tseitus w chwili, w której rozległy się krzyki.

Z początku Stenwold nie wiedział, co się stało, ale nagle ludzie zaczęli pierzchać z niewielkiego placu i fala wody uderzyła go w golenie, paralizując w miejscu. Tubylcy czmychali wszystkimi wyjściami, tylko trzech lądowych czekało, aż pojawią się szkarłupniowcy Stenwold najpierw dostrzegł barwę – wściekłą czerwień z pomarańczowym odcieniem – i nie potrafił wyodrębnić konkretnych kształtów, ale coś z kolcami wlewało się do środka przez dziurę w ścianie. Górę miało jaskrawą, a spód biały, z płataniną kłębiących się odnóży z przyssawkami. Następnie pojawiło się drugie – pięciopalczasty kłoc, którego skóra falowała czarno zakończonymi szpikulcami. Potwór nie miał głowy, przodu czy tyłu, nic w jego budowie nie świadczyło też o jakimkolwiek pokrewieństwie z innymi gatunkami. Stanowił

wyłącznie wcielenie niepohamowanego głodu.

A za nim pojawili się ludzie jego rasy.

Szkarłupniowcy mieli takie same barwy jak ich bestia i właściwie niewiele przemawiało za tym, że ma się do czynienia z ludźmi. Ich skóra przypominała karbowaną skorupę, a pozbawione nosów twarze miały jedynie oczy niczym czarne paciorki i rozcięcie w miejscu ust. Odziani byli w miedziane zbroje i jakieś jasne skóry. Tylko niektórzy w dłoniach trzymali długie, zakrzywione miecze z brązu, ale ich kolczaste pięści robiły dostatecznie groźne wrażenie.

Ruszali się szybko, lecz niezgrabnie, i właśnie to uratowało lądowych. Trzech ruszyło w ich kierunku bez słowa, ale zdawali się nie panować nad własną prędkością.

Tseitus walnął jednego z nich na odlew wykonanym przez siebie mieczem, a Stenwold mógł tylko zejść z drogi kolejnemu. Pchnął jednak potwora, który stracił równowagę i runął na ziemię, po czym błyskawicznie się podniósł. Kiedy wycofywali się w pośpiechu, w umyśle Stenwolda pojawiła się myśl: *Są przyzwyczajeni wyłącznie do walki w wodzie. To jedyna morska rasa, która nie potrzebuje powietrza.*

Nagle ktoś wydarł się na niego, żeby zszedł z drogi.

Odwrócił się i zobaczył nie kogo innego, ale właśnie Mandira i grupę jego wojowników. Na korzyść przywódcy Rewirów trzeba powiedzieć, że nie rzucił rozkazu schwytania lądowych. W tej chwili widział wyłącznie szkarłupniowców.

Tuzin jego ciężkozbrojnych szczypcowców wyposażony był w broń z tulejami, którą Stenwold widział już wcześniej.

Wystające z rur grotki bardziej przypominały niewielkie topory niż standardowe pociski. Pozostali, pochodzący z różnych ras, trzymali sierpowate miecze oraz wyglądające jak harpuny włócznie z dwoma grotami. Pojawiło się nawet kilka krabów przycupniętych za pierwszą linią z rozwartymi groźnie szczypcami.

Szkarłupniowcy zagroźli im drogę i ruszyli na szereg wraz z pełznącą przez wodę wieloramienną bestią za sobą.

Mandir rzucił zwięzły rozkaz i wojownicy oddali salwę. Impet odrzutu zachwiał nawet mocarnymi szczypcowcami, a odgłos pół tuzina pocisków wystrzelonych ze sprężyn do złudzenia przypominał dźwięk wydawany przez pukołuk. *Tseitus mówił, że robią dobre sprężyny*, zauważył Stenwold odruchowo, kiedy Laszlo już ciągnął go za rękaw. Pociski o szeroko zakończonych grotach świsnęły w powietrzu i nagle większość szkarłupniowców padła na ziemię. Żukowiec zobaczył gładko odcięte członki i buchające krwią rany na pofałdowanej pomarańczowej skórze. Jednemu z napastników ucięło głowę, a zdekapitowane ciało stało jeszcze z uniesionym mieczem, żeby po chwili opaść na kolana.

Szczypcowcy jednak nie zakończyli na tym sprawy.

Kiedy miotacze zaczęli ponownie napinać sprężyny, odwody Mandira spadły na zaskoczonych szkarłupniowców, siekąc ich niemiłosiernie. Garstka, która uszła z życiem, nie wykazywała strachu i rzuciła się na wroga nadziejającego ją na włócznie, przygważdżającego do ziemi i rozrywającego na sztuki. Mieli niezwykle wytrzymałe ciała i Stenwold zauważył, że odrąbane szczeciniaste członki pełzały na oślep w wodzie, czasami wciąż ściskając broń. Nagle ich bestia ruszyła do ataku, powalając jednego z mózgowców. Jego krzyk zamarł w powietrzu jak ucięty nożem, kiedy wpełzła na niego. Wkrótce wszyscy obrońcy rzucili się na nią, dźgając i siekąc bez litości, a kraby szarpały za macki, ucinając ich kolce i rozrywając delikatne podbicie szczypcami.

Laszlo krzyczał coś do niego. Już od jakiegoś czasu.

– Musimy uciekać! – Jego wysoki głos był nieustępliwy i Stenwold w końcu się ocknął.

Od razu zrozumiał, że tamten ma rację. *Nie powinniśmy tu być, zaklął, z wielu powodów.*

Przeciskali się przez kolejne wąskie korytarze i Laszlo musiał często wracać po dwóch ciężko dyszących i dwukrotnie od niego większych uczonych. Wszędzie wokół

nich rozlegały się odgłosy walki i często ściany drżały od starć toczących się po ich drugiej stronie.

Ostatni wąski pasaż, przez który poprowadził ich Laszlo, był zalany, a poziom wody stale się podnosił. *Ludzie Mandira muszą mieć przecież jakieś pompy, latać wyrwy w ścianach. Ale szkarłupniowcy nie zamierzają składać broni.*

Jęknął i wygramolił się z wąskiego przejścia, a Tseitus już niemal deptał mu po piętach. Laszlo uniosł się nad nimi i Stenwold, podniósłszy na niego wzrok, ledwo zauważył jakiś ruch w mroku.

– Na ziemię! – krzyknął i muszy refleks uratował

Laszlo, unosząc go tak szybko, że aż walnął głową o sufit, kiedy włócznia przemknęła ze świstem obok.

Żukowiec miał dość czasu, by podnieść się z ziemi, gdy muszec spadł z góry na całkowicie zaskoczonych napastników. Jednym z nich był kolejny mózgowiec, z pewnością drugi zamachowiec Claeona, i widać było, że lepiej sobie radzi z doborem najemników. Wspierała go dwójka wysokich, szczupłych strzałkopodobnych z włóczniami gotowymi do ataku i jeden zwalisty szczypcowiec w pełnej zbroi z trzydziestocentymetrowymi zakrzywionymi szczypcami wystającymi z rękawic. Stenwold automatycznie wystrzelił z pukołuku do wielkoluda. *Zobaczmy, jak kuzyn Rosandera poradzi sobie z nizinną mechaniką, pomyślał*

jedynie.

Efektom jego działania były kłęby pyłu, które uniosły się ze zbroi, ale mężczyzna nawet się nie zachwiał. Bez względu na to, z jakiej substancji natworzono ten pancerz, nizinna technika najwyraźniej jej nie sprostała. Żukowiec odwrócił

się więc błyskawicznie, a dwóch włóczyków ruszyło za nim.

Tseitus dopadł jednego z nich. Wypadł z dziury w niezbyt imponującym stylu, ale ludzie Claeona spodziewali się dwóch mężczyzn, nie trzech. Jego miecz wniknął w ciało smukłego strzałkopodobnego pod żebrami, a przyływ mrówczej, spotęgowanej sztuki siły sprawił, że zagłębił się aż po rękojęść. Uczony popatrzył na to z niedowierzaniem, jakby zadziwiony, do czego go życie zmusiło.

Stenwold już pędził w jego stronę, bo drugi włóczyk, który na chwilę stracił orientację, już go namierzył, a Tseitus został rozbrojony przez własny sukces, gdyż padające ciało ofiary wyszarpięło mu miecz z ręki. Mózgowiec Claeona wściekle wykrzykiwał rozkazy.

Maker znalazł się u boku włóczyka, zanim ten się odwrócił, i złapał jedną ręką za drzewce włóczni, sądząc, że jest silniejszy od wiotkiego strzałkopodobnego. Przez chwilę mocowali się, wyszarpując sobie broń, po czym Stenwold pociągnął ją, wykorzystując cały ciężar swego ciała, i przeciwnik skreślił się, jakby był całkowicie pozbawiony kości, w obawie, że utraci narzędzie.

Laszlo wystrzelił w górę, ale coś odwróciło jego uwagę.

Stenwold usłyszał zgrzyt zbroi i jakiś cień padł na niego.

Zdjęty przerażeniem pchnął, zamiast pociągnąć, puszczać drzewce, aż strzałkopodobnego zarzuciło do tyłu. Wojownik szczypcowców był tuż obok z uniesioną dłonią w rękawicy, ale Tseitusa znalazł się przed nim. Mrówcowi udało się wyszarpnąć miecz z trupa i teraz zamachnął się z całej siły, celując w imponującą opancerzoną pierś.

Siła uderzenia wytrąciła mu broń z ręki, aż zawył z bólu, chwyciwszy się za nadgarstek. Stenwold rzucił się naprzód w momencie, gdy złowieszczą pięść w rękawicy opadła na podstawę szyi mrówca, łamiąc mu kości, a impet uderzenia rozłożył go momentalnie na ziemi. Laszlo bzyczał bezradnie nad hełmem szczypcowca, ignorowany i bezsilny.

Stenwold krzyknął i końcówka włóczni walnęła go na odlew w twarz, również powalając na ziemię. Podniósł wzrok, w głowie mu huczało i zobaczył, jak opada na niego jej ostrze.

Na szczupłej twarzy z zapadniętymi policzkami nie odnalazł nawet cienia litości.

Laszlo znów śmignął bokiem i koniec włóczni powędrował jego śladem, niemal dosięgając go mimo niezwyklej zręczności. Wykonywał uniki między włócznikiem i szczypcowcem, klucząc tak, by znajdować się pośrodku, pomiędzy szponem a grotem włóczni. Stenwold na wprost

przysiadł, zachwiał się od otrzymanego ciosu, a jego usta wypełniły się krwią.

Po chwili ktoś stanął nad nim i wyciągnął dłoń w kierunku włócznika. Żukowiec przysięgłby, że to ostatecznie wypuszcza żądło, ale wtedy zobaczył najeżoną kolcami wstęgę, która wystrzeliła z dłoni Phylles, by dziabnąć skórę przeciwnika. Było to ledwo ukłucie, lecz efekt był

natychmiastowy – strzałkopodobny zachwiał się i wpadł w drgawki, praktycznie upuszczając włócznię Stenwoldowi w rękę.

Przemknęła kolejna postać. *Fel?* I był to rzeczywiście Fel w jakimś półpancerzu z naramiennikami i nagolennikami oraz w zsuniętym na tył głowy grzebieniastym hełmie.

Wyglądał jak pociągiciel przy potężnym szczypcowcu, ale kiedy stanął w pozycji bojowej, uzbrojony w dwa wąskie sztylety oraz wzmocnione sztuką pięści, wielki wojownik się cofnął.

Włócznia była gładka i obca w dotyku, ale Stenwold rzucił się do Tseitusa i wyciągnął go z wody. Nie było żadnej nadziei. Cios był tak mocny, że zupełnie zdeformował jego ciało. Błękitnawa twarz była zniekształcona, a oczy patrzyły z lodowatą wyrazistością w niebyt.

Rozległy się dwa trzaski i kiedy Stenwold podniósł

wzrok, zobaczył, jak wielkoszczypcy zatacza się do tyłu. Robi jeden niepewny krok, potem drugi, a na jego pancerzu zieją dwa nieregularne pęknięcia. Tymczasem Fel już ruszał do kolejnego ataku i przerzuciwszy ciężar ciała z jednej nogi na drugą w nieregularnym rytmie, odsunął się przed jednym ciosem i przykucnął, chroniąc się przed drugim. Znów uderzył, ale Stenwold widział tylko zamazaną plamę. Twarda skorupa na jego kłykcach strzaskała naramiennik wroga i całkowicie wbiła się w

napierśnik. Maker zobaczył, jak złożone kolce śmigają w przód, przemieniając pięści z bojowych pałek w ostre sztylety.

Za plecami chwiejącego się szczypcowca dostrzegł

sprawcę tego wszystkiego: wynajętego przez Claeona mordercę. Szczupły mózgowiec dzierżył miecz, ale wycofywał

się teraz, widząc, że wszystko stracone. Żukowiec zawarczał, czując niezwykły jak na niego przyływ furii. Myślał, że wyparowała z niego wraz z młodym wiekiem. W jednej chwili rzucił się na mężczyznę z opuszczoną włócznią.

Słyszał krzyki Laszlo i Wys, ale nic sobie z nich nie robił.

„Zemsty!!!” – zawyła mu krew w żyłach. Zemsty za śmierć gderliwego naukowca, który nawet na lądzie za nim nie przepadał, ale był mistrzem Kolegium i bohaterem vekkeńskiego oblężenia.

Stenwold nigdy w życiu nie próbował walczyć włócznią.

Uchylił się przed szczypcowcem, z ledwością unikając wielkiej pięści w rękawicy, która niechybnie wyłuskałaby mu mózg. Ale to Fel wykonał jakiś skomplikowany ruch sztyletami i kolczastymi pięściami, tak że fontanna krwi trysnęła na przemykającego bokiem Stenwolda, a na twarzy mózgowca pojawiły się odraza i strach, bo przecież był

lądowym, jadowitym cudzoziemcem i któż to mógł wiedzieć, do czego taki jest zdolny?

Miał jednak na tyle oleju w głowie, żeby uchylić się przed włócznią, której wąski grot trzasnął w ścianę i rozprysnął się na kawałki. Mózgowiec machnął mieczem –

cios był bardzo niepewny, jakby sam kontakt z lądowym mógl wywołać błyskawiczną śmierć od jakiejś nieznaney choroby. Stenwold przyjął go na drzewce włóczni, które wygięło się od uderzenia, ale wytrzymało, i następnie mocno pchnął, wkładając w to całą swoją siłę i znaczną wagę, i rzucił

mężczyznę na ścianę.

Mur się poddał. Właściwie ścianka. Bo było to tylko przepierzenie, a niewątpliwie jego konstruktorzy nie spodziewali się, że stanie się sceną walki. Ustąpiło i mózgowiec wpadł w gęsty las kolców.

Stenwold tylko przez sekundę widział twarz wroga, który uświadomił sobie, jaki czeka go koniec. Od razu nabił

się na tuzin szpikulców czasami ostrych tak, że wyszły mu z drugiej strony. Nagle, czując napór, Żukowiec rzucił się desperacko w bok, a bestia szkarłupniowców przedarła się na drugą stronę, machając morzem falujących kolców.

Wypełniła swoim cielskiem wąskie pomieszczenia, a za nią pojawili się wojownicy z bronią

niesioną do ataku, szczerząc kły wystające z ust pozbawionych warg. Stenwold patrzył, jak Phylles, która przed chwilą była o krok od niego, zatrzymuje się gwałtownie i pospiesznie cofa. Znalazła się po drugiej stronie potwora. Jak oni wszyscy. Zobaczył, jak Laszlo szykuje się do odważnej wyprawy na drugą stronę, ale szpikulce bestii niemalże drapały sufit, nie zostawiając luki nawet dla kogoś tak małego jak on.

– Cofnij się! – krzyknął Stenwold. – Znajdę obejście!

Wtedy ruszyli biegiem. Szkarłupniowcy zobaczyli go, więc jeszcze przyspieszył, wysoko unosząc nogi w zbierającej wodzie. Nie miał żadnej nadziei, nawet najmniejszej. Pragnął tylko, by Laszlo mógł wrócić z Wys i by odnalazł swoją rodzinę.

TRZYDZIEŚCI DWA

Stenwold wypadł zza kolejnego zakrętu i znalazł się na polu bitwy. Przynajmniej dwudziestu wojowników Mandira zwarło się w starciu z bandą szkarłupniowców i obie strony pchała do boju ślepa nienawiść. Brodząc w wodzie, przeszedł

tyłem niezauważony, ale kilku najeźdźców jechało jego śladem. Miał chwilę zawahania, bo nie był pewien, kto właściwie jest jego wrogiem: ci, którzy go uwięzili, czy ci, którzy zaraz zabiją go i pożrą. W końcu pokrewieństwo zwyciężyło. Bliższa koszula ciała.

– Za wami! – krzyknął do nich, widząc zbliżający się pościg.

Dwóch czy trzech wielkoszczypcych właśnie zakończyło naciąganie sprężyn w harpunach i odwróciło się we wskazanym przez Stenwolda kierunku, spoglądając ponad naramiennikami na nowych wrogów. Huk wystrzału był

słyszalny nawet w bitewnym zgiełku i w jednej chwili dwóch szkarłupniowców padło na ziemię. Jeden od razu znieruchomiał, bo urwało mu połowę głowy, a drugi tarzał się i syczał, szarpiąc kolczastymi dłońmi za wystający mu z piersi belt. I teraz wszyscy skierowali uwagę na nowe wyzwanie, spadając na opancerzonych morskich w milczeniu niczym wataha dzikich zwierząt.

Jeden prześladowca pozostał przy Stenwoldzie, który ścisnął ułamane drzewce włóczni, nie wiedząc, czy walczyć, czy uciekać. Samotny szkarłupniowiec zbliżał się do niego wolnym krokiem, zapomniawszy o pobratymcach. Jego czarne ślepie taksowały żukowca i być może wtedy stworzenie zauważyło, że jest inny, że różni się od zwykłej zwierzyny łownej. A może nie, bo na jego kamiennym obliczu pokrytym szorstką skórą nie było widać żadnego śladu emocji. Stwór uniósł brązowe ostrze elegancko zagięte do dołu i ruszył na Stenwolda.

Po tym, jak przekonał się, iż w starciu ze zbroją szczypcowca nie ma żadnych szans, żukowiec niemal zapomniał o pukoluku, ale Totho zrobił w nim dwie lufy, więc w jednej wciąż mógł tkwić pocisk. Podniósł więc go i pociągnął za spust.

Rozległ się głuchy trzask, bo chociaż pocisk tkwił w lufie, bateria na sprężone powietrze nie była

naładowana.

Wtedy spadło na niego zakrzywione ostrze. Przyjął cios na prowizoryczną laskę, ale siła uderzenia zdeformowała drzewce włóczni. W desperacji walnął kijem w twarz szkarłupniowca, całkowicie go roztrzaskując, ale morski nawet nie drgnął. Znow wziął zamach, wciąż zbyt mocny w powietrzu, i Stenwold musiał się ratować. Odskoczył w tył, potknął się we wzbierającej wodzie i przewrócił. Podobne do kosy ostrze wroga świsnęło o kilka palców od niego, kiedy padał w tył. Wciąż trzymał krótki trzonek włóczni, rzucił się więc z nim do przodu, jakby dzierżył dobry niziny miecz, ale poszarpany koniec ześliznął się jedynie po miedzianym pancerzu, a potem po pofałdowanej skórze szkarłupniowca.

Znow błysnęło ostrze.

Coś jednak stanęło mu na drodze i ostrze ześliznęło się po żółtawej powierzchni tarczy wykonanej z muszli.

Opancerzona postać zasłoniła Stenwolda, jednym mocnym, zdecydowanym ruchem waląc szkarłupniowca tarczą w twarz i odpychając w tył. Nemoctes – bo to był on – wyrósł jak spod ziemi. W jego dłoniach załśniła drapieźnie zakrzywiona broń, którą odparował kolejny cios napastnika, wbijając z sapnięciem jej końcówkę w jego ciało tuż nad pancerzem.

Potem zmienił chwyt na rękojeści, pochylił się i włożył całą swoją siłę w ruch skrętny. Nawet w bitewnym zgiełku Stenwold usłyszał odgłos pęknięcia kości, kiedy głęboko wbity sztych przedzierał się przez żebra przeciwnika. Nemoctes odrzucił ranne stworzenie na bok, gdyż to w ostatnim skurczu starało się ciąć go w nagolenniki.

– Wstawaj – warknął na Stenwolda. Patrzył na niego posepnie, z obliczem zbryzganym wrażą posoką.

– Muszę dostać się do Laszlo – oznajmił żukowiec, gramoląc się z wysiłkiem z wody chyba po raz setny tego dnia. – Laszlo... Wys...

– Musisz stąd zniknąć – przerwał mu Nemoctes. –

Wszystko inne to zbytek szczęścia – dodał i ruszył różnym krokiem przez wodę, nie patrząc nawet do tyłu, by sprawdzić, czy Stenwold podąża za nim.

Ale podążał. Nie miał innego wyjścia. *Gdyby udało mi się wydostać z Laszlo i Wys, myślał z goryczą. Laszlo mówił, że ona zabierze nas prosto na powierzchnię, do Kolegium.*

Dokąd w takim razie zawiedzie mnie Nemoctes?

Zobaczył na wprost jakiś ruch i niezdarnie zaczął unosić połamaną włócznię. Nie był to jednak wróg, ale przetaczająca się fala wody sięgająca pasa i zmierzająca w jego stronę.

Nemoctes po prostu przedarł się przez nią, napierając ramieniem, a Stenwold przywarł do niego, żeby nie zmyło go z nóg. Nagle przybór wody stał się niezwykle gwałtowny, co oznaczało, że

szkarłupniowcy musieli dokonać kolejnego wyłomu w kruchej ścianie Gorących Rewirów.

– Nemoctesie! – wykrzyknął. – Utopię się... !

– Po prostu idź za mną! – rzucił mężczyzna, pracując dalej naprzód.

Stenwold widział pojedyncze sceny, potyczki, fragmenty bitwy pochwycone między przepierzeniami – szczypcowcy i szkarłupniowcy spleceni w boju, szarpiący się, rozdzielający i walący na oślep, pękające pancerze, rozszarpywana pomarańczowa skóra. A wszystko to w strugach wody i krwi.

Fala niosła jakieś przedmioty, które trafiały w Stenwolda i popychały go, aż nagle przestraszył się, widząc wyłaniającą się z czerwonej kipieli łapę szkarłupniowca, który mógł

zatopić kolce w jego skórze i wciągnąć go do gęby. Coraz ciężiej było mu brnąć przez wodę – mimo wsparcia Nemoctesa, który przerzuciwszy sobie tarczę przez plecy, niemal ciągnął go za sobą. Stenwold puścił w końcu bezużyteczny kikut włóczni i sięgnął po pęcherz, uświadamiając sobie jednak, że może w nim oddychać jedynie przez dziesięć minut. *Proszę, tylko nie utonięcie*, powtarzał w myślach. *Żądło osowca – proszę bardzo, trucizna zamachowca, stal zdradzieckiej modliszki, strzał z pukoluku – wszystko, tylko nie to, wszystko.* Zarzekał się w myślach, że jeśli uda mu się stanąć na lądzie, to już nawet nie popatrzy w stronę morza. *Żadnych łodzi, żadnych statków, nawet długich kąpielii. Jeśli pozostało coś z dawnej mocy Achaeosa, co mnie słyszy, niech sprawi, bym zginął suchą śmiercią!*

Coś go zaczęło chwytać i krzyknął przerażony, ale wtedy uświadomił sobie, że sunął naprzód z zamkniętymi oczami i były to tylko dłonie Nemoctesa, starające się nałożyć mu pęcherz na głowę. Woda sięgała mu już do brody.

– Schodzimy! – ostrzegł go pelagik ostrym głosem. –

Unoś się bezwładnie. Nie szarp się, wydostanę cię stąd!

Udało mu się włożyć przezroczysty kaptur na głowę Stenwolda i nagle jednym płynnym ruchem szarpnął nim tak, że podłoże uciekło żukowcowi spod stóp.

Zaczął się miotać, ale w ostatnim odruchu opanowania zwinął się w kłębek, przycisnął ręce do piersi niczym niemowlę w łonie matki i dał się pociągnąć Nemoctesowi.

Czuł silny prąd wokół siebie i miał mgliste pojęcie, co się z nim dzieje, ale chwyt wojownika był pewny. Nagle zabrakło ścian wokół nich, a Nemoctes popłynął w górę mocnymi ruchami, ciągnąc Stenwolda w stronę swego towarzysza –

żywego stworzenia, z którego pustej muszli Wys zbudowała podwodnik. Okrągłe spokojne ślepie z punkcikiem źrenicy obserwowało ich, rozsuwając kępę bladych macek, i po chwili trafili na pulsujący otwór na krawędzi muszli i ciała.

Stenwold wkroczył do dziedzińca Nemoctesa.

W niczym nie przypominała ona ciasnego pomieszczenia, w którym Gribbern spędził całe swoje życie, ani też przezroczystego okna na świat, jakim podróżowała Lyess. Był to dom o wielu pomieszczeniach, z których każde było mniejsze od poprzedniego i wszystkie zawierały rozmaite pamiątki Nemoctesa. Na opalizujących białych ścianach pyszniły się muszle i czaszki, wisiała też broń i zbroje, niewątpliwie trofea z dawnych podbojów. Leżące tu złote precjoza i drogocenne kamienie przyprawiłyby o żywsze bicie serca najmniejszych przedsiębiorców z Kolegium.

Stenwold zauważył też figurki i posąжки nie większe od dłoni, wyrzeźbione w jadeicie i agacie, perle i steatycie, a przedstawiające wojowników, piękne kobiety, srogich tyranów i groźne bestie. Wiele z tych postaci było tak wystylizowanych, że Stenwold nie mógł rozpoznać, jaką rasę przedstawiają, a nawet jaka myśl była zawarta w tym kamieniu. Ale przede wszystkim stały tu niezliczone regały z pergaminem morskich, oprawionym albo po prostu leżącym w stosach luzem. Nieznane Stenwoldowi pismo skutecznie skrywało ich tajemnice i żukowiec nie wiedział, czy zawierają baśnie, zapiski historyczne, czy wyliczenia handlowe.

Z wolna prostował kończyny, strząsając z siebie wodę.

Zdjął pęcherz z głowy ze świadomością, że po raz kolejny uniknął śmierci w głębinach, ale też że jego szczęście w tej kwestii nie mogło trwać wiecznie.

– Muszę się wydostać na ląd – wykrztusił.

– Zdaje się, że tak – dobiegł go głos Nemoctesa.

Wstał i spojrzał na mężczyznę zdejmującego, płyta po płycie, zbroję i odkładającego ją na bok.

– Co ze mną zrobisz? – zapytał.

L

Nemoctes wzruszył ramionami.

– Od naszej ostatniej rozmowy sprawy się mocno skomplikowały. Zmieniła się polityka Hermatyre, ale doszło do jeszcze innych... wydarzeń. Odbędzie się kolejne posiedzenie przeciwników Claeona, ale być może teraz zostaniesz uznany za coś więcej niż niezwykły towar.

– Naprawdę? – Stenwold uchwycił się nadziei. –

Nemoctesie... – było to niebezpieczne pytanie, ale nie potrafił

zapomnieć obrazów, jakie zobaczył podczas ataku na Gorące Rewiry. – Czy to ty sprowadziłeś na nich szkarłupniowców?

W końcu mózgowiec zamarł z jedną płytą w ręku.

– W Gorących Rewirach przywykli do tego, że pelagicy ostrzegają ich o takich wizytach – czy to szkarłupniowców, czy taborów bentoników. Nie ściągnąłem ich, bo nie mogłem, ale prosiłem moich

ludzi, żeby przemilczeli ten fakt. Nie jestem z tego dumny, lecz Mandir rzucił wyzwanie mnie i całemu memu gatunkowi, kiedy wyrwał cię spod mojej opieki. Wzięłem sobie za punkt honoru, żeby cię odzyskać, ale nie widziałem innego sposobu.

Stenwold przytaknął nieznacznie, zastanawiając się, czy powinien się czuć winny śmierci tych wszystkich ludzi. Ale zbyt długo był więźniem – Claeona, Mandira i samego morza

– by odnaleźć w sobie współczucie dla innych. *Żal mi tylko Tseitusa, który tak we mnie wierzył i który już nigdy nie zobaczy słońca.* Pokręcił ciężko głową, lecz przemoc, jakiej był świadkiem, wciąż odbijała się echem w jego umyśle.

Tseitus nie zasłużył na taki los.

– A ci szkarłupniowcy... ? – zapytał wolno. – Czy oni zniszczą Rewiry? Czy wygrają? – A kiedy Nemoctes tylko pokręcił głową, poszedł dalej: – W takim razie nie rozumiem.

Jaki mieli cel, atakując je? Ginęli. Widziałem, jak giną, ale najwyraźniej to sobie lekceważyli.

– Powiedziałbym, że widziałeś, jak ginie ich garstka –

wyjaśnił Nemoctes.

Wziął srebrną karafkę w kształcie konchy i nalał

Stenwoldowi miarkę trunku do czarki przypominającej skorupkę jajka. Żukowiec ostrożnie zanurzył w nim usta.

– Widziałem, jak giną, posiekani na kawałki.

Trunek był mocny i krzepiący, niczym dobre wzmocnione wino.

– Posiekani i martwi to dwie różne sprawy.

Już bez zbroi Nemoctes przysiadł na podłodze, opierając się o zakrzywioną ścianę. Wyglądał teraz o wiele starzej, bo zbroja dodawała mu nieco tężyzny.

– Nie odczuwają bólu tak jak my. Nie krwawią tak jak my. – Rzucił niespokojne spojrzenie w stronę Stenwolda. –

Przynajmniej jak my, ludzie morza. Nie wiem, jak jest z wami, ale założę się, że jesteście bardziej podobni do nas niż do szkarłupniowców. Zagubili się w swojej sztuce i wyrosli w niej ponad miarę, tak jak ich stworzenia. Rany, które po trzykroć zabiłyby zwykłego człowieka, u nich się zasklepiają.

Mogą tracić ręce, nogi i co tam jeszcze chcesz, ale wszystko im odrasta. Niektórzy nawet mówią, że z odciętych kończyn powstaje całkiem nowy człowiek. I że takie najazdy służą właśnie rozmnażaniu się szkarłupniowców. Że tak bardzo oddalili się od nas, że w ogóle nie mają dzieci. Z całą pewnością całkowicie obywają się bez powietrza i nawet wśród pelagików nie znajdziesz takiego, który

widziałby ich młode. Są jak plaga i niedobrze mi się robi na myśl, że mogłem im jakoś pomóc. – Wysączył czarę i przekrzywił

głowę, spoglądając na sufit.

Wrażenie ruchu było bardzo nikłe i Stenwold musiał się bardzo skoncentrować, żeby wyczuć bestię, która niosła ich gładko przez głębiny. Równie dobrze mogli się znajdować w jakimś gabinecie pozbawionym okien albo w tajemnej komnacie magnackiej.

– Wkrótce znów staniesz na lądzie – oznajmił mu Nemoctes wciąż wpatrzony w sufit.

Stenwold poczuł nagłe uniesienie, a nadzieja zacisnęła na nim swoje wątle palce.

– Skąd wiesz... ?

– Wiele się zmieniło – powiedział morski. – Sam zobaczysz. Wys chce cię z powrotem, podobnie jak ja i moi ludzie, ale teraz Heiracles uzna zapewne, że jego życzenia mają mniejszą wagę niż wcześniej. Powiedz mi: gdybyś mógł, spróbowałbyś odnaleźć dziedzica?

Stenwold sporo o tym myślał ostatnimi czasy, kiedy rysował schematy dla Mandira. Gdyby był wolny – gdyby to szalone marzenie kiedykolwiek się ziściło – czy wolałby raczej wymazać raz na zawsze morskich ze swej pamięci jak zły sen, czy też by im pomógł?

– Tak – odparł bez zastanowienia, zadziwiając Nemoctesa.

– Nawet jeśli byś uciekł z Wys i wyruszył prosto do domu bez tych komplikacji? – Morski najwyraźniej go prowokował, a jego oschły uśmiech świadczył o tym, że doskonale znał ich plan.

– Nawet wtedy – zapewnił go Stenwold. – Mam swoje powody.

– Och, nie mam co do tego najmniejszych wątpliwości.

– Nemoctes wolno pokiwał głową. – Dotarcie do naszej placówki zajmie nam trochę czasu. To miejsce na granicy dominium Hermatyre, gdzie mieszkają zwolennicy Heiraclesa i, na co mam nadzieję, gdzie nie ma zwolenników Claeona. Leży blisko klifów, które wznoszą się ku lądowi.

Masz czas, żeby się przespać.

Po przebudzeniu – na tyle zmęczony, by nie pamiętać swoich snów, i po grozie spotkania ze szkarłupniowcami –

Stenwold zapytał o Lyess. Nemoctes coś mruknął. Siedział ze skrzyżowanymi nogami w najszerszym punkcie swego apartamentu, najprawdopodobniej porozumiewając się z niosącym ich stworzeniem.

– Wiem mniej, niż ci się wydaje – powiedział tylko.

– Ona ma... z pewnością są i inni... ?

– Z którymi podróżowała? Nic o nich nie wiem, a znam ją od wielu księżyców. Nie ma wobec mnie żadnego długu wdzięczności. Nie potrafię powiedzieć, dlaczego złamała swoją zasadę. – Nemoctes westchnął. – Ona...

– Tak?

– Ona pytała o ciebie, kiedy byłeś w Rewirach. Była...

jakaś rozkojarzona. Jakby nie była sobą. Jeśli w ogóle wiem, co to znaczy „być sobą”.

Setka pytań cisnęła się Stenwoldowi na usta, ale nie zadał ani jednego. Gdzieś tam w oddali, choć z całą pewnością nie tak daleko, biorąc pod uwagę, jak pelagicy odmierzają swoje życie upływające im na nieskończonych podróżach, unosiła się w swoim świetlistym ogrodzie.

Czekała na niego? Nie wiedział skąd, ale był tego pewien. Na samą myśl serce zabiło mu żywszym rytmem, lecz głównie z lęku przed czymś, czego nie rozumiał. *A co mnie to obchodzi? Ale obchodziło. Ta samotna, obca kobieta pragnie tylko mojej sympatii, niczego więcej. A więc co to ma być? Co to jest... ?*

Miejsce, do którego przewiózł go Nemoctes, przypominało Hermatyre w miniaturze. Z niewiadomych przyczyn Arketoi wybrali ten jałowy wzgórek na dnie morskim na swoją nową budowę i teraz widać było dwie poskręcane wieże nowej kolonii i jedną salę wielkością odpowiadającą całemu rozległemu Hermatyre.

Arketoi mijali go bez słowa, zajęci swoimi sprawami, nawet nie spoglądając w jego stronę. Byli niewysocy i bladzi, zatraceni w swoim świecie, który ledwo dopuszczał istnienie innych.

Zaraz po przybyciu Stenwold i Nemoctes natknęli się na załogę Wys. Posłała żukowcowi lekko poirytowane spojrzenie: oto człowiek, który dawno powinien być już na lądzie, ale zamiast w prawo skręcił w lewo. Laszlo zaś uśmiechnął się do niego szeroko, choć widać było, że jest nieco przemęczony. Był teraz tak samo blady jak morscy i do tego wymizerowany. Stenwold przypomniał sobie, jak Mandir mówił, że lądowi nie wytrzymują długo w Rewirach.

Nie jesteśmy stworzeni do życia tutaj i nasze organizmy najlepiej o tym wiedzą. Półmrok, nawet to powietrze –

wszystko nas tu z wolna zatruwa.

– No i czemu ma to służyć? – zapytała stanowczo Wys Nemoctesa, który ponownie wystąpił w swojej zbroi. – Znów jakieś gierki mózgowców?

Phylles i Fel stanęli tuż za nią, górując swoimi groźnymi sylwetkami nad jej drobną postacią.

– Sprawy wymknęły się wszystkim spod kontroli –

oznajmił Nemoctes. – Ani Claeon, ani Heiracles, ani ja nie panujemy nad sytuacją.

Poprowadził ich do zadaszonogo, przestronnego, pustego serca nowej kolonii. Sufit był ciężki od wiszących na nim stalaktytów i żeber, od których zostaną poprowadzone kolumny i ściany wewnętrzne. Na razie jednak Arketoi udało się stworzyć jedynie szkielet miasta. Pod łukami stały dwie grupy ludzi, wyraźnie trzymające się z dala od siebie. Jedną stanowiła zbieranina mózgowców z Heiraclesem na czele, a Paladryą w środku niczym cennym zakładnikiem. Drugą zaś...

Laszlo, który miał lepszy wzrok, wydał z siebie tak dziki okrzyk, że Stenwold wziął go z początku za jakieś bitewne zawołanie. Nagle muszec wzbił się w powietrze i jednym wielkim skokiem spadł na równie niewielką postać. Wziął ją w ramiona i wybuchnął dzikim śmiechem. Dopiero kiedy go z siebie strząsnęła, Stenwold rozpoznał, kto zacz.

– Na młot i cęgi – wyszeptał schrypniętym głosem. –

Toż to Despard.

Zrobił kilka chwiejnych kroków, wpatrując się w mechanik pokładową *Wolnego od Pływów*, która znów starała się wyzwolić z uścisku Laszlo. Wtedy zauważył

pozostałą dwójkę.

Mocno przygarbiony i wyglądający na człowieka, który pod każdym względem jest ciamajdą, stał tam młody żukowiec, w którym Stenwold rozpoznał Maxela Gainera.

Dawny uczeń Tseitusa i konstruktor *Tseitana* najwyraźniej próbował wyjaśnić, jak to się stało, że znalazł się tu z Despard. Wybór towarzyszy podróży jednak był prawdziwie niezwykły.

Stała tam w łuskowej zbroi, w złotych naramiennikach i srebrnym diademie, w równie bezczelnej pozie jak w Kolegium i na pokładzie *Pływającego Igrzyska Isseleemy* –

Kratia z Tsenu, której ostatnie spotkanie z młodym mistrzem Gainerem skończyło się dla niego niemal śmiercią. Stenwold zbliżył się do niej chwiejnym krokiem, marszcząc czoło.

– Poddaję się – powiedział, zatrzymując się kilka stóp od niej. – Po prostu nie rozumiem. Skąd się pani tu wzięła?

– Jej nie ma co dziękować! – rzuciła Despard spod jego łokcia. – Jak chce pan komuś wyrazić wdzięczność, to tylko nam. Kiedy usłyszeliśmy, że coś was porwało pod wodę, to komuś się przypadkowo przypomniało, co pan mówił o podwodnych łodziach Tseneńczyków. Tylko im do głowy nie przyszło, żeby taką z sobą przywieźć, musieliśmy więc zwrócić się do tego tu chłopaka. – Szturchnęła Laszlo, aż się zatoczył, ale w kącikach jej oczu błysnęły łzy. – Nie chcieliśmy uwierzyć, że zginęliście. Zwłaszcza po tym, co powiedziała. Musieliśmy sprawdzić.

– A co ona takiego powiedziała? – zapytał Stenwold. –

Co ona powiedziała, Kratio? – Zerknął przez ramię na Heiraclesa. – I jak to się stało, że chodzisz wolna? Do tej pory gościnność morskich nie zrobiła na mnie powalającego wrażenia, przepraszam tu serdecznie mistrza Nemoctesa i panią Wys.

Kratia posłała mu zaczepne spojrzenie i wyjęła zza pasa przemoknięty zwój – gruby pergamin morskich wypełniony nieczytelnym dla niego pismem z wielokolorowych plecionek i arabesek.

– Mój lud toczył już w wojnę z morzem wiele wieków temu. I nie potrafiliśmy tego zapomnieć, choćbyśmy nawet bardzo chcieli. To pismo mianuje mnie ambasadorem Tsenu u narodów Atolu Wielkiego i na większych morzach –

oznajmiła Kratia prosto.

– Dobrze, że miałaś je z sobą – odrzekł Stenwold głuchym głosem.

– Mistrzu wojny, gdybyś wiedział, co znajduje się pod powierzchnią, czy postawiłbyś stopę na pokładzie jakiegokolwiek statku bez takiego pisma?

Wzdrygnął się.

– Słuszna uwaga.

Usłyszał za plecami, jak ludzie Heiraclesa zaczynają się wiercić, odwrócił się więc do nich, czerpiąc z czwórki znajomych całą potęgę Nizin i krain leżących za nimi. Zbyt długo był więźniem, zbiegiem, niewolnikiem. Całe jego dotychczasowe życie – jako członka Kolegium, mistrza wojny, szefa wywiadu – zostało mu zabrane jak szata. Teraz ponownie czuł ją na ramionach i niemal się rozplakał, bo znów miał władzę, przynajmniej jej odrobinę, nad swoim przeznaczeniem.

– No i co teraz? – zapytał ich. – Heiraclesie, Nemoctesie? Co dalej? Nie jesteśmy takimi ignorantami, jak mogło się wydawać. A przynajmniej niektórzy na lądzie.

Pojawią się też inni, zaintrygowani. Despard i Laszlo mają sporą rodzinę.

Nemoctes uśmiechał się, ale mina Heiraclesa świadczyła o tym, że on dał się zwieść.

– Zapomniałeś o Rosanderze? – zasyczał. – I inwazji Claeona? Naprawdę myślisz, że twoi ludzie są bezpieczni?

Claeon nawet nie spojrzalby na ten papierek ani nie zawahałby się, widząc nazwę Atolu Wielkiego. Dla nas to miejsce jest tylko punktem na mapie, niczym więcej.

– O niczym nie zapomniałem – odparł Stenwold. – Mój lud jest w większym niebezpieczeństwie, niż wam się wydaje.

Lądowi sami potrafią sobie dostatecznie skomplikować życie.

Ale jedziemy do domu, wychodzimy na ląd. Nawet gdyby mój dom płonął i czekaliby tam na mnie żołdacy, żeby mnie nadzieć na piki, to i tak bym tam wrócił.

Te słowa wywołały ukłucie bólu na myśl o tym, że już nigdy nie zobaczy ani nie dotknie Lyess. Przez chwilę tak silnie odczuwał jej obecność, że wydawało mu się, iż wyraźna srebrzysta poświata jej

towarzyszki opromienia całą grupę niczym księżyc w pełni. *Nie*, powtarzał w myślach, trzymając się kurczowo tego, co znał i w co wierzył.

– Nie, wracamy do domu. – Podniósł wzrok i uśmiechnął się do Nemoctesa. – A teraz porozmawiajmy o Aradoklesie.

Zapadła głucha cisza. Stenwold patrzył po kolei na twarze delegatów Heiraclesa i gdy przez chwilę nie mógł jej odnaleźć, serce ścisnął mu nagły lęk. W końcu ją odszukał.

Stała w cieniu innych i tylko jej oblicze nie zasępiło się na dźwięk imienia następcy tronu.

– Pani Paladryo.

Uśmiech, jaki mu posłała, zupełnie go uspokoił i przegonił wszystkie złe myśli.

– Zabrała pani Aradoklesa na ląd, żeby wydostać go z łap Claeona. Po spotkaniu w Gorących Rewirach zamachowców nasłanych na nas przez admira mogę tylko wyrazić podziw dla pani dalekowzroczności. Wiem, z czym waszym rasom kojarzy się ląd. Ale wiem także, od samego Mandira, że zdarzają się wyjątki. Z jakiegoś powodu wierzyła pani, że chłopak będzie miał większe szanse na przeżycie w słońcu i na powietrzu niż gdziekolwiek pod falami.

Zza ramion Heiraclesa Paladrya skinęła głową. Utkwiła w Stenwoldzie tak intensywne spojrzenie, jakby nikogo innego nie było na świecie. Żukowiec zrobił krok do przodu, a reszta lądowych poszła w jego ślady, jakby chciała go wesprzeć. *To nie to co Tisamon, ale dobrze być wśród przyjaciół.*

– Czy popłynie pani teraz z nami na ląd, żeby pomóc odszukać dziedzica i przywrócić go waszemu ludowi? –

zapytał odważnie, jakby nie był już więźniem.

– Tak – odparła zwyczajnie.

– To jest nie do przyjęcia – warknął Heiracles. – Ludzie z Hermatyre są... zmienni. Muszę ich czymś zjednać, jeśli mamy zdetronizować Claeona. Ta kobieta cieszy się złą sławą...

– ... morderczyni małoletniego admira – dokończył za niego Stenwold. – Pamiętam o tym. Ale ona go nie zabiła.

Wręcz przeciwnie – admira może cieszyć się dobrym zdrowiem. Doświadczyłem wystarczająco wiele, by być pewnym, iż prawowity dziedzic zjednoczy wasz lud o wiele skuteczniej niż jakkolwiek pokazowy proces. – Zerknął na Nemoctesa, potem na Wys i jej załogę. Heiracles przyprowadził z sobą ośmioro służby uzbrojonej w zakrzywione noże, więc Stenwold szacował teraz siły i ich zapał do walki, zastanawiając się, na kim może polegać. –

Gdyby stanął tu przed tobą sam Aradokles, to przecież byś go poparł. Czy nie tak, Heiraclesie?

Zobaczył na twarzy szczupłego mężczyzny oznaki wewnętrznej walki, która obnażała trawiącego go

robaka ambicji, karmiącego się długą nieobecnością dziedzica.

Najwyraźniej od pięciu lat chwycił się nadziei, że chłopak nie żyje, i tym samym wierzył, że po obaleniu Claeona to on zasiądzie na tronie. Paladrya i jej oświadczenie zdecydowanie nie były mu na rękę. *Najwyraźniej chciał, żeby to lud rozerwał ją na strzępy, bo gdyby było inaczej, już by nie żyła*, stwierdził Stenwold.

– Heiraclesie – odezwała się Paladrya.

Szarpnął głową w jej stronę, wciąż mając na oku lądowych.

– Nie masz tutaj prawa głosu – ostrzegł ją.

– Nie możesz ich tu teraz zatrzymać. Jeśli będziesz się starał to zrobić, nie tylko ci się nie uda, ale jeszcze pokażesz, że nie jesteś lepszy od Claeona.

Przez oblicze Heiraclesa przemknął cień spontanicznej reakcji, która dobitnie przemówiła za niego, zanim zdołał ją stłumić. Nie miał złudzeń i z cynizmem podchodził do innych. I jak wszyscy ludzie tego rodzaju spodziewał się po innych tego samego. Myśl, iż ktoś mógłby naprawdę uwierzyć, że różnił się czymś od Claeona, była dla niego zaskoczeniem. Ale gorycz, jaką przez chwilę można było dostrzec na jego obliczu, świadczyła o tym, że taka różnica istniała naprawdę, choć topniała z każdą chwilą wobec perspektywy objęcia władzy.

Paladrya zaczerpnęła głęboko powietrza.

– Uważam, że Aradokles żyje, ponieważ nie zniosłabym myśli, że jest inaczej – wyjaśniła. – A jeśli tak, to w końcu do nas wróci. Przymusi go do tego jego dziedzictwo. I być może naprawdę ściągnie armię lądowych, by upomnieć się o swoje.

Być może stwardniał na nieprzyjaznym lądzie tak, że to Rosander powinien się go obawiać. Któż to może wiedzieć, kim uczyniło go wygnanie? Ale na pewno zapamiętał mnie, Heiraclesie. Jeśli żyje i choć już dawno nie jest chłopcem, którego znałam, wiem na pewno, że mnie pamięta. Jeśli tak jest, czy chcesz, żeby wrócił i poprowadził swych przyjaciół

przeciwko Claeonowi, żeby odzyskać tron i nagrodzić tych, którzy byli mu wierni, czy też żeby wrócił później i zastał na miejscu osobę, która straciła z tronu jego stryja, ale i skazała na śmierć jego dawną guwernantkę? Co wtedy byś mu powiedział? I czy wydaje ci się, że potrafiłbyś rozbudzić taką miłość w ludziach do siebie, że zdołałbyś uniknąć konsekwencji swych czynów? Nie jesteś Claeonem. Nie upodabniaj się do niego.

I Stenwold, weteran potyczek słownych, miał ochotę wiwatować na jej cześć. Nawet mimo obecności strażników była jednym z najzarliwszych adwokatów w najtrudniejszej sprawie, o jakiej kiedykolwiek słyszał. *Młody ksiązę miał*

doskonałą guwernantkę, pomyślał. I jeśli Heiracles się z tym nie zgodzi, to ja ją uwolnię. Jestem gotów posunąć się nawet do tego, choć nie przyjdzie mi to łatwo. Po złożeniu tej przysięgi poczuł, jak coś w nim pękło, jakby wielki ciężar oceanicznej wody zaczął na niego naciskać, chcąc

zatrzymać go dla siebie albo dla kogoś innego, ponieważ ukłucie gniewu i straty, jakich doznał, nie należały do niego.

– Gdyby dziedzic wrócił – oznajmił Heiracles ostrożnie

– znalazłby we mnie najwierniejszego poddanego.

Pragmatyzm wyprał jego twarz z wszelkich uczuć.

Pozycja doradcy młodego admira nie była taka najgorsza –

zdawała się mówić jego mina. Ambicje na koronę zniknęły w głębinach, nie wzbudzając nawet zmarszczki na powierzchni, i wróciła jego dostojna poza męża stanu. Ulga, jaką Stenwold poczuł, była nieproporcjonalna.

– W takim razie będę potrzebował Paladryi – oznajmił.

– Oczywiście.

Heiracles odsunął się z gracją i kobieta wyszła spomiędzy strażników, a następnie sztywno jak automat zbliżyła się do Stenwolda, jakby obawiała się, że lada chwila ktoś się rozmyśli. Wyciągnął do niej dłoń, którą przyjęła z wdzięcznością, dołączając do jego grupy.

– Nemoctesie, dziękuję ci za pomoc – powiedział

oficjalnie.

Nie czuł czystej radości na myśl o odejściu z tego miejsca i powrocie do domu, jedynie przytłumione, niedające spokoju wrażenie wysiedlenia. *Ale przecież chcę tego. Cóż mogłoby mnie tu zatrzymać...*

– Zamierzam tu wrócić – powiedział tylko i pelagik skinął mu głową.

– Odprowadzę was aż pod sam ląd. Być może również inni będą eskortować twoją ekipę.

Stenwold poczuł, że coś wierzgnęło w jego wnętrzu, jakiś irracjonalny przypływ emocji, zupełnie nie na miejscu i sprzeczny z jego naturą. *Zostań. Zdławił tę myśl. Nie mogę...*

Czeka na mnie ważne zadanie.

– Skąd będziemy wiedzieć, że odnaleźliście chłopca? –

zapytał Heiracles, widząc, że Stenwold zbiera się w drogę wraz z jego cenną zakładniczką.

– Twoi agenci mogą wyruszyć ze mną, jeśli chcą –

odparł żukowiec.

– Jacy agenci? – zapytał już zły mózgowiec.

Wśród jego ludzi zapanowała wyraźna konsternacja, bo nikt nie kwapił się do wyjścia na ląd. Stenwold zerknął w stronę Laszlo, który skinął głową, szeroko się uśmiechając.

– Pani Wys – zaczął żukowiec. – Odważy się pani popłynąć ze mną?

Obserwował reakcję, jaką wywołało to pytanie wśród jej załogi. Phylles skrzywiła się jeszcze bardziej, Fel jak zwykle był wyzywający, ale na twarzy Wys odmalowywały się wszystkie uczucia od zaskoczenia przez lęk aż do niecierpliwości.

– Na brzeg, lądowy? – zapytała. – Żeby sprowadzić prawdziwego admira? To jedno z zadań, na których człowiek buduje swoją reputację, prawda?

– Jesteś szalona – stwierdził Heiracles beznamiętnie. –

Wariatka albo litoralistka.

– Ani to, ani tamto, mówiąc szczerze. Usłyszysz za to, jak my, małoszczypcy, zawsze wykorzystujemy szanse –

odparła zaczepnie. – No i? Mianujesz mnie swoją agentką?

– Skoro jesteś na tyle szalona kobieto, masz moją przychylność – oznajmił kwaśno Heiracles.

– No to w drogę – wtrącił się Nemoctes dźwięcznym głosem. – Nawet nie chcę myśleć, jak szybko agenci Claeona dowiedzą się o tym spotkaniu, tak jak dowiedzieli się o ostatnim. – Popatrzył Stenwoldowi w oczy. – Powodzenia, lądowy.

– Wasz chłopak może płynąć z nami – zaproponowała Wys.

– Ten tu gagatek popłynie wyłącznie na *Wolnego od Pływów* – oznajmiła stanowczo Despard, obrzucając małoszczypcą kobietę nieprzyjaznym spojrzeniem i wieszając się na ramieniu Laszlo.

Muszec już kręcił głową.

– Nie, wy weźmiecie mistrza Stenwolda – zarządził. –

Ufam Wys. – Mrugnął. – Mamy wspólny interes.

Despard patrzyła na niego, jakby postradał rozum.

– A jeśli będę musiała powiedzieć mistrzowi Tomasso, że stracił swego bratanka z powodu interesu? – zapytała dobitnie.

– On zrozumie – rzucił Laszlo.

– Nemoctes ma rację – zwrócił się do wszystkich Stenwold. – Płynmy, póki przyływ nam sprzyja.

TRZYDZIEŚCI TRZY

Wnętrze *Tseitana* mieściło dwóch pasażerów i żadnych zbędnych wygod. Przy czwórce było tu ciasno i niewygodnie, choć jedno z nich było muszcem. Stenwolda wciąż bolało serce, kiedy wypłynęli z doku niewielkiej kolonii. Nie chodziło tylko o to, że wracali do domu, gdzie było niebo, ale też o ruchy płynnych odnoży *Tseitana* – szybkie i pewne, o wiele bardziej naturalne niż szarpnięcia maszyny Wys czy widmowe sunięcie po głębinach bestii Nemoctesa. Stanowiły przykład dobrej, solidnej myśli inżynieryjnej Kolegium. *A poza tym widać dokąd się płynie.*

Podróżowanie w jamie ciała morskiego potwora Gribberna było niezwykle dziwnym doświadczeniem. Nawet komnaty Nemoctesa przypominały zdobną trumnę. To prawda, wokół było ciemno, ale fosforyzujące światła kolonii mrugały do nich bladobłękitną poświatą na pożegnanie.

Stenwold zobaczył, jak podwodnik Wys podskakuje i kiwa się w wodzie, zanim mechanizm sprężynowy i pompy zaczęły pracować, i wtedy wystrzelił niezwykle lekko w ciemność.

– Jak nawiązaliście kontakt? – zapytał, gdy *Tseitana* ruszył ich śladem. – No i skąd wiedzieliście, gdzie nas szukać?

Czuł się dziwnie, jakby jego ciało skręcało się w niewidzialnym uścisku. Morscy ostrzegali go – to było wyrównanie, tylko w drugą stronę, które musieli przejść wszyscy lądowi, żeby dotrzeć na dno morza.

– Musieliśmy im zaufać, żeby nas do was doprowadzili

– usłyszał dźwięczny głos Kratii. – Chciałam powołać urząd wysłannika, ale ci twoi morscy to jakaś banda dzikusów.

Mieszkańcy Atolu Wielkiego mają przynajmniej jakieś maniery. Miejscowi politycy jednak szli nam na rękę, inaczej nigdy byśmy was nie wydostali.

– Częściowo szli – przyznał Stenwold. – A może raczej należałoby powiedzieć, że negocjowaliście w nie najlepszym dla nich momencie. Pewnie pod rządami poprzedniego władcy byli chętniejsi do współpracy i mam nadzieję, że tak znów będzie.

– Masz zamiar przywrócić im prawowitego dziedzica? –

zapytała Kratia.

– Jeśli jest kogo przywracać.

Możliwość, że Aradokles nie żył od wielu lat, że zginął

zaraz po tym, jak rozstał się z Paladryą, była rozważana przez wszystkich, ale nikt tego nie wypowiedział na głos. *Stanę jednak na ziemi i będę wolny, i z całą pewnością jest to największa korzyść z wszelkich umów z nimi. Bardzo niewiele zawdzięczam ludziom morza. Ciekawe, jak potoczyły się sprawy w Kolegium i czy będę musiał coś odkręcać.* Kierując się tą myślą, zapytał:

– Zgaduję, że trzymaliście to w tajemnicy przed Vekkeńczykami? Nie rozumieliby.

Odpowiedź nie padła od razu, więc wykręcił szyję, żeby zobaczyć jej minę. We wnętrzu *Tseitana* paliła się tylko jedna mdła lampka, ale z łatwością dostrzegł rozbawienie na jej bladym licu.

– No mów – zachęcił ją.

– Przyplłynęliśmy tu z ich błogosławieństwem –

oznajmiła.

Stenwold aż się zakrztusił, ale obok niego zapiszczał

Maxel Gainer:

– To prawda, mistrzu Makerze. W związku z pana zaginięciem nastąpiło wiele ciekawych zdarzeń: ustanowiono bohaterem mistrza Tseitusa i pański człowiek, mistrz Drillen, wysmażył rozejm w związku z *Tseitaniem*, więc mogliśmy dalej budować. A potem oni kazali jej i jednemu z vekkeńskich ambasadorów coś podpisać i we dwójkę przyszli do mnie z tą muchopodobną dziewczyną i powiedzieli, że musimy wyruszać na poszukiwanie pana.

– Ta muchopodobną zaczęła to wszystko – rzuciła Despard zgryźliwie. – Beze mnie nie byłoby was tutaj i lepiej o tym pamiętajcie.

– Bo widzi pan, mistrzu Makerze, przedstawił pan bardzo rzeczowo swoje racje nam i tym z Veku. Kolegium ma bogactwa, których my nie posiadamy, i każdy, kto by je odrzucił, ustąpiłby miejsca innym, skłonny do ugody.

Gdyby Vek albo Tsen odwróciły się plecami do handlu z Kolegium, wtedy jedno z nich wcześniej czy później bardziej by na tym skorzystało. Wystarczyło przywołać przykład Sarnu sprzed lat. Myślę, że gdyby to od nas zależało, najchętniej widzielibyśmy Kolegium znikające na zawsze z mapy świata. Ale skoro elita z Veku nie dała wam rady, a my nie mamy na to sił i środków, to jedynym wyjściem było przyjęcie waszej zbójckiej propozycji. Tak więc Kolegium wygrało i z łatwością można stwierdzić, że każde z naszych miast może zawrzeć uczciwy układ wyłącznie za twoim pośrednictwem, Makerze. Ufamy ci, ale twoi kolesie oszukaliby nas i sprzedali za garść miedziaków. To był bardzo dziwny dzień, kiedy spojrzałam człowiekowi z Veku prosto w oczy i nie potrzebowałam żadnej sztuki, żeby zobaczyć, że myślimy tak samo.

Stenwold oparł się, uderzony zimną logiką tego rozumowania.

– Być może z czasem, droga Kratio, wasi ludzie nie będą widzieli w tym kielichu wyłącznie trucizny – zamruczał. –

Przynajmniej mieszkańcy Sarnu nie żałują tego układu.

– Ponieważ oswoiliście ich jak zwierzęta – odparła Tsenenka pogardliwie.

Stenwold wzruszył ramionami, czując zbyt wielkie zmęczenie całą tą sprawą, żeby się kłócić. *Przynajmniej na razie ich mamy, i Vek też. Dwa lata żmudnej dyplomacji wydały w końcu pierwsze owoce. Dziwne, że rozwiązanie problemu Veku spowodowało zaangażowanie kolejnych mówców.*

– Mistrzu Makerze – odezwał się Gainer. – Jacyś pańscy koledzy?

– Hm?

Stenwold zerknął przez szybę. Ciemność przed łodzią była niemal nieprzenikniona i zobaczył tylko światła statku Wys przed nimi.

– Kolejna jednostka właśnie śmignęła między nami. Na pewno – poinformował go Gainer.

– Pewnie Nemoctes – stwierdził Stenwold. – Miał być tu gdzieś w pobli... – Kiedy to mówił, jakiś biały kształt zamajaczył przed nimi na czarnym tle.

Był wysmukły i opływowy, z pękiem macek kłębiącym się z tyłu. Pojawił się też na sekundę wysmukły jeździec z lancą, nachylony do przodu tuż nad wielkim ślepiem stworzenia. Od razu zniknął, zostawiając Stenwolda z dylematem: Heiracles czy Claeon?

– Podpłyn bliżej do Wys – polecił.

Przeczuwał kłopoty. Mógł mieć tylko nadzieję, że Wys lepiej wiedziała, co się dzieje.

Nagle w ciemnej wodzie się zakotłowało.

Strzałkopodobni nadpłynęli całą gromadą ze wszystkich stron, wpadając co chwila w snopy światła rzucone przez dziobowe reflektory *Tseitana*, po czym znikali w zwartej formacji. Znów dostrzegł ich cienie w poświacie drugiego podwodnika, widział, jak rozdzielają się, nie atakując, i ponownie giną w ciemnościach. Bez wątpienia był to szturm, ale został odparty za sprawą jakiejś sztuczki Wys.

– ■

Znaleźli nas – powiedział Stenwold, czując na ramieniu zaciskającą się zimną dłoń. *Tak blisko, już jest tak blisko.*

Przecież teraz nie mogą mnie powlec z powrotem w głębiny. Boleśnie odczuwał niemożność porozumienia się z Wys. Teraz mowa na odległość pelagików byłaby nieoceniona.

Wkrótce jeźdźcy wrócili. Jeden zrobił wypad wprost na dziób *Tseitana*, ale zawrócił w ostatniej chwili, tak że zobaczyli tylko pociągłą kobiecą twarz z dużymi oczami.

Stenwold zgadywał, że dziwna konstrukcja podwodnika z Kolegium musiała ich powstrzymywać, ale ten dystans wkrótce zniknie. Zbliżali się teraz do statku Wys na odległość umożliwiającą rozpoznanie siedzących w nim postaci.

Drobna kapitan coś im sygnalizowała, niecierpliwymi, egzaltowanymi ruchami.

Coś bladego i bezkształtnego przemknęło w spienionej wodzie za drugą burtą podwodnika Wys, na chwilę oświetlone lampami pozycyjnymi statku. Stenwold zdążył

dostrzec wąską kreskę źrenicy w wielkim pstrokatym oku, które już poznał.

– Arkeuthys – wymruczał.

Sprawca ich porwania pojawił się, żeby uniemożliwić im ucieczkę. Wtedy *Tseitaniem* szarpnęło i zatrzęsło, aż zarezonował pod wpływem uderzenia.

– Dostaliśmy? – dopytywała się Despard z oczami wielkimi jak spodki.

Gainer pocił się nad sterami, starając się wyrównać kurs, ale po chwili znów nimi zatrzęsło, rzucając ich na bok, i Stenwold zrozumiał: nacierali na nich strzałkopodobni, nurkując w kilku naraz i krusząc kopie na kadłubie podwodnika.

– Gainer, z czego zrobiony jest kadłub? – zapytał ostro.

Pilot zgrzytnął zębami.

– Z ferrytu na stali pumeksowej – wywarczał, ale wszystkie te materiały były nowe i Stenwold nie znał ich nazw.

– Jest mocny? Wbijają w nas włócznie.

– Włócznie? – Gainer parsknął nerwowym śmiechem. –

A niech sobie dźgają kadłub do woli, tylko niech nie tykają odnóży.

Ta uwaga spowodowała, że Stenwold poczuł zimny dreszcz na plecach. Wystarczyło uszkodzić kilka odnóży pławnych *Tseitana*, a statek padnie ofiarą Arkeuthysa albo będzie dryfował i ostatecznie zatonie, stając się wyłącznie technicznie zaawansowanym grobowcem całej czwórki.

– Wynurzaj się – zarządził. – Może nie lubią słońca.

– Jest noc – wtrąciła się Despard i Stenwold zamrugał

szczerze zadziwiony. Minęło sporo czasu od momentu, gdy ostatni raz potrzebna mu była taka informacja.

Nastąpiło kolejne uderzenie, tym razem od prawej burty, za iluminatorami, i rzuciło nimi w dół.

– Nie martwcie się o szkło – oznajmił inżynier, próbując wyprostować kurs, choć wcale nie musiał tego mówić. – Jest tak grube, że i z pukoluku nie przebijesz. Wiem to, bo sam testowałem.

Podwodnik Wys tańczył im wściekle przed oczami, niemal przechylając się całkiem na bok, ale parł naprzód, a jego pompy zamazywały widok. Kawaleria strzałkopodobnych przypominała białe strzały

pikujące w ich stronę i zawsze zawracające w ostatniej chwili, bo wierzchowce się narowiły z jakiegoś powodu.

Nagle coś przesłoniło im widok, cały świat. Splecione krawędzie muszli śmignęły tylko przed nimi, a Gainer krzyknął i skręcił ster. Wisieli niemal do góry dnem, przepływając koło łba potwora dorównującego wielkością ich statkowi, z kałamarnicą trzepoczącą się w sieci jego wysmukłych macek. Nagle zwierzę odpłynęło do tyłu, ciągnąc za sobą swoją zdobycz.

– Co... co to było?! – pisnęła Despard.

– Nemoctes – odparł Stenwold. – Na szczęście jeden z naszych. – *I miejmy nadzieję, że zwołał wszystkich okolicznych pelagików, bo ich pomoc będzie niezbędna.*

Kolejna strzała śmignęła im przed dziobem, a jeździec skrócił wodze na ich oczach, gdyż znalazł się zbyt blisko, by na nich uderzyć.

– Odciągnij! – zawołał odruchowo Stenwold, ale Gainer skręcił w złą stronę i coś ciężkiego i miękkiego zderzyło się z nimi – pewnie jakiś rumak.

Nagle zaczęli schodzić w dół, przytłoczeni początkowo przez wagę potwora, a potem w wyniku jego działań, gdyż próbował nimi szarpać. Rozległ się ohydny zgrzyt dobiegający gdzieś z zewnątrz, kiedy macki stworzenia wzmocniły chwyt. Dwie czy trzy zaszurały o iluminatory i widać było, że pod spodem nie mają przyssawek, lecz haki zostawiające na szkle białe linie. Gdzieś nad ich głowami rozległ się huk, a potem dźwięki sugerujące, że coś ciężkiego i dzikiego próbuje wgrzyźć się w metal.

– Na co czekasz?! – Despard wydarła się na Gainera.

– Skończyłem! Już gotowe! – odkrzyknął do tyłu. –

Ramiona przy sobie! Wszyscy ramiona przy sobie!

– Co? – Stenwold popatrzył na niego zaskoczony.

– Niech pan nie dotyka ścian, mistrzu Makerze!

Stenwold przysunął do siebie łokcie, wciąż nalegając, by ktoś mu wreszcie powiedział, co się dzieje, i wtedy Gainer wykrzyknął:

– Teraz!

I Despard opuściła wajchę, obok której siedziała. Przez sekundę wewnątrz *Tseitana* rozbłysło białą poświatą. Stenwold krzyknął, pewny, że coś wybuchło w maszynie. Widział

wszystko jak w negatywie, ale macki zniknęły. Po dłuższej chwili zobaczyli, jak blada plama odpływa od nich w głąbiny z odwiniętymi mackami, a obok niej unosi się mniejsza postać.

– Co się stało? – zapytał niemal z szacunkiem, kiedy Gainer wyciągał ich w górę, wracając na kurs.

– To efekt uboczny pracy silnika, który odkryliśmy po skonstruowaniu pojazdu – wyjaśnił niemal radośnie. – Silnik ma sporo magnesów, więc jeśli się nie postępuje ostrożnie, można stworzyć niezłą różnicę potencjałów między dziobem i rufą. Jeden z uczniów mistrza Tseitusa niemal zginął, gdy odkryliśmy to w prototypie.

– Chcesz mi powiedzieć, że... ?

– Przez ułamek sekundy kadłub zadziałał jak kondensator – potwierdził Gainer. – To wada konstrukcyjna, ale pomyślałem, że pewnego dnia może się przydać.

– Mistrz Tseitus byłby z ciebie dumny – orzekł

Stenwold.

Choć pewnie nie była to prawda, gdyż mrówiec rezerwował dumę dla siebie. Ale chłopak zasłużył na pochwałę, a Tseitus zasługiwał na to, żeby go dobrze wspomiano.

– Mam taką nadzieję – odparł Gainer, po czym wykrzyknął: – Na młot i cęgi, co to takiego?!

Znów widzieli statek Wys, ale teraz wyglądał inaczej.

Kiedy Stenwold zrozumiał, co się stało, serce ścisnęła mu prawdziwa trwoga. Wokół zarysu podwodnika Wys poruszały się liczne ramiona Arkeuthysa – wielka ośmiornica trzymała bezradny stateczek w uścisku i niewątpliwie ostry dziób już próbował się dostać do apetycznych kasków w jego wnętrzu.

– To jest... – Stenwoldowi zabrakło słów.

– To wygląda cholernie podobnie do tego, od czego zaczęła się ta cała zabawa – odpowiedziała za niego Despard.

– Jak byłam na górze, widziałam to przez chwilę. I szczerze mówiąc, napatrzyłam się wtedy za wszystkie czasy.

– Czy my ich potrzebujemy? – zapytała chłodno Kratia.

– Tak! – ryknął na nią Stenwold i Despard dodała swoje:

– Tam jest Laszlo!

Zaciskała małe dłonie w pięstki, jakby miała ochotę rzucić się na mrówczycę.

– Staranuj go – zaproponował Stenwold. – Możemy go staranować?

– Jakby pchła skoczyła na psa – powiedział Gainer, ale minę miał zaciętą. – Mamy jednak coś jeszcze w zanadrzu, prawda?

Wyrównał kurs, kierując się wprost na unieruchomiony statek.

– Chcesz mi powiedzieć, że konstrukcja jest uzbrojona?

– zapytał Stenwold. – Czy zatwierdzili to na uczelni?

– Mistrzu Makerze, został pan schwytyany przez cholernego, zapluskwionego potwora z morza – przypomniała mu Despard. – Jak pan myśli, przyplłynęlibyśmy tu z pustymi rękami?

Patrzyli, jak morski lewiatan wraz z podwodnikiem kręci się i kołuje, a Gainer robił, co mógł, by utrzymać stabilny kurs *Tseitana*.

– Zupełnie jak pukołuk – zamruczał pilot przez zaciśnięte zęby. – Jak prawdziwy wielki pukołuk z takim wykopem, że aż trudno uwierzyć.

– Uważaj w takim razie, żeby nie podziurawić ich statku

– ostrzegł go Stenwold. – Dlaczego tak nami rzuca?

Gainer cofał teraz *Tseitana*, którego kończyny wiosłowały raz wstecz, raz w przód, oszukując wciąż śmigających wokół strzałkopodobnych.

– Żeby wycelować pocisk – wyjaśnił młody żukowiec. –

Muszę celować w cały statek.

Świdrujące ślepie Arkeuthysa patrzyło wprost na nich, kiedy Gainer delikatnie ustawiał *Tseitana*. Stenwold wpatrywał się w to oko większe od niego i skupione bezdusznie na nich, choć jednocześnie liczne ramiona potwora wyginały się, szukając lepszego punktu podparcia na muszli Wys.

– Już jesteś u celu – naciskała Despard. – W samym środku. No, strzelaj z tej cholernej pukawki!

Gainer mruknął coś, ale już sięgał do dźwigni nad głową. Stenwold zerknął do tyłu i zobaczył niepokój muchopodobnej o Laszlo oraz jawną obojętność Kratii.

Gainer dokonał korekty pozycji wolną ręką. I kiedy Stenwold znów spojrzął przed siebie, olbrzymie oko zwężyło się i nagle Arkeuthys porzucił swoją ofiarę, odskakując od niej. W jakiś sposób potwór odgadł to, czego nie byli w stanie zgadnąć nawet morscy – zagrożenie, jakie przedstawiali sobą lądowi.

Gainer wykrzyknął:

– Nie! – i pociągnął za dźwignię.

Tseitaniem szarpnęło do tyłu z dużą siłą, kiedy srebrzysty pocisk zabłysnął w skąym świetle głębin, skacząc jak żywe stworzenie w stronę uciekającej ośmiornicy.

Uderzył. Musiał trafić. Nagle morze zmieniło się w kocioł gotującego się czernidla! *Krew!* – pomyślał Stenwold, ale oczywiście był to inkaust głowonoga. Pierwszy z kotłującej się chmury wyłonił się przechylony na bok statek Wys, którego syfony już miarowo pompowały wodę.

Podskakiwał jeszcze trochę, ale był nienaruszony. Strumień połyskujących baniek unoszących się z jego burty był

naprawdę nikły, a Stenwold wiedział, że Wys zagoniła wszystkich do pomp, by posłali morską wodę tam, gdzie było jej miejsce.

Nagle zza podwodnika i zza granatowej zasłony wypadł

Arkeuthys, jak wściekły morski bóg o wielu odnóżach rozpościerając swoje rozłożyste cielsko nad nimi. Jedna macka oplatała trzon pocisku Gainera, który musiała wyrwać z ciała.

– Czas na powtórkę – powiedział Stenwold z napięciem w głosie.

– Nie ma powtórki – oznajmił Gainer.

– Jak sądzę – zwrócił się Stenwold tym razem do Kratii

– nie masz dla nas żadnej rady, choć twój lud ma bogate doświadczenia związane z morzem?

– Mam jedną: nie zaczynać wojny z morskimi – orzekła, sprawiając wrażenie całkiem opanowanej. Dłonie złożyła na kolanach, jakby pogodziła się z czekającym ich losem.

Przez jakiś czas, nikt dokładnie nie wiedział, jak długo, unosili się tak w wodzie, w pozornym bezruchu, choć Maxel Gainer wiosłował jak najszybciej do tyłu – uszkodzony statek Wys i wielka płatanina macek w ciemnej chmurze, wyglądająca jak jakiś niemożliwy do rozszyfrowania run w dawno zapomnianym języku.

Nagle ośmiornica zaczęła się wycofywać, skręcając się i pulsując ramionami, i dostrzegli światło, blade światło padające na wszystko wokół.

– *Jestem tu.*

Stenwold podskoczył i spojrzał na pozostałych, szukając w ich twarzach jakiegoś znaku, że też usłyszeli ten głos. *Nie mogłem tego słyszeć. Nie mogę... nie ma mowy.*

Kiedy pierwsza wstęga błyszczącej koronki musnęła pokrywą *Tseitana*, usłyszał Kratię – no właśnie, Kratię –

która z nabożną czcią coś szeptała. Wtedy połyskliwa i pulsująca towarzysza Lyess zasłoniła ich ścianą parzydełek przed wijącą się bryłą Arkeuthysa.

Stenwold myślał, że potwór ucieknie, tak jak to zrobił po śmierci Gribberna, ale tym razem po prostu wisiał w wodzie, łypiąc złowrogo przez ostatnią smugę rozrzedzającego się w wodzie czernidla.

Statek Wys też znieruchomiał, błyskając mocnymi światłami, i Stenwoldowi wydawało się, że dostrzega jakiś cień na krańcu promieni, który mógł być towarzyszem Nemoctesa niespokojnie krążącym wokół. *Jeśli wyjdziemy z jej cienia, wystawimy się*, pomyślał Stenwold.

Chyba że... Zastanawiał się, jak wiele rozumiał Arkeuthys. Na ile ludzki był to umysł i czy potrafił przewidywać.

Nagle potwór ruszył, wzburzając wodę. W tej samej chwili towarzyszką Lyess zaczęła się wznosić, wolno i z gracją jak startujący statek powietrzny. Arkeuthys był blisko i nadciągał coraz szybciej, unosząc się nad ich głowami.

Stenwold zobaczył, że światło Lyess padło na coś połyskliwego.

Ośmiornica zaatakowała niemal ostrożnie, wyciągając ramię do granic możliwości, by żadne z nich nie dotknęło nawet parzącej zasłony. Jej macki nie były już tylko zwykłymi kończynami, bo w jednej trzymała harpun z *Tseitana*, a w drugiej – zgubioną przez strzałkopodobnego lancę. Stenwold widział, jak się zagłębiają w ciało towarzyszki Lyess i rozrywają je niepewnymi szarpnięciami, gdyż ośmiornica posługiwała się tymi narzędziami po raz pierwszy.

Przypomniały mu się człekoryby przypadające do meduzy i raz za razem atakujące ją z góry w miejsce, którego nie mogła osłonić.

– Gainer! Podnieś nas i wyceluj w potwora – rozkazał. –

Podnieś nas, żebyśmy mogli stanąć między ośmiornicą i nią.

– I nią... ? – zdziwił się Gainer, ale Stenwold warknął

tylko na niego:

– Po prostu nas podnieś!

Pilot pospiesznie pociągnął za drążki i *Tseitana* zaczął się wspinać po drabinie światła pozostawionej przez festony Lyess.

Meduza już drżała na całym ciele. Arkeuthys nie chciał

ryzykować podpłynięcia bliżej i zadania decydującego ciosu, ale nadrabiał to celnością, złościąc sobie drobnymi kawałkami drogę do skrytej w środku kobiety. Stenwold zacisnął zęby, nie mogąc oderwać wzroku od tej rzezi. *Za wolno się wznosimy*. Wpatrywał się w jaśniejące ciało drżącego stworzenia, mając nadzieję, że dostrzeże gdzieś Lyess.

Nagle jakiś tępy, ciężki kształt wystrzelił w stronę przezroczystej czaszy. Nemoctes nie wspierał się sztuką podczas ataku. Jego stworzenie nie było żadnym przeciwnikiem dla Arkeuthysa, ale było duże i opancerzone, a on skierował je wprost na ośmiornicę z całą prędkością, jaką był w stanie wydusić z syfonów zwierzęcia. Potwór odskoczył

i chwilowo zaniechał ataków. Jego macki ruszyły do przodu i błyskawicznie oplotły prążkowaną muszlę, po czym jednym ruchem odrzuciły Nemoctesa na bok, aż wraz ze swoim stworzeniem zawirował w wodzie z dala od nich, co niewątpliwie wprowadziło niezłe zamieszanie wśród jego pamiątek. Wtedy ośmiornica wróciła do przerwanej czynności, ale spostrzegła, że już czeka na nią *Tseitana*.

– Mistrzu Makerze, nie mamy niczego! – przypomniał

Gainer. – Nie mamy drugiego pocisku, a nawet tyle napięcia, żeby porazić ją prądem.

– Wyceluj, jakbyś strzelał z kuszy – upierał się Stenwold. – Jakbyś miał drugi harpun i chciał go wbić mu między ślepia. Wyprostuj, jak tylko się da.

– Będziemy łatwym celem – ostrzegła ich Kratia.

– Myślisz, że miałyby jakieś problemy z pochwyleniem nas, gdyby miał na to ochotę? – zapytał Stenwold.

– To prawda, nie miałyby.

Zmrużone ślepie Arkeuthysa wwierało się w nich, a dwa skalpele zawisły na końcach macek. Gainer coś tam majstrował przy sterze i w końcu stanęli precyzyjnie na wprost tego spojrzenia.

Z przerażająco ludzkim skurczem wściekłości ośmiornica gwałtownie odskoczyła, machając mackami na wszystkie strony, i znikła w czarnej otchłani.

Stenwold usiadł wygodnie, czując falę ulgi. Nie wiedział

tylko, czy spłynęła na niego dlatego, że żyje, czy też dlatego, że Lyess i jej towarzyszka nie zginęły.

– Jedźmy do domu – powiedział cicho. – Prosto do domu.

A w zakamarkach umysłu usłyszał jej cichy głos:

– *Wrócisz do mnie, pewnego dnia do mnie wrócisz.*

CZEŚĆ TRZECIA

Ślady na piasku

TRZYDZIEŚCI CZTERY

Używając kompasu, zegara i wszystkich innych sztuczek, w których załoga *Wolnego od Pływów* doskonaliła się od lat, Despard prowadziła ich do domu. Kiedy minęli brzeg szelfu, Gainer zaczął prowadzić, robiąc *Tseitaniem* duże półkola i sprawdzając od czasu do czasu, czy podskakująca w wodzie muszla Wys wciąż jest za nimi. Podróż była długa, dlatego wypływali na powierzchnię kilka razy, by zaczerpnąć świeżego powietrza. *Tseitana* leżał na wzbierających falach jak żywe stworzenie

wygrzewające się na słońcu, a drugi pojazd przechylał się niebezpiecznie obok niego, ponieważ konstruktorzy nie zaprojektowali go do wynurzeń. Załoga Wys jednak dostarczała im żywność i świeżo natworzoną słodką wodę, gdyż *Tseitana* nie miał dużej ładowni, i do tego wiozł na swoim pokładzie sporego Stenwolda.

W końcu zbliżyli się nie tylko do lądu, ale też do miasta

– białych kamieni połyskujących na pociemniałym wybrzeżu w zachodzącym słońcu. Gainer zawiódł ich na drugą stronę muru, do miejsca tajemnych spotkań, gdzie po uiszczeniu odpowiedniej kwoty władze portowe taktownie odwracały oczy. Fala była wysoka, więc żaden inny statek nie odważył się tu cumować. Tym samym nie było świadków przybycia *Tseitana* ani też nikogo, kto mógłby wypatrzyć zaokrąglony kadłub o wiele większej lalnostki, która wynurzyła się obok niego.

Despard wleciała na szczyt klifu z drabinką sznurową, bo jej skrzydła były na tyle mocne, że poradziła sobie z takim ciężarem. Następnie przymocowała ją na górze i pozwoliła końcówce spaść wzdłuż skały niczym serpentyna.

Uzgodniono, że Gainer zaprowadzi *Tseitana* do uczelnianego doku, i na razie Stenwold nie chciał, żeby rozniosła się wieść o jego powrocie – choćby po to, by mógł uniknąć niekończących się pytań. Gainer musiał więc trzymać gębę na kłódkę, a Stenwold miał wślizgnąć się do miasta po cichu.

Taki był plan.

Stenwold wspiał się po drabince sznurowej z większą swobodą, niż po niej schodził na pokład *Pływającego Igrzyska Isseleemy* jakiś czas temu. Kratia ruszyła za nim – i to jeszcze sprawniej. Kiedy znalazł się na górze, spostrzegł, że niebo zdążyło już poszarzeć. Nie był to wspaniały krwawy zmierzch rzeźnika ani też czerwony wieczór dający pokrzepienie pasterzom i żeglarzom czy koniec dnia sprzyjający ciemcom i modliszowcom w niesieniu śmierci i zniszczenia. Zachód był blady, niemal bezbarwny, bez krztyny teatralności. Coś jednak chwyciło go za gardło i łzy napłynęły mu do oczu. Padł na kolana na twarde kamienie, ponieważ był to najpiękniejszy widok, jaki zobaczył w życiu.

Dobiegło go jakieś chlupotanie i Laszlo wylądował tuż obok, ociekając wodą, ale za to z uśmiechem szaleńca na ustach. Stenwold podniósł na niego wzrok – był jedyną osobą, która go teraz rozumiała.

– Misz-Maker – skinął głową muszec, solidaryzując się z nim w uczuciach.

– Jesteś chlubą swojej rodziny – powiedział mu Stenwold.

Drabinka sznurowa szarpała się na wszystkie strony i przesuwiała, więc Stenwold wyciągnął dłoń, by pomóc Wys, która wchodziła po niej niezdarnie, dostawiając stopy na kolejnych szczebelkach i usilnie wpatrując się w swoje dłonie.

Ochoczo przyjęła jego pomoc, gdy znalazła się wystarczająco wysoko, po czym padła na ziemię, ciężko dysząc.

– Wy... wy macie nie po kolei w głowie – rzuciła niewyraźnie. – Dlaczego tu jest tak cholernie zimno?

Oczywiście miała na sobie jedynie marną koszulinę i z całej jej załogi tylko Phylles była mniej więcej przyzwoicie ubrana.

– Despard – Stenwold podjął decyzję – będziemy potrzebowali ubrań dla naszych gości. – Spojrzał na własne stopy, nagie i z odciskami. – I może kup jeszcze jakieś sandały, bo okulejemy, zanim dotrzemy do domu. I powiedz Tomassowi, jak najwięcej zdołasz. Ja i Laszlo jesteśmy wielkimi dłużnikami waszej załogi.

Skinęła głową, zadowolona z takiego komplementu, i wzbiła się w jednej chwili w górę. Wys patrzyła za nią, jak odlatuje, z oczami wielkimi jak spodki.

– Łąd – powiedziała. – I w końcu na nim stanęliśmy –

Jej wzrok poszybował od morskiego horyzontu ku ocienionym dachom Kolegium. – Nie jestem na to gotowa.

– W moim mieście przyjmujemy czasami ambasadorów z Atolu Wielkiego – zauważyła Kratia. – Skoro oni nie giną poza wodą, choć wymaga to pewnych starań, to ty też od tego nie umrzesz.

Wys pokiwała głową, nadal siedząc na ziemi.

– Nikt mi nie uwierzy, że to wszystko widziałam –

powiedziała z bladym uśmiechem.

Fel podciągnął się i przykucnął na krawędzi urwiska, a kolce na jego dłoniach wychodziły i chowały się. Wys ścisnęła go za ramię. Wszedł na łąd w kolczudze, którą nosił podczas walki ze szkarłupniowcami, a jego mina była Stenwoldowi znajoma. Dopiero później, w nocy, żukowca olśniło, iż Fel bardzo przypomina modliszowców, a żukowiec nieraz widział

ten wyraz twarzy u Tisamona, kiedy ten napotykał na coś, co uważał za magię, a lęk walczył w nim o lepsze z determinacją.

Odzwierciedlała ona zabobonny strach i przerażenie.

– Muszę przekazać wieści o naszym sukcesie koalicji –

oznajmiła Kratia.

Przez chwilę rozgoryczony Stenwold myślał, że potrafiła przekazać te wiadomości swoim siostrom nawet z tego miejsca, ale zaraz zrozumiał, że chodziło jej o Vekkeńczyków.

– Powiedz im, że odwdzięczę się zarówno im, jak i wam.

I nie mówię tu tylko o handlu z Kolegium. Ja spłacam swoje długi.

– My to wiemy – odparła. – I nie myśl, że się nie upomnimy o to we właściwym momencie. Nadciąga nawałnica, mistrzu Makerze, a pan jest wiarygodnym dłużnikiem. – Skinęła, powściągliwie oddając salut, i obróciwszy się na pięcie, ruszyła wzdłuż krawędzi klifu w kierunku miasta.

W końcu dołączyła do nich Phylles. Wspięła się na grań klifu przy pomocy sztuki, nie ufając chybotliwej drabince.

Przywarła do kamieni i wpatrywała się w sklepienie niebieskie, wolno ciemniejące na zachodzie. Jej włosy skręcały się i poruszały we wszystkich kierunkach.

– Witajcie w moim świecie – zwrócił się Stenwold do morskich w łagodny sposób.

Poniżej kopuła podwodnika schodziła pod wodę i żukowiec pomyślał, że gdy ostatni pasażer wyszedł na ląd, Lej zabrał się do wykonywania jakichś poleceń Wys. Co mogli mu powiedzieć? Jak długo miał czekać?

– Naprawdę masz zamiar sprowadzić dziedzica? –

zapytała Wys, najwyraźniej otrząsnąwszy się z pierwszego szoku.

Niewątpliwie obecność Laszlo była dla niej dużym pocieszeniem. Fel, wciąż wyprostowany jak struna, napięty niczym cięciwa, spoglądał na potężną bryłę Kolegium, a Phylles zdawała się czekać, aż niebo spadnie im na głowę.

– O tak – odparł Stenwold. – Jak właśnie usłyszałaś, jestem znany na świecie z siły swego słowa.

– Tylko że... – uśmiechnęła się blado – myślę, że niewielu by ci miało za złe, gdybyś nas trochę przeczłgał.

Nie można powiedzieć, że my powitaliśmy cię z honorami.

Stenwold wzruszył ramionami.

– Jestem do tego przyzwyczajony. Zanim porwał mnie Arkeuthys, nie miałem pojęcia, że wy w ogóle istniejecie.

Teraz zostawiłem na dole zarówno wrogów, jak i...

sprzymierzeńców? Wolałbym raczej myśleć, że przyjaciół.

Przykląkł, żeby podać rękę ostatniej z morskich, która mozolnie pięła się po drabince. Paladrya z wdzięcznością przyjęła jego dłoń, a on pomógł jej delikatnie wejść na szczyt klifu, gdzie osłabiona oparła się o niego.

Wszyscy znów spojrzeli na powracającą Despard, która niosła przed sobą wypchany worek. Szybko

rozdzieliła tuniki, płaszcze i sandały jak leci, pozostawiając im dopasowanie ubrań. Paladrya uniosła pelerynę z dziwnym wyrazem twarzy.

– Pamiętam, jak zawijałam go w taką opończę po wyjściu z morza... Opiekowałam się nim najlepiej, jak potrafiłam, ale czy to wystarczyło? Jeśli nie żyje...

– Pozostaje nam go poszukać – powiedział Stenwold.

Polubił Paladryę już podczas pierwszego spotkania w lochach Claeona. Być może dlatego, że jako jedna z nielicznych morskich myślała nie tylko o sobie.

– Chodźcie, zapraszam was do mego domu. Tam opracujemy jakiś plan – powiedział zarówno do morskich, jak i do muszców. – Despard, czy Tomasso jest...

– ... na pokładzie *Wolnego od Pływów* w porcie. Mówi, żeby go zawiadomić, jak będzie potrzebny. – Posłała mu kpiarskie spojrzenie. – Chce usłyszeć całą historię, więc niech pan go nie wzywa, póki się pan porządnie nie wyśpi.

– Zaprasza mnie pan do swojego domu, mistrzu Broilerze? Albo stał się pan mniej ostrożny, albo też pewny triumfu Imperium – zauważył cierpko Honoriusz Bellowern.

Kiedy dostał wiadomość od głównego agenta Imperium w Kolegium, Helmess zorganizował spotkanie u siebie, bo wolał to, niż znów przechodzić tę całą szpiegowską procedurę. *Niech sobie to tłumaczy, jak chce*, pomyślał.

W rzeczywistości na piętrze znajdowali się Teornis, Elytria oraz garstka ważkowych zbirów pod wodzą pająkowca. Mimo jego obiekcji byli podobno po tej samej stronie, jak go przekonywał Teornis, zadowolony, że Helmess nie będzie chciał wychodzić teraz sam z domu.

– O co chodzi, mistrzu Bellowernie? – zapytał członek Zgromadzenia Kolegium. Dobrze by było, gdyby ci na górze zachowywali się cicho. Zaangażowanie Imperium w tę sprawę było ostatnią rzeczą, jakiej pragnął.

– Rozkazy z Capitas – odparł Bellowern dziarsko. –

Chwila twej chwały jest bliska. Ta cała awantura z pająkowcami to zrządzenie losu. Kiedy tylko przyłyną ich statki, jak najszybciej przekazemy wiadomość, żeby nasze oddziały wyruszyły na Mynę.

– Nie rozumiem, w jaki sposób to dotyczy mnie. Chyba że teraz uczyniliście ze mnie sobie chłopca na posyłki –

zamruczał Helmess.

– Nie, nie – powiedział mu Bellowern wciąż uśmiechnięty. – Nawet bym o tym nie pomyślał. Wciąż jest pan dla nas użyteczny w Zgromadzeniu. Na szczęście aż tak strasznie pan nie przegrał w wyborach. Hm?

Helmess skrzywił się, co tylko zachęciło imperialnego żukowca.

– Ale do rzeczy, musi pan ich utwierdzać w wojowniczej postawie. Niech się pan pojawi na kilku naradach wojennych, czy co tam oni mają. Niech pan zasiądzie w kilku komitetach i wygłosi kilka kwestii w rodzaju: „Pająkowcy mogą sobie przyprowadzić tyle statków, ile chcą, ale nas nie złamią”.

Musi też pan powstrzymać kilku kupców bez kośćca moralnego, którzy będą próbowali zawrzeć upokarzający pokój. Chcemy, żeby krew pająkowców wsiąkła w każdą piędź

tutejszej ziemi. Żeby na każdym rogu piętrzyły się stosy trupów z satrapii. Całą pomysłowość, jaką wykorzystaliście przeciwko Vekkeńczykom, teraz musicie skierować przeciwko tym niegodziwym handlarzom niewolników, tym zaprzańcom, tkaczom cholernym. Hm? Niech pan dopilnuje też, żeby Sarn wysłał kilka tysięcy żołnierzy kolejną. W końcu to, co osłabia Sarn...

– Innymi słowy, tak jak zwykle. Myślę, że nie trzeba mi o tym przypominać.

– Aha, jeszcze jedno. – Bellowern uniósł palec i brew, zmieniając się w niezapomnianą parodię spiskowca. – Będzie się pan też kontaktował z moimi agentami.

– Pana agentami? – zapytał Broiler, nie zmieniając tonu. *O, tak, to coś nowego.*

– Przybyli dzisiaj. Bystre chłopaki, w większości z naszej rasy. Potrafią bezbłędnie naśladować akcent Ko-le-gium. Na młot i cęgi i takie tam – perorował Bellowern. – Wkrótce podam im szczegółowe instrukcje i chcę, żeby się z panem spotkali, żeby poznali mojego informatora. Ich główne zadanie będzie polegało na likwidacji oficerów i przywódców Aldanraelich – z premią za prawdziwych członków rodziny –

oraz członków Zgromadzenia, których uznamy za źródło zagrożenia. A potem winę zrzucimy na Niżowców. Będziemy dolewać oliwy do ognia, a kiedy czarno-złote flagi zawisną nad Kolegium, będą nas błagali o zaprowadzenie porządku.

W ciekawych czasach przyszło nam żyć, co?

– A pan chce, żebym dał im listę nazwisk – upewnił się Helmess.

– Zrozumiał mnie pan doskonale – potwierdził

Bellowern. – Jeśli ktoś szczególnie założył panu za skórę, cóż, możemy to potraktować jako dodatek, częściową zapłatę za wierność tronowi Imperium. Co by było, gdyby pewnego ranka znaleziono Jodry’ego Drillena z pająkowym nożem w grdyce? Ach, w końcu się pan uśmiechnął. Widzi pan, mistrzu Broilerze, wszystko zaczyna wyglądać bardzo dobrze.

Wznieśmy kielichy za upadek pająkowców i Zgromadzenia oraz triumf ich ukrytych wrogów.

Helmess Broiler nie potrafił powstrzymać się od uśmiechu, kiedy posyłał po wino.

Poszli do Kolegium, a Stenwold cały czas zastanawiał

się, jak ma wyjaśnić wizytę swych obco wyglądających gości strażnikom, którzy mogli go przesłuchać na tę okoliczność.

Kilku muszców, pajęczycy, modliszowiec... czy też raczej łysy modliszowiec. W dodatku Phylles miała fioletową skórę i włosy ani na chwilę nie spoczywające w spokoju – więc niby do jakiej rasy można było ją zaliczyć? Najlepiej będzie mieć nadzieję, że nikt ich nie zatrzyma.

Port zmienił się od czasu, kiedy go widział ostatni raz.

Cumowało w nim teraz więcej statków, ale wszystkie handlowe. Widział sporą liczbę muszych transportowców kołuszących się na falach, niewątpliwie bezczynnych teraz, kiedy handel z Ziemiami Pająkowców upadł. Na nabrzeżu wzmocniono budynki władz portowych, niegdyś stanowiące ogniska oporu przeciwko inwazji Vekkeńczyków, a na dachach zamontowano miotacze ołowiu oraz balisty. *Jodry nie próżnował podczas mojej nieobecności*, odnotował z zadowoleniem. *Ale miejmy nadzieję, że nie będzie to potrzebne*. Rankiem pośle po Jodry'ego i Tomasso. Dziś w nocy jednak wysłucha opowieści Paladryi. A potem zaśnie i być może we śnie ujrzy miejsce, w którym przebywa zaginiony książę. Którego nikt nie widział na oczy od ponad czterech lat. *Najpewniej zginął*. Ale trzymał się nadziei, że jakimś cudem ten morski młodzik znalazł schronienie na lądzie i zostawił na piasku ślady, których tropem można będzie pójść. Od tego mogło zależeć bardzo wiele.

Dotarli do cienia rzucanego przez pierwszy portowy budynek. I chociaż Stenwold wybrał trasę biegnącą wzdłuż rzeki, ponieważ ta dzielnica Kolegium zawsze była biedniejsza i rzadziej odwiedzana przez straż, i tak zostali zauważeni przez czwórkę funkcjonariuszy milicji miejskiej, która wyłoniła się z uliczki. Światło z gazowych latarni odbijało się od ich pancerzy i pukołuków. Stenwold usłyszał

syk Fela i morscy odruchowo ustawili się w tyralierę, najwyraźniej spodziewając się potyczki. Pospiesznie powstrzymał ich zapędy, wyciągając dłoń.

– Stójcie!

– Co to za podkradanie się do naszego... – zaczął jeden ze strażników i nagle najwyraźniej zabrakło mu języka w gębie.

Stenwold uśmiechnął się. Ich pancerze były przepasane czerwonymi wstęgami i nosiły symbol złotego miecza oraz słowa: „Przez wrota”.

– Tak – odpowiedział. – Wróciłem.

– Oficer Padstock... – zaczął jeden z nich, ale drugi już go przekrzykiwał. – Mówili, że zginął pan na wodzie!

– Żyję. Poinformujcie o tym Elder Padstock. Poproście, żeby przyszła do mnie jutro rano. Ale nikomu innemu pary z gęby, nikomu. – Potem, chcąc uniknąć ewentualnych kolejnych takich spotkań, poprosił: – Moglibyście eskortować mnie i moich towarzyszy do mego domu? Byłbym wdzięczny.

– Dla pana, mistrzu Makerze, wszystko – powiedział

jeden z nich.

I zabrali ich do domu najkrótszą drogą, machając uspokajająco do innych mijających ich patroli. Stenwold zauważył, że na ulicach były obecne wszystkie trzy kompanie

– warty złożone z mężczyzn i kobiet wielu ras, w mundurach, uzbrojone w pukołuki, piki i długie łuki. Od swojej eskorty dowiedział się, że to za sprawą Jodry’ego, który chciał mieć na oku agentów pająkowców. Stenwold wprawdzie sądził, że to tylko wzbudzało większy niepokój wśród mieszkańców Kolegium, ale na pewno był to dobry znak. *Jesteś lepszy, Jodry, niż podejrzewałem,*

pomyślał.

Wybraliśmy

właściwego przewodniczącego.

Kiedy dotarli do jego ulicy, odesłał straż z wiadomością dla Padstock. Nie chciał na ostatnich metrach dzielących go od domu wzbudzać zbyt ciekawości sąsiadów. Ale gdy zbliżył się do niego, ciągnąc za sobą mieszaną świtę, zobaczył, że w jego oknach palą się światła. Zatrzymał się, zastanawiając się nad tym. Czy Jodry umieścił kogoś u niego, żeby wszystkiego pilnował? Nagle jednak wpadła mu inna myśl do głowy: *Che wróciła. Che albo nawet Tynisa! Zaczął*

więc biec, zostawiwszy towarzyszy z tyłu. Przypadł do drzwi.

A ponieważ były otwarte, pchnął je z całej siły i pognął do salonu.

Zastał w nim czterech mężczyzn, którzy gapili się na niego, przerwawszy karcianą rozgrywkę. Stenwold obrzucił

ich zdziwionym spojrzeniem. W pokoju cuchnęło od dymu i nie tylko. Wszędzie walały się puste butelki, dosłownie wszędzie. Spędził sporo czasu w różnych spelunkach i nosiły one mniejsze piętno łajdactwa niż obecnie jego dom.

– Co to ma znaczyć?! – zapytał ostro.

Jeden z mężczyzn miał na tyle przyzwoitości, że wstał, kiwając się na boki, a jego twarz poszarzała z przerażenia.

– Mistrz... Maker... ? – wybełkotał. – Ale... ale przecież pan jest trupem.

– Już to nieraz słyszałem, i to od lepszych od ciebie –

warknął Stenwold i nagle zmarszczył czoło.

Cardless? Dopiero po dłuższym czasie rozpoznał jego twarz. Czy to naprawdę był jego sługa? Nienaganny, sumienny *Cardless*? Wszystkie dowody, jeśli nie liczyć opuchniętej od alkoholu facjaty, świadczyły przeciwko temu, ale facjata zdecydowała.

– Trupem! – wykrzyknął sługa z takim przerażeniem, że *Stenwold* odruchowo zerknął na swoje wciąż krwawiące rany.

Zarośnięci kompani *Cardlessa*, rozczochna *Żukowa* żulia, najpierw spojrzeli na swego kompana, a potem na *Stenwolda*. Wszelkie starania z ostatnich dni, by zachować opanowanie, legły w gruzach na widok własnego domu.

– Wynocha! – rzucił beznamiętnie. – Cała czwórka!

Jeśli nie chcecie, żeby wam ktoś skórę wygarbował. *Cardless*, zostajesz zwolniony ze służby bez stosownych referencji i to wszystko, co mogę dla ciebie zrobić. A teraz opuśćcie mój dom, zanim was powyrzucam przez okna.

– Mowa-trawa – wybełkotał jeden z biesiadników, wstając wciąż z butelką w ręce. – Zdaje się, że jest nas tu czterech, staruszkę, a ty jesteś sam...

Głos uwiązał mu w krtani, kiedy pojawili się w końcu towarzysze *Stenwolda* i stanęli za nim zaciekawieni. Później *Stenwold* zastanawiał się, co te obszczymury musiały pomyśleć sobie o jego druhach – dwójce muszców, *Paladryi*, *Wys*, *Felu* i groźnie spoglądającej *Phylles*. Oblicze *Fela* z całą wyrazistością musiało zapowiadać, co się zaraz stanie, jeśli za chwilę stąd nie znikną, co też, bełkocząc, pospiesznie uczynili. Śmignęli obok przybyłych, przewracając się o siebie i wypadając na ulicę przy akompaniamencie butelki tłukącej się na płytach chodnika.

No i tyle w sprawie mojego tajemnego przybycia do miasta, pomyślał *Stenwold*. *Przecież nie mogę ich zamknąć w piwniczce – ani skrócić o głowę*. Choć salon był

zrujnowany i nie wiadomo było, w jakim stanie znajdowała się reszta pokoi, kiedy zniknęli, jego złość przeszła w zgryźliwą wesołość.

– Och, na młot i cęgi – zamruczał. – Aż się boję pomyśleć, jakie historie będą do południa krążyć po mieście.

Krótką wyprawa zwiadowcza ujawniła, że jego piwniczka została niemal do cna osuszona. Została tylko jedna nieotwarta butelka pośledniejszego wina oraz kilka nieruszonych płatów suszonego mięsa z żuka. Pamiętając o własnych doświadczeniach z jedzeniem u morskich, miał

nadzieję, że mięso to będzie przypominało mięso homara albo jakieś inne, do którego przywykli jego goście. Kiedy wrócił do nich na górę, okazało się, że *Despard* znów nie ma, bo poleciała spotkać się z rodziną, został więc z zawsze wiernym *Laszlo* i czwórką morskich.

Nie wyglądało na to, żeby się rozgościli. *Wys* próbowała ułożyć się w fotelu i zwinęła się w kłębek w pozycji, na której widok wszystko zaczęło *Stenwolda* boleć, ale która najwyraźniej jej odpowiadała. *Fel* wciąż stał, jakby czekał na kolejną bijatykę, a *Phylles* i *Paladrya* wołały spocząć

na podłodze.

– Zrobię wszystko, co w mojej mocy, by ułatwić wam aklimatyzację u nas – zapowiedział, kładąc na ławie jedzenie i trunek. – Ale nie będzie to łatwe.

– Jeśli ty mogłeś, to my też potrafimy – powiedziała Wys. Z nich wszystkich najlepiej znosiła trudy wyprawy.

Stenwold skinął głową.

– Naturalnie ty – wskazał na Paladryę – już kiedyś wyszłaś na ląd.

– Tylko raz. I to na krótko – odparła niemal szeptem.

– A więc opowiedz mi o tym. Jak i gdzie Aradokles opuścił morze.

Pokiwała głową ze znużeniem. Przez chwilę zbierała siły, próbując sobie przypomnieć zdarzenie sprzed lat.

– Jak wiesz, byłam kochanką Claeona – zaczęła.

– To wiemy, tylko nie wiemy dlaczego – przerwała jej Wys niemal natychmiast.

Paladrya posmutniała.

– On był... był wtedy inny. Kiedy jego brat jeszcze cieszył się dobrym zdrowiem i zanim sam zaczął roić marzenia o fotelu admira. Zatruiło go pragnienie władzy. Ale zawsze był ze mną szczery. Przy innych tylko kłamał. Kiedy stary admira zachorował, wiedziałam więc, że każe zabić Aradoklesa. Gdyby zdarzyło się to kilka lat później, dziedzic osiągnąłby odpowiedni wiek, by zasiąść na tronie, i wszystko potoczyłoby się inaczej... Nie byłoby pokusy. Ale chłopiec wciąż był młody, a Claeon uważał, że będzie wielkim władcą.

I widziałam wyraźnie, o czym myśli. Uczyłam Aradoklesa od wielu lat i kochałam go jak syna. Wiedziałam, że będę musiała go ratować.

– Sam się przekonałem, że trudno jest umknąć agentom Claeona – potwierdził Stenwold. – Ale ląd? Jak wpadłaś na ten pomysł, zważywszy na to, że tak źle nas postrzegacie?

– Niewielu mogłam zaufać, lecz Aradokles miał swoją domową straż, która była wierna tylko jemu. Porozumiałam się z nimi. Należała do nich kobieta strzałkopodobnych pochodząca z dziwnej rodziny – bardzo starej, która od wielu pokoleń żyła za Krawędzią. Tam wszystko robią inaczej, a prawa Hermatyre – czy jakiegokolwiek innego miejsca – nie mają tam wielkiej mocy. Nazywała się Santiren.

Opowiedziała mi o pradawnych obyczajach i rytuałach jej ludu, które stale zanikały, choć ludzie wciąż próbowali się ich trzymać. Mieli między innymi jakieś pakty z lądem. To na skutek jej słów podjęłam taką decyzję. Gdyby Aradokles pozostał pod wodą, Claeon dopilnowałby, żeby zginął

przed osiągnięciem wieku męskiego. Ale Santiren wierzyła, że może zawrzeć z lądowymi jakąś umowę, by umieścić go w bezpiecznym miejscu.

– Stare sposoby – zamruczał Stenwold w zamyśleniu. –

Mój lud nie żyje tu od zawsze, nie pod własnymi rządami.

Kiedyś byliśmy niewolnikami, a nasi władcy byli mądrzy i tajemniczy. Kto może wiedzieć, jakie paktów zawarli i z kim. W

starych złych czasach wszystko było możliwe. Być może panowie Pathisu wiedzieli więcej o waszym ludzie, niż nam mówili, nam, swoim poddanym.

Stenwold zauważył, że jego goście nie wiedzą, o czym mówi. Być może tylko Laszlo miał o tym wszystkim jakieś pojęcie. Dlatego gestem zachęcił Paladryę, by mówiła dalej.

– Nie mam zbyt wiele do dodania – oświadczyła. –

Zabrałam dwójkę strażników strzałkopodobnych: Santiren i... Marcantora. Podróżowaliśmy na ich śmigłych stworzeniach. Ja siedziałam za Santiren, a Aradokles za Marcantorem. Santiren sprawnie przeprowadziła nas przez Krawędź i płycizny. Podróżowaliśmy w nocy i zawsze chowając się przed światłem. Wody mieliśmy nad głowami coraz mniej, aż w końcu wyszliśmy na powietrze.

– Ale w którym miejscu? – zapytał ją Stenwold.

Wstał i podszedł do półki, z której wyjął zwiniętą w rulon mapę Nizin.

– Nie znam nazwy tego miejsca. Myślę też, że nie znała go Santiren. Był to las podobny do naszych plantacji wodorostów, ale zamiast długich łodyg były tam... no, takie powyginane, powykrzywiane rośliny. I było zimno, a do tego jeszcze niebo, księżyc... – Podniosła z przestachem wzrok, jakby wielka połać niebios wciąż jej zagrażała.

– Drzewa – stwierdził Stenwold. – Dużo było tych drzew?

– Na lądzie nie było widać niczego innego poza nimi –

powiedziała. – Pożegnałam Aradoklesa i wróciłam. Przez dwa lata Claeon nie był w stanie uwierzyć, że go zdradziłam, i wciąż szukał chłopca. Ale w końcu podejrzliwość wzięła górę nad jego dumą i zostałam wtrącona do lochu, w którym mnie poznaliście.

Nie wspomina o torturach, jakie musiała wycierpieć, pomyślał Stenwold. Jej skromność i siła imponowały mu coraz bardziej. Gdyby tylko wszystkie nasze rasy posiadały twoją bezinteresowność. Na jakiego człowieka wyrósł

Aradokles, jeśli wciąż żyje? Któż go poprowadził w życiu, kiedy ciebie zabrakło?

– Drzewa – znów wymamrotał. – Powiedz mi, czy była tam, powiedzmy, plaża. Czy może

wspinaliście się po klifie?

– Nie, te wasze drzewa niemal wchodziły do wody, więc nie można było poznać, gdzie kończy się morze, a zaczyna ląd. Było to bardzo dziwne miejsce, lecz Santiren zarzekała się, że zna tam kogoś, kto wciąż honoruje stare układy.

Stenwold popatrzył jej w twarz, która była tak uderzająco pajęczna. Podobnie Aradokles mógł uchodzić za młodego pająkowca – i na tę myśl serce w nim zamarło.

– To może być tylko jedno miejsce – oznajmił.

Wyglądali na prawdziwie poruszonych, ale on pokręcił

tylko smutno głową.

– Las Felyal – odpowiedział za niego Laszlo.

– Las Felyal – powtórzył Stenwold.

Jego stosunek do modliszowców był teraz zdecydowanie mieszany, za to do pająkowców – całkowicie jasny. *On nie żyje, z całą pewnością nie żyje.*

Ale Stenwold miał nierozliczone sprawy z modliszowcami, uchodźcami z Felyalu, którzy nazywali teraz Kolegium swym domem. Dlaczego nie miał włączyć do nich Aradoklesa? Cóż miał do stracenia?

TRZYDZIEŚCI PIĘĆ

Dwie ulice od domu Makera Cardless oparł się o ścianę, próbując zebrać myśli. Właśnie walił mu się cały świat, pozostawiając go bez środków do życia. Jak to się mogło stać? Przecież wszystko już zaczynało się układać.

Mógł wrócić do domu Stenwolda nazajutrz rano, udając, że to fatalne nieporozumienie, że został wprowadzony w błąd. Albo był zakładnikiem, to nie była jego wina. Ale wtedy przypomniał sobie posępne wejrzenie ludzi, którzy przybyli z Makerem. Nigdy nie podejrzewałby członka Zgromadzenia, mistrza Kolegium, o tego typu znajomości. Byli to zabójcy, najemnicy i piraci – wszyscy jak jeden mąż. Przypomniały mu się stare plotki na temat Stenwolda o pierwszych latach jego kariery. Jaka dokładnie rolę odegrał w wojnie z osowcami i Vekkeńczykami. *Mówią, że ma krew na rękach, i to nie tylko z czasów wojny.*

Nie mógł tam wrócić. Zbyt bezczelnie poczynił sobie z dobytkiem Stenwolda. Ale przecież wszyscy wiedzieli, że nie żyje. Helmess Broiler promieniał. Mówił, że zabili go jacyś pająkowi zamachowcy czy ktoś w tym rodzaju. Wszyscy w to wierzyli, choć nie było dwóch osób tak samo myślących na ten temat. Zginął na wodzie podczas jakichś tajemnych rozmów. Jego kobieta Arianna wraz z nim. Niektórzy utrzymywali nawet, że pozabijali się nawzajem. A więc oboje zginęli, bratanica zaginęła, a pozostali członkowie rodziny Makera byli tak zajęci waśniami rodowymi, że nikt z nich nie zjawił się, by przejąć dom, piwniczkę, spiżarnię czy szkatułę.

Pozostał tylko Cardless, sam w wielkim domu. Dlaczego więc nie miał go uważać za własny?

I kilka dni temu przyszedł ten list od ludzi Broilera:

„Wypatruj Stenwolda Makera. Może wrócić lada dzień”. Ale Cardless spalił go ze śmiechem. Maker był trupem.

Pochłoneńo go morze. Żaden człowiek stamtąd nie wróci –

nawet on.

Ale oto stary żukowiec stanął w drzwiach z poszarzałą twarzą człowieka, który dawno nie widział słońca, w poszarpanych i poplamionych łachmanach. Cardless niemal szukał pąkli i muszli przyrośniętych do jego skóry i kałuży wody morskiej u stóp. Maker wyszedł z podmorskiego grobu.

No i Cardless został bez pracy. I bez pieniędzy. Bez pieniędzy. Do tej pory pozwalał sobie żyć na kredyt Makera, a kiedy wyczerpał gotówkę ze szkatuły, jego kumple od kart ochoczo przyjmowali od niego weksle. Tonął więc w długach, a niektórzy z jego wierzycieli nie reagowali najlepiej, gdy się ich zwodziło. Na pewno też nie będą czekać cierpliwie teraz, kiedy Cardless stracił zaplecze.

Jego umysł, wciąż zamroczony od alkoholu, w końcu znalazł rozwiązanie: Helmess Broiler. To on kazał mu wypatrywać powrotu Makera. I pewnie teraz chciałby o tym wiedzieć. Zapłaci mu za tę informację, z całą pewnością. A może znajdzie mu nową posadę? Nie musiała to być praca u członka Zgromadzenia – wystarczyłby każdy przyzwoity dom. Być może Broiler ma nawet jakieś kontakty w Helleronie. Teraz czas spędzony poza miastem nie mógł

pójść na marne.

Taaak, to właśnie to. Cardless chrapliwie oddychał i kiwał głową do swoich myśli. Broiler chciałby wiedzieć, że Maker wrócił, a potem wyprostuje jego życie. Był w końcu prawdziwym potentatem w Kolegium i członkiem Zgromadzenia. Będzie szczerze wdzięczny Cardlessowi za przysługę.

Mamrocząc do siebie, zwolniony sługa popędził przez ciemne ulice Kolegium.

Kiedy Cardless przybył do niego z wizytą, Helmess niestety spał. Oczekiwanie w przedpokoju otrzeźwiło go i dało szansę na zebranie myśli, wygładzenie poplamionej tuniki i rozczochranych włosów. Ale kiedy stanął w końcu przed Broilerem, zaskoczyło go dodatkowe audytorium: był

tu nie tylko Żukowy wielmoża i jego zmysłowa pajęczka kochanka oraz sługa Forman Sands, na którego zawodową solidarność liczył Cardless, ale również jakiś pająkowiec.

Smagły mężczyzna o pociągłej twarzy z niewielką bródką, choć w starych ciuchach Helmessa, których normalnie żaden pająkowiec by nie włożył. A już szczególnie nie tego pokroju.

Bo Cardless szczyił się tym, że potrafił rozpoznać *aristoi*...

Wręcz kiedy się nad tym zastanowić, jego twarz wydawała mu się nawet zdecydowanie znajoma.

Za nim stał ważkowiec o srogim wyglądzie – cały wytatuowany i w szramach, z przewieszonym przez plecy mieczem o długim stylisku.

Helmess wykonał niecierpliwy gest w jego stronę, więc przestał łytać na prawo i lewo i zdał we względny porządku całą relację, pomijając niewygodne dla siebie szczegóły, dotyczące warunków, jakie Maker zastał po długiej nieobecności w domu. Widział, jak Broiler i pająkowiec wymienili znaczące spojrzenia, i pozwolił sobie na gorliwy uśmiezek. Tak jak miał nadzieję: wieści, które przyniósł, były cenne i godne nagrody nie tylko z rąk Helmessa, ale i...

Teornisa?

Poczuł lekki niepokój. Przecież to był Teornis z rodu Aldanraelich, który – jak mówili jedni – podobno zabił

Stenwolda. Inni zaś upierali się, że sam padł ofiarą Makera.

Najwyraźniej była to noc żywych trupów. Co więcej, ogólnie sądzono, że to Teornis stał za ściąganiem tu armady, która miała przyplłynąć do miasta z Seldisu i Everisu. A więc co robił tutaj?

Oczywiście Cardless słyszał różne plotki o Broilerze, ale podobne krążyły o każdym kandydacie na stanowisko przewodniczącego, głównie za sprawą oponentów. Podobno Helmess zbyt blisko trzymał się Imperium... A teraz Cardless zaczął się zastanawiać, czy nie skumał się też z innym wrogami Kolegium, ponieważ siedział oto obok jednego z nich.

Robił wszystko, by zmasać wszelkie oznaki podejrzliwości z twarzy. Podobno był w tym dobry.

Broiler nachylił się do pająkowca i o czymś rozmawiali szeptem.

– No? – szepnął Helmess cicho, żeby ta karykatura sługi domowego nic nie usłyszała. – Zakładam, że twoi zamachowcy sobie z tym poradzą.

– W żadnym razie – odparł Teornis cicho. – Nigdy nie pozwoliłbym sobie na coś tak prostackiego. Mistrz Maker w dalszym ciągu wzbudza mój podziw.

– Musimy go zlikwidować jak najprędzej – upierał się Helmess. – Przecież rozumiesz.

– Tak się nie robi – padła beztroska odpowiedź

Teornisa. – Nie byłoby też to takie proste.

Tego nie powiedział, ale gdyby stanął przed wyborem: zabić Stenwolda lub Broilera, nie wahałby się ani sekundy i sam poderżnął gardło obecnemu gospodarzowi.

– Możemy się pozbyć tego tutaj? – Machnął leniwie dłonią w stronę Cardlessa.

– A, tak – Helmess skinął głową i już głośniejszym głosem powiedział: – Zdaje się, że dość usłyszeliśmy.

– Proszę, mistrzu Broilerze – zaczął Cardless na poły służalczym, na poły zdesperowanym tonem. – Miałem nadzieję, że otrzymam jakąś zapłatę za te wieści. No i... nie mam dokąd iść. Być może miałby pan dla mnie jakąś posadę... albo zna pan kogoś, kto...

– Tak, to przykre, że straciłeś posadę – odparł Helmess.

– No cóż, dość już o tym. Sands, byłbyś tak dobry i wręczył

Cardlessowi jego ostatnią zapłatę? Dopilnuj, żeby była z nawiązką.

– Zrobię to z rozkoszą, mistrzu – odparł Sands, posyłając Cardlessowi swój najmiłszy z uśmiechów i biorąc go pod łokieć.

Spojrzenie Cardlessa wyrażało jedynie głęboką wdzięczność.

Helmess poczekał, aż wyjdzie, po czym dodał:

– Oczywiście zakładam, że jesteś zadowolony, że pozbywam się przynajmniej tego utrapienia?

– Och, nie ma sprawy, zabij go sobie – odparł Teornis lekceważąco. – Nie minąłby dzień, a postanowiłby sprzedać kolejną informację Makerowi. Najlepiej mu więc będzie pod ziemią. A więc Maker wrócił, i do tego z morskimi. Nie inaczej. Lepiej mu poszło niż mnie, ponieważ wyszedł z wody jako wolny człowiek.

– Morskimi? – Helmess zmarszczył czoło, być może przypominając sobie o takich okazach jak Rosander w pełnej zbroi. – Pewien jesteś?

– A cóż myśli na ten temat twoja pani? – podsunął

Teornis.

Elytria pokiwała niechętnie głową.

– Tak, Cardless opisał ich bardzo dokładnie.

Przynajmniej niektórzy pochodzą z morza.

– Jak więc Stenwold przekonał ich, by pokonali swój największy strach? Czy to też litoraliści? Myślę, że nie – snuł

domysły Teornis. – Lecz co innego mogłoby przekonać ich do wyjścia z wody?

– Dziedzic – wykrztusiła Elytria.

Teornis pokiwał głową.

– Nie kto inny – zgodził się. – I muszę tutaj wyrazić mój najwyższy podziw dla pomysłowości

Stenwolda Makera. W

rzeczy samej, nadszedł moment, aby to wykorzystać.

Helmess przez chwilę przyglądał mu się zmrużonymi oczami, po czym wyraził swoje powątpiewanie:

– To będzie wymagało niezwykłego kunsztu, Teornisie.

Do tego zadania bałbym się wystawić nawet mojego człowieka Sandsa.

– Bądź tedy wdzięczny, że wśród moich ludzi są tacy z dobrym słuchem i bezszelestnymi skrzydłami
– powiedział

Teornis. – Varante, wiesz, co mam na myśli? Pilnuj domu Makera. Wyślij szpiegów jego śladem. Mów mi, dokąd chadza. Jeśli ci się uda, podsłuchuj. Dlaczego nasz budzący respekt Stenwold Maker nie miałby nas doprowadzić do zaginionego chłopaka?

Obudziwszy się we własnym łóżku, Stenwold ziewnął, przeciągnął się i leniwie sięgnął dłonią w poszukiwaniu Arianny.

Po chwili konsternacji usiadł na łóżku spocony i schrypnięty, ogłuszony natłokiem wspomnień, które wpadały na swoje miejsce w pamięci. Arkeuthys, Rosander, skręcona muszla Wys i rozszalała nawałnica szkarłupniowców napadająca na Gorące Rewiry... Myśl o Ariannie szarpała mu umysł, ale kiedy wymówił jej imię, pojawiła się inna twarz –

o niemal przezroczystej skórze, otoczona kaskadą włosów.

Przez chwilę w tej ciszy panującej przed świtem w domu poczuł ją tutaj – Lyess – nieprawdopodobnie blisko, jakby skrywała się w tym pokoju przy pomocy swej sztuki, chowając się delikatnie za przejrzystością. Tym razem rozdzielało ich coś lekkiego jak mgiełka, choć wiedział, że była to po prostu tafla wody – w którą w końcu go wciągnie.

Nijak nie mógł się od niej uwolnić.

Już wiedział na pewno, że coś jest nie tak. *Użyła na mnie swojej sztuki*, pomyślał, ale nie chodziło tylko o to.

Pojawił się zapach, trudna do zdefiniowania woń towarzysząca wszelkim ingerencjom sztuki, którą zawsze rozpoznawał. Nawet jeśli mu coś zrobiła, nie dało się tego prosto wytłumaczyć.

Narkotyki? Czy można wprowadzić kogoś w narkotyczną wizję, by zapamiętał? Czy istnieje coś takiego jak napój miłosny? Czy też raczej miłosna trucizna.

Przypominał sobie teraz, co mówił Salma, o czym wspomniała mu Che tuż po tym, jak chłopak wyruszył do Tarku. Salma został zaczarowany, tak przynajmniej twierdził.

Czar, magia zostały na nim użyte przez Spętany Smutek, która związała go z sobą za sprawą sztuki tajemnej. Stenwold nie wierzył w nią w obrębie Kolegium, kiedy słońce stało wysoko na niebie, ale teraz dopiero rozpoczął się świt i poczuł

się nagle bezradny w obliczu takiego najścia. *Czyż nie skończyło się to dobrze dla Salmy? Ostatecznie połączył się z ukochaną.* A potem zginął, a Spętany Smutek – która zmieniła imię na Pierwsza ze Smoków – wycofała się do miasta, które budowano na jego cześć. *Śmierci i żałoby nie można uznać za dobre zakończenie.*

Zmusił się do wyjścia z łóżka, szukając pocieszenia w działaniu. Żadne z morskich już nie spało i wyglądało na to, że nie zmrużyli oka przez całą noc. Wszędzie było im niewygodnie. Musieli się przyzwyczaić do wszystkiego, a przecież jeszcze nawet nie zaatakowała ich jasność poranka.

Obudził Laszlo, posyłając go po wiktuały i rybę, jeśli znalazłby jakąś.

– My nie jemy ryb – wyjaśnił pozostałym – jeśli mamy wybór. – Spojrzeli na niego jak na wariata, a on ciągnął: –

Kiedy mój lud był w niewoli, jedliśmy ryby, a nasi panowie –

mięso. Teraz jesteśmy wolni i tylko najbiedniejsi zadowolają się daniami z morza.

Laszlo zrobił, co mógł, ale morscy i tak uznali, że mięso

– końskie i kozie – smakuje obrzydliwie. Stenwold podsunął

im mleko, najmniej wstrętą potrawę, jak sądził. Lecz najwyraźniej od samego zapachu wywracało im się w żołądkach – całe miasto im śmierdziało, a mleko zdawało się koncentrować kwaśny odór. Na szczęście jedli chleb, więc zaproponował im odrobinę miodu i patrzył, jak otwierają szeroko oczy. Poniewczasie przypomniał sobie, że nie kosztował niczego słodkiego pod falami, więc musiał im odebrać dzbanek z miodem, żeby za dużo nie zjedli i nie pochorowali się jak dzieci.

Wkrótce spotkał się z sojusznikami. Morscy siedzieli w drugim pokoju pod czujnym okiem Laszlo, a w domu zjawili się wielki Jodry Drillen i brodaty Tomasso oraz prostolinijna Elder Padstock. Jodry zadziwiony pokręcił głową. W jego oku rozbłysła szczera łza, kiedy wykrzyknął:

– Myślałem... ! Myślałem, że cię straciliśmy, Sten!

Padstock pokiwała statecznie głową. Tomasso wyjaśnił, jak ją i jej ludzi zabrała z barki załoga pajęczej galery, która chciała poznać los Teornisa. Ale o połowę mniejszy od tamtego statku *Wolny od Pływów* zagroził im salwą oraz desantem modliszek, włącznie z Danaen, która kiedy tylko pająkowcy podpłynęli, przyleciała ze wsparciem.

Stenwold posepnie pokiwał głową. *I tu też mam rachunki do wyrównania.*

W końcu odzyskali Padstock i jej ludzi i odpłynęli.

– Doskonale spisałeś się z fortyfikacją wybrzeża –

pochwalił Stenwold Jodry'ego. – I powinieneś tak trzymać.

Trzeba wciąż szkolić kompanie.

– Ale ty masz inny plan? – zgadywał Jodry. – Dostałem wiadomości. Armada jest bliska wypłynięcia. Pająkowcy są tak pewni swego, że roztrąbili o tym wszem i wobec, żeby zniszczyć nasze morale.

– Rzeczywiście mam inny plan – wyznał Stenwold. –

Chociaż może nie wypalić. W tej chwili zresztą wygląda dość wątpliwie... Lecz muszę go realizować z wielu powodów.

Proszę cię jedynie, byś mi zaufał.

– Oczywiście – odparł bez wahania Jodry. – Zaufam też Sarnowi, który ma nam przysłać jakieś posiłki, jeśli nie masz nic przeciwko temu. I nawet Vekkeńczycy się odgrają.

– Odgrają?

– Że przyjdą nam z pomocą. Uwierzysz w to? Jeśli ściągniemy ich i do tego jeszcze Sarneńczyków, nie jestem pewien, czy do obrócenia miasta w perzynę potrzebni będą nam pająkowcy Tak czy inaczej, mam nadzieję, że wiesz, co robisz. Dopiero co odbudowaliśmy dzielnicę portową.

Stenwold odesłał Jodry'ego i Padstock z zadaniami i słowem zachęty, by kontynuowali swe prace. Poprosił jednak Tomasso, żeby jeszcze został, po czym nakazał Laszlo przyprowadzenie gości.

Morscy weszli do pokoju, dość nerwowo marszcząc oblicza na widok brodatego muszca. Lecz kiedy Tomasso uścisnął Laszlo z szerokim uśmiechem na twarzy, ich nastrój zdecydowanie się poprawił.

– To – oznajmił z dumą Laszlo, zwracając się do Wys –

jest ten właśnie człowiek, o którym ci opowiadałem.

– Naprawdę? – Zmrużyła oczy.

Spoglądali na siebie z Tomasso jak dwoje kupców starających się oszacować wzajemnie i Stenwold nie mógł się nie uśmiechnąć.

– Coś ty mi przywiózł, chłopcze? – zapytał Tomasso, widząc łysą muszycę o dziwnym wyglądzie i z obcym akcentem.

– Stryju Tomasso, poznaj ludzi morza – oznajmił

Laszlo.

Tomasso uniósł brew.

– Naprawdę? I nie masz tu na myśli mieszkańców jakiegoś portu, o którym nie słyszałem, na przykład gdzieś na Ziemiach Pająkowców? – Skłonił głowę przed kobietą szczypcowców. – Pani, jestem Tomasso, właściciel *Wolnego od Pływów* i stryj tego tu gagatka.

Wys wzruszyła wystającymi ramionami.

– Wys – odparła po prostu. – Mam łajbę i załogę.

Większą jej część widzisz tutaj. Twój gagatek mówił mi, że handlujecie egzotycznym towarem. Ja też.

– Co macie egzotycznego?

– Dla was wszystko. – Ukazała zęby w uśmiechu, a Tomasso odpłacił jej tym samym.

– Wygląda na to, że tym razem wyciągnąłeś dobry połów na powierzchnię – przyznał, zwracając się do Laszlo, ale wciąż nie spuszczać oka z Wys. – Dobrze się bawiłeś?

Laszlo wzruszył ramionami z nonszalancją.

– Szyper wie, że nie lubię próżnować.

Tomasso strzelił oczami w stronę Stenwolda.

– Mistrzu Makerze, wygląda mi pan na kogoś, kto ma wiele planów.

– Och, z całą pewnością przynajmniej kilka. Nie wydajesz się zbyt zaskoczony, stając oko w oko z nimi.

– Człowiek pływa po morzach od dawna i słyszy różne historie – odparł Tomasso. – Wszyscy pijani marynarze wciąż gadają o morskich. Nigdy w to nie wierzyłem, ale jedynie z niedostatku dowodów. Ja całe życie podróżowałem, Makerze. Podróżowałem od Cerrihu do Sea-Limnis i z Jedwabnych Wrót do Portu Planten, ale nigdy nie widziałem takiej kompanii jak oni tutaj. Musieli skądś przybyć, więc dlaczego nie z morza? Na świecie są większe dziwy.

Stenwold pokiwał głową. Jedwabne Wrota – z tego, co wiedział – znajdowały się na jedwabnym szlaku na południe od Mavralisu. Pozostałe miejsca znał wyłącznie z nazwy.

– Odnoszę wrażenie, że ty i Wys chcielibyście się lepiej poznać – stwierdził. – Mogę wypożyczyć Laszlo?

– Nie jestem pewien, czy w ogóle powinienem go z panem puszczać – odparł Tomasso zgryźliwie. – Mistrzu Makerze, ma pan minę kogoś, kto za chwilę zrobi coś niemądrego.

– Och, z całą pewnością. W morzu rozgorzały niepokoje, mistrzu Tomasso, ale gdzieś tu na lądzie

najprawdopodobniej znajdują się środki mogące je zażegnać.

Niestety ostatnio widziano je w Felyalu, co oznacza, że będziemy musieli spotkać się z modliszowcami.

Tomasso się skrzywił.

– Nie rozumiem, jak niby Laszlo może być w tym pomocny. Mam kilku innych chłopaków...

– Jeśli dojdzie do przepychanek, wszystko będzie stracone – powiedział Stenwold. – Znam jednak modliszowców na tyle, na ile może ich znać ktoś obcy. Wiem, jak rozumują, jak lubią być postrzegani. Laszlo potrzebuje tylko po to, żeby powiedział, jak skończyłem, jeśli coś pójdzie nie tak.

TRZYDZIEŚCI SZEŚĆ

Była to ta sama modliszkowa spelunka, w której kiedyś szukał bezskutecznie wiadomości o piratach. Mógł mieć tylko nadzieję, że tym razem szczęście mu dopisze, ponieważ grał o wiele wyższą stawkę.

Schylił się pod nadprożem i opuściwszy wieczorny chłód, znalazł się w ciągu rozgrzanego powietrza z paleniska.

Wolałby odwiedzić to miejsce za dnia, ale udało mu się wysledzić swój cel dopiero po zmierzchu. Laszlo podążał za nim posłusznie przez całe miasto, a on rozmawiał z informatorami i unikał dyskusji na temat swego zniknięcia.

Teraz nakazał muszcowi, by trzymał się z dala od niego.

Gdyby poszło źle, miał uciec, by wszystko opowiedzieć.

Tak właśnie zapamiętał to wnętrze: las drewnianych kolumn wypełniający tawernę z widokiem na port.

Modliszowcy siedzieli, opierając się plecami o te wirtualne pnie drzew, i rozmawiali ściszymi głosami, błyskając czerwienią źrenic w blaskach płomieni. Skądś dobiegały meandryczne dźwięki dud, wygrywających jakąś dziwną, tęskną melodię.

Stenwold zatrzymał się w drzwiach, zbierając się na odwagę. Dostrzegł tu dobrze ponad ćwierć setki modliszowców, z których potrafił nazwać tylko jedną osobę –

która nie była już jego przyjaciółką. Przywołał w pamięci postać Tisamona, ale też Tisamon nie był typowym przedstawicielem swej rasy. Stenwold miał nadzieję, że nie pomylił się w ocenie najważniejszej modliszkowej cechy.

Wyciągnął miecz. Szept stali przesuwającej się po wyprawionej skórze był ledwo słyszalny nawet dla niego, ale wszyscy spojrzeli na niego jak jeden mąż i nawet muzycy umilkli. Nie zląkł się ani nie zaniepokoił, lecz poczuł

wzbierający w nim zapał. Bez najmniejszego poruszenia w ich dłoniach pojawiła się broń – rapiery, długie noże, włócznie. Kilkoro włożyło nawet bojowe rękawice ze szponem, jakie nosił Tisamon.

Jedna z nich wstała – kobieta o surowej twarzy, z wąskim ostrzem w lewej ręce.

– Pomyliłeś drzwi, żukowcu – ostrzegła go. – Może jednak zechciałbyś udać się gdzie indziej ze swoim mieczykiem.

Stenwold puścił tę propozycję mimo uszu, chociaż stanowiła ona kres dyplomatycznej uprzejmości modliskopodobnych.

– Obawiam się, że nie. Dokładnie wiem, po co tu przyszedłem. Nazywam się Stenwold Maker.

– I jakie to niby ma znaczenie? – zapytała modliszka.

Na jej twarzy nie było widać ani śladu zrozumienia, z kim ma do czynienia.

– Mówisz w imieniu wszystkich zgromadzonych? Nie znam twego imienia.

Imiona były ważne dla niepojętych, Stenwold o tym wiedział.

– Nazywają mnie Akkestrae – oznajmiła. – A teraz weź

swój miecz i idź stąd żukowcu Stenwoldzie Makerze. Nie jesteś tu mile widziany.

– Jestem tu, by bronić honoru modliszowców.

Słowa te niegdyś zostały wypowiedziane przez Tisamona, taką miał przynajmniej Stenwold nadzieję, gdyż mógł polegać tylko na swych wspomnieniach. Tak czy inaczej, wywarły spodziewany skutek. Zobaczył ich reakcję –

emocję, która pojawiła się na ich twarzach i na której określenie żukowcy nie mieli osobnego słowa. Podejrzał, że propozycja, by odwrócić się i wyjść, straciła właśnie ważność.

– To mocne słowa jak na takiego miękkiego staruszka –

zakpiła z niego Akkestrae.

Z każdym jego słowem zmieniała położenie rapiera –

najpierw trzymała go ot, tak sobie, od niechcienia, a teraz w pełnej gotowości; jedno drgnięcie dłoni mogło wystarczyć, by przeszyć go na wylot.

– Myślisz sobie, że jesteś pierwszym żukowcem, który w swej ignorancji przyszedł z nas zakpić? Za plecami masz morze. Żeby je zapełnić, potrzeba jeszcze bardzo wielu trupów.

– Nie ucz mnie, co wypełnia morze – warknął Stenwold z takim żarem, że aż zamrugała i zmarszczyła

czoło. – Jestem tu, by bronić honoru modliszowców – powtórzył. – Ponieważ najwyraźniej nikt inny nie ma na to ochoty.

– A któż go zbezcześcił? – zapytała z pogardą. – Podaj jego imię.

– Danaen – odparł Stenwold. – Stań przede mną, Danaen, i broń się, jeśli potrafisz.

Najpierw zaległa cisza, po czym po sali rozszedł się pomruk i syk oburzenia, a wtedy przed nim stała się Danaen z bezczelnym wyrazem twarzy. I dotarło do niego, że przy każdym ich spotkaniu miała taką minę, a on wcześniej brał ją za przejaw rezerwy typowej dla jej rasy.

– Słyszałam, że wróciłeś niedawno z zaświatów, żukowcu – rzuciła niemal szeptem, ale jej słowa słyhać było w całej sali. – Najwyraźniej masz ochotę tam wrócić, skoro mnie wywołujesz.

– Wywołuję? – Stenwold zakpił z niej w żywe oczy, chwytając się pokładów swej odwagi. – Jestem tutaj, by naprawić zło, jakie wyrządziłaś. Zło, które dotknęło również całą twoją rasę.

W jednej chwili, tak ulotnej, że prawie niezauważalnej, w jej dłoniach pojawiły się wysmukłe ostrza.

– Skoro życie tak bardzo ci dopiekło, skrócę twoje cierpienia – warknęła, patrząc na niego zimnymi jak lód oczami.

– Mów, co masz do powiedzenia, żukowcu – zarządziła Akkestrae, teraz już wyraźnie znudzona. – Mów i miej honor zginąć jak człowiek, jeśli twoja rasa w ogóle wie, jak to się robi.

– Już wcześniej miałem sojuszników wśród modliszowców – zaczął Stenwold – i kiedy stawałem w ich cieniu, nie obawiałem się klęski czy zdrady. Wiedziałem, że kiedy dadzą słowo, to nawet w chwili śmierci, jak było z Tisamonem, go nie złamię.

– Tisamon! – rzucił ktoś pogardliwie, a Akkestrae dodała:

– Nie ma sensu przywoływać tu tego imienia, bo znamy jego słabostki.

– Podobnie jak on je znał – odparł Stenwold rozsądnie.

– Nosił jednak znak zbrojmistrza i zasłużył sobie na to. Kto temu zaprzeczy?

Akkestrae patrzyła na niego jak na łowną zwierzynę, która dostarczy wielu ciekawych wrażeń podczas polowania.

Lecz nikt nie odmówił Tisamonowi zasług. A Stenwold właśnie tego się obawiał, że reputacja jego zmarłego przyjaciela będzie zbyt nadszarpnięta, by mógł oprzeć na niej wywód.

– Tisamon nauczył mnie wiary w waszą rasę – zwrócił

się do całej sali, jednocześnie patrząc na Danaen. – W końcu mimo jego ułomności to jego miecz poderzwał gardło imperatorowi osowców – a ta ofiara właśnie przepędziła ich armie spod naszych

bram. Kto temu zaprzeczy?

– No i co z tego? – parsknęła Danaen i dołączyło do niej kilka głosów.

– A to, że kiedy szukałem pomocy w walce ze wspólnym wrogiem, znów zwróciłem się do was – i zostałem zdradzony.

Cisza, jaka teraz zapadła, była groźniejsza od poprzednich, i to Danaen postanowiła ją przerwać.

– Poszedłeś rozmawiać z pająkowym łajdakiem! –

wykrzyknęła mu w twarz. – W przededniu wojny z nimi. Nie chciałeś się bić. Jak wszyscy żukowcy tylko byś gadał i gadał.

Ja znam swoją powinność.

– Czyżby? – zapytał Stenwold. – Czy mówisz tu o zdobyciu miecza na pająkowca w stanie zawieszenia broni i podczas negocjacji pokojowych?

– Któż by mnie za to zganił? – zapytała ostro i było jasne, że niewielu.

– A może mówisz o swojej poważniejszej zdradzie? –

naciskał Stenwold i znów zrobiło się cicho, tym razem jeszcze bardziej.

Czekał, ale Danaen tym razem nie przerywała ciszy.

Nagle zaczęła uciekać wzrokiem.

– Spotkaliśmy się na wodzie, na pokładzie barki zakotwiczonej w ustalonym punkcie. Kto zaaranżował to wszystko? Kto wybrał miejsce? Czyj to był pomysł? I, proszę bardzo, po chwili barka została zaatakowana, a ja i mój człowiek zostaliśmy wciągnięci w odmęty morskie przez naszych nowych wrogów. Zasadzka. Wszedłem prosto w nią, ale nie zastawili jej pająkowcy, ponieważ jeden z nich też w nią wpadł. Pułapka została przygotowana przez tę, której ufałem. Wykorzystując moją wiarę, zaprzedała honor modliszowców, gotując na sojusznika zasadzkę!

Kłykie Danaen zbieleły zaciśnięte na rękojeściach mieczy.

– Czy twoje miasto lepiej by wyszło na tym, gdybyś je sprzedał pająkowcom swoimi słowami? – warknęła. – Jeden żukowiec czy drugi... Dlaczego niby ktoś taki ma mi rozkazywać? Skoro Maker mówi jedno, a Broiler drugie, to co mam z tym zrobić? Dlaczego nie mam wybrać drogi pozwalającej zabić więcej pająkowców?

Broiler? Coś targnęło trzewiami Stenwolda. Helmess, taka jego mać, Broiler? Czy wydawanie nas na żer osowcom mu nie starczyło? Musiał jeszcze skumać się z Claeonem?

– Broiler, powiadasz?

Obrzuciła go nienawistnym spojrzeniem, ale Stenwold dostrzegł w nim coś jeszcze. Nagle przeszła do defensywy, a jego umysł minął jej gardę i zbierając właściwe słowa, ruszył

do ataku:

– Czy ktoś tutaj wie, co się mówi o Helmessie Broilerze?

– zapytał mocnym głosem.

Ku jego zaskoczeniu kilku modliszowców zerknęło na siebie porozumiewawczo, a kilku z nich wyraźnie spochmurniało. Kiwali głowami, dając znak, że wiedzą.

– Mówią, że Helmess Broiler sprzedałby to miasto Imperium, gdyby tylko mógł. Temu samemu Imperium, które wyгнаło was z Felyalu! I takiemu człowiekowi wołała służyć Danaen zamiast mnie?!

– Dość tego – warknęła Danaen. – Czas utoczyć ci trochę juchy, gruby żukowcu.

Stenwold nie był do tego całkowicie przygotowany, ale kiedy padło nazwisko Broilera, który był cierniem w jego boku od tak wielu lat, krew w nim zawrzała.

– No to chodź – rzucił jej wyzwanie i opuścił miecz.

Danaen natarła na niego szybciej, niż był w stanie to dostrzec. Oczywiście jego zastawa znacznie się spóźniła, ale modliszka odskoczyła od niego jak oparzona. Między nimi pojawił się miecz Akkestrae.

– No co? – zasyczała Danaen. – Pozwolisz mu tak lżyć nasz honor? Słyszałaś, co powiedział.

– Słyszałam wiele słów – odparła beznamiętnie Akkestrae – i wiem już, jak niegodne usta

wymawiają słowo

„honor”. Lecz nie jego. Sama się pogryżałaś.

Danaen popatrzyła na nią z szyderstwem, próbując odnaleźć swoich ludzi w tłumie.

– To żalosne – powiedziała. – Tak właśnie kończy się życie w mieście słabeuszy. Kolegium zatrulo was wszystkich.

Patrzyli na nią poważnie i żaden z nich nie zrobił kroku, by stanąć w jej obronie.

– Przecież mówimy o pająkowcu – powtórzyła dobitnie.

– Które z was zawahałoby się, mogąc go usieć?

– Zrobiono ze mnie niewolnika – powiedział Stenwold cicho, lecz żarliwie. – Twój sprzymierzeńcy wzięli mnie w niewolę.

Modliszowcy, wiedział o tym, nienawidzili łowców niewolników. Była to jedyna profesja, którą otwarcie pogardzali, i w tym punkcie zbliżali się do żukowców.

– Jak możecie go w ogóle słuchać?! – wydarła się Danaen na ziomków, a Akkestrae odrzekła po prostu:

– Teraz musimy wysłuchać ciebie.

Stenwold odwrócił się i opuściwszy miecz, ruszył w stronę otwartych drzwi. Sekundę później usłyszał nawałnicę ciosów i krótki okrzyk bólu. Kiedy zerknął za siebie, zobaczył

Danaen leżącą na ziemi we krwi. Akkestrae przecierała właśnie swój rapier.

Odetchnął z ulgą i schował miecz, wiedząc, że czekający za drzwiami Laszlo zrozumie ten sygnał. Dwóch modliszowców zabrało ciało Danaen i zaciągnęło je na brzeg morza, a Stenwold usiadł przy ławie twarzą do wszystkich.

Musiał poczekać kilka minut, by przestali go ignorować. W

końcu jednak Akkestrae podeszła, by z nim pomówić.

– Czego chcesz? – zapytała go. – Nie myśl sobie, że po tym wszystkim staliśmy się przyjaciółmi.

Popatrzył na nią wyzywająco.

– Gdzieżbym śmiał. Przecież nie mogę niczego od was wymagać tylko dlatego, że jestem mistrzem wojny Kolegium i walczyłem z naszym wspólnym wrogiem. Czegóż mógłbym chcieć od was za to, że moje miasto przyjęło was, kiedy spalili wam dom, że ujawniłem tajną wojnę, jaką pająkowcy toczyli z nami, a następnie za to, że zdrada jednej z was wtrąciła mnie w ciemność i niewolę... Gdzieżbym

śmiał chcieć od was czegokolwiek...

Skrzywiła się, a jej dłoń zatańczyła znów wokół rękojeści rapiera, lecz on czuł, że ma teraz zdecydowanie lepszą pozycję.

– Czego chcesz? – powtórzyła. – Myślisz, że się boimy, że nas stąd wyrzucisz?

Zrozumiał – choć ona sama nie zdawała sobie z tego sprawy – że modliszowcy właśnie tego się obawiali. Mieszkali pod cudzym dachem, w mieście pojętych i czekali tylko, aż ktoś im powie, że nadużywają gościny. Byli niepewni swego, wrogo nastawieni i źli, że są tak nieprzydatni otoczeniu. *Nie widzą dla siebie przyszłości. Nie rozumieją, dlaczego ich tolerujemy. Być może spodziewają się, że polegną w jakimś ostatnim bojowym zrywie, kiedy w końcu postanowimy się ich pozbyć.*

Westchnął, starając się znaleźć dla nich w sobie krzytną współczucia i mając świadomość tego, jak bardzo ich potrzebuje.

– Cenię modliszowców, gdyż żaden człowiek nie miał

wierniejszego przyjaciela, niż ja miałem w Tisamonie. Nad Kolegium nadciągają znów czarne chmury. Być może sprowadzą je pająkowcy albo znów Imperium. Wtedy z całą pewnością będziemy wdzięczni wam za obecność tutaj.

Wydawało się, że te słowa ją uspokoiły, choćby odrobinę.

– Ale czegoś od nas chcesz.

Pokiwał ciężko głową.

– Podobno są tu wśród was dawni obywatele Felyalu, którzy mieszkają bliżej morza. Słyszałem o paktach i rytuałach i muszę pomówić z jednym z nich. To niezwykle ważne.

Jej zaskoczenie było całkowite, bo przecież zwykły żukowiec nie miał prawa o tym wiedzieć.

– To jest... starodawny obyczaj, obcy nawet nam.

Kilkoro z nas wciąż mu hołdowało, jeszcze zanim przybyło tu Imperium.

– Czy jest ktoś... – zaczął Stenwold, ale mu przerwała:

– Została jedna osoba.

– Tutaj?

– Morska straż... Oni zawsze kroczyli swoimi ścieżkami

– powiedziała Akkestrae. – Ale teraz... Jest tylko jedna osoba w mieście – zgorzkniała, zła i już nie bywa między nami. Jest taka przystań, wąska i zniszczona, przy samej wschodniej ścianie. Znajdziesz

ją tam. Nazywa się Cynthaen.

Przystań, o której mówiła Akkestrae, była naprawdę stara – zbyt wąska dla statków kupieckich i za wysoka dla małych łódek. Gdyby handel morski odgrywał w Kolegium większą rolę, najpewniej dawno zostałyby rozebrana, a na jej miejscu wybudowano by nowoczesne nabrzeże.

Pozostawiono ją jednak, by całkiem zbutwiała.

Minęła już północ, bo Stenwold musiał wrócić do domu po Paladryę w nadziei, że pomoże mu pozyskać zaufanie Cynthaen, przypominając jej szczegóły spotkania z Aradoklesem. Zabrał też garść ładunków do pukołuku, ponieważ po wyjściu z tawerny Laszlo go ostrzegł:

– Nie byłem tam sam, misz-Maker. Coś latało w powietrzu. Nie tak niezgrabne, żebym mógł się przyjrzeć, ale... oni tam są.

Pamiętając o tym, Stenwold zabrał z sobą też Fela i w czwórkę szli długo między nabrzeżami w stronę miejsca wskazanego przez Akkestrae. Paladrya zawijała się w opończę, ponieważ szybko zrozumiała, iż jej podobieństwo do pająkowców może być źródłem kłopotów. Ale Fel był w kolczudze, półpancerzu i naramiennikach z muszli, nałożonym na coś, co można było wziąć za skórę, i w hełmie z grzebieniem, w którym to stroju wyglądał niczym jakiś egzotyczny modliszkopodobny wojownik walczący na arenie za pieniądze. Opończe, co wkrótce Stenwold zrozumiał, nie cieszyły się sympatią wojownika szczypcowców, bo można się było w nie zaplątać, dlatego też szczerze ich nienawidził.

Musiało to wystarczyć. Stenwold nie miał czasu na kłótnie, a i Fel nie był podatny na perswazję.

Pomost był bardzo długi i ciągnął się na krzywych palach daleko w morze. W przyćmionym świetle księżyca Stenwold starał się dostrzec, czy ktoś nie stoi na jego końcu.

– Być może tej nocy zrobiła sobie wolne? – zastanawiał się.

– Ktoś tam jest – oznajmiła Paladrya, a pozostała dwójka przytaknęła.

Oczywiście, przecież muszcy mają bystry wzrok, a morscy byli przyzwyczajeni do fosforyzującego światła rozpraszającego ciemności wodnej głębin.

– Tylko jedna osoba? – zapytał.

Spostrzegł, że Laszlo gwałtownie zerka w górę, zdjęty podejrzliwością, ale dwoje morskich znów pokiwało głowami.

– Chyba że ktoś się schował za tamtą konstrukcją – dodała Paladrya.

Na samym końcu pomostu stała kwadratowa szopa –

najpewniej jakiś składzik. *Znów jestem nad wodą*, pomyślał

Stenwold i nagle poczuł gwałtowną niechęć do wejścia nawet na deski. Nie dlatego że były przeżarte przez korniki i żałośnie skrzypiąc, ugiwały się pod jego ciężarem. Chodziło o morze, które znajdowało się pod nimi. Czuł, że na niego czekało. *Uciekłem mu raz, a ono chce mnie z powrotem. Czy jednak naprawdę nie chcę tam wrócić?* „Wróc do mnie”, mówiła... Wzdrygnął się i poprowadził ich po chybotliwej konstrukcji.

Był mniej więcej w połowie pomostu, kiedy jego oczy wyłowiły coś, co mogło być czyjąś sylwetką. Gdyby coś poszło nie tak, teraz mógłby jedynie wskoczyć do oceanu.

Zirytowany tą myślą, odpiął lampę od pasa. Miał nadzieję, że nie będzie musiał jej używać, bo osoba, z którą chciał się spotkać, najwyraźniej ceniła sobie chwile samotności spędzane w bladym świetle księżyca. Potarł zapalnik i pojawił

się chybotliwy gazowy płomyk, niemal biały i skręcony prawie do minimum. Mimo wcześniejszych obaw poczuł się raźniej.

Zbliżał się ostrożnie. Paladrya i Fel byli tuż za nim, a Laszlo wisiał w powietrzu nieco dalej. Lampa oświetlała koniec mola, a jej błyski tańczyły po spróchniałych deskach szopy i plecach znajdującej się obok niej osoby. Była to rzeczywiście modliskopodobna. Siedziała na beczce, wpatrując się w morze... Nie, łowiła ryby Kiedy podszedł

bliżej, dostrzegł, że w dłoni trzymała zwój linki ginącej w ciemnej toni.

Usłyszał jej westchnienie i zatrzymał się w rozsądnej odległości tuż obok szopy.

– Niczego nie sprzedaję, niczego nie kupuję i nie mam przy sobie żadnych pieniędzy, nieznajomi – usłyszał jej zmęczony głos. – Nie obłowicie się na mnie.

– Nie chcemy cię obrabować – wyjaśnił Stenwold –

tylko zadać ci jedno pytanie, jeśli można.

Teraz zobaczył, że w drugiej ręce trzyma kij – spory kawał drewna. Nie odwracając się, wsparła się na nim, odepchnęła od beczki i zaczęła poruszać w dziwny sposób.

Dopiero po chwili stanęła do nich twarzą. Była młodsza, niż się spodziewał, a jej jasne włosy zostały bezwzględnie krótko przycięte. Miała bardzo pomarszczoną twarz, na której odmalowywały się ból i zgorzknienie.

– Cynthaen – zwrócił się do niej.

– Tyle, co z niej zostało.

Zrobiła krok naprzód, zupełnie pozbawiony modliskowej gracji, jakby się zatoczyła. I wtedy spostrzegł, że zamiast jednej nogi ma drewnianą protezę od kolana w dół. Kiedy znów podniósł wzrok, patrzyła mu prosto w oczy, z ironią, jakby spodziewała się litości.

– Osowcy? – zapytał ją.

– Tak, to podarunek od Imperium – odparła – i od chirurga twojej rasy. Skrócił mnie i przypalił, po czym powiedział mi, jakie to mam szczęście, że żyję. Czegóż więc chcesz ode mnie, mistrzu żukowcu? Może znalazłeś dla mnie nogę? – zapytała wesoło, choć ciągle z irytacją.

– Chcę cię zapytać o morskich – oznajmił Stenwold. –

Przysłali mnie tu twoi.

– Pamiętają mnie jeszcze? – Usadowiła się z powrotem na beczce, rozkładając ciężar ciała pomiędzy zdrową nogę i laskę. – O morskich? To wszystko bujdy, mistrzu żukowcu, bajania zapijaczonych marynarzy.

Stenwold zerknął na swych towarzyszy a Cynthaen podążyła za jego wzrokiem. Kiedy znów na nią spojrział, jej twarz była zamknięta, zrezygnowana.

– No tak – westchnęła.

– Słyszałem, że twój lud, twoja rodzina zawarła pakt –

wyjaśnił Stenwold. – I kilka lat temu ktoś się na niego powołał.

– Czyżby? – zapytała uprzejmie, garbiąc się na lasce.

– Pewien chłopiec wyszedł z głębin – podpowiedział

Stenwold.

Było jasne, że doskonale wie, o czym mówił, choć w jej twarzy nie znalazł ani cienia emocji.

– Czyżby? – Znów tylko to jedno słowo.

– Tobie mógł przypominać pająkowca – ciągnął

żukowiec z nieco większą desperacją, na co Cynthaen tylko uniosła sceptycznie brew.

Otworzył usta, zastanawiając się, co ma teraz powiedzieć, ale w tej samej chwili Paladrya przepchnęła się naprzód, stając zdecydowanie za blisko modliszki – niemal w zasięgu poszarpanych kolców jej przedramion.

– Proszę – powiedziała zwyczajnie. – Przybyliśmy, by go zabrać do domu. Czy jest ktoś z twego ludu, kto może to pamiętać?

Cynthaen zamarła i Stenwold pomyślał, że to dlatego, iż sądziła, że to pajęczycyca i że za chwilę rzuci się na nią, ale na jej twarzy nie było widać śladu nienawiści. Zrazu zadziwiona zaczęła ją najwyraźniej rozpoznawać.

– Ty – powiedziała modliszka, po czym dodała: – To byłaś ty?

Paladrya zmarszczyła czoło, a pozostała trójka zbliżyła się do nich, starając się zrozumieć, co się stało.

– Było nas niewielu i byliśmy rozrzućeni po całym wybrzeżu, my, którzy trzymaliśmy morską straż na długo, zanim przyszli osowcy – zamruczała Cynthaen naprawdę bardzo cicho. – Może pięciu? Sześciu? To zanikająca tradycja

– ofiary głębinom i żniwa morza. A teraz? Nie wiem, czy ktoś jeszcze jej hołduje. Ja jedna zostałam z mego rodu – czy też to, co ze mnie zostało. Ale rozpoznaję cię. Jesteś z jego ludu, a nie z pająkowców.

Stenwold usłyszał, jak Paladrya wstrzymuje oddech.

– Ty... ?

– Czy cię pamiętam? – Cynthaen zmarszczyła czoło. –

To było tam, na płyciźnie... Wraz z nim nie pojawiło się tylko tych dwoje długonogich łajdaków, ale jeszcze jedna osoba.

Obserwowałam skryta wśród drzew. Pamiętam. To mogłaś być ty. Mogłaś być. Noc, pięć lat temu, ale jestem niemal pewna, że to byłaś ty.

– Czy wiesz... – zaczęła Paladrya drżącym głosem. – Czy wiesz... czy on żyje? Czy mój Aradokles żyje?

– Nadciągnęli osowcy – głos Cynthaen znów stwardniał

i stuknęła laską w drewnianą nogę. – Wykurzyli nas ogniem i żelazem. Spalili każdą osadę i wszystkie misje handlowe wzdłuż granicy Felyalu, a potem parli dalej, aż zatrzymali się przed murami Kolegium.

– Czy on tam jest? – zapytała Paladrya. – Proszę, musisz mi powiedzieć. Ja muszę wiedzieć. To ja go posłałam na łąd tyle lat temu, żeby był bezpieczny...

Cynthaen wydała z siebie szczekliwe parsknięcie pełne niedowierzania.

– Bezpieczny? Wybrałaś złe miejsce i czas, kobieto. Ale twój chłopak walczył, to mu trzeba przyznać. Walczył w Felyalu, a potem z księciem. Poszedł i wstąpił do oddziałów obrony, łobuz jeden. Większość chłopów, handlarzy i drwali tam nie wytrzymała. Ruszali się za wolno, nie mieli łodzi, a osowcy deptali im po piętach. Dlatego wyruszyli na północ.

Wstąpili do wojska księcia ugorów. – Skinęła na Stenwolda.

– Ty wiesz, o kim mówię.

– O tak. – Stenwold aż się zachłysnął. – Wiem.

– W takim razie wiesz też, jak to się skończyło –

powiedziała Cynthaen. – W ich nowym miejscu. Chcecie odszukać chłopca? Jeśli żyje, będzie właśnie tam.

– Pryncypat Salmae – oznajmił Stenwold.

– Misz-Maker! – krzyknął nagle Laszlo.

Stenwold obrócił się na pięcie i zobaczył jakąś postać wzbijającą się gwałtownie w niebo z dachu szopy. Jego ręka odruchowo wyszarpnęła pukołuk spod peleryny. Wystrzelił w tym kierunku oba pociski, jeden za drugim. Jeden musiał

dojść celu, choć głównie dzięki łutowi szczęścia, a nie strzeleckim umiejętnościom żukowca, bo postać fiknęła kozła w powietrzu i runęła na pomost, roztrzaskując stare deski i niemal błyskawicznie zniknąć w ciemnej wodzie pod spodem.

Niemal w tej samej sekundzie spadło na nich jeszcze dwóch szczupłych, poznaczonych bliznami mężczyzn z mieczami o długich rękojeściach, które połyskiwały w blasku księżyca. Spadli na nich, by pomścić śmierć kamrata. Jeden ruszył prosto na Paladryę, a drugi na Stenwolda.

Fel stanął drugiemu na drodze. Miecz ześliznął się po jego naramienniku, wzniecając snop iskier, po czym zaczęli wymieniać ciosy. Stenwold spostrzegł, że byli to ważkopodobni, jakich nigdy wcześniej nie widział.

Miecznik miał większy zasięg i unosił się nisko w powietrzu, bzykając wściekle wokół Fela i starając się znaleźć lukę w jego obronie. Wojownik szczypcowców jednak nie dawał mu większych szans, robiąc piruety i wirując tak, żeby zawsze mieć przeciwnika w zasięgu wzroku. Ciosy, których nie był w stanie uniknąć, przyjmował na pancerz oraz wzmocnione sztuką pięści.

Stenwold wyciągnął swój miecz, idąc Paladryi na pomoc. Drugi ważkowiec bowiem już kuczał przy niej, trzymając poziomo miecz przed sobą. Cynthaen ruszyła jej na ratunek, balansując na zdrowej nodze i opierając się obiema rękami na lasce.

Ważkowiec ciął w dół, a jego uderzenie powinno rozpołować broń modliszki, Cynthaen jednak skręciła kijem, nieco unosząc go i ukazując wstęgę zaostrej stali, która wysunęła się z drewnianej pochwy. Wyciągnęła ostrze do końca, pochwą parując ciosy napastnika. Paladrya skryła się za nią.

– Misz-Maker, niech pan patrzy! – Laszlo wskazywał na coś gorączkowo.

Na dachu szopy przyczał się jeszcze jeden napastnik, prostujący się teraz z łukiem w dłoni. Strzała

czekała już na cięciwie. Klęcząc na własną głupotę, Stenwold zaczął szukać nowych ładunków do swojej broni.

Cynthaen broniła się bardzo sprawnie, ale nie mogła poruszać się na tyle szybko, by przejąć inicjatywę, i z wolna nieustępliwe ataki ważkowca spychały ją w tył tak, że ciągnęła aż drewnianą nogą po deskach pomostu. Stenwold przykucnął, gorączkowo ładując broń, i nagle tuż przed nim przeciwnik Fela zgiał się wpół. Mordercza kolczasta pięść wystrzeliła szybciej, niż oko Stenwolda mogło to zobaczyć, wbijając cztery cale ostrej kości pod żebra napastnika.

Brzęknęła cięciwa i Fel już odwracał się w stronę źródła tego dźwięku, ale strzała uderzyła go w pancerz z taką siłą, że aż przyklęknął na jedno kolano. Ale kolczuga złagodziła impet strzały i już Fel skoczył na równe nogi. Stenwold rzucił się do przodu, celując na oślep z pukołuku w stronę łucznika, lecz ten wzbil się w powietrze, furkocząc skrzydłami w świetle lampy, po czym śmignął do brzegu, unosząc się nad pomostem.

Za ich plecami wszystko wyraźnie ucichło i kiedy Stenwold obrócił się, zobaczył Cynthaen i Paladryę na samej krawędzi pomostu. Ich przeciwnik leżał u stóp Cynthaen z dwiema głębokimi ranami w plecach, gdy tymczasem Laszlo czyścił swój sztylet z niespotykaną u niego posępną miną.

– Widzieliśmy tych łobuzów już wcześniej, misz-Maker

– rzucił muszec.

Stenwold pokiwał głową, niechętnie przypominając sobie zażartą walkę na barce. To byli z pewnością ludzie Teornisa, co oznaczało, że albo kolejny agent Aldanraelich podążał ich tropem, albo... Albo Teornisowi udało się wyjść na ląd przed nim. I to wcale by go nie zdziwiło. Teornis był

niezwykle pomysłowy i być może znalazł sposób, by przekonać Claeona do wypuszczenia go na ląd. Nagle Stenwold zrozumiał, że ważkowcy nie zostali nasłani na nich, żeby ich zabić, tylko żeby szpiegować – i że skarb, którego szukali: informacja o tym, gdzie można znaleźć Aradoklesa, właśnie trafia w ręce ich pana z rodu Aldanraelich.

– Fel. Jesteś ranny? – zapytał.

Morski patrzył na strzałę nieco skonsternowany i pociągnął za nią na próbę, po czym się skrzywił, lecz Stenwold był niemal pewny, że osłona z muszli spełniła swoje zadanie i strzała wbiła się płytko.

– Nigdy czegoś takiego nie widziałem – mruknął

zadziwiony szczypcowiec i Stenwoldowi się przypomniało, że wśród morskich nie było łuczników.

– Musimy jak najszybciej dotrzeć do Pryncypatu Salmae

– postanowił Stenwold. – Jeśli Aradokles tam przebywa, musimy go znaleźć przed nimi.

Ostatni raz spojrzął na Cynthaen i zobaczył, że spogląda na martwego ważkowca z bezradną frustracją, jakby ją z czegoś obrabował, jakby wołała raczej zginąć jak modliszowiec, niż żyć tak, jak

teraz żyła.

Varante złożył meldunek z cierpką, bijącą chęcią zemsty miną z powodu śmierci swych ziomków. Ważkowcy z Solornu byli dumną rasą, potomkami świty wygnanego księcia, zanim stali się poddanymi *aristoi*. Ale Teornis był zadowolony, że jego wasal opanował się na tyle, by najpierw dostarczyć meldunek, zamiast wyciągnąć miecz i samemu polec. *No dobrze, nie ma niewolników idealnych, jak to mówią.*

– Czy wiesz – zapytał Helmessa Broilera – że nigdy nie miałem powodów, by odwiedzić Pryncypat Salmae. Czy oni w ogóle skończyli tę budowę?

– To miejsce nigdy specjalnie mnie nie interesowało. –

Żukowiec wzruszył ramionami. – To tylko banda przesiedlonych wieśniaków i byłych niewolników, którzy rozstawili swoje namioty w dziczy. Ale wiem też, że Sarneńczycy z jakiegoś powodu utrzymują z nimi kontakty.

– Cóż, teraz my powinniśmy złożyć im wizytę.

Oczywiście Maker będzie miał tam agentów.

– Pewnie tak. W końcu nazwali to miejsce imieniem jego studenta. – Helmess uśmiechnął się nieprzyjemnie. –

Będziesz się tam musiał bardzo starać, mój pajęczy lordzie.

Kto zechce z tobą rozmawiać w miejscu, w którym Stenwold cieszy się wielkim szacunkiem? Czy nie będzie to stanowiło zbyt dużej przeszkody?

– Zapominasz, że ja też jestem bohaterem wojennym. –

Teornis błysnął zębami w uśmiechu. – Poza tym *aristoi* nie zważają na przeszkody. Stenwold jedynie nieco ograniczył

moją wrodzoną przewagę. Sprowadź maszynę latającą – dla mnie, Varante’a i jego ludzi.

Helmess zmarszczył czoło.

– Tak po prostu?

– Czy wy, żukowcy, nie jesteście w tym najlepsi? W

maszynach, w logistyce? Zabiorę też z sobą Sandsa. Jest uroczo niepozorny. Tam będzie zbyt wielu Wspólniaków, żeby ludzie Varante’a pozostali niezauważeni. No co? Nie rób takiej kwaśnej miny. W końcu jedziemy na tym samym wózku, prawda? Chcemy tego samego.

– O, tak – odparł Helmess ciężko, a jego wzrok powędrował w stronę Elytrii, na co Teornis się tylko

uśmiechnął.

– Kiedy zajmiesz się przygotowaniami, ja dotrzymam towarzystwa twojej uroczej ukochanej, tak na wszelki wypadek, żebyś się dobrze sprawił. Chociaż pewnie i tak nie zaryzykowałbyś żadnego niezyskownego pomysłu.

TRZYDZIEŚCI SIEDEM

Niewiele spraw mogło wybić ze snu żukowca w średnim *W* wieku sporo po północy, po całym dniu spędzonym na dłubaniu w silniku maszyny latającej. Kiedy rozległo się stukanie do okna, robił wszystko, by je zignorować. Kwatera przy lądowisku była tania i często odwiedzali ją rozmaici włóczędzy – lotnicy, pokątni handlarze i postrzeleni rzemieślnicy. Pijani goście próbujący włamać się do cudzej sypialni też nie byli rzadkością. Ale hałas się nasilał i nawet przez poduszkę usłyszał swoje imię.

Klnąc na czym świat stoi, wstał zawinięty w koc. Ucisk wokół głowy świadczył o tym, że położył się spać w goglach.

Wziął do ręki ciężki klucz nasadkowy i po otwarciu okiennic ujrzał na zewnątrz młodego muszca.

– Nie znam cię – rzucił beznamiętnie. – A teraz fruważ stąd, bo ci łeb rozwalę.

– Stenwold Maker pana potrzebuje – powiedział

muszec.

Przez dobrą minutę żukowiec patrzył się na niego, jakby starając się zatrzeć te słowa w świadomości siłą, ale po chwili zaklął znowu i cisnął kluczem w róg pokoju.

– U niego?

– Już tu zmierza – odparł posłaniec. – Będzie za jakieś dziesięć minut.

– Dobrze. – Żukowiec westchnął, po czym pokręcił

głową. – Spotkam się z tym cholernym, natarczywym grubasem na lądowisku.

Muszec odpadł od parapetu i skrzydła poniosły go tak szybko, jakby trafił na mocny podmuch wiatru. Skwaszony żukowiec zaczął się ubierać, wbijając się w twarde skórzany kombinezon mechanika.

Ciężkim krokiem zszedł po schodach do wyjścia.

Kobieta, która prowadziła tę stancję – krzywogęba skundlona córka mrówca i żukczyny – jak należało się spodziewać, czekała na niego na dole, podejrzewając, że ma zamiar urwać się bez płacenia. Mieszkał tutaj z przerwami od siedmiu lat, mimo to nie ufała mu za grosz, nie mówiąc już o tym, żeby udzielić mu kredytu.

– Nie będzie mnie przez jakiś czas – oznajmił po zapłaceniu rachunku. – Zatrzymaj dla mnie mój pokój.

– A dokąd to tym razem? – Jej ton sugerował, że jedynie wariat jest w stanie wieść życie podróżnika.

– Nie mam pojęcia – odparł, utwierdzając ją tylko w tym przekonaniu.

Wyszedł w ciemność i poczłapał w stronę lądowiska.

Pojawiła się rzadka mgła od morza i wielkie lampy oświetlające łakę pokryły ją srebrno-czerwoną poświatą.

Kształty machin latających wyłaniały się z niej niczym szczątki dawno wymarłych potworów: ortoptery ze skrzydłami złożonymi do góry bądź do tyłu wzdłuż opływowych kształtów, brylaste helioptery z nieruchomymi, nieco opuszczonymi płatanami wirników i agresywnie wyglądające pojazdy o przytwierdzonych na stałe dwóch, a nawet trzech parach sztywnych skrzydeł. Nad wszystkim, niczym karawana księżyców przytwierdzonych do lądowiska, górowały potężne cielska sterowców wraz z wiklinowymi gondolami czekającymi na to, aż ktoś napompuje im balony.

Żukowiec podszedł najpierw do kadłuba swego statku, po czym wprawnie i szybko włączył pompy, które miały napełnić balon nośny. Następnie wdrapał się na dziób statku i obserwował, wyczekując tego, co nieuchronne, aż zobaczył

Stenwolda Makera. Staruszek nie zmienił się wiele od ich ostatniego spotkania – być może nieco schudł, ale wciąż tryskał energią i jak zwykle był przejęty. Towarzyszyła mu para muszców i kilkoro innych osób, ale Maker zawsze kierował się przedziwnym gustem w doborze przyjaciół.

Żukowy awiator zeskoczył ze statku na ziemię, świadom, że musi zapomnieć o czasie – mogła to być jedna noc, ale i dziesięć dni – i jeszcze raz zatańczyć tak, jak mu Maker zagra. Poczucie winy i honoru, a także wspomnienia sprawiały, że nigdy nawet nie pomyślał, żeby mu odmówić.

– Mistrzu Makerze – powitał go zdecydowanie, kiedy dotarł do niego, i stwierdził, że świta członka Zgromadzenia wygląda jeszcze dziwniej niż zwykle.

– Jons Allanbridge – Stenwold zwrócił się do niego po nazwisku z lekkim uśmiechem na ustach. – Trochę czasu minęło od wojny.

– Od ostatniej – potwierdził Allanbridge. – Ale żyjemy, co?

– Choć robią, co mogą.

Dwóch żukowców uścisnęło sobie mocno dłonie.

Stenwold spojrzał w twarz lotnika i wyczytał z niej niemal wszystko – o ostatnich doświadczeniach Allanbridge nie chciał z nikim rozmawiać.

– A gdzie to ostatnio handlujesz, Jons? – zapytał, widząc cień przesuwający się przez twarz

przyjaciela.

Często spotykał się z podobną sytuacją – zaufany agent, pozostawiony samemu sobie, działa na własną rękę i nikt nie jest w stanie powiedzieć, jak skończy. Poza tym Allanbridge w zasadzie nigdy nie pracował dla Stenwolda. Był jedynie jego zwolennikiem, gotowym poszybować tam, gdzie Maker sobie życzył, za godziwą zapłatę i pokrycie napraw statku.

Allanbridge wzruszył ramionami.

– Od naszej wyprawy do Wspólnoty myślałem, żeby tam spróbować szczęścia. To ciężka harówka, ale ja lubię wyzwania. – Jego oblicze skrywało jakiś mroczny sekret i Stenwold miał nadzieję, że nie chodziło o zwykłą kontrabandę.

– To nie jest *Frywolna Panienska* – zauważył Stenwold, spoglądając na miarowo wypełniający się balon. Miał wiele miłych wspomnień związanych z poprzednim statkiem Allanbridge’a.

– Po wojnie wziąłem mały kredyt, żeby wejść na wyższy pułap. Głównie potrzebowałem większej ładowni – odparł

Allanbridge i dało się słyszeć nieco więcej entuzjazmu w jego głosie. – Nazwałem ją *Kołowrót*. Ładnie, co?

Stenwold pokiwał głową.

– W takim razie jesteś gotów do drogi?

– Jak za starych dobrych czasów, no nie? – Allanbridge westchnął głęboko. – A dokąd to, mistrzu Makerze?

– Do Pryncypatu Salmae.

Najwyraźniej zaskoczył awiatora.

– Tak blisko? Myślałem, że polecimy do Shon Fhor albo do Capitas czy Solarno. I do tego mnie pan ściągnął? Do Salmae jest góra dwa dni.

– Im szybciej, tym lepiej. Uniesie nas wszystkich?

– Dwa razy tylu. Bez trudu. Niech pańscy ludzie ładują się na pokład i wyruszamy, jak się tylko napelni.

Poza muszkiem wszyscy zadzierali głowy, z wielką bojaźnią wpatrując się w pęczniejący balon. Sam kadłub był

podobny do łodzi, więc nie zastanawiali się nad nim i Stenwold stwierdził, że *Kołowrót* może lądować również na wodzie, jeśli zajdzie taka potrzeba, ale balon był

przeogromny, wielkości budynku. Nie mogli widzieć czegoś takiego wcześniej, pomyślał, a Paladrya wyszeptała:

– Meduzowcy z nieba.

Zerknął jeszcze raz i przez chwilę widział w tej olbrzymiej powierzchni jedwabiu zarys czaszy i festonów przezroczystej towarzyszki Lyess.

Reakcja morskich na lot *była*. zaskakująca. Początkowe sensacje żołądkowe związane ze wznoszeniem się zaskoczyły ich całkowicie – wyglądali, jakby za chwilę mieli się naprawdę rozchorować; chwiali się i zataczali w lukach bagażowych *Kołowrotu*, kiedy Allanbridge kierował bujający się w powietrzu statek w stronę spiczastych wież Kolegium.

Chwyтали się wszystkiego, co mieli pod ręką i siebie nawzajem, ślizgając się i potykając. Byli tak zaskoczeni, że Stenwold musiał ich zaprowadzić na górny pokład i pokazać im ład w jego nocnej krasie.

Stali przy relingu przez dłuższy czas, odwrócenii twarzą ku przestrzeni, więc żukowiec nie widział ich min, ale za to Laszlo krążył wokół nich w powietrzu, bezwstydnie się popisując i przyglądając ich reakcji. Z początku wyglądali na przerażonych, jakby nie sądzili, że horyzont może sięgać tak daleko. Po kilku godzinach jednak za ich plecami pojawiła się blada luna, która powiększała się, jakby chciała ich dogonić, po czym zaczęła z wolna czerwienieć, i po raz pierwszy w życiu morscy mogli obserwować wschód słońca nad ziemią.

Mimo wszystko Fel i Phylles nie chcieli brać w tym wszystkim udziału. Zobaczyli więcej, niż pragnęli, i stało się jasne, że im szybciej wrócą pod fale, tym dla nich będzie lepiej. Zeszli pod pokład, by porozmawiać, i udawali, że podróżują jakimś podwodnikiem i wcale nie wiszą wiele mil nad połaciami pól, brunatnymi wzgórzami czy płowymi pastwiskami porośniętymi karłowatą roślinnością. Wys jednak pozostała na górze. Stała na rufie z twarzą zwróconą ku wschodzącemu słońcu i spoglądała na ład, starając się wyglądać jak właścicielka tego terenu. Stenwold zastanawiał się, co takiego wykombinowali razem z Tomasso, kiedy zniknęli mu z oka, i czy ład bądź morze nie staną na przeszkodzie ich partnerstwu.

Paladrya trzymała się blisko Stenwolda do późnego popołudnia, aż słońce zaczęło mocno prażyć. Wtedy owinęła się szczelniej oponczą i włożyła kaptur, by ochronić skórę przed żarem. Wys pognało już na dół, podobnie jak Laszlo, zmęczonego akrobacjami, więc na pokładzie pozostali dwaj żukowcy i kobieta z rodu mózgowców. Zbliżyła się do barierki, by popatrzeć w dół, na coraz bardziej jałową ziemię.

Zdawała się nie lękać wysokości, aż Stenwold postanowił

stanać obok niej na wypadek, gdyby za mocno przechyliła się przez burzę. Była przecież przyzwyczajona do głębin, z których nie można było wypaść.

Zerknęła w jego stronę, kryjąc wszelkie emocje pod kapturem.

– Opowiedz mi o waszej wojnie – poprosiła. – Wojnie, w którą wplątał się mój Aradokles.

I tak Stenwold, chcąc nie chcąc, musiał streścić jej historię. Mówił o Imperium Os i ich inwazji na Niziny, kładąc szczególny nacisk na wątek księcia mniejszego Salmae Diena, który kiedyś był jego studentem, a później stał się panem wojny, ulubieńcem wysiedleńców, a na koniec –

męczennikiem, którego imieniem nazwano teraz całe miasto.

Po niespokojnej drzemce w bagażowni znów wyszedł na pokład i stanął obok niej, by popatrzeć, jak słońce zachodzi nad jeziorem Sideriti, barwiąc jego niebieskozieloną toń na czerwono. Główne miasto Pryncypatu Salmae leżało na najdalej wysuniętym na północ krańcu jeziora. Na zachód od Sarnu. Kiedy szkarłatna woda przesuwiała się pod nimi, Paladrya oparła się o niego, nie tyle mając ochotę na flirty, ile odczuwając potrzebę zaznania czyjejś kojącej bliskości –

nawet wolnej od czułości. Rozumiał jej głęboki niepokój, jej strach, że nic prowadząca do Aradoklesa wkrótce się urwie, że może się okazać, iż stał się jednym z owych licznych bezimiennych, którzy oddali swe życie, by opóźnić postęp armii osowców. *Przecież nawet Salma w końcu zginęła.*

Ulice Pryncypatu Salmae wylaniały się powoli dzięki linii żarzących się brązowników i Stenwold miał wrażenie, iż patrzy na widmowe miasto – gdyż porządek zabudowy zdradzał jedynie jej plan wyrysowany na ziemi. Słyszał nieco o tym miejscu: zamiast po prostu zacząć wznoszenie siedziby od obozu czy wioski na brzegu jeziora, zwolennicy Salmy stworzyli najpierw jej szczegółową koncepcję: wymierzili i określili wszystkie dzielnice i długo konferowali nad tym, co powinno się w niej znaleźć i jak funkcjonować. I nawet dla Stenwolda, przywykłego do rządów demokracji bezpośredniej obowiązujących w Kolegium, wydawało się to nierealnym pomysłem. Nie wierzył, aby ten system mógł zdać egzamin w praktyce – choć właśnie miał okazję spoglądać z góry na zarys Pryncypatu Salmae. Wzniesiono już może jedną czwartą budynków. Były to proste drewniane konstrukcje w różnych stylach – nawet w półmroku rozpoznawał szczyty dachów znane ze Wspólnoty, projekty żukowców z Kolegium czy proste domostwa mrówców. Część niedokończonych jeszcze budowli utrzymana była w stylach, których nie znał bądź nie mógł znać, gdyż stanowiły wytwór wyobraźni tutejszych architektów.

Olbrzymie połacie miasta zajmowały jeszcze namioty świadczące o tym, że większość populacji wciąż czeka na trwałe lokum. Na brzegu jeziora widać było tuziny łódek, a na wschodnich krańcach obwodu wyznaczono miejsce na lądowisko, gdzie można było rozróżnić pojedyncze kropki polotów. Jons Allanbridge niezwykle uważnie sprowadził

Kołowrót na dół, a Paladrya zeszła pod pokład, by obudzić pozostałych morskich.

Stenwold pierwszy zszedł po drabince, widząc dwie zbliżające się do nich kobiety, w sposób aż nadto oczywisty prezentujące władze miejskie. Miały białe włosy, choć nie były w podeszłym wieku, i przez chwilę nie wiedział, do jakiej rasy je przypisać. Zaraz jednak rozpoznał w nich karaluszyce.

Była to wędrowną nacja, dość rzadko widywana na Nizinach, choć powszechna na północy i wschodzie. Przedstawił się i najwyraźniej jego imię nie było im obce, gdyż zrezygnowały z oficjalnej postawy, dając upust swojej ciekawości.

– Mój stary przyjaciel u was mieszka, tak myślę – zaczął

rozmowę – z którym muszę zaraz porozmawiać w sprawie niecierpiącej zwłoki. – Wydawało mu się, że to najlepsze miejsce do rozpoczęcia poszukiwań. – Znacie mrówca Balkusa? Z jego listu wywnioskowałem, iż jest dowódcą straży pałacowej czy coś w tym rodzaju.

Oczywiście znały go i Stenwold zauważył, że jego przyjaciel jest bardzo lubiany w mieście.

– Ale teraz go nie ma – poinformowała jedna z nich.

– W takim razie czy jest w pałacu?

Pokręciła głową.

– Nie ma go w Pryncypacie. Wyjechał do Szaleństwa.

Stenwold zmarszczył czoło, świadom obecności za plecami grupki tłoczących się już morskich, i nagle zrozumiał:

– Do Szaleństwa Małkana?

– Tak czy siak, mistrzu... – dodała druga karałuszycza.

To mocno komplikowało sprawy. Szaleństwo było twierdzą wzniesioną przez Sarneńczyków w miejscu bitwy, gdzie pokonano Siódmą Armię Imperialną generała Małkana. Stenwold słyszał przechwałki mrówców, iż miała to być tak nowoczesna i wspaniała twierdza, jakiej świat jeszcze nie widział, zaprojektowana w całości przez geniusz Sarnu, aby żadna imperialna armia nie przemaszerowała już tędy w drodze na ich miasto. Stenwold od dawna chciał to zobaczyć i było mu na rękę, że Balkus wpadł na ten sam pomysł.

Zapytał, czy nie wiedzą, kiedy mrówiec ma wrócić. Nie wiedziały, ale podobno dopiero co wyjechał.

Stenwold odczekał, aż delegacja odejdzie, po czym zmęczony wypuścił z sykiem powietrze przez zęby.

– Rankiem spróbujemy dostać się do pałacu –

zapowiedział. – Resztę nocy powinniśmy spędzić na pokładzie *Kołowrotu*. Wolałbym po ciemku nie wałęsać się po obcym mieście w poszukiwaniu lokum.

Już miał się odwrócić do drabinki sznurowej, kiedy jedna z maszyn na lądowisku zwróciła jego uwagę.

Zmarszczył brwi, myśląc sobie: *Nieemożliwe* – ale ruszył w jej kierunku wolno, mrużąc oczy w szarzejącym świetle dnia. Był

to duży kanciasty pojazd z trzema zestawami rotorów, który wyglądał zadziwiająco znajomo, choć znajdował się tutaj, w mieście zrodzonym wskutek tyranii imperialnych rządów. Po chwili jednak dostrzegł też ciemne i jasne pasy, które w słońcu byłyby czarne i złote. Stał przed nim imperialny heliopter, oficjalnie parkujący na płycie lądowiska w Pryncypacie Salmae. *Co Imperium tutaj robi? Co się tu w ogóle dzieje?*

Ale maszyna nie mogła udzielić mu odpowiedzi, więc w końcu Stenwold wycofał się na *Kołowrót*, gdzie mógł choć na kilka godzin snu zapomnieć o zmartwieniach.

Teornis i jego muchopodobny pilot jeszcze raz zrobili kółko ortopterem wokół Pryncypatu Salmae, a jego pajęczce oczy mimo ciemności z łatwością przeczesywały ulice i puste parcele. Zastanawiał się, czy Maker już tu był. Helmess Broiler strasznie się guzdrał z załatwieniem mu transportu.

– No i co o tym sądzisz? – zapytał Formana Sandsa.

Mieszaniec okazał się nadspodziewanie dobrym kompanem podróży. Był wprawdzie zabójcą, ale też osobą czytaną i dobrze się wystawiającą. Teornis z rozbawieniem patrzył, jak bez żadnych oporów płynnie zmieniał

pracodawcę – z Helmessa na pajęczego lorda.

– Fascynujące, mój panie, tak spoglądać na powstające miasto o takim potencjale. Jak już je wybudują, będzie niewątpliwie wyłącznie wielkimi slumsami z pokrzywionymi budami, ale na razie...

Teornis pokiwał głową, zadowolony z jego oceny.

– Cóż, powinniśmy nacieszyć się tym widokiem, zanim zrujną go, zmieniając w swą prawdziwą siedzibę.

Nakazał muszcowi sprowadzić maszynę na dół, poza oficjalne granice miasta, po czym odesłał pojazd do Kolegium. Jak tylko będzie miał Aradoklesa w ręku, jeśli ten w ogóle tu przebywał, wtedy z łatwością sam odnajdzie drogę powrotną do siedziby żukowców.

– Jak planuje pan odnaleźć tego człowieka, lordzie Teornisie? – zapytał Sands. – Wyśle pan swoich ważkowców na polowanie?

– Jedyne w ostateczności – odparł pająkowiec. – Mój były patron admirał Claeon posiada pewne interesujące możliwości, gdyż jego lud dysponuje dziwnymi rodzajami sztuki. Widzisz to?

Teornis sięgnął do tuniki i wyciągnął portret, który nakazał sporządzić Claeon. Był to wspaniały szkic wykonany fioletowym inkaustem na grubym, gąbczastym pergaminie. A ponieważ artysta znał Aradoklesa, dzięki swej umiejętności natwarzania wykonał z pamięci jego niezwykle precyzyjną podobiznę.

– Weźmiemy ten obrazek – wyjaśnił Teornis – i popytamy się o młodego pająkowca. Z pewnością w mieście znajduje się ktoś, kto zajmuje się tropieniem, więc skłonimy go do pracy dla nas. A

tymczasem odnajdziemy naszego drogiego mistrza Makera.

Reszta wieczoru upłynęła im na odszukaniu Przydrożnika – domu z grubo ciosanych bali, wciąż pachnącego nowością i niepomalowanego. Hojna donacja Helmessa Broilera zapewniła jemu i jego ludziom święty spokój w tym miejscu.

Krótki spacer po Pryncypacie Salmae wprowadził Teornisa w dobry nastrój – nawet po zmroku było tu równie gwarno jak w mieście pająkowców i można było spotkać wielu przedstawicieli najniższych warstw społecznych. Naliczył z tuzin przedstawicieli ras na co dzień rzadko widywanych na Nizinach – przede wszystkim karałuchopodobnych. Znał ich z Ziemi Pająkowców, gdzie uważano ich za wielkie utrapienie i gdzie ci szarlatani wykorzystywani byli jako rajfurzy i szpiedzy. Ale tutaj było ich pełno, jakby Pryncypat stał się ich domem, jakby zostali tu w końcu uznani za pełnoprawnych obywateli. Uśmiechnął się na to, bo ostatnio zbyt mało miał

do tego okazji.

Ponieważ miasto tętniło życiem również w nocy, nie było powodu, żeby przerywać poszukiwania. Ale Teornis w końcu stwierdził, że zasłużył na odrobinę snu, przekazał więc podobiznę Sandsowi i Varante'owi i posłał ich, by zlokalizowali kogoś, kto zajmował się odszukiwaniem bliskich. Sands wydawał się odpowiednią osobą do zadawania pytań – stwierdził Teornis – a Yarante miał nie spuszczać go z oka na wypadek, gdyby tliły się w nim jeszcze jakieś resztki lojalności wobec Broilera. Sam zaś wziął

słomiany materac, który mogli zaoferować mu Bracia Gościńca, i od razu spokojnie zasnął.

Rankiem zjadł śniadanie, posławszy wcześniej kolejnego ze swych ważkowców, by dokupił coś do lichej strawy, jaką mogli mu zapewnić bracia. Sands już wrócił, ale Teornis najpierw wysłuchał meldunku dwóch ludzi, z którymi rozstał

się, zanim jeszcze przybyli do Przydrożnika.

– Znaleźliście Stenwolda Makera? – zapytał ich.

– Przybył w maszynie latającej i jest na lądowisku –

przekazał jeden z nich. – Ma kilku ludzi: dwójkę muszców, modliszkopodobnego i pajęczycę. I jeszcze jedną taką, co nie znamy. Maszyna odleciała dzisiaj rano, prawdopodobnie w kierunku Sarnu. Maker wypytuje ludzi.

– Oczywiście, że wypytuje – odparł z roztargnieniem Teornis, bo pomyślał sobie: *Z wykiych, przypadkowych ludzi, Stenwoldzie? Żadnych starych przyjaciół? Żadnych dobrych kontaktów? Czyżbym już cię prześcignął*

staruszkę? – Mieście na niego oko – polecił i ważkowcy skinęli głowami, skłonili się pospiesznie i wyszli z pokoju.

Sands i Varante byli następni. Helmessowemu zbir prezentował dziwną minę, której Teornis nie potrafił

do końca rozszyfrować.

– Mam nadzieję, że mieliście noc pełną wrażeń.

– Znaleźliśmy tropiciela, mój panie. W końcu.

– Tylko jednego?

– Wystarczył ten jeden, mój panie.

Teornis wywrócił oczami.

– Suspens jest dobry dla aktorów dramatycznych, mistrzu Sandsie. Mógłbyś mnie łaskawie oświecić?

I Forman Sands wyjaśnił mu, czego się dowiedział, a oczy Teornisa najpierw rozszerzyły się ze zdumienia, po czym zwężyły pod natłokiem myśli.

TRZYDZIEŚCI OSIEM

Architekci Pryncypatu Salmae najwyraźniej mieli w planach wzniesienie jakichś wielkich budowli wychodzących na lądowisko, ale na razie widać było tu tylko ogrodzone parcele. o świcie miejsce to zmieniło się w tymczasowy cudzoziemski targ i Laszlo wraz z Wys i jej kohortą poszli obejrzeć towary wystawione na sprzedaż. Handlowali głównie karaluszczy i muszcy, więc Stenwold zgadywał, iż kupiec z Kolegium nie znalazłby tu niczego ekscytującego, ale dla Wys wszystko będzie z całą pewnością dziwne i poszukiwane.

Kiedy jego ludzie byli zajęci na targu, żukowiec znalazł

niewielką jadłodajnię i kupił dla siebie i Paladryi zapiekankę z ryżu i smażonych larw mącznika na śniadanie. Długo musiał ją namawiać, żeby skosztowała, ale w końcu okazało się, że potrawa została zaakceptowana przez jej morskie podniebienie.

Jons Allanbridge już leciał w kierunku Szaleństwa Malkana Sarneńczyków w nadziei na przechwycenie Balkusa i wyciągnięcie od niego jakichś informacji. Wydawało się, że to najlepszy sposób, na jaki mógł liczyć Stenwold sam w obcym mieście.

Rozejrzał się za Laszlo i zobaczył go wraz z innymi, oglądających ręcznie tkane i dziergane towary, czyli bez wątpienia cuda i dziwy dla morskich. Kiedy odwrócił wzrok, napotkał spojrzenie Paladryi. Przez chwilę patrzyli sobie w oczy.

– Czekam na cios – oznajmiła. Widząc, że zmarszczył

czoło, rozwinęła temat: – Niektóre ostrożne stworzenia stosujące kamuflaż czekają, aż ich ofiara się zbliży, zwabiona ich wyglądem. Dopiero wtedy atakują. Aradokles jest przynętą, ja jestem ofiarą. Jaką pułapkę zastawił Stenwold Maker?

– Nie należę do ludzi zastawiających pułapki –

powiedział.

– W taki razie dlaczego? Byłeś już bezpieczny. Dlaczego postanowiłeś przybyć ze mną aż tutaj?

– Myślisz, że chcę zrobić krzywdę twemu chłopakowi?

Przyglądała mu się przez chwilę, po czym odparła:

– Nie, ale to niczego nie tłumaczy.

– Zapomina pani o szlachetności mistrza Makera –

wtrącił się nowy głos.

Ktoś energicznie przysiadł się do ich stolika w tak naturalny sposób, jakby był ich starym przyjacielem.

Stenwold odwrócił głowę i zobaczył Teornisa z Aldanraelich.

Milczeli przez dłuższą chwilę. Stenwold miał przy sobie pukołuk, schowany w połach tuniki, ale choć był nabity, to nie był naładowany. Miecz zaś wisiał mu u pasa. Dwóch wałkowców Teornisa stało w pewnym oddaleniu, ale z mieczami w zasięgu dłoni, przewieszonymi przez plecy, a Stenwold nie miał złudzeń co do własnej szybkości w porównaniu z nimi.

– Teornis – powiedział w końcu. – Co za...

niespodzianka.

– Mógłbyś przynajmniej powiedzieć: „Co za miła niespodzianka” – zauważył pająkowiec, uśmiechając się przyjaźnie. Skinął Paladryi na powitanie. – Pani, widzę, że zdecydowanie kwitnie pani bez opieki Claeona. Jak my wszyscy zresztą.

– Wiedziałem, że wywiniesz się jakimś cudem z jego łap

– zauważył Stenwold.

– Mówisz to takim tonem, jakbym zachował się nieuczciwie – stwierdził Teornis. – Czy postąpiłem niegodnie, pozbawiając Claeona rozrywki?

– Tak, jeśli zrobiłeś to, obiecując mu głowę Aradoklesa

– odparł Stenwold oschle i zobaczył, jak Paladrya tężeje.

Na chwilę całe rozbawienie zniknęło z twarzy Teornisa.

– Pamiętaj, że twoi oślizgli przyjaciele uwolnili cię stamtąd, zanim Claeon pokazał ci swoje sale rozkoszy, Stenwoldzie. Zapewniam cię, że obiecałbyś mu znacznie więcej, żeby tylko wyzwolić się

od jego towarzystwa. Zapytaj ją. Założę się, że mieliśmy podobne doświadczenia.

– Ale przybył pan tu po mojego Aradoklesa – wtrąciła się Paladrya cicho. – Tyle widzę.

– Och, ależ oczywiście. – I znów dobry nastrój wrócił na jego oblicze. Uśmiechnął się do niej czule.

– Ale nie tknę nawet włoska na jego głowie. Jest zbyt cenną zdobyczą.

– Wykorzystasz go, by kontrolować Claeona –

zorientował się Stenwold – i kiedy przybędzie twoja armada, ściągniesz morskich do Kolegium.

– Ty zaś chcesz przy jego pomocy pozbyć się Claeona i zlikwidować zagrożenie dla twego miasta – potwierdził

Teornis. – Gdyby nie chodziło tu o pożałowania godne nieporozumienie między naszymi krajami, to poparłbym cię z całego serca.

– Czego chcesz, Teornisie? – zapytał Stenwold. –

Jesteśmy teraz wrogami. Twoi rodacy zatroszczyli się o to.

– Och, wiem – odparł pająkowiec, a na jego twarzy zagościł wyraz prawdziwego ubolewania. – To nie był mój pomysł, ale wszystkich nas wiąże obowiązek. Możemy jednak przecież posiedzieć tutaj przez chwilę, nie wyciągając mieczy?

Bo któż widział to, co my? Kto z otaczających nas ludzi był w Hermatyre i żył tak długo w ciemnościach i na głębinach?

Tylko ty, ja i twój muszec, gdziekolwiek się znajduje. Mimo to, proszę bardzo, siedzimy sobie razem... Nie uważasz, że to więcej znaczy niż jakaś babska kłótnia o dostęp do kuchni?

Kiedyś przyjaźniliśmy się, Stenwoldzie. Gdy to wszystko się skończy, znów będziemy żyć w przyjaźni. Kiedy Imperium znów się u was zjawi – a że zjawi się, to obaj wiemy –

ponownie będziesz potrzebował przyjaciół na wschodzie.

Stenwold spojrzał na nieskończenie przekonującą, a jednocześnie nieskończenie obłudną twarz rozmówcy i pokręcił głową.

– Dlaczego twoja rodzina nie zadowolila się tym, co już ma? – zapytał niemal szeptem.

Paladrya spoglądała to na jednego, to na drugiego, wyczuwając brzemień łączącej ich przeszłości i skomplikowanie sytuacji i czując jednocześnie komfort, że to jej nie dotyczy.

– Jedyne ktoś nieskończenie nudny i głupi jest zadowolony z tego, co ma. Czy ty, zwycięski synu rewolucji pojętych, prawisz mi tu kazania sławiące stagnację? Nie, gdybyśmy nie próbowali zmienić status quo, któryś z twoich chciwszych wielmożów wkrótce sam postanowiłby to zrobić.

Zycie to walka i ewolucja, Stenwoldzie. Jakąż byłbyś postacią, gdyby Imperium swoimi działaniami nie zmusiło cię do zmiany?

– Śmiem twierdzić, że szczęśliwszą.

– Naszym celem nie jest zatęchłe szczęście – powiedział

Teornis. – Popatrz na nas – jesteśmy niechcianymi bohaterami, którzy uciekli z najgorszego więzienia z możliwych, wyrwali się z łap śmierci, przemierzyli potem Niziny w poszukiwaniu latorośli mitycznego królestwa i zapewne ją znajdą... Komuż innemu by się to powiodło?

Stenwoldem aż szarpnęło, ale opanował się i nie pozwolił, by Teornis to zauważył.

– Myślę, że niewielu – powiedział tylko.

Teornis wstał, wciąż się uśmiechając.

– Nigdy nie było takiego żukowca jak ty. Twoi rodacy boleśnie cię nie doceniają, a ty się marnujesz. Kiedy to wszystko ucichnie, kiedy znów staniemy się przyjaciółmi, przyjedź do Seldisu. Człowiek o twoich talentach powinien działać z większym rozmachem, niż to możliwe w Kolegium.

Pająkowiec skłonił się i odszedł różnym krokiem jak *aristoi* na porannej przechadzce. Chwilę później dołączyli do nich morscy wraz z Wys, obrzucając niktącego w tłumie Teornisa podejrzliwymi spojrzeniami.

– Kto to był? – zapytała z przejęciem drobna szczypcowata.

– Niestety nasz wróg – odparł ze smutkiem Stenwold, po czym zmarszczył czoło. – Gdzie jest Laszlo?

– On go poznał – wyjaśniła Wys. – Poszedł w górę –

dodała z niemal z zabobonnym lękiem.

Morscy wciąż nie mogli pojąć fenomenu sztuki latania.

Wzdrygali się za każdym razem, widząc, jak jakiś obywatel Pryncypatu przelatywał nad ich głowami.

– W górę?

Stenwold zerwał się z miejsca. *Laszlo chce szpiegować Teornisa... Głupek jeden, nie wie, jak bystry wzrok mają ważkowcy? Ale muszcy potrafili się bardzo skutecznie podkradać, gotowi dostać się wszędzie i zniknąć z czymś, co do nich nie należy. Poza tym, jeśli dobrze zrozumiałem Teornisa, powinienem jak najszybciej poznać jego plany.*

Westchnął. Wymknęło mu się to wszystko z rąk. *Bądź*

ostrożny, Laszlo, i na drugi raz nie bądź tak cholernie narwany. I niech ci się uda, jeśli to

możliwe, niech ci się uda.

– Co teraz? – zapytała Wys od niechcienia. – Mamy na niego tu czekać? I czy dziedzic w ogóle tu jest?

– Wskazała dłonią na chaos miasta w budowie.

– Mój „przyjaciel” Teornis nie docenia mnie tak samo, jak jego zdaniem nie doceniają mnie moi rodacy – mruknął

Stenwold, zaciekawiając wszystkich obecnych.

– Co masz na myśli? – zapytała Paladrya.

– Ano to, że jego poszukiwania są dalej posunięte niż nasze i zdradził nam coś, czego do tej pory nie byliśmy pewni. On wie, że Aradokles żyje. W dodatku przebywa w tym mieście.

Forman Sands czekał, aż Teornis wrócił do Przydrożnika, ale pająkowiec tylko machnął na niego, żeby sobie poszedł, i skrył się w swoim pokoju z butelką najlepszego wina, jakie mogli mu dostarczyć bracia, gdzie rozmyślał niemal godzinę. W końcu wysłał wiadomość przez Varante’a, że Sands powinien do niego dołączyć.

– Powiedz mi, co załatwiłeś w pałacu, mistrzu Sandsie –

zwrócił się do niego.

Mieszaniec miał kwaśną minę.

– Czy też raczej czego nie udało ci się załatwić.

– Człowiek, z którym się widziałem, powiedział tylko:

„Ona nikogo nie przyjmuje”.

– Doprawdy? – Teornis uniósł brew. – Tuszę, że dostatecznie długo klarowałeś mu, jak ważne sprawy ściągnęły mnie do Pryncypatu Salmae. Czy nazwisko Aldanraelich już nic w tych stronach nie znaczy?

Forman Sands rozłożył ręce.

– Nikogo, powiedział. Monarchini jest od wojny w żałobie. Czasami pokazuje się publicznie na swoim balkonie, by pomachać ludowi, ale nie przyjmuje żadnych ambasadorów, żadnych mężów stanu, członków Zgromadzenia ani *aristoi*. Odwróciłyby się od samego imperatora osowców.

– Nie dziwota, biorąc pod uwagę ostatnie wydarzenia –

mruknął Teornis. – Czy Maker już się do nich zwrócił? Czy nastawił ich przeciwko nam?

– Nie odniosłem takiego wrażenia – meldował Sands. –

Jest w żałobie, powiedzieli, i tak chyba jest rzeczywistość. To dziwaczne miejsce. Funkcjonuje w trudny do ustalenia sposób. To nie jest miasto, lecz skupisko ludzi ogarniętych jedną ideą, jak mi się zdaje, której nie dzieli z nimi tylko... ta kobieta, ich monarchini. Mimo to kochają ją, taką nieszczęśliwą.

Teornis parsknął zirytowany.

– Ale ktoś musi tu podejmować decyzje.

– Tego nie jestem pewny, mistrzu – odparł Sands, pokornie wyrażając odmienne zdanie. – Ale chociaż pałac ciągle jest w budowie, ma już w nim poddanych. Całą masę.

A mężczyzna, z którym rozmawiałem, tytułuje siebie kanclerzem. To karaluszec o imieniu Sfayot czy jakoś tak.

Wygląda na to, że w tym pałacu sporo jest karaluszców.

Jakby stary Sfayot zaprosił tam całą swoją rodzinę.

– Na Ziemiach Pająkowców nazywamy ich robactwem –

odparł zde gustowany Teornis. – A tutaj mianują ich kanclerzami. Chrońcie nas, wielkie damy! Cóż, czy ten Sfayot przynajmniej poświęci mi trochę czasu?

– Przyjmie cię za trzy dni – odparł Sands, spodziewając się wybuchu gniewu.

Teornis jednak tylko wpatrywał się w osad w winie.

– To za długo. Nie wiemy, kiedy Maker ruszy do akcji, a on ma tu większe wpływy niż ja. Nie możemy dopuścić, żeby znalazł się w pałacu przed nami... – zamilkł, kiedy nagle Varante jednym susem przebiegł przez pokój i dopadł okna, wyciągając miecz.

Sekundę później wązkowiec był już na zewnątrz i usłyszeli go, jak chodzi po dachu. Wkrótce zapadła cisza; żadnych odgłosów przemocy. Ale Teornis czekał z dokończeniem rozmowy na powrót Varante'a.

– No i? – zapytał ostro.

Varante gburowato pokręcił głową.

– Nic, mój panie – powiedział tylko, ale nadal przekrzywiał głowę, jakby nasłuchując.

Teornis westchnął.

– Varante to wojownik – wyjaśnił na użytek Sandsa. –

Jego ludzie są wierni i dobrze wyszkoleni. Można na nich polegać, choć być może brak im nieco

cierpliwości.

– Mnie pan tego nie musi mówić – potwierdził Sands ze złością. – Jeden z tych, co go pan posłał ze mną do pałacu, w drodze powrotnej dał się pochlastać. – Widząc zmarszczone czoło Teornisa, ciągnął: – Natknęliśmy się na jakiegoś Wspólniaka i pański człowiek zaczął go lżyć. Zanim się zorientowałem, pochlastali się tymi swoimi wielgachnymi mieczami.

– Varante, wyjaśnij, o co chodzi – polecił Teornis.

Ważkowiec miał poważną minę.

– To była sprawa honorowa. My pochodzimy z Solornu, jednego z siedmiu księstw wygnańców, i nie możemy ścierpieć, gdy widzimy, jak jeden z tych, którzy zdradzili naszych przodków, ot tak sobie chodzi po ziemi.

Teornis przyłożył dłoń do czoła. Pająkowi słudzy nie mieliby takich dylematów, ale też nie mogliby swobodnie poruszać się po Kolegium, w którym pojawiali się pierwsi goście ze Wspólnoty. To poskładane z różnych części miasto zostało bowiem nazwane imieniem Wspólniaka i Teornis już widział sporo krajan Varante'a z północy na jego ulicach.

Zabrał go tutaj, żeby zrównoważyć siły Stenwolda dysponującego oddziałem modliszowców. Nie spodziewał się jednak, że siedemsetletni zatarg nagle okaże się tak istotny.

– Nie muszę podkreślać – rzucił oschle – jak istotne jest nasze zadanie. Nie muszę, bo jesteście moimi ludźmi, Varante, moimi sługami, i tym samym każdy mój rozkaz jest tak ważny, że powinniście być gotowi zginąć, wykonując go.

Zaufałem wam. Czy się pomyliłem?

Varante patrzył przez chwilę na niego wilkiem, zanim odpowiedział:

– Nie, mój panie.

– W takim razie dopilnuj, żeby twoi ludzie byli karni –

polecił Teornis lodowatym głosem. – Ruszamy dziś w nocy.

Mogą sobie strzec tego pałacu przed gośćmi, jak chcą, ale nadal jest to tylko plac budowy. Przejmiemy chłopaka, zanim zrobi to Maker.

– A co z samym Makerem? – zapytał Sands.

– Mam nadzieję, że się spóźni. – Teornis podniósł

wzrok na niego. – Dlaczego pytasz, Sands?

– Pozwól mi go zabić dla ciebie, panie – zaproponował

sługa.

– Ambitny jesteś.

– Mistrzu, zabijałem już żukowców ze Zgromadzenia dla Helmessa Broilera. Ginęli równie łatwo jak ci, którzy na nich głosowali. W końcu to jest moje zajęcie. Daj mi więc rozkaz, a ja dopilnuję, by Maker nie wchodził ci więcej w paradę. Tu nie obowiązuje żadne prawo. Lud Pryncypatu nawet tego nie zauważy.

Teornis wpatrywał się w niego niewidzącym wzrokiem.

– No i oczywiście Helmess Broiler będzie zachwycony, gdybyś chciał do niego wrócić na służbę.

Sands wzruszył ramionami.

– Czy to źle, że zadziałam również po jego myśli?

Teornis zamknął oczy. Wyglądał teraz na starszego. Na człowieka, który od wielu dni spał za krótko, a oczekiwał tak wiele. Kiedy w końcu popatrzył na Sandsa, na jego twarzy nie było widać śladu zadowolenia, jedynie wielki zawód.

– Nie wydam takiego rozkazu – powiedział krótko i Sandsowi pozostało tylko wzruszyć ramionami i wyjść z pokoju.

We wspólnej sali Przydrożnika teraz Sands wziął

butelkę wina od braci i zamyślił się. Nie kierowała nim resztką lojalności wobec Helmessa Broilera – czy też nie ona przede wszystkim. Bo choć dobrze by było nie odcinać się zupełnie od dawnego pracodawcy (całkowite zdanie się na pająkowca nie należało do zbyt mądrych posunięć), to w tym wszystkim doskwierał mu głównie pewien problem filozoficzny. Z początku ochoczo roztaczał przed Teornisem swój urok, by dostać się do niego na służbę i skorzystać z okazji nauki sztuki manipulacji od jednego z jej mistrzów.

Poza tym miał wrażenie, że zaczyna kapcanieć u Helmessa.

Wszyscy wiedzieli, że pająkowcy byli erudytami, chętnie podejmującymi ryzyko graczami, nieskończenie podstępными i całkowicie bezlitosnymi istotami... I tego właśnie spodziewał się po służbie u Teornisa. A nie kiepskiego sentymentalizmu.

Zabicie Makera to było proste zadanie. Żukowiec był

przecież konkurentem Teornisa i choćby tylko dlatego powinien zniknąć. I Sands nie potrafił pojąć, co powstrzymywało przed tym pająkowca. Świat Sandsa, rządzący się wypracowaną przez niego filozofią bezwzględnej przemocy, dzielił się na ludzi doskonałych oraz rój pospółstwa. Doskonały człowiek – wyrafinowany i dysponujący wolnością działania – nie powinien nosić żadnych pęt: poczucia winy, sumienia, ignorancji czy instynktu. Doskonały człowiek był ponad prawem, ponieważ prawo zostało stworzone, by utrzymać w ryzach rój, a nie ograniczać aspiracje garstki najlepszych.

Stenwold Maker, zdaniem Sandsa, miał niegdyś potencjał, by przekroczyć tę barierę, ale roztrwonił go, poświęcając się gorszym od siebie, co przypominało podlewanie pustyni.

Zabić Makera. Sands wstał. Teornis nie wyda rozkazu?

Ale Teornis też nie zakazał mu tego. Kiedy Sands przyjdzie do niego z rękoma unurzany we krwi żukowca, na obliczu Teornisa na pewno zagości uśmiech. *A może to jest sprawdzian dla niego? Ponieważ doskonali ludzie wiedzą, kiedy należy zignorować rozkaz. Doskonały człowiek wie, co jest konieczne.* Podeszedł do drzwi Przydrożnika i już po chwili znalazł się na ulicy, odruchowo sprawdzając rękojeści sztyletów. Spojrzał na swoje kłykcie, wysunął i schował

zatrute szpony wspomagane sztuką pajęczą. On znał Makera, ale Maker nie znał jego. Będzie to więc bułka z masłem.

Wystarczy znaleźć dogodny moment, by wysłać starego na wieczne łowy i tym samym zadowolić Teornisa, Helmessa oraz spełnić surowe wymogi filozofii.

Kiedy Bracia Gościńca przybyli tu z Kolegium, by wybudować zajazd, wydawało im się, że powstanie on w stylu żukowym, z kamienia. Ale w Pryncypacie Salmae brakowało tego materiału, więc musieli wznieść go z drewna, utrzymując w stylu kolegiatnej gospody – czyli z płaskim dachem. Aby zapobiec skutkom najgorszej pogody w interiorze, zostawili puste miejsce między sufitem i dachem

– otwartą na bokach przestrzeń, wysoką jedynie na jakieś dwie dłonie, gdzie pełzały karaluchy i roiły się ćmy.

Przestrzeń ta była niewielka, ale mogła pomieścić pomysłowego muszca, który postanowiłby się w niej skryć, by podsłuchać niemal wszystko, o czym mówiło się w środku.

Laszlo leżał plackiem, a ostatnie słowa Teornisa do Sandsa wciąż dźwięczały mu w uszach. Był gotów już wydostać się z budynku i jak najszybciej polecieć do Stenwolda Makera.

Usłyszał wystarczająco dużo i nawet udało mu się zerknąć pomiędzy deskami w suficie na twarz Teornisa oraz uchwycić spojrzenie tego wyglądającego na żukowca mężczyzny, którego pająkowiec nazywał Sandsem.

Przesunął się więc do przodu, zapierając łokciami i kolanami, i dostał niemal zawału, kiedy ważkowy zbir Teornisa wypadł z okna, z pewnością usłyszawszy jego ruchy.

Ale wyobraźnia ważkowca nie dorównywała jego zmysłom, dlatego wylądował na płaskim dachu i krążył wściekle tuż nad głową Laszlo, nie mogąc zlokalizować źródła tych dźwięków.

Muszec przesunął się do krawędzi budynku i zerknął

ostrożnie przez szparę między ścianą i gontami, przez którą dostał się do tej kryjówki. Pierwsze, co zobaczył, to samego Sandsa stojącego przed drzwiami na dole, który zatrzymał się na chwilę i jak w jakimś rytuale przesunął dłońmi po ubraniu, poprawiając je. Ale bystre oczy Laszlo dostrzegły

rękojeści sztyletów, których obecność poprawiła mężczyźnie nastrój. Następnie Sands ruszył przed siebie, postanawiając zapewne zrealizować swój plan mimo zakazu Teornisa. To prawda, mógł zmierzać do każdego miejsca w mieście, ale Laszlo miał przeczucie, że szedł raczej do kwatery Stenwolda.

Przygotował się więc na szybką ewakuację, by ostrzec Stenwolda, ale nagle stanął przed nim ważkowiec, zasłaniając swym ciałem na chwilę pasek światła przed nim, a potem znów lądując na dachu. Znów musiał usłyszeć jakiś ruch, być może kiedy muszec przenosił ciężar ciała na drugą stronę, i tym razem już szalał ze złości, chodząc w tę i w tę po dachu, bez wątpienia z obnażonym mieczem, by zadać nieuchwytnemu intruzowi śmierć. Był przekonany, że ktoś ich podsłuchiwał, a ponieważ nadal nie namierzył drania, trzymał się blisko krawędzi dachu.

Muszec wstrzymał oddech, zamierając w bezruchu.

Oczywiście mógł czmychnąć, kiedy ważkowiec szedł w drugą stronę, ale ściganie się z przedstawicielem tej rasy nie było dobrym pomysłem. Jeśli ktoś równie dobrze czuł się w powietrzu jak pobratymcy Laszlo, to byli to właśnie ważkowcy. Gdy *Wolny od Pływów* pływał po pajęczych wodach, napotykali mnóstwo ważkowców z rozmaitych księstw, które wieki wcześniej opuściły Wspólnotę. Ci z Castilli byli równie obłąkani jak mrówcy, ci z Magnaferry tak wytworni jak sami pająkowcy, a błązny z Solornu, których wynajął Teornis, tak dzicy i łaknący krwi jak modliszowcy.

Ale wszyscy posiadali jedną wspólną cechę, wywołującą w ich wrogach przerażenie: byli szybcy i raptowni, zręczni i całkowicie bezlitośni. *Być może mógłbym mu uciec*, powtarzał Laszlo w myślach, ale owo „być może” stanowiło ogromny znak zapytania. Wielkie miecze – ulubiona broń ważkowców – mogły przeciąć muszca na pół.

Tymczasem mieszaniec zniknął mu z pola widzenia, choć wyglądało na to, że kierował się wprost na lądowisko.

Laszlo aż skręcał się z niecierpliwości, żeby lecieć, ale cholerny ważkowiec wciąż łąził tam i z powrotem po dachu i nie zamierzał zrezygnować z raz podjętego tropu.

TRZYDZIEŚCI DZIEWIĘĆ

To jest złoty central z mennic Helleronu – wyjaśniał

cierpliwie Stenwold. – Tradycyjnie tyle kosztuje miecz. Te srebrne to standardy. Dziesięć standardów to jeden central.

A to – podniósł gliniany krążek podzielony na cząstki – to koło ułomków. Możesz odłamywać po kawałku i oto masz –

zmrużył oczy – pięćdziesiąt ułomków, to jeden srebrny standard. Wypalają te koła lokalnie. Poza miastem, w którym powstały, są nic niewarte. – Odłożył monety na stół, przy którym wcześniej wraz z Paladryą jedli śniadanie.

Z początku myślał, że to za trudne dla Wys. Po chwili jednak zobaczył, że ona po prostu nie może uwierzyć w to, co widzi.

– To... to są pieniądze? – zapytała, podnosząc z blatu centrala. – Ale przecież to jest złoto!

– Prawdopodobnie z połową domieszki jakiegoś innego metalu – przyznał Stenwold. – My tutaj nie używamy papierowych pieniędzy.

– Nie jestem wcale zdziwiona, bo widziałam wasz papier. Wystarczy napluć i zmienia się w papkę – odparła drwiąco. Wyciągnęła chude ramię, pokazując bransoletkę utkaną ze złotych nitok. – W takim razie to też są pieniądze?

– To jest warte sporo pieniędzy – potwierdził Stenwold.

– Nie wiem nawet ile. Nie za wiele jest tu tego złota, ale to mistrzowska robota.

– Naprawdę? No, dziękuję ci. – Uśmiechnęła się, najwyraźniej traktując jego słowa jako komplement. –

Wszystko jest tu strasznie zacofane, ale to mi się podoba.

Pominąwszy to, jak cholernie gorące albo zimne potrafi być to wasze powietrze.

Jej blada skóra zaróżowiła się w kilku miejscach i od jakiegoś handlarza kupiła parasol w stylu pająkowym, by osłonić się przed słońcem. Fel i Phylles jeszcze przed południem schronili się w cieniu, ale Wys nie miała dość ani lądowych, ani kupowania i sprzedawania.

– Mogę to sobie zatrzymać? – zapytała, mając na myśli monety Stenwolda służące tej demonstracji.

– Powiedzmy, że to będzie zaliczka – zgodził się Stenwold, a ona już śmignęła w stronę najbliższych straganów. Stenwold napotkał wzrok Paladryi i zobaczył, że się uśmiecha.

– Drobnoszczypcy zawsze byli najbardziej przedsiębiorczą nacją w morzu – wyjaśniła. – Jak sądzę, dzięki temu mamy Gorące Rewiry. Nawet Claeon musiał

stworzyć im pewne udogodnienia. Oni poprowadzą nas w przyszłość. I myślę, że w zasadzie nie obchodzi ich, kto zasiada na tronie admira Hermatyre.

– Ale ciebie tak – zauważył Stenwold – i mnie chyba również.

Czekał teraz albo na powrót Laszlo, albo na wieści od miejscowych posłańców, którymi się posłużył. Myśl, że Teornis go wyprzedzał, była wielce irytująca. A niefortunna nieobecność Balkusa, na którą niewiele mógł poradzić, dodatkowo pozbawiła go kontaktów.

– Jaki miałaś plan? – zapytał Paladryę. – Na początku, kiedy Claeon przejął władzę. Czego się spodziewałaś?

– Wtedy byłoby wspaniale, gdybym miała jakiś konkretny plan – odparła, stale się uśmiechając. – Mogłam jedynie zdradzić Claeona i uratować chłopca. Myślałam, że Claeon rozgryzie mnie szybciej i zabije w napadzie szału. Aż do chwili spotkania z tobą uważałam, że mam pecha, bo umiałam tak długo ukrywać przed nim swój występki, że zapragnął utrzymać mnie przy życiu, by móc wciąż karać, zamiast zabić na miejscu. – Drgnęła jej powieka i końcówka ust, zdradzając moc niezadowolenia Claeona.

Stenwold przykrył jej dłoń swoją, starając się powiedzieć coś pocieszającego. Chwilę później padł na nich jakiś cień i stanął przed nimi korpulentny żukowiec – z wąsami, łysiejący, nieco starszy od Stenwolda, w skórzanym kaftanie mechanika. Bez wstępów usiadł przy stole, zerkając z ukosa na Paladryę.

– W czym możemy panu pomóc? – zapytał Stenwold, odszukując rękojeść pukołuku.

– To pan jesteś ten gość, co wypytuje wszystkich? –

odezwał się najczystszym akcentem z Kolegium.

– Tak, zadaję różne pytania. A czy pan zna na nie odpowiedzi? – przydusił go Stenwold.

Nieznajomy spoglądał to na niego, to na Paladryę, a ta naciągnęła głębiej kaptur, najwyraźniej nie czując się swobodnie w jego obecności.

– Szukacie pajęczego chłopaka. Kręcone włosy, już podrostek. Przyjechał tu z armią księcia.

– Tak, z ludźmi Salmy – potwierdził Stenwold. Widząc błysk zaskoczenia w oczach mężczyzny, dodał: – Znałem księcia Salme Dien z Kolegium. – *Przecież to chyba coś znaczył.*

– Naprawdę? – było to jedyne słowo komentarza. – A czego chcielibyście od niego?

Stenwold zmarszczył czoło, zastanawiając się, czy ten typ nie jest przypadkiem handlarzem niewolników, mającym nadzieję na pozbycie się jakichś pająkowych przestępców czy dłużników.

– Przywrócić go na łono rodziny, mistrzu...

– Kałamarz, Ordley Kałamarz – przedstawił się żukowiec, ale słowa Stenwolda sprawiły, że coś się zmieniło w jego twarzy. – No to powodzenia w poszukiwaniach, kolego. Mam nadzieję, że ci się uda – dodał i wstał ciężko już ze zdecydowanie nieprzyjazną miną.

Odszedł, zostawiając Stenwolda tak, jak go zastał.

Potem zgłosiły się jeszcze dwie osoby: wyglądający na zagłodzonego muszec, który niemal na pewno był agentem handlarzy niewolników, oraz karałuszyca, która starała się wydebić od Stenwolda pieniądze, rzucając w zamian mgliste wskazówki na temat miejsca pobytu chłopca. Ranek się kończył, a sprawa wyglądała coraz gorzej. I właśnie wtedy pojawił się mieszaniec.

Z początku Stenwold myślał, że to kolejny żukowiec, być może nawet wspólnik tamtego Kałamarza,

ale jego rysy świadczyły o mieszanej krwi. Mówiąc szczerze, Stenwold widział wielu mu podobnych w Pryncypacie Salmae, dlatego sądził, że to miasto, wolne od wszelkiej indoktrynacji, było o wiele atrakcyjniejsze dla przybyszów niż nawet Kolegium, w którym obowiązywała poniekąd narzucona idea tolerancji.

Mieszaniec był potężnym, dobrze ubranym mężczyzną, a kiedy się odezwał, sprawiał wrażenie uczonego z Kolegium.

– Doszły mnie słuchy, że szuka pan młodzika, który wygląda jak pająkowiec.

Stenwold westchnął znużony, spodziewając się kolejnej, nic niewnoszącej do sprawy rozmowy, ale Paladrya chwyciła go za ramię.

– Tak – potwierdziła ostrożnie. – Wygląda na pająkowca. – Spojrzała nowo przybyłemu śmiało w oczy. –

Widział pan go?

Jej opis był szczegółowy, zwłaszcza że tutaj niewielu pająkowców miało kręcone włosy, tak powszechne wśród mózgowców. Stenwold poczuł nagły przypływ podniecenia.

– W takim razie nie wy jedyni go szukacie – mruknął

mieszaniec. – On jest... zaniepokojony. – Rozejrzał się pospiesznie na boki. – Powinniśmy pójść w jakieś ustronne miejsce. Macie gdzieś tutaj pokój?

Stenwold pokręcił głową. Zeszłej nocy spali w *Kołowrocie*, który teraz był w drodze do Szaleństwa, i nawet nie pomyślał, by znaleźć jakieś lokum na dzisiaj.

Nowo przybyły skrzywił się, odchodząc od stołu.

– Chodźcie za mną – rzucił cicho, kiwając ręką w ich stronę.

Nie oglądając się za siebie, ruszył wąską uliczką między dwiema prawie skończonymi budowlami – dwoma wysokimi i pozbawionymi okien składami.

Stenwold wszedł w rzucany przez nie cień i instynktownie, kiedy znalazł się w otoczeniu ścian, zerknął za siebie, szukając jakiegoś potencjalnego współnika nieznanego. I wtedy zobaczył, jak Paladrya, która naturalnie szła za nim, otwiera szeroko oczy z zaskoczenia i układa usta do ostrzegawczego krzyku.

Odwrócił się w chwili ataku, a jego dłoń odruchowo powędrowała nie do pukołuku, lecz miecza przy pasie.

Wyciągnął go z pochwy, ale mieszaniec był szybszy i ciął go obiema rękami. Stenwold poczuł równoległe, bliźniacze, palące żywym ogniem rany – zamiast solidnego ciosu pięścią otrzymał smagnięcie pazurami. Zamachnął się mieczem, celując w korpus napastnika, po czym próbował

wyskoku, ale ramię zrobiło się ciężkie jak z ołowiu i stawy błyskawicznie zesztyniały. Broń wypadła mu z nagle skamieniałych palców i kiedy się zorientował, klęczał już na ziemi.

Z wyrazem rozbawienia na twarzy napastnik wyciągnął

zza pasa długi sztylet, podczas gdy Stenwold usilnie próbował

odzyskać panowanie nad ciałem, rzucając do walki z sączącą się w głąb jego organizmu trucizną wszystkie siły swej rasy.

Gestem profesjonalisty mieszaniec uniósł broń, by zadać ostateczny cios.

Wtedy Paladrya przepchnęła się obok Stenwolda, przewracając go na bok, i przez jedną straszną chwilę pomyślał, że przyjmie za niego ten cios, ale ona tylko schwyciła nadgarstek napastnika jedną ręką, zwieszając się na nim całym ciężarem swego ciała. Miotał nią na wszystkie strony, starając się wyzwolić z jej uścisku, ale morską włożyła weń całą swoją sztukę, nie dopuszczając, by ostrze spadło na Stenwolda. Wtedy mocno ją uderzył w twarz drugą dłonią, aż w końcu się poddała. Pełen niedowierzania skowyt, jaki się w tej chwili rozległ, dobiegł jednak z jego ust, a nie z niej, bo jej sztuka nie dała za wygraną. Zarys jej dłoni wciąż był

widoczny na jego nadgarstku mimo krwistych strzępów skóry, którą mu zerwała.

Krzycząc z wściekłości i bólu, przełożył nóż do drugiej dłoni i stanął nad Paladryą. Stenwold widział, jak kobieta do końca patrzy na napastnika, rzucając mu nieme wyzwanie.

Chciał popędzić jej na ratunek, ale udało mu się jedynie zaszurać niezdarnie o podłoże.

W tej samej chwili mieszaniec został postrzelony, a przynajmniej coś zważyło go z nóg tak szybko, że umysł

Stenwolda tego nie zanotował – poza tym jad tak bardzo otumanił żukowca, że ten nie potrafił zrozumieć tego, co widział. Dopiero gdy zabójca znalazł się na ziemi, Maker rozpoznał Laszlo, który przysiadł na ziemi, przyciskając dłoń do piersi z twarzą wykrzywioną i bladą od bólu.

Stenwold właśnie zaczął odzyskiwać władzę w członkach, gdy zjawiała się Wys z ekipą, by odkryć trójkę rannych i trupa. Ponieważ żukowiec doświadczył już działania pająkowego jadu, wiedział, że zdrowy człowiek, szczególnie tak żywotny jak on, dojdzie po nim do siebie.

Nieco bardziej ucierpiała Paladrya, która nosiła teraz na twarzy siniaka w barwie sztormowej chmury i spuchła tak, że nie mogła otworzyć jednego oka, a poza tym niezrozumiale bełkotała. Chyba w najgorszym stanie był Laszlo.

Widząc Stenwolda i Paladryę zdanych na łaskę kilkakrotnie większego od niego zabójcy, wykorzystał jedyny atut, jaki posiadał. Z nożem w dłoni natarł prosto na niego z największą szybkością, jaką mógł wykrzesać ze swych skrzydeł. Broń cała zagłębiła się pod żebrami napastnika, ale muszec złamał rękę i kilka palców. Szczerzył jednak zęby w uśmiechu do Stenwolda, mrugając jednocześnie z bólu.

– Nie po to wyciągnąłem pana z tego podmorskiego bagna, żeby mi pana tu zabili – wysyczał.

Wys zaraz zaczęła kląć w żywy kamień, że nie ma ani kropli wody morskiej, żeby natworzyć z niej gips, a w załamku pojawiło się dwóch karaluzców, których zwabił tu hałas. Zdaje się, że stanowili coś w rodzaju straży miejskiej, bo opierając się na kijach, wysłuchali relacji Stenwolda i Paladryi, a potem stwierdzili, że napastnik był na tyle duży, że mógł się bronić, i posłali kogoś, żeby zbadał ciało, ale też nie wykazywali najmniejszej ochoty, by kogokolwiek aresztować czy zatrzymać. Stenwold wraz z towarzyszami zaprowadził Laszlo do poleconego medyka, który okazał się żwawym chirurgiem z Sarnu i który wsadził ramię muszka w łubki, a następnie dał mu jakąś miksturę do wypicia, żeby usmierzyć ból. Ale ponieważ pacjent nie chciał niczego przyjąć dopóty, dopóki nie porozmawia ze Stenwoldem, zostawił ich w spokoju i opuścił ambulatorium, nakłoniony do tego przez Wys prezentem z delikatnej złotej bransolety, którą mu wręczyła.

– Misz-Maker – Laszlo nie dawał za wygraną. –

Słyszałem ich. Wiem, gdzie on jest.

Stenwold przez chwilę sądził, że Laszlo mówi o Teornisie, ale Paladrya dość niewyraźnie zapytała:

– Aradokles?

I Laszlo energicznie pokiwał głową.

– Mówili, że w pałacu – wykrztusił przygarbiony, ale zaraz padł na leżankę z jękiem. – Człowiek pająkowca, który was zaatakował, starał się dostać do środka, ale powiedzieli mu, że szefowa nikogo nie przyjmuje, nawet *aristoi*... Dlatego mają się zakraść tam dzisiaj wieczorem... Aradokles gdzieś tam jest, są tego pewni.

Spojrzenie Stenwolda ześliznęło się z Laszlo na Paladryę, a potem na Wys i jej załogę.

– W takim razie też powinniśmy się tam dostać, nie ma co do tego wątpliwości – uznał. – A jeśli nam to uniemożliwią, będziemy musieli pokonać Teornisa w jego podstępnej grze i dotrzeć do chłopaka pierwszy.

Stenwold postanowił skorzystać najpierw z oficjalnej drogi. Przedstawił się w kompleksie pałacowym, który nazywano pałacem monarchini. Wciąż był w budowie, ale już robił duże wrażenie rozmachem założenia. Poza tym w większości wznoszono go z kamienia, więc było jasne, że architekci włożyli weń dużo wysiłku, choć wszelkiej maści cieśle, murarze i brukarze, delikatnie mówiąc, nie do końca się do tej roboty przykładali. Wytyczono wszystkie fundamenty, lecz mury wyrastały bez żadnego ogólnego planu. Tak więc niektóre ich fragmenty były już zadaszone, a inne – otwarte. I to, co w zamierzeniach miało być ciągiem zachodzących na siebie kwadratowych dziedzińców, wyglądało obecnie jak labirynt z trzciniowych rusztowań, kamienia i drewna. Wokół rozpościerały się ogrody, które zasadzono rok wcześniej, a które już zazieleniły się i kwitły. Stenwold zauważył wśród roślin z tuzin żukowców, uchodźców bądź dezserterów z Imperium, fachowo i z typową dla ogrodników cierpliwością oraz troską przycinających żywopłoty i drzewa.

Ten kompleks stanowił najwyraźniej serce Pryncypatu Salmae – choć na razie to serce nie miało za bardzo po co bić.

Planiści przemyśleli to miejsce bardzo dokładnie. Wśród zieleni wiły się ścieżki wysypane korą, ale nie tylko ten widok przypominał Stenwoldowi jego jedyną wizytę we Wspólnocie oraz ascetyczną prostotę wszystkich wzniesionych tam budowli. Również zbrojni, w których rozpoznał pałacową straż, cofnęli go myślami do tamtych chwil. Byli to ważkowcy w skórzano-chitynowych pancerzach, wsparci na włóczniach bądź długich tukach z cięciwami. *To naturalne, skoro założyciel tej wspólnoty tam się właśnie urodził.* Ich obecność sugerowała, że w Pryncypacie Salmae nie próżnowano i nawiązywano stosunki dyplomatyczne z ojczyzną swojego patrona.

Przez bite pół godziny urabiał chudego, starszego karaluszca o imieniu Sfayot, który grzecznie wyjaśniał mu, że monarchini nikogo nie przyjmuje.

– Powinieneś jej powiedzieć – nalegał Stenwold, wyciągając jedyne go asa z rękawa – że przyjaźniłem się z księciem Salme Dien. Znałem go bardzo dobrze.

– W rzeczy samej – odparł posępnie siwobrody karaluszec. – Mistrzu Makerze, proszę nie myśleć, że pańska osoba nie jest nam znana.

Te słowa zatrzymały Stenwolda w miejscu.

– W takim razie może znasz... – zaczął, ale Sfayot ruszył

w głąb ogrodu, przywołując go, by poszedł za nim.

Sfayot chodził o lasce, choć wcale się na niej mocno nie opierał, i Stenwold sądził, że bardziej służyła mu ona do obrony w miejscach, w których nie wolno było otwarcie nosić broni.

– Ona naprawdę pana zna, mistrzu wojny Stenwoldzie Makerze – odparł karaluszec zmęczonym głosem. – Choć trzyma się z dala od Wielkich Nizin. Spotyka się z bardzo nielicznymi, naprawdę z garstką. – Wbił ostre spojrzenie w Stenwolda. – Poza tym istnieje też druga lista osób – tych, z którymi nie życzy sobie spotkania.

– Nie rozumiem – wyznał zupełnie zaskoczony Stenwold. – Byłem jego przyjacielem, człowieka, od którego to miasto wzięło nazwę...

Sfayot przez jakiś czas szedł w milczeniu i Stenwold uważał, żeby mu nie wejść pod nogi. W końcu jednak karaluszec zatrzymał się przed kwitnącym krzakiem z gatunku nieznanego Stenwoldowi.

– Czy lubi pan kwiaty, mistrzu Makerze? Z żukowych miast widziałem jedynie Helleron i prawie ich tam nie było.

– Lubimy kwiaty – odparł Stenwold zadziwiony. –

Używamy ich jako wyrazu uczucia, czasami do wystroju sali.

Tak, chyba lubimy kwiaty.

– A kiedy już ulubione kwiaty przekwitną... ? – zapytał

Sfayot prawie niesłyszalnie.

Stenwold był zarówno oszołomiony, jak i znużony. Do tego wciąż odczuwał rwanie mięśni od jadu mieszańca.

Odpowiedział więc nieco rozdrażnionym głosem:

– Wtedy wiedz, jak sędzę. No i co z tego?

Sfayot pokiwał boleściwie głową.

– Nie przyjmie pana, mistrzu wojny – oświadczył

nieodwołalnie.

Stenwold spojrział na niego wilkiem. Był o krok od zażądania, żeby ktoś coś zrobił, bo *aristoi* wraz ze swymi zabójcami planuje porwanie jeszcze tej nocy. Ale sam potrzebował Aradoklesa. Nie chciał go tylko uchronić przed łapami Teornisa. Wszelkie ostrzeżenia w tej sprawie utrudniłyby jeszcze jego własne zadanie.

Zamiast więc ostrzec Sfayota, wzruszył tylko ramionami, jakby przyjął odmowę po męsku i zamierzał

odejść, nie sprawiając więcej kłopotów w pałacu. Podczas drogi jednak rozglądał się uważnie, szukając najlepszego miejsca wejścia do pałacu i zastanawiając się, jak po zmierzchu rozstawiano warty. Kiedy zerknął do tyłu na Sfayota, wydawało mu się, że stary karaluzec znów stoi już przy bramie i rozmawia z jakimś żukowcem. Zmarszczył

brwi, bo wydało mu się, że to Ordley Kałamarz, ale z tej odległości nie mógł być tego pewien.

Wrócił więc do swoich sprzymierzeńców, by czekać na zapadnięcie zmroku.

CZTERDZIEŚCI

Przez okno Przydrożnika Teornis obserwował niebo ciemniejące na zachodzie. Nie było dzisiaj czerwone, jedynie pokryte gniewnymi obłokami. To mu pasowało, choć nie mógł zapomnieć o pająkowym przesądzie, iż czerwone niebo to dobry omen. *To przecież głupstwa. W końcu wszyscy przebywają pod jednym niebem – nie mogą więc jednocześnie nie mieć szczęścia.* Tylko że Stenwold Maker, pojętny, przyziemny żukowiec, nie wierzył w przesady. *Dość tego,* stwierdził w duchu Teornis.

– Varante – odezwał się cicho.

– Panie?

– Ruszamy.

Teornis, który na tę noc musiał zrezygnować z ulubionego przepychu, miał na sobie skórzany pancerz ze skóry podbity jedwabiem i wzmocniony rzędami metalowych płyt – wszystko w ciemnych barwach. Na to włożył opończę, a blade oblicze skrył pod kapturem. Jego ważkowcy proste chitynowe pancerze pokryli sadzą, by ich blask nie pokrzyżował im zamiarów.

Naprawdę rzadko jakikolwiek *aristos* z rodu Aldanraelich musiał się osobiście uciekać do takich machlojek, ale stawka była wysoka. I chociaż Teornis niezwykle cenił umiejętności Varante’a, przedsięwzięcie to wymagało finezji, na której ważkowiec jednak się nie znał.

Teornis położył dłoń na rękojeści rapiera. Była to ta sama broń, którą przekazał Varante’owi przed spotkaniem ze Stenwoldem na pokładzie barki. Była lekka, wyważona, o ostrzu jak brzytwa, ale bez dodatkowych ozdób. Już sam kunszt jej wykonania mówił więcej o zamożności i smaku właściciela niż wszelkie klejnoty. *I wolałbym jej raczej nie używać, jeśli będę miał coś do powiedzenia w tej sprawie.*

Wyruszyli szybko, kiedy tylko niebo w całości zasnuło się mrokiem. Z gospody wyszli przez okno, by nie wzbudzać podejrzeń, a na częściowo zabudowanych ulicach wyglądali niczym cienie kierujące się prosto do pałacu. Po zmierzchu kręciło się tu jeszcze trochę podróżnych, ale żaden z nich nie zauważył Teornisa ani jego świty, kiedy ci zbliżali się do pałacowych terenów.

– Czy twoi ludzie wiedzą, co mają robić? – wyszeptał

Teornis i zaraz dostrzegł skinięcie głową Varante’a w ciemności.

Teornis zabrał z sobą połowę oddziału i teraz ta czwórka dotrze z nim do pałacu, by znaleźć nieznośnego młodzika mózgowca i wyłuskać go stamtąd z chirurgiczną precyzją.

Kolejnych dwóch miało dopilnować, aby grupa dostała się tam niepostrzeżenie. Było oczywiste, że najprawdopodobniej skończy się to dla nich tragicznie, ale kiedy Varante ich o tym poinformował, tylko skinęli głowami. Wiedzieli, że ich rodziny i członkowie klanu w Solornie otrzymają stosowne wynagrodzenie za ich wierną służbę. Pająkowcy cieszyli się reputacją osób podstępnych, ale nie dotyczyło to ich kontaktów z własnymi ludźmi, najbliższymi sługami. *Aristoi* wiedzieli, że osoby pokroju Varante’a nie zadowolają się substytutem lojalności, dlatego też postępowali z nimi uczciwie i hojnie nagradzali za zasługi.

Wspólniacy strażnicy, przed którymi ostrzeżono Teornisa, uważnie patrolowali tereny pałacowe parami, a Varante zapewnił, że kilku z nich będzie na dachach oraz w powietrzu. Ale w sumie dostrzegli ich z tuzin i pająkowiec pomyślał, iż mieszkającym tu obywatelom do głowy by nie przyszło zaatakować pałac. Zdawali się otaczać mieszkającą tu monarchinię szacunkiem graniczącym z bałwochwalstwem.

Teornis, Varante i reszta przykucnęli i czekali.

Ważkowcy nie wyglądali na szczególnie czujnych, ale należeli do bystrookiej rasy i wystarczająco

długo strzelali z łuków dla Teornisa, by mieć świadomość, iż podczas takiej akcji nadzwyczaj łatwo można skończyć z grotem między łopatkami. Teornis spodziewał się, że ogrody pałacowe będą spowijały ciemności – najlepszy przyjaciel zabójcy czy szpiega – ale za murem kompleks był otoczony rzędem lamp z kloszami w kolorach tęczy, które ukazywały wszystko w niestosownych w tych okolicznościach świątecznych barwach. I po chwili pomyślał, że jego dwóch ludzi do odciążenia uwagi wpadło w tarapaty w złym miejscu –

stanęli na drodze najbliższemu wartownikom. Dwie pary ważkowców spoglądały na siebie zimnym wzrokiem –

schludnie wyglądający Wspólniacy w wypolerowanych pancerzach z bronią na długim drzewcu zakończonym półksiężycowym ostrzem stali na wprost ludzi Teornisa z odległego Solornu, którzy wyglądali jak oberwańcy – i najwyraźniej szykowali się do bitki.

Teornis nie słyszał, jakie słowa padły, wyłapał jedynie ton głosów. Pałacowa gwardia była wstrząśnięta i oburzona tym, że ci wygnańcy wkroczyli na teren monarchini. Intruzi zaś odpowiedzieli niepochlebny komentarzem nie tylko na temat monarchini, ale i samego monarchy odległej Wspólnoty, którego przodkowie wypędzili ich dziadów w szeroki świat. W końcu ludzie Teornisa wyciągnęli miecze o długich trzonkach, co dobitnie świadczyło o ich intencjach.

Wspólniacy nie potrzebowali zachęty i już po chwili w mgiełce skrzydeł nacierali na intruzów, opuszczając broń do pozycji bojowej. Ale przeciwnicy w jednej chwili zaczęli umykać, bącząc nisko nad krzewami, nadal szydząc i wzniecając rwetes. Teornis usłyszał kilka nawołujących się głosów i kroki kolejnych strażników zaniepokojonych hałasem i opuszczających swoje stanowiska. Jeden ze Wspólniaków śmignął nad ich głowami z tukiem gotowym do strzału niemal tak nisko, że pająkowiec mógł go dźgnąć rapierem. Odgłosy walki i krzyki narastały z każdą chwilą.

Dwójka zbrojnych, wyznaczona do odciążenia uwagi, doskonale wykonywała swoje zadanie.

– Teraz! – rzucił pospiesznie, chociaż nie musiał nic mówić.

Ruszyli w stronę pałacu, szukając najlepszego dojścia.

Całkowicie zignorowali wielką bramę, gdyż niedokończony mur dawał im nieskończenie wiele możliwości przeniknięcia do środka, nawet jeśli nie potrafiliby latać. Chowając się w cieniu z dala od kolorowego światła, wybierali najdogodniejsze luki.

Bez większych problemów znaleźli się w pałacu –

labiryncie częściowo wybudowanych fragmentów, które pewnego dnia będą stanowić wspaniałe świadectwo szacunku, jakim lud Pryncypatu obdarza swego władcę, a dzisiaj były jedynie zwykłym placem budowy.

Teornis skinął na Varante'a i ważkowiec wzbił się w powietrze. Mogli teraz przemykać między elementami pałacowej ściany, dopóty zaglądając wszędzie, dopóki jeden z nich nie znajdzie w końcu dziedzica mózgowców. Wtedy pochwyca chłopaka i wzbijają się wraz z nim w powietrze –

dwóch, trzech wystarczyło, Teornis miał nadzieję, by unieść chudego nastolatka na bezpieczną odległość. Poszedł razem z Varante'em, bo podejrzewał, że jego ludziom przyda się cywilizowane wsparcie. Bez swego pana bowiem Varante mógł już runąć w dół, rzucając się w bezsensowną walkę z pałacową strażą.

Sam Teornis wślizgnął się pod niedokończony dach, między wsporniki i podpory rusztowania, i wypełził na coś, co miało być otwartym dziedzińcem, gdy budowniczym w końcu uda się otoczyć go murem.

I stanął twarzą w twarz ze stojącym na przeciwnym krańcu dziedzińca Stenwoldem Makerem.

Laszlo strasznie biadolili, że go zostawiają. Coś tak trywialnego jak złamana ręka, upierał się, nie mogło go spowolnić. Fakt, że ledwo mógł wstać z łóżka, by wygłosić tę żarliwą przemowę, nie wpłynął na jego korzyść.

– Martwi mnie tylko, co się z nim stanie, kiedy my będziemy gdzie indziej – zwierzył się Stenwold pozostałym. –

Ludzie Teornisa mogą równie dobrze przyjść po nas i nie miałby z nimi żadnej szansy.

Wys wzruszyła ramionami.

– Sporo zainwestowałam w rodzinę chłopaka, łądowy, więc nie pozwolę, żeby stało mu się coś złego.

Stenwold spostrzegł odbicie swego zatroskanego oblicza na twarzach Fela i Phylles.

– Co proponujesz?

– Zostanę tutaj, przy tym łożu boleści, i dopilnuję, żeby niczego mu nie zabrakło.

– Wys – mruknęła Phylles, rzucając podejrzliwe spojrzenie na Stenwolda. – Nie możemy ruszyć tylko ja i Fel.

Nie bez ciebie.

– Pójdziecie ze mną lub beze mnie, tak jak wam każę –

odparła Wys rozkazująco. – No co, potrzebujecie mnie, żebym wam dodawała otuchy? Naprawdę potrzebny jest wam mój kozik w starciu z tymi wielkimi mieczami?

Widać było wyraźnie, że Phylles nie ufa Stenwoldowi ani na jotę. Wys splotła ramiona na piersi.

– Róbcie, co wam każe. Róbcie też, co ona wam mówi, jeśli już o to chodzi – dodała, wskazując na Paladryę. –

Naprawdę, chyba wam odjęło rozum. Mieliście sposobność zobaczyć łądowych, tak? Wszyscy

żyjemy pod jednym słońcem i nasza skóra tak samo wysycha i czerwienieje od jego promieni, jemy ich gumiastą żywność i widzimy, jakie durne mają pieniądze. Są ludźmi tak jak my, nawet jeśli wybrali sobie takie głupie miejsce do życia, a ten Stenwold Maker jest w porządku. Będziecie się spierać?

Fel wzruszył ramionami, oddając tym samym swój los w ręce Stenwolda, lecz Phylles wciąż miała buntowniczą minę.

– Nie podoba mi się to – powtarzała z uporem. – A co będzie, jeśli to zasadzka?

Przez chwilę Wys wyglądała, jakby miała zamiar wydrzeć się na nią, ale wbrew sobie wyszczerzyła zęby w uśmiechu.

– Po tym wszystkim? – zapytała cicho. – Wszystko to –

to wielkie Kolegium, jednonoga kobieta, unoszenie się w górze, pobyt tutaj – to wszystko miałyby być tylko po to, by uspić naszą czujność? Idźcie już, po prostu idźcie. Nie daj Felowi wpaść w tarapaty i pilnujcie tej mózgowki.

Potrzebujemy jej. Tylko ją zna dziedziec. Liczę na ciebie, Phylles. I na ciebie Fel, rozumiemy się?

Fel westchnął głęboko.

– Coraz mniej rozumiem z tego, co się tu dzieje. Ale możesz na mnie liczyć – przemówił zaskakująco łagodnym głosem.

I tak, zostawiwszy Wys, która zajęła się Laszlo, wypytując go na temat Tomasso i całej rodziny, wyruszyli do pałacu.

Plan był jednocześnie prosty i złożony. Stenwold zastanawiał się nad jednym: w jaki sposób znajdą Aradoklesa, nawet jeśli jest w pałacu? Układ wewnątrz przypominał labirynt, a on nie miał żadnych informacji pozwalających im przemknąć się przez niego niepostrzeżenie, wyłuskać następcę tronu i zniknąć bez śladu. Wprawdzie kondycja Stenwolda odpowiadała żukowcowi w jego wieku, ale nawet dawniej daleko mu było do tytułu mistrza podchodów i całe przedsięwzięcie coraz bardziej przypominało szaleńczy zryw, z góry skazany na niepowodzenie. Bez odrobiny szczęścia, na co bardzo liczył, zostaną szybko odkryci albo będą przeszukiwać pałac aż do wschodu słońca.

A więc: należało odwrócić problem. Miał jedną przewagę nad niewątpliwie lepiej podkradającym się Teornisem – przynajmniej jego motywy były w miarę czyste.

Chciał przywrócić chłopaka na tron, podczas gdy pająkowiec pragnął go wykorzystać przeciwko Claeonowi. Co więc w rzeczywistości Stenwold musiał osiągnąć? Nie chodziło o to, by oni znaleźli chłopaka, ale żeby Aradokles odnalazł ich.

Wystarczyło tylko wejść do wnętrza kompleksu pałacowego.

Jeśli strażę dostrzegą ich przed nim, przegonią ich, tak jak Sfayot przegonił go w biały dzień, ale jeśli

zostaną złapani wewnątrz pałacowych murów... Cóż, sprawa zrobi się poważniejsza. Padną pytania i pogroźki, a Stenwold będzie miał szansę powiedzieć o wszystkim. Przy odrobinie szczęścia, zanim skończy mówić, Aradokles znajdzie się w kręgu słuchaczy.

Dostać się do pałacu – to było ich najważniejsze zadanie.

Cała czwórka więc bardzo ostrożnie przesuwała się przez tereny wokół pałacu, co jakiś czas przystając i wykorzystując każdy krzak i drzewo jako osłonę. Wartownicy robili, co mogli, ale było ich niewiele i najwyraźniej nie spodziewali się intruzów. Stenwold doszedł do wniosku, że ich rozstawienie miało jakieś znaczenie dla Wspólniaków, jakby był to dar jednego monarchy dla drugiego. Patrole mijały ich obojętnie, nawet nie podejrzewając ich obecności.

Stenwold był zadowolony, że latarnie oświetlają mury, ale i tak szybko sobie przypomniał, że to jego morscy towarzysze mają tu najlepszy wzrok, bo wkrótce to Paladrya poszła przodem. Ostrożnie sprawdzała trasę, unosząc dłoń za każdym razem, kiedy widziała większą liczbę strażników. I nie musiała ukrywać się w krzakach – wystarczyła jej bowiem sztuka kamuflażu. Kiedy się przesuwała, na jej skórę wpełzały cienie, tak że kiedy zamierała, robiła się całkowicie niewidzialna, podobnie jak w celi w Hermatyre, gdzie Stenwold ją poznał. Jej ostrzegawczo uniesiona dłoń mrugała w ich stronę błądzącym światłem, bo inaczej nie dostrzegliby jej sygnału. Czasami ważkowcy przechodzili dosłownie o krok od niej, a ona stała na widoku, tak że Stenwold mógł na nią patrzeć do woli, nie rozpoznając jej kształtów wśród nocnych konturów ogrodu dopóty, dopóki znów się nie ruszyła.

Dotarli w pobliże muru i znaleźli w nim dogodną wyrwę, wciąż zakrytą deskami i rusztowaniem. Kiedy już się wydawało, że przemkną do środka bez wzbudzania alarmu, zza rogu wyłonił się ważkowiec, który wybrał sobie ten właśnie moment i to miejsce, by pokontemplować nocne niebo. Stenwold zaklął w duchu i zaczął się zastanawiać, czy uda im się obezwładnić wartownika bez hałasu, gdy Fel klepnął go w ramię i wskazał palcem do góry. Stenwold spojrzął w tym kierunku i zobaczył kolejnego wartownika siedzącego na szczycie muru z krzywą laską spoczywającą mu na kolanach.

Nie tędy droga, pomyślał żukowiec. To zawsze był

najtrudniejszy etap – przedarcie się przez ostatnią linię obrony i osiągnięcie celu. Oczywiście każda luka w murze mogła mieć swojego strażnika, choć wcześniej ufał, że w takim wypadku coś wymyśli. Teraz jednak nie miał żadnej koncepcji, jak pokonać ostatnich piętnaście stóp dzielących ich od wnętrza pałacu.

Paladrya i Phylles zatopiły się w rozmowie, poruszając w milczeniu palcami, i po chwili mózgowka zaczęła podchodzić do wartownika, zatrzymując się co chwila i zmieniając z niewidzialnej postaci w cień, kiedy na jej skórze wykwitwały nowe kontury i barwy otoczenia.

Stenwold odwrócił się do Phylles i zapytał, co się dzieje, ale ona też już ruszała do akcji, nie kierując się jednak w stronę wartowników, lecz fragmentu muru, który wyglądał

na skończony i tym samym nie był pilnowany. Kiedy się tam znalazła, zaczęła przesuwać się wzdłuż niego powolnymi, płynnymi ruchami, nieprzyciągającymi uwagi. Z wolna zmierzała do jego krańca,

do luki, przy której postawiono strażę. Zerknęła do góry na siedzącego na szczycie strażnika.

Stenwold oszacował, że mur otaczający pałac nie jest wysoki. Czyżby więc chciała podskoczyć i złapać go za kostkę? Czy taki miała plan? Obejrzał się na Fela, ale wojownik przyglądał się wszystkiemu bacznie, napięty jak struna.

Nagle zrozumiał, że wartownik wcale nie trzyma na kolanach kija, lecz łuk bez cięciwy. Uświadomił sobie, że żadne z morskich nie wiedziało, co to jest. Otworzył już usta, by ich ostrzec, ale byłoby to równie brzemienne w skutki jak ruszenie biegiem w ich stronę.

Nagle w ogrodzie za nimi rozległy się czyjeś krzyki, jakby ktoś głośno przeklinał. Stenwold zamarł całkowicie, tracąc Paladryę z oczu. Łucznik na górze wstał i jednym zdradzającym wielką siłę ruchem naciągnął cięciwę, po czym wzbił się w górę i poszybował w kierunku burdy, nakładając strzałę. Drugi strażnik zrobił kilka kroków do przodu i przez chwilę Stenwold miał nadzieję, że ruszy za kolegą, ale pozostał na posterunku, aż Phylles zbliżyła się do niego na tyle, że ją dostrzegł.

Jego oczy zrobiły się wielkie jak spodki i wykonał ruch, jakby chciał ją nadziać na włócznię, lecz Paladrya w przedziwny sposób znalazła się tuż przy nim i jej dłonie zacisnęły się na drzewcu broni. Kiedy się z nią siłował, zaatakowała Phylles. Podobna do bicia kolczasta wstęga broni wspomaganej sztuką przebiła mu szyję, skręcając się jeszcze u celu.

Stenwold podbiegł bliżej.

– Coś ty zrobiła?! – zasyczał. – Co sobie teraz o nas pomyślała?

– Obudzi się po jakimś czasie, może za dwa dni –

skrzywiła się Phylles. – Dostał tylko troszkę jadu. A teraz wchodzimy czy będziemy tak tu stać i deliberować?

Stenwold skinął głową i wszyscy wślizgnęli się przez wyrwę w murze do pałacu.

– Idziemy dalej, aż nas spostrzegą. Sprawdzajcie każdy kąt, który wygląda na zamieszkały – powiedział, chociaż było jasne, że żadne z tych miejsc w oczach morskich nie nadawało się do życia.

Poszli więc za nim w stronę najbliższego fragmentu pałacu, który przynajmniej był pokryty dachem. Jedno zerknięcie przez kotarę wiszącą nad wejściem wystarczyło, by stwierdzić, że nikogo za nią nie ma, więc ruszyli dalej –

przemykając się od ściany do sterty cegieł, a następnie stosu drewna, i zerkając po drodze w każde okno i każdą wnękę drzwiową. W jednym pomieszczeniu Stenwold zauważył

śpiące postacie – z wyglądu dwie młode karaluszyce – ale ani śladu poszukiwanego. Skradali się dalej jak najciszej, natrafiając jedynie na kolejną rozpoczętą konstrukcję i od czasu do czasu na śpiące postacie skulone pod kocami w załomach ścian i raczej niewyglądające na pałacową służbę, lecz korzystających z gościnności uchodźców.

I wtedy nagle, kiedy wyszli na dziedziniec, Fel głośno zasyczał, wyrzucając przed siebie najeżone kolcami pięści.

Stenwold rozpoznał ciemną postać stojącą przed nimi. Był to Teornis.

Fel ruszył do akcji, zanim Stenwold zdołał go powstrzymać, a Teornis gwizdnął przeciągle, wyciągając wysmukłe ostrze. Nie mając innego wyjścia, żukowiec wyjął

pukołuk i pospiesznie go odbezpieczył. Zza jego drugiego boku wystrzeliła do przodu Phylles.

Pierwsza strzała śmignęła z góry przekrzywiając hełm Fela, aż szczypcowiec się zachwiał, po czym zamarł w postawie obronnej. Druga przebiła mu udo, ale wtedy Stenwold już dostrzegł unoszącego się nad ich głowami łuczника i pukołuk w jego dłoniach dwukrotnie zagrał. Jak nigdy oba pociski trafiły celu i ważkowiec zgiął się w powietrzu. Zamachał skrzydłami i wydarł co sił, znikając im z oczu za następnym murem. W jednej chwili dwóch ludzi Teornisa dopadło przykucniętego Fela. Trzeci wylądował

obok Stenwolda i ruszył na niego, gdy ten wyszarpnął właśnie miecz z pochwy.

– Jest mój! – warknęła Phylles, odsuwając go na bok.

Stenwold rozejrzał się gorączkowo w poszukiwaniu Paladryi i zobaczył ją, jak biegła przez dziedziniec, krzycząc:

– Stenwold!

Tam właśnie wycofywał się Teornis, najwyraźniej chcąc wykorzystać bitewne zamieszanie do zlokalizowania chłopca.

Stenwold zaklął i puścił się za nim biegiem.

Fel sprawnie trzymał dwóch ważkowców na dystans, blokując uderzenia ich mieczy naramiennikami oraz naturalną zbroją pokrywającą kłyckie, i wykorzystywał każdą szansę do kontrnatarcia za pomocą sztyletów i kolców będących wytworem sztuki. Napastnicy rozsądnie trzymali się z dala od nich, gdyż ich broń miała większy zasięg, i jednocześnie starali się zająć go z obu stron. Stenwold przemknął obok nich i udało mu się ciąć jednego w ramię.

Rana była niewielka, ale odwróciła uwagę napastnika; ledwo uchwycił wzrokiem błyskawiczny wypad Fela, który jedną pięścią odbił miecz ważkowca, a drugą zmiażdżył mu ramię i obojczyk. Stenwold zaś całkowicie skoncentrował się na Teornisie.

Pająkowiec zatrzymał się, jakby dopiero teraz spostrzegł, że jest ścigany. Następnie stanął w luźnej pozycji obronnej przy wejściu na dziedziniec i opuścił rapier tak nisko, że jego sztych niemal dotknął ziemi. Na jego twarzy widać było łotrowski uśmieszek.

– Czy już do tego doszło? – zapytał miękko, ale kiedy Stenwold zatrzymał się, by odpowiedzieć, rapier Teornisa drgnął, sięgając policzka żukowca i wytaczając z niego kroplę krwi, choć sam

pająkowiec niemal się nie poruszył. – To ostrzeżenie – oznajmił, kiedy Stenwold zrezygnował z rozmów i ruszył na niego z krótszym, szerszym ostrzem, niemal omijając dzięki zaskoczeniu jego zasłonę.

Przesunął się bokiem kilkoma niezwykle szybkimi krokami, parując ciosy Stenwoldowego miecza za każdym razem, kiedy żukowiec chciał go dźgnąć, trzymając się przez chwilę w defensywie i oddając teren wzdłuż linii murów. Za plecami miał powaloną stertę cegieł i pojedynczych kamieni i Stenwold starał się natrzeć gwałtownie, żeby na nie wpadł.

Nagle ukłucie bólu przeszło ramię Makera, który zatoczył się w tył, widząc własną krew przynajmniej na pięciu centymetrach Teornisowego rapiera.

Wtedy pająkowiec przestał udawać, że się potyka, i ruszył do ofensywy. Jego wąskie ostrze błyskało w skąpym świetle tuż przy twarzy Stenwolda, tnąc na pasy skórzany strój i markując ciosy na kolano, brzuch i pachwiny, tak że żukowiec cofał się chwiejnie, odbijając ledwo połowę ciosów zadawanych przez Teornisa. Wyraz twarzy pająkowca wciąż się zmieniał, jakby każdy atak i zasłona stanowiły konwersacyjny gambit, na który oczekiwał reakcji Stenwolda.

W środku dziedzińca Fel obracał się w miejscu, kiedy Varante testował jego obronę, starając się wyciągnąć go dalej.

Wypad, który położył kres życiu porucznika, otworzył jeszcze bardziej ranę na jego udzie i szczypcowiec koncentrował się już na dobijaniu ciosów, nie chcąc narazić się na kolejną kontuzję.

– Trzymaj się! – zawołała do niego Phylles. – Idę do ciebie.

Jej przeciwnik jednak nie zamierzał jej puścić, wzbijając się w niebo za każdym razem, kiedy wystrzeliwała w jego stronę jadowite macki. Było jasne, że nie ma pojęcia, co to takiego, ale nie zamierzał ryzykować. Trzymał ją na odległość miecza, a Phylles zacisnęła zęby, wiedząc, że czas płynie nieubłaganie.

Paladrya... *Gdzie się podziała Paladrya?*

Sztuch rapiera pozostawił płytką bruzdę na boku Stenwolda i znów nieco jego krwi wyciekło przez nasiąkniętą nią spodnią tunikę. Teornis przycinał go kawałek po kawałku, a wściekły Stenwold starał się przebić przez jego zapory. Był z całą pewnością silniejszy od pająkowca i ten nie byłby w stanie sparować potężnego uderzenia jego miecza, ale nawet o tym nie myślał. Każdy jego atak napotykał na zwrot o pół kroku czy zręczną zmianę kierunku, tak że cała włożona w niego energia uchodziła w przestrzeń. Kolejny unik wroga i Stenwold poczuł bolesne rwanie w prawej łydce.

Nagle coś się poruszyło za Teornisem – błysnęło ostrze sztyletu. Stenwold napał na niego, patrząc, jak robi jeden unik za drugim, nieświadomy, że zbliża się do niemal niewidzialnego bytu.

– Panie! Za tobą! – wykrzyknął Varante, dostrzegłszy zagrożenie.

Nagle odskoczył od Fela i w tej samej chwili drugi ważkowiec wzbił się w powietrze, umykając Phylles, by stanąć u boku swego pana. Fel zebrał się w sobie i wyskoczył, by schwytać Varante'a za

kostkę. Spadł na niego miecz przeciwnika, uderzając go na tyle mocno w bark, że roztrzaskał mu pancerz, ale jego pięść dotarła do celu, zatapiając wsparte sztuką kolce w podbródek wązkowca.

Drugi, nadszycy z tyłu zbir walnął wściekle Fela w podstawę szyi, wkładając w to całą swoją siłę, i szcypcowiec zwał się bez słowa na bezwładnie ciało Varante'a.

Teornis zaś uchylił się tak, że desperacki cios Paladryi ominął go całkowicie, a zaraz potem smagnął w jej kierunku rapierem – bardziej by zyskać przestrzeń, niż żeby ją trafić –

i musiała się cofnąć. Stenwold starał się wykorzystać tę chwilową przewagę, lecz pająkowiec w porę się zasłonił, wyłapując jego ostrze gardą. Wtedy ostatni wązkowiec wyładował między Paladryą i swym panem, mając ewidentnie zamiar wykończyć kobietę.

Stenwold poczuł ucisk w żołądku na samą myśl o tym i zanim zdołał się dobrze zastanowić, jak niemądry był to krok, rzucił się do otwartego ataku. Teornis był całkowicie zaskoczony, kiedy usuwając się z łatwością przed ciosem, dostrzegł miecz Stenwolda spadający mu ukosem na ramię.

Nagle żukowiec walnął go w twarz, opętańczo machając pięścią, aż pająkowiec przewrócił się na bok, a Stenwold rzucił się na wązkowca, który już unosił miecz do zadania ciosu.

Wiedział, że jest spóźniony, że nie będzie mógł jej uratować.

Wązkowiec skręcił się, a Stenwold usłyszał jęk bólu, kiedy sztylet Paladryi zatopił się w jego ciele, omijając zasłonę, i wbił się po rękojeść, wsparty jej ciężarem, po czym oboje padli na ziemię. Ale dłonie mężczyzny też dźgnęły, wypuszczając za sprawą sztuki z kciuków zakrzywione szpony Paladrya krzyknęła.

Nagle Stenwold przewrócił się i potoczył po ziemi, czując wielki ból z tyłu nogi, który dołączył do wszystkich dokuczliwych obrażeń, jakie dzisiaj odniósł. Poderwał się do pionu i znów potknął o własne kolano. Udało mu się jednak wstać, choć czuł, jak pokaleczona noga drży pod jego ciężarem. Teornis szedł prosto na niego, a sztych rapiera tańczył w powietrzu niczym wygłodniały komar.

Całkowicie pozbawiony równowagi żukowiec starał się zasłonić ostrzem przed przeciwnikiem. Rapier wysliznął się spod jego gardy i wystrzelił mu prosto w twarz, rozcinając skórę nad łukiem brwiowym. Teraz na obliczu Teornisa nie było widać ani śladu kpiny – nie miał też miny zimnego mordercy, lecz osoby opanowanej przez nieskończenie wielki żal.

– Musiałeś mnie zmusić do tego – zasyczał i jego rapier odtrącił bez wysiłku ostrze Stenwolda, z bezwzględnością precyzją celując między żebra żukowca.

Ale zatrzymał się. Coś zmieniło się w jego twarzy. Pojawiła się na niej pełna gorzka żalność i zmienił tor ostrza tak, że otarło się jedynie o bok Stenwolda. Lecz żukowiec, który nie był tak biegłym fechtmistrem czy też może ostatecznie przestał się powstrzymywać, instynktownie skontrolował, wbijając miecz po rękojeść między płyty wzmacniające kolczugę Teornisa.

Pająkowiec zachłysnął się, wciągając w płuca haust powietrza, i padł, a Stenwold doczołgał się do

niego na kolanach, całkowicie wyczerpany i krwawiąc z tuzina ran.

Paladrya! – coś załkało mu w środku i jego oczy gorączkowo szukały jej ciała. *Żyje.*

Żyła, chociaż przyciskała obie dłonie do twarzy, by zatamować krew z dwóch ran, jakie zadał jej wążkowiec.

Phylles zaś cofnęła się od ciała napastnika, wolno chowając w dłoni macki. Rozejrzała się wokół z kamienną twarzą i ruszyła do miejsca, w którym leżał Fel. Przyklękła ostrożnie koło niego, kładąc mu dłoń na ramieniu, jakby sztuka morskich mogła cofnąć nawet nieuchronną śmierć. Było jednak jasne, że nic nie przywróci Fela do życia, żeby znów zajął swoje miejsce w załodze Wys.

– Stenwoldzie... – dobiegł go słaby głos i żukowiec spojrział w dół.

Pająkowiec jeszcze żył. Leżał z pobladłą twarzą zwinięty wokół śmiertelnego ostrza.

– Stenwoldzie – przemówił ponownie. – No i na co nam przyszło?

Maker popatrzył na niego żałośnie, nie potrafiąc go nawet teraz potępić w czambuł.

– Przerwałem oblężenie Kolegium – wykrztusił Teornis, krzywiąc się przy każdym słowie. – Odparłem Vekkeńczyków, prawda?

– Tak, to prawda – przyznał Stenwold spokojnym głosem.

– Zapamiętajcie mnie takim... a nie z tym tutaj –

wyszeptał i Stenwolda ogarnęła niewysłowiona fala żalu.

Mimo wszystko, mimo wszystkich zdrad, jakie dotknęły jego miasto za sprawą Aldanraelich, wiedział, że zabijając Teornisa, więcej stracił, niż zyskał.

Nagle Phylles stanęła na nogi i Stenwold popatrzył przez ramię. Nie byli już tu sami. Zdawało się, że w końcu całe to miejsce się przebudziło.

Zobaczył szczupłą ćmopodobną – czy też kobietę, która mogła za nią uchodzić ze swoją szarą skórą i białymi oczami.

Z całej jej postaci emanowała żalobna melancholia. Za nią stała garstka innych i Stenwold rozpoznał białobrodego Sfayota. Sfayota, który był kanclerzem... A więc kobieta ta musiała być... Teraz, wpatrując się w nią, Stenwold dojrzał

kolorowe cienie na jej skórze, których nie mogły wywołać światła latarni.

– Wasza Wysokość... – zaczął, wybierając jak najstosowniejszą formę wobec monarchini Pryncypatu Salmae.

Motylica, znana niegdyś pod imieniem Spętany Smutek, patrzyła na niego chłodno.

– Dlaczego ściągnąłeś śmierć w moje progi, mistrzu Stenwoldzie Makerze? – zapytała.

– Wasza Wysokość – powtórzył żukowiec, ale nagle uderzyła go pewna myśl. – Podobno sztuka, jaką posiadałeś, o, pani, może uleczyć nawet najstraszliwsze rany. – Wskazał

bez słowa na Teornisa. – Proszę...

Twarz kobiety złagodniała nieco, ale tylko po to, by ujawnił się na niej inny smutek.

– Już nie – odparła. – Mój dotyk już nie leczy, a poza tym jemu już nie można pomóc.

Była to prawda – Teornis leżał bez ruchu. Rezerwa pająkowców w jakiś sposób zmieniła jego rysy, tak że miał

teraz filozoficzną, niemal rozbawioną minę.

– Pytam ponownie: po co tu przyszedłeś? By wciąż przelewać krew, mistrzu wojny?

Ale to Paladrya odpowiedziała na jej pytanie, która wciąż ścierała krew z twarzy, lecz teraz ze wzrokiem utkwionym w niewielką grupkę towarzyszącą monarchini.

Wśród dworzan znajdował się niespełna dwudziestoletni młodzieniec z kręconymi włosami o wyglądzie pająkowca.

Stenwold zamrugał i też zaczął się wpatrywać w dziedzica tronu Hermatyre.

CZTERDZIEŚCI JEDEN

Helmess spodziewał się zastać tam bandę łotrów spod ciemnej gwiazdy, ale ekipa zebrana na zapleczu tawerny Orka na Ugorze wyglądała zaskakująco szacownie. Zobaczył

żukowców w skórzanych strojach mechaników wraz z narzędziami, teczkami na plany i podobnymi atrybutami, muszców przebranych za w miarę zamożnych handlowców, robotników fabrycznych i wędrownych handlarzy oraz jedyne osowca w kolczudze roboty mrówców, który sprawiał wrażenie najemnika.

Honoriusz Bellowern chodził między nimi jak wykładowca popisujący się przed studentami.

– Przyjrzyjcie się temu człowiekowi – mówił do zebranych. – To jest przedstawiciel Imperium w Zgromadzeniu.

Helmess czuł się nieswojo, gdyż ich spojrzenie zawierało sporą dozę pogardy. Nikt nie lubił zdrajców, nawet jeśli ich wiarołomstwo było mu na rękę.

– Mogę wprowadzić chłopaków z naszej rasy między artylerzystów czy robotników naprawiających

fortyfikacje –

wyjaśnił Honoriusz. – Dwóch z nich przebywa tutaj prawie od roku, zdobywając znajomości i zaufanie. I oni właśnie zaręczą za pozostałych. Nasi muszcy uderzą na Aldanraelich.

Powinni skutecznie ukryć się między tą tłuszczą. Gdy chociaż dwa pajęczce rody się połączą, nikt nie doliczy się ich niewolników czy sług.

– Ciekawe dlaczego nie masz ze dwóch pająkowców na liście swoich agentów – zauważył Helmess.

– No cóż, aktualna polityka nie zaleca wykorzystywania ich w sprawach dotyczących ich rasy – wyjaśnił Honoriusz. –

Bo, rozumiesz, nie można być całkowicie pewnym, kto komu płaci. Poza tym większość pająkowych funkcjonariuszy Rekefu da się posłać wszędzie, tylko nie na Ziemię Pająkowców. Szczerze mówiąc, byłbym zdziwiony, gdyby któryś z nich nie miał nic przeciwko temu.

– Chyba ma to sens. A twój osowiec? Skąd się tu wziął?

Honoriusz się zaśmiał.

– Cóż, generał Brugan uważa, że należy matkować nam, z niższych ras.

Agent patrzył na niego obojętnie, choć prawda była oczywista: znalazł się tutaj głównie po to, by nadać tej operacji charakter imperialnego zadania, wykonanego przez osoby szlacheckiej krwi. Choć praktycznie to inni będą nad tym pracować.

– Cieszę się, bo widzę, że wróciłeś do gry, mistrzu Broilerze. Tak się zaszyleś w domu, że zacząłem się obawiać o twoje zdrowie – zauważył Honoriusz i być może też była to zawołowana groźba.

– Sporo czasu minęło i długo walczyłem z sobą, by wykonać ten ostatni krok. Przyznam, że musiałem zebrać się na odwagę – odparł Helmess, wzruszając przepraszająco ramionami.

Oczywiście w rzeczywistości dopiero teraz mógł działać, bo Teornis i jego barbarzyńska świta zniknęli z Kolegium. A nie mógł o nich wspomnieć Honoriuszowi ani nikomu innemu. Zbyt wiele tajemnic się z tym wiązało, tajemnic, które odkrył Teornis, ale które wciąż były nieznanymi Imperium.

– Cóż, dopóty, dopóki jesteś z nami... Jak sądzę, dostałeś się już do rady wojennej...

– Ku całkowitemu zaskoczeniu Jodry'ego Drillena –

potwierdził Helmess. – Masz rację, on się potknie – choćby tylko dlatego, że teraz działamy razem. A kiedy to nastąpi, upadnie. I ci sami podżegacze wojenni, którzy wiwatowali na cześć Stenwolda Makera, rozerwą go na strzępy, kiedy zaproponuje rozmowy pokojowe.

– Doskonale, doskonale – powtarzał rozanielony Honoriusz. – A teraz masz kilka dni na przygotowanie listy osób do usunięcia. I lepiej wykaż się tu gorliwością. Kilka dodatkowych, choć

niepotrzebnych zgonów przyniesie mniej szkody niż kilku pominiętych, którzy mogą sprawić kłopoty.

Spotkamy się tu wkrótce. Zawiadomimy cię kiedy. Pamiętaj jednak, że moi ludzie już cię znają, nie ma więc odwrotu –

oznajmił niemal jowialnie, ale Helmess usłyszał w tym stwierdzeniu również brzęk łańcuchów.

Młodzieniec podszedł do nich ze wzrokiem utkwionym w Paladryi. Wyglądał rzeczywiście jak pajakowiec, niczym niewyróżniający się od zwykłego wygnańca z Ziemi Pajakowców, próbującego ułożyć sobie życie na Nizinach. Nie emanował królewską aurą ani siłą autorytetu – przypominał raczej sierotę przebywającą w Pryncypacie Salmae.

– Czy to ty? – wyszeptał, marszcząc czoło, kiedy Paladrya dzielnie podniosła głowę pod jego badawczym spojrzeniem.

Ważkowy szpon rozciął jej skórę na twarzy – paskudnie, choć płytko, od brwi do połowy policzka – trzymała więc przy ranie kawałek tkaniny oderwany ze swej szaty, żeby zatamować krew. W jej oczach jednak widoczny był spokój.

– Aradoklesie – powtórzyła.

– To ja! – wyznał stłumionym głosem, ruszywszy w jej stronę, ale po chwili zatrzymał się gwałtownie. – Co... ? Jak się tu dostałaś? Co to wszystko ma znaczyć? – wskazał ciała na dziedzińcu, jej ranę, profanację pałacu monarchini.

– Przybyłam, by cię odnaleźć – odpowiedziała. –

Prosiłiśmy... prosiliśmy tego człowieka – wskazała na Sfayota

– ale nas zignorowano. Nikt z nas nie chciał twojej krzywdy.

To był jedyny sposób.

– Co to ma znaczyć? – powtórzył Aradokles, lecz tym razem oglądając się niepewnie na motylicę.

Przez chwilę patrzyła na niego obojętnie, po czym wyznała, zadziwiająco cicho:

– Ja tylko chciałam, żebyś był bezpieczny.

Wtedy pojawiły się strażnicy – pół tuzina ważkowców ze Wspólnoty z włóczyniami – ale stanęły bezradne w obliczu tej rzezi, najwyraźniej nie wiedząc, co mają robić.

– Znajdźcie tym ludziom jakieś miejsce w pałacu –

poleciała motyllica, wskazując na Stenwolda i pozostałych.

– Monarchini... – zaczął Aradokles, ale uciszyła go władcym gestem.

– Później – powiedziała. – Będiesz miał okazję porozmawiać z nimi rano. Na razie dokonali wystarczających zniszczeń.

Strażnicy odprowadzili ich do części pałacu, którą stanowiły trzy połączone sale, i zakwaterowali ich w jednej z nich, najdalej położonej. Wszystko wskazywało na to, że nikt nie wie, czy ludzie Stenwolda byli więźniami, czy też gośćmi

– dlatego strażnicy kręcili się niepewnie za drzwiami, najwyraźniej gotowi zapobiec ich ucieczce, ale nie chcąc też zachować się grubiańsko. Przyniesiono koce, jedzenie i picie, a potem znalazłą gdzieś soloną rybę, gdy morskie zaczęły kręcić nosami. Jedyne czego straż nie mogła im zapewnić, to odpowiedzi.

Phylles siadła osobno, rozpamiętując swą żalobę, i odmówiła udziału w rozmowie. Stenwold musiał więc sam zająć się ranami Paladryi i swoimi, po czym zaczął posępnie rozmyślać o Teornisie – zwycięstwo, jakim było odnalezienie Aradoklesa, miało dla niego gorzki smak.

Przed świtem odwiedził ich Sfayot. Jego pociągła, starcza twarz wyglądała surowo. Palcem wskazał wyłącznie na Stenwolda.

– Ona chce z tobą mówić – rzucił i Stenwold podniósł się z ziemi.

Rany i zeszywniałe stawy zaprotestowały gwałtownie, ale żukowiec pokuśtykał za nim.

Wkrótce znalazł się w prostej celi pozbawionej mebli, jeśli nie liczyć stojącej pod ścianą pryczy. Gdyby wciąż poszukiwał Aradoklesa, przeszedłby obojętnie obok tego miejsca, ale teraz wiedział, że to komnata monarchini.

Czekała na niego, wątła i poważna, i tylko słaby blask światła padał na jej szarą skórę. Patrząc na jej smutek, Stenwold doszedł do wniosku, że właśnie tak mogła narodzić się rasa ciemców – z motylowców, którzy zagubili drogę.

Bardzo różniła się od kobiety, o której opowiadał Salma –

zmysłowej tancerki, wcielenia niewinności, istoty obdarzonej cudownym leczniczym dotykiem. *Lecz Salma nie żył, a motylca była świadkiem jego śmierci.*

– Mistrz wojny Stenwold Maker – rzuciła chłodno.

– A jak ja mam się do ciebie zwracać, o pani? Kiedyś nazywałaś się Spętany Smutkiem.

– Znów jestem Smutkiem i niczym więcej – oznajmiła.

– Po coś się tu zjawił, mistrzu wojny?

– Szukałem chłopaka. Jego ludzie go potrzebują.

– Arad – mruknęła czule. – Służył mi za powiernika, towarzysza, kiedy budowali wokół nas te ściany. On i Sfayot

– z innymi nie rozmawiam.

– Jesteś, pani, taka samotna? – zapytał Stenwold. –

Wiem, że masz u stóp całe miasto, ludzi, którzy bardzo cię kochają.

– Tylko dlatego, że nie wiedzą, kim jestem. Moi strażnicy mówią, że powinnam cię zabić, bo skalałeś pałac.

Stenwold rozejrzał się wokół, ale Sfayot wycofał się i zostali tu całkiem sami.

– Powinnaś dokończyć budowę muru, skoro chcesz zupełnie odgrodzić się od ludzi – próbował zażartować, ale słowa zyskiwały wagę kamieni, kiedy je wypowiadał. – Byłem mentorem i przyjacielem Salmy – powiedział, a ona wzdrygnęła się na sam dźwięk tego imienia. – Nie zasłużyłem na twoją nienawiść.

– Czyżby? Ty, którego dłoń trzymała nóż? – rzuciła oskarżycielko. – Ty, który raz za razem rzucałeś go w ogień, aż nie był w stanie tego dłużej znieść? Ty, który go zabiłeś?

– Osowcy zabili Salmę – odparł beznamiętnie Stenwold.

– Nie twierdzę, że otoczyłem go najlepszą opieką, kiedy był

moim podkomendnym, ale był żołnierzem wysłanym przez swoich ludzi do walki z Imperium. Miał tego świadomość i na koniec sam dokonał wyboru. – Patrzył na nią prowokująco i w końcu dostrzegł emocje na jej twarzy. – Żadne z nas nie ponosi za to winy.

Patrzyła tylko na niego w milczeniu, więc dodał:

– Zbyt długo trwasz w żałobie. Salma by tego nie chciała.

Nie chciałby, żeby twa sztuka zaginęła, a barwy na twym ciele zszarzały.

Wzdrygnęła się – tylko raz – po czym znów znieruchomiała.

– Nic nie rozumiesz – powiedziała. – Nie zmieniłam się pod wpływem śmierci Salmy, ale z powodu tego, że później się za nią mściłam. Wypłowiłam na skutek poczucia winy.

Mój lud nie potrafi zabijać, mistrzu wojny, nie tracąc własnego jestestwa. – Westchnęła ciężko. – A teraz jeszcze zjawileś się ty, by zabrać mi mojego giermka.

– Wiesz, kim jest?

Pokiwała głową.

– W takim razie musisz też wiedzieć, że ma poddanych, którzy go potrzebują. Uwierz mi, człowiek, który uzurpuje sobie prawo do jego tronu, najmniej się do tego nadaje.

Przykro mi, że sprawiam ci ból, i pomogę ci tak, jak będę umiał. Kiedy to wszystko się skończy, możesz prosić mnie i moje miasto, o co tylko chcesz, a ja spróbuję temu sprostać.

Choćby ze względu na pamięć o Salmie.

Przez chwilę na jej skórze zatańczyły barwy, blade cienie dawnych żywych kolorów.

– Cóż – powiedziała. – Jeśli taka będzie jego wola...

Jeśli zechce pójść z tobą, nie będę go zatrzymywać.

Następnego dnia rano Stenwold i trójka morskich pojawili się w sali, która bez wątpienia w przyszłości zmieni się we wspólną komnatę audiencyjną. Na razie jednak miała tylko dwie ściany i podwyższenie i rozciągał się z niej widok na pojaśniałą od słońca trawę. Mimo to Stenwold pomyślał, że teraz przydaje Smutkowi więcej majestatu, niż kiedy zostanie ukończona.

Usiedli na stopniach podwyższenia. Czwórka gości i monarchini Pryncypatu Salmae, która zajęła stopień wyżej, oraz kilkoro służby – a może tylko gapiów – w pewnym oddaleniu. Jedyna znajoma twarz, którą dostrzegł Stenwold, należała do żukowca Ordleya Kałamarza, który łypał na nich podejrzliwie, z kwaśną miną i ramionami splecionymi na piersiach, podczas gdy dziedzic Hermatyre opowiadał im swoją historię.

– Z początku, kiedy wyszliśmy na ląd – wyjaśnił

młodzieniec – polegałem na moich opiekunach, Santiren i Marcantorze, we wszystkim i codziennie czekałem na wezwanie z powrotem, do mego miasta w głębinach. –

Mówiąc, patrzył gdzieś w przestrzeń. – Minął miesiąc i dopiero wtedy zaufałem obecnemu tu mistrzowi Kałamarzowi, który przyjął nas pod swój dach, oraz modliszce Cynthaen, która nas do niego przyprowadziła.

Choć nie chciałem mówić jak oni ani robić tego, co oni. –

Jego wzrok wędrował po ich twarzach, ale na koniec zawsze wracał do Paladryi. – Po dziewięciu miesiącach nauczyłem się pisma lądowych i zajmowałem się towarem mistrza Kałamarza, i wkrótce zaczęło mi się wydawać, że to był jakiś sen, że kiedyś byłem księciem Hermatyre i mieszkałem w głębinach. Choć w snach pozostałem morskim, ale tylko tam.

Na co dzień byłem Aradem Oakleavesem, pająkową znajdą, którą zaopiekował się Ordley Kałamarz. – Zerknął na zasępionego żukowca. – I wtedy przyszli osowcy.

Stenwold pokiwał głową. Druga Armia Imperialna, znana jako Tryby, przedarła się przez Felyal,

zabijając każdego, kto stawiał jej opór, wypędzając stamtąd modliszowców i wszystkich, którzy wiedli trudny żywot na jego obrzeżach, zajmując się handlem i wycinką drzew.

– Nadciągnęli osowcy i staraliśmy się uciec z miasta, mistrzu Makerze – wyjaśnił Aradokles. – Ale siły imperialne przemieszczały się zbyt szybko i zostaliśmy odcięci.

Marcantor zginął podczas ucieczki z Felyalu. Jedyna wolna droga leżała na północy i sunęły nią setki uchodźców różnych ras z dobytkiem na plecach. Byłem księciem, potem uczniem handlowca, a teraz stałem się żebrakiem.

Paladrya zakryła usta dłonią, a on uśmiechnął się tylko do niej.

– Nie smuć się. W końcu wyszło mi to na dobre. Znaleźli nas forysie Krajowej Armii. Ci, którzy mogli walczyć, dołączyli do księcia Salmae Dien i jego oddziałów. –

Wyprostował się, wymawiając to imię. – Walczyłem –

powiedział po prostu. – Santiren chciała mnie trzymać z dala od niebezpieczeństwa, ale niby gdzie wtedy było bezpiecznie?

W końcu musiałem jej wydać rozkaz. Musiałem przypomnieć sobie, kim niegdyś byłem, jakie mam dziedzictwo. Nie mogłem pozwolić, by inni ryzykowali, podczas gdy ja kryłbym się na tyłach.

– Walczyłeś u boku Salmy? – zapytał zdziwiony Stenwold. *Może nawet widziałem tego chłopaka, kiedy byłem u Salmy na naradzie. I pomyślałem pewnie, że to kolejny bezdomny pająkowiec.*

– Wyruszyłem pod jego komendą na bój z Malkanem –

oznajmił Aradokles z dumą. – Jechałem tuż za nim na sześcionożnej bestii z kleszczami na ogonie i rzucałem włócznią. Był to zupełnie inny rumak niż te, na których jeździłem w młodości, ale moi ludzie są lepszymi kawalerzystami niż większość lądowych. W tej szarzy zginęła Santiren, ale ja wyrwałem się z ich obozu i przeżyłem.

Paladrya kręciła głową przerażona tym, jak bardzo ryzykował.

– Ale co z twoim ludem? – zapytała.

– Nie zapomniałem o nim. Salma mi przypominał –

odparł. – Był księciem swego narodu, tak jak ja jestem księciem swojego. Ale jego lud lepiej rozumiał, na czym polega rządzenie. Był naszym przywódcą nie dlatego, że pragnął władzy, lecz dlatego, że to my potrzebowaliśmy przywódcy. Poprowadził nas do boju przeciwko osowcom nie dla własnego zysku, tylko z tego powodu, że trzeba było z nimi walczyć. Przywództwo było jego brzemieniem, a nie przywilejem, który można dowolnie wykorzystywać. Mój lud nie do końca to rozumiał. – Kiedy Paladrya chciała zaprotestować, tylko pokręcił głową. – Nie chodzi o Claeona.

Mego ojca przecież ten lud też niewiele obchodził. Pilnował

tylko, by nikt nie niepokoił budowniczych, poza tym czerpał

jedynie przyjemności wynikające z władzy. Nic dziwnego, że w końcu ktoś taki jak Claeon pożądał tych przywilejów.

– Ale skoro masz nas za nic – głos Paladryi drżał z emocji – to co zamierzasz zrobić?

Stenwold sięgnął po jej dłoń, by dodać jej otuchy.

– Zrobię to, co zrobiłby Salma, gdyby był na moim miejscu – wyjaśnił Aradokles. – Żyje mi się tu dobrze.

Jestem tu szczęśliwy i mam swoich przyjaciół. Muszę jednak wrócić do Hermatyre i odzyskać tron. Gdyż mój lud mnie potrzebuje, a nie dlatego, że sam pragnę zostać edmirem.

Gdybym uważał, że Claeon jest lepszym władcą ode mnie, abdykowałbym na jego rzecz bez chwili zastanowienia.

– Czyli wrócisz? – naciskała Paladrya.

– Cóż innego mogę zrobić, trzymając się zasad honoru?

– zapytał, po czym się uśmiechnął. – Moja droga guwernantko, czy dobrze odrobiłem lekcję?

Stenwold poczuł, jak wielki ciężar spada jej z serca, aż osunęła się na stopniu i oparła o niego. Nie uświadamiał

sobie, jak była przerażona, podejrzewając, że młodzik odmówi.

Morscy wraz ze swym władcą odeszli, ale kiedy Stenwold ruszył za nimi, Smutek uniosła jedną z lekko fosforyzujących dłoni, by go powstrzymać. Pozostali sami w niedokończonej sali audiencyjnej.

– A więc tak, mistrzu wojny – zwróciła się do niego wciąż bez serdeczności.

– Nie nazywaj mnie tak, proszę – powiedział. –

Cokolwiek o mnie myślisz, wojna jest mi całkowicie obca.

Chodzi o to, że mając do wyboru ją albo niewolę i represje, jakie ściągnęłoby na nas Imperium, wybieram wojnę.

Wydawało mi się, że to zrozumiesz. Salma rozumiał.

– I teraz wzniesiesz wojnę wśród ludu Aradoklesa. Czy jesteś równie pewien uczciwości swoich intencji w tej sprawie?

– Ponieważ byłem więźniem jego stryja i widziałem jego praktyki, odpowiem, że tak, ale zrobię, co

w mojej mocy, by zminimalizować szkody wywołane tym powrotem. Istnieje wiele sposobów na przeprowadzenie rewolucji.

Patrzyła na niego przez dłuższy czas i cień bladej barwy przemknął po jej skórze.

– Jak masz zamiar przywrócić go morzu? Z tego, co mówisz, należy się spieszyć.

– Mam swojego awiatora... – zaczął Stenwold, ale zaraz zaklął w duchu, bo mogło minąć wiele dni, zanim Jons Allanbridge wróci z Szaleństwa. Tymczasem potrzebował go nie tylko po to, by przetransportował ich do Kolegium. –

Lecz zdaje się, że musimy na niego poczekać.

– Być może najlepiej by było, żebyście wyruszyli z moim Aradem, zanim zmienię zdanie i postanowię ochronić go przed twoją nową wojną – zasugerowała posępnie Smutek. –

Myślisz, że poszedłby z wami, gdybym poprosiła go, by został?

– To zależy od tego, jak głęboko wierzy w to, co właśnie powiedział na temat poczucia obowiązku – odparł Stenwold zaczepnie. – Sugerujesz, że powinniśmy pieszo wyruszyć do Kolegium?

– Sugeruję, że mam odmienne poglądy od twoich, mistrzu Makerze, na temat względnych zalet wojny i pokoju.

Nie bój się, zapewnię wam najszybszy transport do twojego miasta, choć może ci się to nie bardzo podobać.

Stenwold westchnął.

– Cóż, jeśli przyspieszy to naszą podróż, nie będę się sprzeciwiał.

Skłoniła głowę, obserwując go uważnie.

– W takim razie o co chodzi? – zapytała go po chwili.

– Nie rozumiem.

– Widzę, że chcesz o coś zapytać, mistrzu Makerze.

Widzę to wyraźnie. Chcesz, ale obawiasz się, że to osłabi twoje szanse. Cóż, masz już to, po co przybyłeś. Zadaj więc swoje pytanie, jeśli się ośmielisz.

Stenwold zmarszczył czoło, patrząc na nią.

– Nie ma niczego... – zaczął, ale pytanie samo się pojawiło w jego głowie. – Jest jednak coś... – przyznał z zażenowaniem. – Ma związek z tobą... i Salma.

Nie miała szczególnie zadowolonej miny, słysząc, do czego zmierza, ale skinęła powściągliwie głową.

– Salma powiedział kiedyś mojej bratanicy, że rzuciłaś na niego urok – powiedział pospiesznie.

Smutek zamarła i uśmiech, jaki pojawił się na jej twarzy, był całkowicie szczery.

– Przecież twoja oświecona rasa nie wierzy w takie gusła.

– Wiele rzeczy, które kiedyś odrzucałem, okazało się jednak prawdą – odparł. – Salma mówił, że zwróciłaś na niego uwagę, bo był więźniem i nikt się o niego nie upominał.

Sprawiłaś, że cię pokochał. Wryłaś mu się w umysł tak mocno, że nie mógł przestać o tobie myśleć...

– Czy tak właśnie powiedział?

– Taki był sens jego słów – odrzekł wymijająco. – Czy tak było naprawdę?

Przez dłuższą chwilę wydawało mu się, że monarchini odwróci się i odejdzie, a on nawet nie będzie wiedział, co sobie pomyślała. W końcu jednak odparła cicho:

– To prawda. Wyznaję, że z początku użyłam na nim magii mego ludu. Byłam, jak to określiłeś, zdesperowana. Ale kiedy przybył, by mnie odnaleźć w Tarku, mój czar już prysnął. Kochał mnie. Prawdziwie, bez żadnej magii, po prostu mnie kochał – wyznała niemal buntowniczo.

– Och, wierzę ci – odparł cicho. – Powiedz mi jednak, czy gdyby ktoś jeszcze użył takiego uroku, byłabyś to w stanie poznać? Mogłabyś spojrzeć na taką osobę i stwierdzić, że tak się stało?

Wyraz jej twarzy się zmienił, gdyż ciekawość zwyciężyła całą tajemniczą rezerwę.

– Czy podejrzewasz, mistrzu Makerze, że zostałeś zaczarowany? – zapytała, a lekkie rozbawienie w jej głosie bardzo go zabolalo.

Muszę jednak się jej zwierzyć, bo inaczej nikt mi nie pomoże.

– Odkąd wyszedłem z morza... nie, jeszcze wcześniej, od kiedy opuściłem pewną morską, wszystkie moje myśli krążą wokół niej. Wielokrotnie pojawiała się w moich snach i w marzeniach na jawie. Zdaje się fascynować moje drugie ja, chociaż... ja tego nie odczuwałem, kiedy podróżowaliśmy razem. Dopiero później...

– Ach, wy, Niżowcy – wyszeptała. – Wy, pojętni. Tak mało wiecie. Ale sięgasz wyobraźnią o wiele dalej niż większość przedstawicieli twojej rasy, bo w ogóle zadałeś to pytanie. Chodź tutaj, żukowcu, i klęknij przed monarchinią Pryncypatu Salmae, jeśli potrzebujesz jej pomocy.

Stenwold zachnął się na te słowa, ale zrobił, jak mu kazała. Klęknął z jękiem, gdyż ciągle czuł każdą drobną ranę, jaką zadał mu Teornis swoim rapierem. Podniósł

wzrok na Smutek, a ona położyła mu dłoń na czole. Była zadziwiająco ciepła i kiedy go dotknęła, kolory zatańczyły na jej skórze i zabłysły na jej palcach.

– Ha! – rzuciła niemal natychmiast. – Czuję tutaj skorupę bardzo starego uroku, który dawno już sczeźł i nie więzi cię dłużej. Kiedy ta kobieta po raz ostatni weszła w twe myśli?

– Ona... – Stenwold zmarszczył brwi. – Gdy wyszedłem z morza. To było z całą pewnością już w Kolegium, ale... – To prawda, od tego czasu już tak często nie myślał o Lyess. –

Być może morskie uroki nie działają na lądzie? –

zasugerował, podnosząc się i odsuwając się od niej na kilka kroków.

– Wciąż jesteś ślepy – powiedziała mu. – Takie uroki giną jedynie w jednym wypadku – tak jak urok, który rzuciłam na Salmę.

– Powiedziałaś, że zanikł, bo naprawdę cię pokochał.

Prawdziwe zastąpiło sztuczne – zaprotestował Stenwold. –

Myślisz, że ja naprawdę pokochałem tę kobietę?

– Nie tę – oznajmiła Smutek niemal ze współczuciem. –

Poczułeś coś do innej, mistrzu Makerze, i to uczucie obroniło cię przed urokiem. To jedyne wytłumaczenie.

Powiedziawszy to, wstała i przez krótką chwilę padające na nią promienie porannego słońca rozświetliły jej skórę.

Kiedy jego oczy przyzwyczyły się do tego blasku, już odchodziła szara jak zwykle.

Paladrya robiła, co mogła, by przekazać Aradoklesowi jak najwięcej informacji na temat aktualnej polityki w Hermatyre, wymieniając wszystkie frakcje morskich: Heiraclesa, Rosandera, Nemoctesa, Mandira z Gorących Rewirów – oczywiście stronników Claeona. Wraz z Phylles przedstawiły go Wys oraz choremu Laszlo i Stenwold zastał

całą piątkę zatopioną w konwersacji.

Patrząc na Aradoklesa, Stenwold nie mógł się oprzeć wrażeniu, że jest za młody na to, czego się po nim spodziewają. Ale po chwili na twarzy mózgowca pojawiło się zdecydowane spojrzenie i wtedy Stenwold dostrzegł w nim podobieństwo do Salmy.

Usiadł obok Paladryi, pozwalając jej mówić i zerkając tylko na nią z ukosa. Sam prawie nie wtrącał się do ich rozmowy – słowa Smutku wciąż rozbrzmiewały mu w głowie.

Wkrótce po tym, jak do nich dołączył, pojawił się Sfayot i poinformował ich, że monarchini życzy

sobie widzieć ich wszystkich na lądowisku.

Zebrał się tam spory tłum, mieszanina wszystkich ras tworzących społeczeństwo Pryncypatu Salmae. Była to dla niego rzadka okazja, by zobaczyć ukochaną monarchinię, dlatego Stenwold wraz ze swoimi ludźmi musiał się przepychać, żeby dojść na miejsce.

Spodziewał się zastać Smutek w otoczeniu jej ważkowej gwardii, ale ona pojawiła się wyłącznie w towarzystwie żukowca Ordly'ego Kałamarza oraz wszędobylskiego Sfayota.

Zgromadzeni obywatele zachowywali pełen szacunku dystans.

– Ach, mistrzu Makerze – zwróciła się do niego, kiedy udało mu się wydostać z tłumu. – Proszę stanąć obok mnie.

Wykonał polecenie, zastanawiając się, czy nie chce takim publicznym pokazem czegoś uzyskać. Ale wydawało się to mało prawdopodobne, wzięwszy po uwagę jej dotychczasowe zachowanie. Poszedł więc do niej ostrożnie, stając jak ona niemal w cieniu latających maszyn. Aradokles kroczył u jego boku, całkowicie spokojnie, a reszta morskich wraz ze śmigającym Laszlo – za nimi.

– Zorganizowałam wam transport do domu, mistrzu Makerze – poinformowała go monarchini. – Wraz z pilotem.

– Wyciągnęła rękę, jakby chciała dotknąć najbliższej maszyny, ale jej dłoń zatrzymała się kilka centymetrów od metalowego kadłuba.

Stenwold zmarszczył brwi, rozpoznając czarno-złote barwy.

– To chyba jakaś pomyłka – powiedział wolno.

– Czyżby? – zapytała władcym tonem. – Ambasadorze, pan pozwoli do nas.

Zza imperialnego helioptera wyłoniła się znana Stenwoldowi sylwetka. Mężczyzna nie miał na sobie munduru, ale był osowcem i żukowiec dobrze go poznał

podczas ostatnich pojedynków na forum Zgromadzenia.

– Ambasadorze Aagenie – zwrócił się do niego.

– Garstka osób zawsze będzie u mnie mile widziana, mistrzu Makerze – oświadczyła Smutek. – Aagen do nich należy. – Jej ton dobitnie świadczył o tym, że żukowiec do nich się nie zalicza.

– Ach, rozumiem. – Stenwold poczuł się zlekceważony.

– Cóż, Salma mówił mi o tym, co was łączyło. Podejrzewam, że wolność jest wielkim darem.

– Nadzieja większym – powiedziała Smutek. – Pochodzi z okrutnej nacji, mimo to jest uprzejmy. Niech się pan nad tym zastanowi.

Stenwold westchnął z rozgoryczeniem. *A ja pochodzę z ugodowej rasy i mimo to wszczynam wojny... O to chodzi?*

Czego ona ode mnie oczekuje? Jak byśmy skończyli, gdybyśmy nie walczyli z Imperium? Spojrzał na Aagena, który skinął mu z dumą głową.

– Aagen przysiągł mi, że jak najszybciej zawiezie pana do Kolegium – wyjaśniła Smutek. – Jeśli pan nie chce, mistrzu Makerze, pozostaje panu tylko ruszać na piechotę.

Stenwold wyczuwał rosnące poruszenie wśród morskich, którzy najwyraźniej dostrzegali zniewagę, choć nie znali jej przyczyny. Jedynie Aradokles był ponadto, bez wątplenia przyzwyczajony do dziwnych zachowań motylicy.

– Chciałaś, pani, sprawdzić, czy jestem w stanie zaufać wrogowi? – odparł zmęczonym głosem. – Cóż, z radością przyjmuję pomoc mistrza Aagena. Nie jestem modliszowcem, który prędzej by sobie palce obciął, niż uściśnął dłoń wrogowi swego miasta.

Było jasne, że odniosła zwycięstwo i Stenwold nic nie mógł na to poradzić. *A kiedy Imperium znów zaatakuje*, pomyślał tylko, *ciekawe jak daleko zajedziesz z tą swoją miłością i tolerancją*. I poczuł złośliwą satysfakcję.

– Mistrzu Makerze – zwrócił się do niego Aagen bez kpiny. – Lecimy?

Unieśli się w powietrze zaraz po tym, jak Stenwold zostawił wiadomość dla Jonsa Allanbridge’a, żeby jak najszybciej dotarł do Kolegium, i po tym, jak Ordly Kałamarz klepnął Aradoklesa w ramię i obdarował go niemal ojcowskimi radami. Reakcja morskich na podróż w metalowym brzuchu maszyny, która drżała i ryczała silnikami, była widowiskiem samym w sobie i Stenwold większość trasy spędził z Paladryą wczepioną w jego ramię, wysłuchując narzekań Laszlo, klnącego na każde szarpnięcie.

Tylko raz podszedł do samotnie siedzącego Aagena, bo ambasador Imperium podróżował bez świty. Wymienili kilka grzecznych zdań na temat ostatnich osiągnięć rzemiosła.

Zgodnie z niepisaną umową pilnie unikali rozmów na tematy polityczne.

CZTERDZIEŚCI DWA

Z dołu dobiegł jakiś hałas i Helmess Broiler poruszył się leniwie w łóżku. Pewnie jego słudzy zaczęli się krzątać. Co oznaczało, iż było później, niż podejrzewał. Ziewnął i przeciągnął się. Obok niego Elytria coś zamruczała i Helmess znów zaczął się zastanawiać, która jest właściwie godzina i czy nie należałoby jej zachęcić do krótkich porannych ćwiczeń.

Otworzył oczy, spodziewając się zobaczyć szarówkę przed świtem, ale w sypialni było niemal czarno, a jedyny blask prześwitujący przez szpary w okiennicach pochodził od lamp ulicznych. *Dlaczego więc słudzy...? Zmarszczył brwi.*

Czyżby włamywacze? Złodzieje rzadko odważali się zapuszczać w dzielnicę zamieszkiwaną przez wielmożów.

Straż miejska była tu liczna i sprawna, a do tego ulice były dobrze oświetlone.

Wśluchiwał się, ale nie usłyszał niczego. *Pewnie coś mi się przyśniło*, stwierdził, choć poczuł wewnętrzną niepokój. Z

całą pewnością coś go obudziło i nie mógł tego złożyć na karb wyobraźni.

Usiadł i odrzucił kołdrę, słysząc, jak Elytria mruczy coś niezadowolona. Teraz ona też się obudziła. Sięgnął po nocną koszulę i naciągnął ją na siebie. *Może powinienem jednak wezwać służbę?* – zastanawiał się. *Jeśli to nic takiego, wyjdę na głupca. Ale jeśli to coś poważnego...* Mógł to być choćby Teornis ze swoją morderczą bandą wazkowców, który już wrócił z Pryncypatu Salmae i

pewnie uważa, że zakradanie się do czyjegoś domu jest zabawne.

Im dłużej Helmess o tym myślał, tym bardziej prawdopodobne wydawało mu się, że to raczej Teornis niż włamywacze. *Najwyższy czas*. Musiał jeszcze tylko znaleźć sposób, by pozbyć się tego pająkowca i odebrać mu Aradoklesa dla morskich. Oczywiście jeśli go odnalazł. Jeśli ten krnąbrny młodzian od lat nie gryzie ziemi. Helmess westchnął. Ostatnio świat stał się niezwykle irytującym miejscem.

– Co jest? – Elytria usiadła, odgarniając loki z oczu. –

Helmess ... ?

– Pewnie nic takiego – uspokoił ją i nagle na zewnątrz rozległo się głośnie skrzypnięcie i czyjeś ciężkie kroki zadudniły na schodach.

Znieruchomiał, poszerzając zakres spekulacji: *A jeśli mimo wszystko Imperium już ma mnie dość i nastąpiło na mnie zabójców? A jeśli Teornis napuścił na mnie tego zdrajcę Sandsa? A może...*

Drzwi się otworzyły i do środka zaczęli wchodzić muszcy

– tak cicho i grzecznie, że zaczął się zastanawiać, czy mu się to nie śni. Było ich przynajmniej z tuzin, mężczyzn i kobiet, wyglądających jak łotry spod ciemnej gwiazdy i uzbrojonych po zęby. Zdaje się, że dowodził nimi czarnobrody facet, który miał szczególnie dziki wygląd, a przy tym ledwo sięgał

Helmessowi do piersi. Obok niego stanęła drobna kobietka w rzemieślniczym stroju z bardzo zawodową kuszą wycelowaną prosto w twarz żukowca.

Magnat wolno wstał, przyglądając się tej milczącej grupie. Większość z nich patrzyła mu prosto w oczy, oprócz pary stojącej na uboczu, która ewidentnie podziwiała szczególnie drogą statuetkę ze Wspólnoty ustawioną na nocnym stoliku.

– Czemu – wyszeptał ochrypłym głosem Helmess –

zawdzięczam tę niespodziewaną wizytę? – Był świadom obecności Elytrii, która siedziała na łóżku, przyciskając do siebie kołdrę.

– Och, to paradne – zakpił dowódca. – Chłopaki, zobaczcie, jak to się robi w Kolegium. Słuchajcie i uczcie się.

No, mistrzu Broilerze, tak się składa, że pewien nasz dobry przyjaciel poprosił nas, abyśmy przygotowali prywatną audiencję u pana, bez obecności pana strażników czy sług. I na pana miejscu raczej bym nikogo nie wołał. Chyba że chce pan mieć w najbliższej przyszłości kłopoty z obsadą tych stanowisk.

– Kto was przysłał i ile chcecie? – zasyczał Helmess.

– Może sam porozmawia pan z naszym przyjacielem –

zapropował brodaty muszec, odsuwając się na bok, by do sypialni mogła wejść jakaś większa postać.

Twarz Helmessa Broilera wykrzywiła się momentalnie z nienawiści.

– Maker! – wyrzucił z siebie i zaraz ostrożnie zamilkł, choć nie należał do ludzi, którzy kwaterują swoje sługi blisko własnych pokoi.

– Witaj, Helmessie – zaczął Stenwold spokojnie.

– Jakim prawem nachodzisz mnie w domu? – warknął

Broiler. – To skandal. Jak myślisz, co powie na to Zgromadzenie, kiedy się o tym dowie?

– Och, rzeczywiście nie powinienem tu być – powiedział

Stenwold beztrąsko. – Nie mam nakazu ani pisma. Ale przebrałeś miarę, Helmessie. – Popatrzył w jadownicę Elytrii i z zadowoleniem skinął głową.

– Nie mam pojęcia, o czym mówisz.

– Wystarczająco długo gromadziłeś imperialny grosz, Helmessie. To też wiem.

Helmess wyduł usta z pogardą.

– I naturalnie masz na to dowód.

– Nie mam, Helmessie, bo nie przyszedłem tu, by cię aresztować. Od lat wiem, że szpiegujesz dla Imperium. Ale prościej było cię zostawić w spokoju, niż później domniemywać tożsamości tego, który by cię zastąpił. Teraz jednak wiem, że nie tylko dla Imperium gotów byłeś zdradzić nasze miasto. Weźmy choćby pająkowców. Pająkowców i jej ludzi – dodał, wskazując na towarzyszkę Helmessa.

Elytria wyszczerzyła zęby.

– Nic nie wiesz o moim ludzie! – rzuciła.

– Och, wiem aż za dużo o twoich pokręconych pobratymcach – odparł Stenwold spokojnie. – Wiem też, że jesteś szpiegiem litoralistów i starasz się za wszelką cenę pomóc im „odzyskać ląd”. I znalazłaś w tym oto Helmessie gorliwego współnika, ponieważ, jak się zdaje, jest gotów sprzedać swoich rodaków temu, kto najwięcej mu zapłaci.

– To bzdury wyssane z palca – zaprotestował Helmess z dumą. – To nie żadna tajemnica, że nie pałasz do mnie miłością, Maker, ponieważ zawsze byłem twoim politycznym przeciwnikiem. Jeśli masz jakieś konkretne dowody zamiast tych fantazji, przedstaw je na forum Zgromadzenia, zamiast...

– Danaen wypsnęło się twoje imię, Helmessie –

przerwał mu Stenwold.

Broiler zmrużył oczy.

– Któż uwierzy słowom modliszki... ?

– Nie będzie przeciwko tobie zeznawać. Nie żyje.

Helmess drgnął nieznacznie.

– Maker, nie wiem, co tam sobie roisz pod czaszką, ale...

– Żadnych formalnych zarzutów – poinformował go Stenwold. – Żadnej milicji. Żadnego przesłuchania w Zgromadzeniu. Żadnego sądu. Żadnej procedury prawnej.

Moja Arianna zginęła na skutek twoich zdradzieckich knowań. – I w końcu głos mu zadrżał odrobinę na skutek emocji, które dusił w sobie, a Helmess poruszył się zaniepokojony, zaczynając rozumieć powagę sytuacji.

Stenwold uśmiechnął się na ten widok. – Ale widzę, że ty też masz towarzyszkę. Nie jest to wprawdzie pajęczycza, ale niemal tak samo reprezentacyjna. Być może wystarczy, żebyś spłacił dług za śmierć Arianny.

Muszczy poruszyli się i wyszczerzyli kły w uśmiechu, aż nadto dobitnie prezentując swoją broń. Mięsiasta twarz Helmessa stężała.

– A więc jednak ci na niej zależy – zauważył Stenwold. –

To nam ułatwi sprawę.

– Słuchaj no, Maker – rzucił pospiesznie Helmess. –

Nie rób niczego, czego będziesz żałował. W końcu żyjemy w Kolegium. Nie możesz tak po prostu...

Uśmiech Stenwolda stwardniał.

– Jakże szybko powołujesz się na Kolegium, kiedy ci to pasuje. No, Helmessie, nie potrafię opisać, jak bardzo chciałbym, żebyś zapłacił za swoją zdradę, a wraz z tobą ta twoja morska.

Muszczy ruszyli się na ten sygnał, otaczając łóżko. Z

furkotem skrzydeł czarnobrody wleciał między Helmessa i Elytrię, trzymając w ręku nóż.

– Wystarczy jedno słowo, mistrzu Makerze –

powiedział, najwyraźniej setnie się bawiąc.

– Maker... !

– Posłuchaj mnie teraz – uciął Stenwold ostro. – Dam tobie i twojej kobiecie jedną, jedyną szansę. Jeśli zrobisz, co ci każę, będziesz żył, na razie. Jeśli jednak coś mi się przytrafi, mnie albo moim bliskim, odpowiesz za to stokrotnie i po raz pierwszy odczujesz brak standardów, o których tak chętnie zapominają twoi ukochani osowcy. Jeżeli ośmielisz się wejść mi w drogę, moi ludzie wybebeszą cię i zostawią, żebyś zdechł pod płótem. Zrozumiano?

Żukowiec ledwo mógł mu spojrzeć w oczy.

– I co dalej, Maker? Jaka jest twoja cena?

Stenwold skinął głową i nagle ostrze noża znalazło się przy samej szyi Elytrii.

– Pani – zwrócił się do niej oficjalnie. – Chcę wiedzieć wszystko o twoich kontaktach z Rosanderem z Taboru Tysiąca Kolców: jak przesyłacie sobie wiadomości i jakiego kodu używacie. Ponadto chcę się z nim spotkać. Przekaze mu pani wiadomość niezwłocznie i jeśli nie odpowie na pani zaproszenie, pozwolę moim ludziom postąpić z panią według ich woli.

– On... – Patrzyła teraz na niego wielkimi oczami. – On nie przyjdzie do miasta, nie bez swojej armii. Będzie podejrzewał zasadzkę.

– Zakotwiczę moją łódź na Krawędzi i tam możemy się spotkać. Takiego zaproszenia z pewnością nie odrzuci.

Powiemy mu, że chcę odnowić z nim znajomość, żeby uchronić mój lud przed jego gniewem.

Stenwold skinął na jednego z muszców – łąsą, przygarbioną kobietę, i Helmess poniewczasie rozpoznał w niej jedną z drobnoszczypcowych.

– Wys przekaze wiadomość, a pani nią pokieruje. Jeśli coś jej się stanie, to coś o wiele gorszego przydarzy się pani –

ponieważ będę miał panią w swojej mocy aż do zakończenia sprawy z Rosanderem.

– Pożałujesz tego, Maker – zawarczał Helmess cicho.

– Och, już żałuję, że zostawiam cię przy życiu –

odpowiedział Stenwold – ale teraz dobro miasta stawiam wyżej niż własne preferencje. I jestem pewien, że to dla ciebie odkrywcza myśl. – Nagle strzelił palcami, aż Helmess podskoczył. – Jest jeszcze jedna sprawa.

Helmess patrzył na niego wyzywająco.

– Zdaje się, że grubiaństwem byłoby odmówić. Czego chcesz, Maker?

– Informacji o tym, w jaki sposób Imperium ma zamiar wykorzystać tę sytuację.

– Nie wiem nawet, o czym mówisz.

– Zła odpowiedź!

Nagle Stenwold wymierzył swój miecz prosto w obwisłe policzki Helmessa.

– Moja załoga obecna tutaj śledziła cię, kiedy chodziłeś na spotkania z Honoriuszem Bellowernem, dlaczego więc nie miałbyś sprzedać nam dwóch wrogów, dorzucając Imperium na dokładkę? Powiesz mi, jaka jest ich rola w tym konflikcie, albo przysięgam ci, że od tej pory nie zaznasz spokoju.

Kiedy wychodzili od Broilera z Elytrią pod strażą, Tomasso powiedział:

– W takim razie szykuję statek, mistrzu Makerze.

Stenwold pokręcił głową.

– Nie tym razem. Tym razem myślałem o innym statku.

Cztery podwodniki wynurzały się z czarnych głębin ku światłu, przedzierając ukosem przez coraz jaśniejszą wodę, aż przebiły się przez lustrzaną toń na powierzchnię, ze wszystkich stron otaczając ciemną sylwetkę niewielkiego statku.

Trzy z nich były smukłymi pojazdami i poruszały się dzięki syfonom. Ostatni zaś był o wiele szerszy, z grubego pancerza, z tuzinem ruchliwych odnóży pławnych. To właśnie z niego wyłonił się Rosander.

Nie spieszył się, bo chciał się odpowiednio ubrać na spotkanie z lądowym. Włożył więc zbroję z jasnego kamienia, a nawet hełm, żeby po wyjściu z podwodnika bardziej przypominać głaz niż człowieka. Za nim światło dzienne ujrzało kilku jego ludzi, którzy zaraz osłonili oczy przed słońcem – kilku żwawych małoszczypych, zwalistych wielkoszczypych w zbroi z natworzonej muszli, zwinnych mózgowców z włóczniami i nożami. Mniejsze maszyny też zaczęły wyrzucać z siebie załogi, a ich członkowie przysiadali na chybotliwych kadłubach, by dobrze widzieć statek lądowych.

Choć była to łupinka, Rosander wiedział, że lądowi mają też znacznie większe jednostki. Gdyby chcieli go schwytać, ten stateczek nie pomieściłby koniecznej do tego liczby zbrojnych. Podniósł wzrok na duży okrągły żagiel wydymający się na wietrze, oklapły i pomarszczony w wielu miejscach. *A może chcą się poddać albo omówić warunki rozejmu? Choć nie sądzę, żeby zaakceptowali to, co mogę im zaproponować* – uśmiechnął się do swoich myśli.

– Chenni – powiedział. – Chcesz sobie pooglądać mechanikę lądowych?

– Jasne – pisnęła małoszczypca mechanik i Rosander sięgnął do zakrzywionej burty, gotów wbić w nią najeżoną kolcami rękawicę, żeby wspiąć się na pokład Stenwolda.

– Czeka, czeka! – dobiegł go jakiś głos z góry i tuż przed jego twarzą rozwinęła się drabinka sznurowa.

Spojrzał na nią z powątpiewaniem, ale głos go zapewnił:

– To jedwab wzmocniony stalową linką. Chodź do mnie.

Rosander usłyszał, jak Chenni mruknęła z zadowoleniem.

– Nie martw się, dostaniesz taką – zapewnił ją, po czym zaczął się wspinać.

Poruszał się dość niezgrabnie, bo drabinka kołysała się i trzeszczała, ale nie rezygnował, żeby nie wyjść na głupca przed swoimi ludźmi. Rzeczywiście, była tak mocna, jak mówił lądowy, co potwierdzało tylko, że pomysłowa z nich gromadka, a kampania na lądzie przyniesie spodziewane profity. *Najwyższy czas, żeby ten robał Mandir zleciał z piedestału.* Prawdopodobnie łupy z tej wojny wystarczą, by twierdza Gorących Rewirów padła.

Podciągnął się na relingu, który z braku wzmocnienia pękł w trzech miejscach. Mimo to stanął na pokładzie statku lądowych – on, Rosander, nauarch Taboru Tysiąca Kolców i przyszły zdobywca lądu.

– Sprowadź swoich wojowników – polecił, czekając, aż z wnętrza statku wyłonią się kolejni lądowi.

Wszędzie wokół czekali jego ludzie gotowi zatopić swoje szpony w kadłubie i wdrapać się na pokład, by zarżnąć wszystkich wrogów w zasięgu wzroku. Rosander rozejrzał się przez wąską wizurę, przeczesując pokład, ale nie dostrzegł

żadnych wściekłych hord żadnych jego krwi. Jedyne dwóch ludzi – śniadych i krępych. Najbliższy z nich, który opuścił

drabinkę, zaczął się cofać, patrząc z przerażeniem na Rosandera, gdy tymczasem drugi...

– Ha! – mruknął Rosander. – To znowu ty. Nie wierzę.

Zrobił ciężki krok naprzód, słysząc, jak pokład pod nim trzeszczy, gdy tymczasem Chenni przydreptała za nim i stanęła u jego boku. Lądowy wytrzymał bez lęku jego groźne spojrzenie, jak się po nim spodziewał.

– Uciekłeś – zadudnił Rosander. – Słyszałem wieści.

Uciekłeś edmirowi i onemu z Gorących Rewirów. I wróciłeś do domu, na ląd. Bez wątpienia ostrzegłeś też swoich. Tym samym dostarczą nam nieco więcej rozrywki. – Rosander ściągnął hełm, mrużąc nieco oczy. – Zdziwiasz mnie, lądowy. – Uśmiechnął się raptownie, ukazując zaskakująco drobne zęby. – Klęknij, klęknij teraz przede mną i złóż ślubowanie Tysiąca Kolców, a zrobię cię moim zastępcą, kiedy już podbiję ląd.

Lądowy przyglądał mu się z lekkim uśmiechem.

– Obawiam się, że nie mogę przyjąć tego zaszczytu, nauarchu Rosanderze – odparł. – Choć rad jestem, że mnie pamiętasz. Nazywam się mistrz Stenwold Maker z Kolegium i jestem tutaj, by

porozmawiać o przyszłości mego ludu. Czy mnie wysłuchasz?

Rosander spojrział na niego niemal z czułością.

– Uciekłeś i byłeś wolny – powiedział nauarch. – A teraz wróciłeś. Moi wojownicy otoczyli statek. Czyżbyś tak bardzo chciał do nas dołączyć, tam, w Hermatyre? Mam cię wysłuchać? Och, wysłucham cię, mistrzu Stenwoldzie Makerze, ale niczego więcej nie obiecuję.

Spostrzegł, jak przez twarz Stenwolda przemknął cień, kiedy wspomniał o powrocie do Hermatyre. Nie miał mu tego za złe, bo Claeon nie był najłagodniejszym z morskich. *No, zobaczymy, co Claeon powie, jak zostanie panem lądu. Być może moja następna kampania odbędzie się w Hermatyre i w końcu zapanuje porządek w tej nieszczęsnej kolonii.*

– Może zejdziemy pod pokład – zaproponował

Stenwold. – Skryjemy się nieco przed słońcem.

– Niech pokaże mi maszyny tego ustrojstwa – poprosiła Chenni.

– Pokaż jej – nakazał Rosander i Stenwold skinął głową, wskazując włącz wiodący do maszynowni.

Zanim zesli pod pokład, popatrzył na pozostałych morskich.

– Mistrzu Allanbridge? – powiedział, czyniąc pytanie z tego nazwiska.

– Poradzę sobie – odparł ten drugi, najwyraźniej mimo to zdenerwowany.

Stenwold pokiwał głową i wszedł do wnętrza statku.

– Niemal zapomniałem o twojej towarzysze – wyznał, a drewno drabiny jęknęło z bóleści pod ciężarem Rosandera. –

Kierowała statkiem, który przywiózł mnie do Hermatyre.

Robiła też wszystko, bym nie wpadł w łapy Claeona. Choćby za to należy jej się ta lekcja pogładowa ziemskiej mechaniki.

Przestrzeń pod pokładem składała się wyłącznie z dwóch pomieszczeń, z których jedno zawierało silnik. W

drugim zobaczył zastawiony stół i jakieś meble służące chyba do tego, by na nich siadać. Najwyraźniej ci lądowi wierzyli, że jest jeszcze o czym gadać. *Może o warunkach kapitulacji? A może ten Stenwold jeszcze sprzeda swoich.*

– No to chodźmy – rzekła Chenni. – Zobaczymy, co tam macie.

Stenwold zatrzymał się, po czym zawołał na górę:

– Jons! Skończyłeś?

– Już prawie – padła odpowiedź.

– Czy zechciałbyś zejść tutaj i pokazać pani Chenni, jak działa silnik?

– Z przyjemnością.

Chwilę później usłyszeli kroki mężczyzny nad głowami, a wkrótce zobaczyli go schodzącego po drabinie.

– Powinniśmy porozmawiać – zaczął Stenwold, wskazując na stół. – Wśród lądowych debaty z wrogiem toczy się przy stole, żeby znaleźć inne rozwiązanie niż wojna.

Rosander mruknął coś i podszedł do jednego z krzeseł, sięgnął po nie i obrócił w opancerzonych palcach. Kiedy Stenwold skierował się do drugiego brzegu stołu, wielki szczypcowiec, nie wkładając w to wielkiej siły, walnął pięścią w krzesło, zmieniając je w drewno na podpałkę.

– Masz coś mocniejszego czy mam stać? – zawarczał.

Stenwold, wcale niespeszony, usiadł przed nim na ziemi.

– Tyś jest Rosander, nauarch Taboru Tysiąca Kolców.

– To ja też już wiem. – Rosander położył hełm na stole.

– Czego chcesz, Stenwoldzie Makerze? Wśród morskich to mózgowcy gadają i gadają bez końca, my zaś działamy.

Debata jest wymówką tchórzy, żeby nie dostać klapsa.

– Przykro mi, że tak uważasz – odparł Stenwold. –

Nauarchu, nie jesteś Claeonem.

Usta Rosandera wykrzywiły się w uśmiechu.

– To największy komplement, jaki ktoś mi powiedział

przynajmniej od jednego księżycy – odparował. – I co z tego?

– Chciałem powiedzieć, że nie zżera cię zła wola, nie jesteś też przerażony możliwością utraty władzy. Jesteś bezpieczny z tym, co posiadasz, natomiast Claeon nie.

– Śmiała teza.

– Nie jesteś też, popraw mnie, jeśli się mylę, zwolennikiem litoralistów – ciągnął Stenwold. – Nie wierzysz w te wszystkie bzdury o przeznaczeniu morskich, którzy muszą odebrać ląd znieawidzonym

lądowym.

– Głupcy i szaleńcy – zgodził się Rosander.

– Dlaczego więc chcesz stać się wrogiem mego ludu? –

zapytał Stenwold.

Rosander wzruszył ramionami, aż zgrzytnęły kamienne naramienniki.

– Nie chcę was skrzywdzić. Poddajcie się, a nie będziecie źle traktowani. Chociaż rozczarujecie nas, gdy nie będzie walki. Jak mówiłeś, nie jestem tyranem, tylko poszukiwaczem przygód, awanturnikiem, Makerze. I teraz wiem, że ląd tylko czeka na to, żeby go zagarnąć. To jest nowa przygoda, którą sobie wybrałem. Żeby stać się tym, który podbił ląd! Żeby na zawsze mnie zapamiętano jako tego, który uczynił ten wielki krok. – Rosander uśmiechał się od ucha do ucha, mówiąc te słowa, ba, na samą myśl o tym. –

I mój tabor pójdzie za mną nawet poza morzem, wbrew wszystkim opowieściom, które słyszeli, kiedy jeszcze byli przy maczynym cycku. Nagrodzę ich za wierność książęcymi tytułami, a lądowi będą spełniać ich wszystkie zachcianki. I zrobię to, Makerze, bo mogę to zrobić.

Jakieś dziwne wibracje zaczęły teraz przechodzić przez kadłub statku, ale stwierdził, że to pewnie silnik zaczął

pracować.

– Jeśli twojemu słudze przyjdzie na myśl zabrać nas dokądś, to wiedz, że moi ludzie mają rozkaz zrobić dziurę w tej łajbie i posłać nas na dno, jeśli będzie to konieczne –

ostrzegł Stenwolda. Wsłuchując się dokładniej, wyłapał jakieś głosy – to człowiek Makera wyjaśniał coś Chenni. –

Wydawało mi się, że żagiel napędza ten statek. Najwyraźniej mam błędne informacje.

Kadłubem szarpnęło. I choć na tyle delikatnie, że nie stracił równowagi, to jakoś tak dziwnie, że niespecjalnie mu się to spodobało.

– Maker – wysyczał przez zęby. – Nie myśl, że nie mogę cię zabić, jeśli zaplanowałeś jakąś zdradę.

– Z całą pewnością – potwierdził Stenwold, chociaż w jego głosie słychać było jakieś napięcie, które Rosander łatwo wyczuł. – A może... zaczerpnijmy świeżego powietrza?

Kadłub znów zadrżał i zakołysał się. Rosander skinął

głową.

– Idź pierwszy i zawołaj jeszcze swego sługę. Nagle nabrałem podejrzeń, że coś kombinujesz, a to

oznacza, że jesteś mało roztropny.

– Jons! – zawołał Stenwold. – Zabierz panią Chenni na górny pokład, jeśli łaska.

– A więc już czas, tak?! – odkrzyknął drugi lądowy. –

No, w takim razie, mała panienko, proszę za mną.

Rosander czekał przy drabinie na swoją pomocnicę, która dreptała za Jonsem z wypiekami na twarzy.

– To doskonała maszyna – stwierdziła. – Żadnych sprężyn, za to palą w niej jakąś kleistą substancję i sama chodzi. Przy tym te rupiecie Mandira to złom. Powinniśmy sobie coś takiego sprawić.

– No dobrze, ale co to robi? – zapytał Rosander z naciskiem.

Łypnęła na niego.

– No, to... pracuje – zmarszczyła brwi.

– Chodź na górę, nauarchu, a sam zobaczysz –

powiedział Stenwold miękko.

Rosander spojrział na niego posepnie i wszedł na szczeble, nie zwracając uwagi na jęki, jakie wydawały, wyginając się po jego ciężarem.

– Jeśli ci się wydaje, że... – zaczął, ale nie dowiedzieli się, co miał na myśli, bo jego głos cichł z każdą sylabą.

Oklapła, wydymająca się na wietrze tkanina, którą wziął

za żagiel, była teraz wielka i sprężysta jak balon i wisiała nad ich głowami. A morze... Morze zniknęło. Nie było horyzontu.

Rosander przypadł wściekły do relingu... i zamarł.

Nie było morza, ale pod nim rozpościerała się ciemna powierzchnia, połyskując na szczytach fal odbitymi promieniami słońca. Nie widział ani śladu swoich ludzi czy nawet ich statków. Tylko wodę, która ustępowała czemuś jaśniejszemu – zieleni, szarości i brudnemu beżowi. To był

ład.

– Jak sam widzisz, nie jesteśmy tylko lądowymi –

zauważył spokojnie Stenwold, stając koło niego. – Jesteśmy też powietrznymi.

Opancerzona rękawica Rosandera wystrzeliła do przodu i chwycił żukowca za ramię, ściskając je boleśnie.

– Zabierz nas z powrotem – zasyczał. – Zabierz nas z powrotem w tej chwili.

– Och, nie ma obawy. To nie jest porwanie. Bo rzeczywiście nie jesteśmy w stanie cię pokonać – zapewnił go Stenwold lekko łamiącym się z bólu głosem. – Ale spójrz, to twoje nowe królestwo. Tam jest ład.

Wbrew sobie Rosander musiał spojrzeć na wielką połąć, która wypełniała teraz całą przestrzeń, rozciągając się tak daleko, jak daleko sięgał jego wzrok.

– Tam jest moje miasto – wskazał Stenwold. – To jest białe Kolegium, twoja przyszła ofiara. Ale w głębi ładu leży Sarn, gdzie szkolą się żołnierze mrówców, którzy z całą pewnością przybędą nam z odsieczą, podobnie jak inni sojusznicy. Na przykład Vekkeńczycy znad wybrzeża i Tseneńczycy znad morza. A któż może wiedzieć, kto jeszcze?

Rosander zawarczał, a niespeszony Stenwold ciągnął

pospiesznie:

– Ale wojownicy Tysiąca Kolców są srodzy i odważni, więc może pokonają wszystkie armie, które wystąpią przeciwko nim, a później zajmą moje miasto. Lecz moje miasto to nie jest cały ład, Rosanderze. Daleko za Sarnem znajduje się Helleron, wiele dziesiątek mil w głąb ładu, gdzie są kopalnie, kuźnie i huty oraz rzemieślnicy – to nasze Gorące Rewiry. Tam kończą się Niziny, które są moją ojczyzną. – Krajobraz wciąż szybko umykał pod ich stopami i nie wyglądało na to, by miał się skończyć. – Ale być może uda się wam i ich zwyciężyć, Rosanderze. Muszę więc ci powiedzieć, że za Helleronem znajduje się Imperium Os, kraina wojowniczej nacji, której populacja znacznie przewyższa liczbę mieszkańców Nizin. Następnie mamy Przymierze Trzech Miast i Sporne Księstwa, no i oczywiście dalej na północ, za wielką krawędzią, znajduje się Wspólnota, olbrzymi i starożytny kraj, większy niż cała reszta. To wszystko możesz podbić – w dwadzieścia do pięćdziesięciu lat, ani razu nie trafiając na morze.

Rosander poluźnił uchwyt i wpatrywał się w mgiełkę na horyzoncie.

– I nawet wtedy – ciągnął Stenwold – nie będziesz mógł

stwierdzić, że ład należy do ciebie. Na wschód mamy Imperium, na północ Wspólnotę, na południe Ziemie Pająkowców – ład ciągnie się i ciągnie, a tam mieszkają ludzie, którzy będą stawiać ci opór, a końca wciąż nie będzie widać. Moi ludzie kreślą mapy od pięciuset lat, mimo to nie wiemy, jak daleko ciągnie się ład, podobnie jak twoi ludzie nie są w stanie określić granic morza. Co podbijesz, nauarchu? Nawet gdybyś miał sto takich taborów, wszyscy twoi wojownicy zaginą w ułamku tego ładu.

– Mógłbym więc zająć tylko wasze miasto – rzucił

Rosander jak chwytający się brzytwy.

– Wtedy będziemy z wami walczyć – oznajmił Stenwold.

– I któż może wiedzieć, jaki będzie wynik tego starcia? Być może na początku zwyciężycie, uderzając z wody, gdzie nie możemy was osiągnąć, ale my też już mamy podwodniki i w końcu przekonacie się, że nagle przeniesiemy wojnę na wasze terytorium. Ale po co?

Przez dłuższą chwilę Rosander gapił się tylko przez reling *Kołowrotu*, spoglądając na szeroki świat, a Stenwold cofnął się, wydostawszy się z rozluźnionych teraz dłoni, i pozwolił mu patrzeć. Drobną Chenni podeszła do swego dowódcy i wyciągnęła do niego drobną dłoń, by go pocieszyć.

Jons Allanbridge pokręcił głową, kiedy Stenwold do niego podszedł, zostawiając olbrzymiego morskiego przy barierce.

– Myślałem, że wyrzuci pana za burtę – powiedział.

Stenwold wzruszył ramionami.

– Zawsze jest takie ryzyko.

– Dlaczego więc nie ściągnął pan chłopaków z kuszami i pukołukami, żeby zastrzelili bydlaka, kiedy tylko wzbiliśmy się w powietrze?

– Ponieważ mogłoby to zapoczątkować wojnę, do której staram się nie dopuścić. Moim zdaniem nie jest tyranem ani nawet zdobywcą tak jak osowcy czy choćby Vekkeńczycy. A skoro mogłem uścisnąć prawicę Vekkeńczykom, to powinienem dać Rosanderowi podobną szansę.

Olbrzymia postać przy relingu odwróciła się i powiedziała:

– Co konkretnie proponujesz?

– Pomóżcie nam zająć Hermatyre – rzekł Stenwold natychmiast. – Pozbądźcie się Claeona własnymi rękami. Czy naprawdę nie sprawi wam to przyjemności?

Rosander patrzył na niego wyzywająco.

– Mam najechać morze w imieniu lądowych? Nie sędzę.

– Żaden lądowy nie będzie w tym uczestniczył, być może z wyjątkiem mojej osoby – zapewnił go Stenwold. –

Oddajcie Hermatyre we władanie prawowitemu dziedzicowi.

Nauarch parsknął z niedowierzaniem, po czym zmarszczył czoło.

– Naprawdę tego chcesz, prawda? Odnalazłeś go?

Zawsze sądziłem, że Claeon go zabił. – Przez chwilę ważył tę myśl, ale po chwili odparł: – Nie, nie dla Aradoklesa i nie dla ciebie. – Uniósł dłoń, uprzedzając protest Stenwolda. –

Gdybym chciał zawojować Hermatyre, już dawno bym je zajął i Claeon nie mógłby mnie przed tym powstrzymać.

Niektórzy w Taborze Tysiąca Kolców naciskali na mnie, żebym tak właśnie zrobił – żebym splądrował największe miasto morza. Są oburzeni, że muszą słuchać Claeona, podobnie jak ja. Claeon obiecał...

– Widziałeś prawdę – przerwał mu Stenwold.

– Widziałem. – Rosander spojrział w dół na Chenni i może też pod nogi. – Nie chciałem ruszać Hermatyre po prostu dlatego, że nigdy nie byłoby już taką samą kolonią.

Bardzo lubię to miejsce, choć źle dobiera sobie władców.

– Co więc zamierzasz? – zapytał Stenwold.

– Zabiorę moich wojowników z powrotem w głąbiny, gdzie jest nasze miejsce. Znów wyruszymy na głębokie szlaki, będziemy walczyć ze szkarłupniowcami i terroryzować małe kolonie, czyli robić to, co zwykle. Ale może wkrótce wrócimy do Hermatyre, żeby handlować, i powiem, że serce nie będzie mi krwawić, jeśli zastanę na tronie innego admira.

CZTERDZIEŚCI TRZY

Daven zsunął nieco kaptur z głowy, ponieważ znajdowali się w prywatnych pomieszczeniach Czystej Koncesji, szacownej tawerny kupieckiej z widokiem na uniwersytet. Nie chodziło bynajmniej o to, że życie osowca w Kolegium nie było usłane różami. Dostał jedynie kilka miesięcy na przygotowanie sobie przykrywki –

przedstawiciela hellerońskich zakładów stalowych – i spodziewał się, że stale będą go śledzić wrogie spojrzenia miejscowych, ale żukowcy z Kolegium za odpowiednią opłatą potrafili zaakceptować każdego. Aż trudno uwierzyć, że nie tak dawno armia Imperium stała u bram tego miasta, a na tutejszych kamieniach wciąż było widać blizny po jej obecności.

Czekając na rozkazy z domu i utrzymując jedynie kontakty z Bellowernem, wiódł tutaj tak spokojny żywot, że w wyniku natłoku spraw, rozliczeń, prób pozornego socjalizowania się z kolegami z branży oraz korzystania z przeróżnych rozrywek, jakie oferowało Kolegium, niemal zapomniał, że jest tutaj szpiegiem. I wtedy przyszły rozkazy, a zaraz po nich meldunki na temat nowej wojny z Ziemią Pająkowców. Dlatego postanowił ściągnąć posiłki.

Było ich ośmiu. Siedzieli za stołem w Dobrej Koncesji i w roboczych drelichach oraz fartuchach wyglądali jak zwykli kolegialni robotnicy. A jeśli wydali mu się nieco zbyt zuniformi zowani, należało to złożyć na karb wojskowego przygotowania Davena. Wszyscy byli żukowcami, ale jednocześnie agentami Wydziału Zewnętrzny Rekefu, i wszyscy znaleźli się tu po to, by doprowadzić ostatecznie do upadku Kolegium.

– Stenwold Maker – zasugerował jeden z nich.

Daven nie znał jeszcze ich imion. Oparł się wygodnie, popijając wino, którego w ciągu ostatnich kilku miesięcy stał

się może zbyt dużym smakoszem, i oddał sprawy w ich ręce, gdyż zostali szczegółowo wprowadzeni w temat i aż kipieli entuzjazmem na myśl o czekających ich zadaniach. Chociaż miał być ich oficerem prowadzącym, czuł się tu niemal zbędny.

– Pojawiły się pewne wątpliwości, czy jeszcze żyje –

zauważył drugi.

– Nie. Na pewno ktoś go ostatnio widział. Wciąż znajduje się na liście. Podczas bitwy trzeba będzie coś dla niego zorganizować.

– Akta nie sugerują, aby zbyt troszczył się o swoje bezpieczeństwo – dodał kolejny niemal z podziwem, jakby chwalił nieobecnego Makera za takie postępowanie.

– Przewodniczący Drillen? – spytał kolejny.

– Wpiszcie go na listę – polecił ten, który był jej gorącym zwolennikiem. – I kilku członków Zgromadzenia wybranych na chybił trafił?

– Nie, nie możemy dopuścić, żeby zrezygnowali z walki.

Jeśli ich liderzy zaczną się obawiać o swoje życie, mogą zacząć optować za pokojem – uznał ten, który do tej pory milczał. – W obrębie Zgromadzenia tylko konkretne cele.

Ponadto musimy wybrać tych, których śmierć wzbudzi powszechne oburzenie. I budynki, których zniszczenie podsyci niepokoje.

Przeglądanie się tym ludziom było dla Davena jak obserwacja potwornej maszyny zniszczenia, która raz wprowadzona w ruch była nie do powstrzymania.

– Warsztaty uniwersyteckie – rzucił jeden, a inny wymienił kilka pomników.

Trzeci dodał do listy całkiem dobry teatr, który Daven odwiedził kilkakrotnie. On sam wciąż nie wymienił ani żadnego miejsca, ani żadnej osoby.

– No, powiedz nam – zahaczył go najstarszy. – O czym myślisz? Z pewnością powinna spłonąć biblioteka uniwersytecka.

– Ale to przecież wykracza poza nasze wytyczne –

powiedział Daven, zaskoczony własnymi słowami.

Osiem ciemnych żukowych twarzy zwróciło się w jego stronę.

– Ale jak to ich rozjątrzy! – dodał oschle poeta. – Macie rację, biblioteka musi spłonąć. To skłoni ich do walki jak nic innego.

– A czy mamy tyle materiałów zapalających, żeby się to udało? – z sali padła praktyczna uwaga.

– Jeśli nie damy rady zmajstrować granatów zapalających tu, na miejscu, to wybraliśmy sobie zły zawód –

rzucił ten od listy, napełniając ponownie czarkę winem. –

Tak, spalić bibliotekę. To oduczy tych cholernych, nadętych uczonych patrzenia na innych z góry, co? No dobrze, ale gdzie jest ten pański zaprzaniec, kapitanie?

Daven dopiero po sekundzie skojarzył ten tytuł z własnym życiem, jakie wiódł w Imperium nie tak dawno temu. Otworzył usta, by odpowiedzieć, i wtedy rozległo się energiczne pukanie do drzwi.

Agenci Rekefu skoczyli na równe nogi, wyjmując miecze i sztylety z pochew oraz przynajmniej dwie już załadowane kusze z worków leżących pod stołem. Sam Daven instynktownie wyciągnął dłoń przed siebie, mierząc nią w stronę drzwi. W tym momencie do pomieszczenia weszło czterech opancerzonych żukowców z wycelowanymi w nich pukolukami, a spora ich liczba została w korytarzu. Mieli na sobie hełmy o wizurze z prętów i grawerowane napierśniki nowych kompanii kupieckich.

Jedna z kusz wypuściła bełt, który tylko ześliznął się po zbroi pierwszego żukowca w szeregu. W tej samej chwili pocisk z pukoluku trafił agenta Rekefu prosto w oko, rzucając go z powrotem na krzesło. Drugi strzał wyeliminował

kolejnego człowieka Imperium zupełnie przypadkowo, bo strzelec instynktownie pociągnął za spust. A wtedy już przynajmniej osiem osób celowało do nich z otwartych drzwi.

– Nazywam się Padstock i jestem głównodowodzącą Kompanii Przynależnych Makerowi, a wy jesteście aresztowani – padły oszczędne słowa. – Rzućcie broń i poddajcie się władzy Kolegium – dodała kobieta.

Jej oczy wyszukały Davena i popatrzyła bez lęku w jego rozwartą dłoń. Wiedział, że mógłby ją zabić, ale wtedy natychmiast zostaliby wycięci w pień. Przez chwilę pokusa była obezwładniająca, ale w końcu zaczerpnął głęboko powietrza, opuścił rękę i cofnął się, myśląc z wściekłością o całej tej sytuacji.

Stenwold musiał zdobyć się na odwagę, by zejść krętym korytarzem w głąb podwodnika Wys. Przez chwilę chwiał się na progu, wyczuwając pod sobą wielką, pozbawioną światła otchłań, nawiedzaną przez potwory i równie obcą i trudną do zdobycia jak ląd dla Rosandera.

– Nie musisz tam iść – przekonywała go Paladrya, kładąc mu dłoń na ramieniu. – Wiem, że macie swoje sprawy na górze.

– Muszę wszystkiego dopilnować – powiedział bardziej do siebie niż do niej i wszedł do środka.

Wys, która wróciła, przekazawszy wiadomość Rosanderowi, przywiozła z sobą nowych pasażerów. Kiedy Maker przeszedł przez właz, zobaczył, że zaangażowane w konflikt siły już określiły swoje stanowiska. Po jednej stronie komnaty stał dumnie Aradokles jako młody pretendent do tronu, natomiast w drugim jej końcu rozpoznał wysoką postać Heiraclesa, który zabrał z sobą dwóch służących czy też strażników z nożami. Postawa Paladryi, Phylles i mechanika Leja mówiła jasno, że gdyby nowo przybyli mieli jakieś wątpliwości, oni staną po stronie młodego władcy.

Mimo dzielących ich różnic Stenwold odkrył, że bardzo łatwo przychodziło mu odczytanie intencji Heiraclesa. Było jasne, iż mężczyzna w ogóle nie spodziewał się zastać dziedzica przy życiu. Poza tym pragnął tronu dla siebie i wykorzystywał imię Aradoklesa do osiągnięcia tego celu. Ale pojawienie się młodzieńca gwałtownie położyło kres tym wszystkim staraniom, choć była jeszcze niewielka szansa na ich realizację, jeśliby zastosował jakiś podstęp. Stenwold widział to wszystko w spojrzeniu Heiraclesa, który hołubił w sobie resztki tych ambicji jeszcze wtedy, gdy przedstawiciele morskich wyruszyli na poszukiwania dziedzica. Teraz zaś żukowiec stwierdził, iż na zimno podejmuje ostateczną decyzję i godzi się na taki stan rzeczy. Stanowisko kanclerza Hermatyre było lepsze niż pozycja króla pustkowi – mówiła jego mina, lecz żukowiec i tak postanowił ostrzec młodego księcia, by otoczył się zaufanymi gwardzistami.

I wtedy Heiracles ukląkł i skłonił głowę – raczej wobec nieodwołalności wydarzeń niż przed osobą władcy.

– Witaj w domu, Wasza Eminencjo – oznajmił. – Mój admirze.

Celowo udając, że nie dostrzega noży sług Heiraclesa, Aradokles podszedł, by podnieść go z kolan, i w tej chwili bardzo przypominał Stenwoldowi Salmę. Dziedzic skinął głową.

– Będę używał tego tytułu, kiedy na niego zasłużę –

rzekł. – Jeszcze nie jesteśmy w Hermatyre. Powiedz mi, jak wygląda tam nasza sytuacja.

– Wieści dotarły do naszych... twoich sprzymierzeńców

– poinformował Heiracles. – Ci pelagicy, którzy podjęli decyzję, po której stronie staną, zaczynają się zbierać.

Oddziały są gotowe do wyruszenia na Hermatyre.

– Jak są liczne? – zapytał Aradokles.

– Jeszcze się formują. Słyszałem od Wys, że Tabor Tysiąca Kolców... – Zerknął na Stenwolda, poszukując wsparcia.

– *Mam nadzieję, że oni nie będą stanowić problemu –*

tylko tyle mógł powiedzieć Maker. A może źle oceniłem Rosandera i jego priorytety?

– W takim razie siły będą zrównoważone i kiedy tylko po Hermatyre roznieście się wieść, że jesteście z nami, spodziewamy się, że obrońcy też się zastanowią. Claeon może wymuszać posłuszeństwo, ale nie da się nikogo zmusić do pokochania władcy.

Podwodnik zaczął się zanurzać. Stenwold patrzył, jak woda wokół nich stopniowo ciemnieje, aż stała się całkowicie czarna. Wzdrygnął się, chociaż próbował powstrzymać ten odruch.

– Nie chcę wejść na tron, brodząc po pas we krwi poddanych – oznajmił Aradokles, marszcząc czoło.

– Czegóż możemy się spodziewać, jeśli będą trwać przy twoim zdradzieckim stryju? – zapytał Heiracles lekceważąco.

– Ale czy są pewni, że dołączyłem do was, czy też sądzą, iż wykorzystujecie tylko moje imię? Claeon powie im, że zginąłem, że to tylko tania sztuczka, aby pozbawić tronu prawdziwego władcę kolonii.

Z dłuższej ciszy, jaka zapadła po tych słowach, można było wywnioskować, że Heiracles także obawia się tego.

– Zapewniono mnie, że lud Hermatyre bardzo wyczekuje twego powrotu, edmirze.

Aradokles pokręcił głową.

– To nie wystarczy, Heiraclesie. Nie dopuszczę, żeby mój lud wyrzynał się wzajemnie tylko dlatego, że wierzy, iż walczy po właściwej stronie. Gdybym mógł się im pokazać...

– Znajdzie się wystarczająco wielu pasożytów Claeona, którzy będą chcieli wypruć ci flaki – wtrąciła się pospiesznie Wys. – A jak ty zginiesz, to co wówczas będzie? Wystarczy jeden kopijnik albo jedna z tych nowych broni z Gorących Rewirów, które potrafią ciskać włóczniami na odległość.

Pozwolenie na zbliżenie się do ciebie, by sprawdzić, kim jesteś, oznacza również zmniejszenie dystansu dla potencjalnego zamachowca.

Dziedzic Hermatyre zmarszczył brwi, spojrzał na swe dłonie i Stenwold był wstrząśnięty, rozpoznając w tym geście własne przyzwyczajenie, niewątpliwie przekazane młodzieńcowi przez Salmę.

Wielogodzinna podróż przez ciemność zawiodła ich do miejsca, w którym zbierali się lojaliści. Maker siedział cały czas obok Paladryi i starał się nie myśleć o flocie pająkowców, która z pewnością płynęła już wzdłuż wybrzeża, ani o armiach osowców, szykujących się do wykorzystania upadku Kolegium.

W końcu ujrzeli światło: fosforyzujące lampy niewielkiej kolonii przemieniły morskie głębiny w las cieni, bladych błękitów oraz złota, a Stenwold dołączył do pozostałych spoglądających na tętniące życiem dno morza. Były tu kraby, homary i inne stworzenia walczące ze sobą o skrawek powierzchni, a chyże strzały kalmarzej kawalerii śmigwały im nad głowami. Spiralne muszle podskakiwały w wodzie, tańcząc wokół siebie, i wisiały w niej niczym podniebne statki, ciągnąc za sobą festony

macek albo wykorzystując zasadę działania syfonów. Wszędzie widać było morskich stojących bez ładu i składu – przedstawicielei wszystkich ras.

Zacumowali i Żukowiec, chcąc nie chcąc, musiał znów włożyć pęcherz na głowę i dać się pociągnąć w stronę oblepionej pąklami kolonii. Dostatecznie długo przebywał na lądzie, by zapomnieć o ciśnieniu, chłodzie i klaustrofobii.

Mógł jednak uniknąć tego ponownego spotkania z głębinami i teraz pretensje o to, że znów stał się więźniem morza, wypadało mieć tylko do siebie.

Zwołano radę wojenną, podczas której wyłącznie garstka krakenowców i przywódców pelagików mogła zobaczyć Aradoklesa, by następnie oznajmić swoim ludziom, że istotnie jest to ich prawdziwy dziedzic. Stworzono też ogólny plan działania, a Stenwold zaczął z niepokojem myśleć o tym, że morskim najzwyczajniej obca jest sztuka prowadzenia wojny. Licznie zgromadzone oddziały miały po prostu rzucić się na wroga szybko i zdecydowanie z nadzieją, że ich umiejętności i wysokie morale żołnierzy zagwarantują zwycięstwo. Ze wszystkich znanych mu morskich jedynie Rosander wiedział, jak należało walczyć.

Krakenowcy dali się ponieść dyskusji, aż w końcu pelagicy poszli dokonać przeglądu swych ludzi i zwierząt.

Słyszając za sobą czyjeś kroki, Maker podniósł wzrok.

– Nemoctesie – przywitał się z przybyłym.

Pelagik był w muszlowym pancerzu, z tą samą tarczą przewieszoną przez plecy.

– Stenwoldzie Makerze, mam dla ciebie wiadomość.

Coś mu drgnęło w trzewiach.

– Od... ?

– Tak, od niej. Od Lyess. – Nemoctes wyglądał na zakłopotanego. – Powiedziała mi, że zadałeś jej pytanie przed wyjazdem i że jej towarzyszka ma teraz dla ciebie odpowiedź.

Poza tym stwierdziła, że wracasz do nas. Była tego bardzo pewna.

Żukowiec pokiwał ciężko głową.

– Zabierz mnie do niej.

– Nie musisz, jeśli nie chcesz – odrzekł Nemoctes. –

Ona... dziwnie się zachowuje. Nigdy wcześniej nie widziałem jej w takim stanie.

– Zabierz mnie do niej – powtórzył prośbę Stenwold i stanął na nogi.

Nemoctes spochmurniał, ale skinął głową, nakazując mu gestem, by udał się za nim.

Gdy zbliżyli się do wjazdu, podeszła do niego zaniepokojona Paladrya i Maker pomyślał, że coś podejrzewa. Wyciągnęła do niego dłoń, więc musnął jej palce, czując się jak skazaniec idący na egzekucję.

Stwierdził, że jego umysł zniekształcił nieco rzeczywistość. Gdy wspominał ją, będąc w Gorących Rewirach i podczas ucieczki w podwodniku, widział samo światło, jakby podróżował z Lyess pojazdem pełnym okien, a promienie słoneczne wpadały do niego ze wszystkich stron.

Stojąc znów przed nią, odkrył, że przezroczysta materia otaczającego go stworzenia – zwoje, pęcherze i organy wewnętrzne – wcale nie błyszczała, wręcz przeciwnie: rzucała cień w fosforyzującej poświacie. Jego umysł zinterpretował to miejsce po swojemu, dokonał korekt i przydał blasku, aż Stenwoldowi wydawało się, że przebywał w przykrytej kopułą komnacie z przezroczystego marmuru, podczas gdy tak naprawdę były to trzewia potwora.

Pamięć nie musiała jednak poprawiać widoku Lyess –

nadal była piękna jak posąg i równie zimna, o białych oczach ómopodobnej czy też monarchini z Pryncypatu Salmae.

Poczuł, jak dawna fascynacja ożywa na jej widok, bo też miała alabastrową skórę i tak idealną figurę, iż zdawała się bardziej doskonałym dziełem jakiegoś arcymistrza niż wytworem natury. Sploty jej włosów poruszały się wokół

ramion pod wpływem jakichś niewidocznych prądów.

– Wróciłeś – powiedziała.

Nie potrafił odczytać z jej twarzy niczego, gdyż podobnie jak mrówcy wiodła żywot w społeczności, która nie musiała przekazywać uczuć za pośrednictwem mimiki.

– Nemoctes mówił, że masz dla mnie odpowiedź –

zaczął wolno, uważnie dobierając słowa, żeby nie dać się w coś wplątać.

– Prosiłeś mnie, bym wyszukała wspomnień naszych przodków – powiedziała. – Chciałeś wiedzieć, czy litoraliści mają rację.

Stenwold pokiwał głową, nie ufając swoim narządom mowy. *To nic nie znaczy*, podpowiadał mu rozsądek, *jakież to może mieć znaczenie?* Ale był przecież naukowcem –

również strategiem, asem wywiadu i mężem stanu, lecz przede wszystkim – uczone. Musiał wiedzieć, czy ludzie na lądzie mają się czego wstydić. Czy mają na rękach krew morskich.

– Uklęknij – poinstruowała go i kiedy uniósł brwi ze zdziwienia, przekrzywiła głowę i uśmiechnęła się, niezgrabnie próbując ukazać uczucia na twarzy. – Inaczej upadniesz – wyjaśniła – kiedy moja

towarzyszka dotknie twego umysłu.

Nagle już nie był taki skory, by się dowiedzieć. Pulsujące zakrzywione ściany wokół niego zawsze zdawały się zbliżać.

– Mojego umysłu? Nie możesz po prostu powiedzieć... ?

– Przywołałeś wspomnienia ze starożytnych czasów, Stenwoldzie Makerze. Nie chcesz ich poznać teraz, kiedy masz je przed sobą?

Wciąż się uśmiechała, równie sztucznie jak zawsze, ale teraz spod tego uśmiechu przebijały prawdziwe uczucia, straszliwe. Uzmysłował sobie, że jeśli teraz uklęknie, otworzy się na coś więcej niż tylko wspomnienia. Był w niej jakiś niedosyt, potrzeba, żarliwa, jątrząca i drapieżna. Już wcześniej zatopiła w nim swe ciernie, by zwabić go do siebie, ale opanowała go posępna myśl, że wcale nie pragnie Stenwolda Makera. Był po prostu pierwszą i jedyną ludzką istotą, z którą dzieliła przestrzeń pod czaszą, i kiedy zniknął, poczuła się samotna. *Aleja chcę wiedzieć!* Czy aż taką zbrodnią było igranie z jej uczuciami w tym celu?

– Chodź, Stenwoldzie. – Wyciągnęła do niego rękę o skórze tak delikatnej, że widział niemal kostki jej dłoni.

Przypomniał sobie teraz jej dotyk i ukrytą pod nim siłę, ogarniającą go moc jej uroku. *Cale życie w tym stanie? W*

wiecznej niewoli jej magii? Mam zostać niewolnikiem morza?

– Nie możesz mi po prostu... powiedzieć? – zapytał

ostrożnie, wpatrując się w wyciągniętą w jego kierunku dłoń.

– Słowa to tylko dźwięki – odparła. – W swej istocie są niczym. Obraz jest niczym. Istnieje wyłącznie odczucie i wiedza. Odrzuciłbyś dar wiedzy absolutnej? – I kiedy wciąż się wahał, wykrztusiła dwa słowa: – Stenwoldzie, proszę.

Wiedział, że popełni zbrodnię, straszliwą zbrodnię, kupując jej wiedzę za fałszywą monetę – i zapewne okupi ją stosowną karą. Gdyby klękł przed nią, gdyby choć wziął jej dłoń w swoją, podpisałby cyrograf, złożyłby przysięgę... I od tej chwili otaczające go stworzenie mogłoby egzekwować swoje prawa w bardziej przerażający sposób niż ojciec panny młodej ciągnący go do ołtarza.

– Nie mogę – usłyszał własne słowa.

Spojrzał jej w twarz, niemal spodziewając się, że mimo to pozostanie spokojna.

– Ale musisz! – nalegała. – Jesteś mój! Naznaczyłam cię swoim piętnem. Myślałeś o mnie, tylko o mnie! – Rysy jej twarzy zniekształciły się, a jej mina nie odzwierciedlała żadnego znanego mu uczucia.

– Już nie – wyjaśnił. – Być może ziemskie powietrze wywiało ze mnie morze. – *Albo monarchini miała rację i ocaliło mnie uwielbienie dla innej.*

– Ale ty chcesz wiedzieć – naciskała, a jej wyciągnięta dłoń zaciskała się i rozwierała.

– Chcę, ale nie mogę zapłacić za to twojej ceny, Lyess.

Przez sekundę patrzyła na niego i w końcu jakieś konkretne uczucie pojawiło się na jej twarzy. Była to wściekłość, czysta, niepohamowana wściekłość, równie niedojrzała i szczerza jak u zawiedzionej nastolatki, ogarniająca ją i zniekształcająca jej rysy tak, że ukazała w końcu doskonale ukształtowane zęby, a jej oczy zaczęły ciskać gromy.

– Nie! – wrzasnęła i rzuciła się na niego szybciej, niż mógł się po niej spodziewać.

Wyciągnięta w jego kierunku dłoń w jednej chwili zacisnęła się na jego gardle, wciąż chłodna i gładka. Zatoczył

się, a ona napała na niego, aż przycisnęła go do poddającej się naciskowi ściany. Wtedy już zdołał chwycić ją za nadgarstek, ale coś oplotło jego szyję, coś wychodzącego z jej dłoni – i żukowiec zamarł.

Sztuka Phylles, pomyślał, bo widział już wcześniej te kolczaste macki wystrzeliwujące z dłoni Wys, które bez wysiłku zabijały jej ofiary. I teraz przekonał się, że Lyess też nią dysponuje, i pomyślał, że powinien wpaść na to wcześniej.

– Jesteś mój – upierała się Lyess.

W szarobiałym świetle trudno było stwierdzić, czy płakała, czy nie, choć jej ton to sugerował.

– Doprowadzono mnie do ciebie! Zostałeś mi podarowany!

– Przez kogo? – wykrztusił Stenwold. – Przez Nemoctesa?

– Nemoctesa? – parsknęła tylko. – A cóż on może wiedzieć? Jest zbyt zajęty swoimi admirałami, dziedzicami i naprawianiem świata. Myślisz, że przypadkowo znalazłam się tak blisko, by cię uratować? To było przeznaczenie! To było czyste przeznaczenie!

Znów pchnęła go na ścianę, ale nawet w tym stanie nie mogła wykrzesać z siebie dostatecznej siły. Jedynie jadowita macka trzymała go w jej mocy.

– Jakie przeznaczenie? – zapytał jak najspokojniej.

– Bóg morza przemówił – powiedziała. – Obiecał.

Wysłał mnie na ratunek tobie.

Stenwold przypomniał sobie segmenty olbrzymiego stworzenia, sylwetkę z wielkimi szczypcami.

Nawet jako lądowy, nawet jako pojętny lądowy czuł emanującą z niego moc, wszechogarniającą świadomość, której nie mogło osiąść zwykłe morskie stworzenie.

– Ocalił nas przed człekorybami – powiedział.

– Powiedział mi o tobie, kiedy pływałam w głębinach –

wyszeptała Lyess z nabożną czcią. – Mówił o lądowym i powiedział mi, gdzie się znajdziesz – i kiedy tam będziesz.

Wtedy ta myśl była mi wstrętna, bo my, pelagicy, musimy być wolni od wszystkiego, ale kiedy zabraliśmy ciebie do nas i ja... nigdy wcześniej... nie wiedziałam...

Nigdy wcześniej z nikim nie przebywała, dokończył za nią w myślach, ale tkwiący w nim uczony musiał wiedzieć:

– Czego taki morski bóg może chcieć ode mnie? To nie ma sensu. Dlaczego miałoby mnie to obchodzić?

Nagle chwyciła jego głowę i przyciągnęła ją do siebie niemal tak blisko, jakby chciała go pocałować.

– Powiedział mi o tobie – wyszeptała. – Od strony lądu napływa morze krwi: wielka krwawa fala, która zaleje wszystko, aż dotrze tam, gdzie ląd styka się z morzem. Morze jest wielkie, ale ta krew jest przedwieczna i jeśli nie zostanie zatrzymana na lądzie, nie zatrzyma się tam. W końcu samo morze się zaczerwieni i wszystko, czym jesteśmy, zostanie zniszczone, nawet do najgłębiej żyjących pelagików, nawet do samego boga morza. Jeśli w ogóle można ją powstrzymać, to człowiekiem zdolnym tego dokonać jesteś ty. Dlatego muszę cię ocalić przed Arkeuthysem i zabrać z sobą. Zawieźć tam, gdzie nigdy nie przedarł się żaden intruz, o którym to miejscu wspominali moi bracia pelagicy. Tym samym powierzono mi opiekę nad tobą. Jesteś więc mój.

Stenwold marszczył brwi, patrząc na nią. *Gdzie ja słyszałem wcześniej o takim proroctwie? O morzu krwi?*

– Nie mogę należeć do ciebie, Lyess – powiedział jak najdelikatniej.

Poczuł, jak wytwory jej sztuki wiją się i zaciskają wokół jego twarzy.

– Zabiję cię – wydyszała. – Myślisz, że nie mogę?

– A co wtedy stanie się z proroctwem? No i twoim bogiem morza?

– A czy musi mnie to obchodzić? – zasyczała. – Czy muszę wierzyć w proroctwa? Ja chcę! Nigdy wcześniej nie chciałam. Jeśli nie możesz należeć do mnie, zabiję cię. – Ale gdy mówiła te słowa, jej gniew zaczął topnieć jak przyływ, który też ma swój kres. Jej ramiona zadrgały i opadła na niego. –

To nie fair – usłyszał. – Nie chciałam tego wszystkiego. Nigdy nikogo nie potrzebowałam. Jak mam teraz żyć ze świadomością, że może być inaczej?

Chciał jej powiedzieć, że będą inni, że on był

Stenwoldem Makerem z Kolegium, który nie wierzy ani w prorocтва, ani w przeznaczenie i nie jest wart takiej rozpaczy czy tęsknoty. Nie powiedział jednak nic – w swej bliskości pozwolił jej zaznać ukojenia.

Tulił jej postać delikatną jak z porcelany, aż z oddali dotarł do nich niecierpliwy głos Nemoctesa, który oznajmił, że armia Aradoklesa przygotowuje się do wymarszu.

CZTERDZIEŚCI CZTERY

Haelyn nie chciała przekazać wiadomości Claeonowi.

Moment, w którym nadszedł meldunek, wydawał się jej najstosowniejszy do opuszczenia zajmowanego stanowiska i poszukania schronienia w labiryncie korytarzy Hermatyre.

Posada majordomusa Claeona nie rokowała świetlanej przyszłości, a ona i tak wytrwała na niej dłużej niż poprzednicy. Ale poinformowanie tyrana, iż armia wroga naprawdę wyrusza przeciwko niemu, oznaczało samobójstwo.

Ciągle jednak tu jestem, pomyślała, wiedząc, że postępuje nierozsądnie. Tak, chciała dożyć końca jego rządów, ale miała również nadzieję na wdzięczność zwycięzcy. Gdyby porzuciła Claeona teraz, a on zatriumfowałby, z całą pewnością by tego pożałowała. A gdyby obecnie wmieszała się w tłum i powstanie zakończyłoby się obaleniem tyrana, Heiracles – znany z niezwykle zawodnej pamięci – pominąłby jej udział w tym zwycięstwie i nie mogłaby się ubiegać o żadne profity. Musi pozostać tam, gdzie jest, i mieć nadzieję, że Hermatyre padnie, zanim szaleństwo Claeona doprowadzi do jej śmierci.

Ale najpierw będzie musiała przetrwać tę chwilę.

– Wasza Eminencjo, Wielki Edmirze – zaczęła.

Claeon przygarbił się na swoim tronie. Ostatnio cały czas miał podły nastrój. Dowiedział się, że Heiracles i inni niezadowoleni zaczynają się jednoczyć, i chociaż wysłał

swoich żołnierzy, by rozbili kilka głów i utoczyli nieco krwi, powstańcy z łatwością uniknęli starcia z nimi. Co gorsza, część jego ludzi w ogóle nie wróciła i Haelyn podejrzewała, ba, miała pewność, że dołączyli do przeciwników.

Patrzył teraz na nią wilkiem, czekając, aż przemówi w całkowitej ciszy. Przy drzwiach stało dwóch strzałkopodobnych, którzy na jedno jego słowo rozciągną ją na podłodze i przystawią włócznicę do szyi. Wtedy Claeon mógłby zejść z tronu i z nożem w garści dać popis odwagi wobec bezbronnej ofiary.

– Nadchodzą, czy tak? – zapytał bardzo cicho i ku swemu zaskoczeniu usłyszała strach w jego głosie.

Co on wie? Po całej kolonii rozniosła się plotka, że Aradokles żyje, ale stuprocentowej pewności nie miał nikt, nawet ona.

– Nasi zwiadowcy potwierdzają to, admirze –

meldowała, zbierając się na odwagę, choć wybuch wściekłości nie nastąpił.

Zamiast tego Claeon zastygł na tronie, ściskając jedną dłońią z całych sił koral, z którego ten był wykonany.

– Straże – powiedział normalnym głosem. A kiedy Haelyn drgnęła, polecił im: – Niech wszyscy moi wojownicy gotują się na wojnę. Ogłóście w całej kolonii, że każdy, kto jest w stanie walczyć, musi teraz wykazać się lojalnością wobec prawowitego władcy. Niech się zbroją, niech siodłają swoje bestie. Naszej kolonii zagrażają zachłanni brutale, którzy chcą pozbyć się prawowitego admira, ludzie, którzy pragną skalać ten tron swym haniebnym dziedzictwem. –

Wstał i przez chwilę roztaczał wokół majestat, którego Haelyn nigdy wcześniej u niego nie widziała. – Powiedzcie im, że Hermatyre wytrwa lub upadnie, wszystko zależy od nich. Tym samym niech się szykują. Poślijcie też po Rosandera i Pellectesa. Dla nich również będę miał rozkazy.

Zgnieciemy tę hołotę, tę bandę parweniuszy wraz z ich pretendentem.

Strażnicy oddalili się pospiesznie, by zanieść słowa przywódcy jego ludowi, a Claeon odszedł na kilka kroków od tronu, nagle jakby mniejszy, odarty z majestatu.

– To moje – wyszeptał. – Moje. Nie mogą mi zabrać tego, co sam zabrałem. – Jego przymrużone oczy znów odnalazły Haelyn. – Co robią Arketoi?

– Arketoi? – powtórzyła całkowicie zbita z tropu. – Nic.

To samo, co zwykle. Budują. Naprawiają.

– Dobrze.

Wydawał się bardziej pokrzepiony tą informacją, niż mogła się spodziewać. Minał ją energicznym, choć nieco sztywnym krokiem, wychodząc do przedsionka z wielkim oknem.

– Gdzie jesteś?! – rzucił ostro w stronę czegoś za oknem i niemal w tej samej chwili przesłoniło je wijące się cielsko, które opadło gdzieś z góry. Olbrzymie badawcze ślepie przycisnęło się do przezroczystej membrany.

– Arkeuthysie – Claeon zwrócił się do potwora – zbierz swoich. Zagrożone jest wszystko. Wyciągnij ich z każdej szczeliny, z każdej rozpadliny. Sprowadź cały swój lud, uzbrój go i pokieruj nim. Do broni, Arkeuthysie, do broni!

Jakimi słowy wielka ośmiornica odpowiedziała Claeonowi, odgadnąć Haelyn nie potrafiła, ale chwilę później tamta odbiła się od ściany i wystrzeliła w czarną pustkę.

Od drzwi dobiegło ją ciche kasznięcie i Haelyn dostrzegła w nich Pellectesa. Zielonobrody przywódca litoralistów wyglądał na zbitego z tropu, co sugerowało, że przerwano mu przygotowania do ucieczki.

– Wasza Eminencjo? – zwrócił się do Claeona.

– Chodź tutaj – nakazał mu szorstko edmir i Pellectes przeszedł przez salę z wyraźną rezerwą.

– Musisz zebrać swych ludzi – ciągnął Claeon z fałszywą serdecznością w głosie. – Nie słyszałeś, że zagrożona jest nasza wolność? Zwołaj litoralistów. Będą stanowić serce mojej armii.

– Wasza Eminencjo – odparł Pellectes z przesadną skromnością. – Jesteśmy wizjonerami, idealistami, ale żadni z nas wojownicy.

Claeon w jednej sekundzie złapał go za ramię i Haelyn zobaczyła, jak ciało zbiałało mu w uścisku admira.

– Och, ale z taką swadą mówiłeś o podboju lądu, o tym, że mamy prawo go zająć! Mówiłeś, Pellectesie, o walce, jakiej świat nie widział! – Samo spoglądanie na pełen napięcia uśmiech Claeona sprawiało ból. – Czyż nie wspierałem twej sprawy? Czyżbym nie zwerbował Rosandera i nie nakazał

mu, by niósł sztandary litoralistów? – Szarpnięciem zbliżył

go do siebie i jego uśmiech płynnie przeszedł w grymas wściekłości drapieżnika. – Czy wierzysz w to, że jeśli chłopak zwycięży, będziemy mieli jeszcze okazję ciągnąć te bzdury?

Może myślisz, że nie znajdą się w naszej kolonii puple, którzy z dziką rozkoszą nie wygadają nowemu edmirowi, kto kiedyś mógł liczyć na moją łaskawość, z kim się spoufaliłem? Masz więcej wrogów, niż podejrzewasz, Pellectesie, i jeśli ja padnę, to ty w Hermatyre nie będziesz mógł bezpiecznie postawić ani kroku. A teraz idźcie się zbroić, wszyscy, bo masz tyle do stracenia, ile ja!

Cisnął nim tak mocno, że litoralista padł na posadzkę jak długi, a Haelyn ujrzała, jak zbiera się z ziemi i pędzi do wyjścia.

W tym samym momencie wrócił jeden ze strażników i Claeon zadudnił do niego z wściekłością:

– Gdzie Rosander?!

– Edmirze, już zbiera Tysiąc Kolców – zapewnił go strażnik, na co edmir się uśmiechnął.

– Czy twój lud wierzy w przeznaczenie i przepowiednie?

W tego typu sprawy? – zapytał Stenwold, starając się z całych sił, by zabrzmiało to jak

najmniej.

Znów był w podwodniku Wys, któremu zaufałyby w bitwie bardziej niż żywemu pojazdowi Nemoctesa. Słyszając to pytanie, Wys zrobiła dziwną minę.

– W przeznaczenie? Nie sądzę. Przeznaczenie człowiek kształtuje sobie sam. Czy nie tak, Wyciek?

– Sam bym tego lepiej nie ujął – dobiegł go głos wielkoszczypcego mechanika z góry.

Phylles jednak wyglądała na mniej przekonaną, więc Wys ją szturchnęła.

– Nie mów mi tylko, że wciąż wierzysz w te bzdury?

Ukwiałowcowa miała zacięty wyraz twarzy, więc Wys wyjaśniła:

– Jej lud wciąż gada o omenach i przepowiada przyszłość, patrząc na przepływające prądy morskie oraz odczytując tajemne przesłania trupów. Zabobonne ciemniaki.

Ale ucywilizowaliśmy ją – przynajmniej takie miałem wrażenie.

Wszędzie wokół nich czarne morze wydawało się usiane gwiazdami: widać było fosforyzujące światła większych jednostek i zwierząt z floty Aradoklesa. Paladrya położyła dłoń na ramieniu Stenwolda, na co ten uśmiechnął się do niej.

– Mówcie sobie, co chcecie – zwróciła się do wszystkich,

– ale każdy z nas ma jakieś przeznaczenie, które można poznać. Widziałam to na własne oczy.

– W takim razie przeznaczeniem naszego chłopaka jest wygrać tę bitwę, mam rację? – zapytała ją Wys. – Bo byłabym o wiele spokojniejsza, gdybym miała takie wiadomości już teraz.

– A co z przepowiedniami boga morza? – zaryzykował

Maker.

Na to wszyscy zamilkli.

– Jasne – stwierdziła w końcu Wys. – Bogowie morza?

Przepowiednie? Chyba za dużo piłeś z pelagikami, ot co.

Stenwold spojrzął na Paladryę, ale ona pokręciła głową.

– Tylko słyszałam opowieści o tym – wyjaśniła. – Tego typu przepowiednie rodziły kolonie – i niszczyły je. Nigdy nie spotkałam kogoś, kto choćby widział boga morza. I Wys ma rację, pelagicy lubują się w karmieniu nas, obligatorystów, naciąganyimi opowiastkami.

– Widziałem kiedyś boga morza – dobiegł go z góry głos Leja, ale Wys parsknęła tylko pogardliwie i

zakończyła dyskusję stwierdzeniem, że nie wierzy w takie brednie.

Niedługo potem blade światło zaczęło rozpraszać ciemność na zewnątrz, wydobywając z morskiej czerni coś, co w innych okolicznościach Stenwold mógłby wziąć za horyzont. Pasma jasności ciągle się poszerzało i w końcu uświadomił sobie, że patrzy na Hermatyre.

– Mam nadzieję, że chłopak wie, co robi – mruknęła Wys z niespotykanym u niej lękiem.

Maker oczekiwał, że Paladrya zacznie bronić podopiecznego, ale ona tylko zagryzła wargę z zatroskaną miną.

– Przesuwa się – zauważyła Wys po chwili. – Pilnujcie jego kursu.

Zastosowanie sztuki mowy na odległość było wkładem Aradoklesa w konflikt oceaniczny; posłużył się do tego pelagikami. Stenwold wiedział, że Salma podobnie wykorzystał łączność umysłów między mrówcami do koordynacji posunięć skrzydeł swojej armii. Tutaj, w miażdżących, bezgłośnych głębinach, nie istniała tradycja konfrontacji militarnej. Każdy wojownik walczył sam i ginął

sam, kierując się jedynie własnym zmysłem strategii.

Aradokles podzielił swe wojska na oddziały, których serce stanowili pojedynczy pelagicy, a sam szedł do walki wraz z Nemoctesem schowany w muszli żywego stworzenia. Barka Wys, martwa skorupa z silnikiem napędzanym sprężyną, zakołysała się, aby wyrównać kurs na kolonię. Wszędzie wokół nich wojska przesunęły się i kotłowały, idąc za świetlistymi dzwonami meduz, dennych gąsienicowców i innych morskich istot, posuwających się zgodnie z rozkazami nadchodzącymi od dowódców.

Hermatyre stało się wkrótce najjaśniejszym elementem morskiego krajobrazu. W emanującej z niego poświacie widać było, jak wiele dzieje się w toni, która aż kotłowała się od poruszających się w niej postaci. Blade muszle wewnętrzne kałamarnic śmigają stadami, a na każdej z nich siedział kawalerzysta z lancą. Chaotyczne szeregi gibkich i lekkozbrojnych kopijników mózgowców zacieśniały się i rozluźniały między miastem a nieprzyjacielem. Opancerzone sylwetki krabów i homarów siedziały przyczajone ze szczypcami podciągniętymi niczym tarcze, a długie wici ich czułek drgały i falowały w podwodnych prądach.

I były też ośmiornice – lud Arkeuthysa – przyklepione do ścian kolonii. Żadna z nich nie była wielkości władcy, ale jedna na trzy rozmiarami dorównywała podwodnikowi Wys.

Zmrużywszy oczy, Stenwold dostrzegł metal i połyskujące blade muszle: niezdarnie wykonane kolce i ostrza, macki zwijające się na rękojeściach. Przypomniawszy sobie starcie *Tseitana* z Arkeuthysem, kiedy wielki morski potwór przechwycił ich harpun i wymachiwał nim niczym włócznią.

Czy to my nauczyliśmy ich tego?

– Jak wygląda rozkład sił? – zapytał, gdyż miał jedynie mgliste pojęcie co do liczby dysydentów, jakich udało się ściągnąć tu Heiraclesowi, i wydawało mu się, że Hermatyre wystawiło niezwykle

liczne oddziały obrońców.

– Nas jest mniej – odparła Wys bez ogródek, zaciskając drobne dłonie w pięstki, i Maker wiedział, że zastanawia się teraz, czy podjęła słuszną decyzję.

– Ale walczymy po stronie prawowitego dziedzica –

przypomniała im Paladrya, choć na jej twarzy nie zagościł

nawet rumieniec. – Któż chciałby walczyć tak zażarcie za Claeona?

– No, miejmy nadzieję, iż oni o tym wiedzą, bo nie widzę żadnych proporców z jego podobizną – zauważyła Wys. – Och, coraz mniej mi się to podoba... No i jest jeszcze banda Rosandera. – Coś zniknęło z jej twarzy – A, olać to –

powiedziała niemal ze smutkiem.

Kolumna opancerzonych skorupiaków wyłaniała się zza oblepionej koralem bryły Hermatyre. Gramoliły się na pozycję przed obrońcami, przynajmniej po dziesięć w rzędzie, a wokół nich maszerowali wojownicy Rosandera z Taboru Tysiąca Kolców. Niemal wszyscy z nich byli szczypcowcami tej lub innej maści. Zakuci w potężne zbroje kroczyli naprzód z dziwnym namaszczeniem. W ich szeregach znalazły się też inne rasy: kalmarzy jeźdźcy, mózgowcy, a nawet kilku pelagików i krewnych Phylles. Ich przejście wzburzyło denny muł, jakby grunt palił się im pod nogami.

I wciąż szli. Ich kolumna wyłaniała się nieubłaganie, dziesiątki setek mężczyzn, kobiet oraz zwierząt, aż Stenwoldowi zrobiło się słabo od samego patrzenia.

– Tak wielu ich – wyszeptał i Wys spojrzała na niego cierpko.

– A co? Myślałeś, że tych łajdaków jest tylko tysiąc?

Tysiąc Kolców to tylko nazwa, lądowy, tylko nazwa.

– Patrzcie. – Paladrya wskazywała na coś, ale nie było jasne na co.

Zaraz jednak Wys też to ujrzała i podbiegła do bulaja, żeby mieć lepszy widok. Maker, w dalszym ciągu wstrząśnięty do głębi, nie potrafił w tej maszerującej hordzie dostrzec niczego poza smutnym końcem ich planów.

– To jest cały Tabor Tysiąca Kolców – wyjaśniła mu spokojnie Phylles, wciąż wpatrując się w widowisko na zewnątrz.

– No tak, na tym właśnie polega problem, czyż nie? –

zapytał zukowiec.

– Nie, lądowy, to są wszyscy Z całym dobytkiem, wozami, żłobkiem, szpitalami polowymi, wszystkim, czego im trzeba, by przetrwać w głębinach.

Stenwold zmarszczył brwi, starając się zrozumieć, co to znaczy. Rzeczywiście, wiele z tych pełzających bestii było mocno obciążonych, ale założył, że to normalne.

– Zatem... ?

Lecz było już jasne, że bentonicy Rosandera nie mieli zamiaru rozłożyć się przed miastem ani też najwyraźniej uderzyć na nadciągających powstańców. Po tak długim okresie karmienia się obietnicami Claeona po prostu wychodzili w morze, ruszając swoim szlakiem.

– Oszczędźcie mi waszych teatralnych gestów –

mruknął Maker, ale Paladrya już go ścisnęła z całych sił tak, że aż stracił dech.

– Udało ci się! – wykrzyknęła. – Przekonałeś Rosandera!

Objął ją, odkrywając, że gest ten może być czuły i przyjacielski jednocześnie.

– Tylko rozmawialiśmy. Ale w rozmowach mój lud jest co najmniej dobry.

Pocałowała go bez ostrzeżenia i kiedy ich wzrok się spotkał, była bardziej speszona niż Stenwold.

– Nie chciałabym sikać do waszego basenu, ale wojsk Claeona jest wciąż więcej niż naszych – zauważyła Wys cierpko.

Żukowiec obrzucił obrońców uważnym spojrzeniem.

Teraz, kiedy opuszczał ich Tabor Tysiąca Kolców, zdawali się wirować bez celu. To prawda, że nadal było ich więcej. Ale ilu z nich pozostanie przy życiu? Wszystko to wyglądało na książkowy przepis na starcie obustronnie wyniszczające.

Zadrżał na tę myśl.

Atakujący ruszyli teraz szybciej i widział, jak obrońcy starają się sklecić coś na kształt zwartej szeregu, by przyjąć uderzenie. Nagle coś oderwało się od chropowatej powierzchni Hermatyre i poszybowało w ich kierunku, wymachując mackami. Stenwold doskonale wiedział, co to jest – nie tylko dlatego, że stworzenie było większe niż wszyscy inni przedstawiciele jego gatunku, ale poznał je po samej postawie, po bladej gumowatej skórze poznaczonej szramami i wielkich białych ślepiach z nieruchomymi źrenicami.

Arkeuthys.

To ten potwór morski wciągnął go w koszmar podwodnego świata. I zaraz na całej powierzchni Hermatyre mniejsze ośmiornice zaczęły się kłębić i skręcać w wodzie, rozpościerając macki nad obrońcami, opadając na dno bądź

też falując to tu, to tam.

Arkeuthys tylko unosił się przed napastnikami jak wielka czaszka otoczona rojem macek, a zwolennicy Aradoklesa zwalniali z każdą sekundą, aż widać było, że celowo zwlekają. Sama reputacja potwora, samo jego imię pętało umysły wszystkich niczym klątwa.

Na pokładzie u Nemoctesa Aradokles uniósł głowę.

– To wielka bestia, Arkeuthys – wyjaśnił Nemoctes, obserwując potwora oczami swego stworzenia. Był w pełni opancerzony, z tarczą i z toporem w kształcie drapieżnego dzioba.

– Och, przecież wiem – odparł miękko dziedzic Hermatyre.

Minęło sporo czasu, od kiedy używał sztuki podmorskiej mowy, a całe lata od dnia, gdy ostatni raz przebywał w pobliżu rasy Arkeuthysa. Ale poczuł umysł zwierzęcia niczym słońce przepalające wodę. Ośmiornice, zwierzęta krakenowców, nie były zwykłymi morskimi stworzeniami.

Były opiekunami i strażnikami ludzi, z którymi łączyło ich pokrewieństwo, i dzięki temu żyły coraz dłużej i dłużej w odróżnieniu od pomniejszych przedstawicieli swego gatunku, a nawet dłużej niż ludzie. Z wiekiem też stawały się coraz mądrzejsze i sprytniejsze, upodabniając się do ludzi. Tutaj, w Hermatyre, zawsze stanowiły wielką siłę, i były niemymi, lecz wpływowymi doradcami kolejnych admirów.

– *Arkeuthysie* – Aradokles posłał pierwsze słowo w wodną próżnię. – *Wysłuchaj mnie.*

Nie był pewien, czy dobrze posługiwał się sztuką mowy morskiej, aż do chwili, w której dobiegła go powolna odpowiedź, przypominająca tarcie kamienia o kamień:

– *A więc wróciłeś.*

– *Wątpiłeś w to kiedykolwiek?*

– *Nie byłby to pierwszy raz* – odparł Arkeuthys –

kiedy pogłoski o twoim powrocie zaniepokoiły głupców. Ja broniłem twego honoru, kładąc kres takim kłamstwom. A może ten idiota, Heiracles, nie mówił ci o swoich próbach zdetronizowania władcy? Czyżby udawał teraz urażoną cnotę, próbując ją natworzyć jak metal czy muszlę?

– *Nie mam złudzeń co do niego* – odparł Aradokles.

Obecność Arkeuthysa w jego umyśle ciążyła mu tak, iż miał wrażenie, że za chwilę kolana pod nim się ugną, a wnętrzości wywrócą na drugą stronę. Ale trzymał się dzielnie pod naporem tak natarczywej analizy.

– *Teraz Heiracles zna swoje miejsce.*

– *A ty?*

W myślach wielkiej ośmiornicy pojawiło się coś na kształt posępnego rozbawienia.

– *Twoja zbieranina kuli się przede mną. Czego się spodziewałeś, Arado kiesie?*

– *Po nich? Ze pójdą za mną aż tutaj – i dalej, jeśli będą musieli.* – Aradokles zaczerpnął głęboko powietrza, wyczuwając pod sobą wielką otchłań, z którą musiał się zmierzyć. – *A po tobie? Posłuszeństwa twojemu prawowitemu edmirowi.*

Zapadła teraz naprawdę długa cisza, a gdy w końcu nadeszła odpowiedź, Aradokles wychwycił jedynie rozbawienie.

– *Wysłuchaj mnie, Arkeuthysie – nie ustępował.* –

Dobrze służyłeś memu ojcu i jesteś wielkim władcą swego ludu. Po tym, jak zniknąłem, gdy uznano mnie za martwego, zaczęłeś służyć memu stryjowi. Bo niby dlaczego nie? Był uważany przez wszystkich za prawowitego admira, a nie do ciebie należało kwestionowanie tego. Teraz, kiedy znasz prawdę, dlaczego nie miałbyś służyć swemu prawowitemu panu i nie odwrócić się od farbowanego władcy?

Wyczuł, że na końcu połączenia z Arkeuthysem zmienił

się charakter ciszy. W końcu wielka bestia mruknęła:

– *Claeon cenił moje wsparcie i dawał mi wiele swobody. Uczynił mnie admirem mego ludu, tak jak on jest admirem twojego.*

– *Jak on był admirem – poprawił go Aradokles surowo.*

– *Arkeuthysie, ty jesteś władcą swego ludu. Mózgowcy nigdy nie mieszały się do takich spraw. Wydaje ci się, że mógłbym pozbawić cię władzy dlatego, że służyłeś innym członkom mojej rodziny? Przecież dalej służyłeś mojej rodzinie. Dlaczego miałbym mieć o to pretensje?*

W ślad za tymi słowami nadeszła błyskawiczna, pełna konsternacji odpowiedź:

– *Ale twój lud będzie aż za dobrze pamiętał mi, co zrobiłem w imię Claeona, malutki.*

– *Będzie pamiętać, że dokonałeś tego w imię Claeona, tylko tyle. A gdyby kiedykolwiek się skarżył, cóż, jeśli zechce mnie na swego admira, będzie musiał pogodzić się z moimi decyzjami.*

Siły napastników zatrzymały się teraz całkowicie. Oczy wszystkich po obu stronach były skierowane na ośmiornicę, która falowała delikatnie pomiędzy dwiema armiami.

– *Claeona nie byłoby stać na tak szlachetną propozycję. Ani twego ojca, gdyby znaleźli się na twoim miejscu. Musisz mieć świadomość tego, co uczyniłem, stając się z własnej woli bronią w rękach Claeona przeciwko tym, którzy sprzeciwiali się jego rządowi.*

– *Mieszkałem dość długo między dziwnymi ludźmi –*

odparł Aradokles prostymi słowami. – *Poznałem nowe rzeczy. Nazywają to amnestią. Widzisz znaczenie tego słowa?*

– *Widzę...*

– *Tedy przemów do mózgowców. Powiedz im jedno.*

Powiedz im, że wróciłem; że prawowity dziedzic wrócił, aby odzyskać tron. Uczynisz to, a pozostaniesz u mego boku, tak jak trwałś u boku Claeona – i to zyskując dodatkową korzyść.

– *Jakąż to korzyść?* – dopytywały się myśli Arkeuthysa.

– *Taką, że ja nie jestem Claeonem* – odparł Aradokles cierpko. – *Przecież nie możesz twierdzić, że lubisz mojego stryja.*

Arkeuthys zaczął gwałtownie wycofywać się w wodzie, aż zawisł nad obrońcami. Ale w umyśle Aradoklesa wciąż rozbrzmiewały słabe echa czegoś, co wyglądało na śmiech.

Dopiero kiedy oddziały Aradoklesa weszły do Hermatyre, Stenwold przekonał się, jak krwawa jatka mogła się tu rozegrać. Miasto posiadało tuziny podwójnych włazów, ale każdy zewnętrzny mógł być utrzymany przez ledwie kilku włóczników, podobnie jak wewnętrzny. Nigdzie jednak nie było ich widać.

Gdy Arkeuthys podpłynął do armii Claeona i żukowiec spodziewał się ujrzeć pierwszą krew w tej wojnie, w armii wroga zaszła jakaś zmiana, jakby przeszła przez nią fala podmorskiego wstrząsu. Kiedy zwolennicy Aradoklesa zbliżyli się do nich, Maker ujrział, jak wśród mózgowców rozgorzały podwodne dyskusje na migi i wkrótce szeregi obrońców zaczęły się łamać.

Najpierw wycofywały się pojedyncze osoby, a następnie całe oddziały. W końcu większość dała po prostu za wygraną i wróciła do domów. Niektórzy nawet zostawiali broń na miejscu: wbijali włócznie w dno i porzucali sierpowate ostrza. Ośmiornice zaś ześlizgnęły się z kopuły kolonii, robiąc im przejście.

Ale nie wszyscy dali za wygraną. Część z nich z radością dołączyła do atakujących z powodów, których Stenwold jeszcze nie pojmował. Inni zaś skryli się w Hermatyre, choć było ich zbyt niewiele, by mogli utrzymać miasto.

Siły Aradoklesa ruszyły wolno naprzód, przenikając do wnętrza kolonii, wpadając do środka każdym wejściem i formując nowe oddziały szykujące się na kontratak Claeona.

Dla Makera była to najdłuższa część natarcia. Obserwował, jak piechota czeka, kręcąc się niecierpliwie, aż przyjdzie kolej na nią, bo Hermatyre nie powstało z myślą o tak wielkiej liczbie gości.

– *Myślę, że można by poprosić gastropodowców o wycięcie dodatkowych wejść* – zaproponował.

Pozostali spojrzeli na niego z przerażeniem.

– Nie można ciąć – wyjaśniła Paladrya, jakby samo użycie tego słowa było jakimś świętokradztwem.

Budowniczo wie by się pogniewali.

– Nie widzę jednak wśród wojska żadnego z nich –

zauważył. – Myślę, że tego typu wydarzenia w ogóle ich nie obchodzą.

– Bitwy? Polityka? – odparła Paladrya. – Och, czasami tak. I biada temu, kto w taki sposób zwróci na siebie ich uwagę. Wystarczyłoby naruszyć substancję, z której zbudowane jest Hermatyre, i nikt już nie mógłby nawet zbliżyć się do kolonii. Oni natychmiast by o tym wiedzieli.

W końcu przyszła kolej na Stenwolda. Włożył więc czepiec i pozwolił pociągnąć się Paladryi do kamiennej skóry miasta. Zaszedł tak daleko, że chciał zobaczyć na własne oczy, jak to się zakończy.

Armia podzieliła się na kohorty i teraz mowa na odległość pelagików nie była już im potrzebna, bo z ludzi Nemoctesa jedynie on sam wszedł do środka. Wdzierali się przez różne przejścia i zaczęli przemierzać kręte korytarze w poszukiwaniu ognisk oporu.

Sam Maker trzymał się blisko Aradoklesa, mając z jednego boku Paladryę, a z drugiego Phylles. Wcześniej, wiedziony pod strażą przez ludzi Claeona czy Rosandera, zawsze tracił orientację w tym mieście. W końcu mógł

podziwiać jego niezwykłą architekturę, przedziwną urodę i całkowicie obce wzornictwo.

Z pewnością było to miasto żyjące – czy też takie, które najpierw powstało, a potem obumarło, aż narosły na nim kolejne warstwy, jedna nad drugą, wytwarzając różnorodne wnęki: komnaty tak małe jak składziki bądź sale wielkie niczym place. Ściany układały się w segmenty pokryte wzorami w nieznanym mu, tajemnym języku budowniczych.

Tunele wiodły w górę i w dół w pozornym chaosie; wiły się i skręcały niczym robaki, kierując wprost do serca kolonii.

Wszędzie świeciły pokrywające białawy kamień oraz oblicza najeźdźców wielobarwnym woalem fosforyzujące lampki –

kolorowe kule emanujące poświatą, wykorzystywane tylko przez morskich.

Spodziewali się, że ludzie Claeona będą walczyć z nimi zażarcie o każde pomieszczenie, ale oporu prawie nie napotkali, jedynie kilku rozproszonych obrońców, których porywał z sobą prąd atakujących. Mieszkańcy Hermatyre patrzyli na Aradoklesa kroczącego w otoczeniu zbrojnych w ciszy – nie powstrzymując go, ale również nie wiwatując na jego cześć. Czekali tylko na wynik konfliktu, nieufni, niepewni jutra.

Stenwold uzmysłowił sobie, że Aradoklesa nie było tu od lat i pamiętali go jako gołowąsa, a nie króla. Może i był

prawowitym dziedzicem, ale ci ludzie żyli pod kapryśnymi rządami Claeona i nie mieli gwarancji, że bratanek admira zmieni ich los na lepsze.

I wtedy stanęli w miejscu, które Maker w końcu rozpoznał. Przywiodły go tutaj dziwne koleje życia – do katedry admira, serca Hermatyre, wielkiego placu wychodzącego na bramy pałacowego kompleksu. To tutaj pierwszy raz zetknął się z rasami morskich. To tutaj uwięziono Paladryę, gdy padło na nią podejrzenie Claeona, aż ludzie Wys wyzwolili ich oboje.

I to tutaj liczne oddziały wierne staremu edmirowi urządziły sobie ostatnią redutę. Zgromadzili się tutaj zwolennicy Claeona, wszyscy łotrzy i pochlebcy, którzy kwitli pod jego rządami i których życie byłoby zagrożone, gdyby upadł. Całe okrucieństwo, cała zachłanność, małostkowa tyrania oraz bezinteresowna brutalność, które utoczyły się pod władzą Claeona, zebrały się tutaj, by bronić go, wiedząc, że inaczej zginą marnie.

Niektórzy pozostali w pałacu, inni ustawili się przed nim – strzałkopodobni, krakenowcy, szczypcowcy duzi i mali, a nawet nieliczni kuzyni Phylles. Stali w grupkach, w nierównym szyku bitewnym, z młotami lub sierpami bojowymi, inni z zakrzywionymi nożami, ale większość z włóczniami. Część z nich miała też broń, którą Stenwold początkowo wziął za lance, ale potem zauważył, że zamiast metalowego czy kościanego grotu miała drzewce owinięte czymś, co wyglądało jak żywe stworzenie.

– Cóż – mruknął do Paladryi. – Myślę, że tu kończą się słowa i układy pokojowe.

Na co ta trzeźwo potaknęła.

CZTERDZIEŚCI PIĘĆ

Na co oni czekają? – zapytał niecierpliwie Pellectes, ściskając włócznie dwiema rękami i zerkając nad głowami wojowników stojących przed pałacem. – Ma przecież więcej ludzi niż my, prawda? A może nie ma? – Wyciągał szyję na prawo i lewo, starając się przyjrzeć wszystkiemu bez narażania się na wypatrzenie przez nieprzyjaciela.

– To tylko część ich wojsk – warknął Claeon z goryczą w głosie, ponieważ wielu obrońców Hermatyre zdradziło go, skoro Arkeuthys go zdradził! Kończyły mu się możliwości. –

Pozostałe oddziały tych włóczęgów przeczesują teraz miasto.

– No to na co my czekamy? – zapytał Pellectes stanowczo, niemal wpadając na Claeona. Stali we dwójkę na tyłach oddziałów w otwartej bramie do pałacu. – Czemu nie atakujemy już teraz? Mamy więcej wojowników niż on, jak sądzę. Jestem nawet tego pewien.

– Wtedy pozabawilibyśmy się osłony ścian, a oni zaatakowaliby nas ze wszystkich stron. Nie, teraz możemy tylko czekać.

Claeon przyszedł na bitwę przygotowany – zakuty od stóp do głów w skorupę barwy kości, która została starannie natworzona, by pasowała do każdego cala jego ciała. Okuty brązem złoty bijak jego

bojowego młota leżał na ziemi na wprost niego.

Palce go świerbiły, by wbić rozżarzone ostrza w ciało Ara doklesa, swego niegodziwego bratanka. *Żeby tak wiele zyskać, a potem tak nisko upaść! I to z powodu tego smarkacza! Gdyby tylko jego agenci pierwsi znaleźli go na tym wrogim lądzie... Jak to wszystko mogło się tak posypać?*

– Coś się dzieje – rzucił niespodziewanie Pellektes i Claeon pochylił się, by zobaczyć dokładnie postać wysuwającą się przed szeregi napastników. – Czy to on? –

zapytał litoralista, marszcząc czoło.

Claeon przez dłuższy czas patrzył na młode oblicze krakenowca, zanim pokiwał głową. Tak, to była twarz oraz wejrzenie jego bratanka, choć lata wygnania na lądzie uodporniły go i uczyniły twardym. *Może by zaatakować teraz?* – zastanawiał się. Gdyby Aradokles zginął, liczebność wojsk nie miałyby już znaczenia. Niby o co mieliby walczyć najeźdźcy? Prawowitym dziedzicem pozostałby Claeon.

– Gdzie jest Claeon?! – zakrzyknął młodzieniec. Nie nosił pancerza i był uzbrojony jedynie w niespotykany pod wodą miecz o krótkim ostrzu. – Claeonie! Stryju mój! Wyjdź

przed szereg!

Mnóstwo ludzi obejrzało się teraz na niego, ale admirał nawet nie drgnął, krzywiąc się w milczeniu pod hełmem, kiedy Aradokles zakrzyknął jego imię.

– Chodź do mnie, stryju! Nie szastajmy życiem naszych poddanych. Będiesz ze mną walczył?! Nie chcesz, żeby wszystko rozegrało się w naszym pojedynku?!

Bez zbroi i tylko z krótkim mieczem – to prawda. Ale chłopak był młody i silny, a z Claeona był żaden wojownik. *A poza tym, jak mnie zobaczą, rzucają się wszyscy naraz i rozedrą na sztuki. Dlaczego miałbym mu ufać? Czy on w ogóle panuje nad tymi oddziałami?* Claeon pochylił się, aż usłyszał szemranie najbliższych stojących żołnierzy.

– Ten, kto celnie ciśnie włócznią w tego bezczelnego młodzika, może liczyć na wielkie bogactwa – wyrzucił z siebie. – Przelećcie jego krew, a ja was wynagrodzę.

Ciskanie włócznią było sztuką rzadką wśród morskich, gdyż była niemal nieprzydatna pod wodą, lecz kilku ćwiczyło się w tej umiejętności, aby zaskakiwać niczego niepodjęzających przeciwników. I znalazł się jeden na tyle śmiały czy zdesperowany, by uwierzyć w obietnicę admirała. Szczupły, żyłasty strzałkopodobny odziany w napierśnik z zachodzących na siebie muszli przegrzebków przepchnął się przez szeregi kamratów.

– Claeonie! – krzyknął Aradokles ponownie. – Czyżbyś tak bardzo się mnie lękał, stryju?!

Claeon zacisnął zęby ze złości.

W jednej chwili było po wszystkim. Włóczyk dotarł do pierwszego szeregu i gdy jednym płynnym

ruchem zamachnął się włócznią, rozległ się ostry dźwięk, a on padł

martwy w miejscu z olbrzymią dziurą w pancerzu.

Zapadła głucha cisza i morscy po obu stronach gapili się na to dziwo. Claeon jednak dostrzegł, jak to się stało.

Zobaczył w pierwszym szeregu powstańców szerokiego, ciemnego, łysiejącego mężczyznę o cudzoziemskich rysach, którego kiedyś miał w swoich rękach, we własnym lochu. Stał

on z jakimś niewielkim drzewcem w wyciągniętej dłoni, zbyt małym, by można było uznać je za groźną broń. Chociaż tylko nakierował ją na włócznika, ten padł w sekundę.

– Ładowy – jęknął Pellectes i Claeon zobaczył w końcu, że litoralista naprawdę wierzy we własne wymysły.

Według Pellectesa ladowi byli strasznymi potworami, odwiecznymi wrogami morskich, stworami, które dopadną cię, jeśli uczynisz fałszywy krok. Na wysokim czole mężczyzny pojawiła się warstewka błyszczącego potu.

– Ładowy! – wykrztusił jeszcze raz, wciąż wskazując go drżącą dłonią, jakby pojawienie się tylko jednego takiego osobnika mogło zburzyć mury Hermatyre. – Zabić go! –

wrzasnął, machając teraz ręką w stronę tamtego, Aradoklesa i tuzina innych, stojących obok nich. – Zabijcie go w tej chwili albo jesteście zgubieni! – Szturchnął ich, kopał, popychał i darł się.

W końcu kilku obrońców ruszyło naprzód, a potem kolejni i kolejni, którzy co prawda nie słyszeli go, ale widząc natarcie, stwierdzili, że padł rozkaz. I po chwili wszystkie szranki ruszyły do ataku, broniąc pałacu.

– Claeonie, musimy zabić ladowego! – wykrzyknął

Pellectes i odwracając się, zobaczył, że edmir się cofa.

Bijak młota szorował po płytach posadzki i pięknie natworzone płyty zbroi szurały o siebie, ale twarz Claeona miała barwę popiołu, a on sam cofał się coraz dalej, aż w końcu odwrócił się i uciekł w głąb pałacu.

Stenwold spodziewał się, że usłyszy rozkazy, bo pierwsza linia powstańców uniosła włócznie, zasłaniając się przed natarciem obrońców, ale po chwili chmara wojska nagle poszła w rozsypkę, bo niektórzy wznosili wojenne okrzyki, inni popędzili naprzód, reszta zaś stała niezdecydowana, przyjmując impet natarcia na siebie.

– Stań za mną, ladowy! – warknął na niego Aradokles, unosząc miecz.

Przez jedną straszną chwilę Makerowi wydało się, że młodzieniec mający w swoich żyłach bezcenną królewską krew rzuci się do ataku w najgorszy wir bitwy, ale nawet jeśli miał taki zamiar, to weszli

mu w paradę jego ludzie, odgradzając go od nacierających lojalistów i ostro się z nimi ścierając. Żukowiec widział już krwawe rzezie z udziałem szkarłupniowców w Gorących Rewirach oraz błyskawiczne szarże kawalerii na otwartym morzu, ale tutaj mózgowcy walczyli z sobą po dwóch stronach konfliktu i była to najdziksza z bitew.

Byli szybcy i sprawni, choć nie byli to żołnierze regularni jak mrówcy czy osowcy. Przypominali natomiast dzikich niepojętych – modliszowców lub ciemców. Spadali na wrogów indywidualnie, toczyli setki osobnych pojedynków, wymieniając się przeciwnikami. Oto strzałkopodobni włócznicy skoczyli jedni na drugich, okręcając się i wirując, waląc z trzaskiem swym drzewcem o drzewce wroga, machając wokół tylcem, to znów dźgając kościaną szpilą grotu. Wielkoszczypcy, zwaliści w swych wielkich pancernych strojach, walili na odlew młotami bojowymi oraz straszhwymi, zakrzywionymi ostrzami sierpów zdolnymi zgruchotać każdą zbroję czy kość jednym potężnym ciosem. Inni korzystali z jeszcze bardziej zabójczej broni – drągów owiniętych parzydełkami, które smagały i paliły wrogów na odległość dwóch metrów, zabijając morderczym jadem w chwili uderzenia. Ale nimi śmierć można było zadać tylko raz, dlatego też wkrótce ją porzucano, a ci, co się nią posługiwali, odwracali ją, by ukazać groty znajdujące się na drugim końcu. Wszędzie wokół mnóstwo morskich sięgnęło po sztylety. Krakenowcy dźgali i szarpali siebie nawzajem zakrzywionymi klingami, a czasami wyłącznie wzmocnionymi swą sztuką kończynami, które rozdzierały przeciwnika. Szybkoszczypcy, istoty modliszkopodobne, krewniacy Fela, rozdawali potężne ciosy poparte ostrzami kolców oraz sztyletów o wąskim ostrzu. Ta garstka pobratymców Phylles szła przez pole bitwy niczym cicha śmierć, strzelając na lewo i prawo jadowitymi mackami, i była ich w stanie powstrzymać wyłącznie spora grupa włóczników. Sama Phylles znikła w bitewnej połodze, ale Stenwold nie miał cienia wątpliwości, że wykonywała normę zabijania z nawiązką.

Tego właśnie chciał Aradokles uniknąć. Mogło to się też wydarzyć w o wiele większej skali na zewnątrz kolonii, gdyby wielka armia obrońców nie uległa przeredzeniu.

Sam dziedzic czekał. Dzierzył w dłoni miecz wykonany w Helleronie i obserwował przyplawy i odpływy bitewnej fali.

Stenwold już dawno stracił poczucie, kto jest po której stronie, ale najwyraźniej wszyscy miejscowi wiedzieli.

Jakiś włócznik skoczył na dziedzica z tłoczni z dzikim bitewnym okrzykiem na ustach, ale odrzuciło go do tyłu za sprawą pukołuku trzymanego w dłoni przez Makera. I runął

w ciżbę, a jego głos utonął w ogólnej wrzawie. Żukowiec odruchowo załadował ponownie. Aradokles spojrział na niego przez ramię z obojętnym wyrazem twarzy po czym skinął mu głową.

– Ładowy, chodź za mną – polecił. – Idziemy odszukać Claeona.

Stenwold uczestniczył w niejednej bitwie w swoim życiu, ale nigdy w takiej jak ta. Wir walczących na jego oczach zmieniał się w coś całkowicie nierzeczywistego jak ze snu. Zewsząd otaczali go morscy – najwaleczniejsi ludzie Aradoklesa. Książę zaś po prostu przedzierał się naprzód z wyciągniętym mieczem, choć ani razu nie skąpał go we krwi.

Z obu stron włócznie z jego awangardy parli przed siebie desperacko, starając się dopasować tempo swego natarcia do kroków przywódcy. Nie mogli go jednak chronić, bo był w ciągłym ruchu, mimo to wychodził ze starcia nietknięty, wciąż nie zadał też ani jednego ciosu.

Maker, zagubiwszy się już całkowicie, oceniał

walczących po prostu po reakcji na widok Aradoklesa. Ci, którzy zbliżali się do niego z uniesioną bronią, ci, którzy zamierzali się na niego mieczem, ginęli, bo pukołuk kosił ich bez litości, a oni nie wiedzieli nawet, co było przyczyną ich śmierci. Aradokles posuwał się naprzód, ciągnąc za sobą swych wojowników, a Stenwold strzelał i ładował, strzelał i ładował raz za razem. Zasięg jego broni wynosił najwyżej kilka metrów, więc obracał się wokół władcy, mierząc do najbliższych stojących przeciwników. Miał spory zapas pocisków.

Ale w Gorących Rewirach byłoby inaczej, przyznał w myślach, znajdując w tej jatce czas na refleksje. Kilka wyrzutni harpunów Mandira bardzo szybko by nas powstrzymało. Spotkaliśmy ich w samym punkcie zwrotnym ich pojętności.

Ale najwyraźniej on z Gorących Rewirów był zazdrosny o swoje wynalazki i żaden z nich nie dotarł do Hermatyre.

Dlatego też niewielkie urządzenie Totho, ten morderczy drobiaźdzek siał śmierć pośród wrogów Aradoklesa niczym plaga.

Gdyby wśród obrońców znajdowało się więcej ciężkozbrojnych wielkoszczypców, Stenwoldowi nie poszłoby tak łatwo. Mózgowcy zaś pokładali ufność w szybkości i walce z bliska, ale żaden z nich nie był szybszy niż pocisk z pukołuku.

W pewnym momencie obrońcy – niemal przy wejściu do pałacu – utworzyli zgrabny szereg włóczników, prezentując przy tym taką dyscyplinę, jakiej nikt nie widział

na tym placu boju. Aradokles zatrzymał się i zerknął na Stenwolda, który tylko przytaknął.

Młody admirał niczym jakiś czarownik ze starych złych czasów, jakiś Skryres rzucający klątwę na wroga, wymierzył

w nich swój miecz i jeden ze stojących w środku mężczyzn zwał się na ziemię. Aradokles znów dźgnął powietrze i hełm kolejnego z obrońców pękł na pół, a na jego czole pojawiła się niewielka dziura, która kończyła się z tyłu głowy otworem wielkości pięści. Zabójczy miecz wybrał sobie trzeci cel.

Stenwold mógł już ładować pukołuk, nawet nie patrząc na niego – ale w końcu tę broń skonstruował geniusz Totho i każdy głupiec potrafiłby szybko opanować jej obsługę.

Szczupły mózgowiec z zielonkawą brodą starał się scalić szereg włóczników, a Aradokles wskazał bez mrugnięcia powieką właśnie jego. W ostatniej chwili, zanim Stenwold wycelował broń, mężczyzna spojrział mu w oczy, a jego twarz zmieniła się w maskę przerażenia i nienawiści. I wtedy żukowiec wypalił mu prosto w skroń, po czym jego ciało zniknęło za walczącymi żołnierzami.

Szereg włóczników załamał się i śmigli strzałkopodobni rozpiezchli się, starając się zejść z linii rażenia zabójczego miecza, a Aradokles wszedł na schody wiodące do pałacu.

Przez szeregi wroga przetoczyła się fala wstrząsu.

Stenwold dostrzegł ją w ich ruchach, jakby nagle ławica ryb zmieniła kierunek, wszystkie osobniki w tym samym momencie. Patrząc na pole walki z wysokości schodów, uświadomił sobie, że to kolejny kontyngent zwolenników Aradoklesa natarł w końcu z lewej flanki, a Nemoctes w kolczudze, z tarczą wbił się klinem w osłabionych obrońców, przesadzając tym manewrem losy bitwy. Łotrzy Claeona ginęli przy wszelkich próbach oporu, a gdy się poddawali, zabierano im tylko broń. Choć wielu z nich też umierało, gdyż znoszone latami krzywdy domagały się swojej porcji krwi.

Stenwold nie mógł na to nic poradzić, poza tym w głębinach nie uważano tego za zbyt wielką przywarę.

– Claeonie! – zawołał znów Aradokles i wkroczył do pałacu, biorąc go jednocześnie we władanie.

Claeon pospiesznie kroczył w dół, zastanawiając się, jak długo może wytrzymać linia obrony Pellectesa, czy będzie miał wystarczająco dużo czasu, by uciec, jeśli w ogóle ucieczka jest możliwa. *Wyłynę na pełne morze, do głębin.*

Ktoś mnie przygarnie. Jakiś tabor bentoników, jakaś niewielka kolonia. Potem zbiorę siły i wrócę tutaj. Nadzieję łeb tego szczeniaka na pikę, daję słowo!

Drzwi przed nim otworzyły się pod dotykiem i niewielki strumyczek wody pociekł u jego stóp. Za kolejnymi drzwiami czekał szeroki ocean.

Ale zatrzymał się. Powstańcy mogli czekać tuż za wjazem, obstawwszy jego prywatną przystań. W końcu wiedzieli o niej – Paladrya i ten przeklęty lądowy ostatecznie zostali uprowadzeni właśnie tędy. Jego prywatne wyjście do morza zostało wtedy splugawione przez jakichś najemników.

Ale zawahał się też z innego powodu. Wjazd otwierał się przecież tylko od środka na zewnątrz, a w całym ówczesnym zamieszaniu wywołanym ucieczką więźniów nie pomyślał

nawet, jak wobec tego zdrajcy dostali się do środka.

Ponownie wyciągnął ręce w kierunku wjazdu, lecz zamarł

na chwilę. Co będzie, jeśli ktoś tam na niego czeka?

– *Och, nikogo tu nie ma, Claeonie. Zupełnie nikogo* –

usłyszał kpiące słowa.

– Arkeuthys? – wymówił to imię na głos, nie mogąc się powstrzymać.

– *W rzeczy samej.*

Poczuł dobrze znany nacisk wielkiego umysłu morskiego potwora.

– *Zdradziłeś mnie!* – odkrzyknął w myślach, spętany falą bólu. – *Dlaczego?*

– *Chłopak ma dar przekonywania* – odparła niewinnie wielka ośmiornica. – *No, wyjdź, Claeonie. Pójdź w moje ramiona i skończmy z tym. Twoja głowa będzie stanowić drogą pamiątkę.*

– *Gdybyś naprawdę chciał mnie zabić, tobyś mnie nie ostrzegall* udził się Claeon.

– *Być może zrobiłem się nieco sentymentalny* –

nadszedł w odpowiedzi pomruk podobny do odgłosu walącej się skały. – *Ach, Claeonie, bawiliśmy się razem doskonale, prawda? Byliśmy sobie współnikami w występku.*

– *Ale ty mnie zdradziłeś!* – upierał się Claeon. –

Zawsze byłeś moją drugą połową. Zadania, które ci powierzałem, sprawiały ci przyjemność! Czyż można odrzucać taką piękną przyjaźń?

Niewzruszony Arkeuthys parsknął śmiechem.

– *Cóż, zawsze uważałem, że dorównuję ci w podłości, ale wtedy ten chłopak wyjaśnił mi, że byłem tylko lojalny wobec człowieka uważanego przez wszystkich za prawdziwego admira. Postanowiłem więc wybrać mniej wymagającą połówkę. To już koniec, Claeonie. Poddaj się.*

Być może chłopak tylko zamknie cię w klatce i wystawi na widok publiczny, żeby twój przykład odstręczył innych, i nie każe cię obłupie ze skóry.

Claeon pisnął i cofnął się o krok, przyciskając ciężki młot bojowy do siebie, a potem pobiegł niezgrabnie w swej ciężkiej zbroi z powrotem do wnętrza pałacu, objijając się o ściany i zataczając. Słyszał zbliżające się odgłosy walki i wydawało mu się, że może pójść tylko w jedno miejsce. Sala tronowa, jego sanktuarium, nie dawała już schronienia. Ale dokąd miałby się udać admira w ostatnich chwilach swego żywota?

Powłóczył nogami, pokonując korytarze, teraz całkowicie opustoszałe. *Litoraliści! Nie powinienem był ich w ogóle przygarniać. To wszystko wina Pellectesa! Gdyby nie skłonił mnie do porwania lądowych... ale też w jaki inny sposób miałbym zmusić Rosandera, by utrzymywał spokój w kolonii, jeśli nie machając mu przed oczyma lądem jak zdechłą rybą?*

Wpadł do sali tronowej i popatrzył na symbol swej władzy i siły, którego widok jednakowoż nie sprawił mu obecnie radości.

W pomieszczeniu tym znajdowały się drzwi, choć zamykano je niezmiernie rzadko. Zacisnął więc teraz dłonie na ich krawędziach i pociągnął za nie, aż kolisty właz podobny do gigantycznej uszczelki zamknął się za nim. Nie można było go jednak zakleszczyć we framudze. Claeon zawsze polegał w

tym względzie na straży, która odgradzała go od wrogów wszelkiego autoramentu. Teraz zaś został sam, a Aradokles mógł otworzyć właz z łatwością.

Wydawało mu się, że zza drzwi słyszy czyjeś krzyki.

Czyżby to ten cholerny młodzian wraz z lądowymi wołał go po imieniu? Zaskowyczał z przerażenia i nienawiści, unosząc swój młot. *Czy to się uda? Muszę spróbować!*

Z głośnym okrzykiem spuścił bijak młota na zawiasy, odbijając poszarpane fragmenty kamiennej substancji i odsłaniając puste przestrzenie wnętrza koralowca.

Wrzeszcząc coś bez znaczenia, uderzył tak cztery czy pięć razy, miażdżąc framugę i wciskając ją na płasko w ścianę.

Albo drzwi całkowicie odlecą, nie zmieniając jego sytuacji, albo...

Dysząc ciężko, odsunął się o krok i spojrzał na swoje dzieło. Odślonił grobowce tysiąca drobnych stworzeń: jałowe komórki, które ich bracia zaczopowali od zewnątrz, kiedy nadbudowywali kolejną warstwę, tworząc podstawę Hermatyre. Drzwi wciąż się trzymały, solidnie zaklinowane.

Zaplombował się sam w swojej sali tronowej.

– Coś ty zrobił? – rozległ się jakiś kobiecy głos i odwrócił się na pięcie, unosząc młot.

Zza tronu wyszła jego majordomus Haelyn.

Mątwopodobna kobieta wyglądała na przerażoną.

– To mój tron – warknął Claeon. – To ja jestem admirem, nikt inny. Nie dostanie go. Jest mój.

– I co teraz zrobisz? – zapytała z niedowierzaniem. –

Myślisz, że tu nie wejdą? A jeśli nie, to zagłodzisz się na śmierć? No co zrobisz?

– Będę im się opierać do ostatniego tchu. Jeśli zginę, stanę się ostatnim admirem Hermatyre, który zasiadał w tej sali i rządził kolonią.

– Claeonie, posłuchaj mnie – nie dawała za wygraną –

jest inny sposób. Mimo wszystkiego, co między wami zaszło, Aradokles wciąż jest twoim bratankiem. Jeśli się ukorzysz, okaże ci łaskę.

– Po co? – Edmir skrzywił się groźnie. – Po co ma okazywać litość, skoro trzyma mnie za gardło? Litość nie jest dla admirów. Litość to wyłącznie cecha słabeuszy.

– I co wybierasz?! – krzyknęła na niego, zstępując z podwyższenia. – Posłuchaj sam siebie, Claeonie!

Zmrużył oczy, aż stanęła ze strachu.

– Kto ich tu wpuścił, Haelyn?

– O czym mówisz?

– Kiedy wykradali tych lądowych z lochu i zabrali z nimi moją ukochaną Paladryę... Kto ich wpuścił do środka? Kto mnie zdradził? Któż lepiej się do tego nadawał niż osoba ciesząca się moim największym zaufaniem?

Aż do tej chwili miał tylko podejrzenia i w swoim szaleństwie poszukiwał ofiary, ale teraz dostrzegł na jej skórze wykwitające kłębowisko barw. Skrzywienie, drgnienie mięśni twarzy w poczuciu winy ujawniły mu wszystko.

– Zdrajczyń! – krzyknął i jednym susem rzucił się za nią w pogoń z uniesionym młotem.

Wycofała się do góry, w pobliże tronu, wykrzykując jego imię, ale on był już gotów – już nie chciał z nią rozmawiać.

Zawsze zawodziła go służba, wcześniej czy później. Cóż, ta tutaj też go nie przeżyje. Mógł tylko żałować, że nie wykończy jej tak, jak lubił, nie spiesząc się. Choć może jego ostatni czyn jako admira powinien mieć właśnie charakter gwałtowny.

Przykucnęła za tronem, a on kolejnym machnięciem rozbił jego oparcie, wzniecając deszcz odłamków, w jednej chwili niszcząc jego niezwykle piękno. Rzeczywiście będzie ostatnim admirem, który z tego miejsca rządził Hermatyre.

Cofała się wciąż, ale Claeona opanowała teraz ślepa furia – machał młotem nad głową, a na posadzce i ścianach pojawiały się od jego uderzeń pęknięcia, aż w końcu Haelyn potknęła się i przewróciła.

Krzyknęła, a on delektował się jej przerażeniem, stojąc nad nią i czując w dłoniach krzepiący ciężar młota. Pokrywał

go teraz sproszkowany koral, ale wkrótce zmyje go z siebie.

Uniósł broń wysoko.

Jej wzrok jednak oderwał się od narzędzia zbrodni. Nie widziała też jego spojrzenia. Wpatrywała się w coś za jego plecami. Był głupi, że to zrobił, ale nie mógł się powstrzymać i zerknął przez ramię.

Stali tam Arketoi, jakieś pół tuzina bladych mężczyzn i kobiet z przeredzonymi włosami, tatuażami i niemal nagich, podobnych do siebie niczym rodzeństwo. Wpatrywali się w niego bez słowa, bo oni nigdy się nie odzywali. Kilku z nich przeniknęło w tajemniczy sposób do sali tronowej, przeciskając się zapewne między ścianami i przez puste przestrzenie martwego koralu. Niektórzy podeszli do drzwi, by przyjrzeć się rozbitym zawiasom.

– Nie dotykajcie tego! Nie naprawiajcie! –

zaprotestował Claeon.

Większość Arketoi patrzyła tylko na niego z wyrzutem.

– Czego chcecie? – zapytał ostro.

– Zraniłeś kolonię – wyszeptała Haelyn. – Zraniłeś ich.

Claeon parsknął:

– To jest moja kolonia! Ja jestem admirem!

Ale patrzył na twarz Haelyn i widział jej reakcję. To była ich kolonia. Zawsze tak było. *Jesteśmy tu tylko gośćmi.*

Arketoi zaczęli zbliżać się do niego, a on zamachnął się na nich młotem. Wyciągnęli w jego stronę dłonie, jakby oddawali mu salut.

– Cofnąć się! – zawył admir.

Uderzył młotem, niezbyt mocno, ale jeden z niewielkich mężczyzn był tak kruchej budowy, że roztrzaskał go na kawałki. Pozostali nadal się zbliżali, wyciągając ku niemu swe blade palce. Coraz więcej ich było w komnacie i wychodzili z każdej szczeliny, z każdego rogu, a nawet z gładkich ścian – i wszyscy patrzyli na Claeona, który machał wokół młotem, powalając kolejną dwójkę.

I właśnie wtedy go dopadli. Haelyn znów krzyknęła –

nie ze strachu o siebie, ale na widok tego, co zrobili.

Kiedy Aradokles, Stenwold i Paladrya w końcu weszli do sali tronowej przez doskonale działające drzwi, znaleźli Haelyn wtuloną w jedną ze ścian, z dłońmi wciąż przyciśniętymi do ust, i zarys ludzkiej postaci na środku pomieszczenia – jakby wiele dziesiątek lat temu jakąś niedokończoną rzeźbę wrzucono do morza, a ona porosła przez ten czas pąklami i koralami.

CZTERDZIEŚCI SZEŚĆ

Oczywiście wie, co robi – stwierdził filozoficznie Tomasso.

Ze wzrokiem utkwionym w morzu Maker tylko wzruszył

ramionami. Nad jego głową żagiel *Wolnego od Pływów* wydymał się i trzepotał, opuszczony do połowy, nie łapiąc wiatru po to, żeby załoga mogła bezpiecznie zwodować szalupę.

– Ale wciąż w zasięgu portu Kolegium – odpowiedział

muszy kapitan z aprobatą. – Niezłe widowisko. Założę się, że tłoczą się z lunetami przy murze. Ma pan niezwykły talent do budowania własnej legendy.

– Nigdy jej nie pragnąłem – odparł Stenwold cicho. –

Gdybym mógł przeżyć całe życie jako mechanik i uczony, też byłbym zadowolony.

Tomasso bąknął jakieś przekleństwo, a potem dodał już bardziej polubownie:

– Nie chce pan, żeby ktoś z panem popłynął? Jest pan pewien? Mam tu dzielnych żeglarzy, którzy z ochotą to zrobią. No niech mnie rekin pokąsa, Laszlo by popłynął, gdyby tylko jego kulasy były całe. Nie byłbym go w stanie powstrzymać. Ostatnio woli pana ode mnie.

– Bardzo wiele wspólnie przeszliśmy – wyznał żukowiec niemal z czułością. – Ale nie, nikogo więcej. Każda dodatkowa osoba może stać się zakładnikiem wroga.

– No dobrze. – Tomasso dał za wygraną. – Przygotować szalupę. Mistrz Maker szykuje się do opuszczenia pokładu.

Po tej całej historii rozstanie było trudne. Aradokles chciał, żeby został jeszcze trochę. Miała być procesja i feta, podczas której chłopak złoży przysięgę ludowi Hermatyre, czego nigdy wcześniej żaden admirał nie robił. Stenwold wiedział, że Salma byłby z niego dumny. Będzie rządził

kolonią jak prawdziwy książę ze Wspólnoty, którego podstawową troską musiał być – czy też powinien – dobrobyt poddanych. Ale słyszał już w głowie cykanie zegara.

Despard z wrodzonym talentem technicznym nadzorowała ruch kołyszącej się balii, ustawiając ją na wodzie za burtą. Była to bardzo mała łódeczka jak na takiego dużego żukowca, ale nie zanosilo się, żeby musiał sporo w niej wiosłować. Jego cel sam miał do niego podpłynąć.

Rzucił kolejne spojrzenie na morze, a potem na Tomasso.

– Jesteś pewien, że w porę usuniecie się z drogi?

– Zatoczmy łuk, a silnik naprowadzi nas na właściwy wiatr – wyjaśnił muszec. – Jesteśmy szybsi niż jakakolwiek ich jednostka po tej stronie róży wiatrów. Niech się pan o nas nie martwi, mistrzu Makerze.

– Stenwoldzie. Mów mi Stenwold, Tomasso. Jeśli ktoś na to zasłużył, to z całą pewnością ty i twoi ludzie.

Muszec był tam oczywiście, na pospiesznie zwołanym przez Stenwolda tajnym zebraniu, na którym ustalono plan działania. No cóż, tak na wszelki wypadek.

Tomasso i Wys oraz coraz bardziej nieufny Jodry Drillen – to byli jego współspiskowcy. Przez najdłuższe dwie godziny w swoim życiu Maker tłumaczył przewodniczącemu Zgromadzenia, kim jest Wys i skąd pochodzi. Aż w końcu Jodry rozdziawił ze zdziwienia usta, bo granice znanego mu świata

zostały właśnie zepchnięte za horyzont i do tego w nieznanym mu kierunku. „I cóż ja mam robić z tym wszystkim?” – pytał co chwila.

Stenwold wyłożył kawę na ławę: opowiedział o układzie, który do tej pory trzymał przed wszystkimi w tajemnicy Tomasso i Wys również usłyszeli o tym po raz pierwszy, a Żukowiec nie chciał się pomylić w ocenie tej dwójki, chciał

wierzyć, że jego propozycja będzie dla nich na tyle atrakcyjna i że są na tyle uczciwi, iż jego plany mają szansę się powieść.

Oczywiście uczciwi jak na pirata i najemniczkę przystało. A ponieważ Maker zawsze otaczał się właśnie takimi ludźmi –

wystawiającymi swe życie na sprzedaż – miał tylko nadzieję, że należeli do tej ich kategorii, która znała swe możliwości i nie pragnęła wszystkiego dla siebie.

– Jesteś zadowolony z ustaleń? – zapytał, wchodząc do szalupy *Wolnego od Pływów*, choć było już za późno na zmianę układu.

– Och, nic się nie przejmuj, Stenwoldzie – odparł

czarnobrody muszec z uśmiechem na twarzy. – Zatrzaszczyłeś się o nas – i to lepiej niż ktokolwiek inny!

Do umowy dodano owo poważanie, o którym rodzina zwykłych muchopodobnych mogła jedynie pomarzyć.

Tomasso miał dostać od Jodry’ego kontrakt handlowy pierwszej klasy i nigdy nie wrócić do piractwa. Ustanowiono też stypendium na naukę dla tego, kogo wskaże Tomasso, oraz obywatelstwo dla całej załogi. I Maker był pewien, że wśród tych fruujących po takielunku i ciągnących za liny urwisów znajdował się przynajmniej jeden nowy członek Zgromadzenia. Ale zagwarantował Tomasso coś więcej.

Wyłożył wszystko szczegółowo na tym pospiesznie zwołanym zebraniu. Przygotowanie owej umowy zajęło mu mnóstwo czasu, a później jeszcze konsultował ją z morskimi, bo musiała działać na korzyść wszystkich.

„Po pierwsze”, powiedział Jodryemu, „zapomnij o wszystkim, co właśnie usłyszałeś. Nikt nie może o tym wiedzieć”. Patrzył na ich zaskoczone twarze i uśmiechał się ze smutkiem. „Nie jesteśmy jeszcze gotowi na spotkanie morskich, podobnie jak oni nie są gotowi na nas. Mają za sobą tysiąc lat, a może i więcej, uprzedzeń i uważają nas za potworów lub wręcz pradawnych wrogów, i nie powiem, iż na pewno nie mają racji. Ale chodzi mi o coś więcej. O

ekonomię, o kupiectwo. Bo wszyscy tu zgromadzeni wiedzą, że handel jest dźwignią, która kręci światem i bez której nie ma szans na postęp”.

Łódeczka zakołysała się na falach, a liny napięły się pod jej ciężarem. Stenwold starał się opanować,

świadom, że nawet jeśli wszystko skończy się dla Kolegium pomyślnie, to on sam może znaleźć się w bardzo złym położeniu.

„Co takiego mamy, czego morscy mogliby od nas chcieć?”

– zapytał retorycznie. „Rzemiosło. Oni zrobili olbrzymie postępy w ciągu ostatnich lat, ale głównie dzięki znalezieniu naszego pierwszego podwodnika Tseitusa”. Udało mu się wcześniej przeprowadzić pospieszną rozmowę z ambasadorkami Tsenu, by dowiedzieć się, jak oni sobie radzą z morskimi sąsiadami. Wyjaśniły mu, że nie handlują z nimi.

Wręcz przeciwnie, handel jest ściśle zakazany i karany śmiercią. Ich wspólna historia bowiem, wydarzenia sprzed dwustu lat, które niemal doprowadziły do upadku miasta, nauczyły ich właśnie tego. Tym bardziej więc Stenwold pragnął przeprowadzić wszystko jak należy. „Rzemiosło, kilka stuleci nauki, która mogłaby zrewolucjonizować styl życia morskich”, wyjaśnił. „A co oni mają, by je od nas kupić?” Uśmiechnął się ze smutkiem, myśląc o niesprawiedliwości historii. „Nieograniczone zasoby złota, które dla nich służy wyłącznie ozdobie i nie posiada żadnej większej wartości”.

Kiedy to mówił, przyglądał się twarzy Drillena i zobaczył

na niej wyłącznie zrozumienie. Nie wytrzeszcz zachłannych oczu, ale trzeźwe, rozsądne spojrzenie: Jodry pojął w mig, o co mu chodzi. „Napływ najnowszych i najbardziej złożonych wynalazków postawiłby Hermatyre na głowie. I nikt nie wie, do czego by to doprowadziło: do całkowitego zlikwidowania admiratu, anarchii... ? A są jeszcze niepojętni morscy, którzy wkrótce zostaliby przyparci do muru. Nie chciałbym, żeby zbytńia hojność w tym względzie zniweczyła łagodną wersję rewolucji pojętnych, jaką właśnie przechodzą. Gdybyśmy starali się zmienić ich w nas, zniszczylibyśmy ich świat”.

Bardzo długo zastanawiał się nad tym. „A w odpowiedzi oni zniszczyliby i nas. Nasza waluta stałaby się bezwartościowa.

Padłaby hellerońska mennica, która bije monety dla Nizin, połowy Imperium i Ziem Pająkowców. Nikt nie skorzystałby na takiej liberalizacji handlu”.

Odczepił szalupę od wyciągu i poczuł, jak morze bierze ją we władanie, kiedy on usiłował pochwycić wiosła. Rozległ

się przytłumiony ryk silnika *Wolnego od Pływów* i jego drewniany kadłub zaczął się odsuwać od niego, kręcąc małą łódką. Wydawało mu się, że słyszy czyjś głos wykrzykujący jego imię i zgadywał, że musiał to być Laszlo, który życzył mu szczęścia, wylazłszy w końcu na pokład.

Nie wyjawiał im drugiego powodu, dla którego nie chciał

dopuścić do wolnego handlu ani nawet swobodnego przepływu wiedzy, jeśli chodzi o morskich. Ale Jodry od razu się zorientował, co by się stało, gdyby któryś z kupców po prostu odkrył, że pod wodą jest złoto. Kto pierwszy zacząłby budowę floty podwodników? Kto zacząłby planować wariacką inwazję na głębiny, tak samo jak Rosander marzył o podboju lądu? Złoto pchałoby ich do działania i

dodawano skrzydeł, a ich statki stawałyby się coraz bardziej skomplikowane. I w końcu lądowi staliby się takimi wrogami, za jakich uważali ich zabobonni morscy.

Stenwold w życiu nie wiosłował, ale Tomasso dokładnie wyjaśnił mu zasady. Pluskał wokół, starając się odwrócić szalupę, ale łódź wciąż zmierzała w złą stronę, a on dla odmiany ciągle siedział twarzą we właściwym kierunku. I był

to, musiał przyznać, wspaniały widok.

Powiedział im wtedy, że nie zamierza zrywać wszelkich kontaktów, że ląd i morze mogą się jeszcze sobie przydać. I wyłożył podstawę umowy: Tomasso i Wys oraz ich załogi będą stanowić nową Morską Straż, łącznik między dwoma światami. W stronę Hermatyre popłynie ściśle kontrolowany strumień myśli technicznej, a stamtąd złoto i natworzone towary do Kolegium. Tomasso dostanie swój procent, a Jodry zajmie się zbyciem reszty. Aradokles będzie miał

źródło bogactwa, które pozwoli mu zachować silną i niezależną kolonię. Nawet Mandir i Gorące Rewiry nie zostaną pozostawieni sobie, bo utrzymają monopol na natwarzane metali możliwych do pozyskania tylko w tym regionie.

Na klifach stał stary opuszczony Przydrożnik, który zostanie zmieniony po remoncie w latarnię morską. Tomasso wynajmie ją od Zgromadzenia i uczyni z niej serce nowego imperium handlowego, a każdy, kto, co pewne, będzie się zastanawiał, skąd ma tyle pieniędzy, pomyśli, że z jakiegoś zamorskiego źródła, którego lokalizacji muszcy pilnie strzegą. I będzie to zasadniczo nawet prawdą, pod warunkiem że słowo „zamorskiego” zamieni się na

„podmorskiego”.

Stenwold został na ceremonii ślubnej, ale tylko dlatego że *Wolny od Pływów* nie wypłynąłby wcześniej. Była to dziwna uroczystość, która odbyła się pod pokładem statku.

Tomasso wyglądał wspaniale w kolorowych jedwabkach, z koralikami wplecionymi w brodę, a Wys, łysa i lekko przygarbiona, ubrała się w tyle złota i pereł, że można by za nie kupić kamienicę w środku miasta z widokiem na uczelnię. Świadkiem Tomasso był Laszlo, wciąż z ramieniem na temblaku, a za Wys stanęła zwałista postać Leja, którego musieli spuścić pod pokład przez klapę do załadunku towarów.

Kiedy wszystko się udało, postawili żagle – i to we właściwym momencie. Obrońcy Kolegium zostali już zmobilizowani i każdy myślał, że to tylko jacyś kupcy chcą uciec przed bijatyką, aż Jodry Drillen rozpuścił wieści, że na pokładzie znajduje się sam mistrz wojny Stenwold Maker.

Trudno było stworzyć ten układ w najdrobniejszych szczegółach, aby na podobieństwo dobrze naoliwionej maszyny działał bez konieczności jego ingerencji, gdyż po dzisiejszym dniu mógł znaleźć się w położeniu wykluczającym możliwość wnoszenia poprawek z jego strony. Trudno było zebrać ich wszystkich w jednym pomieszczeniu i przekonać Jodry'ego. A jeszcze trudniej zawierzyć dwójce lotrów i mężowi stanu.

Lecz najtrudniejsze ze wszystkiego było rozstanie w Hermatyre.

Nie będzie tęsknił za Aradoklesem ani Nemoctesem czy koralowymi salami rozjaśnionymi tylko przez barwne poświaty. I z całą pewnością nie będzie tęsknił za Arkeuthysem. Wcale nie za tym.

Przyszła do niego, kiedy szykowali się do wejścia na statek. Dotknęła jego ramienia, a on odwrócił się i spojrzął na nią – Paladrya, współwięzień i towarzyszka poszukiwań następcy tronu. W przedziwny sposób przeszli przez to wszystko wspólnie i przeżyli jeszcze więcej, kiedy zostali rozdzieleni. Cierpieli i gubili się, przedzierzgnęli się w żołnierzy z zupełnie innej gliny.

Spojrzała mu w oczy, rozchylając usta, by coś powiedzieć, ale słowa ją zawiodły. Teraz miała wszystko –

została doradczynią młodego admira, a jej mądrość równoważyła ambicje Heiraclesa. Jej uczeń, przybrane dziecko, w końcu powrócił w chwale. Ale Stenwold nie znajdował na jej twarzy radości z tych powodów.

I w końcu poddał się, poczuł, jak skorupa pęka, i pozwolił sobie na niemożliwe do zaakceptowania wyznanie: *Ta wiedźma z Pryncypatu Salmae miała rację, niech ją piekło pochłonie!*

Nie było to żarliwe uczucie jak w przypadku Arianny, zrodzone z radości dzielenia doznań z młodą i mądrą kochanką przez podstarzałego faceta. Czuł, że taka miłość już się w nim wypaliła. Ale oto stała przed nim kobieta, z którą mógłby żyć, z którą chciałby się zestarzeć i którą szanował.

Miła, wierna, bystra, która pomagała mu podczas wojny i nie męczyła się nim podczas pokoju. I była z morza.

– Czy ty... czy wrócisz? – zapytała, ale po wyrazie jej twarzy wiedział, że znała odpowiedź.

– A pójdiesz ze mną? – brzmiało jego pytanie.

Całym swym jestestwem poczuł dojmującą duszność życia w miejscu bez słońca, w którym byłby kaleką, jedynym człowiekiem mogącym się utopić w świetle nasyconym wodą.

Ona zaś na pewno myślała o suchości spieczonego powietrza, palącym słońcu, prawdziwej grozie olbrzymiego otwartego nieba.

– Jeśli przeżyję – powiedział – prześlę wiadomość przez Wys. Z pewnością nie będzie miała nic przeciwko temu... – I zamilkł, bo przypomniał sobie, że ani ona nie odczyta jego listu, ani on nie rozszyfruje wiadomości od niej.

Nie było łez – przynajmniej nie w samej chwili pożegnania. W tym też byli do siebie podobni. Tylko smutno pokiwała głową, odganiając ciepłe myśli o nim, ponieważ nie mógł być jej, a ją czekało sporo pracy. Widząc to, jej codzienne męstwo i poświęcenie, zbliżył się do obietnicy, że wróci, bardziej niż sądził.

Teraz odpoczywał przy wiosłach, spoglądając na wschód, na poranne niebo, gdzie horyzont nikał w

olbrzymiej polaci płócien. Malowane żagle z Seldisu i Siennisu oraz tuzina satrapich portów przybyły na miejsce w czterokrotnie większej sile niż flota, jaką przywiódł tu Teornis podczas vekkeńskiego oblężenia. Pająkowcy nie chcieli ryzykować.

Sam w małej łódce, Stenwold czekał na nich, wiosłując jedynie na tyle, by nie zboczyć z kursu. *Oto płynie do was wielkie nic*, pomyślał, kiedy padły na niego cienie żagli.

Pierwszy okręt, jednomasztowiec wielkości *Wolnego od Pływów*, minął go, tnąc fale. *A jeśli się nie zatrzymają?* –

zastanawiał się, wyobrażając sobie, jak podskakuje w małej łódeczce na kilwaterze pozostawionym przez wielką armadę, porzucony i nic nieznaczący. Wtedy kolejny statek, jeszcze większy, zaczął się przechylać i pajęczy żeglarze pojawili się przy relingu.

– Ahoj, żukowcu! Kim jesteś?! – zapytał ostro jeden z nich, kiedy jednostka obróciła się i stanęła ociężale.

– Jestem Marynarką Wojenną Kolegium! – odkrzyknął.

Niedługo potem rzucili mu linę i kiedy wdrapał się po niej na górę, zobaczył wymierzony w siebie sztych.

Potraktowali go bardzo poważnie.

Przeszukali go, ale nie znaleźli nawet scyzoryka.

Następnie przekazali go miedzianoskóremu mrówcowi, który przeszukał go ponownie, bo przecież pająkowcy mogli coś przeoczyć. Stenwold był pod wrażeniem tak szczegółowej rewizji.

– Jestem przedstawicielem Kolegium – informował ich wielokrotnie. – Chcę mówić z waszym dowódcą.

Trzymali go pod pokładem przez jakiś czas, a on czuł, jak statek drży i skrzypi wokół niego pod wprawnymi czynnościami załogi. Teraz już umiał więcej i mógł

stwierdzić, kiedy zawracał i kiedy nabierał wiatru w żagle, by dogonić armadę. A później rozpoznał moment, w którym zwolnił i zaczęto refować żagiel. Robił obliczenia i kiedy znów stanął na pokładzie, był pewny, że jest niemal o czasie.

Armada zakotwiczyła na wprost falochronu Kolegium, daleko poza zasięgiem artylerii. Na każdym statku marynarze przygotowywali się i Stenwold widział ich wyraźnie: najemników oraz poborowych z tuzina satrapii wraz z setkami pająkowców. Na pokładach niektórych okrętów stały maszyny latające, balisty, miotacze ołowiu i inny sprzęt oblężniczy. Ale nikt specjalnie się nie spieszył. Minęło już południe, było zatem jasne, że pająkowcy mają zamiar odłożyć świętowanie na jutro.

– Idziesz do Jejmości – oznajmiła jakaś pajęczyca, która najwyraźniej była kapitanem tego statku.

Była szczupła, ogorzała od słońca i wiatru, z bliznami na brodzie. I uśmiechała się do niego. – Marynarka Wojenna Kolegium!

To było dobre. Przemawiaj grzecznie do Jejmości, a wyjdiesz z tego bez szwanku, rozumiemy się?

Stenwold podziękował jej dwornie i wsadzili go na łódź, która była cokolwiek większa niż ostatnia, a czterech wiosłujących pająkowców przetransportowało go na okręt stojący nieopodal na kotwicy. Była to duża, solidna jednostka, ale na pewno ani nie największa, ani nie najwspanialsza. I Stenwold był rad, że jego wiadomości na temat transportu morskiego pająkowców okazały się dokładne. Inaczej wszystko mogło się bardzo skomplikować.

Przechodząc z jednych silnych rąk w drugie, Maker znalazł się w końcu przed admirałem armady.

Była to kobieta prawdopodobnie w jego wieku, chociaż pająkowcy starzeli się z godnością i bardzo dokładnie skrywali swe lata. Miała srebrzyste włosy, ale farbowane na ten kolor celowo, a także kilka zmarszczek, których nie mogły ukryć nawet sztuczki kosmetyczne. W zaciszu kabiny nosiła wyłącznie białą szatę bez zdobień czy biżuterii. Wyglądała jak królowa i Stenwold nie miał już wątpliwości co do jej władzy

– wokół niej obracał się świat, tak bardzo obnosiła się ze swoją niewzruszoną pewnością siebie. Poza tym fakt, że trzymała w pogotowiu kilku marynarzy, był zupełnie bez znaczenia. W jej zachowaniu nie było ani krztyny sugestii, że mogli być potrzebni. Co więcej, rozpoznał podobieństwo na jej obliczu i serce w nim zamarło.

– Dzień dobry, *sieur* żukowcu – zwróciła się do niego, a muchopodobny sługa, którego wcześniej nie zauważył, już pojawił się koło niego, nalewając wina do wysokich wąskich kielichów, z których pająkowcy lubili pić ten trunek. –

Podobno jesteś ambasadorem Kolegium – ciągnęła kobieta, biorąc do ręki kielich w chwili, w której został napełniony.

Maker uniósł swój i pozwolił, by stuknęły się z brzękiem.

– To praktycznie jest prawdą, bo przyszedłem tu w imieniu mego miasta.

– Miałam nadzieję, że ktoś się zjawi – zapewniła go. –

Jestem pani wojny Mycella z Aldanraelich. Z kim mam przyjemność?

– Nazywam się Stenwold Maker.

– To dobrze. – Skinęła uprzejmie głową. – Poważny poseł na poważne czasy. Mój syn pisze o panu w samych superlatywach, *sieur* Maker.

Już nie napisze. Coś musiało się pojawić w jego twarzy, bo nagle zamarła.

– Syn pani to Teornis – upewnił się ciężkim głosem.

– Jeden z moich synów. – Zaoszczędziła mu dalszych zwierzeń, wyczytawszy wszystko z jego miny. – Nie żyje... –

Kiedy Stenwold skinął głową, zapytała wprost: – I pan go zabił?

– Tak. – Mógł zaprzeczać, ile chciał, ale ona i tak to wiedziała.

Czy serce stanęło jej na chwilę, bo przez moment na jej twarzy nie było widać żadnych emocji? Tego nie wiedział.

Była to jedyna jej reakcja na wieść o śmierci syna.

– Nie można powiedzieć, by w ten sposób zyskał pan przewagę w negocjacjach – to był jedyny jej komentarz, a kiedy próbował powiedzieć, że nie chciał tego, machnęła tylko ręką, uciszając jego słowa tym nieznacznym gestem. –

Proszę powiedzieć mi, że Kolegium błaga o pokój –

poinstruowała go.

– Wcale nie. Miasto jest gotowe do obrony za wszelką cenę – oznajmił oficjalnym tonem.

– W takim razie nie widzę powodów pańskiej wizyty tutaj, *sieur* Maker. W zaistniałych okolicznościach można by sądzić, że sprawy raczej nie ułożą się po pańskiej myśli.

– Przynoszę ostrzeżenie, moja pani – powiedział

posępny głosem. – Poproszę panią o zabranie waszych wszystkich statków do macierzystych portów.

– Bez wątpienia chciałby pan tego, ale w tej chwili nie jestem skłonna ulec tej prośbie, chyba że doda pan do niej błaganie o wyrozumiałość oraz deklarację całkowitej kapitulacji.

– Możemy wyjść na górny pokład? – zapytał

niespodziewanie.

Zmarszczyła podejrzliwie brwi.

– Chce pan dać sygnał swoim rodakom? Nie byłoby to zbyt mądre posunięcie. Nie mam zamiaru informować Kolegium, który to mój okręt flagowy.

– Słuszna uwaga – przyznał. Serce waliło mu jak młotem, jakby czekał na eksplozję bomby. – W takim razie czy mogę zasugerować, żeby na wszystkich waszych okrętach przygotowano szalupy? Tyle, ile się da.

Pani wojny Mycella patrzyła na niego, starając się wyczytać więcej z jego twarzy. Poczł, jak macki

jej sztuki sondują krawędzie jego umysłu. *Powiedz mi, powiedz.*

Stuknięcie we framugę drzwi zapowiedziało przybycie pająkowca ubranego w zbroję z chityny i wzmocnionej skóry.

Widząc go, Mycella zmarszczyła brwi.

– Mów.

– Moja pani, to *Sławetny Phaedris* – wykrztusił

mężczyzna. – Ma... kłopoty.

– Jakiego rodzaju? – warknęła, a ponieważ mężczyzna tylko się na nią gapił, zacisnęła usta i wyszła na górę. –

Zatrzymajcie żukowca do mego powrotu – rzuciła przez ramię.

Stenwold opróżnił kieliszek, starając się uspokoić i zastanawiając się, jak bardzo będzie widać kłopoty *Sławetnego Phaedrisa*. Ledwo po kilku minutach posłała po niego i skonsternowani marynarze wyciągnęli żukowca na słońce.

Łatwo było dostrzec *Sławetnego Phaedrisa*. Był to olbrzymi okręt z pokładami dziobowym i rufowym najeżonymi miotaczami ołowiu, którego trzy maszty dźwigały taką powierzchnię płótna, że pozostałe jednostki armady mogły się wydawać przy nim wręcz mikre. Jego kadłub pomalowano w czerwono-złote wzory, które błyszczały w ostrym słońcu, sprawiając wrażenie, że płoną.

Na ich oczach ktoś najwyraźniej postanowił ugasić ten płomień – wielki statek bowiem przekrzywił się pod zatrważającym kątem, tak że rufa wystawała z wody, i tonął w najlepsze. Załoga jednostek stojących najbliżej niego pospiesznie spuszczała szalupy na wodę, by przyjść z pomocą kolegom z giganta.

Mycella stała przy relingu, obserwując tę scenę z niepojętą obojętnością.

– Sprytnie – skomentowała niemal jak nową inscenizację w teatrze.

– To pewnie największy okręt flotylli – zauważył

Stenwold. – Rozsądnie kalkulowałem. Wiedziałem, że jeśli zostaną zaprowadzony przed pani oblicze, to znajdziemy się na innym. – Kiedy odwróciła się do niego, dodał niezwykle rzeczowym tonem, chociaż tętno znacznie mu przyspieszyło:

– Oczywiście teraz trudno będzie przewidzieć, który następny pójdzie na dno. Może to być ten obok, choć równie dobrze inny.

– Sabotaż – stwierdziła beznamiętnie. – Macie szpiega w naszych szeregach. Cóż, zatopienie jednego okrętu z mojej floty nie ocali waszego miasta, *sieur* Maker.

– Zobaczmy, który będzie następny? – zapytał. –

Wiedziałem, że nie da się pani łatwo przekonać. Ale teraz wszystko pójdzie szybciej, radziłbym więc przygotować te szalupy.

Wyjaśnił wszystko Aradoklesowi ze szczegółami. Nowy edmir wprawdzie z łatwością mógł zapomnieć o długu wdzięczności wobec łądu, ale czy to dzięki służbie pod komendą Salmy, czy też dobremu charakterowi chłopak wzbudzał pełne zaufanie Stenwolda.

– *Moja pani – wykrztusił ochryple poddany Mycelli.* –

Co stevan.

Drżącym palcem wskazał ciężko opancerzony okręt o długim kadłubie, o mrówczej załodze, cały obudowany metalem. To, czego nie były w stanie uciągnąć żagle, zostało tu przywiezione za sprawą silników, by pokazać, że Ziemia Pająkowców miały do dyspozycji coś więcej niż tylko galeony.

Ponieważ był cięższy, tonął szybciej niż *Sławetny Phaedris*, przechylając się bezradnie na lewą burtę, a załoga starała się wdrapać do góry, próbując opóźnić upadek do wody.

Stenwold skrzywił się, wiedząc, że szalupy ratunkowe przybędą za późno po większość żołnierzy. Nagle zobaczył, jak toń marszczy się przy końcu statku, a po przekrzywionym pokładzie sunie skręcająca się szara macka, która owinęła się wkrótce wokół nogi jednego z brnących w górę mrówców, naprężyła w ułamku sekundy i szarpnęła mężczyznę, wciągając go wprost do morza. Żołądek Makera skurczył się na wspomnienie jego straszliwych przeżyć.

Arkeuthys.

– Błagam panią – powiedział – niech pani przekaże rozkaz załogom. Odpłyńcie stąd. Inaczej wszystkie statki zostaną zniszczone, zanim postawicie stopę na ziemi. Za chwilę nie da się tego już powstrzymać.

Marynarze widzieli wkład Arkeuthysa w zatopienie floty. Nie widzieli natomiast gastropodowców – niestrudzonych, ciężko pracujących pod wodą, którzy podpływali do statków i za pomocą swej sztuki przecinali drewno czy metal równie łatwo, jak obrabiali kamień. Ale wyniki ich działań były jasne – dwa okręty tonęły, a jeden z nich już był prawie całkowicie pod wodą.

Spostrzegł, że Mycella rozważa rozkaz ataku na Kolegium. Ocenia obronę na murach i czas, jaki zajęłoby pająkowcom wylądowanie na plaży, gdzie pozwalała na to linia brzegowa. Nie było tu wielu dogodnych miejsc do rzucenia kotwicy, jedynie kilka skalistych zatoczek i kawałek szerokiej plaży, którą wykorzystali Vekkeńczycy, starając się podbić miasto z łądu i z morza. Ile potrwa wylądowanie wszystkich oddziałów na brzeg? Wszystkich machin, zapasów i amunicji, skoro przez cały czas morze zabierało jej statki jeden za drugim? Ile zostanie z jej armii, by mogła zagrozić fortyfikacjom Kolegium? Kiedy się nad tym zastanawiała, rozległ się krzyk, że wali się w fale kolejny okręt. Morscy nabierali wprawy.

– Postawić żagle! Na wszystkich statkach! Słać rozkazy do całej floty! – rzuciła Mycella przez ściśnięte gardło. –

Niech szykują też szalupy. – Odwróciła się do Stenwolda. –

Co do pana, bez wątplenia to... to coś będzie mnie ścigać aż do Seldisu, jeśli nie odstawię pana z powrotem na ląd?

Stenwold pokiwał głową.

– Wsadźcie go do jednej z szalup – poleciła Mycella. –

Zawieźcie go do portu z białą flagą na rufie. Niech legenda Stenwolda Makera zyska kolejny rozdział. – Kiedy marynarze zaczęli się uwijać, by wypełnić jej rozkaz, dodała: – Mój syn miał rację, podziwiając pana, *sieur* Maker. Nie wiem, w jaki sposób pan tego dokonał, jakież to podwodne maszyny wybudowali pańscy rodacy, ale dzisiejszy dzień należy do pana. – Dopiero kiedy znalazł się w szalupie, a marynarze zaczęli go stopniowo opuszczać na wodę, krzyknęła jeszcze do niego: – Ale przyjdzie kiedyś jutro, *sieur* Maker, i wtedy znów pogawędzimy! Niech pan o tym pamięta!

A jej twarz pozbawiona na chwilę zasłon i masek ujawniła taką głębię bólu oraz wściekłości, że zmroziła Stenwolda do szpiku kości.

KONIEC

PODZIĘKOWANIA

Wybieranie osób, którym należałoby podziękować, jest w tak zaawansowanym miejscu cyklu sprawą dość problematyczną, gdyż są to w większości ludzie ci sami, co poprzednio: Simon Kavanagh, Peter Lavery, Julie Crisp, Chloe Healy, wszyscy współsprawcy z Tor, Annie i moja rodzina, wszyscy przyjaciele, którzy zawsze mnie wspierali i dalej to robią. Szczególne podziękowania należą się Jonowi Cole'owi, który pojawiał się niespodziewanie na konwentach i przy podpisywaniu książek, zajmując sporą przestrzeń krajobrazu. Dziękuję mojemu ojcu za pomoc w kwestiach oceanograficznych; Helen, Joffowi, Garethowi, Frances oraz Danowi za to, że wcielają się w role niestrudzonych gospodarzy za każdym razem gdy trafiam do Oxfordu, a także Waynowi i Krissy za takie samo przyjmowanie mnie w Londynie.

GLOSARIUSZ

LUDZIE

Aagen – osopodobny ambasador w Kolegium **Accius** – mrówkopodobny ambasador Veku w Kolegium

Achaeos – ćmopodobny, ukochany Cheerweli Maker, zginął podczas wojny

Akkestrae – modliszkopodobna w Kolegium **Albibnus**

– mrówkopodobny wywiadowca w

Kanaterisie

Aldanrael – pająkopodobna z rodu Aristoi **Amnon** – skarabeuszopodobny z Khanaphes na wychodźstwie

Liga Starożytnych – ciemcy oraz modliszkowcy z Doraksu, Etheryonu i Nethyonu, sprzymierzeńcy Kolegium podczas wojny

Aradokles – krakenowiec, dziedzic Hermatyre **Arianna** – pajęczopodobna kochanka Stenwolda Makera

Arkeuthys – ogromna ośmiornica

Arvi – muchopodobny sekretarz Jodry’ego Drillena **Balkus** – sarneński mrówkopodobny, renegat

Berjek Gripshod – żukopodobny uczonek **Krwawa Mucha** – osławiony muchopodobny pirat minionego pokolenia

Caractes – ukwiałowiec, pustelnik

Cardless – żukopodobny sługa Stenwolda Makera **Cheerweli Maker („Che”)** – żukopodobna bratanica Stenwolda Makera

Chenni – małoszczypca mechanik Rosandera **Claeon** – krakenowiec mózgowiec, admirał Hermatyre

Cynthaen – modliszkopodobna rybaczk

Danaen – modliszkopodobna zbójniczka

Daven – osopodobny agent Rekefu

Despard – muchopodobną mechanik z załogi *Wolnego od Pływów*

Diamedes

– krakenowiec mózgowiec, agent

Heiraclesa

Ebris z Ganbrodiel – pająkopodobny pirat **Elder Padstock** – żukopodobna głównodowodząca kompanii Przynależnych Makerowi

Elleria z Aldanraelich – kuzynka Teornisa **Elytria** – krakenowiec mózgowiec, agentka litoralistów

Epiphona – wielkoszczypca, naurach taboru Trzech Czerwonych Ryb

Fel – chyzoszczypcy z załogi Wys

Fernaea („Fern”) – muchopodobną widząca z załogi *Wolnego od Pływów*

Filipo – muchopodobny łotr na pensji Formana Sandsa

Forman Sands – mieszaniec, zabójca na pensji Helmessa Broilera

Geontes – krakenowiec mózgowiec, agent Claeona **Grampos** – tarantulopodobny z Kanateris

Greenwise Artector – żukopodobny magnat z Helleronu

Gribbern – głębokokolcy pelagista

Smutek – motylopodobna monarchini Pryncypatu Salmae

Gude – muchopodobną sterniczka *Wolnego od Pływów*

Haelyn – mątwopodobny mózgowiec, majordomus Claeona

Heiracles – krakenowiec mózgowiec, przywódca rewolty

Helmess Broiler

– żukopodobny członek

Zgromadzenia

Isselima – pająkopodobna właścicielka statku **Jaclen Courser** – żukopodobna kapitan statku **Janos Outwright** – żukopodobny głównodowodzący wszystkich kompanii kupieckich

Jodry Drillen – żukopodobny członek Zgromadzenia **Jons Allanbridge** – żukopodobny lotnik Kratia

–
mrówkopodobna ambasador z Tsenu

Laszlo – muchopodobny faktor załogi *Wolnego od Pływów*

Lej („Wyciek”) – wielkoszczypcy mechanik z załogi Wys

Lerean – strzałkopodobna z wędrownych Kerebroi **Lineo Thadspar**

– żukopodobny, były

Przewodniczący Zgromadzenia – zginął podczas wojny **Lyess** – meduzowata pelagistka

Malius – mrówkopodobny ambasador Veku

Mandir – małoszczypcy, On z Gorących Rewirów **Marcantor** – strzałkopodobny mózgowiec w służbie u Aradoklesa

Marteus

– mrówkopodobny głównodowodzący

kompanii Zimny Głaz

Maxel Gainer – żukopodobny rzemieślnik, uczeń Tseitusa

Menes – krakenowiec mózgowiec, zabójca w służbie u Claeona

Nemoctes – wędrownikowy mózgowiec, przywódca pelagików

Ordly Kalamarz – żukopodobny kupiec

Paladrya – krakenowiec mózgowiec, guwernantka Aradoklesa

Partreyn – żukopodobny, zastępca przewodniczącego Zgromadzenia

Pellectes – krakenowiec mózgowiec, przywódca litoralistów

Phylles – ukwiałowiec, członkini załogi Wys **Piera** – muchopodobną z załogi *Wolnego od Pływów*

Plius – mrówkopodobny agent z Tsenu, zginął podczas wojny

Praeda Rakespear – żukopodobna uczona

Pserry – zwierzę Gribberna

Rones Failwright

– żukopodobny członek

Zgromadzenia, magnat przewozowy

Rosander – wielkoszczypcy, nauarch Taboru Tysiąca Kolców

Saline Dien („Salma”) – ważkopodobny szlachcic, zginął podczas wojny

Santiren – strzałkopodobna mózgowiec w służbie u Aradoklesa

Sfayot – karał uchopodobny kanclerz Pryncypatu Salmae

Stenwold Maker – żukopodobny szef siatki szpiegowskiej i mąż stanu

Teornis z rodu Aldanraelich – pająkopodobny *aristoi*

Termes – mrówkopodobny ambasador z Veku **Thalryk** – osopodobny, były agent Rekefu i były regent **Theomen** – krakenowiec mózgowiec, zabójca w służbie u Claeona

Tisamon – modliszkopodobny mistrz broni, zginął

podczas wojny

Tolly Aimark – żukopodobny kapitan statku **Tomasso** – muchopodobny kapitan *Wolnego od Pływów*

Tseitus – mrówkopodobny z Tsenu, wynalazca **Tynisa** – mieszanej krwi, mistrzyni broni, córka Tisamona

Tyresia – pająkopodobna handlarka informacjami **Varante** – ważkopodobny przywódca ludzi Teornisa **Wys** – małoszczypca najemniczka

MIEJSCA

Arvendine – placówka handlowa na skraju Felyalu **Capitas** – stolica Imperium

Everis – miasto-wyspa pająkopodobnych

Felyal – puszcza modliszkopodobnych, obecnie w większości wypalona

Głęboki Wyсіęk – kolonia morskich

Gorące Rewiry – przemysłowa kolonia morskich **Helleron** – przemysłowe miasto żukopodobnych

Hermatyre – kolonia morskich

Kanateris – miasto pająkopodobnych piratów **Khanaphes** – starożytne miasto skarabeuszowców

Kolegium – miasto żukowców, serce Nizin **Morro** – miasto muchopodobnych Pryncypat **Salmae** – nowo założone miasto wojennych uchodźców

Sarn – miasto mrówkopodobnych sprzymierzone z Kolegium

Seldis – miasto pająkopodobnych

Siennis – miasto pająkopodobnych

Sonn – miasto żukopodobnych w granicach Imperium **Tark** – miasto mrówkopodobnych zdewastowane podczas wojny

Tsen – miasto mrówkopodobnych na odległym zachodnim wybrzeżu Nizin

Vek – miasto mrówkopodobnych, do niedawna w stanie wojny z Kolegium

Wielki Atol – kolonia morskich nieopodal Tsenu **ORGANIZACJE I WAŻNE PRZEDMIOTY**

Amphiophos – siedziba rządu Kolegium

Bentonik – członek grupy morskich nomadów

Burzowa Szarańcza – okręt Ebrisa z Ganbrodiel **Edmir** – zarządca kolonii morskich

Kołowrót – statek powietrzny Jonsa Allanbridge'a **Kompania Zimny Głaz** – kompania kupiecka z Kolegium

Losy – wybory członków Zgromadzenia

Nauarch – przywódca taboru bentoników

Obligatorysta – morski mieszkający w kolonii **Pelagik** – morski wiodący samotne, podróżnicze

życie

Pelter – statek Tolly’ego Aimarka **Pika i Strzał Outwrighta** – kompania kupiecka z Kolegium

Pływające Igrzysko Isselimy – pływający dom gier **Prawdziwe Ostrze** – statek piracki

Przewodniczący

– przywódca Zgromadzenia

Kolegium

Przymierze Trzech Miast: Myny, Szaru i Maynes –

dawniej miasta kontrolowane przez Imperium

Przynależni Makerowi – kompania kupiecka z Kolegium

Rekef – tajna służba Imperium

Tabor Tysiąca Kolców – stronnicy Rosandera

Tseitán – podwodnik Maxela Gainera

Wędrujący Dom – statek kupiecki Jaclen Courser

Wolny od Pływów – statek Tomasso **Zgromadzenie** – ciało sprawujące władzę w Kolegium wybierane przez Losy